

# Czarny Anioł

Waltari Mika



calibre 0.9.43

Mika Waltari

Czarny Anioł

(Przełożył: Zygmunt Łanowski)

Ujrza<sup>3</sup>em ciê pierwszy raz i przemówi<sup>3</sup>em do ciebie. By<sup>3</sup>o to tak, jakby przesz<sup>3</sup>o przeze mnie trzêsienie ziemi. W g<sup>3</sup>êbi mej duszy przewróci<sup>3</sup>o siê wszystko, czeluœcie mego serca otwar<sup>3</sup>y siê i nie poznawa<sup>3</sup>em ju¿ swej w<sup>3</sup>asnej natury.

Skoñczy<sup>3</sup>em lat czterdzieœci i zdawa<sup>3</sup>o mi siê, ¿e osi<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>em jesieñ ¿ycia.

Odby<sup>3</sup>em dalekie wêdrówki, du¿o przeszed<sup>3</sup>em i prze¿y<sup>3</sup>em wiele ¿ywotów.

Pan przemawia<sup>3</sup> do mnie pod wieloma postaciami, anio<sup>3</sup>owie objawiali mi siê, ale ja w nich nie wierzy<sup>3</sup>em.

Kiedy zobaczy<sup>3</sup>em ciebie, musia<sup>3</sup>em uwierzyæ, skoro taki cud mnie mó<sup>3</sup>g<sup>3</sup> siê wydarzyæ.

Ujrza<sup>3</sup>em ciê przed koœcio<sup>3</sup>em M<sup>1</sup>droœci Bo¿ej, u br<sup>1</sup>zowych bram. By<sup>3</sup>o to w chwili, gdy wszyscy wyszli z koœcio<sup>3</sup>a w porz<sup>1</sup>dku przepisany ceremoni<sup>3</sup>em, po tym jak kardyna<sup>3</sup> Izydor po<sup>3</sup>acinie i po grecku odczyta<sup>3</sup> w lodowatej ciszy obwieszczenie o zjednoczeniu koœcio<sup>3</sup>ów. Kiedy póŹniej odprawi<sup>3</sup> wspania<sup>31</sup> mszê, odczyta<sup>3</sup> tak¿e wyznanie wiary. A gdy doszed<sup>3</sup> do uzupe<sup>3</sup>nienia “i od Syna”, wielu ukry<sup>3</sup>o twarze w d<sup>3</sup>oniach, a z empory da<sup>3</sup>y siê s<sup>3</sup>yszeæ gorzkie szlochania kobiet. Sta<sup>3</sup>em w œcisku w bocznej nawie przy szarej kolumnie. Gdy jej dotkn<sup>13</sup>em, poczu<sup>3</sup>em, ¿e jest wilgotna, jak gdyby nawet kamienie w tej œwi<sup>1</sup>tyni poci<sup>3</sup>y siê zimnym potem lêku.

Potem wszyscy wyszli z koœcio<sup>3</sup>a w porz<sup>1</sup>dku przepisany od wieluset lat, a poœrodku szed<sup>3</sup> bazyleus, cesarz Konstantyn, wyprostowany i powa¿ny, z siwiej<sup>1c1</sup> ju¿ g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> pod z<sup>3</sup>otymi pa<sup>31</sup>kami korony. Wychodzili — ka¿dy w tej barwie i ornacie, jaki by<sup>3</sup> przepisany — dostojnicy z Blachern, ministrowie, logoteci i anthypathowie, senat w pe<sup>3</sup>nym sk<sup>3</sup>adzie, a nastêpnie rodami archonci Konstantynopola. Nikt nie oœmieli<sup>3</sup> siê nie stawiaæ, w ten sposób wyra¿aj<sup>1c</sup> swoje przekonania. Po prawej stronie cesarza pozna<sup>3</sup>em a¿ nazbyt dobrze sekretarza stanu Francesa, który ch<sup>3</sup>odnymi niebieskimi oczyma patrzy<sup>3</sup> wokó<sup>3</sup> siebie. Wœród<sup>3</sup> acinników dostrzeg<sup>3</sup>em wenecjañskiego bailona i wielu innych, których rozpozna<sup>3</sup>em.

Ale megaduksa łukasza Notarasa, wielkiego ksiêcia i dowódcy floty cesarskiej, nigdy jeszcze poprzednio nie widzia<sup>3</sup>em. By<sup>3</sup> to m<sup>1</sup>¿ smag<sup>3</sup>y i wynios<sup>3</sup>y, wy¿szy o g<sup>3</sup>owê od innych. Spojrzenie mia<sup>3</sup> szydercze i m<sup>1</sup>dre, ale w jego rysach odczyta<sup>3</sup>em tak<sup>1</sup> sam<sup>1</sup> melancholiê, wspóln<sup>1</sup> wszystkim, którzy nale¿eli do starych greckich rodów. Gdy wyszed<sup>3</sup> z koœcio<sup>3</sup>a, by<sup>3</sup> wzburzony i z<sup>3</sup>y, jak gdyby nie wytrzyma<sup>3</sup> okropnej hañby, która dotknê<sup>3a</sup> jego koœció<sup>3</sup> i jego lud.

Gdy doprowadzono wierzchowce, powsta<sup>3</sup> niepokój i ludzie zaczęli g<sup>3</sup>oœno przeklinaæ acinników. Wo<sup>3</sup>ano: “Precz z niedozwolonym dodatkiem! Precz z w<sup>3</sup>adz<sup>1</sup> papie¿a”. Nie mog<sup>3</sup>em tego

s<sup>3</sup>uchaæ. Nas<sup>3</sup>ucha<sup>3</sup>em siê ju¿ tego wszystkiego do znudzenia w dniach mojej m<sup>3</sup>odoœci. Ale nienawioæ i rozpacz ludu by<sup>3</sup>y jak grzmot i trzêsienie ziemi. A¿ do chwili, gdy nawyk<sup>3</sup>e do œpiewu g<sup>3</sup>osy mnichów objê<sup>3</sup>y przewodnictwo i sprawi<sup>3</sup>y, ¿e lud wspólnie i w takt wo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>: "Nie od Syna, nie od Syna". By<sup>3</sup> to dzieñ œwiêtego Spirydiona.

Gdy zaczê<sup>3</sup>a siê procesja wysoko urodzonych kobiet, czêœæ œwity cesarskiej zmiesza<sup>3</sup>a siê ju¿ z ludzk<sup>1</sup> mas<sup>1</sup>, która falowa<sup>3</sup>a i miota<sup>3</sup>a siê w takt na wpó<sup>3</sup> œpiewanego krzyku. Tylko wokó<sup>3</sup> œwiêtej postaci cesarza by<sup>3</sup>o pusto. Siedzia<sup>3</sup> na swoim rumaku z twarz<sup>1</sup> pociemnia<sup>31</sup> od troski. Odziany by<sup>3</sup> w haftowany z<sup>3</sup>otem purpurowy p<sup>3</sup>aszcz i purpurowe buty ozdobione dwug<sup>3</sup>owm or<sup>3</sup>em.

By<sup>3</sup>em zatem œwiadkiem spe<sup>3</sup>nienia wielowiekowego marzenia: po<sup>31</sup>czenia koœcio<sup>3</sup>a wschodniego z zachodnim, ukorzenia siê prawowiernego ortodoksyjnego koœcio<sup>3</sup>a przed papie¿em i odst<sup>1</sup>pienia od pierwotnego, nie poszerzonego wyznania wiary. Odwlekana przez d<sup>3</sup>ugi czas unia ta nabra<sup>3</sup>a w koñcu mocy obowi<sup>1</sup>zuj<sup>1</sup>cej przez to, ¿e kardyna<sup>3</sup> Izydor odczyta<sup>3</sup> w koœciele M<sup>1</sup>droœci Bo¿ej list unijny. W katedrze florenckiej list ten odczyta<sup>3</sup> przed czternastu laty po grecku wielki kr<sup>1</sup>g<sup>3</sup>og<sup>3</sup>owy uczony, metropolita Bessarion. Zosta<sup>3</sup> on, podobnie jak Izydor, podniesiony do godnoœci kardyna<sup>3</sup>a przez papie¿a Eugeniusza IV w nagrodê za swoje zas<sup>3</sup>ugi przy ciê¿kim dziele pojednania.

A wiêc to ju¿ czternacie lat od tej chwili. W wieczór ów sprzeda<sup>3</sup>em swoje ksi<sup>1</sup>¿ki i odzie¿, rozdzieli<sup>3</sup>em pieni<sup>1</sup>dze miêdzy biednych i uciek<sup>3</sup>em z Florencji. W piêæ lat póŹniej wzi<sup>13</sup>em krzy¿. Okrzyki t<sup>3</sup>umu przypomni<sup>3</sup>y mi dzieæ górsk<sup>1</sup> drogê do Asy¿u i pobojowisko pod Warn<sup>1</sup>.

Ale gdy wo<sup>3</sup>ania nagle ucich<sup>3</sup>y, podnios<sup>3</sup>em wzrok i zobaczy<sup>3</sup>em, ¿e megaduks ðukasz Notaras wjecha<sup>3</sup> na podest przed po¿ó<sup>3</sup>k<sup>31</sup> marmurow<sup>1</sup> kolumnad<sup>1</sup>. Gestem nakaza<sup>3</sup> ciszê i przejmuj<sup>1</sup>cy wiatr grudniowy poniós<sup>3</sup> jego okrzyk: "Lepszy turban turecki ni¿ tiara papieska!" Tak samo wo<sup>3</sup>ali ongiœ ydzi: "Uwolnijcie nam Barabasza!"

Ca<sup>3</sup>a gromada rycerzy i archontów zebra<sup>3</sup>a siê wyzywaj<sup>1</sup>co wokó<sup>3</sup> ðukasza Notarasa, ¿eby pokazaæ, ¿e go popieraj<sup>1</sup> i otwarcie wa¿<sup>1</sup> siê przeciwstawiaæ cesarzowi. A¿ wreszcie t<sup>3</sup>um rozst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> siê w koñcu, tak ¿e cesarz móg<sup>3</sup> stamt<sup>1</sup>d odjechaæ ze swoj<sup>1</sup> przersedzon<sup>1</sup> œwit<sup>1</sup>. Procesja kobiet wyp<sup>3</sup>ywa<sup>3</sup>a wci<sup>1</sup>¿ jeszcze przez potê¿ne br<sup>1</sup>zowe wrota koœcio<sup>3</sup>a, ale rozprasza<sup>3</sup>a siê natychmiast na otwartym placu i znika<sup>3</sup>a w niespokojnym t<sup>3</sup>umie.

By<sup>3</sup>em ciekawy, jak lud przywita kardyna<sup>3</sup>a Izydora, ale jest on mê¿em, który wiele wycierpia<sup>3</sup> dla unii, i sam jest Grekiem. Dlatego te¿ wcale nie wyszed<sup>3</sup> na dwór. Godnoœæ kardyna<sup>3</sup>a nie doda<sup>3</sup>a mu tuszy. Jest nadal takim samym chudym, ma<sup>3</sup>ym cz<sup>3</sup>owieczkiem o oczach jak ziarnka pieprzu i wydaje siê jeszcze chudszy ni¿ dawniej, odk<sup>1</sup>d zgoli<sup>3</sup> brodê na sposób <sup>3</sup>aciñski.

"Lepszy turban turecki ni¿ tiara papieska". S<sup>3</sup>owa te ksi<sup>1</sup>¿ê Notaras wykrzykn<sup>13</sup> chyba z g<sup>3</sup>êbi serca, z mi<sup>3</sup>oœci do swego miasta i swojej wiary oraz nienawioœci do <sup>3</sup>acinników.

Ale bez wzglêdu na to, jak szczere uczucie doda<sup>3</sup>o ¿aru jego s<sup>3</sup>owom, nie mogê uwa¿aæ ich na nic innego, jak tylko z zimm<sup>1</sup> krwi<sup>1</sup> uczynione otwarcie gry politycznej. Wœród wzburzonego ludu wy<sup>3</sup>o¿y<sup>3</sup> swoje karty, ¿eby zyskaæ poklask zdecydowanej wiêkszoœci. Gdy¿ w g<sup>3</sup>êbi serca ¿aden Grek nie popiera przecie¿ tej unii, nawet sam cesarz. Jest on tylko zmuszony podporz<sup>1</sup>dkowaæ siê i

przypieczetowaæ uniê, by w ten sposób zawrzeæ pakt przyjaŹni i pomocy, który w chwili potrzeby ma daæ Konstantynopolowi pomoc papieskiej floty wojennej.

JuŹ zbroi siê flota papieŹa w Wenecji. Kardyna<sup>3</sup> Izydor zapewnia, Źe wyp<sup>3</sup>ynie ona na ratunek Konstantynopola, gdy tylko wiecæ o og<sup>3</sup>oszeniu unii zd<sup>1</sup>Źy dotrzeæ do Rzymu. Ale za cesarzem Konstantynem ludzie krzyczeli dzisiaj: "Apostata, apostata". Najokropniejsze, najbardziej czcze, najbardziej niszc<sup>1</sup>ce s<sup>3</sup>owo, jakie moŹna wykrzykn<sup>1</sup>æ do cz<sup>3</sup>owieka. To cena, któr<sup>1</sup> musi on p<sup>3</sup>aciæ za dziesiêæ okrêtów wojennych. Jeæli okrêty te w ogóle przyp<sup>3</sup>yn<sup>1</sup>.

Kardyna<sup>3</sup> Izydor przywiód<sup>3</sup> juŹ z sob<sup>1</sup> garcææ <sup>3</sup>uczni<sup>3</sup>ków, których zwerbowa<sup>3</sup> na Krecie i innych wypach. Bramy miasta s<sup>1</sup> zamurwane. Turcy spustoszyli ca<sup>31</sup> okolicê i zamknêli Bosfor. Ich mocny punkt to twierdza, któr<sup>1</sup> su<sup>3</sup>tan ostatniego lata kaza<sup>3</sup> wci<sup>1</sup>gu kilku miesiêcy wzniecæ ko<sup>3</sup>o najciaæniejszego miejsca Bosforu. Twierdza leŹy po stronie Pery, po stronie chrzeæcijan. Jeszcze na wiosnê sta<sup>3</sup> na tym miejscu koæció<sup>3</sup> archanio<sup>3</sup>a Micha<sup>3</sup>a. Teraz kamienne kolumny koæcio<sup>3</sup>a wmurowane s<sup>1</sup> jako podpory grubych na trzydzieæci stóp murów tureckich wieŹ i dzia<sup>3</sup>a su<sup>3</sup>tana nadzoruj<sup>1</sup> cieæninê.

O wszystkim tym mycæ<sup>3</sup>em stoj<sup>1</sup>c przy ogromnych br<sup>1</sup>zowych wrotach koæcio<sup>3</sup>a M<sup>1</sup>droæci BoŹej. Wtedy to zobaczy<sup>3</sup>em j<sup>1</sup>. Uda<sup>3</sup>o jej siê wymkn<sup>1</sup>æ z t<sup>3</sup>umu i wejææ z powrotem do koæcio<sup>3</sup>a. Oddycha<sup>3</sup>a gwa<sup>3</sup>townie, a welon jej porwany by<sup>3</sup> w strzêpy. Dostojne Greczynki w Konstantynopolu maj<sup>1</sup> zwyczaj zas<sup>3</sup>aniaæ twarze przed obcymi i Źyj<sup>1</sup> w odosobnieniu w swoich domach pod piecz<sup>1</sup> eunuchów. Gdy wsiadaj<sup>1</sup> na koñ albo wchodzi<sup>1</sup> do lektyk, przodem spiesz<sup>1</sup> ich s<sup>3</sup>udzy z rozpostart<sup>1</sup> p<sup>3</sup>acht<sup>1</sup>, by chroniæ je przed spojrzzeniami przechodniów. Ich p<sup>3</sup>eæ jest mleczna i przezroczyta.

Spojrza<sup>3</sup>a na mnie i czas zatrzyma<sup>3</sup> siê w biegu, s<sup>3</sup>oñce przesta<sup>3</sup>o wêdrowaæ wokó<sup>3</sup> ziemi, przys<sup>3</sup>ocææ stopi<sup>3</sup>a siê z teraŹniejszoæci<sup>1</sup> i nie by<sup>3</sup>o juŹ nic wiêcej prócz tej chwili, tej jedynej Źywej chwili, której nawet chciwy czas nie mó<sup>3</sup>g po<sup>3</sup>kn<sup>1</sup>æ.

Widzia<sup>3</sup>em wiele kobiet za mego Źycia. Kocha<sup>3</sup>em samolubnie i zimno. Doznawa<sup>3</sup>em rozkoszy i sam dawa<sup>3</sup>em rozkosz innym. Ale dla mnie mi<sup>3</sup>ocææ by<sup>3</sup>a zawsze pogardy godn<sup>1</sup> Ź<sup>1</sup>dz<sup>1</sup> cielesn<sup>1</sup>, która zaspokojona, wprawia<sup>3</sup>a duszê w przygnêbienie. Tylko ze wspó<sup>3</sup>czucia udawa<sup>3</sup>em mi<sup>3</sup>ocææ, dopóki mog<sup>3</sup>em siê na to zdobyæ.

Wiele kobiet widzia<sup>3</sup>em w moim Źyciu, aŹ wreszcie wyrzek<sup>3</sup>em siê ich, podobnie jak wyrzek<sup>3</sup>em siê wielu innych rzeczy. Kobiety by<sup>3</sup>y dla mnie czymcæ cielesnym, a ja nienawidzê wszystkiego, co uzaleŹnia mnie od mojego w<sup>3</sup>asnego cia<sup>3</sup>a.

By<sup>3</sup>a niemal tak wysoka jak ja. W<sup>3</sup>osy mia<sup>3</sup>a jasne pod haftowanym kapturkiem. P<sup>3</sup>aszcz niebieski, przetykany srebrem. Oczy jej by<sup>3</sup>y br<sup>1</sup>zowe, p<sup>3</sup>eæ jak z<sup>3</sup>oto i kocææ s<sup>3</sup>oniowa.

Ale ja nie na jej piêknoææ patrzy<sup>3</sup>em. Nie wtedy w<sup>3</sup>acenie. To spojrzenia jej oczu pojma<sup>3</sup>y mnie, gdyŹ oczy te by<sup>3</sup>y mi dobrze znane, tak jakbym widzia<sup>3</sup> je juŹ kiedycæ we ænie. Br<sup>1</sup>zowa otwartocææ tych oczu spali<sup>3</sup>a wszystko czcze i codzienne na popió<sup>3</sup>. Rozszerzy<sup>3</sup>y siê ze zdumienia, a potem ucemiechnê<sup>3</sup>y siê nagle do mnie.

Zachwyt mój by<sup>3</sup> tak Źarliwie czysty, Źe nie miecæci<sup>3</sup> w sobie Źadnego ziemskiego poŹ<sup>1</sup>dania.

Czu³em, jakby cia³o moje zaczê³o œwieciæ w taki sam sposób, jak kiedyœ na w³asne oczy widziane pustelnicze sza³asy œwiêtych mnichów z Athos promieniuj¹ce nadzmys³owym blaskiem niczym jasne latarnie wysoko na ogromnych górskich stromiznach. I oto moje porównanie nie stanowi ¿adnego œwiêtokradztwa, gdy¿ w tym momencie moje nowonarodzenie siê by³o œwiêtym cudem.

Jak d³ugo to trwa³o, nie wiem. Mo¿e nie d³u¿ej ni¿ tchnienie, które w naszej ostatniej chwili wyzwala duszê od cia³a. Stalicemy o parê kroków od siebie, ale przez jedno tchnienie stalicemy tak¿e na progu miêdzy doczesnym i wiecznym i by³o to podobne do ostrza miecza. Potem wróci³em znów do czasu. Musia³em mówiaæ. Powiedzia³em:

— Nie bój siê. Jeœli chcesz, odprowadzê ciê do domu twego ojca.

Po jej kapturku widzia³em, ¿e nie jest kobiet¹ zamê¿n¹. Nie ¿eby to w tej chwili coœ znaczy³o. Czy by³a mê¿atk¹, czy nie, oczy jej bliskie mi patrzy³y na mnie ufnie.

Wci¹gnê³a g³êboko oddech, jakby go zbyt d³ugo powstrzymywa³a, i rzek³a pytaj¹co:

— Jesteœ ³acinnikiem?

— Jeœli tak chcesz — odpar³em.

Patrzyliœmy na siebie i wœród rozkrzyczanego tłumy byliœmy równie samotni ze sob¹, jak gdybyœmy razem zbudzili siê w raju u zarania czasów. Sp³onê³a rumieñcem wstydu, ale nie spuœci³a wzroku. Poznawaliœmy przecie¿ swoje oczy. A¿ nie mog³a ju¿ d³u¿ej opanowaæ niepokoju i dr¿¹cym g³osem zapyta³a:

— Kim jesteœ?

I pytanie jej nie by³o wcale pytaniem. Swymi s³owami zdradza³a tylko, ¿e mnie poznaje w swoim sercu tak, jak ja j¹ pozna³em. Ale ¿eby daæ jej czas siê opamiêtaæ, powiedzia³em:

— Wzrasta³em we Francji, w mieœcie Awinion, dopóki nie osi¹gn¹³em trzynastu lat. Od tej pory wêdrowa³em po wielu krajach. Nazywam siê Jean Ange. Tutaj nazywam siê Johannes Angelos, jeœli ty tak chcesz.

— Angelos — powtórzy³a. — Anio³. Czy to dlatego jesteœ taki blady i powa¿ny? Czy to dlatego zlêk³am siê, gdy ciê zobaczy³am? — Podesz³a bli¿ej i dotknê³a d³oni¹ mego ramienia. — Nie, nie jesteœ anio³em — powiedzia³a. — Jesteœ z krwi i koœci. Dlaczego nosisz tureck¹ szablê?

— Przywyk³em do niej — odpar³em. — I ta stal jest twardsza ni¿ kuta przez chrzeœcijan. We wrzeœniu uciek³em z obozu su³tana Mehmeda, który skoñczy³ w³acenie budowaa twierdzê nad Bosforem i mia³ wracaæ do Adrianopola. Teraz, gdy wybuch³a wojna, wasz cesarz nie wydaje ju¿ niewolników tureckich, którzy uciekli do Konstantynopola.

Rzuci³a wzrokiem na mój strój i powiedzia³a:

— Nie chodzisz odziany jak niewolnik.



— Nie, nie chodź odziany jak niewolnik — odpar<sup>3</sup>em. — Przez blisko siedem lat należa<sup>3</sup>em do orszaku su<sup>3</sup>tana. Su<sup>3</sup>tan Murad wywyższy<sup>3</sup> mnie na dozorcę swoich psów i podarowa<sup>3</sup> mnie potem swemu synowi. Su<sup>3</sup>tan Mehmed wypróbowały<sup>3</sup> mój rozum i czyta<sup>3</sup> wraz ze mn<sup>1</sup> greckie i rzymskie księgi.

— Jak zosta<sup>3</sup>ę niewolnikiem u Turków? — zapyta<sup>3</sup>a.

— Mieszka<sup>3</sup>em przez cztery lata we Florencji — odrzek<sup>3</sup>em.

— W owym czasie by<sup>3</sup>em bogatym cz<sup>3</sup>owikiem, ale znuży<sup>3</sup>em się handlem i wzię<sup>13</sup>em krzyż. A Turcy pojмали mnie do niewoli pod Warn<sup>1</sup>.

Jej wzrok kaza<sup>3</sup> mi mówić dalej:

— By<sup>3</sup>em sekretarzem u kardyna<sup>3</sup>a Juliusza Cesariniego. Po klęsce koń jego uton<sup>13</sup> w bagnie i uciekaj<sup>1</sup>cy Węgrzy zak<sup>3</sup>uli kardyna<sup>3</sup>a. Ich m<sup>3</sup>ody król pad<sup>3</sup> przecię<sup>3</sup> w tej bitwie. Mój kardyna<sup>3</sup> namówi<sup>3</sup> go do z<sup>3</sup>amania pokoju, który zaprzysi<sup>1</sup>g<sup>3</sup> utrzymywał z Turkami. Dlatego Węgrzy uważali, że oeci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> na nich przekleństwo, a su<sup>3</sup>tan Murad traktowa<sup>3</sup> nas jak krzywoprzysię<sup>3</sup>ców. Mnie jednak nie uczyni<sup>3</sup> nic z<sup>3</sup>ego, choć kaza<sup>3</sup> stracić wszystkich innych jeńców, którzy nie chcieli uznać jego Boga i proroka. Pewnie mówi<sup>3</sup> zbyt dużo. Przebacz mi. D<sup>3</sup>ugo milcza<sup>3</sup>em.

Odpar<sup>3</sup>a:

— Nie nudzisz mnie. Chcę s<sup>3</sup>yszeć więcej o tobie. Ale dlaczego nie pytasz, kim ja jestem?

— Nie pytam — rzek<sup>3</sup>em — wystarczy dla mnie, że istniejesz. Nie s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>em, że coś takiego jeszcze może mi się zdarzyć.

Nie pyta<sup>3</sup>a, co mam na myśli. Obejrza<sup>3</sup>a się i spostrzeg<sup>3</sup>a, że masa ludzka zaczyna się rozpraszać.

— Chodź ze mn<sup>1</sup> — szepnę<sup>3</sup>a, wzię<sup>3</sup>a mnie za rękę i wci<sup>1</sup>gnę<sup>3</sup>a spiesznie z powrotem w wielki cień br<sup>1</sup>zowych wrót. — Uznajesz unię? — zapyta<sup>3</sup>a.

Wzruszy<sup>3</sup>em ramionami:

— Jestem <sup>3</sup>acinnikiem.

— Przekrocz próg — nakaza<sup>3</sup>a.

Wewn<sup>1</sup>trz w przedsionku przystanęliemy na miejscu, gdzie okute żelazem buty wartowników przez tysi<sup>1</sup>c lat wy<sup>3</sup>obi<sup>3</sup>y do<sup>3</sup>ek w marmurowej posadzce. Ludzie, którzy z obawy przed t<sup>3</sup>umem pozostali w kocieciele, zerkali na nas. Mimo to obję<sup>3</sup>a mnie ramionami za szyję i poca<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>a.

— To uroczystość świętego Spirydiona — rzek<sup>3</sup>a i prze<sup>3</sup>egna<sup>3</sup>a się znakiem krzyża na sposób grecki. — Tylko od Ojca, nie od Syna. Niech mój chrześcijański poca<sup>3</sup>unek będzie przypieczętowaniem przyjaźni między nami, abyśmy siebie nawzajem nie zapomnieli. Niebawem



s<sup>3</sup>udzy mego ojca b<sup>ê</sup>d<sup>1</sup> tu,  $\zeta$ eby mnie zabra<sup>æ</sup>.

Policzki mia<sup>3</sup>a rozpalone, a jej poca<sup>3</sup>unek nie by<sup>3</sup> chřeœcijañski. Pachnia<sup>3</sup>a hiacyntami. Wysoko sklezione brwi by<sup>3</sup>y cienkimi kreszczkami, pomalowanymi na ciemnoniebiesko, usta mia<sup>3</sup>a umalowane na czerwono, jak to jest w zwyczaj<sup>u</sup> w<sup>o</sup>er<sup>o</sup>d dostojnych kobiet w Konstantynopolu.

— Nie mog<sup>ê</sup> tak si<sup>ê</sup> z tob<sup>1</sup> rozsta<sup>æ</sup> — rzek<sup>3</sup>em. — Jeœliby<sup>œ</sup> nawet mieszka<sup>3</sup>a za siedmiorgiem zawartych wr<sup>o</sup>t, nie ustan<sup>ê</sup>, dop<sup>o</sup>ki ci<sup>ê</sup> nie odnajd<sup>ê</sup>. Jeœli nawet czas i przestrzeñ rozdzieli nas, b<sup>ê</sup>d<sup>ê</sup> ci<sup>ê</sup> szuka<sup>3</sup> na nowo. Nie mo $\zeta$ esz temu przeszkodzi<sup>æ</sup>.

— Dlaczego $\zeta$  mia<sup>3</sup>abym chcie<sup>æ</sup> temu przeszkodzi<sup>æ</sup>? — zapyta<sup>3</sup>a unosz<sup>1</sup>c drwi<sup>1</sup>co brwi. — Sk<sup>1</sup>d mo $\zeta$ esz wiedzie<sup>æ</sup>,  $\zeta$ e sama nie p<sup>3</sup>on<sup>ê</sup> niecierpliw<sup>o</sup>œci<sup>1</sup>, by us<sup>3</sup>ysze<sup>æ</sup> wi<sup>ê</sup>cej o tobie i twoich dziwnych losach, panie Angelosie?

Jej drwina by<sup>3</sup>a przyjemna, a ton m<sup>o</sup>wi<sup>3</sup> wi<sup>ê</sup>cej ni $\zeta$  s<sup>3</sup>owa.

— Wyznacz mi wi<sup>ê</sup>c miejsce i czas — nalega<sup>3</sup>em.

Zmarszczy<sup>3</sup>a czo<sup>3</sup>o:

— Sam nie wiesz, jak niestosowne s<sup>1</sup> twoje s<sup>3</sup>owa. Ale takie s<sup>1</sup> mo $\zeta$ e obyczaje Frank<sup>o</sup>w.

— Czas i miejsce — powt<sup>o</sup>rzy<sup>3</sup>em i chwyci<sup>3</sup>em j<sup>1</sup> za rami<sup>ê</sup>.

— Jak œmiesz — wpatrzy<sup>3</sup>a si<sup>ê</sup> we mnie i zblad<sup>3</sup>a z zaskoczenia.

—  $\bar{a}$ den m<sup>ê</sup> $\zeta$ czyzna jeszcze nigdy nie oœmieli<sup>3</sup> si<sup>ê</sup> mnie dotkn<sup>1</sup>æ. Nie wiesz, kim jestem. — Ale nie próbowa<sup>3</sup>a nawet wyswobodzi<sup>æ</sup> si<sup>ê</sup> z uchwytu, tak jakby moje dotkni<sup>ê</sup>cie mimo wszystko by<sup>3</sup>o jej mi<sup>3</sup>e.

— Ty jesteœ ty — rzek<sup>3</sup>em. — To mi wystarczy.

— Mo $\zeta$ e poœl<sup>ê</sup> wiadomoœæ — obieca<sup>3</sup>a. — C<sup>o</sup> $\zeta$  mo $\zeta$ e znaczy<sup>æ</sup> w tych niespokojnych czasach, czy co<sup>ê</sup> jest stosowne, czy nie. Jesteœ Frankiem, nie Grekiem. Ale spotkanie ze mn<sup>1</sup> mo $\zeta$ e by<sup>æ</sup> dla ciebie niebezpieczne.

— Wzi<sup>13</sup>em kiedyœ krzy $\zeta$ , poniewa $\zeta$  brak<sup>3</sup>o mi wiary — odpar<sup>3</sup>em.

— Wszystko inne osi<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>em. Dlatego myœla<sup>3</sup>em,  $\zeta$ e przynajmniej potrafi<sup>ê</sup> umrze<sup>æ</sup> na czeœæ Boga. Od Turk<sup>o</sup>w uciek<sup>3</sup>em,  $\zeta$ eby umrze<sup>æ</sup> dla Chrystusa na murach Konstantynopola. Nie mo $\zeta$ esz uczyni<sup>æ</sup> mego  $\zeta$ ycia niebezpieczniejszym, ni $\zeta$  ono jest.

— Milcz — rzek<sup>3</sup>a. — Przyrzeknij przynajmniej,  $\zeta$ e nie p<sup>o</sup>jdiesz za mn<sup>1</sup>. Doœæ ju $\zeta$

oci<sup>1</sup>gnêlicemy na siebie uwagi. — Zas<sup>3</sup>oni<sup>3</sup>a twarz podartym welonem i odwróci<sup>3</sup>a siê do mnie plecami.

S<sup>3</sup>udzy w niebieskich i bia<sup>3</sup>ych szatach przyszli po ni<sup>1</sup>. Posz<sup>3</sup>a za nimi nie rzuciwszy mi nawet jednego spojrzenia, a ja tam zosta<sup>3</sup>em. Ale gdy siê oddali<sup>3</sup>a, poczu<sup>3</sup>em siê bezsilny, tak jakbym wykrwawi<sup>3</sup> siê z otwartej rany.

*14 grudnia 1452*

Przedstawiciele ró<sup>3</sup>nych nacji, zebrani w koœciele Najœwiêtszej Dziewicy Marii ko<sup>3</sup>o portu, postanowili pod przewodnictwem cesarza Konstantyna dwudziestu jeden g<sup>3</sup>osami przeciw g<sup>3</sup>osom Wenecjan skonfiskowaæ dla obrony miasta weneckie okrêty w porcie. Trevisano za<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup> protest w imieniu armatorów. Pozwolono im zatrzymaæ <sup>3</sup>adunki, kiedy kapitanowie uca<sup>3</sup>owaniem krzy<sup>3</sup>a potwierdzili przysiêgê, <sup>3</sup>e nie bêd<sup>1</sup> usi<sup>3</sup>owali uciec. Czysz dzier<sup>3</sup>awny za okrêty ustalono w wysokoœci czterystu bezantów miesięcznie. Jest to cena lichwiarska, ale Wenecja umie wykorzystaa<sup>3</sup> okazjê, a zreszt<sup>1</sup> na co przyda siê ton<sup>1</sup>cemu liczenie swego z<sup>3</sup>ota.

Cesarz naradza<sup>3</sup> siê z Gregoriosem Mammase, którego lud zwie fa<sup>3</sup>szywym patriarch<sup>1</sup>, z biskupami i z opatami klasztorów nad stopieniem klejnotów koœcielnych i biciem z nich monet. To obrabowanie klasztorów i koœcio<sup>3</sup>ów z naczyñ z<sup>3</sup>otych i srebrnych mnisi uwa<sup>3</sup>aj<sup>1</sup> za pierwsz<sup>1</sup> prawdziw<sup>1</sup> oznakê po<sup>3</sup>iczenia koœcio<sup>3</sup>ów i uznania unii.

Ceny nieruchomoœci osi<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>y dno. Odsetki nawet za krótkoterminowe po<sup>3</sup>yczki wzros<sup>3</sup>y w ci<sup>1</sup>gu kilku dni do czterdziestu procent. D<sup>3</sup>ugoterminowych po<sup>3</sup>yczek w ogóle nie mo<sup>3</sup>na dostaæ. Drogie kamienie stoj<sup>1</sup> wysoko w cenie. Za jeden ma<sup>3</sup>y diament zakupi<sup>3</sup>em dywany i meble wartocci szeœædziesiêciu tysiêcy dukatów. Urz<sup>1</sup>dzam i ozdabiam dom, który wynaj<sup>13</sup>em. W<sup>3</sup>aœciciel gotów jest sprzedaæ go tanio, ale po cò<sup>3</sup> mia<sup>3</sup>bym kupowaæ dom. Przysz<sup>3</sup>ocaa<sup>3</sup> miasta mo<sup>3</sup>na obecnie liczyæ na miesi<sup>1</sup>ce.

Nie spa<sup>3</sup>em wiele w ci<sup>1</sup>gu ostatnich dwóch nocy. Powróci<sup>3</sup>a moja dawna bezsennoœæ. Niepokój pêdzi mnie na ulice, ale nie wychodzê z domu na wypadek, gdyby ktoœ pyta<sup>3</sup> o mnie. Czytaa<sup>3</sup> nie mogê. Naczyta<sup>3</sup>em siê ju<sup>3</sup> dosyæ, by zrozumieæ, jak ja<sup>3</sup>owa jest wszelka wiedza. Mój grecki s<sup>3</sup>u<sup>3</sup>cy czuwa nad ka<sup>3</sup>dym moim krokiem, ale jest to zupe<sup>3</sup>nie naturalne i dotychczas mi to nie przeszkadza<sup>3</sup>o. Jak<sup>3</sup>e<sup>3</sup> mogliby ufaæ cz<sup>3</sup>owiekowi, który by<sup>3</sup> w s<sup>3</sup>u<sup>3</sup>bie tureckiej. Mój s<sup>3</sup>uga jest ubogim starym cz<sup>3</sup>owiekiem, którego mi <sup>3</sup>al. Chêtnie pozwalam mu na ten jego uboczny zarobek.

*15 grudnia 1452*

Tylko ma<sup>3</sup>y zwitek papieru. Wêdrowny sprzedawca warzyw przyniós<sup>3</sup> mi go tu dzie rano.

“W koœciele Œwiêtych Aposto<sup>3</sup>ów po po<sup>3</sup>udniu". Nic wiêcej tam nie by<sup>3</sup>o napisane. W po<sup>3</sup>udnie powiedzia<sup>3</sup>em, Œe wybieram siê do portu, i pos<sup>3</sup>a<sup>3</sup>em mego s<sup>3</sup>ugê, Œeby wysprz<sup>1</sup>ta<sup>3</sup> piwnicê. Wychodz<sup>1</sup>c zamkn<sup>13</sup>em za nim drzwi. Dzie nie chcê czuæ na sobie Œadnych szpieguj<sup>1</sup>cych oczu.

Koœció<sup>3</sup> Œwiêtych Aposto<sup>3</sup>ów stoi na najwyŒszym wzgórzcu w mieœcie. By<sup>3</sup>o to miejsce dobrze wybrane na czu<sup>31</sup> schadz<sup>1</sup>kê, gdyŒ tylko kilka odzianych na czarno kobiet, pogr<sup>1</sup>Œonych w mod<sup>3</sup>ach, klêcza<sup>3</sup>o przy balaskach przed œwiêtymi ikonami. Moja odzieŒ nie wzbudzi<sup>3</sup>a Œadnego zdumienia, gdyŒ koœció<sup>3</sup> ten odwiedzaj<sup>1</sup> czêsto Œeglarze <sup>3</sup>acinnicy, przychodz<sup>1</sup>cy obejrzeæ groby królewskie i relikwie. TuŒ na prawo od wejœcia stoi, otoczony skromn<sup>1</sup> barierk<sup>1</sup> drewnian<sup>1</sup>, kawa<sup>3</sup>ek kamiennej kolumny, do której przywi<sup>1</sup>zany by<sup>3</sup> nasz Zbawiciel, gdy ch<sup>3</sup>ostali go rzymscy Œo<sup>3</sup>dacy.

Musia<sup>3</sup>em czekaæ w koœciele przez dwie godziny i czas włók<sup>3</sup> siê leniwie. Ale nikt nie zwraca<sup>3</sup> uwagi na to, Œe tam siedzê. W Konstantynopolu czas nie ma juŒ Œadnego znaczenia. Modl<sup>1</sup>ce siê kobiety oderwa<sup>3</sup>y siê od œwiata i pogr<sup>1</sup>Œy<sup>3</sup>y w ekstazie. Ockn<sup>1</sup>wszy siê rozgl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>y siê wokó<sup>3</sup> siebie jak gdyby zbudzone ze snu. W ich wzroku wyraŒa<sup>3</sup> siê ca<sup>3</sup>y niewypowiedziany smutek umieraj<sup>1</sup>cego miasta. Zas<sup>3</sup>oni<sup>3</sup>y twarze welonami i wysz<sup>3</sup>y z opuszczonymi oczyma.

Po ch<sup>3</sup>odzie na dworze w koœciele by<sup>3</sup>o ciep<sup>3</sup>o. Pod jego marmurow<sup>1</sup> posadzk<sup>1</sup> biegn<sup>1</sup> przewody z ciep<sup>3</sup>ym powietrzem na dawny rzymski sposób. TakŒe lodowaty ch<sup>3</sup>ód w mojej duszy staja<sup>3</sup>. ¯ar oczekiwania sprawi<sup>3</sup>, Œe pad<sup>3</sup>em na kolana, by modliæ siê, czego nie robi<sup>3</sup>em juŒ bardzo dawno. Ukl<sup>1</sup>k<sup>3</sup>em przed o<sup>3</sup>tarzem i modli<sup>3</sup>em siê z ca<sup>3</sup>ego serca:

“Œwiêty wszechmocny BoŒe, który w postaci Swego Syna by<sup>3</sup>œcie cielecenie na ziemi w sposób niepojêty dla naszego rozumu, by zbawiæ nas od naszych grzechów, zmi<sup>3</sup>uj siê nade mn<sup>1</sup>. Zmi<sup>3</sup>uj siê nad moim zw<sup>1</sup>tpieniem i niewiar<sup>1</sup>, których ani Twoje w<sup>3</sup>asne s<sup>3</sup>owo, ani pisma Ojców Koœcio<sup>3</sup>a, ani Œadna œwiecka filozofia nie zdo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>y uleczyæ. Stosownie do Twojej woli prowadzi<sup>3</sup>œcie mnie po œwiecie i da<sup>3</sup>œcie mi zakosztowaæ wszystkich Twoich darów, m<sup>1</sup>droœci i g<sup>3</sup>upoty, bogactwa i biedy, w<sup>3</sup>adzy i niewolnictwa, pasji i <sup>3</sup>agodnoœci, poŒ<sup>1</sup>dania i wyrzeczenia, pióra i miecza, ale nic nie zdo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>o mnie uleczyæ. Goni<sup>3</sup>œcie mnie z rozpaczy w rozpacz, tak jak bezlitosny myœliwy goni swoj<sup>1</sup> s<sup>3</sup>abn<sup>1</sup>c<sup>1</sup> zwierzynê, dopóki w mym poczuciu winy nie mia<sup>3</sup>em innej rady jak zaryzykowaæ Œycie w obronie Twego imienia. Lecz nawet tej ofiary nie chcia<sup>3</sup>œcie ode mnie przyj<sup>1</sup>æ. CzegóŒ zatem chcesz ode mnie, œwiêty niepojêty BoŒe?"

A gdy odmówi<sup>3</sup>em tê modlitwê, poczu<sup>3</sup>em, Œe to tylko moja niestrudzona дума zabarwi<sup>3</sup>a te myœli, i zawstydz<sup>3</sup>em siê, i modli<sup>3</sup>em siê ponownie w g<sup>3</sup>êbi serca:

“Ty, który jesteœ, zmi<sup>3</sup>uj siê nade mn<sup>1</sup>. Przebac mi grzechy nie dla moich zas<sup>3</sup>ug, ale dla Twego mi<sup>3</sup>osierdzia i uwolnij mnie od mojej straszliwej winy, zanim mnie ona z<sup>3</sup>amie".

A pomodliwszy siê sta<sup>3</sup>em siê znowu zimny jak g<sup>3</sup>az, jak kawa<sup>3</sup>ek lodu. Poczu<sup>3</sup>em si<sup>3</sup>ê w cz<sup>3</sup>onkach i nieugiê<sup>1</sup> sztywnoœæ w karku i po raz pierwszy od wielu lat dozna<sup>3</sup>em rozkoszy istnienia. Kocha<sup>3</sup>em i czeka<sup>3</sup>em, i wszystko minione obróci<sup>3</sup>o siê za mn<sup>1</sup> w popió<sup>3</sup>, tak jakbym nigdy przedtem nie kocha<sup>3</sup> i nie czeka<sup>3</sup>. Tylko jako blady cieñ pamiêta<sup>3</sup>em jeszcze dziewczynê z Ferrary, któranosi<sup>3</sup>a per<sup>3</sup>y we w<sup>3</sup>osach i wêdrowa<sup>3</sup>a po ogrodzie filozofii z ptasi<sup>1</sup> klatk<sup>1</sup> ze z<sup>3</sup>otych drucików uniesion<sup>1</sup> w

bia<sup>3</sup>ej d<sup>3</sup>oni tak, jakby nios<sup>3</sup>a latarniê, by oœwiecaæ drogê.

A póŹniej pogrzeba<sup>3</sup>em nieznan<sup>1</sup> zmar<sup>31</sup>, której twarz wyŹar<sup>3</sup>y leœne lisy. Przysz<sup>3</sup>a, by szukaæ swojej klamry od paska. Dogl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>em zadŹumionych w wysmo<sup>3</sup>owanym baraku, dlatego Źe nie koñcz<sup>1</sup>ce siê spory o literê wiary doprowadzi<sup>3</sup>y mnie do rozpacz<sup>1</sup>. TakŹe i ona by<sup>3</sup>a zrozpaczona, ta piêkna, nieosi<sup>1</sup>galna dziewczyna. Zdj<sup>13</sup>em z niej skaŹone zaraz<sup>1</sup> szaty i spali<sup>3</sup>em w piecu handlarza soli. Potem spaliœemy z sob<sup>1</sup> i daliœemy sobie nawzajem ciep<sup>3</sup>o, choæ s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>em, Źe coœ takiego nie moŹe mi siê przytrafiæ. By<sup>3</sup>a przecieŹ ksiêŹnicz<sup>1</sup>, a ja tylko t<sup>3</sup>umaczem w kancelarii papieskiej. To juŹ wnet piêtnaœcie lat od tego czasu. I teraz nic juŹ nie drga<sup>3</sup>o we mnie, gdy j<sup>1</sup> wspomina<sup>3</sup>em. Musia<sup>3</sup>em szukaæ w pamiêci, by choæby tylko przypomnieæ sobie jej imiê, Beatrycze. Ksi<sup>1</sup>Źê podziwia<sup>3</sup> Dantego i czyta<sup>3</sup> francuskie romanse rycerskie. Kaza<sup>3</sup> œci<sup>1</sup>æ w<sup>3</sup>asnego syna i w<sup>3</sup>asn<sup>1</sup> córkê za rozpustê, a sam spó<sup>3</sup>kowa<sup>3</sup> po kryjomu ze swoj<sup>1</sup> córk<sup>1</sup>. Niegdyœ w Ferrarze. Dlatego to znalaz<sup>3</sup>em dziewczynê z ogrodu w baraku zadŹumionych.

Kobieta z twarz<sup>1</sup> os<sup>3</sup>oniê<sup>1</sup> welonem haftowanym pere<sup>3</sup>kami podesz<sup>3</sup>a i stanê<sup>3</sup>a obok mnie w koœciele. By<sup>3</sup>a niemal tak wysoka jak ja. Odziana by<sup>3</sup>a w futrzany p<sup>3</sup>aszcz z powodu zimna. Pocz<sup>3</sup>em zapach hiacyntów. Przysz<sup>3</sup>a, moja ukochana.

— Twoja twarz — prosi<sup>3</sup>em. — PokaŹ mi twoj<sup>1</sup> twarz, Źeby<sup>3</sup> móg<sup>3</sup> uwierzyæ, Źe jesteœ.

— Postêpujê nies<sup>3</sup>usznie — rzek<sup>3</sup>a. By<sup>3</sup>a bardzo blada, w jej br<sup>1</sup>zowych oczach malowa<sup>3</sup> siê strach.

— Co jest s<sup>3</sup>uszne, a co nies<sup>3</sup>uszne? — zapyta<sup>3</sup>em. — Ÿyjemy przecieŹ w dniach ostatecznych. CóŹ znaczy jeszcze cokolwiek, co robimy?

— Jesteœ <sup>3</sup>acinnikiem — rzek<sup>3</sup>a z wyrzutem. — Takim, który spoŹywa nie kwaszony chleb. Tak moŹe mówiæ tylko Frank. S<sup>3</sup>uszne i nies<sup>3</sup>uszne czuje cz<sup>3</sup>owiek w swoim sercu. Wiedzia<sup>3</sup> to juŹ Sokrates. Ale ty jesteœ szyderc<sup>1</sup> podobnie jak Pi<sup>3</sup>at, który pyta<sup>3</sup>, co to jest prawda.

— Na rany Chrystusa! — zakl<sup>13</sup>em. — Kobieto, chcesz mnie uczyæ filozofii? Doprawdy, jesteœ Greczynk<sup>1</sup>!

Rozszlocha<sup>3</sup>a siê z lêku i napiêcia. Pozwoli<sup>3</sup>em jej p<sup>3</sup>akaæ, Źeby siê uspoko<sup>3</sup>a, gdyŹ by<sup>3</sup>a tak zalêkniona, Źe drŹa<sup>3</sup>a ustawicznie mimo ciep<sup>3</sup>a w koœciele i swego drogocennego futrzanego p<sup>3</sup>aszcza. Przysz<sup>3</sup>a, p<sup>3</sup>aka<sup>3</sup>a ze wzglêdu na mnie i na siebie sam<sup>1</sup>. CzyŹ potrzebowa<sup>3</sup>em lepszego dowodu na to, Źe wzruszy<sup>3</sup>em jej duszê, podobnie jak ona niczym trzêsenie ziemi odwali<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>azy z czeluœci mego serca?

W koñcu po<sup>3</sup>oŹy<sup>3</sup>em d<sup>3</sup>oñ na jej ramieniu i rzek<sup>3</sup>em:

— Wszystko ma tylko znikom<sup>1</sup> wartoœæ. Ÿycie, wiedza, filozofia, nawet wiara. Wszystko tylko zapala siê, p<sup>3</sup>onie gwa<sup>3</sup>townie przez chwilê, a potem gaœnie. B<sup>1</sup>dŸmy dwojgiem doros<sup>3</sup>ych ludzi, którzy cudem poznali wzajemne spojrzenia i mog<sup>1</sup> otwarcie rozmawiaæ ze sob<sup>1</sup>. Nie przyszed<sup>3</sup>em tutaj, Źeby siê z tob<sup>1</sup> k<sup>3</sup>óciæ.

— Dlaczego przyszed³eœ? — zapyta³a.

— Kocham ciê! — rzek³em.

— Choœ nie wiesz, kim jestem, choœ widzia³eœ mnie tylko jeden jedyny raz? — odpar³a.

Roz³o¿y³em rêce. C¿ mog³em na to odpowiedzieæ. Opuœci³a wzrok, zaczê³a znowu dygotaæ i szepnê³a:

— Wcale nie by³am pewna, ¿e przyjdiesz.

— O, ty moja ukochana! — powiedzia³em, gdy¿ piêkniejszego wyznania mi³oœci nigdy jeszcze nie s³ysza³em z warg ¿adnej kobiety. I jeszcze raz zrozumia³em, jak nieskoñczenie ma³o cz³owiek mo¿e wyjaœniaæ s³owami. A przecie¿ ludzie, nawet m¹drzy i uczeni, wierz¹, ¿e potrafi¹ wyt³umaczyæ istotê Boga.

Wyci¹gn¹³em do niej obie rêce. Bez chwili wahania pozwoli³a mi uj¹æ swe zimne d³onie. Palce mia³a smuk³e i mocne, ale by³y to d³onie, które nigdy nie wykonywa³y ¿adnej pracy. Stalicemy d³ugo trzymaj¹c siê za rêce, zwróceni ku sobie. Nie potrzebowalicy ¿adnych s³ów. Jej br¹zowe zatroskane oczy spogl¹da³y na moje czo³o, nasadê w³osów, policzki, brodê, szyjê, jak gdyby w nie nasyconej ciekawoœci chcia³a wbiæ sobie w pamiêæ ka¿dy mój rys. Twarz mia³em spalon¹ wiatrem, posty wydr¹¿y³y moje policzki, k¹ciki ust opad³y mi od rozczarowañ, a czo³o zryte by³o zmarszczkami od myœli. Ale nie wstydzi³em siê swego oblicza. Twarz moja by³a jak woskowa tabliczka, zrysowana przez ¿ycie twardym rylcem. Chêtnie jej pozwala³em z niej czytaæ.

— Chcê wiedzieæ o tobie wszystko — powiedzia³a œcisuj¹c moje twarde palce. — Golisz siê. To czyni ciê dziwnym, budzisz lêk jak³aciñski ksi¹dz. Czy jesteœ mê¿em uczonym, czy te¿ wojownikiem?

— B³¹ka³em siê z kraju do kraju, z ubogiego stanu do mo¿nego, jak iskra na wietrze — odpar³em. — Tak¿e w swoim sercu wêdrowa³em po g³êbinach i po wy¿ynach. Studiowa³em filozofiê z jej nominalizmem i realizmem, jak równie¿ pisma starych filozofów. Znu¿ony s³owami, okreœla³em pojêcia literami i cyframi jak Raymondus. Ale nigdy nie doszed³em do jasnoœci. Dlatego te¿ wybra³em miecz i krzy¿.

Po chwili ci¹gn¹³em:

— Przez jakieœ czas by³em tak¿e kupcem. Nauczy³em siê podwójnej ksiêgowoœci, która czyni bogactwo pozorem. W naszych czasach bogactwo sta³o siê tylko napisem na papierze, podobnie jak filozofia i œwiête tajemnice.

Po chwili wahania zni¿y³em g³os i rzek³em:

— Mój ojciec by³ Grekiem, choœ wzros³em w papieskim Awinionie.

Drgnê³a i wypuœci³a moje d³onie jakby przera¿ona.

— Tak myśla³am — powiedzia³a. — Gdybyœ mia³ brodê, twarz twoja by³aby twarz¹ Greka. Czy to tylko dlatego od pierwszej chwili wyda³eœ mi siê taki znajomy, jak gdybym zna³a ciebie dawniej i szuka³a twojej by³ej twarzy pod t¹ obecni¹?

— Nie — odpar³em. — Nie, wcale nie dlatego.

Rozejrza³a siê bojaŹliwie woko³o i schowa³a brodê i usta w welonie.

— Opowiedz mi o sobie wszystko — prosi³a. — Ale spacerujmy równoczenie woko³o i udawajmy, Ÿe coœ ogl¹damy, tak aby nie zwróciæ niczyjej uwagi. Ktoœ móg³by mnie rozpoznaæ.

Ufnie po³oŹy³a d³oñ na moim ramieniu i zaczêlicemy chodziæ po koœciele i ogl¹daæ cesarskie sarkofagi, ikony i srebrne relikwiarze. Zrównalicemy nasze kroki. Gdy d³oñ jej dotknê³a mego ramienia, jak gdyby ognista sprêŹyna porazi³a moje cia³o. Ale ten ból by³ luby. Pó³g³osem zacz¹³em opowiadaæ:

— Dzieciñstwo zapomnia³em. Jest ono jak sen i nie wiem juŹ na pewno, co jest snem, a co prawd¹. Ale gdy bawi³em siê pod murem miejskim albo nad brzegiem rzeki w Awinionie z innymi ch³opcami, zwyk³em by³ wyg³aszaæ do nich d³ugie kazania po grecku i po ³acinie. Nauczy³em siê chyba na pamiêæ wielu rzeczy, których nie rozumia³em, gdyŹ odk¹d ojciec mój sta³ siê œlepcem, musia³em mu czytaæ g³oœno jak dzieñ d³ugi.

— Œlepcem? — zapyta³a.

— Odby³ d³ug¹ podróŹ, kiedy mia³em osiem czy dziewiêæ lat — odrzek³em szukaj¹c w pamiêci. Przegna³em juŹ to wszystko z duszy, tak jakbym nigdy tego nie przeŹywa³, ale teraz zmory dzieciñstwa wróci³y jak z³y sen. — Przebywa³ poza domem przez ca³y rok. W drodze powrotnej wpad³ w rêce rabusiów. Œleplici go, Ÿeby nigdy juŹ nie móg³ ich poznaæ i œwiadczyæ przeciw nim.

— Œleplici — zdumia³a siê. — Tu w Konstantynopolu œlepicia siê tylko usuniêtych cesarzy albo synów, którzy zbuntowali siê przeciw swemu ojcu. Tureccy w³adcy nauczyli siê tego zwyczaju od nas.

— Mój ojciec by³ Grekiem — powtórzy³em jeszcze raz. — W Awinionie nazywano go Andronikosem Grekiem, a w ostatnich latach tylko Œlepcym Grekiem.

— Jak ojciec twój znalaz³ siê w kraju Franków? — zapyta³a ze zdziwieniem.

— Nie wiem — odpar³em, choæ wiedzia³em. Ale zachowa³em to dla siebie. — Mieszka³ w Awinionie przez ca³e swoje Źycie. Mia³em trzynacie lat, gdy pewnego dnia, bêd¹c œlepcem, spad³ ze zbocza za pa³acem papieskim i skrêci³ kark. Pytasz o moje dzieciñstwo. Jako dziecko miewa³em czêsto anielskie wizje, które bra³em za rzeczywistoœæ. Nazywam siê przecieŹ Johannes Angelos. Sam nie pamiêtam tak duŹo z tego, ale wszystko to policzono mi jako obci¹Źenie przy procesie.

— Procesie? — zmarszczy³a czo³o.

— Kiedy mia³em trzynacie lat, zosta³em skazany za zamordowanie ojca — rzuci³em szorstko.

— Przed<sup>3</sup>ożono dowody, że zaprowadzi<sup>3</sup>em mego ołepego ojca na urwisko i str<sup>1</sup>ci<sup>3</sup>em go, żeby odziedziczyæ po nim maj<sup>1</sup>tek. Naocznych œwiadków nie by<sup>3</sup>o. Dlatego ch<sup>3</sup>ostano mnie, żebym siê przyzna<sup>3</sup>. W koñcu skazano mnie na œwiartowanie, <sup>3</sup>amanie ko<sup>3</sup>em. Mia<sup>3</sup>em wtedy trzynacie lat. Takie by<sup>3</sup>o moje dzieciñstwo.

Chwyci<sup>3</sup>a szybko moj<sup>1</sup> d<sup>3</sup>oñ, spojrze<sup>3</sup>a mi w oczy i rzek<sup>3</sup>a:

— Twoje oczy nie s<sup>1</sup> oczyma mordercy. Opowiadaj dalej. To ci przyniesie ulgê.

— Nie myœla<sup>3</sup>em o tych sprawach od wielu lat — powiedzia<sup>3</sup>em. — Nie mia<sup>3</sup>em ochoty mówiæ o tym z kimkolwiek. Wykreœli<sup>3</sup>em te rzeczy z pamiêci. Ale <sup>3</sup>atwo jest mówiæ do ciebie. To by<sup>3</sup>o dawno temu. Mam ju¿ czterdzieci lat. Od tego czasu przeży<sup>3</sup>em wiele żywotów. Ale nie zabi<sup>3</sup>em swego ojca. Byæ mo¿e by<sup>3</sup> on surowy i porywczy i bija<sup>3</sup> mnie czasem, ale w swych najlepszych chwilach by<sup>3</sup> dla mnie dobry. Kocha<sup>3</sup>em go. By<sup>3</sup> przecie¿ moim ojcem. O matce nic nie wiem. Umar<sup>3</sup>a przy moim urodzeniu, œciskaj<sup>1</sup>c na próżno w d<sup>3</sup>oni obdarzony cudown<sup>1</sup> moc<sup>1</sup> kamieñ.

Mo¿e ojciec by<sup>3</sup> znużony życiem dlatego, że by<sup>3</sup> œlepcem — ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>em — tak s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>em póŹniej, kiedy doros<sup>3</sup>em. Rankiem tego dnia prosi<sup>3</sup> mnie, żebym siê nie niepokoï<sup>3</sup>, cokolwiek siê stanie. Powiedzia<sup>3</sup> mi, że ma du¿<sup>1</sup> sumê pieniêdzy, nie mniej ni¿ trzy tysi<sup>1</sup>ce dukatów, na przechowaniu u z<sup>3</sup>otnika Gerolamo. Zapisa<sup>3</sup> mi wszystko w testamencie i wyznacz<sup>3</sup> Gerolamo na mego opiekuna, dopóki nie ukoñczê szesnastu lat. By<sup>3</sup>o to na wiosnê. Poprosi<sup>3</sup> póŹniej, żebym go zaprowadzi<sup>3</sup> na urwisko za pa<sup>3</sup>acem. Chcia<sup>3</sup> pos<sup>3</sup>uchaæ wiatru i krzyku kluczy ptaków przylatuj<sup>1</sup>cych z po<sup>3</sup>udnia. Powiedzia<sup>3</sup>, że siê umówi<sup>3</sup> na spotkanie z anio<sup>3</sup>ami. Dlatego prosi<sup>3</sup> mnie, żebym zostawi<sup>3</sup> go samego i wróci<sup>3</sup> dopiero na wieczorn<sup>1</sup> mszê.

— Czy ojciec twój zarzuci<sup>3</sup> swój<sup>1</sup> greck<sup>1</sup> wiarê? — zapyta<sup>3</sup>a natychmiast dobitnie. By<sup>3</sup>a córk<sup>1</sup> Konstantynopola.

— Chodzi<sup>3</sup> na mszê, spowiada<sup>3</sup> siê, spożywa<sup>3</sup> <sup>3</sup>aciñski chleb, i kupowa<sup>3</sup> op<sup>3</sup>atki, by skróciæ czas czyœæca — odpar<sup>3</sup>em. — Nawet mi nie przysz<sup>3</sup>o na myœl, by móg<sup>3</sup> mieæ inn<sup>1</sup> wiarê ni¿ wszyscy. Powiedzia<sup>3</sup>, że umówi<sup>3</sup> siê na spotkanie z anio<sup>3</sup>ami, i znalaz<sup>3</sup>em go martwego u stóp urwiska. By<sup>3</sup> zmêczony życiem, œlepy i nieszczêliwy.

— Ale jak ktoœ móg<sup>3</sup> oskar¿yæ ciebie o to?... — rzek<sup>3</sup>a.

— Wszystko zrzucano na mnie — odpowiedzia<sup>3</sup>em. — Wszystko, wszystko. Mówiono, że chcia<sup>3</sup>em pieniêdzy. Mistrz Gerolamo œwiadczy<sup>3</sup> przeciwko mnie naj¿arliwiej. Twierdzi<sup>3</sup>, że widzia<sup>3</sup> na w<sup>3</sup>asne oczy, jak ugryz<sup>3</sup>em ojca w rêkê, kiedy mnie ch<sup>3</sup>osta<sup>3</sup>, i zaraz potem zapewni<sup>3</sup>, że ¿adnych pieniêdzy nie by<sup>3</sup>o. To tylko mrzonki œlepego cz<sup>3</sup>owieka, coœ, o czym bredzi<sup>3</sup>. Ma<sup>31</sup> sumkê Gerolamo wprawdzie otrzyma<sup>3</sup>, jak mówi<sup>3</sup>, kiedy ojciec mój œlepe<sup>3</sup>, ale pieni<sup>1</sup>dze te dawno ju¿ posz<sup>3</sup>y na jego utrzymanie. Tylko z litocæci Gerolamo posy<sup>3</sup>a<sup>3</sup> nam potem dalej żywnoœæ ze swoich dóbr, mówi<sup>3</sup>. Œlepiec poprzestawa<sup>3</sup> na ma<sup>3</sup>ym i czêsto poœci<sup>3</sup>. A tego wsparcia nie mo¿na w ¿aden sposób uwa¿aæ za sp<sup>3</sup>atê odsetek od jakiegoœ depozytu, jak on to sobie wyobra¿a<sup>3</sup>. By<sup>3</sup>o to czyste mi<sup>3</sup>osierdzie. Obracanie pieniêdzmi na procent jest przecie¿ ciê¿kim grzechem dla obu stron. Ale żeby okazaæ dobr<sup>1</sup> wolê, obieca<sup>3</sup> mistrz Gerolamo darowaæ koœcio<sup>3</sup>owi srebrny œwiecznik ku pamiêci mego ojca, mimo że jego ksiêgowoœæ wyraŹnie i jasno wykazuje, i¿ ojciec z biegiem lat



tylko coraz bardziej siê u niego zad³u³a³. I w swej dobroci zgodzi³ siê te¿ na to, ¿eby mi wolno by³o wyrównaæ d³ug ksi¹¿kami ojca, których i tak nikt nie umia³ czytaæ. Ale pewnie ciê nudzê.

— Nie, nie nudzisz mnie — odrzek³a. — Opowiadaj, jak uratowa³eœ ¿ycie.

— By³em synem Œlepego Greka, obcym — ci¹gn¹³em. — Dlatego te¿ nikt nie stan¹³ w mojej obronie. Ale biskup dowiedzia³ siê o tych trzech tysi¹cach dukatów i za¿¹da³, ¿eby postawiono mnie przed trybuna³ koœcielny. Formalne oskar¿enie dotyczy³o widzeñ, które mia³em, kiedy mnie ch³ostano, gdy¿ wówczas by³em jakby odurzony bólem i majaczy³em o anio³ach, tak jakbym by³ dzieckiem. W œwieckim procesie szybko pominiêto tê teologiczn¹ stronê sprawy i zapisano tylko w protokole, ¿e jestem umys³owo chory. Œwieccy sêdziowie uwa¿ali, ¿e przykuwaj¹c mnie do œciany w wie¿y i ch³oszcz¹c codziennie, sami doskonale potrafi¹ wypêdziaæ ze mnie kusiciela, zanim mnie strac¹. Ale pieni¹dze powik³a³y sprawê i proces przeciwko mnie o morderstwo ojca przerodzi³ siê wnet w spór miedzy w³adzami koœcielnymi i œwieckimi o prawo do s¹dzenia, to znaczy o to, kto ma prawo wydaæ na mnie wyrok i skonfiskowaæ maj¹tek pozostawiony przez mego ojca.

— Ale jak siê uratowa³eœ? — przynagla³a.

— Nie wiem — wyzna³em zgodnie z prawd¹. — Nie mogê twierdзиа, ¿e to moje anio³y mnie uratowa³y, ale pewnego dnia rozkuto mi kajdany, nie mówi¹c dlaczego, i nazajutrz wczesnym rankiem zauwa¿y³em, ¿e drzwi wie¿y pozosta³y nie zamkniête. Wszed³em stamt¹d na dwór. Po d³u¿szym czasie spêdzonym w ciemnoœci by³em jakby oœlepiony œwiat³em dziennym. Przy zachodniej bramie miasta spotka³em wêdrownego przekupnia, który zapyta³, czy nie chcia³bym mu towarzyszyæ. Wygl¹da³o, jak gdyby czeka³ tam na mnie, gdy¿ wydawa³o siê, ¿e mnie zna, i natychmiast zacz¹³ mi zadawaæ dociekliwe pytania o moje widzenia. Kiedy znaleŹliœmy siê w lesie, odszuka³ francusk¹ ksi¹¿kê ukryt¹ w swoich gratach. By³y to cztery Ewangelie prze³o¿one na francuski. Prosi³ mnie, ¿ebym czyta³ mu je g³oœno. W ten sposób sta³em siê cz³onkiem bractwa wolnego ducha. Mo¿e to w³acenie jego cz³onkowie mnie oswobodzili, gdy¿ nale¿y doñ wielu takich, których siê nawet o to nie pos¹dza.

— Bractwo wolnego ducha? — zdziwi³a siê. — Co to za jedni?

— Nie chcê ciê nudziaæ — rzek³em wymijaj¹co. — Opowiem ci o tym innym razem.

— Sk¹d mo¿esz wiedzieæ, ¿e spotkamy siê jeszcze kiedyœ? — zapyta³a. — Bardzo mi by³o trudno doprowadziaæ do tego spotkania, trudniej, ni¿ mo¿e przypuszczasz, ty, nawyk³y do zachodnich swobodnych obyczajów. Nawet z tureck¹ kobiet¹ ³atwiej umówiaæ siê na schadzki ni¿ z Greczynk¹, s¹dz¹c z opowieœci Turków.

— W ich baœniach chytroœæ kobiety przewy¿sza zawsze rozum dozorczy — odpar³em. —

Powinnacæ czytaæ pilnie bacenie. Mo¿e zdo³asz siê z nich czegoœ nauczycæ.

— Ty — rzek³a. — Ty! Ty jesteœ naturalnie w pe³ni wyuczony!

— Nie musisz byæ zazdrosna — odrzek³em. — W su³tañskim seraju zajmowa³em siê ca³kiem innymi sprawami.

— Ja mia³abym byæ zazdrosna?! Zbyt wiele sobie przypisujesz — syknê³a i poczerwienia³a ze z³oœci. — I sk¹d mogê wiedzieæ, czy nie jesteœ tylko uwodzicielem jak inni Frankowie. Mo¿e chcesz tak jak oni wykorzystacæ znajomoœcæ z ciekaw¹ kobiet¹, by potem che³piæ siê po statkach i szynkach znamienitymi podbojami.

— Aha, wiêc to tak! — powiedzia³em i œcisn¹³em jej przegub.

— To takie znajomoœci mia³acæ wœród Franków. A zatem takiego rodzaju kobiet¹ jesteœ. Ale nie bój siê. Bêdê milczac³. Pomyli³em siê tylko co do ciebie. Dlatego te¿ najlepiej bêdzie, byœmy siê wiêcej nie spotykali. Z pewnoœci¹³ atwo znajdziesz jakiegoœ kapitana czy³ aciñskiego oficera do towarzystwa na moje miejsce.

Wyrwa³a d³oñ, by rozetrzeæ przegub.

— Tak, tak — powiedzia³a. — Doprawdy najlepiej bêdzie, ¿ebyœmy siê wiêcej nie spotkali. — Oddycha³a g³êboko i patrzy³a na mnie pociemnia³ymi oczyma, z odrzucon¹ w ty³ g³ow¹. — Wracaj do portu — rzek³a. — Jest tam pod dostatkiem³ atwo dostêpnych kobiet, które ci odpowiadaj¹. Upijaj siê, urz¹dzaj awantury i bójki, jak to maj¹ w zwyczaju Frankowie. Znajdziesz sobie chyba jak¹œ pocieszycielkê. Bóg z tob¹ zatem.

— I z tob¹ — odpar³em kipi¹c z gniewu.

Zaczê³a gwa³townie iœcæ po g³adkiej jak szk³o marmurowej posadzce. Chód mia³a piêkny. Prze³kn¹wszy œlinê poczu³em smak krwi. Tak mocno zagryz³em wargi, ¿eby nie przywo³ac jej z powrotem. Potem zwolni³a kroku. Ko³o drzwi nie mog³a siê ju¿ powstrzymaæ, ¿eby siê nie obejrzeæ. Gdy zobaczy³a, ¿e stojê nadal na tym samym miejscu, nie robi¹c najmniejszego ruchu, by pospieszyæ za ni¹, wpad³a w taki gniew, ¿e zawróci³a, podbieg³a do mnie i wymierzy³a mi mocny policzek. Og³uszy³ mnie i zapiek³, ale serce moje uradowa³o siê. Gdy¿ uderzy³a mnie nie bez zastanowienia, lecz najpierw rozejrza³a siê ostro¿nie woko³o, czy nikt nas nie obserwuje.

Sta³em spokojnie nic nie mówi¹c. Po krótkiej zw³oce znów odwróci³a siê i posz³a. Sta³em nadal i patrzy³em za ni¹. Poœrodku koœcio³a wola jej zaczê³a siê za³amywaæ, zwolni³a kroku, zatrzyma³a siê i znowu odwróci³a w moj¹ stronê. Teraz ju¿ ucemiecha³a siê. Jej br¹zowe oczy promieniowa³y weso³oœci¹.

— Wybacz mi, drogi panie — powiedzia³a. — Jestem na pewno Ýle wychowana, ale teraz jestem pokorna i poskromiona. Niestety nie mam ¿adnej ksi¹¿ki z tureckimi baceniami. Mo¿e byœ mi

połyczyć<sup>3</sup> tak<sup>1</sup> ksi<sup>1</sup>żkê, żebym mog<sup>3</sup>a nauczyć<sup>æ</sup> siê, jak chydroœæ kobiet tureckich przewyższa m<sup>1</sup>droœæ mêżczyzn. — Ujê<sup>3</sup>a moj<sup>1</sup> d<sup>3</sup>oñ, poca<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>a j<sup>1</sup> i przycisnê<sup>3</sup>a do swego policzka. — Dotknij, jakie mam rozpalone policzki!

— Nie ró**3** tak! — ostrzeg<sup>3</sup>em. — Zreszt<sup>1</sup> jeden z moich policzków jest gorêtszy ni**3** twoje. I chydroœeci nie potrzebujesz studiowaæ. Nie s<sup>1</sup>dzê, by Turcy mogli ciê tu czegoœ nauczyć<sup>æ</sup>.

— Jak mog<sup>3</sup>œe pozwoliæ mi odejœæ nie spieszc za mn<sup>1</sup>? — zapyta<sup>3</sup>a. — Zrani<sup>3</sup>œe mnie g<sup>3</sup>êboko jako kobietê.

— Wszystko jest jeszcze tylko igraszk<sup>1</sup> — rzek<sup>3</sup>em z p<sup>3</sup>on<sup>1</sup>cymi oczyma. — Jeszcze mo**3**esz siê wycofaæ. Nie napastujê ciê. Nie idê za tob<sup>1</sup>. Sama mo**3**esz wybieraæ.

— Nie mam ju**3** przecie**3** żadnego wyboru — broni<sup>3</sup>a siê. — Dokona<sup>3</sup>am wyboru ju**3** wtedy, kiedy napisa<sup>3</sup>am te kilka s<sup>3</sup>ów na skrawku papieru. Dokona<sup>3</sup>am wyboru chyba w chwili, kiedy nie odprawi<sup>3</sup>am ciê z niczym w koœciele M<sup>1</sup>droœeci Bo**3**ej. Dokona<sup>3</sup>am wyboru chyba w chwili, kiedy spojrze<sup>3</sup>œe mi w oczy. Nie mogê ju**3** wycofaæ siê, nawet gdybym chcia<sup>3</sup>a. Ale nie utrudniaj mi wszystkiego.

Trzymaj<sup>1</sup>c siê za rêce wyszlicemy razem z koœcio<sup>3</sup>a. Przerazi<sup>3</sup>a siê zobaczywszy, że zmierzch ju**3** zapada. — Musimy siê rozstaæ — powiedzia<sup>3</sup>a. — Natychmiast!

— Pozwól mi pójœæ z tob<sup>1</sup> kawa<sup>3</sup>ek — prosi<sup>3</sup>em nie mog<sup>1</sup>c siê opanowaæ.

I nie potrafi<sup>3</sup>a mi odmówiaæ, choæ by<sup>3</sup>o to niezwykle nieostro**3**ne. Szlicemy dalej ramiê przy ramieniu, podczas gdy zmierzch spada<sup>3</sup> na zielone kopu**3**y koœcio<sup>3</sup>ów i latarnie zapala<sup>3</sup>y siê przed dostojnymi domami na g<sup>3</sup>ównych ulicach. Za nami pomyka<sup>3</sup> żó<sup>3</sup>ty i chudy pies, który nie wiadomo dlaczego siê do mnie przyczepi<sup>3</sup>, towarzyszy<sup>3</sup> mi od domu do koœcio<sup>3</sup>a Aposto<sup>3</sup>ów i marzn<sup>1</sup>c czeka<sup>3</sup>, a**3** wyjdê.

Nie skrêci<sup>3</sup>a w stronê Blachern, co bra<sup>3</sup>em za rzecz pewn<sup>1</sup>, lecz posz<sup>3</sup>a prosto w przeciwn<sup>1</sup> stronê. Szlicemy obok ruin Hipodromu. Na starym torze wyœcigowym zwykli za dnia æwiczyć<sup>æ</sup> siê m<sup>3</sup>odzi Grecy w strzelaniu z <sup>3</sup>uku albo graæ w pi<sup>3</sup>kê z koni za pomoc<sup>1</sup> kijów. W wieczornym oœwietleniu zrujnowane budynki wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>y na jeszcze wiêksze ni**3** zwykle. Ogromna kopu<sup>3</sup>a koœcio<sup>3</sup>a M<sup>1</sup>droœeci Bo**3**ej wznosi<sup>3</sup>a siê na tle nieba. Olbrzymia kamienna masa dawnego pa<sup>3</sup>acu cesarskiego piêtrzy<sup>3</sup>a siê naprzeciw nas. Nie p<sup>3</sup>onê<sup>3</sup>o tam ani jedno œwiat<sup>3</sup>o. Jego pustych sal u**3**ywano teraz tylko przy rzadkich ceremoniach. Zmierzch pokrywa<sup>3</sup> mi<sup>3</sup>osiernie fakt, że szlicemy przez umieraj<sup>1</sup>ce miasto. Jego marmurowe kolumny po**3**ó<sup>3</sup>k<sup>3</sup>y, jego mury popêka<sup>3</sup>y, jego fontanny nie gra<sup>3</sup>y ju**3**, a poroœeniête mchem baseny w zaniedbanych ogrodach wype<sup>3</sup>nione by<sup>3</sup>y wiêdn<sup>1</sup>cymi liœæmi platanów. Jakby w cichym porozumieniu zwolnilicemy kroku. Gwiazda wieczorna p<sup>3</sup>onê<sup>3</sup>a ju**3** na horyzoncie. Przystanêlicemy w cieniu utr<sup>1</sup>conej kolumny dawnego pa<sup>3</sup>acu.

— Muszê już iœæ — rzek³a. — Dalej nie mo¿esz mi towarzyszyæ.

— Twój futrzany p³aszcz mo¿e skusiæ rabusiów albo ¿ebraków — protestowa³em.

Podnios³a dumnie g³owê.

— W Konstantynopolu nie ma ani rabusiów, ani ¿ebraków — powiedzia³a. — Mo¿e ko³o portu. Albo w Perze. Ale nie w samym mieœcie.

To prawda. W Konstantynopolu nawet ¿ebracy s¹ chudzi i dumni. Jest ich niewielu i siedz¹ tu i tam w pobli¿u koœcio³ów, wpatruj¹c siê przed siebie przyæmionym wzrokiem, jak gdyby patrzyli w tysi¹cletni¹ przesz³oœæ. Kiedy dostan¹ ja³mu¿nê od jakiegoœ³ acinnika, mrucz¹ b³ogos³awieñstwo, ale gdy tylko odwróci siê do nich ty³em, spluwaj¹ na ziemiê i tr¹ monetê o swoje³ achmany, jakby chcieli j¹ oczyœciæ po jego dotkniêciu. Kobiety i mê¿czyŹni zubo¿ali id¹ raczej do klasztoru, ni¿ wybieraj¹ zawód ¿ebraka.

— Muszê iœæ — powtórzy³a, ale nagle objê³a mnie ramionami i przycisnê³a mocno g³owê do mojej piersi, tak ¿e poczu³em w ch³odnym powietrzu zapach hiacyncy od jej skóry.

Nie szuka³em jej policzków ni ust. Nie chcia³em obraziæ jej jakimœ³ tylko cielesnym dotkniêciem.

— Kiedy spotkamy siê znowu? — zapyta³em. Usta mia³em suche i g³os ochryp³y.

Powiedzia³a bezradnie:

— Nie wiem. Doprawdy nie wiem. Nigdy przedtem mi siê to nie zdarzy³o.

— Czy nie mog³abyœ przyjœæ do mnie do domu? — zagadn¹³em. — W tajemnicy, ¿eby nikt ciê nie widzia³. Mam tylko jednego s³ugê, który mnie szpieguje, ale mogê go odprawiaæ. Przywyk³em dawaæ sobie radê bez s³u¿by.

Sta³a w milczeniu tak d³ugo, a¿ ogarn¹³ mnie strach.

— Chyba ciê nie dotkn¹³em? — spyta³em. — Myœlê, ¿e mo¿esz mi zaufaæ. Nie chcê ci zrobiaæ nic z³ego.

Powiedzia³a:

— Nie odprawiaj swego s³ugi. Wzbudzisz tylko podejrzenia. Ka¿dy obcy jest pod nadzorem. Szpiegowano by tylko ciebie w inny i mo¿e niebezpieczniejszy sposób. Nie wiem doprawdy, co mamy zrobiaæ.

— Na Zachodzie — rzek³em z wahaniem — kobieta ma zwykle jak¹œ przyjació³kê i mówi, ¿e chce j¹ odwiedziæ. W razie potrzeby przyjació³ka przysiêga, ¿e tak by³o naprawdê, i sama mo¿e czasem liczyæ na wzajemn¹ przys³ugê. Tak¿e w³ aŹniach i przy³o¿u choroby mê¿czyzna i kobieta mog¹ swobodnie spotykaæ siê i przestawaæ z sob¹.

— Nie mam nikogo, komu mog<sup>3</sup>abym zaufaæ — odpar<sup>3</sup>a.

— A wiêc nie chcesz — stwierdzi<sup>3</sup>em spieszony.

— Od dzieæ za osiem dni przyjdê do ciebie do domu — obieca<sup>3</sup>a unosz<sup>1</sup>c g<sup>3</sup>owê. — Przyjdê w godzinach porannych, jeżeli to mo¿liwe. Zgubiê moj<sup>1</sup> towarzyszkê na targu albo w weneckich kramikach. Odpokutujê za to, wiem dobrze. Ale przyjdê. Przypilnuj swego s<sup>3</sup>ugi tak, jak uznasz za stosowne.

— Ale czy wiesz, gdzie mieszkam? — zapyta<sup>3</sup>em spiesznie. — To tylko zwyk<sup>3</sup>y drewniany domek nad portem za dzielnic<sup>1</sup> weneck<sup>1</sup>. Poznasz go po kamiennym lewku nad drzwiami.

— Tak, tak — odpar<sup>3</sup>a z ucemieszkiem w g<sup>3</sup>osie. — Poznam go po tym ma<sup>3</sup>ym brzydkim kamiennym lwie nad drzwiami. Ju¿ wczoraj, gdy by<sup>3</sup>am na zakupach, kaza<sup>3</sup>am nieœæ siê ko<sup>3</sup>o tego domu, ¿eby zobaczyæ ciê choæ przez okamgnienie. Ale ciê nie widzia<sup>3</sup>am. Niech Bóg b<sup>3</sup>ogos<sup>3</sup>awi twój dom.

Posz<sup>3</sup>a w swoj<sup>1</sup> stronê szybkimi krokami i znik<sup>3</sup>a w ciemnoœci.

*20 grudnia 1452*

By<sup>3</sup>em dzieæ na dole w porcie, kiedy odp<sup>3</sup>yn<sup>13</sup> ostatni okrêt do Wenecji. Cesarz upowa¿ni<sup>3</sup> kapitana, by z<sup>3</sup>o¿y<sup>3</sup> Signorii oœwiadczenie o konfiskacie wielkich galer. Tak¿e do Wêgier wys<sup>3</sup>a<sup>3</sup> cesarz Konstantyn tajnymi drogami proœbê o pomoc. Ale Hunyadi, który jest teraz regentem, pó<sup>3</sup>tora roku temu potwierdzi<sup>3</sup> uca<sup>3</sup>owaniem krzy¿a trzyletni pokój z Mehmedem. Pod Warn<sup>1</sup> w 1444 roku i pod Kosowem przed czterema laty przekona<sup>3</sup> go Murad, ¿e zbyt wiele kosztuje Wêgry prowadzenie wojny z Turkami. Nie ufam w tê pomoc, któr<sup>1</sup> mo¿e nam daæ chrzeœcijañstwo. Mehmed dzia<sup>3</sup>a du¿o szybciej ni¿ chrzeœcijanie.

Ostatniego lata widzia<sup>3</sup>em, jak m<sup>3</sup>ody su<sup>3</sup>tan, obsypany wapiennym py<sup>3</sup>em, utaplanym w glinie rêkami sam pracowa<sup>3</sup> przy budowie fortecy nad Bosforem, ¿eby w<sup>3</sup>asnym przyk<sup>3</sup>adem pobudziaæ swoich ludzi do jeszcze wiêkszych wysi<sup>3</sup>ków. Nawet jego starzy wezyrowie musieli braæ w tym udzia<sup>3</sup> i toczyæ kamienie oraz mieszaæ zaprawê. S<sup>1</sup>dzê, ¿e tak mocnej twierdzy nigdy jeszcze nie zbudowano w tak krótkim czasie. Gdy ucieka<sup>3</sup>em z obozu su<sup>3</sup>tana, brakowa<sup>3</sup>o jeszcze tylko o<sup>3</sup>owianych dachów na wie¿ach.

Tak¿e wielkie br<sup>1</sup>zowe armaty puszkarza Orbana wytrzyma<sup>3</sup>y swe potê¿ne <sup>3</sup>adunki i udowodni<sup>3</sup>y swoj<sup>1</sup> si<sup>3</sup>ê. Odk<sup>1</sup>d jedna kamienna kula zatopi<sup>3</sup>a weneck<sup>1</sup> galerê, ¿aden statek z Morza Czarnego nie zawin<sup>13</sup> do naszego portu. Kapitan galery odmówi<sup>3</sup> spuszczenia ¿agli. Jego trup wisi jeszcze wci<sup>1</sup>¿ na palu ko<sup>3</sup>o twierdzy su<sup>3</sup>tana, a cz<sup>3</sup>onki marynarzy le¿<sup>1</sup> rozrzucone i gnij<sup>1</sup> na ziemi wokó<sup>3</sup> niego. Su<sup>3</sup>tan

u<sup>3</sup>askawi<sup>3</sup> jedynie czterech ludzi i pos<sup>3</sup>a<sup>3</sup> ich do miasta, żeby opowiedzieli o tym, co się sta<sup>3</sup>o. Od tego czasu up<sup>3</sup>yn<sup>13</sup> już miesi<sup>1</sup>c.

Wygl<sup>1</sup>da jednak na to, że cesarz Konstantyn zamierza bronić się poważnie. Wzd<sup>3</sup>uż ca<sup>3</sup>ego muru miejskiego trwaj<sup>1</sup> prace umocnieniowe. Wmurowuje się nawet p<sup>3</sup>yty grobowe z podmiejskich cmentarzy. Co jest rzecz<sup>1</sup> m<sup>1</sup>dr<sup>1</sup>, gdyż inaczej mogliby ich użyc<sup>æ</sup> Turcy, kiedy już zaczn<sup>1</sup> oblężenie. Ale wśród ludzi kr<sup>1</sup>ż<sup>1</sup> s<sup>3</sup>uchy, że budowniczo wie wykonuj<sup>1</sup> roboty niedbale i sprzeniewierzaj<sup>1</sup> ogromne sumy. I nikt tego nie potępia. Przeciwnie. Panuje z<sup>3</sup>oeliwe zadowolenie. Cesarz jest przecie ż apostat<sup>1</sup> i zosta<sup>3</sup> <sup>3</sup>acinnikiem. Dlatego mo żna go oszukiwa<sup>æ</sup> jak wszystkich <sup>3</sup>acinników. Zaiste, miasto to kocha bardziej Turków ni ż <sup>3</sup>acinników!

No i maj<sup>1</sup> przecie ż Panaghi<sup>ê</sup> w Blachernach, cudown<sup>1</sup> Najc<sup>o</sup>wi<sup>ê</sup>tsz<sup>1</sup> Dziewic<sup>ê</sup>, by oddawa<sup>æ</sup> się pod Jej opiek<sup>ê</sup>. Z ca<sup>31</sup> powag<sup>1</sup> opowiada<sup>3</sup>a mi dzie<sup>o</sup> powica piekarza, że gdy Murad przed trzydziestu laty oblega<sup>3</sup> miasto, Najc<sup>o</sup>wi<sup>ê</sup>tsza Dziewica objawi<sup>3</sup>a się w niebieskim p<sup>3</sup>aszczu na murach miasta i wyp<sup>3</sup>oszy<sup>3</sup>a Turków, tak że podpalili maszyny oblężnicze i ca<sup>3</sup>y swój obóz i wycofali się spod miasta w ci<sup>1</sup>gu jednej nocy. Tak jakby Murad nie mia<sup>3</sup> wa żniejszych od tego powodów.

Jak d<sup>3</sup>ugi mo że by<sup>æ</sup> tydzień! Jak dziwnie jest czeka<sup>æ</sup>, gdy już s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>em, że nie mam żadnych nadziei. Samo oczekiwanie jest rozkosz<sup>1</sup>, gdy dra żni<sup>1</sup>ca gor<sup>1</sup>czka i niecierpliwosc<sup>æ</sup> m<sup>3</sup>odoeci dawno znik<sup>3</sup>y. Ale nie mog<sup>ê</sup> d<sup>3</sup>użej wierzy<sup>æ</sup>. Mo że ona nie jest wcale taka, jak to sobie wyobrazi<sup>3</sup>em. Mo że oszukuj<sup>ê</sup> tylko siebie samego. Mimo to nie czuj<sup>ê</sup> braku ciep<sup>3</sup>a dzi<sup>ê</sup>ki kocio<sup>3</sup>kowi z żarem, cho<sup>æ</sup> dmie dzie<sup>o</sup> lodowaty wiatr od morza Marmara i w powietrzu bujaj<sup>1</sup> p<sup>3</sup>atki <sup>o</sup>niegu. Cia<sup>3</sup>o moje jest rozpalone jak rozgrzany piec, który promieniuje ciep<sup>3</sup>em.

*22 grudnia 1452*

Przed nami uroczystosci<sup>o</sup> narodzenia naszego Zbawiciela. Weneccjanie i Genu<sup>o</sup>nczycy w Perze przygotowuj<sup>1</sup> się do obchodów. Ale Grecy nie przywi<sup>1</sup>zuj<sup>1</sup> wi<sup>ê</sup>kszej wagi do Bo żego Narodzenia. Ich najwa żniejszym <sup>o</sup>wi<sup>ê</sup>tem jest Wielkanoc. Nie dla pami<sup>ê</sup>ci cierpienia Chrystusa, lecz jako <sup>o</sup>wi<sup>ê</sup>to zmartwychwstania. Ich wiara jest nabo żna, ekstatyczna, mistyczna i pojednawcza. Nawet kacerzy nie pal<sup>1</sup> na stosach, lecz pozwalaj<sup>1</sup> im wst<sup>ê</sup>powa<sup>æ</sup> do klasztoru, żeby odpokutowali grzech. Nie rzucali nawet kamieniami za kardyna<sup>3</sup>em Izydorem.

Wo<sup>3</sup>ali tylko: "Zabieraj swój nie kwaszony chleb z powrotem do Rzymu!"

Takiej żarliwej wiary i nabo żnoeci, jak<sup>1</sup> widuje się tutaj na twarzach ludzi ucz<sup>ê</sup>szczaj<sup>1</sup>cych do koeci<sup>3</sup>ów, nie mo żna już zobaczy<sup>æ</sup> na Zachodzie. Tam kupuje się odpuszczenie grzechów za pieni<sup>1</sup>dze.

Lecz miasto coraz bardziej pustoszeje. Ogromny mur miejski obejmowa<sup>3</sup> "niegdyc<sup>æ</sup> milion ludzi.

Teraz miasto skurczy<sup>3</sup>o siê. Tylko na wzgórzach ko<sup>3</sup>o centralnego targowiska i na spadzistoœciach ko<sup>3</sup>o portu. Zwalone domy, ruiny i puste parcele rozpoœcieraj<sup>1</sup> siê miêdzy dzielnicami zamieszkanymi i murem i stanowi<sup>1</sup> nêdzne pastwiska dla kóz, os<sup>3</sup>ów i koni. Szorstka, ostra trawa, kolczaste krzaki, opuszczone domy z zapadniêtymi dachami. I wiatr od morza Marmara.

Dwa okrêty wojenne przys<sup>3</sup>a<sup>3</sup>a Wenecja. Piêædziesiêciu najemników papieŹ Miko<sup>3</sup>aj z Rzymu z kardyna<sup>3</sup>em Izydorem. Ca<sup>3</sup>a reszta to przymusowo zarekwirowane statki i proœb<sup>1</sup>, i gro<sup>3</sup>by<sup>1</sup> zwerbowani <sup>3</sup>acinnicy. Czy<sup>1</sup>bym zapomnia<sup>3</sup> o piêciu cesarskich okrêtach wojennych bizantyjskiego modelu? Chlupocz<sup>1</sup> w porcie wod<sup>1</sup> przeciekaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> przez dna, Źagle maj<sup>1</sup> pozrywane i cuchn<sup>1</sup> zgnilizn<sup>1</sup> z daleka. Paszcze strzelnic na stewach s<sup>1</sup> zielone i pokryte œniedzi<sup>1</sup>. Dzieœ jednak moŹna by<sup>3</sup>o widzieæ na nich ludzi. Widocznie megaduks Notaras zamierza mimo wszystko na nowo doprowadziæ je do porz<sup>1</sup>dku, choæ cesarz nie ma na to œrodków. Okrêty wojenne to droga rzecz.

Z wysp na morzu greckim przys<sup>3</sup>o kilka statków z <sup>3</sup>adunkiem zboŹa, oliwy i wina. Chodz<sup>1</sup> pog<sup>3</sup>oski, Źe Turcy spustoszyli Moreê. Stamt<sup>1</sup>d zatem nie moŹna oczekiwaæ Źadnej pomocy, jeœli Konstantyn w ogóle moŹe polegaæ na swoim bracie. W kaŹdym razie Demetrios naleŹa<sup>3</sup> do przeciwników unii juŹ we Florencji. Kiedy cesarz Johannes zmar<sup>3</sup>, by<sup>3</sup>o tylko zas<sup>3</sup>ug<sup>1</sup> ich matki, Źe nie wybuch<sup>3</sup>a bratobójcza wojna.

Nie znam Greków. Nie mogê dotrzeæ do ich serca. Zawsze pozostan<sup>1</sup> dla mnie obcy. Nawet ich rachuba czasu jest inna niŹ moja. Ten rok jest dla nich szeœæ tysiêcy dziewiêæset szeœædziesi<sup>1</sup>tym od stworzenia œwiata. Dla Turków znowu jest to rok osiemset piêædziesi<sup>1</sup>ty szósty po ucieczce Proroka. Jaki zwariowany œwiat! A moŹe jestem tylko nazbyt <sup>3</sup>aciñski w moim sercu?

Z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup>em nawet wizytê w genueñskiej Perze po drugiej stronie zatoki. Nikt nie stawia<sup>3</sup> mi Źadnych pytañ. Nieustannie p<sup>3</sup>ywaj<sup>1</sup> tam i z powrotem wype<sup>3</sup>nione po brzegi <sup>3</sup>odzie. Handel Genueñczyków idzie dobrze. Gdybym chcia<sup>3</sup>, szybko wzbogaci<sup>3</sup>bym siê na handlu broni<sup>1</sup>. MoŹe Grecy przyjmowaliby mnie lepiej, gdybym im oferowa<sup>3</sup> przestarza<sup>31</sup> broñ za zbójeckie ceny. MoŹe wówczas ufaliby mi i uwaŹaliby mnie za uczciwego cz<sup>3</sup>owieka.

W kaŹdej winiarni w Perze moŹna sprzedaæ i wymieniaæ informacje. Genueñczycy nie s<sup>1</sup> przecieŹ w stanie wojny z su<sup>3</sup>tanem. TakŹe i to jest szaleñstwem. Przez Perê su<sup>3</sup>tan Mehmed dowiaduje siê o wszystkim, co siê dzieje w Konstantynopolu. Podobnie jak my dowiadujemy siê, jak przygotowania wojenne su<sup>3</sup>tana postêpuj<sup>1</sup> z dnia na dzieñ.

Nie przys<sup>3</sup>a wiêc dzisiaj. Przypuszczalnie chcia<sup>3</sup>a tylko zyskaæ na czasie, Źeby pozbyæ siê mnie w stosowny sposób i zatrzeæ za sob<sup>1</sup> œlady. Nie znam przecieŹ nawet jej imienia.

I jest Greczynk<sup>1</sup>, tak jak ja sam jestem Grekiem z racji krwi mego ojca. Os<sup>3</sup>abionej, chytrej, zdradliwej, okrutnej krwi Bizancjum. Jeœli jest tak, Źe kobieta, chrzeœcijanka czy Turczynka, jest najchytrzejsz<sup>1</sup> z wszystkich istot, to czy<sup>1</sup> Greczynka nie mia<sup>3</sup>aby byæ najchytrzejsz<sup>1</sup> z kobiet? Ma przecieŹ dwa tysi<sup>1</sup>ce lat doœwiadczenia.



Z o<sup>3</sup>owiu jest moje serce, z o<sup>3</sup>owiu jest krew moich ł<sup>3</sup>y<sup>3</sup>ach. Nienawidzê tego umieraj<sup>1</sup>cego miasta, które wpatruje siê œlepo w swoj<sup>1</sup> przesz<sup>3</sup>oœæ i nie chce uwierzyæ, łe zag<sup>3</sup>ada zbliŹa siê do jego wrót.

Dlatego nienawidzê, łe kocham.

*26 grudnia 1452*

Mój s<sup>3</sup>uga zaskoczy<sup>3</sup> mnie dzie rano przychodz<sup>1</sup>c do mnie z ostrzeŹeniem:

— Panie, nie powinienesœ odwiedzaæ Pery zbyt czêsto.

Po raz pierwszy przypatrzy<sup>3</sup>em mu siê dok<sup>3</sup>adnie. Dotychczas by<sup>3</sup> dla mnie tylko z<sup>3</sup>em koniecznym, które odziedziczy<sup>3</sup>em wraz z domem, gdy go wynaj<sup>13</sup>em. Dogl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> mojej odzieŹy i kupowa<sup>3</sup> mi poŹywienie, pilnowa<sup>3</sup> domu dla gospodarza, zamiata<sup>3</sup> podwórze i zaopatrywa<sup>3</sup> bez w<sup>1</sup>tpienia Ciemny Pokój w Blachernach w informacje, co robiê i z kim siê spotykam.

Nie mia<sup>3</sup>em nic przeciwko niemu. Jest starym cz<sup>3</sup>owiekiem, którego by<sup>3</sup>o mi łal. Nie mia<sup>3</sup>em tylko nigdy ochoty na niego spojrzeæ. Teraz to uczyni<sup>3</sup>em. Jest ma<sup>3</sup>ym staruszkiem z rzadk<sup>1</sup> bródk<sup>1</sup>. Ma bóle w kolanach i bezdennie smutne greckie oczy. Jego odzieŹ jest zniszczona i pe<sup>3</sup>no na niej t<sup>3</sup>ustych plam.

Zapyta<sup>3</sup>em:

— Kto ciê prosi<sup>3</sup>, łebyœ mi to powiedzia<sup>3</sup>?

Odpar<sup>3</sup> dotkniêty:

— Myœlê tylko o twoim dobru. Jesteœ przecieŹ moim panem, dopóki mieszkasz tu, w tym domu.

Odrzek<sup>3</sup>em:

— Jestem <sup>3</sup>acinnikiem.

Zaprzeczy<sup>3</sup> gwa<sup>3</sup>townie:

— Nie, nie, nie jesteœ nim. Poznajê twój<sup>1</sup> twarz.

Ku memu bezgranicznemu zdziwieniu rzuci<sup>3</sup> siê przede mn<sup>1</sup> na kolana, szukaj<sup>1</sup>c mojej d<sup>3</sup>oni, by j<sup>1</sup> uca<sup>3</sup>owaæ, i prosi<sup>3</sup>:

— Nie gardŸ mn<sup>1</sup>, panie! To prawda, łe wypijam wino, które zostaje na dnie dzbana, i zwyk<sup>3</sup>em

także zbieraæ drobne monety, które siejesz wokół siebie, a czêœæ oliwy da³em mojej chorej ciotce, gdy¿ wszyscy jesteœmy bardzo ubodzy w naszej rodzinie. Ale jeżeli nie chcesz, nie bêdê tego wiêcej robi³, gdy¿ teraz pozna³em ciebie.

— Nie sk¹pi³em pieniêdzy na gospodarstwo — powiedzia³em zdumiony. — To prawo biedaka ¼yæ z okruchów, które spadaj¹ ze sto³u bogacza. Jeżeli chodzi o mnie, utrzymuj nawet ca³¹ swoj¹ rodzinê, dopóki jestem twoim panem. Nie przywi¹zujê zbyt wielkiej wagi do pieniêdzy. Rych³a jest chwila, gdy i pieni¹dze, i dobra utrac¹ znaczenie. Wobec œmierci jesteœmy wszyscy równi, a na wagach Boga cnota mrówki wa¿y tyle¿ co cnota s³onia.

Mówi³em do niego tak d³ugo, ¿eby przez ten czas móc obserwowaæ jego oblicze. Wydawa³o mi siê, ¿e wygl¹da ucziwie, ale twarz cz³owieka k³amie i czy¿ mo¿e jeden Grek ufaæ drugiemu?

Odpar³:

— Kiedy indziej nie musisz mnie zamykaæ w piwnicy, gdybyœ chcia³, ¿ebym nie wiedzia³, co robisz lub dok¹d siê udajesz. W tej piwnicy by³o tak zimno, ¿e koœci mi zdrêtwia³y na lód. Od tego czasu cierpiê na katar i bóle w uszach, a stan moich kolan jest gorszy ni¿ poprzednio.

— Wstañ, g³uptasie, i ulecz swoje dolegliwoœci winem — powiedzia³em, wyjmuj¹c z sakiewki z³otego bezanta. By³a to dla niego fortuna, gdy¿ w Konstantynopolu ubodzy s¹ bardzo biedni, a nieliczni bogacze bardzo bogaci.

Spojrza³ na monetê w mojej d³oni i twarz jego rozjaœni³a siê, ale potrzeb¹ sn¹³ g³ow¹ i rzek³:

— Panie, nie skar¿y³em siê, aby ¿ebraæ. Nie musisz mnie przekupywaæ. Kiedy tylko zechcesz, nie bêdê nic widzia³ ani s³ysza³, czego nie bêdziesz chcia³, bym widzia³ lub s³ysza³. Rozkazuj mi.

— Nie rozumiem ciebie — odpar³em.

Wskaza³ na ¿ó³tego psa, który ju¿ zacz¹³ t³uœcieæ i le¿a³ na swoim miejscu na szmaciaku pod drzwiami z nosem przy ziemi i œledzi³ mnie wzrokiem.

— Czy¿ i ten pies nie s³ucha ciebie i nie idzie za tob¹? — rzek³.

— Nie rozumiem twojej mowy — powtórzy³em rzucaj¹c z³ot¹ monetê na dywan.

Schyli³ siê i podniós³ j¹, a potem popatrzy³ mi w oczy.

— Nie musisz ods³aniaæ siê przede mn¹, panie — powiedzia³. — Jak¿e¿ móg³bym nawet dopuœciaæ tak¹ myœl. Twoja tajemnica jest dla mnie œwiêta. Biorê tê monetê, bo tak nakaza³eœ. Sprawia ona mnie i mojej rodzinie wielk¹ radoœæ. Ale jeszcze wiêsz¹ radoœci¹ dla mnie jest móc ci s³u¿yæ.

Jego dziwne aluzje uk³u³y mnie. Naturalnie podejrzewa³, podobnie jak inni Grecy, ¿e wci¹¿

jeszcze potajemnie s<sup>3</sup>u<sup>3</sup>ê su<sup>3</sup>tanowi i tylko udajê, i<sup>3</sup> uciek<sup>3</sup>em od niego. Mo<sup>3</sup>je spodziewa<sup>3</sup> siê wyci<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>æ ze mnie jakieœ korzyœci i unikn<sup>1</sup>æ niewoli po zajêciu miasta przez su<sup>3</sup>tana. Taka wiara u niego by<sup>3</sup>aby dla mnie po<sup>3</sup>u<sup>3</sup>teczna, gdybym chcia<sup>3</sup> coœ ukryæ. Ale jak<sup>3</sup>e móg<sup>3</sup>bym ufaæ cz<sup>3</sup>owiekowi tak niskiego rodu!

— Mylisz siê, jeżeli wierzysz, <sup>3</sup>e bêdziesz mia<sup>3</sup> ze mnie jak<sup>1</sup>œ korzyœæ — odpar<sup>3</sup>em szorstko.  
— Nie jestem ju<sup>3</sup> na s<sup>3</sup>u<sup>3</sup>bie u su<sup>3</sup>tana. Dziesiêciokrotnie i do granic mojej cierpliwoœci powtarza<sup>3</sup>em to tym, którzy ciê wynajêli, <sup>3</sup>ebyœ mnie nadzorowa<sup>3</sup>. Nie s<sup>3</sup>u<sup>3</sup>ê ju<sup>3</sup> wiêcej su<sup>3</sup>tanowi.

Powiedzia<sup>3</sup>:

— Nie, nie, wiem dobrze o tym. Jak<sup>3</sup>e<sup>3</sup> ty móg<sup>3</sup>byœ byæ na s<sup>3</sup>u<sup>3</sup>bie u su<sup>3</sup>tana! Pozna<sup>3</sup>em ciê i jakby piorun uderzy<sup>3</sup> w ziemiê przede mn<sup>1</sup>.

— Czyœ pijany? — zapyta<sup>3</sup>em. — Bredzisz. Czy gor<sup>1</sup>czka posz<sup>3</sup>a ci do g<sup>3</sup>owy? Nie rozumiem, o czym mówisz. — Ale w duchu poruszy<sup>3</sup>o mnie to w dziwny sposôb.

Sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> siê przede mn<sup>1</sup> i rzek<sup>3</sup>:

— Panie, pi<sup>3</sup>em wino. Wybacz. To siê wiêcej nie powtórzy.

Lecz jego szalone s<sup>3</sup>owa sprawi<sup>3</sup>y, <sup>3</sup>e poszed<sup>3</sup>em przypatrzeæ siê sobie w lustrze. Z jakiegoœ powodu nie chcia<sup>3</sup>em ju<sup>3</sup> wiêcej chodziæ do balwiera, lecz postanowi<sup>3</sup>em goliæ siê sam, staranniej ni<sup>3</sup> przedtem. Z lenistwa i niedbalstwa pozwoli<sup>3</sup>em brodzie rosn<sup>1</sup>æ przez wiele dni. Zmieni<sup>3</sup>em teraz tak<sup>3</sup>e odzie<sup>3</sup>, <sup>3</sup>eby jeszcze wyraŹniej ni<sup>3</sup> przedtem pokazaæ, <sup>3</sup>e jestem <sup>3</sup>acinnikiem.

*2 stycznia 1453*

Przysz<sup>3</sup>a. Przysz<sup>3</sup>a do mnie mimo wszystko.

Odziana by<sup>3</sup>a w jasnobr<sup>1</sup>zowy p<sup>3</sup>aszcz i miêkkie br<sup>1</sup>zowe buciki. Mo<sup>3</sup>je uwa<sup>3</sup>a<sup>3</sup>a, <sup>3</sup>e jest dobrze przebrana, ale nawet najbardziej naiwny g<sup>3</sup>upiec nie móg<sup>3</sup> by<sup>3</sup> wzi<sup>1</sup>æ jej za kobietê niskiego rodu. Krój p<sup>3</sup>aszcz, nakrycie g<sup>3</sup>owy, ju<sup>3</sup> sam sposôb, w jaki owija<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>owê cienkim jak mgie<sup>3</sup>ka welonem, <sup>3</sup>eby ukryæ twarz, zdradza<sup>3</sup>y jej pochodzenie i wychowanie.

— B<sup>1</sup>dŸ pozdrowiona w imiê Boga — rzek<sup>3</sup>em nie mog<sup>1</sup>c powstrzymaæ <sup>3</sup>ez, które cisnê<sup>3</sup>y mi siê do oczu. <sup>3</sup>ó<sup>3</sup>ty pies macha<sup>3</sup> do niej radoœnie ogonem.

— To szaleñstwo — powiedzia<sup>3</sup>a — szaleñstwo i czary. Odkryj<sup>1</sup> mnie, ale nie mog<sup>3</sup>am siê oprzeæ, <sup>3</sup>eby nie przyjœæ. Musia<sup>3</sup>am przyjœæ, mimo <sup>3</sup>e nie chcia<sup>3</sup>am.

— Jak wesz³acœ do œerodka? — zapyta³em spiesznie.

Wci¹¿ jeszcze zas³ania³a welonem usta.

— Ma³y kaszl¹cy cz³owieczek otworzy³ mi, kiedy zapuka³am — rzek³a. — Powinienieœ daæ swemu s³udze lepsze szaty i kazaæ mu uczesaæ w³osy i brodê. Tak wstydzi³ siê swego wygl¹du, ¿e odwróci³ siê ty³em nie patrz¹c na mnie. — Rozejrza³a siê doko³a. — Twojej izbie te¿ przyda³oby siê sprz¹tanie. — Odwróci³a szybko swoje br¹zowe oczy od jednego z k¹tów. Narzuci³em kobierzec na moje pos³anie i spiesznie wyszed³em z komnaty. Mój s³uga sta³ na dziedziñcu i wpatrywa³ siê w chmury.

— Piêkny dzieñ — odezwa³ siê i ucemiechn¹³ siê chytrze.

— Cudowny dzieñ — przyzna³em robi¹c znak krzy¿a na sposób grecki. — Najlepszy dzieñ w moim ¿yciu. Biegnij i przynieœ wina, pieczywa, s³odyczy, sma¿onego miêsa, konfitur. Przynieœ du¿o. Kup to, co najlepsze. Kup pe³ny kosz, tak ¿eby starczy³o dla ciebie, a tak¿e dla twoich kuzynów i ciotek, dla ca³ej twojej rodziny. A jeœli zobaczysz na drodze ¿ebraków, daj im ja³mu¿nê i b³ogos³awieñstwo.

— Czy to dzieñ twoich urodzin, panie? — zapyta³ udaj¹c, ¿e nic nie wie.

— Mam tylko goœcia — odpar³em. — Prosta kobieta niskiego rodu przysz³a, ¿eby uprzyjemniaæ mi moj¹ samotnoœæ.

— Goœcia? — zapyta³ z udanym zdziwieniem. — Nie widzia³em ¿adnego goœcia. To prawda, ¿e wiatr zatrza³s³ drzwiami, tak jakby ktoœ w nie³ omota³, ale gdy poszed³em je otworzyæ, nie by³o tam nikogo. Chyba ¿artujesz.

— Rób, jak ci powiedzia³em — ponagli³em go. — Gdybyœ jednak pisn¹³ komuœ choæby s³ówko o moim goœciu, wezmê ciê za brodê i poder¿nê ci gard³o w³asnorêcznie. — Kiedy ju¿ mia³ odejœæ po kosz, z³apa³em go za ramiê i rzek³em: — Nigdy nie zapyta³em, jak siê nazywasz. Powiedz mi swoje imiê.

— To wielki zaszczyt dla mnie — powiedzia³. — Nazywam siê Manuel po starym cesarzu Manuelu. Mój ojciec s³u¿y³ mu jako nosiciel drzewa w Blachernach.

— Manuel! — wykrzykn¹³em. — Jakie³adne imiê. Manuelu, to jest najpiêkniejszy dzieñ w moim ¿yciu. Na imiê Chrystusa! — Z³apa³em go za uszy i poca³owa³em w oba brodate policzki wypychaj¹c go jednoczeœnie na drogê.

Gdy wróci³em do izby, goœæ mój zrzuci³ ju¿ br¹zowy p³aszcz i ods³oni³ twarz. Nie mog³em napatrzyæ siê na ni¹ do syta. S³owa wiêz³y mi w gardle, a kolana ugina³y siê pode mn¹, tak ¿e osun¹³em siê na pod³ogê przed ni¹ i przycisn¹³em policzek do jej kolan. P³aka³em z radoœci i ekstazy. Dotknê³a niecemia³o d³oni¹ mojej g³owy i pog³adzi³a mnie po w³osach.

Gdy wreszcie podnios³em oczy, ucemiechnê³a siê. Jej ucemiech by³ jak s³oñce. Jej oczy jak z³otobr¹zowe kwiaty. Jej niebieskie brwi zaokr¹gla³y siê wysoko i równo niczym cudowne³uki. Jej

policzki by<sup>3</sup>y jak tulipany. Jej mi<sup>3</sup>kkie wargi jak p<sup>3</sup>atki ró<sup>3</sup>. Z<sup>3</sup>by mia<sup>3</sup>a jak per<sup>3</sup>y. By<sup>3</sup>em o<sup>3</sup>celepiony od patrzenia na ni<sup>1</sup>. Powiedzia<sup>3</sup>em jej to wszystko.

— Serce moje ma siedemna<sup>3</sup>ecie lat — rzek<sup>3</sup>em. — Musz<sup>3</sup>e po<sup>3</sup>ycza<sup>3</sup>e s<sup>3</sup>ów od poetów, gdy<sup>3</sup> w<sup>3</sup>asne mi nie wystarczaj<sup>1</sup>. Jestem tob<sup>1</sup> pijany. To tak, jakbym nigdy jeszcze nic nie prze<sup>3</sup>ywa<sup>3</sup>. To tak, jakbym nigdy jeszcze nie dotkn<sup>13</sup> <sup>3</sup>adnej kobiety. A mimo to znam ciebie tak, jak gdybym zna<sup>3</sup> ciebie ca<sup>3</sup>e <sup>3</sup>ycie.

Ty jeste<sup>3</sup>e dla mnie ca<sup>3</sup>ym Bizancjum — mówi<sup>3</sup>em. — Ty jeste<sup>3</sup>e miastem cesarzy, Konstantynopolem. To z twego powodu t<sup>3</sup>skni<sup>3</sup>em tu przez ca<sup>3</sup>e moje <sup>3</sup>ycie. To o tobie marz<sup>3</sup>e, gdy <sup>3</sup>eni<sup>3</sup>e o moim mie<sup>3</sup>ecie. Tak samo jak twoje miasto jest tysi<sup>1</sup>ckro<sup>3</sup>e cudowniejsze, ni<sup>3</sup> mog<sup>3</sup>em przypu<sup>3</sup>ecia<sup>3</sup>e, tak samo ty jeste<sup>3</sup>e tysi<sup>1</sup>ckro<sup>3</sup>e pi<sup>3</sup>ekniejsza, ni<sup>3</sup> mog<sup>3</sup>em zapami<sup>3</sup>eta<sup>3</sup>e.

Jeste<sup>3</sup>e pi<sup>3</sup>ekniejsza, cudowniejsza, ni<sup>3</sup> mog<sup>3</sup>em zapami<sup>3</sup>eta<sup>3</sup>e — mówi<sup>3</sup>em. — Dwa tygodnie to okropny szmat czasu. Dwa tygodnie to czas <sup>3</sup>emierci. Dlaczego nie przysz<sup>3</sup>ac<sup>3</sup>e, tak jak obieca<sup>3</sup>ac<sup>3</sup>e? Dlaczego opu<sup>3</sup>eci<sup>3</sup>ac<sup>3</sup>e mnie? S<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>em ju<sup>3</sup>, <sup>3</sup>e moja <sup>3</sup>emier<sup>3</sup>e jest bliska.

Przyjrza<sup>3</sup>a mi si<sup>3</sup>e, lekko zmru<sup>3</sup>y<sup>3</sup>a powieki i dotkn<sup>3</sup>e<sup>3</sup>a koniuszkami palców k<sup>1</sup>cików moich oczu, moich policzków i warg. Potem znowu otwar<sup>3</sup>a promienne, br<sup>1</sup>zowe <sup>3</sup>emiej<sup>1</sup>ce si<sup>3</sup>e oczy i rzek<sup>3</sup>a:

— Mów dalej. Mówisz pi<sup>3</sup>eknie. Tak dobrze jest s<sup>3</sup>ucha<sup>3</sup>e, cho<sup>3</sup>e z pewno<sup>3</sup>eci<sup>1</sup> zmy<sup>3</sup>elasz to wszystko. Ju<sup>3</sup> pewnie mnie zapomnia<sup>3</sup>ec<sup>3</sup>e. By<sup>3</sup>ec<sup>3</sup>e bardzo zdziwiony, kiedy przysz<sup>3</sup>am. Ale jednak pozna<sup>3</sup>ec<sup>3</sup>e mnie.

Nie, nie — broni<sup>3</sup>a si<sup>3</sup>e, opieraj<sup>1</sup>c obie d<sup>3</sup>onie o moj<sup>1</sup> pier<sup>3</sup>e. Ale ten opór by<sup>3</sup> jakby zaproszeniem. Poca<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>em j<sup>1</sup>. Cia<sup>3</sup>o jej stopi<sup>3</sup>o si<sup>3</sup>e i zmi<sup>3</sup>ek<sup>3</sup>o w moim u<sup>3</sup>ecisku. A<sup>3</sup> odepchn<sup>3</sup>e<sup>3</sup>a mnie od siebie, odwróci<sup>3</sup>a si<sup>3</sup>e do mnie ty<sup>3</sup>em i wzi<sup>3</sup>e<sup>3</sup>a za g<sup>3</sup>ow<sup>3</sup>e obiema r<sup>3</sup>ekami. — Co ty robisz ze mn<sup>1</sup>?! — rzuci<sup>3</sup>a ze skarg<sup>1</sup> i wybuchn<sup>3</sup>e<sup>3</sup>a p<sup>3</sup>aczem. — Nie po to tu przysz<sup>3</sup>am. G<sup>3</sup>owa mnie boli.

Nie omyli<sup>3</sup>em si<sup>3</sup>e. By<sup>3</sup>a niedo<sup>3</sup>ewiadczona i nie tkni<sup>3</sup>e<sup>3</sup>a. Powiedzia<sup>3</sup>y mi to jej usta. Powiedzia<sup>3</sup>o to mojemu cia<sup>3</sup>u jej cia<sup>3</sup>o. Dumna, by<sup>3</sup>e mo<sup>3</sup>e, nami<sup>3</sup>etna, zapalczywa, kapry<sup>3</sup>ena, zazdro<sup>3</sup>enie strze<sup>3</sup>ona, ale grzechu nie próbowa<sup>3</sup>a. Mo<sup>3</sup>e w my<sup>3</sup>elach, ale nie cia<sup>3</sup>em.

Z twarzy jej wyczyta<sup>3</sup>em, <sup>3</sup>e rzeczywi<sup>3</sup>ecie boli j<sup>1</sup> g<sup>3</sup>owa. Uj<sup>13</sup>em t<sup>3</sup>e pi<sup>3</sup>ekn<sup>1</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>3</sup>e w obie d<sup>3</sup>onie i zacz<sup>13</sup>em g<sup>3</sup>adzia<sup>3</sup>e jej czo<sup>3</sup>o.

— Wybacz — powiedzia<sup>3</sup>a szlochaj<sup>1</sup>c z bólu. — Jestem mo<sup>3</sup>e zbyt wra<sup>3</sup>liwa. Mam takie uczucie, jak gdyby kto<sup>3</sup>e k<sup>3</sup>u<sup>3</sup> mnie roz<sup>3</sup>arزونymi szpilkami. Mo<sup>3</sup>e przel<sup>3</sup>ek<sup>3</sup>am si<sup>3</sup>e, kiedy obj<sup>13</sup>ec<sup>3</sup>e mnie tak nagle.

Si<sup>3</sup>a przechodzi<sup>3</sup>a ze mnie w ni<sup>1</sup>. Si<sup>3</sup>a z moich d<sup>3</sup>oni. Po krótkiej chwili westchn<sup>3</sup>e<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>ęboko, cz<sup>3</sup>onki jej odpr<sup>3</sup>e<sup>3</sup>y<sup>3</sup>a si<sup>3</sup>e i otwar<sup>3</sup>a oczy.

— Twoje d<sup>3</sup>onie s<sup>1</sup> <sup>3</sup>agodne — rzek<sup>3</sup>a, przekr<sup>3</sup>eci<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>ow<sup>3</sup>e i poca<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>a mnie w d<sup>3</sup>oń. — To d<sup>3</sup>onie cudownego uzdrowiciela.

Spojrza<sup>3</sup>em na swoje rêce.

— Cudownego uzdrowiciela. Raczej niszczyciela życia — rzek<sup>3</sup>em szorstko.—Ale wierz, nie chcê ci zrobia<sup>æ</sup> nic z<sup>3</sup>ego. I przed chwil<sup>1</sup> tak<sup>3</sup>e nie chcia<sup>3</sup>em. Powinnac<sup>e</sup> to by<sup>3</sup>a wyczu<sup>æ</sup>.

Popatrzy<sup>3</sup>a na mnie. Jej spojrzenie by<sup>3</sup>o znów otwarte i dobrze znane. Mog<sup>3</sup>em w nim uton<sup>1</sup>æ, tak <sup>3</sup>e wszystko doko<sup>3</sup>a mnie pociemnia<sup>3</sup>o i sta<sup>3</sup>o siê nierzeczywiste.

— Chyba siê myli<sup>3</sup>am — powiedzia<sup>3</sup>a. — Mo<sup>3</sup>e sama chcia<sup>3</sup>am czego<sup>e</sup> z<sup>3</sup>ego, ale nie w g<sup>3</sup>êbi duszy. Teraz jednak czujê siê znowu dobrze. U ciebie jest mi dobrze. Gdzie indziej nie. Mój w<sup>3</sup>asny dom sta<sup>3</sup> siê dla mnie obcy i nudny. Ca<sup>3</sup>y czas twoja si<sup>3</sup>a ci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a mnie do ciebie. Przez mury, przez ociany, przez ca<sup>3</sup>e miasto. Czy<sup>e</sup> ty mnie zaczarowa<sup>3</sup>?

— Mi<sup>3</sup>ocac<sup>e</sup> jest zaczarowaniem — odpar<sup>3</sup>em. — Mi<sup>3</sup>ocac<sup>e</sup> to najstraszliwsze czary. To ty mnie oczarowa<sup>3</sup>ac<sup>e</sup>, kiedy spojrza<sup>3</sup>ac<sup>e</sup> mi w oczy w ko<sup>e</sup>ciele M<sup>1</sup>dro<sup>e</sup>eci Bo<sup>3</sup>ej.

— To szaleństwo — powiedzia<sup>3</sup>a <sup>3</sup>a<sup>3</sup>ocenie. — Ojciec nigdy nie zgodzi<sup>3</sup>by siê, <sup>3</sup>eby wyda<sup>æ</sup> mnie za <sup>3</sup>acinnika. Nie znam nawet twojego rodu. Jeste<sup>e</sup> wêdrowcem. Poszukiwaczem szczê<sup>e</sup>cia. Nie, ojciec kaza<sup>3</sup>by mi zabia<sup>æ</sup>, gdyby wiedzia<sup>3</sup>.

Serce mi stanê<sup>3</sup>o w piersi. By zyska<sup>æ</sup> na czasie, che<sup>3</sup>pi<sup>3</sup>em siê:

— Mój ród wypisany jest na mojej twarzy, miecz jest moim ojcem, gêsie pióro moj<sup>1</sup> matk<sup>1</sup>, myc<sup>1</sup>ce gwiazdy moim rodzeństwem, anio<sup>3</sup>owie i demony moj<sup>1</sup> rodzin<sup>1</sup>.

Spojrza<sup>3</sup>a mi prosto w oczy i rzek<sup>3</sup>a:

— Nie chcia<sup>3</sup>am ciê zrania<sup>æ</sup>. Mówi<sup>3</sup>am tylko prawdê.

Che<sup>3</sup>pliwe s<sup>3</sup>owa ugrzêz<sup>3</sup>y mi w gardle. Prawda by<sup>3</sup>a du<sup>3</sup>o skromniejsza.

— Jestem ju<sup>3</sup> <sup>3</sup>onaty — wyzna<sup>3</sup>em. — Wprawdzie nie ogl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>em swojej <sup>3</sup>ony od niemal dziesiêciu lat, lecz o ile wiem, jest ona przy <sup>3</sup>yciu. Nasz syn ma ju<sup>3</sup> dwana<sup>e</sup>cie lat. To chyba dlatego wzi<sup>13</sup>em krzy<sup>3</sup>, <sup>3</sup>e nie mog<sup>3</sup>em ju<sup>3</sup> d<sup>3</sup>u<sup>3</sup>ej <sup>3</sup>y<sup>æ</sup> z nimi. Myc<sup>1</sup>, <sup>3</sup>e poleg<sup>3</sup>em pod Warn<sup>1</sup>. I tak jest najlepiej.

Wzdrygnê<sup>3</sup>a siê gwa<sup>3</sup>townie na moje pierwsze s<sup>3</sup>owa. Ąadne z nas nie patrzy<sup>3</sup>o na drugie. Przesunê<sup>3</sup>a palcem po wyciêciu u szyi i poprawi<sup>3</sup>a broszê na piersiach. Jej szyja by<sup>3</sup>a bardzo bia<sup>3</sup>a.

— C<sup>3</sup>o<sup>3</sup> to w<sup>3</sup>aceciwie znaczy — powiedzia<sup>3</sup>a w ko<sup>3</sup>ncu ch<sup>3</sup>odnym g<sup>3</sup>osem. — To wszystko i tak nie mog<sup>3</sup>o mie<sup>æ</sup> dalszego ci<sup>1</sup>gu. — Wci<sup>1</sup><sup>3</sup> obraca<sup>3</sup>a w palcach broszê; patrz<sup>1</sup>c na swoj<sup>1</sup> d<sup>3</sup>oñ rzek<sup>3</sup>a: — A teraz muszê ju<sup>3</sup> i<sup>e</sup>æ. Zechciej mi poda<sup>æ</sup> p<sup>3</sup>aszcz.

Ale ja nie chcia<sup>3</sup>em pozwoła<sup>3</sup> jej odejść. I chyba ona też tego nie chcia<sup>3</sup>a. Powiedzia<sup>3</sup>a tak pewnie tylko, żeby mnie zrazić.

— Oboje jesteśmy doros<sup>3</sup>ymi ludźmi — rzek<sup>3</sup>em i nie mog<sup>3</sup>em nic na to zaradzić, że g<sup>3</sup>os mój brzmi<sup>3</sup> szorstko. — Nie b<sup>1</sup>d<sup>3</sup>ż dziecinna. Wiesz chyba dobrze, co robisz.

Przysz<sup>3</sup>ać tu z otwartymi oczyma — ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>em. — Co mnie obchodzi mał<sup>3</sup>żeństwo, co mnie obchodz<sup>1</sup> święte sakramenty kości<sup>3</sup>a. Nie, nie dbam ani o niebo, ani o piek<sup>3</sup>o, kiedy ty istniejesz i ja cię wreszcie znalaz<sup>3</sup>em. I tak nie s<sup>1</sup> one takie, jak myślelimy czy jak g<sup>3</sup>osz<sup>1</sup> o nich kazania. Ty jesteś moja i tego nie możesz zaprzeczyć. Ale jeszcze raz powiem, nie chc<sup>3</sup> ci zrobić nic z<sup>3</sup>ego.

Sta<sup>3</sup>a w milczeniu wpatruj<sup>1</sup>c się uparcie w pod<sup>3</sup>ogę. Toteż mówi<sup>3</sup>em dalej:

— Może nie zdajesz sobie sprawy, co czeka nas wszystkich. Tylko śmierć albo niewola u Turków. Jedno z dwojga musisz wybrać. Nie mamy więcej jak tylko kilka miesięcy czasu, najwyżej pół roku. Potem przyjd<sup>1</sup> Turcy.

Cóż tedy znaczy, co wypada, a co nie wypada! — wykrzykn<sup>13</sup>em i uderzy<sup>3</sup>em pięci<sup>1</sup> w oparcie fotela tak gwałtownie, aż zatrzęszcza<sup>3</sup>o mi w kostkach i ból na chwilę mnie oślepi<sup>3</sup>. — O mał<sup>3</sup>żeństwie, domu, dzieciach może myśleć człowiek, który ma życie przed sob<sup>1</sup>. Ty i ja go nie mamy. Nasza mi<sup>3</sup>ość jest z góry skazana na zag<sup>3</sup>adę. Nasz czas jest krótki. Ale jeżeli chcesz, we<sup>3</sup> swój p<sup>3</sup>aszcz i odej<sup>3</sup> dlatego tylko, że dopust bo<sup>3</sup>y wiele lat temu zmusi<sup>3</sup> mnie do ożenku z kobiet<sup>1</sup> starsz<sup>1</sup> ode mnie, kobiet<sup>1</sup>, której jedynie z litości podarowa<sup>3</sup>em moje cia<sup>3</sup>o. Do serca mego nie dotar<sup>3</sup>a nigdy.

— Co mnie obchodzi twoje serce! — krzykn<sup>3</sup>a z p<sup>3</sup>on<sup>1</sup>c<sup>1</sup> twarz<sup>1</sup>. — Twoje serce jest ścienne. Świadczy<sup>1</sup> o tym twoje s<sup>3</sup>owa. Konstantynopol nie może nigdy ulec zag<sup>3</sup>adzie. Raz na każde pokolenie Turcy oblegali go na próżno. Najświętsza Matka Boska chroni nasze mury. Jakżeż mógł<sup>3</sup>by je obalić jakiegoś m<sup>3</sup>odzic, ten Mehmed, którym gardz<sup>1</sup> sami Turcy.

Ale wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>o, jakby mówi<sup>3</sup>a to tylko, żeby coś powiedzieć, tak oczywista by<sup>3</sup>a jej szalona ufność w mury Konstantynopola. Wolniej i z odwróconym wzrokiem zapyta<sup>3</sup>a:

— Coś ty powiedzia<sup>3</sup> przed chwil<sup>1</sup> o dopuście bo<sup>3</sup>ym? Rzeczywiście masz być starsz<sup>1</sup> od siebie?

To pytanie ucieszy<sup>3</sup>o na nowo moje serce. Wykazywa<sup>3</sup>o przecie, że w jej kobiecej duszy zrodzi<sup>3</sup>a się ciekawość. W tejże chwili wróci<sup>3</sup> do domu mój s<sup>3</sup>uga, trzaskaj<sup>1</sup>c drzwiami i ciężko st<sup>1</sup>paj<sup>1</sup>c po schodach. Wszed<sup>3</sup>em i odebra<sup>3</sup>em od niego kosz.

— Nie potrzebuję cię już więcej dzisiaj, Manuelu — powiedzia<sup>3</sup>em.

— Panie — odpar<sup>3</sup> — bę<sup>3</sup> pilnowa<sup>3</sup> domu z winiarni naprzeciwno. Wierz mi. Tak bę<sup>3</sup> najlepiej.

W swej gorliwości dotkn<sup>13</sup> mego ramienia, przyci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> moj<sup>1</sup> g<sup>3</sup>owę do siebie i szepn<sup>13</sup> mi do ucha:



— Na mi<sup>3</sup>oœæ Bosk<sup>1</sup>, panie, kaŹ jej ubieraæ siê inaczej. Tak jak teraz œci<sup>1</sup>ga ku sobie wszystkie oczy i wzbudza wiêksz<sup>1</sup> ciekawoœæ, niŹ gdyby chodzi<sup>3</sup>a z ods<sup>3</sup>oniêt<sup>1</sup> twarz<sup>1</sup> i policzkami malowanymi jak u ladacznic portowych.

— Manuelu! — ostrzeg<sup>3</sup>em go. — Mój sztylet siedzi lekko w pochwie.

Ale on tylko chichota<sup>3</sup>, jakby powiedzia<sup>3</sup> jakœ dowcip, i zaciera<sup>3</sup> d<sup>3</sup>onie jak do b<sup>3</sup>ogos<sup>3</sup>awieñstwa.

— Masz duszê kuplera, jakbyœ by<sup>3</sup> cyrulikiem — powiedzia<sup>3</sup>em i odprawi<sup>3</sup>em go kopniakiem. — WstydŸ siê swoich myœli. — Ale mój kopniak by<sup>3</sup> ostroŹny, by Manuel <sup>3</sup>atwo móg<sup>3</sup> wywnioskowaæ, Źe to tylko dowód <sup>3</sup>aski.

Wnios<sup>3</sup>em kosz do izby. Rozdmucha<sup>3</sup>em ognisko i dorzuci<sup>3</sup>em wêgla. Nala<sup>3</sup>em wina do srebrnego pucharu. Na<sup>3</sup>ama<sup>3</sup>em pszennego chleba. Nape<sup>3</sup>ni<sup>3</sup>em chiñsk<sup>1</sup> wazê s<sup>3</sup>odyczami. Podnios<sup>3</sup>a d<sup>3</sup>oñ odmownym gestem.

Ale potem przeŹegna<sup>3</sup>a siê znakiem krzyŹa po grecku, upi<sup>3</sup>a <sup>3</sup>yczek ciemnego wina, ugryz<sup>3</sup>a kêsek chleba i zjad<sup>3</sup>a lepki od miodu karmelek na patyczku. W taki sam sposób i ja pokosztowa<sup>3</sup>em wszystkiego. Nie by<sup>3</sup>em wcale bardziej g<sup>3</sup>odny niŹ ona.

— Wiêc piliœmy juŹ z sob<sup>1</sup> wino i <sup>3</sup>amaliœmy chleb — powiedzia<sup>3</sup>em. — Teraz wiesz, Źe nie mogê ci zrobiaæ nic z<sup>3</sup>ego. Jesteœ moim goœciem i wszystko, co moje, jest teŹ twoje.

Uœmiechnê<sup>3</sup>a siê i rzek<sup>3</sup>a:

— Czy nie mia<sup>3</sup>eœ opowiedzieæ o tym dopuœcie boŹym?

— Zbyt duŹo juŹ mówi<sup>3</sup>em — odpar<sup>3</sup>em. — Po cœ mia<sup>3</sup>by<sup>3</sup>m mówiæ, skoro jesteœ u mnie. A poza tym ludzie uŹywaj<sup>1</sup> przecieŹ tych samych s<sup>3</sup>ów, ale mówi<sup>1</sup> o odmiennych rzeczach. Posiewem s<sup>3</sup>ów jest nieporozumienie i nieufnoœæ. Dla mnie wystarczy, Źe jesteœ u mnie. Nie potrzebujê Źadnych s<sup>3</sup>ów, kiedy tu jesteœ.

Ogrza<sup>3</sup>em jej d<sup>3</sup>onie nad kocio<sup>3</sup>kiem z Źarem. Palce mia<sup>3</sup>a ch<sup>3</sup>odne, ale jej policzki p<sup>3</sup>onê<sup>3</sup>y.

— Moja ukochana — rzek<sup>3</sup>em powoli. — Moja jedyna, ukochana! S<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>em, Źe nadesz<sup>3</sup>a juŹ jesieñ Źycia, ale tak nie by<sup>3</sup>o. Dziêki za to, Źe istnieje.

PóŸniej opowiedzia<sup>3</sup>a mi, Źe matka jej zachorowa<sup>3</sup>a i Źe dlatego nie mog<sup>3</sup>a przyjœæ wczesniej. ZauwaŹy<sup>3</sup>em, Źe chêtnie wyzna<sup>3</sup>aby mi, kim jest, ale zakaza<sup>3</sup>em jej tego. Nie chcê wiedzieæ. Takie rzeczy powiêkszaj<sup>1</sup> tylko troski. Na wszystko jest czas. Wystarczy<sup>3</sup>o mi, Źe by<sup>3</sup>a u mnie.

Gdy siê rozstawaliœmy, zapyta³a:

— Powa¿nie myœlisz, ¿e Turcy bêd¹ oblegaa Konstantynopol ju¿ na wiosnê?

Nie mog³em siê powstrzymaæ, by nie wybuchn¹æ znowu:

— Czyœcie wszyscy szaleni, wy Grecy? A wiêc pos³uchaj! Derwisze i œwiêci mê¿owie wêdruj¹ od wioski do wioski w ca³ej Azji. Oddzia³y europejskie, które podlegaj¹ su³tanowi, otrzyma³y ju¿ rozkaz wymarszu. W Adrianopolu odlewaj¹ nowe bombardy. Su³tan zamierza zebraæ wiêksze wojsko, ni¿ zbierali jego przodkowie, by oblegaa twoje miasto. Ale nawet ty pytasz tylko: czy zamierza on rzeczywiêcie przyjœæ?

Doprawdy, zamierza to uczyniaæ — wykrzykn¹³em — i bardzo mu siê spieszy! Teraz, gdy unia wesz³a ju¿ w moc, mo¿e papie¿owi uda siê mimo wszystko sprawiæ, by ksi¹¿êta Europy zapomnieli o swoich sporach i wojnach i jeszcze jeden raz rozpoczêli krucjatê. Jeœli Turcy s¹ œmiertelnym zagro¿eniem dla was, to i Konstantynopol w sercu tureckiego pañstwa jest œmiertelnym zagro¿eniem dla su³tana. Nie znasz jego wielkomocarstwowych planów. Uwa¿a siê za Aleksandra naszych czasów.

— Sza, sza — uciszy³a mnie uœmiechaj¹c siê z pow¹tpiewaniem.

— Jeœli jest tak, jak mówisz, nie bêdziemy mogli siê ju¿ spotkaæ wiele razy.

— Co chcesz przez to powiedzieæ — zapyta³em chwytaj¹c j¹ za rêce.

— Jeœli su³tan rzeczywiêcie wyruszy z Adrianopola, cesarz Konstantyn wyœle damy z cesarskiej rodziny chy¿ym statkiem w bezpieczne miejsce na Moreê. Dla wszelkiej pewnoœci. Statek ten weŹmie na pok³ad tak¿e inne damy wysokich rodów. I ja te¿ mam tam miejsce.

Spojrza³a na mnie swymi br¹zowymi oczami, zagryz³a wargi i rzek³a:

— Tego w³aœciwie nie powinnam ci by³a powiedzieæ.

— Nie — odrzek³em suchymi wargami i ochryp³ym g³osem. — Móg³bym byæ przecie¿ tajnym agentem su³tana. Czy to mia³aœ na myœli? Przecie¿ wszyscy to podejrzewacie.

— Ufam ci — odpar³a. — Na pewno nie zrobisz z³ego u¿ytku z tego, czegoœ siê dowiedzia³. Powiedz, czy mam jechaæ?

— Naturalnie — powiedzia³am. — Musisz jechaæ. Dlaczego nie mia³abyœ uratowaæ cnoty i ¿ycia, jeœli ci siê nadarzy okazja. Nie znasz su³tana Mehmeda. Ja go znam. Twoje miasto ulegnie zag³adzie. Ca³e jego piêkno, ca³y ten gasn¹cy blask, który nas otacza, ca³a ta moc i bogactwo szlachejnych rodzin, wszystko to jest ju¿ tylko cieniem i pozorem.

— A ty? — rzuci³a.

— Ja przyby³em tu, by umrzeæ na murach Konstantynopola — odrzek³em. — Za to, co minione i

czego żadna si<sup>3</sup>a na świecie nie może już przywrócić. Nadchodzi inne czasy. Nie zależy mi na tym, by zobaczyć.

W<sup>3</sup>oży<sup>3</sup>a już br<sup>1</sup>zowy p<sup>3</sup>aszcz i sta<sup>3</sup>a mn<sup>1</sup>c w palcach welon.

— Nawet mnie nie poca<sup>3</sup>ujesz, kiedy odchodzê? — b<sup>1</sup>knê<sup>3</sup>a.

— Rozboli ciê tylko g<sup>3</sup>owa — powiedzia<sup>3</sup>em.

Wspiê<sup>3</sup>a siê na palce i ca<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>a mnie w policzki miêkkimi wargami, g<sup>3</sup>adz<sup>1</sup>c lekko d<sup>3</sup>oni<sup>1</sup> moją brodê. Przycisnê<sup>3</sup>a na chwilkê g<sup>3</sup>owê do mojej piersi, jakby chc<sup>1</sup>c zamkn<sup>1</sup>æ mnie w swoim objêciu.

— Napawasz mnie próżności<sup>1</sup> — rzek<sup>3</sup>a. — Zaczynam sobie zbyt wiele przypisywaæ. Czy rzeczywiêcie nie zależy ci zupe<sup>3</sup>nie na tym, by wiedzieæ, kim jestem? Czy tylko jako kobietê chcesz mnie mieæ za przyjaciela? To dla mnie lube uczucie, ale trudno mi w to uwierzyæ.

— Przyjdiesz jeszcze raz, zanim wyjedziesz? — zapyta<sup>3</sup>em.

Rzuci<sup>3</sup>a spieszne spojrzenie po izbie, poklepa<sup>3</sup>a z roztargnieniem łó<sup>3</sup>tego pieska.

— Dobrze mi tu u ciebie — rzek<sup>3</sup>a. — Przyjdê, jeżeli bêdê mog<sup>3</sup>a.

*6 stycznia 1453*

Mimo wszystko Grecy zaczynaj<sup>1</sup> siê niepokoiæ. Z<sup>3</sup>owieszcze wró<sup>3</sup>by szerz<sup>1</sup> siê z ust do ust. Kobiety opowiadaj<sup>1</sup> swoje sny. Mê<sup>3</sup>czyznom zdaje siê, że widzi<sup>1</sup> znaki. Z p<sup>3</sup>on<sup>1</sup>cymi oczyma mnisi g<sup>3</sup>osz<sup>1</sup> z gniewn<sup>1</sup> pasj<sup>1</sup> na otwartej ulicy œmieræ i zniszczenie dla miasta, które porzuci<sup>3</sup>o wiarê przodków.

Ca<sup>3</sup>e to podniecenie wychodzi z klasztoru Pantokratora. Stamt<sup>1</sup>d to mnich Gennadios wysy<sup>3</sup>a do miasta listy, które odczytuje siê ludowi. Kobiety wybuchaj<sup>1</sup> p<sup>3</sup>aczem na d<sup>3</sup>wiêk tych s<sup>3</sup>ów. Sam Gennadios, na rozkaz cesarza, nie oœmiela siê pokazywaæ ludowi. Ale czyta<sup>3</sup>em wezwanie, które kaza<sup>3</sup> przybiaæ na wrotach klasztoru.

Nieszczęœni! — pisze. — Dok<sup>1</sup>deœcie siê zab<sup>3</sup>kali? Jak mogliœcie odst<sup>1</sup>piæ od ufności w Boga i wi<sup>1</sup>zaæ nadzieje z pomoc<sup>1</sup> Franków? Wtr<sup>1</sup>cacie swoje miasto w zag<sup>3</sup>adê i wraz z nim utraciliœcie wasz<sup>1</sup> wiarê. Bo<sup>3</sup>e, b<sup>1</sup>d<sup>3</sup> mi mi<sup>3</sup>oœciwy! Przed Twoim obliczem zaœwiadczam, że nie mam żadnego udzia<sup>3</sup>u w tej grzesznej przewinie. Zastanówcie siê, nieszczęœni, co robicie. Zginiecie jako niewolnicy, zginiecie odst<sup>1</sup>piwszy od wiary waszych przodków i przyznawszy siê do herezji. Biada wam na s<sup>1</sup>dzie ostatecznym!

Najważniejsze jest w rzeczy samej pytanie, czy flota papieska zd<sup>1</sup>ży na czas i czy pomoc bêdzie dostateczna. W jak<sup>1</sup>œ ogóln<sup>1</sup> krucjatê trudno mi wierzyæ. Do klêski pod Warn<sup>1</sup> chrzeœcijaństwo

przygotowywa<sup>3</sup>o siê przez piêæ lat. Wêgry nie odwa<sup>z</sup>¹ siê ju<sup>z</sup> tym razem zerwaæ rozejmu, jak wtedy. Jeœli pomoc nie przyjdzie na czas, uznanie unii by<sup>3</sup>o postêpkiem pochopnym, który wzbudzi<sup>3</sup> tylko rozgoryczenie i nieufnoœæ. Dlaczego lud Konstantynopola mia<sup>3</sup>by w rzeczy samej odst<sup>1</sup>piæ od tej pociechy, któr<sup>1</sup> mo<sup>z</sup>e im daæ ich wiara?

Gennadios ma lud po swojej stronie. Koœció<sup>3</sup> M<sup>1</sup>droœci Bo<sup>z</sup>ej œwieci obecnie pustkami. Tylko cesarz ze swoim ceremonialnym orszakiem chodzi jeszcze tam na mszê. Dla polityków jest rzecz<sup>1</sup> obojêtn<sup>1</sup>, w co wierz<sup>1</sup>. I tak sk<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup> zawsze wyznania tylko ustami. Ale myœlê, <sup>z</sup>e pustka w koœciele mo<sup>z</sup>e ich przeraziæ. Tak<sup>z</sup>e i czêœæ duchowieñstwa odpad<sup>3</sup>a. Tym, którzy zostali w koœciele M<sup>1</sup>droœci Bo<sup>z</sup>ej, inni gro<sup>z</sup>¹ ekskomunik<sup>1</sup> i wyklêciem.

*8 stycznia 1453*

Nowa pog<sup>3</sup>oska sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup>a mnie, bym jeszcze raz uda<sup>3</sup> siê do klasztoru Pantokratora, <sup>z</sup>eby spotkaæ siê z tym Gennadiosem. Musia<sup>3</sup>em czekaæ d<sup>3</sup>ugo. Modli siê i biczuje ca<sup>3</sup>y dzieñ, aby odkupiaæ grzech miasta. Ale przyj<sup>13</sup> mnie, gdy us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>, <sup>z</sup>e nale<sup>z</sup>a<sup>3</sup>em do œwity su<sup>3</sup>tana. Zaprawdê, oni kochaj<sup>1</sup> Turków bardziej ni<sup>z</sup> <sup>3</sup>acinników!

Gdy zobaczy<sup>3</sup> moj<sup>1</sup> g<sup>3</sup>adko ogolon<sup>1</sup> brodê i <sup>3</sup>aciñski strój, cofn<sup>13</sup> siê wo<sup>3</sup>aj<sup>1</sup>c “anatema” i “apostata”. To wcale niedziwne, <sup>z</sup>e nie pozna<sup>3</sup> mnie natychmiast, gdy<sup>z</sup> tak<sup>z</sup>e i mnie trudno by<sup>3</sup>o rozpoznaæ go na pierwsze wejrzenie. Brodatego, skud<sup>3</sup>aczonego, z oczyma zapadniêtymi od postów i czuwania. Ale mimo to by<sup>3</sup> tym dawnym Georgiosem Scholariosem, sekretarzem i stra<sup>z</sup>nikiem pieczêci nieboszczyka cesarza Johannesesa, tym samym, który wraz z innymi z<sup>3</sup>o<sup>z</sup>y<sup>3</sup> podpis pod uni<sup>1</sup> we Florencji. M<sup>3</sup>ody, gwa<sup>3</sup>towny, uczony, <sup>z</sup>¹dny chwa<sup>3</sup>y, ambitny i mi<sup>3</sup>uj<sup>1</sup>cy <sup>z</sup>ycie Georgios.

— Jestem Jean Ange — powiedzia<sup>3</sup>em. — Giovanni Angelo, Frank, któremu okaza<sup>3</sup>eœe swoj<sup>1</sup> przyjaŃñ we Florencji, przed wielu laty.

Wpatrzy<sup>3</sup> siê we mnie, jakby zobaczy<sup>3</sup> szatana.

— Mo<sup>z</sup>e i zna<sup>3</sup> ciebie Georgios, ale nie ma ju<sup>z</sup> wiêcej Georgiosa! — wykrzykn<sup>13</sup>. — Dla moich grzechów wyrzek<sup>3</sup>em siê wszystkich œwieckich godnoœci, wszelkiej wiedzy i politycznej chwa<sup>3</sup>y. Tylko mnich Gennadios pozostaje, a on ciebie nie zna. Czego chcesz ode mnie?

Jego podniecenie i duchowy ból nie by<sup>3</sup>y udane. Doprawdy cierpia<sup>3</sup> i pot œmiertelny jego miasta i jego ludu wyst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> mu na czo<sup>3</sup>o. Opowiedzia<sup>3</sup>em mu pokrótce o moich losach, a<sup>z</sup>eby móg<sup>3</sup> mi ufaæ. A potem rzek<sup>3</sup>em:

— Jeœli to by<sup>3</sup>o grzechem, <sup>z</sup>eœ wówczas podpisa<sup>3</sup>, i jeœli dzieœ pokutujesz za ten grzech, dlaczego nie robisz tego tylko przed Bogiem? Dlaczego wci<sup>1</sup>gasz ca<sup>3</sup>y lud z sob<sup>1</sup> w twój ból i siejesz rozd<sup>z</sup>wiêki teraz, gdy wszystkie si<sup>3</sup>y powinny siê zjednoczyæ?

Odpar<sup>3</sup>:

— Moim jêzykiem i moim piórem Bóg chce ch<sup>3</sup>ostaæ ich za okropne odstêpstwo. Gdyby zaufali Panu i odrzucili pomoc z Zachodu, wówczas sam Pan walczy<sup>3</sup>by za nich. Dzieæ Konstantynopol jest zgubiony. Czczym dzia<sup>3</sup>aniem bez znaczenia jest dalsze budowanie murów i zbieranie broni. Bóg odwróci<sup>3</sup> od nas oblicze i wyda<sup>3</sup> nas w rêce Turków.

— Jeæli to nawet Bóg przemawia<sup>3</sup> przez twoje usta — odrzek<sup>3</sup>em — to i tak czeka nas bój. S<sup>1</sup>dzisz, ¿e cesarz Konstantyn dobrowolnie odda miasto?

Spojrza<sup>3</sup> na mnie badawczo i w jego pe<sup>3</sup>nych ekstazy oczach zab<sup>3</sup>ys<sup>3</sup>o spojrzenie doœwiadczonego mê¿a stanu.

— Któz to przemawia przez twoje usta? — zapyta<sup>3</sup> — Tym, którzy siê podporz<sup>1</sup>dkuj<sup>1</sup>, su<sup>3</sup>tan zapewnia ¿ycie, mienie i wykonywanie zawodu, a przede wszystkim ich wiarê. Nasz koæció<sup>3</sup> bêdzie ¿yæ i rozkwitaæ tak¿e i w pañstwie tureckim pod opiek<sup>1</sup> su<sup>3</sup>tana. Nie prowadzi on wojny z nasz<sup>1</sup> wiar<sup>1</sup>, lecz przeciw naszemu cesarzowi.

Kiedy nic na to nie odpowiedzia<sup>3</sup>em, doda<sup>3</sup>:

— Przez swoje odstêpstwo Konstantyn wykaza<sup>3</sup>, ¿e nie jest prawdziwym bazyleusem. Nie jest on przecie¿ nawet zgodnie z prawem ukoronowany. Jest on gorszym wrogiem naszej wiary ni¿ Mehmed.

— Ob<sup>31</sup>kany, szalony mnichu — wybuchn<sup>13</sup>em — sam nie wiesz, co mówisz!

Uspokoi<sup>3</sup> siê i powiedzia<sup>3</sup>:

— Nie tai<sup>3</sup>em mojego pogl<sup>1</sup>du. Powiedzia<sup>3</sup>em cesarzowi Konstantynowi te same s<sup>3</sup>owa. Nie mam nic do stracenia. Ale nie jestem sam. Za mn<sup>1</sup> stoi lud, a tak¿e wielu, spoæród wielmo¿ów, którzy boj<sup>1</sup> siê gniewu boskiego. Powiedz to temu, kto ciê tu pos<sup>3</sup>a<sup>3</sup>.

— Mylisz siê — odpar<sup>3</sup>em. — Nie s<sup>3</sup>u¿ê ju¿ su<sup>3</sup>tanowi. Ale nie w<sup>1</sup>tpiê, ¿e potrafisz sprawiæ, by s<sup>3</sup>owa twoje dosz<sup>3</sup>y do uszu su<sup>3</sup>tana innymi drogami.

*10 stycznia 1453*

Wezwano mnie jeszcze raz do Blachern. Frances okaza<sup>3</sup> mi szczególn<sup>1</sup> uprzejmoœæ i wzglêdy. Nalewa<sup>3</sup> mi wina, ale nie spojrza<sup>3</sup> mi ani razu w oczy. Krêci<sup>3</sup> tylko na palcu sygnet, du¿y niczym g<sup>3</sup>owa dziecka, i patrzy<sup>3</sup> na swoje wypielêgnowane paznokcie. Bez w<sup>1</sup>tpienia jest to m<sup>1</sup>¿ uczoney i

młdry, w którym nie ma już żadnej wiary. Jest tylko wierny swemu cesarzowi. Konstatyn i on wzrośli razem od kolebki.

— Ta zima będzie decydująca — powiedzia³ między innymi. — W Adrianopolu wielki wezyr Halil robi nadal wszystko, co w jego mocy, żeby zachować pokój. Jest on naszym przyjacielem. Jeszcze ostatnio otrzymaliśmy od niego przez Genuńczyków w Perze zachęcające wieści. Nie muszę tego chyba taiać przed tob¹. Wzywa nas, żebyśmy patrzyli ufnie w przyszłość i zbroili się, jak tylko możemy. Im lepiej się uzbroimy, tym pewniejsza będzie porażka sułtana, gdyby rzeczywiście odważył się na oblężenie.

— Ta zima będzie decydująca — przyzna³em. — Im wcześniej sułtan odleje dzia³a i wystawi armię, tym wcześniej padnie Konstantynopol.

— Nasze mury wytrzyma³y wiele oblężeń — ucemiechn¹³ się znowu Frances. — Tylko³acinnikom uda³o się raz zdobyć Konstantynopol. Ale wtedy przyszli oni od morza. Od tej pory nie lubiliśmy krucjat. Wolimy raczej żyć w zgodzie z Turkami.

— Zabieram ci czas — rzek³em. — Nie chcę d³użej przeszkadzać.

— Ach tak — powiedzia³ — i ja też mam przecieć sprawę do ciebie. Mówi¹ mi, że zbyt często jeżdżisz do Pery. I odwiedzi³eś też mnicha Gennadiosa, mimo że z cesarskiego rozkazu musi on przebywać w murach swego klasztoru. Do czego zmierzasz?

— Czuję się samotny — odpar³em. — Wygl¹da na to, że nikt mi nie ufa. Chcia³em tylko spróbować ożywić dawn¹ przyjaźń. Ale Georgios Scholarios wyraźnie już nie żyje. A z mnicha Gennadiosa nie mam żadnej pociechy.

Frances roz³oży³ obojętnie ręce.

— Dlaczego ja w³aciewie spieram się z tob¹? I tak nie możemy zrozumieć się nawzajem.

— W imię Boga, wysoki kanclerzu! — wykrzykn¹³em. — Uciek³em od sułtana. Porzuci³em stanowisko, którego wielu mi zazdrości³o. Tylko po to, żeby biać się za Konstantynopol. Nie za ciebie. Nie za twojego cesarza. Tylko za to miasto, które kiedyś by³o sercem świata. Tylko to serce pozosta³o z potężnego mocarstwa. Biję ono ostatnimi, powolnymi uderzeniami. To serce jest także moim. Z tym sercem umrę. A jeżeli zostaną wzięty do niewoli, sułtan wbije mnie na pal.

— Dziecinada — odrzek³ krótko Frances. — Gdybyś miał dwadzieścia lat, mógłbym uwierzyć. Ty, Frank i³acinnik, co możesz mieć wspólnego z nami?

— Wolę walki — odpar³em. — O marność, w obliczu zag³ady, w obliczu potopu. W zwycięstwo nie wierzę. Walczę bez nadziei. Ale jakie to ma znaczenie, skoro chcę walczyć?

Przez chwilę czu³em, że moje s³owa na moment przekona³y go, tak że gotów by³ skreślić mnie ze swoich politycznych rachub i traktować jako nieszkodliwego fantastę. Ale potem potrzeb¹³ g³ow¹. Jego jasnoniebieskie oczy wype³ni³a melancholia.

— Gdybyœ by³ kimœ innym, gdybyœ przyby³ z Europy z krzy¿em na ramieniu, gdybyœ ¿ebra³ o pieni¹dze jak wszyscy Frankowie, gdybyœ domaga³ siê przywilejów handlowych w nagrodê, wówczas mo¿e bym ci uwierzy³, a nawet zaufa³. Ale jesteœ zbyt uczonym mê¿em, zbyt doœwiadczoneym i jasno myœl¹cym, ¿eby twoje zachowanie mog³o wskazywaæ na coœ innego jak ukryte zamiary.

Sta³em nadal przed nim. Moje stopy zrobi³y siê niespokojne. Chcia³em znów pójœæ swoj¹ drog¹. Ale on wci¹¿ okrêca³ na palcu pierœcieñ z sygnetem i zezowa³ na mnie nie chc¹c spojrzeæ mi w oczy, tak jakby ¿ywi³ do mnie najg³êbsz¹ niechêæ.

— Sk¹d przyby³eœ do Bazylei? — powiedzia³. — Jak uda³o ci siê zyskaæ zaufanie doktora Miko³aja Cusani? Dlaczego pop³yn¹³eœ z nim do Konstatynopola? Ju¿ wówczas umia³eœ mówiæ po turecku. Dlaczego tak uparcie trwa³eœ na synodach w Ferrarze i Florencji? Dok¹d uda³eœ siê stamt¹d? Dlaczego kardyna³ Cesarini wybra³ ciê na sekretarza? Czy to ty zg³adzi³eœ go ze œwiata pod Warn¹, a¿eby³ atwiej móc powróciæ do Turków?

I nie stój mi tu i nie wpatruj siê we mnie! — rykn¹³ nagle wymachuj¹c mi rêkami przed twarz¹. — Turcy mówi¹, ¿e posiadasz si³ê ducha, która sprawia, ¿e nierozumne zwierzêta s³uchaj¹ ciebie, i która pozwala ci pozyskaæ zaufanie ka¿dego, jeœli zechcesz. Ale mnie nie mo¿esz pokonaæ. Mam mój sygnet i mój talizman. To jednak bagatelka. Bardziej polegam na swoim rozumie.

Sta³em w milczeniu. Nie by³o przecie¿ nic do powiedzenia. Wsta³. Uderzy³ mnie w pierœc grzbietem d³oni, jakby rozgniewany, ale tylko po to, ¿eby mn¹ zachwiaæ.

— Ty, ty... — powiedzia³ — myœlisz, ¿e my nic nie wiemy? Jesteœ jedynym, który zdo³a³ konno nad¹¿yæ za su³tanem Mehmedem przez ca³¹ dobê jazdy z Magnezji do Galipoli, po zgonie jego ojca. Ten, kto mnie kocha — za mn¹, niech idzie za mn¹! Pamiêtasz to? Ty poszed³eœ za nim. I mówi¹, ¿e nie wierzy³ swoim oczom, gdy w³œcienie ty dogoni³eœ go przy cieœninie Galipoli.

— Mia³em dobrego konia — odpar³em. — I pobiera³em nauki u derwiszów. Zahartowa³em moje cia³o na wszelkie niewygody. Jeœli chcesz, mogê wzi¹æ do rêki roz¿arzony wêgiel z kocio³ka i nie sparzy mnie.

Podszed³em do niego o krok bli¿ej i uda³o mi siê w koñcu uchwyciæ jego spojrzenie. Wystawi³em go na próbê. I nie wytrzyma³ jej. Z udrêczonym wyrazem twarzy odsun¹³ mnie skinieniem na bok. Nie odwa¿y³ siê kazaæ mi spróbowaæ. Gdyby mi siê uda³o, nie wiedzia³by ju¿, co s¹dziaæ o mnie. Taki by³ zabobonny, dlatego ¿e ju¿ w nic wiêcej nie wierzy³.



— Tak, kocha<sup>3</sup>em go rzeczywiście — powiedział<sup>3</sup>em — tak jak siê kocha piêkne dzikie zwierzê, mimo że zna siê jego zdradzieckoœæ. Jego m<sup>3</sup>odoœæ by<sup>3</sup>a jak wrz<sup>1</sup>cy kocio<sup>3</sup>, który wymaga<sup>3</sup> ciê<sup>1</sup>kiej pokrywy, żeby nie wygotowa<sup>3</sup>a siê zawartoœæ. Na rozkaz Murada bywa<sup>3</sup>em czasem tak<sup>1</sup> pokryw<sup>1</sup>. Ale Murad nienawidzi<sup>3</sup> go, dlatego że jego najukochañszy syn uton<sup>13</sup>. Nigdy nie zgadzali siê z sob<sup>1</sup> jako ojciec i syn. Mimo to Murad by<sup>3</sup> z niego dumny potajemnie.

Murad chcia<sup>3</sup>, żeby on nauczy<sup>3</sup> siê umiaru, sprawiedliwoœci, opanowania — ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>em. — Murad chcia<sup>3</sup>, żeby on upokorzy<sup>3</sup> siê przed Jedynym i zrozumia<sup>3</sup> czczoœæ w<sup>3</sup>adzy i <sup>1</sup>ycia ziemskiego. I Mehmed nauczy<sup>3</sup> siê wstrzemiê<sup>1</sup>liwoœci, żeby m<sup>3</sup>óc byæ nie nasyconym, sprawiedliwoœci, żeby m<sup>3</sup>óc jej nadu<sup>1</sup>ywaæ, opanowania, żeby m<sup>3</sup>óc folgowaæ swoim <sup>1</sup>dzom. — eby m<sup>3</sup>óc panowaæ nad tym wszystkim wol<sup>1</sup>. Odprawia modlitwy, ale w sercu jest bez wiary. Wszystkie religie s<sup>1</sup> dla niego równie bezwartoœciowe. Czyta po grecku i po <sup>3</sup>acinie, po arabsku i po persku. Zna matematykê, mapê œwiata, historiê i filozofiê. Konstantynopol jest jego kamieniem probierczym. Od lat m<sup>3</sup>odzieñczych marzeniem jego by<sup>3</sup>o go zdobyæ. Przez ujarzmienie tego miasta mo<sup>1</sup>że udowodniaæ sobie samemu, że jest wiêkszy ni<sup>1</sup> wszyscy jego przodkowie. Czy rozumiesz, co wró<sup>1</sup> te znaki? On jest tym, który nadejdzie. I w jego epoce nie chcê <sup>1</sup>yæ!

Frances zamruga<sup>3</sup> i jakby ockn<sup>13</sup> siê ze snu.

— Mehmed jest gwa<sup>3</sup>townym i niecierpliwym m<sup>3</sup>odzieñcem — rzek<sup>3</sup>. — Po naszej stronie stoi polityka wypróbowana przez wiele stuleci. Tu w Blachernach, podobnie jak i w jego w<sup>3</sup>asnym seraju. Starzy i m<sup>1</sup>drzy czekaj<sup>1</sup> tam tylko, żeby skrêci<sup>3</sup> sobie kark, i ciesz<sup>1</sup> siê na to z góry. Czas pracuje dla nas.

— Czas — odpar<sup>3</sup>em. — Czas siê skoñczy<sup>3</sup>. Chwila, któr<sup>1</sup> odmierzy<sup>3</sup>œæ, zakoñczy<sup>3</sup>a siê. Piasek wysypa<sup>3</sup> siê z klepsydry. Pokój z tob<sup>1</sup>.

Odprawia<sup>3</sup> mnie do drzwi. Szed<sup>3</sup> nawet u mego boku przez zimny korytarz. Nasze kroki odbija<sup>3</sup>y siê melancholijnym echem o twarde œciany. Odrzwia ozdobione by<sup>3</sup>y podwójnym or<sup>3</sup>em z sycz<sup>1</sup>cymi g<sup>3</sup>owami.

— Nie opuszczaj swego domu zbyt czêsto — ostrzega<sup>3</sup> Frances. — Nie przep<sup>3</sup>ywaj cieœniny do Pery. Nie szukaj znajomoœci zbyt znacz<sup>1</sup>cych ludzi. Inaczej mo<sup>1</sup>że siê zdarzyæ, że bêdziesz musia<sup>3</sup> zmieniaæ swój drewniany domek na marmurow<sup>1</sup> wie<sup>1</sup>ê. To rada dana z przyja<sup>1</sup>ni, Johannesie Angelosie. Chcê tylko twego w<sup>3</sup>asnego dobra. Nagle chwyci<sup>3</sup> mnie za pierœ i rzuci<sup>3</sup> mi w twarz pytanie:

— A megaduks Łukasz Notaras? Czy ju<sup>1</sup> ci ofiarowa<sup>3</sup> swój przyja<sup>1</sup>ñ?

By<sup>3</sup>a to próba zaskoczenia mnie. Kiedy nic nie odpowiedzia<sup>3</sup>em, doda<sup>3</sup>.

— Strze<sup>1</sup> siê, jeżeli us<sup>3</sup>yszemy, że szukasz z nim kontaktu. Jeżeli to da siê udowodniaæ, bêdziesz zgubiony.

Od<sup>1</sup>wierny doprowadzi<sup>3</sup> mego wynajêtego rumaka. Odjecha<sup>3</sup>em g<sup>3</sup>ówn<sup>1</sup> ulic<sup>1</sup> pe<sup>3</sup>nym galopem, nie bacz<sup>1</sup>c na t<sup>3</sup>ok i œcisk przechodniów. Ten, który nie zszed<sup>3</sup> mi z drogi, winien by<sup>3</sup> sam sobie. Ale

krzycz'c i nawo<sup>3</sup>uj'c siê, kln'c i ch<sup>3</sup>oszcz'c swoje os<sup>3</sup>y, ludzie skrêcali na bok ju¿ z daleka, gdy us<sup>3</sup>yszeli têtent podkutych ¿elazem kopyt mego konia na wytartych i wy¿<sup>3</sup>obionych ciosowych kamieniach, którymi wymoszczona by<sup>3</sup>a ulica. Od pa<sup>3</sup>acu urodzonych w purpurze a¿ do Hipodromu pêdzi<sup>3</sup>em puœciwszy wodze, tak ¿e piana zbryzga<sup>3</sup>a wêdzid<sup>3</sup>o mego wierzchowca.

By<sup>3</sup>em wzburzony, rozgor<sup>1</sup>czkowany i przejêty groz<sup>1</sup>.

“Raczej turban turecki ni¿ tiara papieska” — te s<sup>3</sup>owa brzmiã<sup>3</sup>y w moich uszach. Wielki ksiã¿ê, g<sup>3</sup>ównodowodz<sup>1</sup>cy floty, najpotê¿niejszy po cesarzu cz<sup>3</sup>owiek w Konstantynopolu. Łukasz Notaras. A wiêc i on.

*16 stycznia 1453*

Przesiadujê w domu. Ale pog<sup>3</sup>oski kr<sup>1</sup>¿<sup>1</sup> nieustannie. Nikt nie mo¿e ich powstrzymaæ. Przenikaj<sup>1</sup> przez œciany.

Su<sup>3</sup>tan buduje okrêty we wszystkich portach Azji.

Serbowie zostali zmuszeni na mocy uk<sup>3</sup>adu o przyjaŹni i pomocy do zasilenia jazd<sup>1</sup> wojsk su<sup>3</sup>tana. Chrzeœcijanie maj<sup>1</sup> oblegaæ chrzeœcijan.

Jestem samotny. Nie ufaj<sup>1</sup> mi. A wiêc jestem niepotrzebny.

Czas p<sup>3</sup>ynie. Nieub<sup>3</sup>aganie przemija jeden bezpowrotny dzieŃ po drugim. A zatem ona nie chce przyjœæ. Inaczej ju¿ by<sup>3</sup>aby przysz<sup>3</sup>a.

A nawet najubo¿si w s<sup>3</sup>oneczne dni k<sup>3</sup>ad<sup>1</sup> siê na zrudzia<sup>3</sup>ych zboczach Akropolu, na ch<sup>3</sup>odnej ziemi pod drzewami, ¿eby obejmowaæ siê nawzajem. Mê¿czyŹni i kobiety w <sup>3</sup>achmanach, nie boj<sup>1</sup>c siê widzów. O, gdybyœ przynajmniej by<sup>3</sup>a uboga, moja ukochana, obdarta i brzydka! Wówczas nikt by nam nie przeszkodzi<sup>3</sup>. Twoje oczy i tak bym rozpozna<sup>3</sup>. Twoje br<sup>1</sup>zowe oczy pozna<sup>3</sup>bym zawsze. Nawet gdybyœ by<sup>3</sup>a stara. Nawet gdybyœ by<sup>3</sup>a brudna i gdyby twoje d<sup>3</sup>onie by<sup>3</sup>y twarde od pracy.

Gdybyœ rzeczywiœcie chcia<sup>3</sup>a, ju¿ byœ przysz<sup>3</sup>a.

*21 stycznia 1453*

Przez trzy dni by<sup>3</sup>em z robotnikami, którzy wzmacniaj<sup>1</sup> mur przy bramie œw. Romana. Toczy<sup>3</sup>em g<sup>3</sup>azy. Nosi<sup>3</sup>em zaprawê murarsk<sup>1</sup>. Jestem pokryty kurzem i zadrapaniami. W<sup>3</sup>osy mam szorstkie od

wapna.

Zamknięty w swojej izbie gnucniejê. Muszê zachowaæ siê cia<sup>3</sup>a i moc ramion, żeby móc napinaæ <sup>3</sup>uk i robiæ mieczem, gdy nadejdzie ta chwila. I budowa<sup>3</sup>em przecie¿ twierdzê su<sup>3</sup>tana nad Bosforem przez ca<sup>3</sup>e lato wraz z innymi.

Nie chcê przyjmowaæ dniówek, które dostaj<sup>1</sup> robotnicy, ale dzielê z nimi ich chleb, oliwê i suszone miêso. Myœel<sup>1</sup>, ¿e oszala<sup>3</sup>em.

*23 stycznia 1453*

Cesarz Konstantyn przeje¿d¿a<sup>3</sup> wzd<sup>3</sup>u¿ muru ze swoj<sup>1</sup> œewit<sup>1</sup>. Zatrzyma<sup>3</sup> siê ko<sup>3</sup>o nas, ¿eby zlustrowaæ roboty. Rozmawia<sup>3</sup> ¿yczliwie z budowniczymi i przodownikami. Twarz mia<sup>3</sup>em ubrudzon<sup>1</sup> i trzyma<sup>3</sup>em g<sup>3</sup>owê schylon<sup>1</sup>. Ale kiedy skończy<sup>3</sup> ju¿ rozmawiaæ z innymi, zwróci<sup>3</sup> siê prosto do mnie i powiedzia<sup>3</sup>:

— IdŸ do domu. Ta praca nie odpowiada twojej randze.

Nie by<sup>3</sup> to wcale przypadek. W twarzy jego wyczyta<sup>3</sup>em, ¿e niechêtnie wyda<sup>3</sup> mi ten rozkaz. Nie ma w nim zdrady. Tote¿ nie doszukuje siê tak od razu fa<sup>3</sup>szu w innych. Ale jest ca<sup>3</sup>kowicie na pasku Francesa i swoich doradców. A¿eby mnie pocieszyæ, doda<sup>3</sup>:

— S<sup>1</sup> dla ciebie godniejsze zadania.

Lecz to nie by<sup>3</sup>o prawd<sup>1</sup>. Nie myœla<sup>3</sup> tak. Chcia<sup>3</sup> tylko u<sup>3</sup>atwiaæ mi zniesienie upokorzenia.

Przed piêtnastu laty by<sup>3</sup> szorstki i wynios<sup>3</sup>y tak jak inni bracia Paleologowie. Ale czas go oszlifowa<sup>3</sup>. Ma teraz czterdzieci dziewięæ lat. Broda mu posiwia<sup>3</sup>a.

Jest te¿ bezdzietny. Straci<sup>3</sup> dwie m<sup>3</sup>odziutkie ma<sup>3</sup>¿onki. Od czasu œmierci cesarza Johannesa nosi<sup>3</sup> siê z planami trzeciego ma<sup>3</sup>¿eñstwa. Mówiono, ¿e nawet stara<sup>3</sup> siê o wdowê po su<sup>3</sup>tanie Muradzie, Marê, której Mehmed pozwoli<sup>3</sup> wróciæ do kraju, do Serbii. Ona jednak wola<sup>3</sup>a pójœæ do klasztoru. Murad pozwoli<sup>3</sup> jej przecie¿ zachowaæ wiarê chrzeœcijañsk<sup>1</sup>. Wolno jej by<sup>3</sup>o nawet nauczyæ m<sup>3</sup>odego Mehmeda greckich modlitw.

Lata nie sp<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>y bez œladu po Konstantynie. Jest on bardzo samotnym cz<sup>3</sup>owiekiem. I wszystko w jego ¿yciu przychodzi na póŸno. Do¿a wenecki gotów by<sup>3</sup> oddaæ mu sw<sup>1</sup> córkê. Wraz z tym uzyska<sup>3</sup>by potê¿ne poparcie na Zachodzie. Ale nie, nie odwa¿y<sup>3</sup> siê poœlubiaæ <sup>3</sup>aciñskiej kobiety. Cesarz Trebizondy by<sup>3</sup> znów zbyt ubogi i ju¿ sprzymierzony z su<sup>3</sup>tanem.

W koñcu znaleŸli ksiê¿niczkê barbarzyñsk<sup>1</sup> daleko nad Morzem Czarnym. Ksi<sup>1</sup>¿ê Gruzji wyznaje prawdziw<sup>1</sup> wiarê i wyznaczy<sup>3</sup> dostateczne wiano. By<sup>3</sup> nawet gotów wys<sup>3</sup>aæ swoich s<sup>3</sup>ynnych wojowników na pomoc Konstantynopolowi. Lecz by<sup>3</sup>o ju¿ za póŸno. Frances zd<sup>1</sup>¿y<sup>3</sup> jeszcze wróciæ z podró¿y z œewiadczyniami tu¿ przedtem, zanim twierdza su<sup>3</sup>tana stanê<sup>3</sup>a gotowa. Teraz Bosfor jest

zamknięty. Żadna księżniczka nie może już przybyć tu z Morza Czarnego, żadne wiano, żadni dzicy wojownicy z Gruzji.

Konstantyn urodził się pod nieszczęśliwymi gwiazdami. Jest znienawidzony przez swój własny lud z powodu unii. Ale nie ma w nim zdrady. I nie jest też okrutny. Po wybuchu wojny kazał uwięzić wszystkich Turków w mieście, lecz już trzeciego dnia pozwolił im swobodnie odejść.

Mogli byli uwięzić także i mnie. Mogli byli kazać dręczyć mnie na wszystkie odwieczne sposoby, by zmusić moje usta do wyznań, które chcieli uzyskać. Ale Konstantyn nie chciał tego. I Frances nie odważa się na to. Może przecieżyć być prawdą, że jestem tajnym posłańcem sułtana. Takiego męża nie wlecze się do izby tortur, gdy oblężenie trwa.

Ale tępy, tępy. Konstantyn jest tępy. Strzeże swojej godności bazyleusa. Jakże mógłby boski cesarz zsiść z konia i wlec kamienie albo wziąć do ręki kielnię ramię przy ramieniu ze zwykłymi robotnikami, aby zagrzać ich, tak jak to robił młody sułtan nad Bosforem. Lecz jakież by to było tempo w robocie! Tak jak obecnie jest to tylko bezduszne odrabianie dniówek, powolne i głupe.

Nie mam zatem nawet pozwolenia, by nosić kamienie i zaprawę murarską do wzmacniania tych odwiecznych murów. Nie nienawidzę Konstantyna, ale trudno mi jest mu to wybaczyć.

Wrócę do domu, wykąpać się i kazać Manuelowi umyć mi włosy, po czym znowu odziać się we własne szaty.

Kiedy opowiadać, jak spotkać cesarza Konstantyna i stać twarzą w twarz z boskim bazylosem, mój sługa Manuel zaczął śmiać się swym chytrym i piskliwym śmiechem. Napiłem się wina i też dałem mu się napić. Opowiedział mi o komnacie, której ściany pokryte są pierwszymi porfirowymi płytami, jakie przywieziono z Rzymu. Tylko kilka osób ją widziało. W tej purpurowej komnacie rodził się cesarz Bizancjum i z małego balkoniku wysoko na ścianie fasadowej obwieszcza się ludowi o ich urodzeniu.

— Za twoje cesarskie imię, Manuelu — powiedziałem nalewając wina do jego glinianego kubka.

— Za twoje własne imię, panie Johannesie — odparł i pił tak gorliwie, że się oblewał winem.

*24 stycznia 1453*

Gdyby wyjechała, z pewnością bym się o tym dowiedział. Nawet gdyby statek odpłynął

potajemnie, plotki o tym i tak by siê rozesz³y. Ze wzgórz ka¿dy mo¿e widzieæ, co dzieje siê w porcie. W tym mieœcie nic d³ugo nie utrzymuje siê w tajemnicy.

Brzegi Azji b³êkitniej¹ po drugiej stronie wody. Têsknota rozdziera mi serce.

Gdybym by³ bez nazwiska, bez czci, bez przesz³oœci, móg³bym utopiæ siê w ludzkim morzu. <sup>̄</sup>yæ z dnia na dzieñ. Zadowalaæ siê tym, co jest, wyczekiwaæ. Ale ja zakosztowa³em gorzkiego chleba wiedzy...

*26 stycznia 1453*

Nieoczekiwane wydarzenie. Na wydêtych ¿aglach wp³ynê³y dzie do portu dwa wielkie okrêty wojenne. Podczas gdy ¿eglarze zwijali ¿agle, ludzie zbiegali siê na zbocza i na mury miejskie, by wo³aæ i wymachiwaæ na przywitanie. Najwiêkszy z tych okrêtów wygl¹da rzeczywicie potê¿nie w porównaniu z weneckim.

Dowódc¹ jest Giovanni Giustiniani, Genueñczyk. By³y podesta w Kaffie, wypróbowany ¿o³nierz zawodowy. Przybywa z siedmiuset nawyk³ymi do boju ¿o³nierzami. Ludzi ogarnê³a ekstatyczna radoœæ, mimo ¿e to <sup>³</sup>acinnicy. Ich uzbrojenie jest nienaganne. Wielu ma dwurêczne miecze. Zakuci w pancerze, ka¿dy z nich z <sup>³</sup>atwoœci¹ dorównuje dziesiêciu lekko zbrojnym mê¿om w skórzanych zbrojach. Przywykli do twardej dyscypliny i pos³uchu. Widaæ to by³o po nich, gdy schodzili na l¹d w dobrym szyku, a potem szczêkaj¹c zbrojami ci¹gnêli przez miasto w stronê Blachern.

Cesarz dokona³ przegl¹du oddzia³u. Jeœli zawczasu wiedzia³ o ich przybyciu, potrafi dobrze zachowaæ tajemnicê. Zazwyczaj ju¿ po kilku dniach nawet najtajniejsze narady przenikaj¹ z pa³acu na zewn¹trz. Przynajmniej do tego, kto p³aci najwiêcej.

Byæ mo¿e Zachód nie zapomni³ jeszcze o Konstantynopolu. Giustiniani musia³ tu przybyæ za wiedz¹ i zgod¹ rz¹du genueñskiego; sk¹d by inaczej uzyska³ œrodki na uzbrojenie okrêtów i ¿o³d dla swoich ludzi.

Ale samych tylko su³tañskich janczarów jest dwanaœcie tysiêcy. Pod Warn¹ nie zdo³a³a ich powstrzymaæ nawet zakuta w ¿elazo konnica.

*27 stycznia 1453*

Przyszła. Przyszła mimo wszystko, przyszła jeszcze raz. Nie zapomniła mnie.

Zeszczuplała i była bardzo blada. W jej brązowych oczach płonął niepokój. Widać było, że cierpi. Słowa i pytania zamarały mi na ustach. O cóż miałem pytać? Przecież przyszła.

— Moja ukochana! — powiedziałem tylko. — Moja ukochana!

— Dlaczego tu przybyła? — rzekła oskarżająco. — Dlaczego nie zostałeś u sułtana? Czemu mnie dręczysz? Dlaczego mnie uzależniasz od swojej woli?

To haniebne — ci gnęła. — Dawniej byłam radosna i pewna siebie. Teraz jestem bezwolna. Moje stopy niosły mnie tam, dokąd nie chciałem. I ty, ścannik, żonaty, awanturник, sprawiasz, że zaczynam nienawidzić siebie samej.

Tak mało zatem znaczy najlepsze wychowanie — biadała. — Tak mało znaczy wiedza, krytycyzm, pochodzenie, duma i majątek. Jestem wydana na twój śsak jak niewolnica. Wstydzę się każdego kroku, który mnie tu przywiódł.

I nawet mnie nie dotknę! — wołała. — A mimo to krwawe ciemne wiry w mojej krwi. Mrok w głębi mego wspaniałego ciała. Dawniej byłam jasna. Dawniej byłam czysta. Dzieci nie wiem już, czym jestem i czego chcę.

Sztylet w twojej piersi, trucizna w twoim pucharze! — wołała. — Byłoby lepiej, żeby nie było. Przyszedłem, by ci to powiedzieć.

Wzięłam ją w ramiona i pocałowałam w usta. Nie narzekała już na ból głowy. Przez te dni rozstania rozwinęła się w kobietę. Drżała w moich objęciach.

O, jak ja nienawidzę tego drżenia. Jak nienawidzę rumieńca pośladka, który zabarwił jej policzki. Wszystko to przeżyłem już aż nazbyt wiele razy. Nie ma jednak żadnej miłości bez ciała. Nie, nie ma żadnej miłości bez pośladka.

— Wcale nie mam zamiaru iść z tobą do ołtarza — rzekłem. — Na wszystko jest czas. To nie dlatego tak mi ciebie brakowało.

— Gdybyś mnie zabił, zabiłbym cię — wybuchnęła. — Tyle jestem jednak winna sobie samej i mojej rodzinie. I nie mów do mnie takim tonem.

— Oszczędzaj swój wianek dla Turków — powiedziałem. — Nie miałem zamiaru go uszczknąć.

— Nienawidzę cię — dyszała ścisłając mnie za ramię. — Johannesie Angelosie, Johannesie Angelosie, Johannesie Angelosie — powtarzała przyciskając mocno twarz do mego barku i wybuchnęła gwałtownym szlochaniem.

Wzi<sup>13</sup>em jej twarz w d<sup>3</sup>onie, œmia<sup>3</sup>em siê, ca<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>em jej oczy i policzki, pociesza<sup>3</sup>em j<sup>1</sup> tak, jakby by<sup>3</sup>a ma<sup>31</sup> dziewczynk<sup>1</sup>. Nak<sup>3</sup>oni<sup>3</sup>em j<sup>1</sup>, by usiad<sup>3</sup>a. Poda<sup>3</sup>em jej wina. Tak<sup>3</sup>e i ona zaczê<sup>3</sup>a z wolna siê ucemiechaæ.

— Nie umalowa<sup>3</sup>am sobie policzków, nim tu przysz<sup>3</sup>am — rzek<sup>3</sup>a. — By<sup>3</sup>am taka m<sup>1</sup>dra. Ju<sup>3</sup> ciê znam. Zmuszasz mnie zawsze do p<sup>3</sup>aczu. A wtedy niedobrze mieæ umalowane policzki. Naturalnie bardzo chcê byæ piêkna w twoich oczach, ale to nie ma <sup>3</sup>adnego znaczenia. Przecie<sup>3</sup> tylko moich oczu po<sup>3</sup>dasz.

We<sup>3</sup> je wiêc sobie — ci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a przechylaj<sup>1</sup>c siê ku mnie. — Masz je. Mo<sup>3</sup>e potem zostawisz mnie w spokoju.

By<sup>3</sup>o to o zachodzie s<sup>3</sup>oñca. Dzieñ oblewa<sup>3</sup> siê czerwieni<sup>1</sup> i w mojej izbie zmierzcha<sup>3</sup>o.

— Jak ci siê uda<sup>3</sup>o przyjœæ? — zapyta<sup>3</sup>em.

— Ca<sup>3</sup>e miasto jest w poruszeniu — zacemia<sup>3</sup>a siê. — Raduj<sup>1</sup> siê i œwiêtuj<sup>1</sup> z powodu przybycia Genuêczyków. Pomyœl, siedmiuset zakutych w <sup>3</sup>elazo wojowników. To przechyli szczeniê na nasz<sup>1</sup> stronê. Ktô<sup>3</sup> móg<sup>3</sup>by nadzorowaæ i ochraniaæ swoj<sup>1</sup> cõrkê w dzieñ taki jak dzie. Nawet gdyby spotka<sup>3</sup>a siê z <sup>3</sup>acinnikiem, mo<sup>3</sup>na to wybaczyæ.

— Dotychczas nie pyta<sup>3</sup>em ciê o nic w Konstantynopolu — powiedzia<sup>3</sup>em. — Teraz jednak chcia<sup>3</sup>bym to uczyniaæ. Nie dlatego, <sup>3</sup>e jest to takie wa<sup>3</sup>ne, ale z pewnych wzglêdów jestem ciekawy. Czy znasz megaduksa <sup>3</sup>ukasza Notarasa?

Wzdrygê<sup>3</sup>a siê gwa<sup>3</sup>townie i wpatrzy<sup>3</sup>a siê we mnie przera<sup>3</sup>ona.

— Dlaczego o to pytasz?

— Chcia<sup>3</sup>bym wiedzieæ, jakiego to rodzaju cz<sup>3</sup>owiek — odpar<sup>3</sup>em. A gdy nadal wpatrywa<sup>3</sup>a siê tylko we mnie, doda<sup>3</sup>em niecierpliwie: — Czy rzeczywiœcie przedk<sup>3</sup>ada<sup>3</sup>by su<sup>3</sup>tana nad w<sup>3</sup>asnego cesarza? Sama s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>æ, jak wo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> do ludu w dniu, kiedy spotkalicemy siê po raz pierwszy. Powiedz mi zatem, jeżeli go w ogóle znasz, czy istotnie móg<sup>3</sup>by staæ siê zdrajc<sup>1</sup>?

— Co ty powiadasz? — szepnê<sup>3</sup>a. — Na co ty siê wa<sup>3</sup>ysz? To przecie<sup>3</sup> o megaduksie mówisz.

Znam go dobrze — ci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a z <sup>3</sup>arem — i tak<sup>3</sup>e jego rodzinê znam. Jest ze starego rodu, ambitny, <sup>3</sup>1dny zaszczytów i gwa<sup>3</sup>towny. Cõrka jego otrzyma<sup>3</sup>a cesarskie wychowanie. Zamierza<sup>3</sup> wydaæ j<sup>1</sup> za cesarza, ale kiedy Konstantyn zosta<sup>3</sup> bazyleusem, cõrka wielkiego ksiêcia nie nadawa<sup>3</sup>a siê ju<sup>3</sup> na ma<sup>3</sup><sup>3</sup>onkê. By<sup>3</sup>a to zniewaga, któr<sup>1</sup> trudno wybaczyæ. I megaduks nie uznaje polityki, któr<sup>1</sup> prowadzi cesarz. Ale cz<sup>3</sup>owiek, który przeciwstawia siê unii, nie musi jeszcze z tego powodu byæ zdrajc<sup>1</sup>. Nie, zdrajc<sup>1</sup> nie jest i nigdy nim nie zostanie. Gdyby nim by<sup>3</sup>, nie wyjawi<sup>3</sup>by chyba tak otwarcie i uczciwie swoich pogl<sup>1</sup>dów.

— Nie znasz namiêtnoœci, które rz<sup>1</sup>dz<sup>1</sup> mê<sup>3</sup>czyznami — rzek<sup>3</sup>em. — W<sup>3</sup>adza to straszliwa pokusa. Podstêpny i <sup>3</sup>1dny w<sup>3</sup>adzy m<sup>1</sup><sup>3</sup>, który nie pochwała polityki Konstantyna, móg<sup>3</sup>by w swoich rachubach wyobra<sup>3</sup>æ sobie Konstantynopol rz<sup>1</sup>dzony przez megaduksa jako wasala su<sup>3</sup>tana.

Rebelianci i uzurpatorzy istnieli i dawniej w tym mieście. I nawet mnich Gennadios g<sup>3</sup>osi otwarcie poddanie się.

Szept<sup>3</sup>a:

— Twoje s<sup>3</sup>owa przerażaj<sup>1</sup> mnie.

— Ale myśł ta jest ponęt<sup>3</sup>a — ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>em. — No, czy nie? Krótkotrwa<sup>3</sup>y bunt, nieco rozlewu krwi i bramy otwar<sup>3</sup>yby się dla su<sup>3</sup>tana. Czy nie lepiej, żeby zginę<sup>3</sup>o tylko niewielu ludzi niż wszyscy i zarówno wasza, jak i nasza kultura posz<sup>3</sup>a w ślad za miastem na zag<sup>3</sup>adę? Wierz mi, w<sup>3</sup>acęciwy m<sup>1</sup>ż umia<sup>3</sup>by usprawiedliwić swoje postępk<sup>3</sup>i wieloma ważnymi przyczynami.

— Kim jesteś? — zapyt<sup>3</sup>a odsuwaj<sup>1</sup>c się ode mnie. — Dlaczego mówisz tak, jak mówisz?

— Dlatego, że odpowiednia chwila już minę<sup>3</sup>a — odrzek<sup>3</sup>em. — Dzieć cesarz ma siedmiuset zakutych w żelazo <sup>3</sup>acowników oprócz w<sup>3</sup>asnej gwardii przybocznej. Przeciw nim bezsilna by<sup>3</sup>aby choćby największa masa ludzka. Nawet gdyby Gennadios pob<sup>3</sup>ogos<sup>3</sup>awi<sup>3</sup> bunt i sam megaduks Notaras osobiście poprowadzi<sup>3</sup> lud na Blacherny.

Tak już jest — ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>em — przybycie Giovanniego Giustinianiego przypieczęto<sup>3</sup>o los Konstantynopola. Odt<sup>1</sup>d zag<sup>3</sup>ada jest nieunikniona. Możemy odetchn<sup>1</sup>æ z ulg<sup>1</sup>. Gdyż su<sup>3</sup>tan Mehmed nie jest podobny do swego ojca Murada. Na jego s<sup>3</sup>owach nigdy nie można polegać. Ten, kto mu się oddaje ufaj<sup>1</sup>c jego obietnicom, dobrowolnie klęka przed swoim katem.

Odpar<sup>3</sup>a:

— Nie rozumiem cię. Doprawdy nie rozumiem ciebie. Mówisz, jak gdybyś chciał, żeby nasze miasto zginę<sup>3</sup>o. Mówisz jak anio<sup>3</sup> ćmierci.

Zorza zachodu s<sup>3</sup>ońca znik<sup>3</sup>a. W izbie by<sup>3</sup>o tak ciemno, że twarze nasze majaczy<sup>3</sup>y tylko niczym blade płamy.

— Sk<sup>1</sup>d wiesz, że nie jestem anio<sup>3</sup>em ćmierci? — odrzek<sup>3</sup>em. — Czasem sam siebie o to pytam.

Pewnego dnia, dawno już temu, wyst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>em z bractwa wolnego ducha — ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>em w ciemności. — Ich fanatyzm by<sup>3</sup> niczym ciasna cela. Ich nietolerancja by<sup>3</sup>a jeszcze bardziej niepomiarowana niż nietolerancja mnichów i kap<sup>3</sup>anów. Kiedy rozsta<sup>3</sup>em się z nimi, ockn<sup>13</sup>em się wczesnym rankiem pod starym drzewem przy murze cmentarnym. Na murze tym ktoś namalowa<sup>3</sup> tancę ćmierci. Gdy się zbudzi<sup>3</sup>em, pierwsz<sup>1</sup> rzecz<sup>1</sup>, któr<sup>1</sup> zobaczy<sup>3</sup>em, by<sup>3</sup> koćciotrup. Prowadzi<sup>3</sup> w tańcu biskupa. Prowadzi<sup>3</sup> w tańcu cesarza. Prowadzi<sup>3</sup> w tańcu kupca. Prowadzi<sup>3</sup> w tańcu pięk<sup>1</sup> kobietę. By<sup>3</sup>o to pewnego rzeckiego od rosy poranka, kiedy s<sup>3</sup>owik ćpiewa<sup>3</sup> nad bystrym Renem. W chwili tej dozna<sup>3</sup>em objawienia. Od tego poranka ćmieræ by<sup>3</sup>a moj<sup>1</sup> siostr<sup>1</sup> i nie boję się jej.

Twoje miasto jest niby stara szkatu<sup>3</sup>ka na klejnoty, z której odpad<sup>3</sup>y już zdoł<sup>1</sup>ce j<sup>1</sup> drogie kamienie i której rogi i kanty s<sup>1</sup> uszkodzone. Ale zamyka w sobie wszystko, co niegdyś by<sup>3</sup>o piękne. Ostatnich filozofów Grecji. Uniesienia wiary. Pierwotny koćció<sup>3</sup> Chrystusa. Stare pisma. Mieni<sup>1</sup>ce



się z<sup>o</sup>tem mozaiki. Nie chcê, by zginê<sup>o</sup>. Kocham je boleœnie i beznadziejnie ca<sup>ym</sup> moim sercem. Chwila zag<sup>ady</sup> jednak nadesz<sup>a</sup>. Ktô<sup>z</sup> odda<sup>by</sup> dobrowolnie rabusiowi swój<sup>1</sup> skatu<sup>3</sup>kê na klejnoty? Lepiej niech ulegnie zniszczeniu w krwi i popio<sup>3</sup>ach. To ostatni Rzym. W tobie i we mnie oddycha tysi<sup>1</sup>c lat. To ju<sup>z</sup> raczej korona œmierci, Chrystusowa cierniowa korona, ni<sup>z</sup> turban turecki. Rozumiesz, co mam na myœli?

— Kim jesteœ? — szepnê<sup>a</sup>. — Dlaczego mówisz do mnie w ciemnoœci?

Powiedzia<sup>3</sup>em, co mia<sup>3</sup>em do powiedzenia. Skrzesa<sup>3</sup>em ogieñ i zapali<sup>3</sup>em œwiece. T<sup>o</sup>3te topazy w naszymyniku zaczê<sup>3</sup>y migotaæ na jej bia<sup>3</sup>ej szyi. T<sup>o</sup>3te topazy spod znaku Strzelca. Chroni<sup>1</sup> one swego w<sup>3</sup>acéciciela przed pod<sup>3</sup>oœci<sup>1</sup>.

— Kim jestem? — rzek<sup>3</sup>em. — Cz<sup>3</sup>owiekiem ðonatem, <sup>3</sup>acinnikiem, awanturnikiem, jak sama powiedzia<sup>3</sup>ae. Dlaczego wiêc pytasz?

Poprawi<sup>3</sup>a niezgrabnie ko<sup>3</sup>nierz.

— Twój wzrok parzy mnie w szyjê — skar<sup>z</sup>y<sup>3</sup>a siê.

— To moja samotnoœæ parzy ciê — odpar<sup>3</sup>em. — Moje serce spala siê na popió<sup>3</sup>, gdy patrzê na ciebie w blasku œwiec. Twoja p<sup>3</sup>eæ jest jak srebro. Twoje oczy s<sup>1</sup> jak ciemne kwiaty.

Tak mówisz — ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>em. — Mam wiele s<sup>3</sup>ów, piêknych s<sup>3</sup>ów. Mogê po<sup>z</sup>yczyæ je od starych i od nowych. Kim jestem? Jestem Zachodem i Wschodem. Jestem krwi<sup>1</sup> Grecji w ðy<sup>3</sup>ach Zachodu. Czy mam mówiæ dalej?

— Muszê ju<sup>z</sup> iœæ — powiedzia<sup>3</sup>a, podnios<sup>3</sup>a siê i otuli<sup>3</sup>a p<sup>3</sup>aszczem nie czekaj<sup>1</sup>c, a<sup>z</sup> jej dopomogê.

— Wezmê latarniê i pójdê z tob<sup>1</sup> — rzek<sup>3</sup>em. — Na ulicach jest niespokojnie. Nie chcê, byœ spotka<sup>3</sup>a siê z pijanymi Genuêczykami. Wnet zaczn<sup>1</sup> siê bójki. To zwyczaj najemników. Dzieœ wieczorem nie mo<sup>z</sup>esz iœæ sama. S<sup>1</sup> <sup>3</sup>acinnicy.

Zawaha<sup>3</sup>a siê.

— Jak chcesz — rzek<sup>3</sup>a w koñcu krótko. Jej g<sup>3</sup>os by<sup>3</sup> martwy. Jej twarz jak skamienia<sup>3</sup>a. — Teraz ju<sup>z</sup> wszystko jedno.

Przypi<sup>13</sup>em do pasa swój turecki krzywy miecz. Jego ostrze mog<sup>3</sup>o rozci<sup>1</sup>æ bujaj<sup>1</sup>cy w powietrzu puszek. Jego ostrze mog<sup>3</sup>o wyszczerbiaæ miecz zachodni. Takie miecze wykuwaj<sup>1</sup> janczarowie.

— Dzień wieczór — powiedzia<sup>3</sup>em i s<sup>3</sup>owa uwiêz<sup>3</sup>y mi w gardle — dzień wieczór... — powtórzy<sup>3</sup>em, ale nie mog<sup>3</sup>em mówiać dalej. Z tajemnego Ÿród<sup>3</sup>a mego serca sp<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>a nagle gor<sup>1</sup>ca fala na moje ch<sup>3</sup>odne rozczarowanie. Przez wiele lat chodzi<sup>3</sup>em na nauki do derwiszów, unika<sup>3</sup>em miêsa, nie chcia<sup>3</sup>em nigdy uszkodziæ ¿adnego ¿ywego stworzenia, w które tchniêto ducha. Ale w ten wieczór chcia<sup>3</sup>em biać i zabijaæ. Zabiaæ cz<sup>3</sup>owieka, bliŸniego. Barbarzyñskie cia<sup>3</sup>o buntowa<sup>3</sup>o siê przeciwko mej duszy. Moja grecka krew nienawidzi<sup>3</sup>a <sup>3</sup>acinników. By<sup>3</sup>o mi tak, jakby coœ we mnie rozszczepi<sup>3</sup>o siê na dwoje gwa<sup>3</sup>towniej ni¿ kiedykolwiek przedtem. W mojej duszy ¿arzy<sup>3</sup>a siê ¿i<sup>1</sup>dza mordu. Nigdy jeszcze tego nie czu<sup>3</sup>em. To przysz<sup>3</sup>o z mi<sup>3</sup>oœci<sup>1</sup>. Mi<sup>3</sup>oœæ jak trzêsenie ziemi wyrzuci<sup>3</sup>a we mnie na wierzch wszystko, co by<sup>3</sup>o utajone. Nie, nie poznawa<sup>3</sup>em ju¿ w<sup>3</sup>asnej istoty.

Chwyci<sup>3</sup>a mnie mocno za ramiê. Od¿y<sup>3</sup>a znowu:

— Nie bierz miecza — powiedzia<sup>3</sup>a. — Tylko tego po¿a<sup>3</sup>ujesz.

Dziwna zwyciêska radoœæ dr¿a<sup>3</sup>a w jej g<sup>3</sup>osie. Zna<sup>3</sup>a mnie lepiej, ni¿ sam siebie zna<sup>3</sup>em. To by<sup>3</sup>o wrêcz niewiarygodne. Gdy dotyka<sup>3</sup>a mego ramienia, wycieka<sup>3</sup>a ze mnie si<sup>3</sup>a. Gwa<sup>3</sup>townie odpi<sup>13</sup>em miecz i rzuci<sup>3</sup>em go ze szczêkiem na pod<sup>3</sup>ogê.

— Jak chcesz — powiedzia<sup>3</sup>em. — Jak chcesz. Jak tylko chcesz.

Poszlicemy zbroczem w górê. Ko<sup>3</sup>o portu zataczali siê i wrzeszczeli genueñscy ¿o<sup>3</sup>dacy kroc<sup>1</sup>c d<sup>3</sup>ugimi szeregami w poprzek ulicy. Siêgali po kobiety i witali wszystkich napotkanych grubiañstwami w wielu jêzykach. Ale nie okazywali ¿adnej nie¿yczliwoœci. Nikt ich nie rozdra¿ni<sup>3</sup>. Broñ zostawili w koszarach. Nam obojgu otworzyli przejœcie w milczeniu. Po jej postawie i wysoko niesionej g<sup>3</sup>owie mo¿na by<sup>3</sup>o poznaæ kobietê wysokiego rodu, choæ twarz mia<sup>3</sup>a zas<sup>3</sup>oniê<sup>1</sup> welonem. Mnie zaœ ustêpowali z drogi nawet najbardziej pijani ¿o<sup>3</sup>nierze ju¿ na d<sup>3</sup>ugo przed Warn<sup>1</sup>.

Grecy wycofali siê do domów. Gdy weszlicemy na wzgórze, by<sup>3</sup>o cicho wokó<sup>3</sup> nas. Tylko nocni stró¿e z latarniami przechodzili okrzykuj<sup>1</sup>c siê z dala. W zatoce portowej maszty okrêtów ozdobione by<sup>3</sup>y latarniami i krzykliwa muzyka rozlega<sup>3</sup>a siê echem na wodzie. Na nabrze¿ach dŸwiêcza<sup>3</sup>y bêbny i piszczaki. Tak¿e zbroza Pery po drugiej stronie zatoki b<sup>3</sup>yszcza<sup>3</sup>y jak usiane robaczkami œwiêtojañskimi.

A na cichym wzgórzcu wznosi<sup>3</sup>a siê majestatycznie i milcz<sup>1</sup>co ku niebu kopu<sup>3</sup>a œwi<sup>1</sup>tyni M<sup>1</sup>droœci Bo¿ej. Znów le¿a<sup>3</sup>y przed nami ciemne masywy domów dawnego pa<sup>3</sup>acu cesarskiego. Sierp ksiê¿yca wisia<sup>3</sup> nad hipodromem, którego niepowtarzalne rzeŸby <sup>3</sup>aciñscy krzy¿owcy dawno ju¿ zrabowali i przekuli na monety. Ale poœrodku wci<sup>1</sup>¿ jeszcze szczyrzy<sup>3</sup>y siê wê¿owe g<sup>3</sup>owy kolumny delfickiej, odlanej po bitwie pod Salamin<sup>1</sup> z br<sup>1</sup>zu z perskich okrêtów wojennych.

Przystan<sup>13</sup>em.

— Jeœli chcesz, mo¿esz bezpiecznie iœæ st<sup>1</sup>d dalej sama — odezwa<sup>3</sup>em siê. — Zatrzymaj latarniê. Ja i tak trafiê do domu.

— Powiedzia<sup>3</sup>am przecie<sup>z</sup>, że teraz to już nie ma znaczenia — odpar<sup>3</sup>a. — Po tym wieczorze. To niedaleko, jeżeli l<sup>1</sup>ekasz si<sup>1</sup>e, że zmęcysz nogi.

W<sup>1</sup>ska i wij<sup>1</sup>ca si<sup>1</sup>e droga wiod<sup>3</sup>a nas w d<sup>3</sup> brzegiem morza Marmara w pobli<sup>z</sup>u muru. Szli<sup>1</sup>emy obok pot<sup>1</sup>ężnych <sup>3</sup>uków, które d<sup>3</sup>wigaj<sup>1</sup> hipodrom od strony morza. Zbli<sup>z</sup>ylicemy si<sup>1</sup>e do zrujnowanego i nieczynnego portu, który nazywaj<sup>1</sup> Bukoleon. Tu<sup>z</sup> obok wznosi si<sup>1</sup>e wysokie wzgórze, które greccy przewodnicy ch<sup>1</sup>ętnie pokazuj<sup>1</sup> <sup>3</sup>acinnikom. To wzgórze z ko<sup>1</sup>eci po zachodnich krzy<sup>z</sup>owcach, którzy wracali do domu przez Konstantynopol. Grecy zwabili ich nie uzbrojonych w ulicz<sup>1</sup>kę mi<sup>1</sup>ędzy murami i wybili do ostatniego. W zem<sup>1</sup>ocie za przemoc i che<sup>3</sup>pliwo<sup>1</sup>æ, grabie<sup>z</sup>e i gwa<sup>3</sup>ty. Tak mówi<sup>1</sup> Grecy.

W pobli<sup>z</sup>u tego wzg<sup>1</sup>orza, przy murze nad morzem, sta<sup>3</sup> jej dom. By<sup>3</sup>a to okaza<sup>3</sup>a i pi<sup>1</sup>ekna budowla z kamienia. Pochodnie, które migota<sup>3</sup>y w uchwytach nad okut<sup>1</sup> żelazem bram<sup>1</sup>, oświetla<sup>3</sup>y w<sup>1</sup>skie <sup>3</sup>ukowate okna g<sup>1</sup>rnego pi<sup>1</sup>etra. Dolne nie mia<sup>3</sup>o okien, jak w twierdzy. Przystan<sup>1</sup>e<sup>3</sup>a i wskaza<sup>3</sup>a na tarcz<sup>1</sup>e herbow<sup>1</sup> wisz<sup>1</sup>c<sup>1</sup> nad drzwiami.

— Jeżeli jeszcze tego nie wiedzia<sup>3</sup>e<sup>1</sup>, to teraz już wiesz — powiedzia<sup>3</sup>a. — Jestem Anna Notaras.

Jestem Anna Notaras — powtórzy<sup>3</sup>a. — Jedyne córka megaduksa <sup>1</sup>ukasza Notarasa. Teraz zatem już wiesz.

G<sup>3</sup>os jej by<sup>3</sup> ostry jak szk<sup>3</sup>o. Chwyci<sup>3</sup>a gwa<sup>3</sup>townie za ko<sup>3</sup>atkę u wrót i uderzy<sup>3</sup>a trzykrotnie. Zabrzmia<sup>3</sup>o to tak samo g<sup>3</sup>ucho, jak d<sup>3</sup>wi<sup>1</sup>ecz<sup>1</sup> <sup>3</sup>opaty ziemi rzucane na trumn<sup>1</sup>e najdro<sup>z</sup>szej osoby.

Nie, nie szuka<sup>3</sup>a <sup>z</sup>adnych bocznych drzwi, by niepostrze<sup>z</sup>enie dosta<sup>1</sup>e si<sup>1</sup>e do domu. Ci<sup>1</sup>e<sup>z</sup>kie wrota otwar<sup>3</sup>y si<sup>1</sup>e. Bia<sup>3</sup>o-niebieski kaftan od<sup>3</sup>wiernego ci<sup>1</sup>e<sup>z</sup>ki by<sup>3</sup> od srebrnych szamerowa<sup>1</sup>. W drzwiach odwróci<sup>3</sup>a si<sup>1</sup>e jeszcze raz z wysoko podniesion<sup>1</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> i rzek<sup>3</sup>a do mnie jak do kogo<sup>1</sup>e obcego:

— Dzi<sup>1</sup>ekuj<sup>1</sup>e ci, panie Johannesie, że<sup>1</sup>æ odprowadzi<sup>3</sup> mnie bezpiecznie do domu mego ojca. Id<sup>3</sup> w Bogiem.

Drzwi zamkn<sup>1</sup>e<sup>3</sup>y si<sup>1</sup>e za ni<sup>1</sup>. Teraz wi<sup>1</sup>e<sup>1</sup>c wiedzia<sup>3</sup>em: jej matka jest serbsk<sup>1</sup> ksi<sup>1</sup>e<sup>z</sup>nicz<sup>1</sup>k<sup>1</sup>, bratanic<sup>1</sup> dawnego despoty. Anna jest zatem kuzyn<sup>1</sup>k<sup>1</sup> wdowy po su<sup>3</sup>tanie. Ma dwóch m<sup>3</sup>odszych braci, ojciec jest megaduksem, wielkim ksi<sup>1</sup>e<sup>z</sup>ciem. Wychowana zosta<sup>3</sup>a na cesarsk<sup>1</sup> ma<sup>3</sup>żonk<sup>1</sup>e, ale Konstantyn zerwa<sup>3</sup> zar<sup>1</sup>ęczyny. Dlaczego, dlaczego musia<sup>3</sup>em spotka<sup>1</sup>e w<sup>3</sup>acenie j<sup>1</sup>?

Anna Notaras. Straszliwa igraszka Boga zaprowadzi<sup>3</sup>a mnie tutaj. Po to wi<sup>1</sup>e<sup>1</sup>c <sup>z</sup>y<sup>3</sup>em. Wszystkie czelu<sup>1</sup>eci mojej duszy otwar<sup>3</sup>y si<sup>1</sup>e.

Mój ojciec wyruszy<sup>3</sup>, by spotka<sup>1</sup>e anio<sup>3</sup>y. Ale jego syn powróci<sup>3</sup>. Jako doros<sup>3</sup>y m<sup>1</sup>e<sup>z</sup>czyzna. Czterdziestoletni. Nie o<sup>1</sup>elepiony.

Dlaczego to jestem taki zdziwiony? Wiedzia<sup>3</sup>em to przecie<sup>z</sup> od pierwszej chwili, kiedym j<sup>1</sup> ujrza<sup>3</sup>. Wzbrania<sup>3</sup>em siê tylko myœleæ o tym. Teraz zabawa ju<sup>z</sup> przeminê<sup>3</sup>a, niech nastanie powaga.

*1 lutego 1453*

Po wielu bezsennych nocach poszed<sup>3</sup>em na forum Konstantyna Wielkiego. Marmurowe p<sup>3</sup>yty placu zmielone zosta<sup>3</sup>y na ðwir ko<sup>3</sup>ami wozów. Budyunki kruszy<sup>3</sup>y siê. Poszarza<sup>3</sup>e drewniane domy czepia<sup>3</sup>y siê niczym gniazda jaskó<sup>3</sup>cze gruntu przy po<sup>z</sup>ó<sup>3</sup>k<sup>3</sup>ych marmurowych murach.

Wspi<sup>13</sup>em siê po wy<sup>z</sup>obionych krêtych schodach na szczyt kolumny. Od czuwania i postu by<sup>3</sup>em tak zmêczony, ðe brak<sup>3</sup>o mi tchu. Krêci<sup>3</sup>o mi siê w g<sup>3</sup>owie i musia<sup>3</sup>em kilkakrotnie przystan<sup>1</sup>æ i szukaæ oparcia. Na wpó<sup>3</sup> zwalone schody s<sup>1</sup> niebezpieczne. Gdy stan<sup>13</sup>em tam wysoko, mia<sup>3</sup>em Konstantynopol na wzgórzach pod stopami.

Dawniej kolumna ta nosi<sup>3</sup>a olbrzymi pomnik cesarza na koniu. B<sup>3</sup>yszcza<sup>3</sup> on w s<sup>3</sup>oñcu jak z<sup>3</sup>oty znak nawigacyjny daleko na morzu Marmara, migota<sup>3</sup> z<sup>3</sup>ociœcie a<sup>z</sup> do brzegów Azji i wskazywa<sup>3</sup> mieczem na wschód.

Æwieræ tysi<sup>1</sup>clecia temu <sup>3</sup>aciñscy krzy<sup>z</sup>owcy str<sup>1</sup>cili ten pomnik po zdobyciu Konstantynopola. Ich panowanie trwa<sup>3</sup>o tylko przez jeden ðywot ludzki, krótki dzieñ w tysi<sup>1</sup>cletniej historii mego miasta. Potem u<sup>z</sup>ywano kolumny d<sup>3</sup>ugo jako miejsca straceñ. Z tej zawrotnej wysokoœci str<sup>1</sup>cano zdrajców na p<sup>3</sup>yty rynku. W koñcu œwi<sup>1</sup>tobliwy mnich obra<sup>3</sup> sobie kolumnê za miejsce zamieszkania i nie opuœci<sup>3</sup> jej, dopóki jego wysuszonego od s<sup>3</sup>oñca i zwiêd<sup>3</sup>ego od wiatrów cia<sup>3</sup>a nie spuszczone w dó<sup>3</sup> na linach. G<sup>3</sup>osi<sup>3</sup> gniew Boga i swoje w<sup>3</sup>asne objawienia ludzkim t<sup>3</sup>umom, które zwyk<sup>3</sup>y zbieraæ siê na placu, by gapiæ siê na niego. Jego ochryp<sup>3</sup>y g<sup>3</sup>os, jego przekleñstwa i b<sup>3</sup>ogos<sup>3</sup>awieñstwa tonê<sup>3</sup>y w szumie wiatru. Ale przez jedno pokolenie i on nale<sup>z</sup>a<sup>3</sup> do osobliwoœci mego miasta.

Teraz nie ma ju<sup>z</sup> nic na szczycie kolumny, zupe<sup>3</sup>nie nic. Jej kamienie zaczynaj<sup>1</sup> rozluŸniaæ siê w spojeniach. Czas œwiata doszed<sup>3</sup> do zorzy wieczornej. Pod naciœniêciem mojej stopy jakœ kamieñ spad<sup>3</sup> za brzeg kolumny. Po d<sup>3</sup>ugiej chwili us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>em g<sup>3</sup>uche uderzenie, gdy dosiêgn<sup>13</sup> ziemi. Plac by<sup>3</sup> pusty.

Moje miasto dotar<sup>3</sup>o do swego wieczora. Znik<sup>3</sup> ðar porfiru i blask z<sup>3</sup>ota. Znik<sup>3</sup>a œwiêtoœæ. Ucich<sup>3</sup> œpiew chórów anielskich. Pozosta<sup>3</sup>y tylko ð<sup>1</sup>dza cia<sup>3</sup>a i œmieræ serca. Ch<sup>3</sup>ód, obojêtnoœæ, chciwoœæ handlu, intrygi polityki. Moje miasto by<sup>3</sup>o umieraj<sup>1</sup>cym cia<sup>3</sup>em, które ju<sup>z</sup> wyzionê<sup>3</sup>o ducha. Duch ulecia<sup>3</sup> w zatêch<sup>3</sup>e powietrze klasztoru. Duch skry<sup>3</sup> siê w ðó<sup>3</sup>tych kodeksach biblioteki, których karty przewracaj<sup>1</sup> siwow<sup>3</sup>osi starcy.

Czarny welon nocy otuli<sup>3</sup> moje miasto. Cienie nocy rozpostar<sup>3</sup>y siê ku Zachodowi.

Rozp<sup>3</sup>omieñ siê, moje miasto! — zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>em z pieczary mego serca. — Rozp<sup>3</sup>omieñ siê i zap<sup>3</sup>oñ jeszcze raz! Ostatni raz. Rozpal siê u bram nocy i zapal p<sup>3</sup>omieñ twej œwiêtoœci. Tysi<sup>1</sup>c lat zmieni<sup>3</sup>o

w kamień twego ducha. Ale wyciœnij ducha z kamienia, po raz ostatni. Wyciœnij z kamienia ostatnie krople twego œwiœtego oleju. W³ó¿ cierniow¹ koronê Chrystusa na skroñ. Odziej siê po raz ostatni w purpurê, ¿eby staæ siê godnym siebie samego.

G³êboko pod moimi stopami spoczywa³y nieruchomo zachodnie okrêty w d³ugiej zatoce portowej. Niespokojne fale œciga³y siê nawzajem po morzu Marmara. Krzycz¹ce stada ptaków wisia³y nad wy³o¿onymi przez rybaków sieciami. U moich stóp wznosi³y siê zielone kopu³y koccio³ów. Od zbocza do zbocza rozpociera³a siê wokó³ nich szara masa domów. I mury, niezwyçê¿one mury ze swymi wie¿ami, rozpina³y³uk od brzegu do brzegu i zamyka³y moje miasto w swym chroni¹cym objêciu.

Nie, nie rzuci³em siê z kolumny na kamienie placu. Zadowolili³em siê tym, by byæ cz³owiekiem. Zadowolili³em siê moimi niewolniczymi kajdanami, kajdanami czasu i miejsca. Jak¿e mó³by niewolnik coœ posiadaæ. Nie chcia³em nic mieæ. Moja wiedza jest ograniczona, moje s³owa s¹ niewystarczaj¹ce, niepewnoœæ jest moj¹ jedyn¹ pewnoœci¹. Dlatego te¿ nie waha³em siê.

—egnaj, Anno Notaras — powiedzia³em w swym sercu. — —egnaj, moja ukochana. Nie wiesz, kim jestem, i nigdy siê nie dowiesz. Niech ojciec twój rz¹dzi jako pasza Konstantynopola i wasal su³tana, jeœli taki jest jego wybór. Mnie to obojêtnie. Konstantyn nie chcia³ ciebie, ale mo¿e su³tan Mehmed wynagrodzi tê zniewagê i zaprowadzi ciê do³o¿nicy, by zwi¹zaæ z sob¹ twego ojca. Ma wiele ma³¿onek. Wœród nich znajdzie siê miejsce i dla ciebie, Greczynki.

Potem znów odzyska³em spokój duszy po nie przespanych nocach i wielkiej pokusie, serce moje rozp³ynê³o siê w pustce Boga i nawet moja gorycz stopnia³a. W miarê jak moje kolana z wolna stawa³y siê bez czucia i serce zwalnia³o tempo uderzeñ, osun¹³em siê do pozycji, której siê nauczy³em, schyli³em g³owê i zamkn¹³em oczy.

—egnaj, moja ukochana, jeœli mam ciê ju¿ nigdy nie zobaczyæ — powiedzia³em w sercu — ¿adna inna nie by³a do ciebie podobna. Jesteœ siostr¹ mojej krwi. Jesteœ jedyn¹ gwiazd¹ mojej b³ogocici. B³ogos³awiê ciê za to, ¿e dane mi by³o ciebie spotkaæ. B³ogos³awiê twoje ziemskie oczy. B³ogos³awiê twoje ziemskie cia³o. Wszystko w tobie b³ogos³awiê.

Z zamkniêtymi oczyma wpatrywa³em siê w gwiazdê w g³êbi mojej istoty. Granice czasu i przestrzeni znik³y. Mój puls os³ab³. Moje cz³onki och³od³y.

Ale Bóg nie jest ch³odem.

Gwiazda we mnie rozprys³a siê w olœniewaj¹c¹ nieskoñczonoœæ. Gor¹ca ekstaza sp³ynê³a na mnie dr¿¹cymi falami.

Ale Bóg nie jest gor¹cem.

Wtopi³em siê w olœniewaj¹ce œwiat³o, by³em jasnoœci¹ jasnoœci, œwiat³em œwiat³a.

Ale Bóg nie jest œwiat³em.

I przysz³a ciemnoœæ. Ciemniejsza ni¿ ziemska ciemnoœæ. Cichsza ni¿ cisza. Mi³osierniejsza

niż ciemności.

Ale Bóg nie jest ciemności<sup>1</sup>.

I nie było już ani chłodu, ani gorąca, ani ciemności, ani ciemności. Tylko niebycie było. Bóg był we mnie. Ja byłem w Bogu.

Bóg był.

Trzymałem w dłoni kamyczek. Gdy palce rozwarły się, spadł na ziemię między moje kolana. Szczęk kamienia o kamień zbudzi mnie. Tylko tę chwilę, którą zabrakło upadek kamienia, trwało bezczasowość mojej ekstazy. Kiedy człowiek doznaje Boga, nie ma różnicy między okamgnieniem i trwającym przez dobę letargiem. Bóg nie zna czasu.

Być może zostałem odmieniony. Być może uszła ze mnie siła. Być może w tej chwili mógłbym uzdrawiać chorych i przywoływać umarłych znowu do życia. Ale nie potrzebowałem robić nic takiego, by udowodnić sobie, kim jestem. Przekonywałem siebie samego to wątpię. Zwątpienie i niepewność są cechami człowieka. Ja nie wątpię. Byłem równy aniołom. Ale zawróciłem z mojej swobody do kajdan czasu i przestrzeni. I moje niewolnictwo nie było już dla mnie obciążeniem, lecz darem.

*2 lutego 1453*

Przespawszy się aż do wieczora, wyszedłem, by poszukać Giovanniego Giustinianiego, dowódcy Genuńczyków. Nie było go na okręcie ani też w Blachernach. Znalazłem go w końcu w arsenale, przy rozgrzanych piecach odlewniczych. Stał oparty o dwuręczny miecz, szeroki w barach, dobrej tuszy mężczyzna z wielkim brzuchem, o głos wyższy od innych, nawet ode mnie. Głos dudnił mu jak z beczki, gdy wykrzykiwał polecenia do cesarskich techników i odlewczy. Cesarz Konstantyn mianował go już protostratorem, głównodowodzącym obrony miasta. Był w doskonałym nastroju, gdyż cesarz obiecał mu mistrzostwo i wyspę Lemnos w dziedziczne lenno, jeżeli uda mu się odeprzeć Turków. Ufał samemu sobie i znał się na swoim fachu. Wiedział, że po jego rozkazach i pytaniach, gdy dowiadywał się, ile i jak wielkich dział i balist arsenału może sporządzić, gdyby pracowali dzień i noc do przyjęcia Turków.

— Protostratorze — zwróciłem się do niego. — Przyjmij mnie do służby. Ucieknę od Turków i umiem walczyć mieczem i napinać łuk.

Miałem twarde i bezlitosne oczy, choć się ucieszyłem. Zwróciłem ku mnie nalaną twarz bacznie mi

siê przygl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c.

— Nie jesteœ zwyk<sup>3</sup>ym ȳo<sup>3</sup>nierzem — stwierdzi<sup>3</sup>.

— Nie, nie jestem zwyk<sup>3</sup>ym ȳo<sup>3</sup>nierzem — odpar<sup>3</sup>em.

— Masz akcent toskañski — zauwa<sup>3</sup>ȳy<sup>3</sup> podejrzliwie, gdy<sup>3</sup> przemawia<sup>3</sup>em do niego po w<sup>3</sup>osku, ȳeby wzbudziæ w nim zaufanie.

— Mieszka<sup>3</sup>em we Florencji przez kilka lat — rzek<sup>3</sup>em. — Ale urodzony jestem w Awinionie. Umiem mówiæ po francusku i po w<sup>3</sup>osku, po <sup>3</sup>acinie i po grecku, po turecku i trochê po arabsku, i po niemiecku. Potrafiê sporz<sup>1</sup>dzaæ listy zapasów. Wiem docæ du<sup>3</sup>o o prochu i o dzia<sup>3</sup>ach. Potrafiê nastawiaæ balistê na ró<sup>3</sup>ne odleg<sup>3</sup>oœci. Nazywam siê Jean Ange. Umiem te<sup>3</sup> ȳczyæ psy i konie.

— Jean Ange — powtórzy<sup>3</sup> wpatruj<sup>1</sup>c siê we mnie swymi wypuk<sup>3</sup>ymi oczyma wo<sup>3</sup>u. — Jeœli to wszystko, co mówisz, jest prawd<sup>1</sup>, to jesteœ cudem. Ale dlaczego nie kaza<sup>3</sup>eœ zapisaæ swego nazwiska na liœcie werbunkowej cesarza? Czemu szukasz s<sup>3</sup>u<sup>3</sup>by u mnie?

— Ty jesteœ protostratorem — odrzek<sup>3</sup>em.

— Coœ przede mn<sup>1</sup> taisz — powiedzia<sup>3</sup>. — Widocznie na pró<sup>3</sup>no szuka<sup>3</sup>eœ s<sup>3</sup>u<sup>3</sup>by u cesarza. I teraz przychodzisz do mnie. Ale dlaczego ja mia<sup>3</sup>bym ci ufaæ bardziej ni<sup>3</sup> bazyleus.

— Nie robiê tego dla ȳo<sup>3</sup>du — kusi<sup>3</sup>em go. — Nie musisz mi p<sup>3</sup>aciaæ ani nawet miedziaka. Nie jestem ubogi. Nie ȳ<sup>1</sup>dam pieniêdzy. To dla Chrystusa. Dla Konstantynopola. Noszê krzy<sup>3</sup> na ramieniu, choæ tego nie widaæ.

Wybuchn<sup>13</sup> œmiechem i waln<sup>13</sup> siê w otwart<sup>1</sup> d<sup>3</sup>oni<sup>1</sup> w udo.

— Nie pleæ bredni! — krzykn<sup>13</sup>. — M<sup>1</sup>dry ch<sup>3</sup>op w twoim wieku nie szuka korony mœczeniœskiej. Mnie i moim ludziom kardyna<sup>3</sup> Izydor naturalnie poprzysi<sup>1</sup>g<sup>3</sup> na wszystkie œwiêtoœci, ȳe ka<sup>3</sup>dego, kto polegnie na murach, œwiêty Piotr wci<sup>1</sup>gnie za uszy do królestwa niebieskiego. Mnie jednak wystarczy, jeœli dostanê Lemnos i ksi<sup>1</sup>ȳêc<sup>1</sup> koronê zamiast cierniowego wieñca. Do czego zatem zmierzasz? Powiedz otwarcie albo zabieraj siê st<sup>1</sup>d i nie przeszkadzaj mi. Inne ju<sup>3</sup> teraz czasy.

— Giovanni Giustiniani — zakl<sup>13</sup>em go. — Mój ojciec by<sup>3</sup> Grekiem. W moich ȳ<sup>3</sup>ach p<sup>3</sup>ynie krew tego miasta. Gdybym wpad<sup>3</sup> w rêce Turków na nowo, su<sup>3</sup>tan Mehmed ka<sup>3</sup>e mnie wbiaæ na pal. Dlaczego wiêc nie mia<sup>3</sup>bym raczej sprzedaæ tanio mego ȳycia?

Ale on mi nie wierzy<sup>3</sup>. W koñcu musia<sup>3</sup>em zni<sup>3</sup>ȳæ g<sup>3</sup>os, rozejrzeæ siê ukradkiem doko<sup>3</sup>a i powiedziæ:

— Uciekaj<sup>1</sup>c od su<sup>3</sup>tana ukrad<sup>3</sup>em woreczek klejnotów. Nie odwa<sup>3</sup>ȳy<sup>3</sup>em siê tego nikomu wyjawiaæ. Teraz rozumiesz ju<sup>3</sup>, dlaczego nie chcê wpaœæ w jego moc.

By<sup>3</sup> Genueñczykiem, z<sup>3</sup>apa<sup>3</sup> siê na haczyk. W jego oczach pojawi<sup>3</sup> siê zielonkawy b<sup>3</sup>ysk. I on te<sup>3</sup> rozejrza<sup>3</sup> siê woko<sup>3</sup>o i uj<sup>13</sup> mnie potem przyja<sup>3</sup>nie za ramiê. Dysz<sup>1</sup>c mi oparami wina prosto w twarz,

pochyli<sup>3</sup> siê do przodu i szepn<sup>13</sup> mi do ucha:

— Może bardziej ci uwierzê i bêdê mógł<sup>3</sup> żywiæ do ciebie zaufanie, jeżeli pokażesz mi te klejnoty.

— Dom, który wynajmujê, stoi przy drodze do portu — odpar<sup>3</sup>em. — Wszak mieszkasz jeszcze na pok<sup>3</sup>adzie swego okrêtu.

Wsiad<sup>3</sup> niezdarnie na dużego bojowego rumaka. Dwóch goñców z pochodniami sz<sup>3</sup>o przed nami, by oświetlaæ nam drogê. Straż przyboczna maszerowa<sup>3</sup>a za nami ze szczêkiem pancerzy. Kroczy<sup>3</sup>em z szacunkiem u jego boku z rêk<sup>1</sup> na strzemieniu.

Mój s<sup>3</sup>uga Manuel otworzy<sup>3</sup> nam wystraszony, gdy Ÿo<sup>3</sup>dacy za<sup>3</sup>omotali do drzwi. Giustiniani potkn<sup>13</sup> siê na kamiennym lewku i zakl<sup>13</sup>. Latarnia zadr<sup>3</sup>a w rêku Manuela.

— Podaj cielêcinê i ogórki — nakaza<sup>3</sup>em. — Wino i duże puchary.

Giustiniani wybuchn<sup>13</sup> g<sup>3</sup>ocnym œmiechem i rozkaza<sup>3</sup> Ÿo<sup>3</sup>nierzom czekaæ na ulicy. Schody trzeszcza<sup>3</sup>y pod jego ciêżarem. Skrzesa<sup>3</sup>em ogieñ i zapali<sup>3</sup>em wszystkie œwiece, zanim wyj<sup>13</sup>em ze schowanka ma<sup>3</sup>y skórzany woreczek. Wywróci<sup>3</sup>em go na drug<sup>1</sup> stronê. Rubiny, szmaragdy i diamenty rozb<sup>3</sup>ys<sup>3</sup>y czerwonymi, zielonymi i bia<sup>3</sup>ymi blaskami w œwietle œwiec.

— Œwiêta Matko Boska — zaszepta<sup>3</sup> Giustiniani, rzuci<sup>3</sup> na mnie wzrokiem i wyci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> z wahaniem grub<sup>1</sup> piêœæ nie waŸ<sup>1</sup>c siê jednak dotkn<sup>1</sup>æ klejnotów.

— WeŸ sobie, który chcesz — rzek<sup>3</sup>em. — Nie zobowi<sup>1</sup>zuje ciê to do niczego. Tylko jako znak mojej przyjaŸni. Nie staram siê bynajmniej kupiaæ twoich wzglêdów ani twego zaufania.

Nie wierzy<sup>3</sup> mi zrazu. Potem wybra<sup>3</sup> rubin w kolorze krwi go<sup>3</sup>êbia. Nie najwiêkszy, ale naj<sup>3</sup>adniejszy. Nie po raz pierwszy mia<sup>3</sup> do czynienia ze szlachetnymi kamieniami.

— Postêpujesz jak ksi<sup>1</sup>ê — powiedzia<sup>3</sup> podziwiaj<sup>1</sup>c rubin trzymany miêdzy koniuszkami palców. G<sup>3</sup>os jego zmieni<sup>3</sup> siê. Nie wiedzia<sup>3</sup> juŸ, co ma o mnie myœleæ.

Nie odpowiedzia<sup>3</sup>em. Przygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> mi siê znowu badawczo b<sup>3</sup>yszcz<sup>1</sup>cymi, wypuk<sup>3</sup>ymi oczyma, potem zniŸy<sup>3</sup> wzrok i pog<sup>3</sup>adzi<sup>3</sup> d<sup>3</sup>oni<sup>1</sup> wytarte skórzane pludry.

— NaleŸy do mego zawodu umieæ oceniaæ ludzi — ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> — aŸeby odsiewaaæ plewy, a zachowywaæ ciêżkie ziarna. Coœ mi mówi, Ÿe nie jesteœ z<sup>3</sup>odziejem. Coœ mnie zmusza, Ÿeby ci ufaæ. I powodem tego nie jest tylko ten rubin. Takie uczucie jest niebezpieczne.



— Napijmy siê wina — powiedzia³em. Manuel wszed³ z miêsem, drewnian¹ fask¹ z ogórkami, winem i moim najwiêkszym pucharem. Giustiniani wypil³, wyci¹gn¹³ puchar i rzek³:

— Na twoje powodzenie, ksi¹¿ê.

— Kpisz sobie ze mnie? — zapyta³em.

— Bynajmniej — odpar³. — Zawsze wiem, co mówiê. Nawet kiedy pijê. Zwyk³y cz³owiek taki jak ja mo¿e postaraæ siê o koronê, by ozdobiaæ ni¹ g³owê, ale nie bêdzie jeszcze z tego powodu ¿adnym ksiêciem. Inni nosz¹ koronê ksi¹¿êc¹ w sercu. Twoje czo³o, twoje spojrzenie, twój sposób bycia œwiadczy¹ o tym, czym jesteœ. Ale nie niepokój siê. Potrafiê milczeæ. Czego wiêc chcesz ode mnie?

Zapyta³em:

— Protostratorze, czy rzeczywiœcie wierzysz, ¿e potrafisz obroniaæ Konstantynopol?

Odpowiedzia³ mi pytaniem na pytanie:

— Czy masz taliê kart, panie Jeanie Ange?

Wyj¹³em taliê kart, t³oczonych z drzeworytów, takich, jakie ¿eglarze zwykli sprzedawaæ w portach. Zmiesza³ je z roztargnieniem i zacz¹³ uk³adaæ przed sob¹ obrazkami do góry. A potem powiedzia³:

— Nigdy bym nie do¿y³ tego wieku i nie osi¹gn¹³ takiej pozycji, jak¹ mam, gdybym nie umia³ graæ w karty. Los rozdaje nam karty. Doœwiadczony cz³owiek bierze je, sprawdza i ocenia, nim zdecyduje, czy weŹmie udzia³ w grze, czy nie. Nie jest konieczne graæ w ka¿dym rozdaniu. Mo¿na zawsze od³o¿yæ swoje karty i czekaæ na lepsze. Prawdziwego gracza nie skusi nawet najwiêksza stawka, jeœli spostrze¿e, ¿e jego karty s¹ zbyt kiepskie. Nie mo¿na wprawdzie widzieæ kart przeciwnika, ale mo¿na je zawsze wyliczyæ i odgadn¹æ. A oprócz dobrych kart potrzebna jest bieg³oœæ w grze. Nade wszystko zaœ szczêœcie. Dotychczas mia³em szczêœcie, panie Jeanie Ange!

Tak, dotychczas mia³em szczêœcie w grze — ci¹gn¹³ i opró¿ni³ puchar kilkoma g³êbokimi ³ykami. — Dotychczas, jak powiedzia³em. I nawet ksi¹¿êca korona nie mo¿e zwabiaæ mnie do z³ej gry. Ale zbada³em mury. Przez wiele pokoleñ opar³y siê Turkom. Dlaczego nie mia³yby siê oprzeæ i tym razem. Przejrza³em arsena³y i sprawdzi³em ¿o³nierzy cesarza. Dopiero po g³êbokim namyœle postawi³em na kartê moj¹ s³awê i ¿ycie. Jak z tego widzisz, myœlê, ¿e mam doœæ przydatne karty.

— Ponadto masz swoje okrêty — dorzuci³em.

— S³usznie — przyzna³ bez wstydu. — Ponadto mam swoje okrêty. Ostatni¹ kartê, w najgorszym

wypadku. Ale nie obawiaj się. Jeżeli Giovanni Giustiniani postanawia się bić, to się bije. Tak jak nakazuje mu jego cześć i rozsudek. Aż do ostatniej możliwości. Ale nie więcej. Nie, nie więcej.

— życie jest wysoką stawką — cięgniesz. — Wyższej nikt nie może wymagać. Nawet najmocniejszy pancerz nie powstrzyma ołowianej kuli. Oszczep zawsze może się wczepić pod pancerz. Podnosisz miecz do ciosu, trzeba odsłonić pachę. Strzała może wtargnąć przez przybicie u hełmu. Pancerz nie przyda się na nic na miotacze ognia i roztopiony ołów. Wiem, w co się wdaję. To mój zawód. Mam także swój honor. Bić się do ostatniej możliwości. Ale nie poza nią, nie dalej niż do niej.

Nalałem mu więcej wina.

— Giustiniani, co chcesz za zatopienie swoich okrętów? — zapytałem, tak jakby to była całkiem powszednią sprawą.

Wzdrygniesz się i przelegną krzyżem na sposób acański.

— Też pleciesz — powiedziałem. — Tego nie uczynię.

— Te oto kamienie... — rzekłem zgarniając byszczące klejnoty w małą kupkę na stole — za nie mógłbyś wystawić dziesięć nowych okrętów w Genui.

— Być może — przyznał, patrzył chciwie na blask rubinów i biało-niebieskie iskrzenie się diamentów między moimi palcami. — Być może. Gdybym miał je w Genui. Nie, Jeanie Ange. Nie jesteśmy w Genui. Gdybym zatopił moje statki, te kamienie nie miałyby dla mnie wcale wartości. Nawet gdybyś mi zaofiarował dziesięć czy sto razy tyle, ile warte są moje okręty, nigdy bym ich nie zatopił.

— Tak mało zatem ufasz swoim kartom? — zapytałem.

Odparł:

— Ufam im. Będę nimi grał. Ale jestem rozsądnym człowiekiem.

Przeciągniesz dłoń po nabrzmiałej twarzy, uśmiechniesz się lekko i stwierdzisz:

— No, no zaczynamy pewnie być troszkę pijani, ponieważ gadamy takie rzeczy. — Ale to nie było prawdą. Mógłbyś wlać w swoje bczce trochę antykwarycznego wina nie upijając się zbytnio.

Zebrałem kamienie w obie dłonie.

— Dla mnie są one bezwartościowe — rzekłem. — Ja zatopiłem swoje okręty.

Tak oto bez wartości s<sup>1</sup> one dla mnie — powtórz<sup>3</sup>em chrapliwie i cisn<sup>13</sup>em je, aż zagrzechota<sup>3</sup>y jak grad o ocean<sup>ê</sup> i pod<sup>3</sup>og<sup>ê</sup>. — Masz je! We<sup>Ź</sup> je sobie, jeżeli chcesz. To przecież tylko kamienie.

— Jesteście pijany! — wykrzykn<sup>13</sup>. — Nie wiesz, co czynisz. Jutro rano będziesz się trzyma<sup>3</sup> za g<sup>3</sup>ow<sup>ê</sup> obiema rękami i gorzko tego ża<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>.

Pali<sup>3</sup>o mnie w gardle. Nie mog<sup>3</sup>em wykrztusić s<sup>3</sup>owa. Potrz<sup>1</sup>sn<sup>13</sup>em g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>.

— We<sup>Ź</sup> je — uda<sup>3</sup>o mi się w końcu powiedzić. — To cena za moj<sup>1</sup> krew. Każ<sup>3</sup> mnie zapisać na listę twoich żo<sup>3</sup>nierzy. Pozwól mi być się wraz z twoimi lud<sup>Ź</sup>mi. Niczego więcej nie ż<sup>1</sup>dam.

Wpatrzy<sup>3</sup> się we mnie z szeroko otwartymi ustami. Potem w oczach jego zapali<sup>3</sup> się b<sup>3</sup>ysk pow<sup>1</sup>tpiewania.

— Czy to prawdziwe klejnoty? — zapyta<sup>3</sup> potrz<sup>1</sup>saj<sup>1</sup>c g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>.

— A może to tylko farbowane szkie<sup>3</sup>ka, takie jakimi Wenecjanie zwykli oszukiwać Murzynów?

Schyli<sup>3</sup>em się po zgrubsza i niezdarnie oszlifowany diament, podszed<sup>3</sup>em do okna i przeci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>em g<sup>3</sup>ębok<sup>1</sup> rys<sup>ê</sup> po zielonkawej powierzchni szyby z góry do do<sup>3</sup>u, aż zazgrzyta<sup>3</sup>o mi w uszach. A potem odrzuci<sup>3</sup>em diament.

— Jesteś szalony — powiedzia<sup>3</sup> i potrz<sup>1</sup>sn<sup>13</sup> ponownie swój<sup>1</sup> pot<sup>ê</sup>żn<sup>1</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>. — By<sup>3</sup>oby nies<sup>3</sup>uszne, gdybym wykorzysta<sup>3</sup> twój stan zamroczenia. Wycepij się i niech ci się przejaćni w g<sup>3</sup>owie. Potem możemy spotkać się znowu.

— Czy widzia<sup>3</sup>ecie kiedykolwiek samego siebie w widzeniu na jawie? — zapyta<sup>3</sup>em. Być może upi<sup>3</sup>em się trochę winem, jako że nie by<sup>3</sup>em przyzwyczajony. — Ja widzia<sup>3</sup>em. Raz, na Węgrzech, przed Warn<sup>1</sup>, przeży<sup>3</sup>em trzęsienie ziemi. Konie ponosi<sup>3</sup>y i <sup>3</sup>ama<sup>3</sup>y dyszle. Ptaki wlatywa<sup>3</sup>y przerażonymi stadami. Namioty przewraca<sup>3</sup>y się. Ziemia trzęs<sup>3</sup>a się i falowa<sup>3</sup>a. Wówczas po raz pierwszy ukaza<sup>3</sup> mi się anio<sup>3</sup> oemierci. By<sup>3</sup> m<sup>ê</sup>żem bladym i smag<sup>3</sup>awym. By<sup>3</sup> moim odbiciem. Tak jakbym widzia<sup>3</sup> siebie samego id<sup>1</sup>cego mi naprzeciw. Powiedzia<sup>3</sup>: “Spotkamy się znowu”.

Na bagnach pod Warn<sup>1</sup> widzia<sup>3</sup>em go po raz drugi — ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>em. — Sta<sup>3</sup> za mn<sup>1</sup>, gdy uciekaj<sup>1</sup>cy Węgrzy zak<sup>3</sup>uli kardyna<sup>3</sup>a Cesariniego. Gdy odwróci<sup>3</sup>em g<sup>3</sup>ow<sup>ê</sup>, ujrza<sup>3</sup>em anio<sup>3</sup>a oemierci, który by<sup>3</sup> moim odbiciem. “Spotkamy się znowu, powiedzia<sup>3</sup>, spotkamy się przy bramie Œwi<sup>ê</sup>tego Romana”. Teraz zaczynam go rozumieć.

Nie jestem żadnym z<sup>3</sup>odziejem — mówi<sup>3</sup>em dalej. — Łaska su<sup>3</sup>tańska może uczynić niewolnika bogatszym od niejednego zachodniego księcia. Po bitwie przyprawdzono mnie przed su<sup>3</sup>tana Murada, wraz z innymi jeńcami. Jego zwycięstwo wisia<sup>3</sup>o na w<sup>3</sup>osku. Obwis<sup>3</sup>e policzki i worki pod oczyma dr<sup>3</sup>a<sup>3</sup>y mu jeszcze z napięcia i strachu, przez które przeszed<sup>3</sup>. By<sup>3</sup> przysadzisty, o g<sup>3</sup>ow<sup>ê</sup> ni<sup>3</sup>ższy ode mnie i przedwzecie oci<sup>ê</sup>ża<sup>3</sup>y od bezczynności i wygodnego życia. Wielu wyci<sup>1</sup>ga<sup>3</sup>o do

niego r ce i g oeno wo a o ofiaruj c wykup za swoje  ycie. Ale w jego oczach byli my wszyscy krzywoprzysie cami i gwa cicielami pokoju. Ufaj c w pok j zd y  ju  zrezygnowa  z tronu na korzy c Mehmeda i osiedli  si  na staro c w parkach i ogrodach Magnezji. Teraz kaza  nam wybiera  tylko mi dzy islamem a  mierci . Ziemia ocieka a krwi , gdy jeden po drugim, wedle wieku i godno ci, kl kali przed mieczem katowskim. Wielu przel k o si  na widok tocz cych si  g  w. Wybuchali p aczem i wyznawali g oeno Boga islamu i jego Proroka. Nawet i niekt rzy mnisi wyznali,  e stracili wiar , odk d B g da  zwyci stwo Turkom.

Ale Murad by  zm czony i przedwzecie postarza y — ci gn em. — Jego najukocha szy syn utopi  si  i od tej pory su tan nie troszczy  si  ju  zbytnio o sprawowanie rz d w. Nabra  zwyczaju topienia smutku w winie wesp   z uczonymi i poetami. Nie kocha  rozlewu krwi. Gdy przysz a moja kolej, spojrze  na mnie, spodoba a mu si  moja twarz i rzek : “Jeste  jeszcze m ody, dlaczego mia by  zakosztowa   mierci? Wyznaj wi c wiar  w Proroka”. Odpar em: “Jestem jeszcze m ody, ale got w jestem zap acia  ludzki d ug, podobnie jak i ty kiedy  go zap acisz, wielki su tanie”. S owa moje spodoba y mu si . “Masz s usznoc c, powiedzia , kiedy  przyjdzie dzie , gdy nieznana r ka zr wna moje boskie prochy z ziemi ”. Da  znak,  e chce mi darowa   ycie. By  to tylko kaprys, gdy  s owa moje wyzwoli y w jego duszy poetyckie natchnienie. Chcesz us ysze  wiersz su tana Murada po bitwie pod Warn , Giovanni Giustiniani?

Giovanni potrz sn  swoj  bycz  g ow  na znak,  e nie troszczy si  zbytnio o poezj , dola  sobie wina i zacz  gry c plaster zimnej ciel ciny. Podsun em mu bli ej og rki i przeczyta em po turecku ten niezapomniany wiersz, odmierzaj c strzelaniem w palce takt, jakbym szarpa  struny lutni. Potem prze o y em go mu:

*Podczaszy, nalej mi znowu wczorajszego wina,*

*przynie  m  lutni , daj zapomnienie memu sercu,*

*kr tk  chwil  trwa  ycie, rozkoszne s  tej chwili spoczynek i rado c*

*pewnego dnia nieznana r ka zr wna me boskie prochy z ziemi .*

Takie by o serce su tana Murada — m wi em. — Umocni  on pot g  Turk w i prowadzi  jedn  wojn  po drugiej, by stworzy  trwa y pok j. Dwa razy przekazywa  tron Mehmedowi. Za pierwszym razem zmusili go do powrotu chrze cijanie. Za drugim razem przywo a  go z powrotem wielki wezyr Halil, po tym jak janczarowie spalili bazar w Adrianopolu. Od tej pory Murad pogodzi  si  z losem i panowa  a  do  mierci nie prowadzi c wi cej wojen. Dwa razy w tygodniu upija  si  z poetami i filozofami. Wtedy zwyk  by  obdarza  przyjaci   honorowymi kaftanami, dobrami ziemskimi i szlachetnymi kamieniami. I nigdy nie domaga  si  ich zwrotu nast pnego dnia. Kilka z tych klejnot w to dary su tana Murada. Zatrzymaj je, Giovanni, je li chcesz. Ja ich nie potrzebuj  i te  nie b d 

domaga<sup>3</sup> siê ich zwrotu jutro.

Gustiniani wetkn<sup>13</sup> do ust pó<sup>3</sup> ogórka, otar<sup>3</sup> rêce z kwasu o skórzane pludry, przełegna<sup>3</sup> siê pobożnie i pad<sup>3</sup> niezdarnie na czworaki u moich stóp.

— Jestem ubogim cz<sup>3</sup>owiekiem i zwyk<sup>3</sup>ym wojownikiem — powiedzia<sup>3</sup>. — Nie mogê sobie pozwoliæ na che<sup>3</sup>pliwoœæ. Korzê siê chêtne dla dobrej sprawy.

Zacz<sup>13</sup> czo<sup>3</sup>gaa siê po ziemi i zbieraæ klejnoty, a ja przyœwieca<sup>3</sup>em mu œwiec<sup>1</sup>, aby żaden kamieñ nie uszed<sup>3</sup> jego uwagi. Sapa<sup>3</sup> czo<sup>3</sup>gaj<sup>1</sup>c siê, ale mówi<sup>3</sup>:

— Tylko nie zacznij mi pomagaæ, na wszystko ciê proszê. Ten wysi<sup>3</sup>ek jest bardziej luby dla moich cz<sup>3</sup>onków niź zapasy z najpiêkniejsz<sup>1</sup> kobiet<sup>1</sup> na œwiecie.

Podam mu czerwony skórzany woreczek. Zebra<sup>3</sup> do niego starannie klejnoty, podniós<sup>3</sup> siê w koñcu z ziemi, zawi<sup>1</sup>za<sup>3</sup> woreczek i wetkn<sup>13</sup> go ostrożnie za pazuchê.

— Wcale nie jestem chciwy — powiedzia<sup>3</sup> — któryœ z mniejszych kamieni móg<sup>3</sup> <sup>3</sup>atwo wpaœæ w szparê pod<sup>3</sup>ogi albo potoczyæ siê pod dywan, ale znajdzie go chyba twój s<sup>3</sup>u<sup>1</sup>cy przy sprz<sup>1</sup>taniu. Dziêkujê ci.

Przekrzywi<sup>3</sup> g<sup>3</sup>owê i przygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> mi siê <sup>3</sup>askawszymi oczyma.

— W moim Źyciu — powiedzia<sup>3</sup> — natkn<sup>13</sup>em siê na mêtów œwiêtých, maj<sup>1</sup>cych przywidzenia, i na wielu innego rodzaju szaleñców. By<sup>3</sup>bym chyba i sam szalony, gdybym nie przyznawa<sup>3</sup>, że na œwiecie dzieje siê duŹo rzeczy, których znikomy rozum cz<sup>3</sup>owieka nie moŹe poj<sup>1</sup>æ. Takim wydarzeniem jest to, że spotka<sup>3</sup>em ciebie.

Wyci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> do mnie szerok<sup>1</sup> <sup>3</sup>apê i uœcisn<sup>13</sup> mi d<sup>3</sup>oñ nie ukrywaj<sup>1</sup>c wdziêcznoœci.

— Od dzisiejszego dnia jesteœ moim przyjacielem, panie Jeanie Ange — zapewnia<sup>3</sup>. — I nie dam ucha Źadnym plotkom, które moŹe bêtê s<sup>3</sup>yszeæ o tobie. Jutro rano, zaraz po pobudce, kaŹê ciê wpisaæ do moich list zaciêtých. Ale wtedy musisz byæ obecny. Dostaniesz konia i rynsztunek, i moŹesz byæ pewny, że dam ci dostatecznie duŹo roboty, Źebyœ przyzwyczai<sup>3</sup> siê do mojej dyscypliny. <sup>3</sup>o<sup>3</sup>nierzy æwiczê surowiej niź Turcy.

Lecz nie waln<sup>13</sup> mnie w plecy ani nie uderzy<sup>3</sup> po ramieniu, jak moŹe by to zrobi<sup>3</sup> ktoœ mniej doœwiadczony. Przeciwnie, sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> z szacunkiem g<sup>3</sup>owê odchodz<sup>1</sup>c i powiedzia<sup>3</sup>:

— Zachowaj swój<sup>1</sup> tajemnicê. Nie jestem ciekawy. Nie postêpowa<sup>3</sup>byœ tak, jak czynisz, gdybyœ mia<sup>3</sup> z<sup>3</sup>e zamys<sup>3</sup>y. Ufam ci.

Grecy odrzucili mnie, <sup>3</sup>acinnik mnie przyj<sup>13</sup>. Zrozumia<sup>3</sup> mnie lepiej niź Grecy. Giovanni Giustiniani.

Dosta<sup>3</sup>em wierzchowca i rynsztunek. Przez pierwsze dni Giustiniani wystawia<sup>3</sup> na próbê mnie i moje umiejêtnoœci. Musia<sup>3</sup>em towarzyszyæ mu przy lustrowaniu murów i nie wyæwiczonej za<sup>3</sup>ogi, która sk<sup>3</sup>ada<sup>3</sup>a siê z greckich rzemieœlników i m<sup>3</sup>odych mnichów. Potrz<sup>1</sup>sa<sup>3</sup> swoj<sup>1</sup> bycz<sup>1</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> i œmia<sup>3</sup> siê patrz<sup>1</sup>c na nich.

Odby<sup>3</sup> narady z cesarzem, z Francesem, z szyprami statków z Wenecji i wysp greckich, z podest<sup>1</sup> Pery i weneckim bailonem.

Z kaŹdym rozmawia wyczerpuj<sup>1</sup>co i bez poœpiechu i opowiada wiele historii z wypraw wojennych i oblêŹeñ, w których bra<sup>3</sup> udzia<sup>3</sup>.

Toruje sobie drogê przez niezgodê, zawieœæ i przes<sup>1</sup>dy niczym duŹy i brzuchaty statek. Ufaj<sup>1</sup> mu. Trzeba mu ufaæ. Jest jak kamieñ wêgielny, jak fundament, na którym, jak to z dnia na dzieñ coraz wyraŹniej widaæ, opiera siê obrona miasta. Pije bardzo duŹo wina, wychyla najwiêkszy puchar paru haustami. Poznaæ to jedynie po lekkiej opuchliŹnie pod oczyma.

Jego powolnoœæ i nie koñcz<sup>1</sup>ce siê gadanie, za którym skrywa swoj<sup>1</sup> doœwiadczon<sup>1</sup> i m<sup>1</sup>dr<sup>1</sup> znajomoœæ ludzi, draŹni<sup>3</sup>y mnie zrazu. Potem jednak zacz<sup>13</sup>em widzieæ sprawy i wydarzenia jego wypuk<sup>3</sup>ymi wolimi oczyma. A teraz jakbym ujrza<sup>3</sup> wymyœlony przez bieg<sup>3</sup>ego matematyka mechanizm, który rusza z piskiem i zgrzytem, opornie trzeszcz<sup>1</sup>c trybami, ale coraz to pewniej. I celowo, tak Źe kaŹda czêœæ wspiera i wzmacnia inne.

Muszê go podziwiaæ, zupe<sup>3</sup>nie tak jak jego ludzie podziwiaj<sup>1</sup> go i s<sup>3</sup>uchaj<sup>1</sup> œlepo kaŹdego jego s<sup>3</sup>owa, maj<sup>1</sup>c pewnoœæ, Źe Źaden z jego rozkazów nie jest niepotrzebny.

RównieŹ i ja nie jestem niepotrzebny. Opowiedzia<sup>3</sup>em mu o wyszkoleniu janczarów, o ich dyscyplinie, uzbrojeniu i sposobie walczenia. Opowiedzia<sup>3</sup>em mu o charakterze su<sup>3</sup>tana Mehmeda i o jego otoczeniu, o partii wojennej i partii pokojowej w seraju, o przepaœci, jaka otworzy<sup>3</sup>a siê miêdzy starymi i m<sup>3</sup>odymi po œmierci su<sup>3</sup>tana Murada, któr<sup>1</sup> Mehmed œwiadomie poszerza i pog<sup>3</sup>êbia, Źeby str<sup>1</sup>ciaæ Halila ze stanowiska wielkiego wezyra.

— Nie potrafi zapomnieæ, Źe jako m<sup>3</sup>ody ch<sup>3</sup>opiec, w wieku dwunastu i czternastu lat, dwa razy zmuszony by<sup>3</sup> zrzec siê tronu, którego nie umia<sup>3</sup> utrzymaæ, choæ ojciec jego dobrowolnie ust<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> — opowiada<sup>3</sup>em. — To klucz do jego rozgoryczenia, fanatyzmu i Ź<sup>1</sup>dzy s<sup>3</sup>awy. Pierwszy raz, kiedy hufce chrzeœcijañskich krzyŹowców niespodziewanie zbliŹa<sup>3</sup>y siê do Warny, za<sup>3</sup>ama<sup>3</sup> siê w Adrianopolu, p<sup>3</sup>aka<sup>3</sup>, krzycza<sup>3</sup>, dosta<sup>3</sup> konwulsji ze strachu i ukry<sup>3</sup> siê w haremie. Tak mówi<sup>1</sup>. I gdyby stary su<sup>3</sup>tan

Murad nie powróci<sup>3</sup> z Magnezji i w kilka dni nie wydoby<sup>3</sup> nowego wojska spod ziemi, państwo tureckie uleg<sup>3</sup>oby zag<sup>3</sup>adzie.

Za drugim razem — ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>em — wzburzy<sup>3</sup> się jego w<sup>3</sup>asny lud, jego weterani. Janczarowie odmówili pos<sup>3</sup>uszeństwa chudemu i nerwowemu ch<sup>3</sup>opcui, który nie nadawa<sup>3</sup> się, by prowadzić ich na wojnę. Spl<sup>1</sup>drowali i spalili bazar w Adrianopolu. Mehmed zmuszony by<sup>3</sup>by jeszcze raz szukać schronienia w nietykalnym haremie. Halil z w<sup>3</sup>asnej inicjatywy wezwa<sup>3</sup> Murada. Sprawy tej Mehmed nigdy nie mógł mu wybaczyć.

Nie znasz Mehmeda — powiedzia<sup>3</sup>em powtarzaj<sup>1</sup>c to, co już tyle razy mówi<sup>3</sup>em na próżno innym. — Zraniona mi<sup>3</sup>ość w<sup>3</sup>asna ch<sup>3</sup>opca może urosnąć w si<sup>3</sup>ę, która miażdży królestwa. Pamiętaj, że sta<sup>3</sup>o się to dwa razy. Od tego czasu Mehmed przeszed<sup>3</sup> swoje lata nauki. Jego ambicja jest niezmiernie. By zatrząść zniechęci, których dozna<sup>3</sup>, musi zaćmić swoich przodków. Konstantynopol ma stać się tego dowodem. Jego zdobycie planowa<sup>3</sup> już od wielu lat, poświęcaj<sup>1</sup>c spokój swoich dni i odpoczynek swoich oczu. Jeszcze zanim umar<sup>3</sup> jego ojciec, nauczył się każdego szczegół<sup>3</sup>u z planów naszych murów, tak aby z pamięci umieć narysować każd<sup>1</sup> z wież. W Konstantynopolu trafi wszędzie z zawi<sup>1</sup>zanymi oczyma. Powiadaj<sup>1</sup>, że by<sup>3</sup> tu kiedyś jako m<sup>3</sup>odzik i w<sup>3</sup>óczy<sup>3</sup> się w przebraniu po mieście. Umie przecieć po grecku i zna zwyczaje i modlitwy chrześcijan.

Nie, ty nie znasz Mehmeda — powtórz<sup>3</sup>em. — Nie ma więcej jak dwadzieścia dwa lata, ale już w chwili śmierci swego ojca nie by<sup>3</sup> naiwnym ch<sup>3</sup>opcui. Emir Karamanii podniósł naturalnie natychmiast bunt, jak to zwykle bywa, i zajął na próbę parę tureckich prowincji w Azji. Jest on przecieć spokrewniony z Mehmedem. Ten zebra<sup>3</sup> wojsko i w dwa tygodnie dotar<sup>3</sup> z janczarami do granicy Karamanii. Emir uzna<sup>3</sup> za stosowne ust<sup>1</sup>pić, wyjecha<sup>3</sup> z wielk<sup>1</sup> awanturą Mehmedowi na spotkanie i śmiejąc się oświadczył, że żartowa<sup>3</sup> tylko, by wystawić na próbę m<sup>3</sup>odego sułtana. A Mehmed wyuczył się sztuczki ukrywania swoich uczuć. Nie postępuje już nierozważnie. Potrafi pisać się z furii. Ale także i to czyni w sposób rozważny i przemyślany, by wywrzeć wrażenie na przeciwniku. Jest aktorem, jakiemu równego jeszcze nie widział.

Moje słowa wywarły pewne wrażenie na Giustinianim. Z pewnością już z góry wiedział większą część z tego, co opowiada<sup>3</sup>em, ale nie sądził tego przedtem od naocznego świadka.

— A Janczarowie? — zapytał. — Nie chodzi mi o prostych żołnierzy, lecz o dowódców.

— Janczarowie pragną naturalnie wojny — wyjaśni<sup>3</sup>em. — To przecieć ich jedyny zawód. Są to synowie chrześcijan, ale wychowani w islamie. Nie mają prawa żenić się ani też opuszczać swoich kwater, nie wolno im nawet uczyć się żadnego rzemiosła czy zawodu. Naturalnie byli bardzo rozgoryczeni, gdy emir Karamanii podporządkowa<sup>3</sup> się sułtanowi i nie doszło do wojny, której się spodziewali. Mehmed pozwolił im awanturować się i kopniakami przewracać kotły. Sam zamknął się w namiocie na całe trzy dni. Pewni kupcy sprzedali mu grecką niewolnicę porwaną z którejś z wysp. Była to osiemnastoletnia dziewczyna, piękna jak dzień. Nazywała się Irena. W jej towarzystwie sułtan spędził trzy doby nie pokazując się nikomu. Janczarowie hałasowali i obrzucali go obelgami przed jego namiotem. Nie chcieli mieć sułtana, który zamiast wojny wybrał rozkosze miłości i który nawet zaniedbywał modlitw dla niewolnicy. Dowódcy nie mieli już na nich żadnego wpływu. Przypuszczalnie nie chcieli ich nawet hamować.

— S³ysza³em o tym wydarzeniu — wtr¹ci³ Giustiniani. — Dowodzi ono tylko okrucieñstwa i porywczocœci Mehmeda.

— Okrucieñstwo, ale nie porywczocœæ — odrzek³em. — By³ to z zimn¹ krwi¹ przemyœlany gest wielkiego aktora. Gdy rozjuszeni Janczarowie w œlepej furii przewrócili swoje kot³y, wyszed³ on w koñcu z namiotu z ró¿¹ w d³oni i ciê¿kimi od snu powiekami i gra³ ka¿dym ruchem zmieszanego i sk³opotanego m³odzika. Janczarowie ryczeli ze œmiechu patrz¹c na niego: zaczêli rzucaæ grudami ziemi i koñskim ³ajnem, starannie jednak bacz¹c, by go nie trafiæ, i krzyczeli: “Coœ ty za su³tan, skoro zamieniasz miecz na ró¿ê?” A Mehmed odkrzykn¹³ w odpowiedzi: “Ach, bracia, bracia, nie wiecie, co mówicie! Gdybyœcie mogli j¹ zobaczyæ, nie ganilibyœcie mnie”. Janczarów podnieci³o to tylko jeszcze bardziej i zaczêli wo³aa: “Poka¿ nam swój¹ Greczynkê, poka¿ nam j¹, a mo¿e ci uwierzemy”. Mehmed ziewn¹³ leniwie, wróci³ do namiotu i wywlók³ z niego zawstydzon¹ i przera¿on¹ dziewczynê, na w³³ nag¹ i usi³uj¹c¹ ze wstydem ukryæ twarz w d³oniach.

Widoku tego nigdy nie zapomnê — ci¹gn¹³em. — Œyse, ozdobione kosmykami w³osów czaszki janczarów, gdy¿ nawet swoje filcowe czapki rzucili na ziemiê i podeptali. Lubie¿na twarz i mieni¹ce siê ¿ó³to drapie¿ne oczy Mehmeda. Dziewczyna piêkniejsza jak wiosna w Karamanii. Mehmed rozerwa³ si³¹ jej d³onie i zdar³ z niej ostatnie szatki, po czym popchn¹³ j¹ ku janczarom, a¿ cofnêli siê œlepieni piêknoœci¹ jej twarzy i bia³¹ doskona³oœci¹ jej cia³a. “Napatrzcie siê do syta! — krzykn¹³ Mehmed. — Patrzcie i przyznajcie, ¿e godna jest mi³oœci su³tana”. Potem twarz jego pociemnia³a od furii, odrzuci³ ró¿ê i rozkaza³: “Przynieœcie mój miecz!” Dziewczyna klêcza³a na ziemi ze schylon¹ g³ow¹ i os³ania³a sw¹ nagocœæ rêkami. Gdy Mehmed dosta³ miecz, chwyci³ j¹ za w³osy i jednym ciêciem obci¹³ jej g³owê, tak ¿e krew z szyi trysnê³a na najbli¿szych janczarów. Nie wierzyli swoim oczom i krzyknêli ze zgrozy. Potem cofnêli siê œlepo miêdzy towarzyszy, by odsun¹æ siê mo¿liwie jak najdalej od Mehmeda. A ten powiedzia³ tylko: “Mój miecz mo¿e przeci¹æ nawet wiêzy mi³oœci! Ufajcie mojemu mieczowi”. A potem zapyta³: “Gdzie wasz dowódc¹?” Janczarowie przyprowadzili swego dowódcê, który ukry³ siê w namiocie. Gdy przyby³, Mehmed wyrwa³ mu srebrn¹ chochlê, oznakê dowództwa, i uderzy³ go na oczach wszystkich janczarów z ca³ej si³y w twarz, tak ¿e z³ama³ mu nos i wybi³ jedno oko. Ale Janczarowie milczeli przera¿eni i nie kiwnêli palcem w obronie swego dowódcy.

Janczarowie nie podnios¹ ju¿ buntu — stwierdzi³em. — Mehmed zreorganizowa³ ich oddzia³y i powiêkszy³ je o szeœæ tysiêcy swoich sokolników, co jest sprzeczne z regulaminem. Janczarowie awansuj¹ wed³ug wieku. Dlatego nie móg³ odprawiaæ ca³ego ich dawnego dowództwa, jakkolwiek w nocy kaza³ straciæ wielu z nich. Ale mo¿esz byæ pewny, ¿e przyzna im honorowe miejsce przy oblê¿eniu Konstantynopola. Sam odniesie z tego korzyœæ na wiele sposobów. Ci z oficerów i weteranów œwiadomych, czego chc¹, których zapisa³ sobie w pamiêci, padn¹ pod naszymi murami. Mehmed nie przebacza nigdy zniewagi, której dozna³. Ale nauczy³ siê on czekaæ na odpowiedni moment.

Nie wiedzia³em, czy mam mówiaæ dalej. Nie by³em pewny, czy Giustiniani zrozumie, o co mi chodzi³o. Ale w koñcu powiedzia³em:



— Mehmed nie jest człowiekiem.

Giustiniani zmarszczy<sup>3</sup> czo<sup>3</sup>o i wpatrzy<sup>3</sup> się we mnie nabieg<sup>3</sup>ymi krwi<sup>1</sup> oczyma. Jego dobroduszny, hucz<sup>1</sup>cy oemiec uwi<sup>1</sup>z<sup>3</sup> mu w gardle.

— Mehmed nie jest człowiekiem — powtórzy<sup>3</sup>em. — Może jest anio<sup>3</sup>em ciemności? Może jest tym, który ma przyoæ? Nosi wszystkie znaki.

Nie zrozum mnie Ýle — doda<sup>3</sup>em szybko. — Jeżeli jest on człowiekiem, to jest nowym człowiekiem. Pierwszym w swoim rodzaju. Rozpoczyna nowy okres, epokę, która wychowuje innego rodzaju ludzi niż przedtem. W<sup>3</sup>adców nad ziemi<sup>1</sup>, w<sup>3</sup>adców nad noc<sup>1</sup>, którzy w swej krn<sup>1</sup>brności i pysze odrzucaj<sup>1</sup> niebo i wybieraj<sup>1</sup> ziemię. Nie wierz<sup>1</sup> w nic poza tym, co mog<sup>1</sup> udowodniæ ich oczy i rozs<sup>1</sup>dek. W swym sercu nie uznaj<sup>1</sup> praw ludzkich ani boskich, dlatego że cel jest dla nich jednym prawem. Przynosz<sup>1</sup> ch<sup>3</sup>ód i żar piekielny na powierzchnię ziemi i zmuszaj<sup>1</sup> si<sup>3</sup>y natury, by im s<sup>3</sup>uży<sup>3</sup>y. Nie lękaj<sup>1</sup> się nieskończoności morza ani g<sup>3</sup>ębi niebios. Podporz<sup>1</sup>dkowawszy sobie ca<sup>31</sup> ziemię i ca<sup>3</sup>e morze, buduj<sup>1</sup> sobie skrzyd<sup>3</sup>a w zapamięta<sup>3</sup>ej ź<sup>1</sup>dzy wiedzy, by lataæ ku gwiazdom i także nimi zaw<sup>3</sup>adn<sup>1</sup>æ. Mehmed jest pierwszym człowiekiem z tego pokolenia. Jak możesz wierzyæ, że zdo<sup>3</sup>asz mu się oprzeæ?

Giustiniani z<sup>3</sup>apa<sup>3</sup> się za g<sup>3</sup>owê:

— Na œwiête rany Chrystusa! — żali<sup>3</sup> się. — Czyż nie wystarczy, że mnisi tego miasta g<sup>3</sup>osz<sup>1</sup> koniec œwiata, aż piana im wystêpuje na usta? Musi także oficer z mojego zaci<sup>1</sup>gu miewaæ objawienia i wizje i pleceæ niestworzone bzdury? G<sup>3</sup>owa mi pęknie, jeżeli powiesz jeszcze choæby tylko jedno s<sup>3</sup>owo.

Ale nie mówi już wiêcej o Mehmedzie jako o porywczym m<sup>3</sup>odziku, który chce g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> przebiæ mur. Zrobi<sup>3</sup> się ostroźniejszy i zakaza<sup>3</sup> swoim ludziom che<sup>3</sup>piæ się zbyt w tawernach i ostrzeg<sup>3</sup> ich przed niedocenianiem si<sup>3</sup>y Turków. Poszed<sup>3</sup> nawet na <sup>3</sup>aciñsk<sup>1</sup> mszê, wypowiada<sup>3</sup> się i kornie przyj<sup>13</sup> odpuszczenie grzechów, mimo że kardyna<sup>3</sup> Izydor już oœwiadczy<sup>3</sup>, iż wszystkie grzechy zosta<sup>3</sup>y zeñ zdjête w chwili, gdy przyj<sup>13</sup> godnoææ protostratora w Konstantynopolu. By byæ ca<sup>3</sup>kiem pewnym swojej sprawy, poprosi<sup>3</sup>, by mu dano odpuszczenie grzechów na picie, i zawsze nosi ten dokument przy sobie.

— W ten sposób bédê mia<sup>3</sup> coæ do okazania œwiêtemu Piotrowi, gdy pewnego dnia zapukam do bram niebieskich — broni<sup>3</sup> się. — Powiadaj<sup>1</sup>, że staruszek z jakichœ powodów sta<sup>3</sup> się surowszy dla nas, Genuëńczyków. Może przekupili go Wenecjanie.

W Adrianopolu oddano z dzia<sup>3</sup>a strza<sup>3</sup>, który wprawi<sup>3</sup> ca<sup>3</sup>y œwiat w dr<sup>3</sup>enie.

Węgier Orbano dotrzyma<sup>3</sup> obietnicy, uda<sup>3</sup>o mu siê odlaæ najwiêksze dzia<sup>3</sup>o wszystkich czasów.

Gdy wróci<sup>3</sup>em do domu po wyczerpuj<sup>1</sup>cym dniu, wyszed<sup>3</sup> mi naprzeciw mój s<sup>3</sup>u<sup>1</sup>cy Manuel, policzki drga<sup>3</sup>y mu i dygota<sup>3</sup>y i za<sup>3</sup>amuj<sup>1</sup>c rêce zapyta<sup>3</sup>:

— Panie, czy to prawda, że Turcy maj<sup>1</sup> dzia<sup>3</sup>o, które mo<sup>3</sup>e skruszyæ mury Konstantynopola jednym jedynym wystrza<sup>3</sup>em?

Tak szybko szerz<sup>1</sup> siê s<sup>3</sup>uchy w tym mieœcie. Dzieæ rano Giustiniani otrzyma<sup>3</sup> pierwsze dok<sup>3</sup>adne wiadomoœci o próbnym strzelaniu.

— To nieprawda — odpar<sup>3</sup>em. — Takiego dzia<sup>3</sup>a nikt nie potrafi zrobiæ. By zwaliæ mury Konstantynopola, trzeba trzêsienia ziemi.

— Ale mówi<sup>1</sup>, że kula armatnia przelecia<sup>3</sup>a tysi<sup>1</sup>c kroków i w miejscu, gdzie pad<sup>3</sup>a, wry<sup>3</sup>a lej wielki jak dom — wyj<sup>1</sup>ka<sup>3</sup> Manuel. — A ziemia trzês<sup>3</sup>a siê na dziesiêæ tysiêcy kroków woko<sup>3</sup>o. Wiele domów zwali<sup>3</sup>o siê w Adrianopolu, a liczne kobiety poroni<sup>3</sup>y.

— Babskie gadanie, Manuelu — powiedzia<sup>3</sup>em. — Rozumiesz chyba sam dobrze.

— Ale<sup>3</sup> to prawda — zapewnia<sup>3</sup>. — Ju<sup>3</sup> tamto dzia<sup>3</sup>o, które Orbano odla<sup>3</sup> dla twierdzy su<sup>3</sup>tana, mog<sup>3</sup>o zatopiæ ca<sup>3</sup>y statek jednym strza<sup>3</sup>em. Przyby<sup>3</sup> tu kupiec z Pery, który by<sup>3</sup> w Adrianopolu, i sam mierzy<sup>3</sup> kamienn<sup>1</sup> kulê z nowego dzia<sup>3</sup>a. Powiedzia<sup>3</sup>, że nawet najwiêkszy m<sup>1</sup>ç nie mo<sup>3</sup>e obj<sup>1</sup>æ kuli ramionami. Jest wci<sup>1</sup>ç jeszcze og<sup>3</sup>uszony wystrza<sup>3</sup>em i dr<sup>3</sup>ly jak staruszek, choæ nie skończy<sup>3</sup> jeszcze piêædziesiêciu lat.

— Dr<sup>3</sup>ly nie od armatniego strza<sup>3</sup>u, lecz od wina i skutków przepicia! — rykn<sup>13</sup>em. — Znalaz<sup>3</sup> zbyt wielu ciekawych s<sup>3</sup>uchaczy, którzy wlewali w niego wino. I dzia<sup>3</sup>o ros<sup>3</sup>o o kilka stóp z ka<sup>3</sup>dym nowym kielichem. Jutro bêdzie pewnie takie d<sup>3</sup>ugie jak wie<sup>3</sup>ja koœcielna.

Manuel pad<sup>3</sup> przede mn<sup>1</sup> na kolana. Broda trzês<sup>3</sup>a mu siê, szuka<sup>3</sup> moich r<sup>1</sup>k, by je ca<sup>3</sup>owaæ, i powiedzia<sup>3</sup> po prostu:

— Panie, bojê siê.

Jest ju<sup>3</sup> starym cz<sup>3</sup>owiekiem. Jego wodniste oczy odzwierciedla<sup>3</sup>y ca<sup>31</sup> bezdenn<sup>1</sup> melancholiê Konstantynopola. Rozumia<sup>3</sup>em go. Turcy zabij<sup>1</sup> go, gdy<sup>3</sup> jest zbyt stary, by nadawaæ siê na niewolnika.

— Wstañ i b<sup>1</sup>d<sup>3</sup> m<sup>1</sup>çczyzn<sup>1</sup> — powiedzia<sup>3</sup>em. — Znamy wymiary dzia<sup>3</sup>a i cesarscy technicy obliczaj<sup>1</sup> w<sup>3</sup>acenie wagê jego kul i ich dzia<sup>3</sup>anie na mury. Bez w<sup>1</sup>tpienia jest to straszliwa broñ, która

może wyrzucić sporo szkód, ale nie jest ono wcale takie wielkie, jakim uczyniły je s³uchy. Ponadto Orbano jest m³ezem nieuczonym, który nie umie obliczaæ donocenoœci strza³ów i torów pocisków. Technicy cesarscy uważaj¹ za niemożliwe, żeby mógł on odgadn¹æ prawidłowe wymiary komory prochowej w proporcji do d³ugoœci lufy i wagi kuli. Jego dzia³o wytrzyma może kilka strza³ów, ale póŹniej nieuchronnie p³knie szersz¹c wiêksze spustoszenie wœród Turków ni¿ wœród nas. Orbano by³ przecie¿ poprzednio w s³u¿bie cesarza. Technicy znaj¹ go i wiedz¹, co umie i czego nie umie. Opowiedz to wszystko ciotkom i kuzynom, i ca³ej swojej rodzinie i proœ ich, by podawali to dalej, tak aby ludzie zaczêli siê uspokajaæ.

— Dlaczego oni mieliby opowiadaæ coœ, czego nie rozumiej¹? — westchn¹³ Manuel. — Cóż oni wiedz¹ o komorach prochowych i torach pocisków. Opowiadaj¹ raczej to, co rozumiej¹ i co brzmi straszliwie. Jakœ kobieta w mieœcie mia³a ju¿ podobno poronienie na sam¹ wieœæ o tym dziale. Cóż dopiero bêdzie, gdy zacznie ono grzmieæ pod naszymi murami i kruszyæ je na proch.

— Powiedz im, żeby szukali pomocy u swojej Panaghii! — hukn¹³em, żeby siê go pozbyæ.

Ale w Manuelu zakorzeni³y siê w¹tpliwoœci.

— Chyba nawet Najœwiêtsza Dziewica nie poka¿e siê ju¿ na murach i nie odstraszy Turków swym niebieskim p³aszczem — orzek³. — Poprzednim razem Turcy nie mieli takich wielkich dzia³. Mog¹ przecie¿ nastraszyæ nawet Najœwiêtsz¹ Dziewicê. — Uœmiechn¹³ siê dr¿¹cymi wargami. — Czy jest w tym jakœ prawda, że ta armata jest ju¿ w drodze tutaj z Adrianopola? Te ci¹gnie j¹ piêædziesi¹t par wo³ów, a tysi¹c ludzi oczyszcza drogê i buduje mosty. A może to te¿ tylko przesada?

— Nie, Manuelu — przyzna³em. — To prawda. Armata jest w drodze. Wiosna jest w powietrzu. Niebawem zaczn¹ gruchaæ go³êbie i niespokojne stada ptactwa przelatywaæ bêd¹ nad naszym miastem z po³udnia na pó³noc. Gdy wiosna rozkwitnie, su³tan stanie u bram Konstantynopola. Temu nie zdo³a ju¿ przeszkodziæ ¿adna moc na œwiecie.

— I jak d³ugo — zapyta³ — jak d³ugo, s¹dzisz, wszystko potem potrwa?

Czemu mia³em mu k³amaæ. Jest ju¿ stary. Jest Grekiem. Nie jestem lekarzem. Jestem cz³owiekiem. Jego bliŹnim.

— Może miesi¹c — powiedzia³em — albo dwa. Giustiniani to wspania³y wojownik. Trzy miesi¹ce, jeœli podo³a zadaniu, w co wierzê. Ale chyba nie wiêcej. Chyba nie wiêcej ni¿ tyle, nawet w najlepszym wypadku.

Manuel ju¿ nie dr¿a³. Patrzy³ mi prosto w oczy.

— A Zachód? — zapyta³. — Unia?

— Zachód? — powtórzy³em. — Wraz z Konstantynopolem tak¿e i Zachód utonie w nocy. Konstantynopol jest ostatni¹ lamp¹ i nadziej¹ chrzeœcijañstwa. Jeœli pozwol¹ jej zgasn¹æ, to znaczy, że sami zas³u¿yli na swój los.

— I jaki¿ to bêdzie los Zachodu? — zapyta³. — Wybacz mi, panie, ale jestem ciekawy, a¿eby

moje serce mog<sup>3</sup>o siê przygotowaæ.

— Cia<sup>3</sup>o bez ducha — odpar<sup>3</sup>em. — Źycie bez nadziei, zniewolenie cz<sup>3</sup>owieka, niewola tak beznadziejna, że niewolnicy nie wiedz<sup>1</sup> już nawet, iż s<sup>1</sup> niewolnikami. Bogactwo bez radości, obfitość bez możliwości korzystania z niej. Œmieræ ducha.

*10 lutego 1453*

Wszystkich innych spotka<sup>3</sup>em, ale nie megaduksa łukasza Notarasa. Jak gdyby rozmyœlnie mieszka<sup>3</sup> moŹliwie jak najdalej od Blachern, na drugim koñcu miasta. W starej dzielnicy, w cieniu koœcio<sup>3</sup>a M<sup>1</sup>drości BoŹej, dawnego placu cesarskiego i Hipodromu. Izoluje siê. Obaj jego m<sup>3</sup>odzi synowie piastuj<sup>1</sup> ceremonialne godności honorowe na dworze, ale nigdy siê tam nie pokazuj<sup>1</sup>. Widzia<sup>3</sup>em ich, jak grali konno w pi<sup>3</sup>kê na p<sup>3</sup>ycie Hipodromu. S<sup>1</sup> to dorodni m<sup>3</sup>odzi ludzie, z tak<sup>1</sup> sam<sup>1</sup> mroczn<sup>1</sup> i dumn<sup>1</sup> melancholi<sup>1</sup> w rysach twarzy, co ich ojciec.

Jako dowódca floty megaduks odmawia wespół<sup>3</sup>pracy z Giustinianim. Z w<sup>3</sup>asnych œrodków wystawi<sup>3</sup> piêæ leciwych dromonów cesarskich. Dzieæ, ku zdumieniu wszystkich, wysunê<sup>3</sup>y one wios<sup>3</sup>a i wyp<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>y z portu obok wielkich zachodnich okrêtów. Na morzu Marmara wci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>y swoje nowe Źagle, przybra<sup>3</sup>y formacjê bojow<sup>1</sup> i wziê<sup>3</sup>y kurs w stronê brzegu azjatyckiego. By<sup>3</sup> szary, chmurny dzieñ z porywami wiatru. Źeglarze jeszcze nie nawykli do manewrów. Wioœlarze wypadali z taktu, tak że wios<sup>3</sup>a najczêœciej odbija<sup>3</sup>y siê o siebie.

Ostatnia flota Konstantynopola wysz<sup>3</sup>a w morze. Wenecy i kreteñscy szyprowie œmieli siê i bili po udach.

Jaki jednak jest sens tego æwiczenia bojowego. Nie mog<sup>3</sup>y to byæ tylko manewry w Źeglowaniu i tworzeniu formacji, gdyŹ wieczorem dromony nie wróci<sup>3</sup>y jeszcze do portu.

Giustiniani pojecha<sup>3</sup> do pa<sup>3</sup>acu, z<sup>3</sup>ama<sup>3</sup> wszelki ceremonia<sup>3</sup>, odepchn<sup>13</sup> z drogi przybocz<sup>1</sup> straŹ i eunuchów i wtargn<sup>13</sup> do prywatnych komnat cesarza. Uczyni<sup>3</sup> to, żeby pokazaæ, jak jest wzburzony. W gruncie rzeczy by<sup>3</sup> tylko ciekawy. Nie przywi<sup>1</sup>zuje wielkiej wagi do okrêtów cesarza. Jeden jedyny ciêŹki zachodni okrêt wojenny móg<sup>3</sup>by zatopiaæ je wszystkie. Ale jako protostrator jest naturalnie poirytowany, że flota nie zosta<sup>3</sup>a podporz<sup>1</sup>dkowana jego rozkazom.

Cesarz Konstantyn broni<sup>3</sup> siê przed nim:

— Megaduks Notaras nie chcia<sup>3</sup> siedzieæ z za<sup>3</sup>oŹonymi rêkami. Turcy spustoszyli nasz kraj i oblegaj<sup>1</sup> Selymbriê i inne nasze ostatnie warownie. Dlatego megaduks chce przejœæ do natarcia i odp<sup>3</sup>aciæ im tak<sup>1</sup> sam<sup>1</sup> monet<sup>1</sup>, dopóki morze jest jeszcze otwarte.

Giustiniani rzek<sup>3</sup>:

— Kaza<sup>3</sup>em otworzyæ luki wypadowe w murach. Prosi<sup>3</sup>em ciê wielokrotnie o pozwolenie, by pójœæ do natarcia na luŸne bandy zbójeckie Turków. Sta<sup>3</sup>y siê juŸ zbyt bezczelne i grasuj<sup>1</sup> na odleg<sup>3</sup>oœæ strza<sup>3</sup>u z <sup>3</sup>uku od murów i wykrzykuj<sup>1</sup> obelgi do moich <sup>3</sup>o<sup>3</sup>nierzy gro<sup>1</sup>c im owa<sup>3</sup>aszeniem. Takie rzeczy os<sup>3</sup>abiaj<sup>1</sup> dyscyplinê.

Cesarz odpar<sup>3</sup>:

— Nie moŸemy sobie pozwoliæ na stratê ani jednego cz<sup>3</sup>owieka. Turcy mogliby zwabiaæ twoje oddzia<sup>3</sup>y w zasadzkê i zniszczyæ je.

Na to Giustiniani:

— Dlatego us<sup>3</sup>ucha<sup>3</sup>em twojej woli. Ale megaduks Notaras nie liczy siê z ni<sup>1</sup> zupe<sup>3</sup>nie.

Cesarz odpowiedzia<sup>3</sup>:

— Kaza<sup>3</sup> mnie nagle zawiadomiæ, Ÿe zamierza wyp<sup>3</sup>yn<sup>1</sup>æ na manewry. Nie mog<sup>3</sup>em przecieŸ rozkazaæ weneckim i kreteŃskim okrêtom, by go zatrzyma<sup>3</sup>y. Ale samowola nie powtórzy siê wiêcej.

Frances wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> pojednawczo:

— Megaduks sam wyposaŸy<sup>3</sup> galery i p<sup>3</sup>aci <sup>3</sup>o<sup>3</sup>d za<sup>3</sup>ogom. Nie moŸemy go rozgniewaaæ.

Ale to wszystko to by<sup>3</sup>y tylko s<sup>3</sup>owa. Wiedzieli o tym sami. Giustiniani uderzy<sup>3</sup> lask<sup>1</sup> protostratora o stó<sup>3</sup> i zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>:

— A sk<sup>1</sup>d wiesz, czy on wróci ze swymi okrêtami i ludŸmi?

Cesarz Konstantyn schyli<sup>3</sup> g<sup>3</sup>owê i rzek<sup>3</sup> cicho:

— MoŸe by<sup>3</sup>oby dla nas wszystkich lepiej, gdyby nie wróci<sup>3</sup>.

Giustiniani powtórzy<sup>3</sup> mi póŸniej ca<sup>31</sup> tê rozmowê i powiedzia<sup>3</sup>:

— Nie wyznajê siê na zawik<sup>3</sup>anej polityce Greków. Dotychczas bazyleus surowo powstrzymywa<sup>3</sup> siê od wszelkich dzia<sup>3</sup>añ zaczepnych. W nadmiarze chrzeœcijaŃskiej cierpliwoœci, za kaŸdym razem kiedy otrzyma<sup>3</sup> policzek od su<sup>3</sup>tana, nadstawia<sup>3</sup> mu takŸe drugi policzek. Rozumiem przecieŸ, Ÿe chcia<sup>3</sup> przez to zarówno przed Zachodem, jak i przed potomnoœci<sup>1</sup> wykazaæ, Ÿe to su<sup>3</sup>tan jest napastnikiem, a on sam mê<sup>3</sup>em pokoju. Ale po co to wszystko. KaŸdy rozs<sup>1</sup>dny cz<sup>3</sup>owiek i tak rozumie. Teraz zaœ megaduks Notaras odbiera inicjatywê cesarzowi i wszczyna dzia<sup>3</sup>ania wojenne. Wierz mi, on wróci ze swymi okrêtami. Ale do czego zmierza, nie rozumiem. Wyt<sup>3</sup>umacz mi to ty, który znasz Greków.

— Łukasza Notarasa nie znam — odpar<sup>3</sup>em. — Ktô<sup>3</sup> moŸe wiedzieæ, co kieruje cz<sup>3</sup>owiekiem dumnym i ambitnym. MoŸe chce zmyæ jak<sup>1</sup>œe plamê ze swojej opinii. Po ruchawce pod koœcio<sup>3</sup>em M<sup>1</sup>droœci BoŸej zaczêto go w Blachernach uwaŸaaæ za niegodnego zaufania i przyjaznego Turkom. MoŸe dlatego chce byæ pierwszym, który przejawia greck<sup>1</sup> wolê walki, w przeciwieŃstwie do

chwiejności cesarza.

— Ale jaki pożytek z takiej wyprawy <sup>3</sup>upieżczej na tureckie wybrzeże? — narzeka<sup>3</sup> Giustiniani.  
— W<sup>3</sup>acenie teraz, kiedy derwisze g<sup>3</sup>osz<sup>1</sup> wojnê po ca<sup>3</sup>ej Azji i su<sup>3</sup>tan zbiera wojsko. Niczego lepszego su<sup>3</sup>tan nie mógł<sup>3</sup> sobie życzyæ. On dzia<sup>3</sup>a przecie¿ wyraŹnie na korzyœæ su<sup>3</sup>tana.

— Nie mo¿esz tego udowodniæ — odpar<sup>3</sup>em. — Mo¿emy tylko oceniaæ ka¿de wydarzenie z osobna i t<sup>3</sup>umaczyæ je jak najkorzystniej, dopóki rzeczywistoœæ nie zada nam k<sup>3</sup>amu.

Giustiniani spojrze<sup>3</sup> na mnie swymi wypuk<sup>3</sup>ymi oczyma, podrapa<sup>3</sup> siê w kark i zapyta<sup>3</sup>:

— Dlaczego bierzesz w obronê Łukasza Notarasa? By<sup>3</sup>oby m<sup>1</sup>drzej, gdybyœ milcza<sup>3</sup> — ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> życliwie. — Tak¿e i tym razem wzi<sup>13</sup> mnie Frances na stronê, gdy mia<sup>3</sup>em odejœæ, i zaklina<sup>3</sup>, ¿ebym mia<sup>3</sup> ciebie na oku. Jesteœ niebezpiecznym cz<sup>3</sup>owiekiem, twierdzi<sup>3</sup>. Mia<sup>3</sup>œæ swobodny dostêp do su<sup>3</sup>tana Mehmeda w dzieñ i w nocy. Ostro¿noœæ nie zaszkodzi, mówi<sup>3</sup> Frances.

Potem Giustiniani poda<sup>3</sup> mi miedziane przybory do pisania i mianowa<sup>3</sup> swoim adiutantem. Od tej pory mia<sup>3</sup>em wiêc dostêp tak¿e i do jego sekretnych papierów.

*11 lutego 1453*

W nocy zbudzi<sup>3</sup> mnie mój s<sup>3</sup>uga Manuel i szepn<sup>13</sup> przera¿ony:

— Panie, w mieœcie jest niepokój.

Po ulicach porusza<sup>3</sup>y siê latarnie i pochodnie. Na wpo<sup>3</sup> odziani ludzie wychodzili z domów i stawali przy drzwiach. Wszyscy patrzyli na <sup>3</sup>unê na nocnym niebie.

Narzuci<sup>3</sup>em na siebie futrzany p<sup>3</sup>aszcz i uda<sup>3</sup>em siê unoszony rzek<sup>1</sup> ludzi na wzgórze Akropolu. Po drugiej stronie morza ciemne i zachmurzone niebo barwi<sup>3</sup>y dalekie po¿ary. Wiatr by<sup>3</sup> wilgotny. Mokra ziemia mocno pachnia<sup>3</sup>a. Ciemnoœæ by<sup>3</sup>a ciemnoœci<sup>1</sup> wiosenn<sup>1</sup>.

Czarno odziane kobiety klêka<sup>3</sup>y do modlitwy. Mê¿czyŹni ¿egnali siê znakiem krzy¿a. A potem w szeptach rozesz<sup>3</sup>o siê z ust do ust jedno imiê.

— Łukasz Notaras — szeptali ludzie. — Megaduks Łukasz Notaras.

Tureckie wioski po drugiej stronie morza sta<sup>3</sup>y w p<sup>3</sup>omieniach.

Ale lud nie wiwatowa<sup>3</sup>. Przeciwnie, by<sup>3</sup>o tak, jakby czarne przygnêbienie sparaliżowa<sup>3</sup>o ich wszystkich. Tak jakby dopiero teraz zrozumieli, że wojna siê zaczê<sup>3</sup>a. Ostry wiatr nocny utrudnia<sup>3</sup> oddychanie.

Kto mieczem wojuje, od miecza ginie. I niewinni zgin<sup>1</sup> wraz z winnymi.

*12 lutego 1453*

Flota jeszcze nie powróci<sup>3</sup>a.

Dosz<sup>3</sup>a wiecêæ, że przednie oddzia<sup>3</sup>y Turków wziê<sup>3</sup>y więzê œw. Stefana i wyciê<sup>3</sup>y garnizon, który œemieli<sup>3</sup> siê broniæ.

Straszliwy grad zmusi<sup>3</sup> wszystkich do szukania schronienia w domach. Zmiażdż<sup>3</sup>y wiele dachów. Z podziemnych cystern s<sup>3</sup>ychaæ noc<sup>1</sup> dziwne dudnienie, ziemia siê trzêsie. Wiele osób widzia<sup>3</sup>o, jak b<sup>3</sup>ysskawice pruj<sup>1</sup> niebosk<sup>3</sup>on bez grzmotów i rozżarzone dyski przelatuj<sup>1</sup> po niebie.

Oprócz wielkiego dzia<sup>3</sup>a, takżê ca<sup>3</sup>a artyleria su<sup>3</sup>tana ruszy<sup>3</sup>a spod Adrianopola na Konstantynopol. Dziesiêæ tyśiêcy jazdy stanowi oddzia<sup>3</sup> ochronny.

W Adrianopolu su<sup>3</sup>tan wyg<sup>3</sup>osi<sup>3</sup> wielk<sup>1</sup> mowê przed zebranim Dywanem. Zachêca<sup>3</sup> m<sup>3</sup>odych i odebra<sup>3</sup> przysiêgê od starych i ostrożnych. Zarówno wenecjański bailon, jak i podesta w Perze otrzymali dok<sup>3</sup>adne wiadomoœci o treœci tej mowy.

Oto co powiedzia<sup>3</sup> Mehmed:

— W<sup>3</sup>adztwo bazyleusa jest już z<sup>3</sup>amane. Pozostaje tylko dokonaæ ostatniego wysi<sup>3</sup>ku, który zniszczy tyśi<sup>1</sup>cletnie państwo nastêpców Konstantyna. Konstantynopol jest królem miast. Zdobycie go szturmem jest obecnie możliwe i powodzenie pewne dziêki naszym nowym broniom i duchowi naszych wojsk. Ale musimy siê spieszyæ, zanim chrzecêcijaństwo nie powstanie i nie poœle floty na odsiecz bazyleusowi. Teraz jest odpowiednia chwila. Nie może ona wymkn<sup>1</sup>æ nam siê z r<sup>1</sup>k.

Mówi<sup>1</sup>, że przed t<sup>1</sup> mow<sup>1</sup> Mehmed w œrodku nocy kaza<sup>3</sup> wezwaæ do siebie wielkiego wezyra Halila, przywódcê partii pokojowej, żeby siê z nim porozumieæ. I przynajmniej tym razem Halil nie odważ<sup>3</sup>y siê stworzyæ ust w obronie pokoju.

Gdy otrzyma<sup>3</sup>em dostêp do dokumentów w żelaznej skrzyni Giustinianiego, mog<sup>3</sup>em siê

przekonaæ, że Halil wci¹ jeszcze potajemnie koresponduje z cesarzem Konstantynem. Inaczej nie wiedzielibyœmy wszystkiego, co wiemy teraz o uzbrojeniu Turków i finansowaniu napadci.

Po tym jak flota wyp³ynê³a na morze, cesarz pospieszy³ wys³aæ ostatni apel do Adrianopola. Napisa³ go w³asnorêcznie, nie prosz¹c o radê Francesa. Jest kopia tego listu w skrzyni Giustinianiego. Czyta³em j¹ wielokrotnie z dziwnym wzruszeniem i mro¹¹cym przygnêbieniem. Wykazuje on bardziej ni¹ jakikolwiek inny postêpek Konstantyna, że jest on prawdziwym cesarzem. Oto co napisa³ do su³tana Mehmeda:

“Jest ju¹ wyraŹne, że bardziej pragniesz wojny ni¹ pokoju. Niech wiêc siê stanie tak, jak chcesz, poniewa¹ nie uda³o mi siê przekonaæ ciê o moich pokojowych zamiarach, mimo że nie splami³em siê fa³szem i wyrazi³em gotowoœæ przyjêcia tytu³u twego wasala. Teraz zwracam siê do Boga i szukam oparcia tylko w Nim. Jeœli jest Jego wol¹, by miasto moje popad³o w twoj¹ w³adzê, jak¹e¹ móg³bym siê temu przeciwstawiæ. Jeœli natomiast On sk³oni ciê do zawarcia pokoju, by³bym szczêœliwy. Ale zwracam ci niniejszym ka¹de twoje s³owo, wszystkie obietnice i porozumienia, które z obu stron dawaliœmy sobie nawzajem. Zamkn¹³em bramy miasta i bêdê broniæ mego ludu do ostatniej kropli krwi. Obyœ panowa³ szczêœliwie a¹ do dnia, kiedy sprawiedliwy Bóg, nasz najwy¹szy sêdzia, wezwie nas obu przed siebie”.

Jest to list sztywny i niewiele zawiera z wielkiej greckiej retoryki, nic z kunsztownych zwrotów Francesa. Wzrusza on jednak mój umys³. To list cesarza. I nadaremny, tak, nadaremny. Ale byæ mo¹e Konstantyn w swym opustosza³ym pa³acu chcia³ tylko skierowaæ go do potomnoœci. Mo¹e w swej prostocie list ten zawiera wyraŹniejsze œwiadectwo o nim, ni¹ wszystkie opisy historyków. To nie jego wina, że urodzi³ siê pod nieszczêœliw¹ gwiazd¹.

*13 lutego 1453*

Flota nie wróci³a. Pa³ac Notarasa nad morzem strze¹e ponuro swoich tajemnic. Nie mogê ju¹ d³u¹ej znieœæ tej niepewnoœci. Minê³o ponad dwa tygodnie od czasu, kiedy siê spotkaliœmy. Nie wiem przecie¹ nawet, czy ona jest jeszcze w mieœcie.

Na pró¹no jeŹdzi³em konno po mieœcie i wzd³u¹ murów. Nadaremnie stara³em siê utopiaæ niepokój serca w gor¹czkowej pracy. Nie mogê siê od niej uwolniæ. Jej promienne oczy nawiedzaj¹ moje sny. Jej duma i ch³odna hardoœæ piek¹ me serce.

Obojêtnie, że jest córk¹ wielkiego ksiêcia i serbskiej ksiê¹niczki. Obojêtnie, czy jej ród jest jeszcze starszy ni¹ ród samego cesarza. Ja jestem synem mego ojca.

Czterdzieœci lat. S¹dzi³em, że doszed³em ju¹ do jesieni ¿ycia.

Dlaczego nie mia³bym spróbowæ spotkaæ siê z ni¹. Pozosta³y nam przecie¹ tylko te krótkie dni. A czas mija nieodwo³alnie. Szybkie jak strza³y s¹ te dni. Zadania, æwiczenia, listy zapasów. Pustka.



Z mroku w moim domu wyszed<sup>3</sup>em tego poranka w jasnoœæ. S<sup>3</sup>oñce œwieci<sup>3</sup>o promiennie. Niebo by<sup>3</sup>o rozpiête nad Konstantynopolem niczym niebieski baldachim. Przepe<sup>3</sup>ni<sup>3</sup>o mnie g<sup>3</sup>êbokie uniesienie.

Nie konno, lecz pieszo, jak najbiedniejszy pielgrzym. Daleko, daleko b<sup>3</sup>êkitnia<sup>3</sup>a marmurowa wieŹa Z<sup>3</sup>otej Bramy.

Potem ujrza<sup>3</sup>em znów g<sup>3</sup>adk<sup>1</sup> kamienn<sup>1</sup> œcianê i w<sup>1</sup>skie <sup>3</sup>ukowate okienka na górnym piêtrze. Tarczê herbow<sup>1</sup> nad bram<sup>1</sup>. Zastuka<sup>3</sup>em.

— Jean Ange, przyboczny protostratora.

— Megaduks jest na morzu. Obaj jego synowie s<sup>1</sup> z nim. Pani domu chora i leŹy w <sup>3</sup>óŹku.

— Chcê widzieæ siê z jego córk<sup>1</sup>, Ann<sup>1</sup> Notaras.

Przysz<sup>3</sup>a, w towarzystwie leciwego eunucha, z zamkniêtej czêœci domu. Otrzyma<sup>3</sup>a cesarskie wychowanie. Jest woln<sup>1</sup> Greczynk<sup>1</sup>. Eunuch by<sup>3</sup> szary i pomarszczony jak stare jab<sup>3</sup>uszek, przyg<sup>3</sup>uchy i bezzêbny. Ale strój nosi<sup>3</sup> bardzo kosztowny.

— Czeka<sup>3</sup>am na ciebie — rzek<sup>3</sup>a. — Czeka<sup>3</sup>am na ciebie d<sup>3</sup>ugo. Ale nie jestem juŹ dumna, Źe przyszed<sup>3</sup>eœ. Usi<sup>1</sup>dŸ, Jeanie Ange.

Eunuch potrz<sup>1</sup>sn<sup>13</sup> markotnie g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>, podniós<sup>3</sup> b<sup>3</sup>agalnie ramiona ku niebu, ukry<sup>3</sup> twarz w d<sup>3</sup>oniach i osun<sup>13</sup> siê na sto<sup>3</sup>ek w k<sup>1</sup>cie komnaty. Uwolni<sup>3</sup> siê od wszelkiej odpowiedzialnoœci.

Przysz<sup>3</sup>a s<sup>3</sup>uŹ<sup>1</sup>ca ze z<sup>3</sup>otym pucharem na srebrnej tacy. Puchar by<sup>3</sup> prastarej greckiej roboty. Na jego œcianach satyr goni<sup>3</sup> kilka uciekaj<sup>1</sup>cych nimf. By<sup>3</sup> to frywolny puchar. Umacza<sup>3</sup>a w nim wargi i poda<sup>3</sup>a go potem mnie.

— Za nasz<sup>1</sup> przyjaŹñ — powiedzia<sup>3</sup>a. — Chyba nie przyby<sup>3</sup>eœ ze z<sup>3</sup>ym zamiarem do naszego domu.

Napi<sup>3</sup>em siê wina jej ojca.

— Za rozpacz — odrzek<sup>3</sup>em. — Za zapomnienie i ciemnoœæ. Za czas i przestrzeñ. Za nasze wiêzy. Za nasze lube kajdany, za to, Źe istniejesz, Anno Notaras!

Na porfirowej posadzce leŹa<sup>3</sup>y cudowne dywany we wszystkich kolorach Wschodu. Za w<sup>1</sup>skimi <sup>3</sup>ukowatymi okienkami b<sup>3</sup>yszcza<sup>3</sup>o morze Marmara. Jej br<sup>1</sup>zowe oczy promienia<sup>3</sup>y. Jej p<sup>3</sup>eæ by<sup>3</sup>a jak z<sup>3</sup>oto i koœæ s<sup>3</sup>oniowa. Uœmiecha<sup>3</sup>a siê nadal.

— Mów — nakaza<sup>3</sup>a — powiedz cokolwiek. Mów Źywo i powaŹnie, jak gdybyœ mia<sup>3</sup> mi do powiedzenia coœ waŹnego. Eunuch nie moŹe ciê s<sup>3</sup>yszeæ, ale czuje siê spokojniejszy, jak Źywiej mówisz.

To by<sup>3</sup>o trudne. Wola<sup>3</sup>em tylko patrzeæ na ni<sup>1</sup>.

— Twój hiacyntowy zapach — powiedzia<sup>3</sup>em. — Hiacyntowy zapach twoich policzków.

— Znow zaczynasz —  $\zeta$ achn<sup>3</sup>a si<sup>3</sup>e rozdra $\zeta$ niona.

— Tak, zaczynam na nowo — rzek<sup>3</sup>em. — Twoja suknia, mieni<sup>1</sup>ca si<sup>3</sup>e od z<sup>3</sup>oty<sup>3</sup>ch nici, jest cudowna. Ale ty sama jeste<sup>3</sup>e o wiele cudowniejsza. Ta suknia strze $\zeta$ e zbyt zazdroc<sup>3</sup>enie twoj pi<sup>3</sup>ekno<sup>3</sup>eci. Czy to mnisi rysowali ten wz<sup>3</sup>or? Wasza moda zmieni<sup>3</sup>a si<sup>3</sup>e od mej m<sup>3</sup>odo<sup>3</sup>eci. We Francji pi<sup>3</sup>ekne damy obna $\zeta$ aj<sup>1</sup> nawet piersi na podziw m $\zeta$ czyznom, tak jak pi<sup>3</sup>ekna Agnes Sorel, faworyta kr<sup>3</sup>ola Karola. A w tu kryjecie wszystko, nawet twarz.

O, gdyby<sup>3</sup>emy tylko mogli kiedy<sup>3</sup>e podr $\zeta$ owa<sup>3</sup>e razem na wolnym Zachodzie — m<sup>3</sup>owi<sup>3</sup>em. — Pierwsz<sup>1</sup> kobiet<sup>3</sup>e, kt<sup>3</sup>ora nauczy<sup>3</sup>a mnie tajnik<sup>3</sup>ow mi<sup>3</sup>o<sup>3</sup>eci cielesnej, spotka<sup>3</sup>em nad basenem k<sup>1</sup>pielowym w r<sup>3</sup>odle M<sup>3</sup>odo<sup>3</sup>eci w pobl $\zeta$ u Renu. Sta<sup>3</sup>o si<sup>3</sup>e to tego dnia, kiedy rankiem  $\alpha$ piewa<sup>3</sup> s<sup>3</sup>owik i moja siostra  $\alpha$ miera<sup>3</sup>e ta $\zeta$ czy<sup>3</sup>a na murze cementarnym. By<sup>3</sup>a kwitn<sup>1</sup>c<sup>1</sup> kobiet<sup>1</sup>, starsz<sup>1</sup> ode mnie, i wcale nie kry<sup>3</sup>a swej pi<sup>3</sup>ekno<sup>3</sup>eci. Siedzia<sup>3</sup>a naga na brzegu basenu pogr<sup>1</sup> $\zeta$ ona w lekturze, podczas gdy szlacheni panowie i damy igrali z sob<sup>1</sup> w wodzie i jedli przy p<sup>3</sup>ywaj<sup>1</sup>cych stolikach. Nazywa<sup>3</sup>a si<sup>3</sup>e pani Dorotea. Od niej dosta<sup>3</sup>em list polecaj<sup>1</sup>cy do Eneasza Sylwiusza w Bazylei, je<sup>3</sup>eli wiesz, kto to taki. Wszystko to sta<sup>3</sup>o si<sup>3</sup>e po tym, jak wyst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>em z bractwa wolnego ducha. Dotychczas uprawia<sup>3</sup>em mi<sup>3</sup>o<sup>3</sup>ec<sup>3</sup>e tylko w krzakach i w ciemno<sup>3</sup>eci. Ale ta szlachetna dama zaprowadzi<sup>3</sup>a mnie na puchowe poduszki i zapali<sup>3</sup>a  $\alpha$ wiece wok<sup>3</sup>  $\alpha$ o $\zeta$ a, tak  $\zeta$ eby nie uszed<sup>3</sup> jej najmniejszy drobiazg.

Anna Notaras poczerwienia<sup>3</sup>a. Wargi jej zacz<sup>3</sup>e<sup>3</sup>y dr $\zeta$ e<sup>3</sup>.

— Dlaczego m<sup>3</sup>owisz mi o tym? — zapyta<sup>3</sup>a. — To niepodobne do ciebie. Nie podejrzewa<sup>3</sup>am ciebie o to.

— Dlatego,  $\zeta$ e ci<sup>3</sup>e po $\zeta$ <sup>1</sup>dam — powiedzia<sup>3</sup>em. — Poci<sup>1</sup>g cielesny nie jest mo $\zeta$ e mi<sup>3</sup>o<sup>3</sup>eci<sup>1</sup>, ale nie ma mi<sup>3</sup>o<sup>3</sup>eci bez poci<sup>1</sup>gu cielesnego. Zwr<sup>3</sup>o<sup>3</sup>e jednak uwag<sup>3</sup>e,  $\zeta$ e tak nie m<sup>3</sup>owi<sup>3</sup>em, kiedy<sup>3</sup>emy byli sami z sob<sup>1</sup> i by<sup>3</sup>o<sup>3</sup>e w mojej mocy. Nie, nie, nie wbi<sup>3</sup>aby<sup>3</sup>e mi sztyletu, gdybym ci<sup>3</sup>e w<sup>3</sup>owczas dotkn<sup>13</sup>. Nie uczyni<sup>3</sup>aby<sup>3</sup>e tego. Widz<sup>3</sup>e to po twoich oczach. Ale moje po $\zeta$ <sup>1</sup>danie jest czyste jak p<sup>3</sup>omie<sup>3</sup>. Sama mi podasz sw<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y kwiat. Ja go nie uszczkn<sup>3</sup>e gwa<sup>3</sup>tem.

Anno Notaras — ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>em — Anno Notaras. O, jak ja ci<sup>3</sup>e Kocham! Nie s<sup>3</sup>uchaj mnie, bo sam nie wiem, co m<sup>3</sup>owi<sup>3</sup>e. Jestem tylko szcz<sup>3</sup>e<sup>3</sup>eliwy. Czynisz mnie szcz<sup>3</sup>e<sup>3</sup>eliwym.

Bractwo wolnego ducha — m<sup>3</sup>owi<sup>3</sup>em dalej. — Uznaj<sup>1</sup> oni tylko cztery ewangelie. Odmawiaj<sup>1</sup> chrztu. Wszelka w<sup>3</sup>asno<sup>3</sup>e<sup>3</sup> jest wsp<sup>3</sup>olna. Znajduj<sup>1</sup> si<sup>3</sup>e p<sup>3</sup>o<sup>3</sup>er<sup>3</sup>od biednych i p<sup>3</sup>o<sup>3</sup>er<sup>3</sup>od bogatych, tak $\zeta$ e tam, gdzie nie mo $\zeta$ na si<sup>3</sup>e ich spodziewa<sup>3</sup>e. Poznaj<sup>1</sup> si<sup>3</sup>e nawzajem po tajemnych znakach. S<sup>1</sup> we wszystkich krajach pod r $\zeta$ o<sup>3</sup>nymi imionami. Tak $\zeta$ e w<sup>3</sup>er<sup>3</sup>od derwisz<sup>3</sup>ow. Im to zawdzi<sup>3</sup>eczam  $\zeta$ ycie. Dlatego wzi<sup>13</sup>em udzia<sup>3</sup> w wojnie we Francji, gdy $\zeta$  wielu z nich przy<sup>3</sup>czy<sup>3</sup>o si<sup>3</sup>e do Dziewicy. Ale gdy sko<sup>3</sup>oczy<sup>3</sup>em dwadzie<sup>3</sup>ecia cztery lata, odszed<sup>3</sup>em od nich. Ich fanatyzm i nienawio<sup>3</sup>e<sup>3</sup> by<sup>3</sup>y gorsze ni $\zeta$  wszelka inna nienawio<sup>3</sup>e<sup>3</sup>. Odt<sup>1</sup>d chodz<sup>3</sup>em wieloma drogami.

— A potem odszed<sup>3</sup>o<sup>3</sup>e od wszystkiego,  $\zeta$ eby si<sup>3</sup>e o $\zeta$ enia<sup>3</sup> — rzek<sup>3</sup>a uszczypliwie. — To ju $\zeta$  wiem. Opowiedz tak $\zeta$ e o swoim ma<sup>3</sup> $\zeta$ e<sup>3</sup>nstwie i jaki by<sup>3</sup>o<sup>3</sup>e szcz<sup>3</sup>e<sup>3</sup>eliwy. Mo $\zeta$ e jeszcze szcz<sup>3</sup>e<sup>3</sup>eliwszy ni $\zeta$  w basenie k<sup>1</sup>pielowym z nag<sup>1</sup> kobiet<sup>1</sup>, co? Opowiadaj! Nie wsty<sup>3</sup>d<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e.

Przypomnia<sup>3</sup>a mi siê upalna Florencja, źó<sup>3</sup>te wody rzeki i spalone na br<sup>1</sup>z wzgórza. Moja radoœæ zgas<sup>3</sup>a.

— Opowiada<sup>3</sup>em ci juź przecieź o Florencji i Ferrarze — odrzek<sup>3</sup>em. — O tym, jak najbardziej uczeni mê<sup>3</sup>owie naszych czasów spierali siê o parê liter przez ca<sup>3</sup>e dwa lata.

— Czemu siê wykrêcasz, Johannesie Angelosie — przerwa<sup>3</sup>a mi. — Czy tak ciê jeszcze boli myœl o twoim ma<sup>3</sup>œnŹwie? Jak<sup>1</sup>ź rozkosz<sup>1</sup> jest sprawiaæ ci ból, tak jak ty mi sprawia<sup>3</sup>eœ ból.

— Dlaczego musimy zawsze mówiæ tylko o mnie? — odpar<sup>3</sup>em niechêtnie. — Dlaczego nie moźemy mówiæ o tobie?

Podnios<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>owê, jej br<sup>1</sup>zowe oczy zab<sup>3</sup>ys<sup>3</sup>y.

— Jestem Anna Notaras — rzek<sup>3</sup>a. — To wystarczy. Nic innego nie moźna o mnie powiedzieæ.

Mia<sup>3</sup>a s<sup>3</sup>uszoœæ. Ąy<sup>3</sup>a swoim Źyciem pod ochron<sup>1</sup> murów pa<sup>3</sup>acu i ogrodów nad Bosforem. Noszono j<sup>1</sup> w lektyce, by brud ulicy nie splami<sup>3</sup> jej trzewików. Uczyli j<sup>1</sup> starzy filozofowie. Z roztargnieniem przerzuca<sup>3</sup>a karty starych foliantów, ogl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c ich p<sup>3</sup>omienne malunki w kolorze z<sup>3</sup>ota, b<sup>3</sup>êkitu i cynobru. Jest Ann<sup>1</sup> Notaras. Zosta<sup>3</sup>a wychowana na ma<sup>3</sup>œonkê cesarza. Nie moźna o niej nic innego powiedzieæ.

— Nazywa<sup>3</sup>a siê pani Ghita — zacz<sup>13</sup>em. — Mieszka<sup>3</sup>a przy uliczce, która prowadzi<sup>3</sup>a do klasztoru franciszkanów. W szarej œcianie jej domu by<sup>3</sup>o jedno tylko zakratowane okno i okute Źelazem drzwi. Za zakratowanym okienkiem mieszka<sup>3</sup>a w izbie skromnej jak cela mniszki. Przez ca<sup>3</sup>y dzieñ odmawia<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>oœno modlitwy. Ąpiewa<sup>3</sup>a psalmy i krzykliwym g<sup>3</sup>osem obrzuca<sup>3</sup>a przez okno obelgami przechodniów. Twarz mia<sup>3</sup>a przeraźaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup>. Przesz<sup>3</sup>a jak<sup>1</sup>œ chorobê, która czyni<sup>3</sup>a jej twarz dziobat<sup>1</sup> i martw<sup>1</sup>. By<sup>3</sup>a jak brzydka maska. Tylko jej oczy mia<sup>3</sup>y Źycie.

Dla spêdzenia czasu chodzi<sup>3</sup>a czêsto na zakupy do miasta, zabieraj<sup>1</sup>c wtedy z sob<sup>1</sup> czarn<sup>1</sup> niewolnicê, która nios<sup>3</sup>a jej koszyk — ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>em. — Przywdziewa<sup>3</sup>a zawsze p<sup>3</sup>aszcz uszyty z kolorowych szmatek, a jej nakrycie g<sup>3</sup>owy i p<sup>3</sup>aszcz by<sup>3</sup>y tak obwieszane ma<sup>3</sup>ymi podobiznami œwiêtych i œwiêtymi medalikami, Źe juź na odleg<sup>3</sup>oœæ rozlega<sup>3</sup>o siê wokó<sup>3</sup> niej pobrzêkiwanie. Id<sup>1</sup>c uœmiecha<sup>3</sup>a siê i mruca<sup>3</sup>a coœ pod nosem do siebie. A gdy ktoœ stan<sup>13</sup> i patrzy<sup>3</sup> na ni<sup>1</sup>, wpada<sup>3</sup>a w furiê i obsypywa<sup>3</sup>a go okropnymi obelgami. Nazywa<sup>3</sup>a siebie b<sup>3</sup>aznem boźym. Franciszkanie ochrania<sup>1</sup> j<sup>1</sup>, gdyź by<sup>3</sup>a bogat<sup>1</sup> kobiet<sup>1</sup>. Krewni pozwalali jej Źyæ, jak chcia<sup>3</sup>a, poniewaź by<sup>3</sup>a wdow<sup>1</sup> i jej maj<sup>1</sup>tek by<sup>3</sup> bezpiecznie ulokowany w prowadzonym przez nich handlu we<sup>3</sup>n<sup>1</sup> i przedsiêbiorstwach bankowych. Wszyscy we Florencji znali j<sup>1</sup>, z wyj<sup>1</sup>tkiem mnie, który by<sup>3</sup>em obcym.

Nie, nie wiedzia<sup>3</sup>em o niej nic, gdy siê poznalioœmy — zapewni<sup>3</sup>em. — Zobaczy<sup>3</sup>a mnie pewnego dnia na Ponte Vecchio i zaczê<sup>3</sup>a ioœæ za mn<sup>1</sup>. Myœla<sup>3</sup>em, Źe jest szalona. Chcia<sup>3</sup>a mi wmusiæ prezent, ma<sup>31</sup> statuetkê z koœci s<sup>3</sup>oniowej, któr<sup>1</sup> podziwia<sup>3</sup>em na jednym ze straganów. Nie, nie potrafisz tego zrozumieæ. Jak<sup>1</sup>e móg<sup>3</sup>by<sup>3</sup>m ci wyt<sup>3</sup>umaczyæ, co zasz<sup>3</sup>o miêdzy nami.

By<sup>3</sup>em jeszcze m<sup>3</sup>ody. Mia<sup>3</sup>em dwadzieœcia piêæ lat. Stan<sup>13</sup>em u progu mojej mêskoœci. Ale nie

mia<sup>3</sup>em już, żadnych nadziei. Rozczarowany, zaczą<sup>3</sup>em nienawidziæ czarnych kapturew i brodatych twarzy Greków. Nienawidzi<sup>3</sup>em okr<sup>1</sup>g<sup>3</sup>ej g<sup>3</sup>owy i potêżnego cielska Bessariona. Zapachu pergaminu i inkaustu. Tam gdzie mieszka<sup>3</sup>em, budzi<sup>3</sup>em siê co rano w smrodzie potu, brudu i odchodów. By<sup>3</sup>o rozpalone upalne lato. W Ferrarze przeży<sup>3</sup>em zarazê i mi<sup>3</sup>oœæ. Obecnie nie wierzy<sup>3</sup>em już w nic. Nienawidzi<sup>3</sup>em nawet siebie samego. Niewolnictwa, kajdan, wiêzienia cia<sup>3</sup>a. Ale czy ty możesz to zrozumieæ?

Zaprosi<sup>3</sup>a mnie do siebie do domu — ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>em. — W jej celi mniszki by<sup>3</sup>a drewniana prycza, na której sypia<sup>3</sup>a, woda w glinianym dzbanku i cuchn<sup>1</sup>ce resztki jedzenia na pod<sup>3</sup>odze. Ale za cel<sup>1</sup> mia<sup>3</sup>a wiele piêknie i wspaniale urz<sup>1</sup>dzonych izb i otoczony murem ogród z szemrzc<sup>1</sup> wod<sup>1</sup>, zieleniej<sup>1</sup>cymi drzewami i klatkami œwiergoc<sup>1</sup>cych ptaszków. Tak samo jej be<sup>3</sup>kot i chichot kry<sup>3</sup> m<sup>1</sup>droœæ zrozpaczonej kobiety, która z bólu robi<sup>3</sup>a z siebie b<sup>3</sup>azna bożego.

Jako m<sup>3</sup>oda by<sup>3</sup>a bardzo piêkn<sup>1</sup> — mówi<sup>3</sup>em dalej — bogat<sup>1</sup> i szczêœliw<sup>1</sup> kobiet<sup>1</sup>. Ale jej m<sup>1</sup>ż i dwoje dzieci umarli w ci<sup>1</sup>gu kilku dni od tej samej zarazy, która zniszczy<sup>3</sup>a jej piêknoœæ. Pozna<sup>3</sup>a kruchoœæ żywota ludzkiego i tê straszliw<sup>1</sup> niepewnoœæ, która czyha za wszelkim pozornym szczêœciem. Jakby na ur<sup>1</sup>gowisko Bóg powali<sup>3</sup> j<sup>1</sup> na ziemiê i wcisn<sup>13</sup> jej twarz w b<sup>3</sup>oto. Przypuszczalnie przez jakieœ czas by<sup>3</sup>a umys<sup>3</sup>owo chora, potem jednak, jak wyzdrowia<sup>3</sup>a, dalej zachowywa<sup>3</sup>a siê w taki sam sposób. Czyni<sup>3</sup>a tak z rozpacz i buntu wobec Boga i ludzi. BluŸni<sup>3</sup>a modl<sup>1</sup>c siê. Modli<sup>3</sup>a siê bluŸni<sup>1</sup>c. Spojrzenie jej oczu by<sup>3</sup>o k<sup>3</sup>uj<sup>1</sup>ce i udrêczone. Nie, nie wiem, czy rozumiesz to dobrze. Mia<sup>3</sup>a najwyżej trzydzieci piê lat, ale twarz robi<sup>3</sup>a z niej wysuszon<sup>1</sup> star<sup>1</sup> kobietê. Wargi mia<sup>3</sup>a spêkane, a gdy mówi<sup>3</sup>a, w krwawi<sup>1</sup>cych k<sup>1</sup>cikach ust zbiera<sup>3</sup>a siê piana. Ale jej oczy!

Anna Notaras spuœci<sup>3</sup>a wzrok i s<sup>3</sup>uchaj<sup>1</sup>c zaciska<sup>3</sup>a mocno splecione palce. Œwiat<sup>3</sup>o dzienne rozżarza<sup>3</sup>o czarne i czerwone figury na dywanach. Eunuch w k<sup>1</sup>cie wyci<sup>1</sup>ga<sup>3</sup> ku nam pomarszczon<sup>1</sup> i poszarza<sup>31</sup> twarz, patrz<sup>1</sup>c to na mnie, to na ni<sup>1</sup> i mruzc<sup>1</sup>c usi<sup>3</sup>owa<sup>3</sup> odczytaæ s<sup>3</sup>owa z moich warg. Mówi<sup>3</sup>em dalej:

— Da<sup>3</sup>a mi jeœæ i piæ, oczyma ch<sup>3</sup>onê<sup>3</sup>a moj<sup>1</sup> twarz. Gdy j<sup>1</sup> odwiedzi<sup>3</sup>em kilka razy i porozmawia<sup>3</sup>em z ni<sup>1</sup>, zrodzi<sup>3</sup>o siê we mnie niewypowiedziane wspó<sup>3</sup>czucie. Wspó<sup>3</sup>czucie nie jest mi<sup>3</sup>oœci<sup>1</sup>, Anno Notaras. Ale czasem mi<sup>3</sup>oœæ może byæ wspó<sup>3</sup>czuciem, gdy cz<sup>3</sup>owiek swoj<sup>1</sup> bliskoœci<sup>1</sup> zmi<sup>3</sup>uje siê nad innym cz<sup>3</sup>owiekiem. Pamiêtam też, że jeszcze nie wiedzia<sup>3</sup>em, iż jest bogata. Domyœla<sup>3</sup>em siê tylko, że musi byæ dosyæ zamożna, gdyż franciszkanie chronili j<sup>1</sup>. Chcia<sup>3</sup>a mi daæ now<sup>1</sup> odzież. Kaza<sup>3</sup>a j<sup>1</sup> pos<sup>3</sup>aæ tam, gdzie mieszka<sup>3</sup>em, a wraz z ni<sup>1</sup> kieskê pe<sup>3</sup>n<sup>1</sup> srebrnych monet. Ale ja nie chcia<sup>3</sup>em przyjmowaæ jej darów. Nawet żeby sprawiaæ jej radoœæ.

Potem pewnego dnia pokaza<sup>3</sup>a mi swój portret z m<sup>3</sup>odoœci. Zobaczy<sup>3</sup>em, jaka kiedyœ by<sup>3</sup>a, i zrozumia<sup>3</sup>em j<sup>1</sup> wreszcie. Bóg rozbi<sup>3</sup> jej szczêœcie doszczêtnie, a potem zamkn<sup>13</sup> j<sup>1</sup> w piekle w<sup>3</sup>asnego jej cia<sup>3</sup>a. A kiedy spotka<sup>3</sup>a mnie na moœcie, œlepo siê we mnie zakocha<sup>3</sup>a i zaczą<sup>3</sup>a mnie poż<sup>1</sup>daæ, choæ nie waży<sup>3</sup>a siê od razu przyznaæ do tego nawet przed sob<sup>1</sup>.

Tak, tak, wiêc dobrze już, dobrze! — wykrzykn<sup>13</sup>em i fala gor<sup>1</sup>cego wstydu uderzy<sup>3</sup>a mi do g<sup>3</sup>owy. — Spa<sup>3</sup>em z ni<sup>1</sup>, zlitowa<sup>3</sup>em siê nad ni<sup>1</sup> moim cia<sup>3</sup>em, dlatego że sam nie przywi<sup>1</sup>zywa<sup>3</sup>em do niego żadnej wagi. Dzieli<sup>3</sup>em z ni<sup>1</sup> jej piek<sup>3</sup>o i s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>em, że wyœwiadczam dobro. Trzy noce by<sup>3</sup>em u niej. A potem sprzeda<sup>3</sup>em wszystko, co mia<sup>3</sup>em, strój pisarza, nawet mojego Homera, rozda<sup>3</sup>em

pieni<sup>1</sup>dze miêdzy ubogich i uciek<sup>3</sup>em z Florencji.

Dopóki wyrok boski nie dosiêgn<sup>13</sup> mnie tej samej jesieni na górskiej drodze do Asy<sup>2</sup>u — zakończ<sup>3</sup>em. — Pani Ghita uda<sup>3</sup>a siê w moje œlady w lektyce. Mia<sup>3</sup>a z sob<sup>1</sup> ojca franciszkanina i bieg<sup>3</sup>ego prawnika. By<sup>3</sup>em zaroceniêty, brudny i rozczochrany. Kaza<sup>3</sup>a mnie umyæ i ogoliæ i odzia<sup>3</sup>a w nowe szaty. Zostalicemy pocelubieni w Asy<sup>2</sup>u. Zasz<sup>3</sup>a ode mnie w ci<sup>1</sup>ê. Uwa<sup>3</sup>a to za cud bo<sup>2</sup>zy. I dopiero wtedy dowiedzia<sup>3</sup>em siê, kim by<sup>3</sup>a i jak<sup>1</sup> pêtlê Bóg zarzuci<sup>3</sup> na moj<sup>1</sup> szyjê. Jeszcze nigdy w <sup>2</sup>yciu nie czu<sup>3</sup>em siê taki og<sup>3</sup>uszony.

Musia<sup>3</sup>em podnieœæ siê. Wyrzr<sup>3</sup>em przez zielonkawé okna na gro<sup>2</sup>ne blanki muru od strony morza i na b<sup>3</sup>yszcz<sup>1</sup>ce morze Marmara poza nimi.

— Ostrze<sup>2</sup>ono mnie, bym nie wchodzi<sup>3</sup> w <sup>2</sup>adne zwi<sup>1</sup>zki z tym domem — powiedzia<sup>3</sup>em. — Mo<sup>2</sup>e zamkn<sup>1</sup> mnie za tê wizytê w marmurowej wie<sup>2</sup>zy. Mo<sup>2</sup>e nie uratuje mnie nawet zaci<sup>1</sup>g u Giustinianiego. Ale i tak masz mnie ju<sup>2</sup> w swojej mocy. Gdy<sup>2</sup> o tej czêœci mego <sup>2</sup>ycia nikt nic nie wie. Gdy<sup>2</sup> o<sup>2</sup>eni<sup>3</sup>em siê z ni<sup>1</sup>, sta<sup>3</sup>em siê jednym z najbogatszych ludzi we Florencji. Samo nazwisko sprawia<sup>3</sup>o, <sup>2</sup>e ka<sup>2</sup>dy wekslarz, od Antwerpii do Kairu, od Damaszku do Toledo, k<sup>3</sup>ania<sup>3</sup> mi siê w pas.

Nie chcia<sup>3</sup>em nigdy wiedzieæ, ile musia<sup>3</sup>a zap<sup>3</sup>aciaæ mnichom i samemu papie<sup>2</sup>owi za ochronê siebie i maj<sup>1</sup>tku przed swymi krewniakami i za uzyskanie prawomocnoœci naszego ma<sup>3</sup>êñstwa. Gdy<sup>2</sup> ja sam nie mia<sup>3</sup>em przecie<sup>2</sup> nawet nazwiska. Dokumenty, które dotyczy<sup>3</sup>y mego ojca i mego pochodzenia, znajdowa<sup>3</sup>y siê u z<sup>3</sup>otnika Gerolamo w Awinionie. On zaœ przeczy<sup>3</sup>, by kiedykolwiek je otrzyma<sup>3</sup>. Ale jurysta za<sup>3</sup>atwi<sup>3</sup> wszystko. Otrzyma<sup>3</sup>em nowe nazwisko. Jean Ange popad<sup>3</sup> w zapomnienie. Zrazu osiedlilicemy siê w jej dworku w Fiesole, dopóki nie urodzi<sup>3</sup> siê nasz syn. Kiedy zapuœci<sup>3</sup>em brodê i kaza<sup>3</sup>em utrefiaæ w<sup>3</sup>osy, kiedy odzia<sup>3</sup>em siê jak szlachcic i zacz<sup>13</sup>em nosiaæ u boku miecz, nikt ju<sup>2</sup> nie móg<sup>3</sup> we mnie poznaæ ubogiego francuskiego pisarza z synodu koœcielnego. Przez cztery lata wytrzyma<sup>3</sup>em. Mia<sup>3</sup>em wszystko, czego serce mog<sup>3</sup>o zapragn<sup>1</sup>æ. Soko<sup>3</sup>y do polowania, wierzchowce, ksi<sup>1</sup>êki. Weso<sup>3</sup>e towarzystwo i uczone rozmowy. Nawet Medyceusze tolerowali mnie. Ale nie ze wzglêdu na mnie samego. Ja by<sup>3</sup>em tylko ojcem mego synem. Mój syn by<sup>3</sup> jednym z Bardich.

A pani Ghita uspokoi<sup>3</sup>a siê, zmieni<sup>3</sup>a siê ca<sup>3</sup>kowicie po urodzeniu syna. Sta<sup>3</sup>a siê pobo<sup>2</sup>n<sup>1</sup> kobiet<sup>1</sup>. Nie blu<sup>2</sup>ni<sup>3</sup>a ju<sup>2</sup> wiêcej Bogu. Ufundowa<sup>3</sup>a koœció<sup>3</sup>. Przypuszczalnie kocha<sup>3</sup>a mnie. Ale najbardziej kocha<sup>3</sup>a naszego syna.

Cztery lata wytrzyma<sup>3</sup>em. Potem wzi<sup>13</sup>em krzy<sup>2</sup>, by pójœæ za kardyna<sup>3</sup>em Cesarinim na Wêgry. Zostawi<sup>3</sup>em dla mojej <sup>2</sup>ony list i uciek<sup>3</sup>em potajemnie. Czêsto ucieka<sup>3</sup>em potajemnie, Anno Notaras. Moja <sup>2</sup>ona i syn myœl<sup>1</sup>, <sup>2</sup>e poleg<sup>3</sup>em pod Warn<sup>1</sup>.

Ale nie opowiedzia<sup>3</sup>em jej wszystkiego. Nie opowiedzia<sup>3</sup>em, <sup>2</sup>e przed podró<sup>2</sup> na Wêgry uda<sup>3</sup>em siê do Awinionu, z<sup>3</sup>apa<sup>3</sup>em z<sup>3</sup>otnika Gerolamo za brodê i przy<sup>3</sup>o<sup>2</sup>y<sup>3</sup>em mu nô<sup>2</sup> do gard<sup>3</sup>a. Nie opowiedzia<sup>3</sup>em o tym i nie mia<sup>3</sup>em nigdy zamiaru opowiedzieæ. Jest to tajemnica tylko miêdzy Bogiem i mn<sup>1</sup>, gdy<sup>2</sup> Gerolamo nie umia<sup>3</sup> czytaæ po grecku i nie odwa<sup>2</sup>y<sup>3</sup> siê pokazaæ dokumentów nikomu, kto zna<sup>3</sup> ten jêzyk.

Có<sup>2</sup> pozosta<sup>3</sup>o jeszcze do opowiedzenia:

— Moje ma<sup>3</sup>ł<sup>3</sup>eństwo by<sup>3</sup>o zr<sup>1</sup>z<sup>1</sup>eniem boskim — rzek<sup>3</sup>em. — Musia<sup>3</sup>em pozna<sup>æ</sup> najwi<sup>3</sup>eksze ziemskie bogactwa w ca<sup>3</sup>ym ich blasku, ł<sup>3</sup>eby m<sup>3</sup>óc z nich zrezygnowa<sup>æ</sup>. Z<sup>3</sup>ote kraty jeszcze trudniej skurszy<sup>æ</sup> ni<sup>3</sup> wi<sup>3</sup>ęzienne kraty ksi<sup>1</sup>ł<sup>3</sup>ek, rozumu i filozofii. Jako dziecko zamkni<sup>3</sup>ęto mnie w ciemnej wieł<sup>3</sup>y w Awinionie. Od tej pory ł<sup>3</sup>ycie moje by<sup>3</sup>o uciekaniem z jednego wi<sup>3</sup>ęzienia do drugiego. Ale teraz pozostaje mi tylko jedno. Wi<sup>3</sup>ęzienie mojego cia<sup>3</sup>a. Wi<sup>3</sup>ęzienie mojej wiedzy, mojej woli, mojego serca. Wiem jednak, ł<sup>3</sup>e niebawem takł<sup>3</sup>e z niego zostan<sup>3</sup>ę uwolniony. To juł<sup>3</sup> nied<sup>3</sup>ugo nast<sup>1</sup>pi.

Anna Notaras potrz<sup>1</sup>sn<sup>3</sup>ę<sup>3</sup>a lekko g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>.

— Dziwny z ciebie cz<sup>3</sup>owiek — powiedzia<sup>3</sup>a. — Nie rozumiem ciebie. Wzbudzasz we mnie l<sup>3</sup>ek.

— L<sup>3</sup>ek jest tylko pokus<sup>1</sup> — odpar<sup>3</sup>em. — Takł<sup>3</sup>e od l<sup>3</sup>eku cz<sup>3</sup>owiek moł<sup>3</sup>e si<sup>3</sup>ę wyzwolia<sup>æ</sup>. Podzi<sup>3</sup>ekowa<sup>æ</sup> za wszystko, poł<sup>3</sup>egna<sup>æ</sup> si<sup>3</sup>ę i odej<sup>3</sup>æ. W przekonaniu, ł<sup>3</sup>e nie ma nic innego do stracenia prócz swoich kajdan. C<sup>3</sup>ł<sup>3</sup> jednak posiada niewolnik?

— A ja? — zapyta<sup>3</sup>a cicho. — Dlaczego przyszed<sup>3</sup>ę<sup>3</sup> do mnie?

— Wyb<sup>3</sup>ór naleł<sup>3</sup>y do ciebie — odrzek<sup>3</sup>em — nie do mnie. Takie to proste.

Zacisn<sup>3</sup>ę<sup>3</sup>a mocno skrzył<sup>3</sup>owane d<sup>3</sup>onie i potrz<sup>1</sup>sn<sup>3</sup>ę<sup>3</sup>a gwa<sup>3</sup>townie g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>.

— Nie, nie — zaprzeczy<sup>3</sup>a. — Nie moł<sup>3</sup>esz myœle<sup>æ</sup> tego, co mówisz.

Wzruszy<sup>3</sup>em ramionami.

— Jak s<sup>1</sup>dzisz, dlaczego opowiedzia<sup>3</sup>em ci tyle o sobie? — rzek<sup>3</sup>em. — Dla zabicia czasu czy ł<sup>3</sup>eby staa<sup>æ</sup> si<sup>3</sup>ę interesuj<sup>1</sup>cym w twoich oczach? S<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>em, ł<sup>3</sup>e znasz mnie lepiej. Nie, chcia<sup>3</sup>em ci wykaza<sup>æ</sup>, ł<sup>3</sup>e nie ma ł<sup>3</sup>adnego znaczenia to, w co wierzysz ani w czym ci<sup>3</sup>ę wychowano. Bogactwo i ub<sup>3</sup>óstwo, w<sup>3</sup>adza i strach, honor i hañ<sup>3</sup>ba, wiedza i g<sup>3</sup>upota, brzydota i pi<sup>3</sup>eknoœ<sup>æ</sup>, dobro i z<sup>3</sup>o — nic nie ma znaczenia samo przez si<sup>3</sup>ę. Jedynie wał<sup>3</sup>ne jest to, co chcemy zrobia<sup>æ</sup> z siebie i czym chcemy by<sup>æ</sup>. Jedynym prawdziwym grzechem jest zdrada: zna<sup>æ</sup> prawd<sup>3</sup>ę i nie dotrzyma<sup>æ</sup> jej wiary. Sam pozby<sup>3</sup>em si<sup>3</sup>ę wszystkiego. Jestem niczym. Dla mnie jest to czymœ najwi<sup>3</sup>ekszym, co cz<sup>3</sup>owiek moł<sup>3</sup>e osi<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>æ. To spokojne poczucie mojej mocy i mojego kr<sup>3</sup>ólestwa. Nic innego nie mam do zaofiarowania. Wyb<sup>3</sup>ór naleł<sup>3</sup>y do ciebie.

Wzburzy<sup>3</sup>a si<sup>3</sup>ę. Zacisn<sup>3</sup>ę<sup>3</sup>a poblad<sup>3</sup>e wargi. W jej br<sup>1</sup>zowych oczach pojawi<sup>3</sup>a si<sup>3</sup>ę zimna nienawioœ<sup>æ</sup>. Nawet ona nie by<sup>3</sup>a juł<sup>3</sup> pi<sup>3</sup>ekna.

— No a ja? — zapyta<sup>3</sup>a jeszcze raz. — Czego w<sup>3</sup>ac<sup>3</sup>eciwie chcesz ode mnie?

— Kiedy ujrza<sup>3</sup>em twoje oczy, wiedzia<sup>3</sup>em, ł<sup>3</sup>e cz<sup>3</sup>owiek mimo wszystko potrzebuje drugiego cz<sup>3</sup>owieka — odpar<sup>3</sup>em. — Nie oszukuj si<sup>3</sup>ę sama. I ty to wiesz. Coœ takiego zdarza si<sup>3</sup>ę tylko raz. Niekt<sup>3</sup>órym nie zdarza si<sup>3</sup>ę to nigdy. Opowiedzia<sup>3</sup>em ci o sobie, ł<sup>3</sup>eby wykaza<sup>æ</sup>, ł<sup>3</sup>e wszystko, co do tej pory mia<sup>3</sup>æ i co jak s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>æ, posiadasz, jest tylko urojeniem i niepewnoœci<sup>1</sup>. Niczego nie stracisz, jeœli si<sup>3</sup>ę tego wyrzekniesz. Kiedy Turcy tu przyjd<sup>1</sup>, b<sup>3</sup>ędziesz musia<sup>3</sup>a stracia<sup>æ</sup> duł<sup>3</sup>o. Ą<sup>3</sup>ycz<sup>3</sup>ę ci, ł<sup>3</sup>ebyœ juł<sup>3</sup> przedtem w swym sercu wyrzek<sup>3</sup>a si<sup>3</sup>ę wszystkiego, co i tak musisz stracia<sup>æ</sup>.

— S<sup>3</sup>owa! — wykrzyknę<sup>3</sup>a i zaczę<sup>3</sup>a dr<sup>3</sup>ęæ. — S<sup>3</sup>owa, s<sup>3</sup>owa, tylko s<sup>3</sup>owa!

— I ja mam ju<sup>3</sup> doææ s<sup>3</sup>ów — rzek<sup>3</sup>em. — Ale nie mogê wzi<sup>1</sup>æ ciê w ramiona, kiedy twój czcigodny eunuch patrzy na nas. Sama wiesz, że zrozumia<sup>3</sup>abyæ wszystko, gdybym wzi<sup>13</sup> ciê w ramiona. Wówczas nie potrzebowa<sup>3</sup>abyæ ju<sup>3</sup> wiêcej żadnych s<sup>3</sup>ów.

— Jesteæ szalony — powiedzia<sup>3</sup>a cofaj<sup>1</sup>c siê. Ale nasze oczy siê spotka<sup>3</sup>y. Tak samo jak pod kocio<sup>3</sup>em M<sup>1</sup>droæci Bo<sup>3</sup>ej. Nasze oczy patrzy<sup>3</sup>y na siebie nagie.

— Anno, moja ukochana — zakl<sup>13</sup>em j<sup>1</sup>. — Nasz czas ucieka. Piasek przesypuje siê daremnie. Kiedy zobaczy<sup>3</sup>em ciê pierwszy raz, zna<sup>3</sup>em ciê ju<sup>3</sup>. To musia<sup>3</sup>o siê staæ. Mo<sup>3</sup>e urodziliemy siê ju<sup>3</sup> raz przedtem na ziemi i spotkalicemy siê w poprzednim <sup>3</sup>yciu. Mo<sup>3</sup>e urodzimy siê jeszcze raz, by spotkaæ siê ponownie. Ale o tym nie wiemy nic. Tylko to jest pewne, że spotkalicemy siê teraz. Te to musia<sup>3</sup>o siê staæ. Niemniej mo<sup>3</sup>e to byæ nasza jedyna okazja. Jedyne miejsce i jedyna chwila w kosmosie, kiedy mo<sup>3</sup>emy siê spotkaæ. Dlaczego wiêc wahasz siê ? Dlaczego oszukujesz siebie sam<sup>1</sup>?

Podnios<sup>3</sup>a d<sup>3</sup>oñ, by zas<sup>3</sup>oniaæ oczy. Wróci<sup>3</sup>a do domu. Do swoich dywanów, okien, porfirowej posadzki, do swego w<sup>3</sup>asnego czasu. Do swego wychowania, swojej wiedzy.

— Ojciec stoi miêdzy nami — rzek<sup>3</sup>a cicho.

Przegra<sup>3</sup>em. I ja wróci<sup>3</sup>em do czasu.

— Wyp<sup>3</sup>yn<sup>13</sup> na morze — powiedzia<sup>3</sup>em. — Dlaczego?

— Dlaczego? — wzburzy<sup>3</sup>a siê. — I ty o to pytasz? Dlatego że ma doææ beznadziejnej polityki niezdarne<sup>3</sup>o cesarza. Dlatego że nie zgina grzbietu przed su<sup>3</sup>tanem tak jak Konstantyn. Prowadzi wojnê, poniewa<sup>3</sup> jest wojna. Dlatego, pytasz. Dlatego że jest jedynym prawdziwym mê<sup>3</sup>czyzn<sup>1</sup> w mieæcie, jedynym prawdziwym Grekiem. Nie ucieka siê do pomocy <sup>3</sup>acinników. Polega na sobie samym i na swoich dromonach.

Có<sup>3</sup> mog<sup>3</sup>em jej na to odpowiedzieæ? S<sup>3</sup>usnie czy nies<sup>3</sup>usnie, kocha<sup>3</sup>a swego ojca. Jest przecie<sup>3</sup> Ann<sup>1</sup> Notaras.

— Dokona<sup>3</sup>æ wiêc wyboru — stwierdzi<sup>3</sup>em. — Opowiesz o mnie ojcu?

— Tak — odrzek<sup>3</sup>a. — Opowiem o tobie ojcu.

Dobrowolnie wszed<sup>3</sup>em w pu<sup>3</sup>apkê. Nie powiedzia<sup>3</sup>em nic wiêcej. Nie chcia<sup>3</sup>em nawet patrzeæ na ni<sup>1</sup>. Ale i to musia<sup>3</sup>o siê staæ.

Flota powróciła wczoraj. Wszystkie pięć dromonów. Proporce powiewały. Żeglarze bili w bębny i grali na piszczałkach. Małe brązowe armatki oddawały saluty. Ludzie biegli do portu i wymachiwali białymi płachtami z murów.

Dzień sprzedawano na targu tureckich niewolników. Rybaków, długobrodych starców, chudych chłopców, pączki kobiety, które usiłowaly chować twarze w rękawach ubogich szat. Wspaniałe doprawdy zwycięstwo odniósł nad Turkami megaduks Łukasz Notaras.

Zdłżył on zaskoczył parę wiosek na wybrzeżu azjatyckim i wziął do niewoli mieszkańców. W innych wioskach ludność uciekała, ale on spalił ich domostwa. Pożegłował aż do Gallipoli i udał się do mu się zatopiał turecki statek transportowy. Gdy wypłynęły na morze tureckie galery wojenne, zawrócił do domu.

Co za triumf! Jakież hołdy oddawano greckim żeglarzom! Jak lud wywozywał imię megaduksa, kiedy jechał konno do swego domu! Giustiniani i tracińscy żołnierze znaleźli się w jego cieniu. Stał się na jeden dzień bohaterem Konstantynopola.

Ale na targu nie było chętnych do kupowania tureckich niewolników. Nikt nie drwił ani nie lżył jeńców. Ciekawi rozpieczęli się szybko. Z zawstydzeniem spuszczano oczy na widok tych bezradnych, ubogich ludzi, którzy przerażeni czepiali się siebie nawzajem i dla dodania sobie otuchy mruzcili wersety Koranu.

*18 lutego 1453*

Z Adrianopola odpowiedziało echo. Sułtan kazał odczytać list cesarza Konstantyna na dowód greckiego fałszu i podeptał go stopami. Jego gońcy w sandałach okutych żelazem zanieśli posłanie do wszystkich tureckich miast. Derwisze i kapłani głoszą zemstę. Partia pokojowa zmuszona została do milczenia. Mehmed bierze za oświadczenie także Zachód.

“Raz po raz Grecy ślamali zaprzysiężone obietnice i porozumienia, gdy tylko mieli korzystną okazję. Oddajcie swój kościół we władzę papieża cesarz Konstantyn zerwał ostatnie więzy przyjaźni między Turkami i Grekami. Jego jedynym zamiarem jest podjudzić Zachód przeciwko Turkom. Fałszywymi słowami i udanym uczciwością usiłuje on wciąż jeszcze przesłonić swoje zamiary. Ale osmańskie wioski, które stoją obecnie w płomieniach nad brzegami morza Marmara, oświetliły i zdemaskowały jego krwawe plany agresji. Władza podbojów Bizancjum jest zagrożeniem całego naszego bytu. Podstępność i okrucieństwo Greków woła o zemstę. By pozostać kres ustawicznemu zagrożeniu, by uwolnić państwo od wiecznie czyhającego greckiego niebezpieczeństwa, obowiązkiem każdego prawowiernego jest stanąć do oświętej wojny. Ten, kto wciąż jeszcze bierze



Greków w obronę, demaskuje się jako wróg państwa. Niech wzniesie się karzący miecz sułtana do zemsty za mordowanych, dręczonych, palonych żywcem i branych w niewolę prawowiernych!"

Aby usunąć resztki wahania, sułtan kazał odczytać we wszystkich meczetach w związku z piątkowymi modlitwami nazwiska Turków, których zamordowali żeglarze cesarza.

Manewry floty dały sułtanowi Mehmedowi ostateczną broń, której potrzebował, by skruszyć zacięty opór partii pokojowej i wielkiego wezyra Halila. Ten, kto jeszcze ośmielał się przeciwstawiać obłąkaniu, ryzykuje własną głową. Nawet Halil, mimo że jest wielkim wezyrem i potomkiem dwóch wielkich wezyrów, nie jest bezpieczny.

*21 lutego 1453*

W Pantokratorze dzieją się cuda. W wilgotne poranki mgła zagęszcza się w krople wody na oświeconych ikonach. Mnisi mówią, że to śmiertelny pot oświeconych. Któregoś z mniszek zakłamała się, że widziała, jak Najświętsza Dziewica w Blachernach płacze krwawymi łzami. Ludzie jej wierzą, mimo że cesarz kazał kardynałowi Izydorowi i nieprawemu patriarsze Gregoriosowi, wspólnie z uczonymi filozofami, zbadać obraz, i ci nie znaleźli na nim żadnych śladów krwi. Lud nie wierzy odstępcom. Jego nieuczony, fanatyczny trzymanie się pierwotnego wyznania wiary jest silniejsze niż kiedykolwiek.

Podzi mnisi, rzemieślnicy, mieszczanie i kupcy, którzy nie umieli odróżnić jednego końca miecza od drugiego, ćwiczą się teraz karnie w używaniu broni w grupach po dziesięciu i stu ludzi pod kierownictwem wypróbowanych wojaków Giustinianiego. Chcą walczyć o swój wiary. Płonąc zapałem, by okazać się równymi przeciwnikom, gdy przyjdzie do walki. Zamierzają utrzymać miasto.

Być może uczą się oni napinać siły, ale ich strzały fruwały jak popadnie. Z zapałem biegną, by wbić oszczepy w zawieszane worki z sianem. Ale brak doświadczenia czyni ich niezdarnymi. Paru z nich zacięło się w nogę, potykając się o własne paszce. Jest jednak wśród nich kilku silnych mężczyzn. Najlepiej nadawać się będą do rzucania kamieni z murów, gdy Turcy pójść do szturm.

Ochotnicy i ci, których cesarz wezwał pod broń, nie mogli wszyscy otrzymać hełmów ani nawet skórzanych zbroi. A ci, którzy dostali hełmy, zdejmują je przy pierwszej okazji z głów i narzekają, że gniot ich i uwierają w czoła. Rzemienie pancerzy wpijają im się w ciała. W nagolenicach w ogóle nie potrafią się poruszać.

Nie gani ich. Robią, co mogą. Zostali wychowani do innych zawodów, w ufności do swoich murów branych przez cesarskich najemników. W otwartym polu jeden janczar w okamgnieniu poradzi sobie z dziesięcioma takimi ochotnikami.

Widziałem to po ich delikatnych białych dłońach, które tak cudownie umieją rzeźbić kość sarnią. Widziałem oczy, które wyostriła praca nad wycinaniem obrazów oświeconych w karneolu.

Mêżów, którzy umieją czytać i pisać, mężów, którzy cieniutkimi pędzelkami malują promienne inicjały w cynobrze i złocie w liturgicznych manuskryptach.

To oni mają teraz uczyć się kłuć i rąbać mieczem w nie osłonięte pachwiny, kierować oszczep w twarz człowieka, wystrzeliwać strzałę w oko, które widzi niebo i ziemię.

Zwariowany świat. Zwariowane czasy.

Z arsenału zabrano na mury nowo odlane masy hakownice, a także grube, kute żelazne działo, ponieważ cesarz nie ma narzędzi na odlewanie ich z brązu. Niedoświadczeni rekruci boją się armat bardziej niż Turków. Rzucają się na ziemię i zatykają dłońmi uszy, gdy pada strzał. Narzekają, że oskot ich ogłusza, a ogień z wylotów luf oślepia. Na domiar nieszczęścia zaraz pierwszego dnia pękło masy żelazne działo i poszarpało na sztuki dwóch ludzi.

*24 lutego 1453*

Giustiniani ma gotowy plan obrony. Łacinników dzieli on według obywatelstwa i przydziela na najbardziej wystawione na zagrożenie odcinki murów i do bram. Wenecjanie i Genueńczycy będą ze sobą współpracownikami o sławę. Nawet z Pery przybyło kilku mędziców, którzy zacięgnęli się do oddziałów Giustinianiego. Ich sumienie nie mogło znieść hańby bezczynności w wojnie, która w ostatecznym rozrachunku rozstrzygnie o losach Zachodu.

Giustiniani polega jedynie na łacinnikach i na cesarskich puszkarzach i technikach. Inni Grecy stanowią tylko uzupełnienie na murach. Ale są oni niezbedni. Sam mur lądowy, który jest największy, mierzy przeciętnie dziesięć tysięcy kroków i ma sto wież. Mur morski i mur portowy w potężnym trójkącie obronnym są równie długie, ale chyba nie będą tak zagrożone. Port chroniony jest przez zachodnie okręty wojenne, które zdecydowanie górują nad okrętami tureckimi. Murowi od strony morza Turcy nie mogą chyba poważnie zagrozić. Ogień grecki może podpalać ich lekkie okręty na odległość strzału z łuku. Cesarscy technicy mają do tego specjalne pociski, podobne do maszyn latających armatek. Ale strzegą oni zazdrośnie swoich tajemnic wojennych i nie wydają ich łacinnikom.

W każdym razie Giustiniani liczy się z tym, że w bezpośredni bój będzie się toczyć wzdłuż muru lądowego. Pośrodku niego w dolinie Lykos jest brama dawna. Romana. Jej obronę zastrzegł dla siebie i swoich zakutych w żelazo Genueńczyków. Stąd może też najszybciej słabnąć posiłki do zagrożonych punktów na murze. Ale ostateczny podział sił obronnych zależać będzie od kroków przedsięwziętych przez sułtana.

Najgorszy pociech już za nami. Mury wzmacnia się wciąż, wszystko jednak idzie planowo i każdy zna swoje zadanie na każdy dzień. Tak samo przebiegają ćwiczenia z bronią. Ale ogromny obszar miasta sprawia, że wydłużają się przerwy na posiłki. Ochotnicy jedzą w swoich domach.

Giustiniani przesta<sup>3</sup> nosiać skórzane płudry, kaza<sup>3</sup> sobie utrefniać w<sup>3</sup>osy w kunsztowne fale na sposób grecki, ufarbowa<sup>3</sup> brodę na czerwono i splata j<sup>1</sup> w warkocze z<sup>3</sup>ot<sup>1</sup> nitk<sup>1</sup>. Nie maluje jednak k<sup>1</sup>cików oczu na niebiesko i ust na czerwono jak m<sup>3</sup>odzi greccy oficerowie z gwardii przybocznej cesarza. Ale obnosi się z wieloma różnymi z<sup>3</sup>otymi <sup>3</sup>ańcuchami na szyi i zacz<sup>13</sup> czu<sup>æ</sup> się dobrze w greckim towarzystwie. Szlachetne damy z Blachern okazuj<sup>1</sup> mu pochleb<sup>1</sup> uwag<sup>ê</sup>. Jest przecie<sup>3</sup> silnym i ros<sup>3</sup>ym m<sup>ê</sup>czyzn<sup>1</sup>, o g<sup>3</sup>ow<sup>ê</sup> wyższym niż wi<sup>ê</sup>kszość Greków. Poleruje swój pancerz do po<sup>3</sup>ysku. Na wieczór zmienia <sup>3</sup>ańcuch protostratora, który da<sup>3</sup> mu cesarz, na ametystowy naszyjnik, w nadziei, że ametysty uchroni<sup>1</sup> go przed upiciem się.

Cesarz potwierdzi<sup>3</sup> z<sup>3</sup>ot<sup>1</sup> bull<sup>1</sup> obietnicę o oddaniu mu Lemnos jako lennego księstwa, jeżeli uda mu się odeprzeć Turków. Sam sygnet jest wart wiele bazantów, a cesarz w<sup>3</sup>asnoręcznie nakreśli<sup>3</sup> swój potrójny krzyż na dokumencie.

Megaduks Łukasz Notaras po wyprawie przebywa zamknięty w domu. Za rad<sup>1</sup> Giustinianiego cesarz zakaza<sup>3</sup> mu stanowczo wyruszać dalej na morze z dromonami. On ze swej strony równie stanowczo utrzymuje, że dzia<sup>3</sup>a s<sup>3</sup>usznie, i obwinia cesarza o tchórzostwo i p<sup>3</sup>aszczenie się przed <sup>3</sup>acinnikami.

Da<sup>3</sup> do zrozumienia, że oczekuje Giustinianiego na naradzie na temat obrony miasta i podzia<sup>3</sup>u za<sup>3</sup>ogi. Jako megaduks i dowódca floty cesarskiej uważa siebie za co najmniej równego stopniem Giustinianiemu, mimo jego rangi protostratora. Przede wszystkim jest naturalnie ciekaw, jakie miejsce Giustiniani przydziel<sup>3</sup> mu w planie obrony. I nie można go pomin<sup>1</sup>æ. Jest na to osobistości<sup>1</sup> zbyt wysoko postawion<sup>1</sup> i wp<sup>3</sup>ywow<sup>1</sup>. Ale <sup>3</sup>acińscy kapitanowie maj<sup>1</sup> mimo wszystko pe<sup>3</sup>n<sup>1</sup> w<sup>3</sup>adz<sup>ê</sup> nad swoimi okrętami i przyjmuj<sup>1</sup> rozkazy wprost od cesarza. W rzeczy samej ma zatem Notaras pod swoim dowództwem tylko te pi<sup>ê</sup>æ zmursza<sup>3</sup>ych i powolnych dromonów. Nawet one tytułarnie s<sup>1</sup> cesarskie, jakkolwiek to megaduks kaza<sup>3</sup> je naprawiać i wyposaży<sup>3</sup> w<sup>3</sup>asnym kosztem.

Mimo popularności, jak<sup>1</sup> osi<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>, jest on w tych dniach bardzo samotnym cz<sup>3</sup>owikiem, ten Łukasz Notaras. Przynajmniej patrz<sup>1</sup>c na sprawy z Blachern.

Giustiniani daje mu czekać. Jest rycerzem szcz<sup>ê</sup>ścia, który zosta<sup>3</sup> wyniesiony na protostratora, i przez to jeszcze bardziej œwiadomy swej rangi niż dziedziczny wielki ksi<sup>1</sup>ż<sup>ê</sup>. Ma więc taka straszliwie dziecinna rywalizacja panować tak<sup>ê</sup> między tymi m<sup>ê</sup>żami? W gruncie rzeczy miasto jest ca<sup>3</sup>kowicie we w<sup>3</sup>adaniu <sup>3</sup>acinników i Grecy nie maj<sup>1</sup> już nad nim żadnej w<sup>3</sup>adzy, choć cesarz zdaje się tego nie rozumieć. Port opanowany jest przez okr<sup>ê</sup>ty <sup>3</sup>acińskie. Zakute w żelazo oddzia<sup>3</sup>y Giustinianiego i Wenecjan w<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup> miastem i kluczowymi pozycjami na murach.

Czy jest możliwe, że Giustiniani potajemnie knuje wielkie plany polityczne? Nawi<sup>1</sup>za<sup>3</sup> stosunki, tak<sup>ê</sup> poprzez kobiety, z najbardziej wp<sup>3</sup>ywowymi pro<sup>3</sup>acińskimi Grekami. Jeżeli obl<sup>ê</sup>żenie Turkom się nie uda i su<sup>3</sup>tan Mehmed poniesie porażk<sup>ê</sup>, jeżeli floty papieska i wenecka z <sup>3</sup>acińskimi oddzia<sup>3</sup>ami pomocniczymi zd<sup>1</sup> na czas, Konstantynopol stanie się chyba niczym innym, jak tylko <sup>3</sup>acińskim punktem oparcia dla zdobycia handlu na Morzu Czarnym i podbicia rozszczerzonego państwa tureckiego. Uni<sup>ê</sup> już og<sup>3</sup>oszono. Czy<sup>3</sup>by cesarstwo jeszcze raz mia<sup>3</sup>o stać się <sup>3</sup>acińskie, mimo że greckiemu marionetkowemu cesarzowi pozwolono by zasiadać dalej na tronie?

Czyż zwycięzca pokornie zadowolony się tym, że zostanie wasalem na Lemnos?

Moja grecka krew nie wierzy już, że coś jest takie, jak się wydaje. Nosię w tpiwooci we krwi nawyk³ej od tysi¹ca lat do intryg politycznych. Z dnia na dzieñ opada ze mnie w strzêpach moja ³aciñskoœæ. Jestem synem mego ojca. Krew wraca do domu.

*25 lutego 1453*

Wygl¹da na to, że strach opanowa³ miasto. Ludzie stali siê ma³omówni i zezuj¹ podejrzliwie na siebie nawzajem. W koœcio³ach mnóstwo modl¹cych siê. Bogacze pakuj¹ mienie do skrzyñ, zakupuj¹ cennoœci do ziemi, chowaj¹ skarby w studniach i zamuruj¹ sklepienia piwniczne. Niejeden archont chodzi z d³oñmi popuchniêtymi od pracy, do której nie przywyk³, ma w spojrzeniu b³ysk œwiadomoœci winy, a na rêkawach wiele mówi¹ce plamy od murarskiej zaprawy.

— Coœ siê dzieje — powiedzia³ dzie³ mój s³uga Manuel. — Widaœ to, s³ychaœ to, czua³ to wêchem. Ale co to jest, nie wiem. Powiedz, panie.

Tak¿e i ja czujê coœ obcego w powietrzu. W porcie panuje niepokój. ³odzie p³ywaj¹ od okrêtu do okrêtu. Wenecka Rada Dwunastu odbywa posiedzenia za zamkniêtymi drzwiami.

*26 lutego 1453*

Zd¹y³em ju¿ rozebraœ siê, kiedy mój s³uga Manuel oznajmi³ mi, że m³ody grecki ch³opak pyta o mnie. Nie chcia³o mi siê wstaœ z ³ó¿ka. By³em mêczony.

Ch³opak wszed³ nie zginaj¹c siê w uk³onie i rozejrza³ siê ciekawie woko³o, marszcz¹c nos od zapachu skóry, papieru, laku i œrodków do czyszczenia metalu. Pozna³em go. Widzia³em go na koniu w Hipodromie. By³ to najm³odszy z braci Anny Notaras.

Ogarn¹³ mnie ch³ód. Gwa³towny wiatr na dworze trzaska³ okiennicami.

— Na dworze jest ciemno — odezwa³ siê ch³opak. — Niebo jest pochmurne. Z trudem widzi siê w³asn¹ rêkê. — Ma siedemnaœcie lat, jest piêknym m³odzieñcem, œwiadomym swej urody i znakomitego pochodzenia, ale w ujmuj¹cy sposób. By³ bardzo ciekawy mojej osoby.

— Uciek³eœe wszak od Turków — ci¹gn¹³. — Wiele siê mówi o tobie w mieœcie. Tak¿e i mnie pokazywano ciê raz, kiedy przeje¿dza³eœ konno. Ojciec mój chcia³by siê z tob¹ zobaczyœ, jeœli nie by³oby to dla ciebie zbyt uci¹liwe.

Odwróci<sup>3</sup> wzrok:

— Jak powiedzia<sup>3</sup>em, noc jest ciemna. Nikt nie może zobaczyć w<sup>3</sup>asnej ręki.

— Niechêtnie wychodzę w ciemności — odpar<sup>3</sup>em. — Ale naturalnie nie mogę nie us<sup>3</sup>uchać rozkazu twego ojca.

— To wcale nie jest rozkaz — odrzek<sup>3</sup>. — Jakżeż mógłby mój ojciec ci rozkazywać? Przecież zaci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>ę się do Giustinianiego. Ojciec mój nie chce spotkać się z tob<sup>1</sup> jako żo<sup>3</sup>nierz. Będiesz jego gościem. Może jego przyjacielem. Możesz mieć dla niego cenne informacje. Zastanawia się, dlaczego go unikasz, i jest cię ciekaw. Ale naturalnie nie chce ci sprawiać żadnych przykrości, jeżeli uważasz, że najlepiej będzie nie przyjeść.

Mówi<sup>3</sup> żywo i weso<sup>3</sup>o, by ukryć, jak by<sup>3</sup> zak<sup>3</sup>opotany zadaniem, które otrzyma<sup>3</sup>. By<sup>3</sup> otwartym i poci<sup>1</sup>gaj<sup>1</sup>cym m<sup>3</sup>odzieńcem. I on też nie wychodzi<sup>3</sup> chętnie w ciemności. Dlaczego ojciec jego uważa<sup>3</sup> to proste zaproszenie za tak tajne, że nie ufa<sup>3</sup> nawet s<sup>3</sup>ugom, lecz pos<sup>3</sup>a<sup>3</sup> po mnie w<sup>3</sup>acenie syna?

Jagnię ofiarne — pomyśla<sup>3</sup>em. — Dobrze wyrocznięty kozio<sup>3</sup>ek na o<sup>3</sup>tarzu ż<sup>1</sup>dzy w<sup>3</sup>adzy. A więc w razie potrzeby gotów jest poświęcić nawet w<sup>3</sup>asnego syna.

By<sup>3</sup> bratem Anny Notaras. Uczętn<sup>13</sup>em się do niego życzliwie i lekko musn<sup>13</sup>em d<sup>3</sup>oni<sup>1</sup> jego ramię, gdy już się odzia<sup>3</sup>em. Wzdrygn<sup>13</sup> się i zaczerwieni<sup>3</sup>, ale uczętn<sup>13</sup>em się w odpowiedzi. Nie wzi<sup>13</sup> mnie więc za mę<sup>1</sup>czyznę niskiego rodu.

Pó<sup>3</sup>nocny wiatr d<sup>13</sup> w nocy, odbiera<sup>3</sup> nam dech i przyciska<sup>3</sup> odzież mocno do cia<sup>3</sup>a. By<sup>3</sup>o ciemno choć oko wykol. Między mkn<sup>1</sup>cymi po niebie chmurami przeb<sup>3</sup>yskiwa<sup>3</sup>o od czasu do czasu czarne niebo usypane gwiazdami. Ó<sup>3</sup>ty pies szed<sup>3</sup> za mn<sup>1</sup>, mimo że nakaza<sup>3</sup>em mu zostać w domu. Ale wymkn<sup>13</sup> się za mn<sup>1</sup> w ciemności. Wzi<sup>13</sup>em od Manuela latarnię i poda<sup>3</sup>em j<sup>1</sup> ch<sup>3</sup>opcu. Trudno mu by<sup>3</sup>o to prze<sup>3</sup>kn<sup>1</sup>ąć, ale mimo to oświetla<sup>3</sup> nam drogę nie szemrz<sup>1</sup>c. Za kogo mnie bra<sup>3</sup>? Przez ca<sup>3</sup> drogę towarzyszy<sup>3</sup> nam pies, jak gdyby po to, by czuwał nade mn<sup>1</sup> nawet wbrew mojej woli.

W pa<sup>3</sup>acu Notarasa by<sup>3</sup>o ciemno. Weszliśmy przez tylne drzwi w rogu ko<sup>3</sup>o muru od strony morza. Nikogo nie by<sup>3</sup>o widać. A jednak noc by<sup>3</sup>a jakby pełna ukrytych spojrzeń. Szumi<sup>1</sup>cy, jęcz<sup>1</sup>cy wiatr mówi<sup>3</sup> do mnie, ale jego s<sup>3</sup>ów nie mog<sup>3</sup>em rozróżnić. Szumia<sup>3</sup>o mi też w g<sup>3</sup>owie. Tak jakby ten gwa<sup>3</sup>towny wiatr mnie oszo<sup>3</sup>omi<sup>3</sup>.

W korytarzach by<sup>3</sup>o cęmiertelnie cicho. Ciep<sup>3</sup>e powietrze owiewa<sup>3</sup>o nas. Weszliśmy na schody. W izbie, do której mnie zaprowadzono, znajdowa<sup>3</sup> się pulpit do pisania, pióra, papier i duże, pięknie oprawne księgi. Przed ikon<sup>1</sup> z Trzema Królami p<sup>3</sup>onę<sup>3</sup>a lampa z pachn<sup>1</sup>c<sup>1</sup> oliw<sup>1</sup>.

Jego g<sup>3</sup>owa by<sup>3</sup>a pochylona jakby od ciężkiej troski. Nie uczęcha<sup>3</sup> się. Przyj<sup>13</sup> moje pozdrowienia jako oczywiście mu należny dowód czci. Do syna powiedzia<sup>3</sup> tylko:

— Nie potrzebuję już cię. — M<sup>3</sup>odzieniec poczu<sup>3</sup> się urażony, ale stara<sup>3</sup> się tego nie okazywać. By<sup>3</sup> bardzo ciekawy, co mieliśmy sobie nawzajem do powiedzenia. Sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> ujmuj<sup>1</sup>co

piêkn<sup>1</sup> g<sup>3</sup>owê, ζyczy<sup>3</sup> mi dobrej nocy i opuœci<sup>3</sup> komnatê.

Gdy tylko ch<sup>3</sup>opak poszed<sup>3</sup>, Łukasz Notaras oζywi<sup>3</sup> siê, przyjrza<sup>3</sup> mi siê badawczo i rzek<sup>3</sup>:

— Wiem wszystko o tobie, panie Johannesie Angelosie. Dlatego teζ zamierzam mówiaê otwarcie.

Zda<sup>3</sup>em sobie sprawê, ζe wie o moim greckim pochodzeniu. Nie by<sup>3</sup>o to samo w sobie zaskakuj<sup>1</sup>ce. Mimo to dotknê<sup>3</sup>o mnie mocno.

— Chcesz mówiaê otwarcie — odpar<sup>3</sup>em. — Tak mówi tylko ten, kto zamierza ukryæ swoje myœli. Czy odwaζysz siê byæ otwartym choœby tylko przed samym sob<sup>1</sup>?

— By<sup>3</sup>œe doradc<sup>1</sup> su<sup>3</sup>tana Mehmeda — powiedzia<sup>3</sup>. — Uciek<sup>3</sup>œe z jego obozu w jesieni. Cz<sup>3</sup>owiek, który osi<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> takie stanowisko, nie robi tego bez jakiegoe zamiaru.

— To o twoje zamiary teraz chodzi, megaduksie — odrzek<sup>3</sup>em.

— Nie o moje. Nie wezwa<sup>3</sup>byœe mnie tutaj potajemnie, gdybyœe nie s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>, ζe mogê byæ uζyteczny dla twoich zamiarów.

Zrobi<sup>3</sup> niecierpliwy ruch rêk<sup>1</sup>. I on nosi<sup>3</sup> sygnet duζy jak d<sup>3</sup>oñ dziecka. Rêkawy zielonego wierzchniego p<sup>3</sup>aszcza siêga<sup>3</sup>y mu do <sup>3</sup>okci. Rêkawy p<sup>3</sup>aszcza pod spodem by<sup>3</sup>y z haftowanego z<sup>3</sup>otem purpurowego jedwabiu, jak u cesarza.

— Ty sam od pocz<sup>1</sup>tku szuka<sup>3</sup>œe kontaktu ze mn<sup>1</sup> — mówi<sup>3</sup>.

— By<sup>3</sup>œe bardzo ostroζny. To rzecz zrozumia<sup>3</sup>a i s<sup>3</sup>uszn<sup>3</sup>. Zarówno z twego w<sup>3</sup>asnego, jak i z mojego punktu widzenia. Bardzo sprytne by<sup>3</sup>o z twojej strony, ζe jakby przypadkiem zawar<sup>3</sup>œe znajomoœæ z moj<sup>1</sup> cœrk<sup>1</sup>. Potem odprowadzi<sup>3</sup>œe j<sup>1</sup> do domu jeszcze raz, kiedy zgubi<sup>3</sup>a swoj<sup>1</sup> towarzyszkê. Gdy by<sup>3</sup>em na morzu, odwaζy<sup>3</sup>œe siê przyjœæ tutaj w bia<sup>3</sup>y dzieñ. Chcia<sup>3</sup>œe przecieζ tylko spotkaæ siê z moj<sup>1</sup> cœrk<sup>1</sup>. To by<sup>3</sup>o bardzo chytre.

— Przyrzek<sup>3</sup>a opowiedzieæ ci o mnie — przyzna<sup>3</sup>em.

— Moja cœrka jest w tobie zakochana — ucemiechn<sup>13</sup> siê. — Nie wie, kim jesteœ, i nie domyœla siê twoich zamiarów. Jest wraζliwa i dumna. Nie wie nic. Rozumiesz.

— Jest bardzo piêkna — rzek<sup>3</sup>em.

Megaduks zby<sup>3</sup> ruchem rêki moje s<sup>3</sup>owa.

— Stoisz chyba ponad tego rodzaju pokusami. Moja cœrka nie jest dla ciebie.

— Nie b<sup>1</sup>d<sup>1</sup> tego taki pewny, megaduksie — odpar<sup>3</sup>em.

Po raz pierwszy pozwoli<sup>3</sup> sobie na to, by udaæ zdziwienie.

— Czas pokaże, jak się to wszystko skończy — rzekł. — Twoja gra jest zbyt trudna i niebezpieczna na to, by mieszać do niej kobietę. Może tylko dla pozorów. Inaczej nie. Chodzisz po ostrzach mieczy, Johannesie Angelosie. Nie możesz sobie pozwolić na zachwianie się.

— Dużo wiesz, megaduksie — oświadczyłem. — Ale mnie nie znasz.

— Dużo wiem — przyznał. — Więcej, niż sędzisz. Nawet namiot sułtana nie jest bezpiecznym miejscem do rozmów. Nawet tam są uszy. Wiem, że nie rozstać się z sułtanem w gniewie. Wiem, że da ci wielki dar w szlachetnych kamieniach. Niestety, wie o tym także bazyleus i jego strażnik pieczęci, Frances. Dlatego każdy twój krok, odkąd przybędę do Konstantynopola, jest nadzorowany. Nie chcę wiedzieć, ile musiały zapłacić, żeby wpisano cię na listę zaciągów Giustinianiego. Wszystkich ścanników można kupić. Ale nawet Giustiniani nie może cię ochronić, jeżeli popełnisz najmniejszy błąd.

Rozłożył znowu ręce.

— To cieżkie — powiedział. — Tylko autorytet sułtana Mehmeda chroni cię. Tu w Konstantynopolu. Tak nisko upadł ostatnio Rzym. Nie walczyć się podnieść ręki na ciebie, bo nie dowiedzieli się, jakie są twoje zamiary.

— Masz słuszną odpowiedź — odparłem. — To naprawdę cieżkie. Nawet po tym, jak uciekłem od sułtana i zdradziłem go, chroni mnie jeszcze jego moc. Odczuwam to w każdej chwili. Jesteśmy w zwariowanym świecie.

Uśmiechnął się wskazywając wargami.

— Nie jestem tak szalony, bym sobie wyobrażał, że odważy się odsłonić swoje zamiary nawet przede mną. Jestem przeciw Grekiem. I nie jest to też konieczne. Mój własny rozum mówi mi, że po zdobyciu miasta w każdym razie osiągniesz jeszcze wyższe stanowisko w służbie u sułtana niż poprzednio. Jeżeli nie otwarcie, to potajemnie. Dlatego porozumienie, więcej — nawet współpraca między nami, w pewnych granicach, mogłaby być z korzyścią dla nas obu.

Przyglądał mi się pytając.

— To ty tak mówisz — odrzekłem ostrożnie.

— Istnieją tylko dwie możliwości — cięgnął. — Albo oblężenie się uda i sułtan zdobędzie Konstantynopol szturmem. Albo też nie uda się i wtedy staniami się lennikiem cesarskim na zawsze.

Wstał i podniósł głowę prostując grzbiet:

— Raz już przeżyliśmy panowanie ścanników. Trwało ono przez jedno pokolenie i Konstantynopol nawet po trzystu latach nie mógł się potem podnieść. Ścannicy to rabusie, bardziej bezwzględni niż Turcy, i sfałszowali prawdziwą wiarę. Turcy pozwolą nam przynajmniej zachować naszą wiarę i nasze odziedziczone obyczaje. Dlatego sama Panaghia stoi tym razem po stronie Turków, choć przecież krwawymi łzami nad naszą ścannicy.

— Nie do t³umu przemawiasz, megaduksie — przypomnia³em.

Odpowiedzia³ na to z naciskiem:

— Nie zrozum mnie Ýle. Przede wszystkim nie zrozum mnie Ýle. Jestem Grekiem. Bêdê biæ siê o moje miasto, dopóki bêdzie jakaœ nadzieja na jego niezawis³oœæ. Ale nigdy nie pozwolê popaœæ Konstantynopolowi we w³adzê ³acinników. Nie oznacza³oby to niczego innego, jak tylko mordercze boje, dziesiêciolecie po dziesiêcioleciu, w których stalibyœmy siê przedmurzem Europy z po¿ytkiem dla ³acinników, i przez to wyczerpa³yby siê nasze ostatnie si³y. Jesteœmy znu¿eni Europ¹, mamy doœæ ³acinników. W porównaniu z ³aciñskimi barbarzyñcami nawet Turcy s¹ narodem kulturalnym dziêki swemu dziedzictwu arabskiemu i perskiemu. Potêga su³tana doprowadzi Konstantynopol do nowego rozkwitu. Na granicy miêdzy Wschodem i Zachodem Konstantynopol jeszcze raz panowaæ bêdzie nad œwiatem. Su³tan nie ¿¹da, ¿ebyœmy wyrzekli siê naszej wiary, tylko ¿ebyœmy ¿yli w przyjaŹni i pojednaniu z Turkami. Dlaczego nie mielibyœmy wspó³ z nimi podbiæ œwiata i natchn¹æ ich ¿ywotnoœci nasz¹ prastar¹ greck¹ kultur¹? Niech wiêc zrodzi siê trzeci Rzym. Rzym su³tanów, gdzie Grecy i Turcy bêd¹ sobie braæmi i szanowaæ bêd¹ wzajemnie swoj¹ wiarê.

— Twoje marzenie jest wznios³e — rzek³em. — Nie chcê bynajmniej oblewaæ zim¹ wod¹ ¿aru twego serca, ale marzenia s¹ tylko marzeniami. Trzymajmy siê rzeczywistoœci. Nie znasz Mehmeda. Ale pragniesz, ¿eby twoje miasto zosta³o zdobyte i popad³o w jego moc.

— Nie pragnê tego — odpar³ — wiem, ¿e Konstantynopol padnie. Nie na darmo jestem strategiem.

— ywy pies jest lepszy ni¿ nie¿ywy lew — ci¹gn¹³. — Cesarz Konstantyn wybra³ sobie w³asny los, gdy¿ inaczej nie potrafi dzia³aæ. Bez w¹tpienia bêdzie szuka³ œmierci na murach, gdy zobaczy, ¿e wszystko stracone. Ale w jaki sposób nie¿ywy patriota mo¿e przynieœæ korzyœæ swojemu ludowi? Jeœli jest moim przeznaczeniem polec, polegnê na murach Konstantynopola. Lecz wolê zachowaæ ¿ycie, by móc dzia³aæ dla dobra mego ludu. Czas Paleologów przemin¹³. Su³tan bêdzie jedynym cesarzem. Ale by rz¹dziæ Grekami i prowadziæ sprawy greckie, potrzebuje on greckich mê¿ów. Bêdzie to nieuniknione po zdobyciu miasta. Wtedy musi obsadziæ tak¿e i najwy¿sze godnoœci ludŹmi obeznanymi ze sposobem rz¹dzenia i prac¹ rz¹dow¹. I dlatego Konstantynopol potrzebuje patriotów, którzy kochaj¹ swój lud, którzy kochaj¹ spadek po dawnej Grecji bardziej ni¿ w³asny zawód. I jeœli mogê s³u¿yæ mojemu narodowi jak pies, nie potrzebujê œmierci lwa. Muszê tylko umieæ przekonaæ su³tana o mojej dobrej woli. Gdy na murach rozlegnie siê wo³anie: "Miasto jest stracone!", wtedy przyjdzie moja chwila: ujmê los mego ludu w swoje rêce i poprowadzê go we w³aœciwym kierunku. — Umilk³ i patrzy³ na mnie z nadziej¹.

— Twoja mowa by³a d³uga, piêkna, przekonywaj¹ca i przynosi ci wielk¹ chwa³ê — odrzek³em. — Wprawdzie spadek po dawnej Grecji obejmuje tak¿e Leonidasa i Termopile, ale ja rozumiem, o co ci chodzi. Chcesz przekonaæ su³tana o twojej dobrej woli. Ale czy¿ nie da³eœ mu jeszcze tego dostatecznie jasno do zrozumienia?

Stan¹³eœ na czele przeciwników unii — ci¹gn¹³em. — Podsyca³eœ nienawidzê do ³acinników i inne spory w mieœcie i przez to os³abi³eœ jego obronê. Wyp³yn¹³eœ na morze, by przez bezmyœln¹ wyprawê ³upie¿cz¹ dokonaæ prowokacji, której su³tan tak bardzo potrzebowa³. Dobrze. Dlaczego



wiêc nie napiszesz wprost do su<sup>3</sup>tana i nie zaofiarujesz mu swoich us<sup>3</sup>ug?

Odpowiedzia<sup>3</sup>:

— Wiesz dobrze, że m<sup>1</sup>ł na moim stanowisku nie może tak post<sup>1</sup>piæ. Jestem Grekiem. Muszê biæ siê o moje miasto, nawet jeżeli wiem, że walka ta bêdzie daremna. Ale zachowujê sobie prawo, by dzia<sup>3</sup>æ stosownie do okolicznoœci dla dobra mojego narodu. Dlaczego lud mój ma umrzeæ albo popaææ w niewolê, jeżeli mogê temu zapobiec?

— Nie znasz Mehmeda — powtórzy<sup>3</sup>em.

Moje nieprzejednanie zdawa<sup>3</sup>o siê go k<sup>3</sup>opotæ.

— Nie jestem zdrajc<sup>1</sup> — powiedzia<sup>3</sup>. — Jestem tylko politykiem. Ty i su<sup>3</sup>tan musicie to zrozumieæ. Wobec mojego ludu, mego sumienia i trybuna<sup>3</sup>u boskiego odpowiadam za moje postêpki i przemawiam nie obawiaj<sup>1</sup>c siê oszczerców. Mój rozum polityczny mówi mi, że m<sup>1</sup>ł taki jak ja bêdzie potrzebny w chwili dziejowej. Moje motywy s<sup>1</sup> czyste i niesamolubne. Lepiej, żeby mój naród przeży<sup>3</sup> w jakiejœ formie, niż żeby zgin<sup>13</sup>. Duch Grecji, jej kultura i wiara to nie tylko mury Konstantynopola, pa<sup>3</sup>ac cesarski, forum, senat i archontowie. S<sup>1</sup> to jedynie zewnêtrzne formy, a formy mog<sup>1</sup> zmieniaæ siê z czasami, jeżeli duch pozostaje.

Powiedzia<sup>3</sup>em:

— Boski i polityczny rozum to dwie róŹne rzeczy.

Poprawi<sup>3</sup> mnie:

— Jeżeli Bóg da<sup>3</sup> cz<sup>3</sup>owiekowi zdolnoœæ politycznego myœlenia, to jest takŹe Jego zamiarem, żeby cz<sup>3</sup>owiek z niej korzysta<sup>3</sup>.

— Mówi<sup>3</sup>œe dostatecznie wyraŹnie, megaduksie łukaszu Notarasie — rzek<sup>3</sup>em gorzko. — Kiedy Konstantynopol padnie, ludzie twego pokroju rz<sup>1</sup>dziæ bêd<sup>1</sup> na œwiecie. Mogê zapewniæ ciê, że su<sup>3</sup>tan Mehmed zna twoje stanowisko i przypisuje twoim motywom tak<sup>1</sup> wartoœæ, na jak<sup>1</sup> one zas<sup>3</sup>uguj<sup>1</sup>. Bez w<sup>1</sup>tpienia powiadomi on ciebie w odpowiednim momencie tak czy inaczej o swojej woli i zawiadomi ciê, w jaki sposób moŹesz najlepiej s<sup>3</sup>uŹyæ mu podczas oblêzenia.

Schyli<sup>3</sup> lekko g<sup>3</sup>owê, jak gdyby uzna<sup>3</sup> mnie za pos<sup>3</sup>añca Mehmeda, a moje s<sup>3</sup>owa za jego pos<sup>3</sup>anie. Do tego stopnia cz<sup>3</sup>owiek jest niewolnikiem swoich pragnieñ.

Jego napiêcie ust<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>o i zrobi<sup>3</sup> przyjazny gest obu rêkami, gdy chcia<sup>3</sup>em odejæ.

— Nie, nie odchodŹ jeszcze — prosi<sup>3</sup>. Rozmawialicemy z sob<sup>1</sup> wysoce formalnie. Pragn<sup>13</sup>bym takŹe pozyskaæ twoj<sup>1</sup> przyjaŹñ. S<sup>3</sup>uŹysz przecieŹ panu, którego wolê, stanowczoœæ i

dalekowzrocnoœæ wysoko powaŹam mimo jego m³odych lat.

Podszed³ spiesznie do sto³u, nala³ wina do dwóch pucharów i wręczy³ mi jeden. Nie przyj¹³em go.

— Pi³em juŹ twoje wino — rzek³em. — Wspó³ z tw¹ piêkn¹ córk¹ wypij³em puchar wina w twoim domu. Pozwól mi tym razem zachowaæ ch³odn¹ g³owê. Nie przywyk³em do wina.

Uœmiechn¹³ siê i mylnie wyt³umaczy³ sobie moj¹ odmowê.

— Nakazy i zakazy Koranu maj¹ swoje dobre strony — powiedzia³ z oŹywieniem. — Nie w¹tpiê, Źe Mahomet by³ wielkim prorokiem. W naszych czasach kaŹdy myœl¹cy cz³owiek uznaje zalety obcych religii, nawet jeceli trzyma siê swojej w³asnej. Potrafiê zrozumieæ chrzeœcijan, którzy dobrowolnie przeszli na islam. Szanujê wszelkie uczciwe przekonania w sprawach wiary.

— Nie nawróci³em siê na islam — odpar³em. — Z ostrzem miecza przy³oŹonym do karku zachowa³em swoj¹ chrzeœcijañsk¹ wiarê. Nie jestem obrzezany. Ale mimo wszystko wola³bym zachowaæ ch³odn¹ g³owê.

Spochmurnia³ na nowo.

— Poza tym zapewniam ciê, Źe porzuci³em s³uŹbê u su³tana, i czyniê to ponownie — rzek³em lekko. — Przyby³em do Konstantynopola, Źeby umrzeæ za to miasto. Źadnych innych zamiarów nie mam. Dziêkujê ci za twoje zaufanie i nie naduŹyjê go. KaŹdy ma prawo snuæ polityczne kalkulacje. To nie jest Źadne przestêpstwo. Sam odpowiadasz za to, co dzieje siê w twojej g³owie. Nikt nie moŹe ciê o to oskarŹyæ. Dopóki to siê dzieje tylko tam. Bez w¹tpienia takŹe cesarz Konstantyn i jego doradcy liczyli siê z moŹliwoœci¹ takich kalkulacji. B¹dŹ zatem ostroŹny jak dotychczas.

Odstawi³ swój puchar nie umoczywszy w nim ust.

— Nie ufasz mi dostatecznie — powiedzia³ z wyrzutem. — Masz naturalnie swoje w³asne zadania, które mnie nie obchodz¹. B¹dŹ wiêc i ty ostroŹny. MoŹe zechcesz spotkaæ siê ze mn¹ znowu, kiedy uznasz, Źe czas dojrza³. Wiesz, jakie jest moje stanowisko. Wiesz, czego moŹna ode mnie oczekiwaæ. Ale powiedzia³em ci teŹ, czego nie warto ode mnie oczekiwaæ. Jestem Grekiem. Bêdê walczyæ o moje miasto.

— Tak jak i ja — odrzek³em. — Przynajmniej to mamy wspólne. Obaj zamierzamy walczyæ, mimo iŹ wiemy, Źe Konstantynopol padnie. Nie spodziewamy siê juŹ cudu.

— Czas jest stary — powiedzia³. — Czas cudów przemin¹³. Bóg nie wkracza juŹ. Ale jest œwiadkiem naszych myœli i naszych czynów.

Odwróci³ siê do œwiêtych Trzech Króli i wonnej lampy i podniós³ rêkê do przysiêgi.

— Na Pana Boga i Jego jedyne Syna, na Ducha Œwiêtego, na œwiêt¹ Matkê Bosk¹ i na wszystkich œwiêtych przysiêgam, Źe moje zamiary s¹ niesamolubne i mam na celu tylko dobro mojego ludu. Nie d¹Źê do w³adzy. Wszystko to jest dla mnie ciêŹkim dopustem. Ale dla przysz³oœci

mojego rodu, mojego plemienia, mojego miasta muszê dzia³aæ tak, jak zamierzam.

Z³o¿y³ tê przysiêgê z takim przekonaniem, ¿e musia³em mu wierzyæ. Nie by³ tylko wyrachowanym politykiem. Wierzy³ naprawdê, ¿e postêpuje s³usznie. Znosi³ obelgi, jego wra¿liwa duma by³a zraniona, nienawidzi³ <sup>3</sup>acinników, zosta³ odsuniêty na bok. Dlatego stworzy³ sobie w³asn¹ wizjê i wierzy³ w ni¹.

— Twoja córka — rzek³em — Anna Notaras. Czy pozwolisz, ¿ebym jeszcze j¹ zobaczy³?

— Na co by to siê przyda³o? — zapyta³ zaskoczony. — Wzbudzi³oby to tylko niepotrzebn¹ sensacjê. Jak¿e¿ mog³aby pokazywaæ siê w towarzystwie cz³owieka, którego wszyscy podejrzewaj¹, ¿e jest tajnym wys³annikiem su³tana.

— Nie siedzê jeszcze w marmurowej wie¿y — rzek³em. — Jeœli Giustiniani bawi siê w towarzystwie wysokich dam w Blachernach, dlaczegó¿ ja nie mia³bym okazywaæ swoich wzglêdów córce megaduksa.

— Córka moja musi uwa¿aæ na swoj¹ opiniê — g³os jego by³ ch³odny i niechêtny.

— Czasy siê zmieniaj¹ — powiedzia³em. — Wraz z <sup>3</sup>acinnikami przychodz¹ swobodniejsze zachodnie formy obcowania. Twoja córka jest doros³a i wie sama, czego chce. Dlaczego nie móg³bym kazaæ œpiewakom i lutnistom zabawiaæ jej. Dlaczego nie móg³bym jechaæ konno obok jej lektyki do koœcio³a. Dlaczego nie móg³bym zaprosiaæ jej na przeja¿d¿kê <sup>3</sup>ódk¹ w porcie w s³oneczny dzieñ? Twój dom jest ponury. Dlaczego nie mia³byœ jej pozwoliæ radowaæ siê i œmiaæ, zanim zaczn¹ siê dni próby? Co masz przeciw temu, megaduksie?

Roz³o¿y³ rêce.

— Za póŸno — powiedzia³. — Lada dzieñ wysy³am moj¹ córkê z miasta.

Spuœci³em g³owê, by ukryæ twarz. Wiedzia³em o tym. Mimo to kipia³em z goryczy z powodu tej straty.

— Jak chcesz — rzek³em. — A jednak zamierzam spotkaæ siê z twoj¹ córk¹ jeszcze raz, nim wyjedzie.

Rzuci³ mi szybkie spojrzenie swoich du¿ych b³yszcz¹cych oczu. Nabra³y one roztargnionego wyrazu, jak gdyby przez chwilê rozwa¿a³ pewne mo¿liwoœci, których poprzednio nie wzi¹³ w rachubê. Ale potem jeszcze raz zrobi³ odmowny ruch rêk¹ i spojrza³ ku oknu, jakby usi³owa³ wyjrzeæ na morze przez zas³aniaj¹ce szyby okiennice.

— Za póŸno — powtórzy³. — Ubolewam nad tym, ale myœlê, ¿e statek ju¿ odp³yn¹³. Dzieœ w nocy wiatr jest najpomyœlniejszy. Ju¿ dzieœ po po³udniu przewieziona zosta³a potajemnie <sup>3</sup>odzi¹ na statek kreteñski ze swoimi rzeczami i s³u¿¹cymi.

Odwróci³em siê i odszed³em na wp³ó œlepiiony <sup>3</sup>zami, porwa³em moj¹ latarniê z haka przy wejœciu, niezdarnie otwar³em drzwi i wypad³em w ciemnoœæ. Wiatr wy³, morze szumia³o po

drugiej stronie muru, fale opryskiwa<sup>3</sup>y wzmocnione palami nabrze<sup>3</sup>ę. Sztorm przyciska<sup>3</sup> mi p<sup>3</sup>aszcz mocno do cia<sup>3</sup>a i wypiera<sup>3</sup> ze mnie dech. Ca<sup>3</sup>e moje opanowanie znik<sup>3</sup>o. Odrzuci<sup>3</sup>em w gniewie od siebie migaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> latarniê, tak <sup>3</sup>ę polecia<sup>3</sup>a <sup>3</sup>ukiem przez ciemnoœæ, st<sup>3</sup>uk<sup>3</sup>a siê ze szczêkiem i zgas<sup>3</sup>a.

Uratowa<sup>3</sup>o mi to <sup>3</sup>ycie. Mój anio<sup>3</sup> czuwa<sup>3</sup>. I mój pies. Nól œwisn<sup>13</sup>, wœlizn<sup>13</sup> siê od ty<sup>3</sup>u pod moje lewe ramiê i zboczy<sup>3</sup> ku <sup>3</sup>ebrom. Ale napastnik potkn<sup>13</sup> siê o psa, krzykn<sup>13</sup>, kiedy ten go gryz<sup>3</sup>, k<sup>3</sup>u<sup>3</sup> no<sup>3</sup>em na œlepo wokó<sup>3</sup> siebie. <sup>3</sup>a<sup>3</sup>osny pisk oznajmi<sup>3</sup> mi, <sup>3</sup>ę pies otrzyma<sup>3</sup> œmierteln<sup>1</sup> ranê. Ogarnê<sup>3</sup>a mnie wœciek<sup>3</sup>oœæ. Z<sup>3</sup>apa<sup>3</sup>em œliski kark w turecki uchwyt. Czu<sup>3</sup>em odór czosnku w dysz<sup>1</sup>cym oddechu i smród brudnych <sup>3</sup>achmanów. Potem przycisn<sup>13</sup>em napastnika do ziemi i wbi<sup>3</sup>em sztylet w trzepoc<sup>1</sup>ce siê cia<sup>3</sup>o. Wyda<sup>3</sup> straszliwy krzyk.

Schyli<sup>3</sup>em siê nad psem. Usi<sup>3</sup>owa<sup>3</sup> lizaæ mnie po rêce. Potem g<sup>3</sup>owa mu opad<sup>3</sup>a.

— Czemu poszed<sup>3</sup>eœ za mn<sup>1</sup>, choæ ci zakaza<sup>3</sup>em — rzek<sup>3</sup>em cicho. — To nie ty, lecz mój anio<sup>3</sup> mnie uratowa<sup>3</sup>. Zgin<sup>13</sup>eœ za mnie niepotrzebnie, przyjacielu. — By<sup>3</sup> to tylko <sup>3</sup>ó<sup>3</sup>ty pies, kundel. Przy<sup>31</sup>czy<sup>3</sup> siê do mnie z wolnej woli. Zna<sup>3</sup> mnie. Zap<sup>3</sup>aci<sup>3</sup> za to <sup>3</sup>yciem.

Zab<sup>3</sup>ys<sup>3</sup>o œwiat<sup>3</sup>o w jednym z okien pa<sup>3</sup>acu. Rygle drzwi odsuniêto z hukiem. Zacz<sup>13</sup>em bieç, ale œcelepiony <sup>3</sup>zami wpad<sup>3</sup>em prosto na mur i podrapa<sup>3</sup>em sobie twarz. Otar<sup>3</sup>em krew i zacz<sup>13</sup>em po omacku posuwaæ siê w stronê Hipodromu. Mój lewy bok by<sup>3</sup> wilgotny od krwi. Miêdzy mkn<sup>1</sup>cymi po niebie chmurami od czasu do czasu majaczy<sup>3</sup>a grupka gwiazd. Oczy przyzwycza<sup>3</sup>y siê stopniowo do ciemnoœci. W g<sup>3</sup>owie og<sup>3</sup>uszonej uderzeniem t<sup>3</sup>uk<sup>3</sup>a siê tylko jedna myœl: To Frances, nie Konstantyn, to Frances, nie Konstantyn.

Czy<sup>3</sup>by rzeczywiœcie uwa<sup>3</sup>ali mnie za tak niebezpiecznego, <sup>3</sup>ę woleli raczej zamordowaæ mnie skrytobójczo ni<sup>3</sup> zamurowaæ w marmurowej wie<sup>3</sup>y? Frances ostrzega<sup>3</sup> mnie przed domem Notarasa.

Ale porzuci<sup>3</sup>em te bezp<sup>3</sup>odne domys<sup>3</sup>y, gdy tylko okr<sup>1</sup>zy<sup>3</sup>em <sup>3</sup>uk Hipodromu i znalaz<sup>3</sup>em siê na wzgórz. Obok ciemnej olbrzymiej kopu<sup>3</sup>y koœcio<sup>3</sup>a M<sup>1</sup>droœci Bo<sup>3</sup>ej zszed<sup>3</sup>em na chwiejnych nogach w dó<sup>3</sup> do portu przyciskaj<sup>1</sup>c rêk<sup>1</sup> bok. Puls mi <sup>3</sup>omota<sup>3</sup>. Nie ma jej, nie ma jej.

Anna Notaras wyjecha<sup>3</sup>a. Dokona<sup>3</sup>a wyboru. Jest pos<sup>3</sup>uszn<sup>1</sup> cór<sup>1</sup>k<sup>1</sup> swego ojca. Czegó<sup>3</sup> to siê po niej spodziewa<sup>3</sup>em? Bez pos<sup>3</sup>ania, bez po<sup>3</sup>egnania.

Mój s<sup>3</sup>u<sup>1</sup>cy, Manuel, czuwa<sup>3</sup> czekaj<sup>1</sup>c na mnie i trzyma<sup>3</sup> œwiat<sup>3</sup>o p<sup>3</sup>on<sup>1</sup>ce w mojej izbie. Nie zdziwi<sup>3</sup> siê na widok mojej podrapanej twarzy i krwi na moich szatach. W okamgnieniu przyniós<sup>3</sup> czyst<sup>1</sup> wodê, opatrunki i macœæ na rany. Pomóg<sup>3</sup> mi zdj<sup>1</sup>æ odzie<sup>3</sup> i przemy<sup>3</sup> ciêcie. Rozci<sup>1</sup>ga<sup>3</sup>o siê od <sup>3</sup>opatki w dó<sup>3</sup> po lewej stronie. Rama piek<sup>3</sup>a i bola<sup>3</sup>a silnie, ale to pieczenie robi<sup>3</sup>o mojej duszy tylko dobrze.

Da<sup>3</sup>em mu felczersk<sup>1</sup> ig<sup>3</sup>ê i jedwabn<sup>1</sup> nitkê i pokaza<sup>3</sup>em, jak ma zeszyaæ ranê. Prosi<sup>3</sup>em, by przep<sup>3</sup>uka<sup>3</sup> j<sup>1</sup> mocnym winem i zebra<sup>3</sup> pleceñ i pajêczynê, by zapobiec gor<sup>1</sup>czce. Dopiero gdy mnie

opatrzy<sup>3</sup> i pomóg<sup>3</sup> mi po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>łyæ siê, zacz<sup>13</sup>em dr<sup>3</sup>ęæ. Dygota<sup>3</sup>em tak, że <sup>3</sup>ó<sup>3</sup>ko siê trzês<sup>3</sup>o.

— Piesku — powiedzia<sup>3</sup>em dr<sup>3</sup>ę<sup>1</sup>cym g<sup>3</sup>osem. — Chudy, <sup>3</sup>ó<sup>3</sup>ty piesku, ciekawym, kim by<sup>3</sup>eæ?

D<sup>3</sup>ugo le<sup>3</sup>ę<sup>3</sup>em beczynnje. Wiêc znowu jestem sam. Nie prosi<sup>3</sup>em jednak nikogo o zmi<sup>3</sup>owanie. Anna Notaras dokona<sup>3</sup>a wyboru. Kim<sup>3</sup>ę<sup>3</sup> jestem, <sup>3</sup>eby potêpiaæ j<sup>1</sup> za to?

Ale w dniu mojej æmierci usnê w hiacyntowym zapachu twoich policzków. Temu nie zdo<sup>3</sup>asz przeszkodziæ.

*28 lutego 1453*

Podczas nocnego sztormu uciek<sup>3</sup>o z portu sporo statków. Du<sup>3</sup>y okrê<sup>3</sup>t Wenecjanina Piero Davenzo i szeceæ kreteñskich statków z pe<sup>3</sup>nym <sup>3</sup>adunkiem. Przysiêgi, ca<sup>3</sup>owanie krzy<sup>3</sup>ę<sup>3</sup>a i gro<sup>3</sup>ba grzywien nie wystarczy<sup>3</sup>y zatem. Kapitanowie ratowali tysi<sup>1</sup>c dwieæcie skrzyñ sody, miedzi, indygo, wosku, mastyksu i korzeni dla Wenecji i kreteñskich armatorów.

Ponadto uratowali oni setki bogatych uchod<sup>3</sup>ę<sup>3</sup>ców, którzy p<sup>3</sup>acili za podró<sup>3</sup>ę, ile tylko od nich za<sup>3</sup>ę<sup>1</sup>dano. Mówi<sup>1</sup>, że ucieczka by<sup>3</sup>a ju<sup>3</sup> od wielu dni w porcie niemal publicz<sup>1</sup>n<sup>1</sup> tajemnic<sup>1</sup>.

Turcy w Gallipoli nie oddali ani jednego strza<sup>3</sup>u do tych statków i nie atakowali ich te<sup>3</sup> wojennymi galerami. Tak<sup>3</sup>e i to by<sup>3</sup>o wiêc u<sup>3</sup>o<sup>3</sup>ę<sup>3</sup>one z góry. Przez neutralnych agentów z Pery. Mia<sup>3</sup>by zreszt<sup>1</sup> su<sup>3</sup>tan troszczyæ siê o kilka skrzyñ miedzi i korzeni, jeæli w ten sposób mo<sup>3</sup>ę<sup>3</sup> zmniejszycæ liczbê statków bêd<sup>1</sup>ę<sup>3</sup>ych do dyspozycji cesarza i os<sup>3</sup>abiaæ przez to obronê portu?

Megaduks, g<sup>3</sup>ównodowodz<sup>1</sup>cy floty, wiedzia<sup>3</sup> zatem o ucieczce i wys<sup>3</sup>a<sup>3</sup> córkê w bezpieczne miejsce na tych statkach. Ale równie<sup>3</sup> i damy z rodziny cesarskiej opuæci<sup>3</sup>y miasto. Kiedy, nie wie nikt.

Od pozosta<sup>3</sup>ych statków cesarz za<sup>3</sup>ę<sup>1</sup>da<sup>3</sup> nowej przysiêgi i zapewnienia, że nie opu<sup>3</sup>zcz<sup>1</sup> portu bez jego zezwolenia. Có<sup>3</sup>ę<sup>3</sup> móg<sup>3</sup>by robiæ innego. Wenecjanie odmówili w ka<sup>3</sup>dy<sup>3</sup>m razie wy<sup>3</sup>adowania swoich cennych <sup>3</sup>adunków. A to by<sup>3</sup>by chyba jedyny sposób, by na pewno zatrzymaæ ich w porcie.

*/ marca 1453*

Przyszed<sup>3</sup> odwiedziæ mnie sam Giustiniani, gdy<sup>3</sup> nie chcê jeszcze pokazywaæ siê poza domem.

Moje rany swêdz<sup>1</sup>, twarz mam rozpalon<sup>1</sup>, jakby sta<sup>3</sup>a w p<sup>3</sup>omieniach, i czujê gor<sup>1</sup>czkê.

Gdy zsiad<sup>3</sup> ze swego dużego bojowego rumaka, zebra<sup>3</sup>a siê natychmiast wokó<sup>3</sup> niego gromada ludzi. Grecy podziwiają<sup>1</sup> go, choæ jest <sup>3</sup>acinnikiem. Ch<sup>3</sup>opcy dotykali z szacunkiem wêdzid<sup>3</sup>a i wodzów wierzchowca. Cesarz podarowa<sup>3</sup> Giustinianiemu okute z<sup>3</sup>otem siod<sup>3</sup>o i wysadzany drogimi kamieniami paradny czaprak. Jego wizyta by<sup>3</sup>a dla mnie wielkim zaszczytem. Odbyliœmy d<sup>3</sup>ug<sup>1</sup> rozmowê. Wy<sup>3</sup>o<sup>3</sup>ly<sup>3</sup>em mu moj<sup>1</sup> filozofiê, myœli mego mistrza i nauczyciela doktora Cusaniego: ¿e s<sup>3</sup>uszne i nies<sup>3</sup>uszne, prawda i k<sup>3</sup>amstwo, dobro i z<sup>3</sup>o nie wykluczaj<sup>1</sup> siê nawzajem. Wszystko jest wzglêdne na tym œwiecie i wyrównuje siê dopiero w wiecznoœci. Ale on tego nie rozumia<sup>3</sup>.

Potr<sup>1</sup>sn<sup>13</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> i mlasn<sup>13</sup> z zachwytem jêzykiem, gdy wszed<sup>3</sup> do izby i zobaczy<sup>3</sup> moje poranione czo<sup>3</sup>o i odarty ze skóry nos.

— To tylko bójka w tawernie — rzek<sup>3</sup>em.

— Dotrzyma<sup>3</sup>œce placu? — zapyta<sup>3</sup>.

— Przeszed<sup>3</sup>em do przeciwnatarcia, a potem wypl<sup>1</sup>ta<sup>3</sup>em siê z walki — odpar<sup>3</sup>em.

— Jeœli to prawda, unikniesz kary porz<sup>1</sup>dkowej — powiedzia<sup>3</sup>.

— Przynajmniej dotychczas nikt nie skar<sup>3</sup>ly<sup>3</sup> siê, jakobyœ by<sup>3</sup> pijany i zak<sup>3</sup>óci<sup>3</sup> porz<sup>1</sup>dek publiczny. Poka<sup>3</sup> ranê.

Kaza<sup>3</sup> Manuelowi rozwi<sup>1</sup>zaæ opatrunek i szturcha<sup>3</sup> bezceremonialnie grubym paluchem wskazuj<sup>1</sup>cym nabrzmia<sup>3</sup>e brzegi rany.

— Cios w plecy — powiedzia<sup>3</sup>. — O w<sup>3</sup>os od œmierci, nie, to nie by<sup>3</sup>a ¿adna bójka w tawernie, mimo ¿e twoja twarz mówi o czymœ w tym rodzaju.

— Nie mam zbyt wielu przyjació<sup>3</sup> w tym mieœcie — przyzna<sup>3</sup>em.

— W takim razie powinieneœ chodzic<sup>3</sup> w kolczudze — rzek<sup>3</sup>.

— Lekka kolczuga albo karacena <sup>3</sup>ami<sup>1</sup> ostrze miecza i przeszkadzaj<sup>1</sup> nawet najcieńszemu sztyletowi wedrzeæ siê zbyt g<sup>3</sup>êboko.

— Nie potrzebujê tego — odrzek<sup>3</sup>em. — Jestem twardy, jeœli tylko mogê zachowaæ opanowanie.

Zainteresowa<sup>3</sup> siê.

— Rzeczywiœcie jesteœ twardy? — zapyta<sup>3</sup>. — Masz jakic<sup>3</sup> talizman czy te¿ da<sup>3</sup>œce siê zaczarowaæ, a mo¿e nosisz w mieszk<sup>3</sup>u werbenê? Wszystkie sposoby s<sup>1</sup> dobre, byle tylko w nie wierzyæ.

Wzi<sup>13</sup>em d<sup>3</sup>ug<sup>1</sup> srebrn<sup>1</sup> szpilkê ze stolika przy <sup>3</sup>o<sup>3</sup>u.

— Patrz — powiedzia<sup>3</sup>em i zaczą<sup>13</sup>em mamrota<sup>æ</sup> pó<sup>3</sup>g<sup>3</sup>osem jedno z arabskich zakl<sup>æ</sup>derwiszów. A potem przek<sup>3</sup>u<sup>3</sup>em szybko szpil<sup>1</sup> mi<sup>æ</sup>sieñ ramienia, tak  $\zeta$ e szpic wyszed<sup>3</sup> po drugiej stronie. Ani jedna kropla krwi nie wyp<sup>3</sup>yn<sup>æ</sup>3a.

Potrz<sup>1</sup>sn<sup>13</sup> znowu du<sup>1</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>.

— Dlaczego wi<sup>æ</sup>c wda<sup>3</sup>a si<sup>æ</sup> gor<sup>1</sup>czka w ranie? — zapyta<sup>3</sup> z pow<sup>1</sup>tpiewaniem. — Dlaczego nie leczy si<sup>æ</sup> ona sama z siebie i nie zrasta, jeżeli tak wierzysz,  $\zeta$ e jeste<sup>æ</sup> twardy?

— Podnieci<sup>3</sup>em si<sup>æ</sup>. Zapomnia<sup>3</sup>em si<sup>æ</sup> — odpar<sup>3</sup>em. — B<sup>1</sup>d<sup>ÿ</sup> spokojny. Rana si<sup>æ</sup> zgoi. Pojutrze b<sup>ê</sup>d<sup>ê</sup> znowu zdalny do s<sup>3</sup>u $\zeta$ by.

*2 marca 1453*

S<sup>3</sup>oñce przygrzewa. Na rogach ulic i w ogrodach pal<sup>1</sup> odpadki. Jasnozielone  $\ddot{Y}$ d<sup>ÿ</sup>b<sup>3</sup>a strzelaj<sup>1</sup> ze szczelin w po $\zeta$ ó<sup>3</sup>k<sup>3</sup>ym marmurze. Stoki Akropolu l<sup>æ</sup>ni<sup>1</sup> kolorowym wiosennym kwieciem. W porcie zgie<sup>3</sup>k trwa co wieczora do pó<sup>ÿ</sup>nej nocy. W wieczornym spokoju s<sup>3</sup>ycha<sup>æ</sup> muzyk<sup>ê</sup> a $\zeta$  w moim domu. Nigdy, nigdy jeszcze nie widzia<sup>3</sup>em tak wspania<sup>3</sup>ych zachodów s<sup>3</sup>oñca jak w te wieczory, kiedy kopu<sup>3</sup>y stoj<sup>1</sup> w p<sup>3</sup>omieniach, a zatoka portowa mi<sup>ê</sup>dzy wzgórzami i wy $\zeta$ ynami staje si<sup>æ</sup> czarna jak atrament. Po drugiej stronie b<sup>3</sup>yszcz<sup>1</sup> purpurowym blaskiem mury i wie $\zeta$ e Pery i odbijaj<sup>1</sup> si<sup>æ</sup> w ciemnej wodzie.

Kiedy siedzia<sup>3</sup>em tak wpatruj<sup>1</sup>c si<sup>æ</sup> w zachód s<sup>3</sup>oñca, z sercem zgorzknia<sup>3</sup>ym od t<sup>æ</sup>sknoty, przyszed<sup>3</sup> do mnie mój s<sup>3</sup>uga Manuel i przemówi<sup>3</sup> wymownie:

— Panie, wiosna nadesz<sup>3</sup>a, a Turcy jeszcze si<sup>æ</sup> nie pojawili. Nierozumne ptaki <sup>3</sup>opoc<sup>1</sup> skrzyd<sup>3</sup>ami z nami<sup>æ</sup>tno<sup>æ</sup>ci poluj<sup>1</sup>c na siebie nawzajem. Gruchanie go<sup>3</sup>êbi zak<sup>3</sup>óca ludziom nocny spokój. Os<sup>3</sup>y w stajni patriarchy r $\zeta$ 1 tak przera<sup>ÿ</sup>liwie,  $\zeta$ e nawet ludzie szalej<sup>1</sup>. Panie, nie jest dobrze dla cz<sup>3</sup>owieka by<sup>æ</sup> samotnym.

— C<sup>ó</sup> $\zeta$  to takiego! — wykrzykn<sup>13</sup>em zdziwiony. — Chyba nie zamierzasz si<sup>æ</sup> o $\zeta$ eni<sup>æ</sup> mimo twojej osi<sup>3</sup>wia<sup>3</sup>ej brody. A mo $\zeta$ e chcesz ze mnie wydusi<sup>æ</sup> datek na posag dla córki kt<sup>ó</sup>rej<sup>æ</sup> z twoich kuzynek?

— Panie, my<sup>æ</sup>l<sup>ê</sup> tylko o twoim w<sup>3</sup>asnym dobru — odrzek<sup>3</sup> dotkni<sup>ê</sup>ty. — Znam ciebie i wiem, jak<sup>1</sup> masz rang<sup>ê</sup>, i zdaj<sup>ê</sup> sobie spraw<sup>ê</sup>, co ci wypada czyni<sup>æ</sup>, a co nie wypada. Ale wiosna mo $\zeta$ e wzbudzi<sup>æ</sup> niepokój we krwi nawet najwy $\zeta$ ej postawionego cz<sup>3</sup>owieka i w tej sprawie nie ma ró $\zeta$ nicy mi<sup>ê</sup>dzy cesarzem a ubogim pastuchem kóz. Nie chcia<sup>3</sup>bym zaprawd<sup>ê</sup>,  $\zeta$ eby<sup>æ</sup> jeszcze raz wróci<sup>3</sup> do domu chwiej<sup>1</sup>c si<sup>æ</sup> na nogach, w okrwawionej odzie $\zeta$ y, tak  $\zeta$ e o ma<sup>3</sup>o nie dosta<sup>3</sup>em sercowego ataku ze strachu i zgrozy. Wierz mi, ciemne sklepienia bram i otoczone murem dziedziñce s<sup>1</sup> niebezpieczne w tym mie<sup>æ</sup>cie.

Zaciera<sup>3</sup> d<sup>3</sup>onie i unika<sup>3</sup> mego wzroku zastanawiaj<sup>1</sup>c siê z wahaniem, jak siê ma wyraziæ.

— Ale wszystko moŹna za<sup>3</sup>atwiaæ — powiedzia<sup>3</sup> znacz<sup>1</sup>co. — Jesteœ przygnêbiony i œpisz niespokojnie nocami. Sprawia to ból memu sercu. Naturalnie nie naleŹê do ludzi, którzy chcieliby podstêpnie poznaæ twoje sprawy. Znam swoje miejsce. Ale nie mog<sup>3</sup>o ujoææ mojej uwagi, Źe juŹ od dawna nie mia<sup>3</sup>eœ odwiedzin tego mile widzianego goœcia, który dawniej sprawia<sup>3</sup>, Źe twoja twarz promienia<sup>3</sup>a z radoœci. Przeciwnie, wróci<sup>3</sup>eœ do domu sam, okrwawiony od stóp do g<sup>3</sup>ów, z czego wnioskujê, Źe wszystko siê wyda<sup>3</sup>o, i teraz znosisz mêki przymusowej roz<sup>3</sup>ki. Czas leczy jednak wszelkie rany i dla wszystkich ran istnieje<sup>1</sup> maœci<sup>3</sup> agodz<sup>1</sup>ce, nawet dla ran serdecznych.

— Skończ juŹ — powiedzia<sup>3</sup>em. — Gdyby ten zachód s<sup>3</sup>oñca nie sprawi<sup>3</sup>, Źe jestem chory z têsknoty, dawno da<sup>3</sup>bym ci po pysku, Manuelu.

— Nie rozum mnie Ÿle, mój panie — pospiesznie odpowiedzia<sup>3</sup>. — Ale mêŹczyzna w twoim wieku potrzebuje kobiety, jeœli nie jest mnichem albo w inny sposób nie pocœwiêci<sup>3</sup> siê naboŹnym medytacjom. To prawo natury. Dlaczego nie mia<sup>3</sup>byœe uŹywaæ Źycia w tym krótkim okresie, który jeszcze nam pozosta<sup>3</sup>. Mam dla ciebie propozycjê, a nawet dwie, jeœli tylko Ÿle mnie nie zrozumiesz.

Odsun<sup>13</sup> siê ostroŹnie, zrobi<sup>3</sup> siê jeszcze mniejszy niŹ zwykle i ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>:

— Córka mojej kuzynki, m<sup>3</sup>oda wdowa w najlepszych latach, straci<sup>3</sup>a przypadkiem mêŹa tak nagle, Źe faktycznie jest prawie nietkniêta. Widzia<sup>3</sup>a ciebie na koniu, w mieœcie, i tak œlepo siê w tobie zakocha<sup>3</sup>a, Źe wci<sup>1</sup>Ź drêczy mnie proœbami, Źebym j<sup>1</sup> wpucœci<sup>3</sup> do twego domu i zapozna<sup>3</sup> z tob<sup>1</sup>. To cnotliwa i dobrze u<sup>3</sup>oŹona dziewczyna. By<sup>3</sup>aby szczêœliwa i wyœwiadczy<sup>3</sup>byœe ca<sup>3</sup>ej naszej rodzinie wielki honor, gdybyœe okaza<sup>3</sup> jej Źyczliwoœæ przez jedn<sup>1</sup> albo dwie noce. O nic wiêcej nie prosi i ty sam najlepiej ocenisz, co zechcesz daæ jej w darze, kiedy ci siê sprzykrzy. W ten sposób zrobi<sup>3</sup>byœe dobry uczynek, a jednocześnie zapewni<sup>3</sup>byœe swemu cia<sup>3</sup>u spokój, jakiego potrzebuje.

— Manuelu — odrzek<sup>3</sup>em. — Doceniam twoj<sup>1</sup> dobr<sup>1</sup> wolê, ale gdybym mia<sup>3</sup> ulec pokusie ze strony kaŹdej kobiety, która œciga mnie wzrokiem, nigdy nie opêdzi<sup>3</sup>bym siê od kobiet. Od m<sup>3</sup>odoœci ci<sup>1</sup>Źy<sup>3</sup>o na mnie przekleñstwo, Źe poŹ<sup>1</sup>da<sup>3</sup>y mnie wiêcej, niŹ ja poŹ<sup>1</sup>da<sup>3</sup>em ktorejœ z nich. Za kaŹdym razem jednak kiedy z ca<sup>3</sup>ego serca pragn<sup>13</sup>em czegoœ, ta druga osoba nie pragnê<sup>3</sup>a tego samego co ja. To moja kara. Wierz mi, przysporzy<sup>3</sup>bym tylko córce twej kuzynki smutku i bólu, gdybym, nie pragn<sup>1</sup>c jej, wzi<sup>13</sup> j<sup>1</sup> do<sup>3</sup>oŹa, by ogrzaæ sobie cia<sup>3</sup>o.

Manuel przytackn<sup>13</sup> natychmiast:

— I ja teŹ stara<sup>3</sup>em siê wybiæ jej to z g<sup>3</sup>owy, ale wiesz, jak to jest z kobietami. S<sup>1</sup> uparte. Mam jednak inn<sup>1</sup> propozycjê. Jedna z moich ciotek ma znajomego, uczciwego i delikatnego cz<sup>3</sup>owieka, który chêtnie pomaga i wysoko, i nisko postawionym w ich róŹnych k<sup>3</sup>opotach. W tym celu kaza<sup>3</sup> w pobliŹu Blachern zbudowaæ od zewn<sup>1</sup>trz bezpretensjonalny, ale wewn<sup>1</sup>trz gustownie urz<sup>1</sup>dzony dom.



W domu tym s<sup>1</sup> m<sup>3</sup>ode niewolnice z wielu rozmaitych krajów. Można tam wziąć gor<sup>1</sup>c<sup>1</sup> k<sup>1</sup>piel i masaż. Nawet wy<sup>1</sup>yci i bezsilni starzy archontowie wychodzili stamt<sup>1</sup>d zadowoleni z us<sup>3</sup>ug, których tam doznali, i potem na wiele sposobów okazywali sw<sup>1</sup> wdzięcznoœæ temu, kto im dopomóg<sup>3</sup>. Dom jest godzien twojej rangi i nic byæ nie straci<sup>3</sup> wypróbuj<sup>1</sup>c róŹne moŹliwoœci, które tam proponuj<sup>1</sup>.

ZauwaŹy<sup>3</sup> moje spojrzenie, straci<sup>3</sup> animusz i pospieszy<sup>3</sup> wyjœcia:

— Wcale nie myœlê, Źe jesteœ wy<sup>1</sup>yty albo bezsilny, panie. Przeciwnie, jesteœ mê<sup>1</sup>czyzn<sup>1</sup> w najlepszych latach Źycia. W<sup>3</sup>acenie dlatego, mój panie. W tym domu można takŹe, dyskretnie i w naj<sup>3</sup>êbszej tajemnicy, spotkaæ dostojne damy, które potrzebuj<sup>1</sup> odmiany w Źyciu albo które z powodu sk<sup>1</sup>pstwa swoich mê<sup>1</sup>ów chêtnie widz<sup>1</sup> ma<sup>3</sup>y przyczynek do wydatków na kosmetykê i stroje. MoŹe mi nie uwierzysz, ale nawet damy z Blachern odwiedza<sup>3</sup>y ten dom i nie przysporzy<sup>3</sup>y sobie Źadnych przykroœci. Przeciwnie. Szanowany przyjaciel mojej ciotki jest doœwiadczone<sup>3</sup>m znawc<sup>1</sup> ludzi i osob<sup>1</sup> bardzo wyrozumia<sup>3</sup>. Potrafi on dobieraæ kr<sup>1</sup>g klientów z najwiêksz<sup>1</sup> wybrednoœci<sup>1</sup>.

— Nie chcê przyczyniaæ siê do upadku obyczajów w tym umieraj<sup>1</sup>cym mieœcie — odpar<sup>3</sup>em.  
— Nie, Manuelu. Ty mnie nie rozumiesz.

Ale Manuel wydawa<sup>3</sup> siê g<sup>3</sup>êboko zraniony.

— Jak moŹesz mówiaæ o upadku obyczajów, panie, skoro chodzi tu tylko o nieprzymuszone Źycie towarzyskie miêdzy wykszta<sup>3</sup>conymi, oœwieconymi i wolnymi od przes<sup>1</sup>dów ludŹmi tego samego stanu. CzyŹ wiêc jest w twoich oczach czymœ naturalniejszym i mniej zepsutym prze<sup>3</sup>œwienie przez mur w ciemne noce albo szeptanie ukradkiem haniebnych propozycji znakomitym damom? Jeœli juŹ cz<sup>3</sup>owiek zmuszony jest grzeszyæ, dlaczego nie grzeszyæ weso<sup>3</sup>o, kulturalnie i bez wyrzutów sumienia. Jesteœ bardzo <sup>3</sup>aciñski, skoro tego nie rozumiesz.

— Nie têsniê za grzechem, Manuelu — powiedzia<sup>3</sup>em. — Têsniê za mi<sup>3</sup>oœci<sup>1</sup>, któr<sup>1</sup> straci<sup>3</sup>em.

Manuel potrz<sup>1</sup>sn<sup>13</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> i mina jego sta<sup>3</sup>a siê znów uniŹenie melancholijna:

— Grzech jest zawsze grzechem, bez wzglêdu na to, jakie w<sup>3</sup>oŹy przybranie. Wszystko jedno, czy nazwie siê go mi<sup>3</sup>oœci<sup>1</sup>, czy rozkosz<sup>1</sup>. Rezultat jest ten sam. Mêczysz siê tylko, panie, rozpalaj<sup>1</sup>c swoje uczucia. Nawet najbardziej ponêtny grzech nie jest wart takich poœwiêceñ. Sprawiasz mi zawód, panie. S<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>em, Źe jesteœ rozs<sup>1</sup>dniejszy. Ale zdrowego rozs<sup>1</sup>dku cz<sup>3</sup>owiek nie otrzymuje w prezencie chrzestnym, nawet jeœli urodzi siê w purpurowych butach.

W tym momencie chwyci<sup>3</sup>em go za kark i zmusi<sup>3</sup>em do klêkniêcia w kurzu dziedzica. Mój sztylet zab<sup>3</sup>ysn<sup>13</sup> czerwono w œwietle zachodz<sup>1</sup>cego s<sup>3</sup>oñca. Ale opanowa<sup>3</sup>em siê:

— Coœ powiedzia<sup>3</sup>? — zapyta<sup>3</sup>em. — Powtórz, jeœli masz odwagê.

Manuel by<sup>3</sup> bardzo przestraszony. Jego chudy kark dr<sup>3</sup>a<sup>3</sup> w moim uchwycie. Mimo to jednak wydawa<sup>3</sup>o si<sup>3</sup>e, jakby po pierwszym strachu uwa<sup>3</sup>ia<sup>3</sup> moj<sup>1</sup> brutalnoœæ tylko za zaszczyt. Podniós<sup>3</sup> ku mnie wodniste spojrzenie i zakurzon<sup>1</sup> brodê, z chytr<sup>1</sup> i upart<sup>1</sup> min<sup>1</sup>.

— Nie mia<sup>3</sup>em zamiaru ci<sup>3</sup>e uraziæ, panie — zapewnia<sup>3</sup>. — Nie s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>em,  $\zeta$ e rozgniewasz si<sup>3</sup>e o  $\zeta$ art.

Ale u<sup>3</sup>o $\zeta$ y<sup>3</sup> swoje s<sup>3</sup>owa zbyt podstêpnie,  $\zeta$ ebym móg<sup>3</sup> mu wierzyæ. Na samym koñcu d<sup>3</sup>ugiej oracji ukry<sup>3</sup> chytr<sup>1</sup> przynêtê,  $\zeta$ eby zobaczyæ, czy si<sup>3</sup>e na ni<sup>1</sup> wezmê. Gdzie znik<sup>3</sup>o moje opanowanie? Gdzie podzia<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e mój spokój ducha? Wetkn<sup>13</sup>em sztylet z powrotem do pochwy z lekkim stukiem.

— Nie wiesz, co mówisz, Manuelu — powiedzia<sup>3</sup>em. — Anio<sup>3</sup> œmierci sta<sup>3</sup> przez chwilê za twymi plecami.

Klêcza<sup>3</sup> przede mn<sup>1</sup> tak, jakby lubowa<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e w tej upokarzaj<sup>1</sup>cej sytuacji.

— Panie! — wykrzykn<sup>13</sup>. Oczy zaczê<sup>3</sup>y mu b<sup>3</sup>yszczeæ, a szare policzki zaczerwieni<sup>3</sup>y mu si<sup>3</sup>e z wolna. — Po<sup>3</sup>o $\zeta$ y<sup>3</sup>œe mi d<sup>3</sup>oñ na g<sup>3</sup>owie. Mój ból uszu znik<sup>3</sup>. Nie bol<sup>1</sup> mnie ju $\zeta$  kolana, choæ klêczê tu na wilgotnej ziemi. Panie, czy $\zeta$  to nie dowód kim jesteœ?

— Bredzisz — rzek<sup>3</sup>em. — Przel<sup>1</sup>k<sup>3</sup>œe si<sup>3</sup>e mego sztyletu. Nag<sup>3</sup>y przestрах sprawi<sup>3</sup>,  $\zeta$ e inne dolegliwoœci znik<sup>3</sup>y.

Schyli<sup>3</sup> g<sup>3</sup>owê, wzi<sup>13</sup> garcææ ziemi i znowu j<sup>1</sup> upuœci<sup>3</sup>. G<sup>3</sup>os jego by<sup>3</sup> tak cichy,  $\zeta$ e ledwie mog<sup>3</sup>em rozró $\zeta$ nia<sup>3</sup> s<sup>3</sup>owa.

— Jako ma<sup>3</sup>y ch<sup>3</sup>opak widzia<sup>3</sup>em wiele razy cesarza Manuela — wyszepta<sup>3</sup>. — Panie, nigdy ci<sup>3</sup>e nie zawiodê.

Poniós<sup>3</sup> d<sup>3</sup>oñ, jakby chcia<sup>3</sup> dotkn<sup>1</sup>æ mego biodra, i wpatrywa<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e jak urzeczony w moje stopy.

— Purpurowe buty — szepta<sup>3</sup> sam do siebie. — Po<sup>3</sup>o $\zeta$ y<sup>3</sup>œe d<sup>3</sup>oñ na mojej g<sup>3</sup>owie i wszystkie cielesne dolegliwoœci znik<sup>3</sup>y.

Ostatnia krwawa <sup>3</sup>una zachodu zgas<sup>3</sup>a. Przyszed<sup>3</sup> wieczór ze zmierzchem i ch<sup>3</sup>odem. Nie odró $\zeta$ nia<sup>3</sup>em ju $\zeta$  twarzy Manuela. I nic nie powiedzia<sup>3</sup>em. By<sup>3</sup>em bardzo samotny. Odwróci<sup>3</sup>em si<sup>3</sup>e i wszed<sup>3</sup>em w ciep<sup>3</sup>o mego domu.

Atrament i papier. Dawniej kocha<sup>3</sup>em s<sup>3</sup>odki zapach atramentu i suchy szelest papieru. Obecnie nienawidzê ich. S<sup>3</sup>owa s<sup>1</sup> zwodnicze jak wszystko, co ziemskie. S<sup>1</sup> tylko niezdarnymi wyobra $\zeta$ eniami doczesnoœci, które ka $\zeta$ dy rozumie i t<sup>3</sup>umaczy sobie, jak chce, wedle w<sup>3</sup>asnego uznania i natury. Wiecznoœci nie mo $\zeta$ na wyraziæ  $\zeta$ adnymi s<sup>3</sup>owami.

Jeszcze stoj<sup>1</sup> statki w porcie. Przy odrobinie szczêœcia mo $\zeta$ e jeszcze zachodni statek przemkn<sup>1</sup>æ si<sup>3</sup>e obok Gallipoli na Morze Greckie. Nie ma takiego <sup>3</sup>acinnika, którego nie da<sup>3</sup>oby si<sup>3</sup>e przekupiæ. Ale  $\zeta$ ar mego serca kaza<sup>3</sup> mi cisn<sup>1</sup>æ klejnoty Giustinianiemu.  $\bar{\zeta}$ ar mego serca kaza<sup>3</sup> mi jeszcze raz rzuciæ z siebie bogactwo niczym przyciasn<sup>1</sup> szatê. Teraz jestem zbyt ubogi, by móc przekupiæ ca<sup>3</sup>y

statek i poźeglowaæ za ni<sup>1</sup>. Czy tego siê ba<sup>3</sup>em odrzucaj<sup>1</sup>c moje klejnoty? Nic nie dzieje siê przypadkiem, nic! Wszystko idzie tak, jak powinno. Nikt nie moŹe uciec od swego losu. Cz<sup>3</sup>owiek urzeczywistnia sam swój los, pewnie jak lunatyk, kiedy juŹ raz dokona wyboru.

CzyŹbym wiêc ba<sup>3</sup> siê siebie samego? CzyŹbym nie ufa<sup>3</sup> sobie samemu? CzyŹby Mehmed zna<sup>3</sup> mnie lepiej, niŹ sam siebie zna<sup>3</sup>em, kiedy wtyka<sup>3</sup> mi czerwony skórzany woreczek na pokusê, gdy siê rozstawalicemy? Czy to dlatego musia<sup>3</sup>em siê uwolniaæ od jego daru?

Su<sup>3</sup>tan Mehmed, zwyciêzca. Wystarczy tylko, Źebym kaza<sup>3</sup> siê przewieŹæ <sup>3</sup>odzi<sup>1</sup> do Pery i wszed<sup>3</sup> do domu z go<sup>3</sup>êbnikiem. Zdradziæ. Zdradziæ jeszcze raz.

Tak g<sup>3</sup>êbokiego i beznadziejnego uczucia rozpaczy jak obecnie jeszcze nigdy nie doznawa<sup>3</sup>em. Wybór nie ustaje nigdy. Trwa wiecznie. W kaŹdej chwili. AŹ do ostatniego tchnienia. Drzwi stoj<sup>1</sup> zawsze otwarte. Zawsze. Wrota ucieczki, zdrady, samooszukañstwa.

Na bagnach pod Warn<sup>1</sup> powiedzia<sup>3</sup> mi anio<sup>3</sup> æmierci: "Spotkamy siê przy bramie æw. Romana".

Dotychczas s<sup>3</sup>owa te by<sup>3</sup>y dla mnie pociech<sup>1</sup>. Ale nie mówi<sup>3</sup>, o której stronie tej bramy myœla<sup>3</sup>. Nie powiedzia<sup>3</sup> mi tego.

Nie, i nie musia<sup>3</sup> teŹ mówiæ. Przez ca<sup>3</sup>e moje Źycie wy<sup>3</sup>amywa<sup>3</sup>em siê z jednego wiêzienia, by trafiæ do drugiego. Z tego ostatniego wiêzienia nie ucieknê, nie ucieknê z tego wiêzienia, którego murami s<sup>1</sup> mury Konstantynopola. Jestem synem mego ojca. To wiêzienie jest moim jedynym domem.

*7 marca 1453*

Wczesnym rankiem, przed wschodem s<sup>3</sup>oñca, do koæcio<sup>3</sup>a klasztoru Chora w pobliŹu Blachern i bramy Charisiosa sz<sup>3</sup>a gromada mnichów w czarnych kapturach, mniszek i ubogich kobiet z p<sup>3</sup>on<sup>1</sup>cymi æwiecami w rêkach. Ćpiowali, ale ich æpiew ton<sup>13</sup> w ciszy miasta i ciemnoœci poranka. Poszed<sup>3</sup>em za nimi. Dach i æciany koæcio<sup>3</sup>a by<sup>3</sup>y jedn<sup>1</sup> wielk<sup>1</sup> mozaik<sup>1</sup>. Kolorowe kamyczki b<sup>3</sup>yszcza<sup>3</sup>y na z<sup>3</sup>otym tle w blasku niezliczonych æwiec woskowych. Pachnia<sup>3</sup>o kadzid<sup>3</sup>o. Ćarliwoœæ modl<sup>1</sup>cych siê koi<sup>3</sup>a moje serce.

Dlaczego poszed<sup>3</sup>em za nimi? Dlaczego ukl<sup>1</sup>k<sup>3</sup>em u ich boku? Mnichów i mniszki widywa<sup>3</sup>em przecieŹ juŹ przedtem. Chodz<sup>1</sup> parami od domu do domu ze swymi Źebraczymi miseczkami, Źeby zebraæ grosik dla ubogich uchodŹców, którzy nap<sup>3</sup>ynêli do miasta w ucieczce przed Turkami.

Wszystkie mniszki s<sup>1</sup> do siebie podobne z powierzchownoœci i nie moŹna ich rozróŹniaæ. S<sup>1</sup> wœród nich i szlachetne damy, i kobiety niskiego rodu. Samotne kobiety z zamoŹnych rodzin, które zakupi<sup>3</sup>y sobie miejsce w jakimœ klasztorze. Siostry s<sup>3</sup>uŹebne, które ofiaruj<sup>1</sup> pracê swoich r<sup>1</sup>k nie

bior<sup>1</sup>c welonu. Korzystaj<sup>1</sup> one z wiêkszej swobody ni¿ mniszki na Zachodzie. Ale Grecy pozwalaj<sup>1</sup> tak¿e swoim kap<sup>3</sup>anom ¿eniæ siê i nosiæ brody.

Wszystkie mniszki s<sup>1</sup> do siebie podobne. Takie same czarne habity, które kryj<sup>1</sup> zarysy cia<sup>3</sup>a, takie same welony, które zakrywaj<sup>1</sup> twarz a¿ po uszy. Ale nieœwiadomie, choœ nic nie rzuci<sup>3</sup>o mi siê w oczy wyraŹnie, zwróci<sup>3</sup>em uwagê na mniszkê, która sz<sup>3</sup>a za mn<sup>1</sup> na ulicy i zatrzymywa<sup>3</sup>a siê, kiedy siê odwraca<sup>3</sup>em. W towarzystwie drugiej mniszki przesz<sup>3</sup>a te¿ obok mego domu i przystanê<sup>3</sup>a ko<sup>3</sup>o ma<sup>3</sup>ego kamiennego lewka, by popatrzeæ na moje okna. Ale nie zastuka<sup>3</sup>a do drzwi i nie prosi<sup>3</sup>a o ja<sup>3</sup>mu¿nê.

Od tego czasu uwa¿nie przygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>em siê wszystkim mniszkom, jakie spotyka<sup>3</sup>em. Coœ w trzymaniu g<sup>3</sup>owy, w chodzie, w d<sup>3</sup>oniach, które kryj<sup>1</sup> siê w szerokich rêkawach, sprawia, ¿e rozpozna<sup>3</sup>bym j<sup>1</sup> poœród innych. Œeniê, widzê na jawie. Moja rozpacz czyni mnie œlepym. Wierzê w niemo¿liwe. Nadzieja, do której nie wa¿ê siê przyznaæ przed samym sob<sup>1</sup>, pali mi duszê jak p<sup>3</sup>omieñ œwiecy.

*10 marca 1453*

Dni te prze¿ywa<sup>3</sup>em jak we œnie, jak w malignie. Tego ranka obie mniszki przesz<sup>3</sup>y znowu obok mego domu i przystanê<sup>3</sup>y, by popatrzeæ w okna, tak jakby spodziewa<sup>3</sup>y siê, ¿e zobacz<sup>1</sup> mnie wychodz<sup>1</sup>cego. Zbieg<sup>3</sup>em po schodach, rozwar<sup>3</sup>em bramê. Zdyszany stan<sup>13</sup>em przed nimi nie mog<sup>1</sup>c wykrztusiæ s<sup>3</sup>owa. Odsunê<sup>3</sup>y siê, pochyli<sup>3</sup>y g<sup>3</sup>owy. Jedna wyci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a drewniany ¿ebraczy talerzyk i wymamrota<sup>3</sup>a zwyk<sup>31</sup> modlitwê.

— WejdŹcie w moje progi, siostry — wezwa<sup>3</sup>em je. — Sakiewkê mam w domu.

Schowana za starsz<sup>1</sup> kobiet<sup>1</sup>, trzyma<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>owê pochylon<sup>1</sup>, tak abym nie móg<sup>3</sup> widzieæ jej spojrzenia. Usi<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>y cofn<sup>1</sup>æ siê. Straci<sup>3</sup>em opanowanie. Chwyci<sup>3</sup>em j<sup>1</sup> za ramiê i nie zdo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>a stawiæ mi oporu. Manuel nadbieg<sup>3</sup> przera¿ony.

— Panie, jesteœ zamroczony na umyœle! — wykrzykn<sup>13</sup> ostrzegawczo. — Ludzie ciê ukamienuj<sup>1</sup>, jeœli u¿yjesz si<sup>3</sup>y wobec mniszki.

Starsza mniszka uderzy<sup>3</sup>a mnie w twarz koœcist<sup>1</sup> piêœci<sup>1</sup> i zaczê<sup>3</sup>a mnie t<sup>3</sup>uc po g<sup>3</sup>owie drewnianym talerzykiem. Ale nie odwa¿y<sup>3</sup>a siê krzykn<sup>1</sup>æ.

— WejdŹcie — powiedzia<sup>3</sup>em. — Wywo<sup>3</sup>amy zbiegowisko.

— Twój dowódca ka¿e ciê powiesiæ — rzek<sup>3</sup>a starsza mniszka z pogró¿k<sup>1</sup>, ale odwróci<sup>3</sup>a siê z wahaniem i spojrze<sup>3</sup>a na swoj<sup>1</sup> towarzyszkê. Ta skinê<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>. Nie mog<sup>3</sup>a inaczej post<sup>1</sup>piæ.

Trzyma<sup>3</sup>em j<sup>1</sup> mocno za ramiê.

Kiedy Manuel zamkn<sup>13</sup> za nami bramê, powiedzia<sup>3</sup>em:

— Pozna<sup>3</sup>em ciê. Pozna<sup>3</sup>bym ciê wœród tysiêcy. Czy to rzeczywiœcie ty? Jak to moŹliwe?

DrŹ<sup>1</sup>c wyrwa<sup>3</sup>a siê z mego uchwytu i rzek<sup>3</sup>a spiesznie do swej towarzyszki:

— To jakœ pomy<sup>3</sup>ka albo nieporozumienie. Muszê to wyjaœniaê. Zostañ tutaj.

Wywnioskowa<sup>3</sup>em z tego, Źe nie jest prawdziw<sup>1</sup> mniszk<sup>1</sup>, która z<sup>3</sup>oŹy<sup>3</sup>a œluby. Inaczej bowiem nie mog<sup>3</sup>aby zostaê sam na sam ze mn<sup>1</sup>. Zaprowadzi<sup>3</sup>em j<sup>1</sup> do mojej izby. Zarygłowa<sup>3</sup>em drzwi. Zerwa<sup>3</sup>em welon, który nosi<sup>3</sup>a, i wzi<sup>13</sup>em j<sup>1</sup> w objêcia.

Zamkn<sup>13</sup>em j<sup>1</sup> w ramionach.

Dopiero wtedy zacz<sup>13</sup>em sam drŹeæ i wybuchn<sup>13</sup>em p<sup>3</sup>aczem. Tak przeraŹliwa by<sup>3</sup>a moja rozpacz, moje poŹ<sup>1</sup>danie i moje zw<sup>1</sup>tpienie. Teraz wszystko we mnie pêk<sup>3</sup>o. Mam czterdzieœci lat. Jestem na progu jesieni. Ale p<sup>3</sup>aka<sup>3</sup>em szlochaj<sup>1</sup>c gwa<sup>3</sup>townie, jak dziecko, które budzi siê z koszmarne go snu w bezpiecznym spokoju domu.

— Moja ukochana — mówi<sup>3</sup>em — jak mog<sup>3</sup>œ mi to zrobiaê?

Pozwoli<sup>3</sup>a, by kapuza zœeliznê<sup>3</sup>a jej siê z g<sup>3</sup>owy, odrzuci<sup>3</sup>a czarny p<sup>3</sup>aszcz z kapturem, jak gdyby siê go wstydzi<sup>3</sup>a. By<sup>3</sup>a bardzo blada. Nie da<sup>3</sup>a sobie œci<sup>1</sup>œ w<sup>3</sup>osów. Nie drŹa<sup>3</sup>a juŹ. Oczy jej by<sup>3</sup>y przejrzysto<sup>3</sup>te, dumne i ciekawe. G<sup>3</sup>adzi<sup>3</sup>a mnie koniuszkami palców po policzku i patrzy<sup>3</sup>a na nie jakby zdumiona, dlaczego wilgotniej<sup>1</sup>.

— Co siê sta<sup>3</sup>o, Johannesie Angelosie? — zapyta<sup>3</sup>a. — P<sup>3</sup>aczesz? Dlaczego p<sup>3</sup>aczesz? Czy by<sup>3</sup>am aŹ tak niedobra?

Zabrak<sup>3</sup>o mi s<sup>3</sup>ów. Patrzy<sup>3</sup>em tylko na ni<sup>1</sup>. Czu<sup>3</sup>em, Źe twarz mi promienieje jak w dniach mojej m<sup>3</sup>odoœci. Spuœci<sup>3</sup>a przede mn<sup>1</sup> swoje br<sup>1</sup>zowe oczy.

— Doprawdy s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>am, Źe juŹ siê ciebie pozby<sup>3</sup>am — usi<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>a ci<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>œ dalej. Ale s<sup>3</sup>owa uwiêz<sup>3</sup>y jej w krtani. Rumieniec pojawi<sup>3</sup> siê na szyi i policzkach. Odwróci<sup>3</sup>a siê do mnie plecami.

Odwróci<sup>3</sup>a siê do mnie ty<sup>3</sup>em i podda<sup>3</sup>a siê. Po<sup>3</sup>oŹy<sup>3</sup>em rêce na jej ramionach. Moje d<sup>3</sup>onie zœeliznê<sup>3</sup>y siê na jej piersi. Z zapartym tchem ch<sup>3</sup>on<sup>13</sup>em jej wdziêk i urok, i drŹ<sup>1</sup>ce przebudzenie cia<sup>3</sup>a. Poca<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>em j<sup>1</sup> w usta. By<sup>3</sup>o to tak, jak gdyby odda<sup>3</sup>a mi ca<sup>31</sup> duszê w tym poca<sup>3</sup>unku. Jasna i wibruj<sup>1</sup>ca radoœæ przeniknê<sup>3</sup>a mnie do g<sup>3</sup>êbi. Nie pozosta<sup>3</sup>o we mnie Źadnej ciemnoœci. Moje poŹ<sup>1</sup>danie by<sup>3</sup>o jasne jak Źród<sup>3</sup>o, czyste jak p<sup>3</sup>omieñ.

Powiedzia<sup>3</sup>em:

— Wróci<sup>3</sup>œ do mnie.

— Pucææ mnie — prosi<sup>3</sup>a. — Dr<sup>1</sup> mi kolana. Nie mogê ustae na nogach.

Osunê<sup>3</sup>a siê na krzes<sup>3</sup>o, opar<sup>3</sup>a <sup>3</sup>okcie na stole i czo<sup>3</sup>o na d<sup>3</sup>oniach. Po chwili podnios<sup>3</sup>a wzrok. Niewypowiedzianie dobrze znane niewypowiedzianie nago patrzy<sup>3</sup>y jej br<sup>1</sup>zowe oczy w moje oczy.

— Ju<sup>1</sup> mi jest lepiej — rzek<sup>3</sup>a dr<sup>1</sup>cym g<sup>3</sup>osem. — Przez chwilê lêka<sup>3</sup>am siê, <sup>1</sup>e umrê w twoich ramionach. Nie wiedzia<sup>3</sup>am. Nie przypuszcza<sup>3</sup>am, <sup>1</sup>e to mo<sup>1</sup>e byæ takie uczucie.

A mo<sup>1</sup>e wiedzia<sup>3</sup>am — ci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a patrz<sup>1</sup>c na mnie tak, jakby nie mog<sup>3</sup>a siê do syta napatrzeæ. — Bo chyba dlatego zosta<sup>3</sup>am w mieœcie. Mimo <sup>1</sup>e poprzysiêg<sup>3</sup>am, i<sup>1</sup> nigdy ju<sup>1</sup> ciebie nie zobaczê. Przym<sup>3</sup>am to sobie, <sup>1</sup>eby mieæ odwagê zostaæ. Tak dziecinnie usi<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>am oszukaæ sam<sup>1</sup> siebie.

Potr<sup>1</sup>snê<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>. W<sup>3</sup>osy jej by<sup>3</sup>y ze z<sup>3</sup>ota. P<sup>3</sup>eæ z kocci s<sup>3</sup>oniowej. Brwi jak wysokie niebieskie <sup>3</sup>uki. W jej spojrzeniu z<sup>3</sup>otobr<sup>1</sup>zowa czu<sup>3</sup>oœæ.

— Unika<sup>3</sup>am ciebie, chcia<sup>3</sup>am od ciebie stroniaæ, ale i tak musia<sup>3</sup>am widzieæ ciê od czasu do czasu, przynajmniej z daleka. Niebawem chyba przysz<sup>3</sup>abym do ciebie z w<sup>3</sup>asnej woli. Jako mniszka jestem swobodniejsza, ni<sup>1</sup> by<sup>3</sup>am kiedykolwiek w <sup>1</sup>yciu. Mogê poruszaæ siê swobodnie, mogê swobodnie rozmawiaæ z ubogimi lud<sup>1</sup>ymi, czuæ kurz uliczny pod stopami, wyci<sup>1</sup>gaæ przed siebie skromny drewniany talerzyk i dostawaæ ja<sup>3</sup>mu<sup>1</sup>nê za b<sup>3</sup>ogos<sup>3</sup>awieñstwo. Johannesie Angelosie, du<sup>1</sup>o siê nauczy<sup>3</sup>am przez te dni. Przygotowywa<sup>3</sup>am siê na spotkanie z tob<sup>1</sup>, choæ sama o tym nie wiedzia<sup>3</sup>am.

Wysunê<sup>3</sup>a bos<sup>1</sup> stopê. Skórzana podeszwa sanda<sup>3</sup>ów przymocowana by<sup>3</sup>a rzemykami do kostek. Rzemienie odcisnê<sup>3</sup>y czerwone znaki na bia<sup>3</sup>ej skórze. Stopa by<sup>3</sup>a pokryta kurzem ulic. By<sup>3</sup>a to <sup>1</sup>ywa stopa <sup>1</sup>ywej kobiety. Nie by<sup>3</sup>a ju<sup>1</sup> tylko malowanym bo<sup>1</sup>kiem. Zmieni<sup>3</sup>a siê.

— Ale jak to mo<sup>1</sup>liwe? — zapyta<sup>3</sup>em. — Spotka<sup>3</sup>em siê z twoim ojcem w<sup>3</sup>acenie owej nocy. Wezwa<sup>3</sup> mnie do siebie. Mówi<sup>3</sup>, <sup>1</sup>e wyjecha<sup>3</sup>acæ.

— Ojciec nie wie o tym — rzek<sup>3</sup>a po prostu. — Wci<sup>1</sup> myœli, <sup>1</sup>e wyjecha<sup>3</sup>am. Kupi<sup>3</sup>am sobie miejsce w klasztorze, dok<sup>1</sup>d szlachetne damy usuwaj<sup>1</sup> siê czasem na nabo<sup>1</sup>ne æwiczenia. Mieszkam jako p<sup>3</sup>ac<sup>1</sup>cy za siebie goœæ o imieniu Anna. Nikt nie pyta mnie o nazwisko ani o rodzinê. Klasztor mia<sup>3</sup>by tylko przykroœci, gdybym zosta<sup>3</sup>a zdemaskowana. Dlatego moja tajemnica jest tak<sup>1</sup>e ich tajemnic<sup>1</sup>. Gdybym chcia<sup>3</sup>a tam pozostae na resztê dni <sup>1</sup>ycia, otrzyma<sup>3</sup>abym inne imiê, narodzi<sup>3</sup>abym siê na nowo i nikt nie musia<sup>3</sup>by nigdy wiedzieæ, kim niegdyœ by<sup>3</sup>am. Tylko ty to wiesz. Temu nie mog<sup>3</sup>am przeszkodziæ.

— Nie zamierzasz chyba pozostae w klasztorze? — zapyta<sup>3</sup>em przera<sup>1</sup>ony.

Spojrza<sup>3</sup>a na mnie figlarnie przez rzêsy.

— Pope<sup>3</sup>ni<sup>3</sup>am wielki grzech — rzek<sup>3</sup>a z udanym poczuciem winy. — Oszuka<sup>3</sup>am ojca. Mo<sup>3</sup>je muszê odbyæ pokutê.

Ale wci<sup>1</sup>¿ jeszcze nie rozumia<sup>3</sup>em, w jaki sposób ona, tak zazdrocenie pilnowana, zdo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>a uciec. Opowiedzia<sup>3</sup>a, ¿e ojciec chcia<sup>3</sup> j<sup>1</sup> wys<sup>3</sup>aæ na Kretê, aby nie dosta<sup>3</sup>a siê do niewoli u Turków czy u <sup>3</sup>acinników. Ale matka le<sup>3</sup>a<sup>3</sup>a chora i nie mog<sup>3</sup>a jej towarzyszyæ. Dlatego ca<sup>3</sup>y ten plan by<sup>3</sup> dla niej odstrêczaj<sup>1</sup>cy od samego pocz<sup>1</sup>tku. Z pakunkami i s<sup>3</sup>u<sup>1</sup>cymi przewieziono j<sup>1</sup> o zmierzchu <sup>3</sup>odzi<sup>1</sup> na statek. By<sup>3</sup> on pe<sup>3</sup>ny uchod<sup>3</sup>ców, którzy zap<sup>3</sup>acili zawrotne sumy za miejsca. W powszechnym zamieszaniu wymknê<sup>3</sup>a siê z powrotem do <sup>3</sup>odzi i kaza<sup>3</sup>a ¿eglarzom zawie<sup>3</sup>æ siê do portu. Du<sup>3</sup>o czasu up<sup>3</sup>ynie, zanim ojciec dowie siê, ¿e znik<sup>3</sup>a.

— Jestem wolna — powiedzia<sup>3</sup>a. — Niech myœl<sup>1</sup>, ¿e wypad<sup>3</sup>am za burtê i utonê<sup>3</sup>am. Jeszcze wiêksz<sup>1</sup> przykroœci<sup>1</sup> by<sup>3</sup>oby dla ojca, gdyby kiedyœ siê dowiedzia<sup>3</sup>, ¿e go oszuka<sup>3</sup>am. Nie œmiem nawet myœleæ o tym.

D<sup>3</sup>ugo siedzieliœmy w milczeniu patrz<sup>1</sup>c na siebie. To wystarczy<sup>3</sup>o. Czu<sup>3</sup>em, ¿e tylko odrobina wiêcej, choæby przelotny ucœmiech czy dotkniêcie sprawi<sup>3</sup>yby, i¿ serce by mi pêk<sup>3</sup>o. Zrozumia<sup>3</sup>em, co mia<sup>3</sup>a na myœli mówi<sup>1</sup>c, i¿ ba<sup>3</sup>a siê, ¿e umrze w moim objêciu.

Potem koœciaste palce zastuka<sup>3</sup>y do drzwi. Szorstki g<sup>3</sup>os starszej mniszki zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> ze wzburzeniem:

— Jesteœ tam jeszcze, siostró Anno?

Us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>em, jak Manuel na pró¿no stara siê j<sup>1</sup> uspokoiæ.

— Zaraz przyjdê — odkrzyknê<sup>3</sup>a Anna Notaras w odpowiedzi. Odwróci<sup>3</sup>a siê potem do mnie, dotknê<sup>3</sup>a d<sup>3</sup>oni<sup>1</sup> policzka i rzek<sup>3</sup>a z promiennym spojrzeniem: — A teraz muszê ju¿ iœæ. — Ale tak od razu nie mog<sup>3</sup>a odejœæ. Wspie<sup>3</sup>a siê na palce, aby jeszcze lepiej móc mi zajrzeæ w oczy, i zapyta<sup>3</sup>a cicho: — Czy jesteœ szczêœliwy, Johannesie Angelosie?

Odpar<sup>3</sup>em:

— Jestem szczêœliwy. A ty, Anno Notaras? Czy i ty jesteœ szczêœliwa?

Rzek<sup>3</sup>a:

— Jestem bardzo, bardzo szczêœliwa.

Otwar<sup>3</sup>a drzwi i starsza mniszka wpad<sup>3</sup>a do izby z drewnianym talerzykiem podniesionym do ciosu. Anna uspokajaj<sup>1</sup>co wziê<sup>3</sup>a j<sup>1</sup> pod ramiê i wyprowadzi<sup>3</sup>a z domu.

Wzi<sup>13</sup>em g<sup>3</sup>owê Manuela w d<sup>3</sup>onie i uca<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>em go w oba policzki.

— Niech ciê Pan b<sup>3</sup>ogos<sup>3</sup>awi i strze¿e — powiedzia<sup>3</sup>em.

— I ciebie, i niech bêdzie <sup>3</sup>askaw dla twojej duszy — odpowiedzia<sup>3</sup> otrz<sup>1</sup>sn<sup>1</sup>wszy siê z

zaskoczenia. — Mniszka — dorzuci<sup>3</sup> z ucemiechem w oczach i pokiwa<sup>3</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> — mniszka w twojej izbie. Czyż wreszcie zostawisz<sup>3</sup> acinników i przejdziesz na jedn<sup>1</sup> prawdziw<sup>1</sup> wiarê?

15 marca 1453

Wiosna rozwinê<sup>3</sup>a siê wszêdzie w mieœcie. Bose dzieciaki sprzedaj<sup>1</sup> kwiaty na rogach ulic. Ch<sup>3</sup>opczy dm<sup>1</sup> w fujarki na polach ruin. Nie ma nic, co brzmi<sup>3</sup>oby piêkniej i bardziej melancholijnie. B<sup>3</sup>ogos<sup>3</sup>awiê kaŹdy dzieñ, który przemija. B<sup>3</sup>ogos<sup>3</sup>awiê kaŹdy dzieñ, który dane jest mi przeŹyæ.

Starsza mniszka nazywa siê Charykleja, co znaczy urocza. Jej ojciec by<sup>3</sup> szewcem i umia<sup>3</sup> czytaæ. Ale twarz jej nie uzasadnia imienia, jak mówi mój s<sup>3</sup>uga Manuel. Przy jedzeniu ods<sup>3</sup>ania bowiem chêtne przed nim swoje oblicze. Lubi miêso i wino. Jest tylko siostr<sup>1</sup> s<sup>3</sup>uŹebn<sup>1</sup> i cieszy siê, Źe ma<sup>3</sup>ym zachodem moŹe sobie nape<sup>3</sup>niæ talerzyk na ja<sup>3</sup>muŹnê. Manuel wyjaœni<sup>3</sup> jej, Źe przed przyjœciem Turków chcê wyrzec siê swoich<sup>3</sup> aciñskich herezji, aby móc siê cieszyæ cia<sup>3</sup>em Chrystusa w kwaszonym chlebie i czytaæ jedyne prawdziwe apostolskie wyznanie wiary bez dodatków. W tym celu, mówi, korzystam z nauki u siostry Anny.

Nie wiem, co ona myœli o nas. Ale wziê<sup>3</sup>a Annê pod swoj<sup>1</sup> opiekê i uwaŹa j<sup>1</sup> za uczon<sup>1</sup> i szlachetn<sup>1</sup> damê, której siostra s<sup>3</sup>uŹebna nie ma prawa robiæ uwag co do zachowania siê.

Dziœ Giustiniani pos<sup>3</sup>a<sup>3</sup> mnie do Z<sup>3</sup>otej Bramy, bym nadzorowa<sup>3</sup> tam æwiczenia bojowe. Anna i Chartykleja przynios<sup>3</sup>y mi koszyk z jedzeniem. Nie wzbudzi<sup>3</sup>o to Źadnego poruszenia. Wielu innych tak samo dosta<sup>3</sup>o posi<sup>3</sup>ek, gdyŹ daleka jest droga do miasta z marmurowej wieŹy Z<sup>3</sup>otej Bramy. M<sup>3</sup>odzi mnisi musieli jadaæ posi<sup>3</sup>ki w klasztorze œwiêtego Jana Chrzciciela. Dostali dyspensê od postu i zrobili siê w czasie æwiczeñ bojowych silni i ogorzali. Chêtne zakasuj<sup>1</sup> rêkawy i odchylaj<sup>1</sup> czarne kaptury s<sup>3</sup>uchaj<sup>1</sup>c che<sup>3</sup>pliwych historii instruktorów. W wolnych chwilach œpiewaj<sup>1</sup> na wiele g<sup>3</sup>osów greckie psalmy. To bardzo piêkne.

Przez Z<sup>3</sup>ot<sup>1</sup> Bramê mog<sup>1</sup> przeci<sup>1</sup>gaæ tylko cesarskie pochody triumfalne. Nie otwierano jej za ludzkiej pamiêci. Teraz ostatecznie j<sup>1</sup> zamurowano na czas oblêŹenia. Usiedlicemy na trawie, w cieniu muru. Źamalicemy chleb, pili i jedli ze sob<sup>1</sup>. Charykleja robi<sup>3</sup>a siê senna, odesz<sup>3</sup>a kawa<sup>3</sup>ek na bok i po<sup>3</sup>oŹy<sup>3</sup>a siê na spoczynek z twarz<sup>1</sup> zas<sup>3</sup>oniêt<sup>1</sup> welonem. Anna zdjê<sup>3</sup>a sanda<sup>3</sup>y. Twarda skóra obtar<sup>3</sup>a jej stopy do krwi. Bia<sup>3</sup>e palce stóp wsunê<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>êboko w trawê.

— Tak wolna i szczêœliwa jak obecnie nie czu<sup>3</sup>am siê od dzieciñstwa — powiedzia<sup>3</sup>a.

Na promiennym wiosennob<sup>3</sup>êkitnym niebie kr<sup>1</sup>Źy<sup>3</sup> wysoko w górze sokó<sup>3</sup>. Cesarscy sokolnicy wypuszczaj<sup>1</sup> czasem swoje ptaki, Źeby polowa<sup>3</sup>y na tureckie go<sup>3</sup>êbie pocztowe. Tak jakby to siê na coœ przydawa<sup>3</sup>o. Powoli, wypatruj<sup>1</sup>c czegoœ, kr<sup>1</sup>Źy<sup>3</sup> sokó<sup>3</sup> po niebie.



Anna przeci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a smuk<sup>3</sup>ym palcem wskazuj<sup>1</sup>cym po trawie i powiedzia<sup>3</sup>a nie patrz<sup>1</sup>c na mnie:

— Naucz<sup>3</sup>am siê współczucia dla ubogich ludzi.

Ludzie maj<sup>1</sup> zaufanie do mnisiego kaptura — ci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a po chwili, wci<sup>1</sup>ż nie patrz<sup>1</sup>c na mnie. — Zwierzaj<sup>1</sup> siê ze swoich trosk i ze swojego strachu. Mówi<sup>1</sup> do mnie jak do równiej sobie. Nigdy przedtem tego nie przeżywa<sup>3</sup>am. Na co to wszystko, mówi<sup>1</sup>. Wojownicy su<sup>3</sup>tana s<sup>1</sup> nieprzeliczeni. Jego dzia<sup>3</sup>a mog<sup>1</sup> skruszyæ najgrubsze mury jednym strza<sup>3</sup>em. Cesarz Konstantyn jest odstêpc<sup>1</sup> i odda<sup>3</sup> siê we w<sup>3</sup>adzê papieżowi. Sprzeda<sup>3</sup> pierworództwo i swoje miasto <sup>3</sup>acinnikom za miskê soczewicy. Po co to wszystko? Su<sup>3</sup>tan nie zagraża naszej wierze. W jego miastach greckim kap<sup>3</sup>anom wolno opiekowaæ siê swoimi gminami. Zabrania tylko używania dzwonów kościelnych i ko<sup>3</sup>atek klasztornych. Pod opiek<sup>1</sup> su<sup>3</sup>tana wiara nasza by<sup>3</sup>aby zabezpieczona przed heretyckimi <sup>3</sup>acinnikami. Turcy nie niepokoj<sup>1</sup> biednych ludzi, dopóki pos<sup>3</sup>uszenie p<sup>3</sup>aci siê podatki, których ż<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>. A podatek, którego domaga siê su<sup>3</sup>tan, jest dużo mniejszy od cesarskiego. Dlaczego lud ma zgin<sup>1</sup>æ albo pój<sup>3</sup>æ w niewolê tylko dla korzyści cesarza i <sup>3</sup>acinników? Jedyne bogacze i wielmoże maj<sup>1</sup> powody baæ siê Turków. Tak otwarcie mówi wielu zmartwionych ludzi.

Wci<sup>1</sup>ż jeszcze nie patrzy<sup>3</sup>a na mnie. Zesztywnia<sup>3</sup>em. Czego w<sup>3</sup>aćciwie chcia<sup>3</sup>a ode mnie? Dlaczego mówi<sup>3</sup>a tak ze mn<sup>1</sup>?

— Czy rzeczywiście jest konieczne, by nasze miasto zosta<sup>3</sup>o zniszczone i spl<sup>1</sup>drowane albo też sta<sup>3</sup>o siê lennem <sup>3</sup>acinników? — zapyta<sup>3</sup>a. — Wszyscy ci mali ludzie pragn<sup>1</sup> tylko żyæ, pracowaæ w<sup>3</sup>asnymi rękami, wydawaæ dzieci na ówiat i zachowaæ swój<sup>1</sup> wiarê. Czyż jest w końcu sprawa tak wielka, by warto by<sup>3</sup>o dla niej umrzeæ? Oni maj<sup>1</sup> tylko to jedno życie. To jedno skromne ziemskie życie. — al mi ich.

— Mówisz jak kobieta — wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup>em.

Zesztywnia<sup>3</sup>a.

— Jestem kobiet<sup>1</sup>. Cóż w tym z<sup>3</sup>ego? — zapyta<sup>3</sup>a. — Kobieta też ma rozum i m<sup>1</sup>drocæ. By<sup>3</sup>y czasy, kiedy miastem tym rz<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>y kobiety. Zawsze by<sup>3</sup>y to czasy lepsze niż za rz<sup>1</sup>dów mêt<sup>1</sup>czyzn. Gdyby kobieta mog<sup>3</sup>a stanowiąc i dzieci, odes<sup>3</sup>alibyemy st<sup>1</sup>d <sup>3</sup>acinników z ich bronii i galerami i niechby sobie zabrali i cesarza.

— Raczej turban turecki niż mitra papieska, nieprawdaż? — zapyta<sup>3</sup>em drwi<sup>1</sup>co. — Mówisz językiem swojego ojca.

Spojrza<sup>3</sup>em na ni<sup>1</sup> i powzi<sup>13</sup>em straszliwe podejrzenie.

— Anno — powiedzia<sup>3</sup>em. — S<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>em, że ciê znam, ale może tak nie jest. Czy to prawda, że zosta<sup>3</sup>acæ w mieście bez wiedzy ojca? A może twój ojciec wie o tym? Czy możesz na to przysi<sup>1</sup>c?

— Obrażasz mnie! — wykrzyknê<sup>3</sup>a. — Czemuż mia<sup>3</sup>abym przysiêgæ? Czy moje s<sup>3</sup>owa nie wystarcz<sup>1</sup>? I jeżeli mówiê językiem mego ojca, to dlatego że zaczê<sup>3</sup>am go lepiej rozumieæ niż dawniej. Jest wiêkszym mêt<sup>1</sup>em stanu niż cesarz. Kocha swój lud bardziej niż ci, którzy dla sprawy

³acinników gotowi s¹ obróciæ miasto w ruinê i pozwoliæ narodowi zgin¹æ. Jest moim ojcem. Nikt inny nie odwa¿y³ siê przeciwstawiæ cesarzowi i g³oœno wykrzykn¹æ swego zdania w dniu, kiedy spotkalicemy siê po raz pierwszy. Pozwól mi byæ dumny z mego ojca.

Twarz jakby mi zdrêtwia³a, nawet wargi mia³em zimne i sztywne.

— To by³a nêdzna i tania demagogia — odrzek³em wolno. — Niegodne szukanie popularnoœci. Wcale siê nie przeciwstawia³. Przeciwnie, poszed³ z pr¹dem. Wygra³ chwilow¹ korzyœæ, ale poniós³ szkodê na duszy. Gdy¿ nie by³ to strza³ przypadkowy, lecz wyrozumo-wana próba podburzenia ludu.

Anna wpatrywa³a siê we mnie, jak gdyby nie wierz¹c w³asnym oczom.

— Czy¿ wiêc rzeczywiœcie jesteœ zwolennikiem unii? — zapyta³a. — Czy¿ wiêc jesteœ w sercu ³acinnikiem? A wiêc twoja grecka krew to k³amstwo?

— A gdyby tak by³o? — zapyta³em. — Kogo wybra³abyœ wtedy, swego ojca czy mnie?

Patrzy³a na mnie maj¹c policzki tak blade i k¹ciki ust tak œci¹gniête, ¿e zbrzyd³a w moich oczach. Przez moment zdawa³o mi siê, ¿e mnie uderzy. Ale opuœci³a rêkê i strzepnê³a ni¹ bezradnie:

— Nie wierzê ci. Nie jesteœ ³acinnikiem. Ale co w takim razie masz przeciwko memu ojcu?

Ca³e moje opanowanie znik³o zmiecione zazdrosnym pow¹tpiewaniem i wœciek³oœci¹.

— Czy to ty pytasz, czy te¿ on? — krzykn¹³em szorstko. — Czy to on pos³a³ ciê, ¿eby mnie wypróbowaæ, poniewa¿ sam nie zdo³a³ przeci¹gn¹æ mnie na swoj¹ stronê?

Anna poderwa³a siê i str¹ci³a gwa³townie kilka ÝdÝbe³ trawy z drogi, tak jakby chcia³a otrz¹sn¹æ siê ze mnie. Bliska by³a ³ez. Br¹zowa pogarda w jej oczach pali³a mi duszê.

— Tego nie przebaczê ci nigdy! — wykrzyknê³a i pobieg³a na oœlep, zapominaj¹c o sanda³ach: uderzy³a bos¹ stop¹ o kamieñ, potknê³a siê, upad³a i wybuchnê³a szlochem. Nie pobieg³em za ni¹. Nie czu³em ¿adnego wspó³czucia dla jej p³aczu. Nieufnoœæ wrza³a we mnie mêtnymi wirami i podchodzi³a mi do gard³a niczym ¿ó³æ. Mo¿e udawa³a. Mo¿e mia³a nadziejê, ¿e ust¹piê i ugnê siê, ¿eby osuszyæ jej oszukañcze ³zy.

Po chwili podnios³a siê z opuszczon¹ g³ow¹ i otar³a ³zy z twarzy rêkawem. Charykleja usiad³a i przygl¹da³a siê nam zdumiona.

— Zapomnia³am o sanda³ach — rzek³a Anna zgaszonym g³oœem i schyli³a siê po nie. Postawi³a na nich stopê. Jej stopy krwawi³y. Odwróci³em od nich wzrok.

— Poczekaj — powiedzia³em. — Musimy o tym pomówiæ obszerniej. Znasz mnie, ale nie wiesz o mnie wszystkiego i nigdy siê nie dowiesz. Mam prawo nie ufaæ ludziom, nawet tobie.

— Sama przecie¿ to sobie wybra³am — odpar³a z zaciœnietymi zêbami, usi³uj¹c wyrwaæ mi sanda³y. — Ja, g³upia, sama to sobie wybra³am. Wyobra¿a³am sobie, ¿e mnie kochasz.

Wzi<sup>13</sup>em jej g<sup>3</sup>owê w obie rêce i podnios<sup>3</sup>em si<sup>31</sup> ku sobie, mimo że siê opiera<sup>3</sup>a. By<sup>3</sup>a silniejsza, ni<sup>3</sup> s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>em, ale zmusi<sup>3</sup>em j<sup>1</sup>, aby odwróci<sup>3</sup>a do mnie twarz. Zamknê<sup>3</sup>a oczy, żeby mnie nie widzieæ. Tak gorzko nienawidzi<sup>3</sup>a mnie w tej chwili. Prawdopodobnie naplu<sup>3</sup>aby mi w twarz, gdyby nie by<sup>3</sup>a tak dobrze wychowana.

— Musimy to zbadaæ od podstaw — powtórzy<sup>3</sup>em. — Nie ufasz mi wiêc, Anno Notaras?

Syknê<sup>3</sup>a do mnie w swej bezsilnoœci. łzy pociek<sup>3</sup>y jej spod powiek i toczy<sup>3</sup>y siê wolno po policzkach. Ale zdo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>a powiedzieæ:

— Jak<sup>3</sup>e mog<sup>3</sup>abym tobie ufaæ, skoro ty mnie nie ufasz? Nigdy ciê o to nie podejrzewa<sup>3</sup>am.

— Dlaczego powiedzia<sup>3</sup>acê przed chwil<sup>1</sup> to, co powiedzia<sup>3</sup>acê? — odpar<sup>3</sup>em. — Mo<sup>3</sup>e nie mówi<sup>3</sup>acê za swego ojca. Cofam to i proszê ciê o wybaczenie. Ale czy w takim razie podejrzewasz w g<sup>3</sup>êbi serca, że mimo wszystko jestem na s<sup>3</sup>u<sup>3</sup>bie su<sup>3</sup>tana? Tak jak w to wierzy twój ojciec? Jak s<sup>1</sup>dz<sup>1</sup> wszyscy? Z wyj<sup>1</sup>tkiem Giustinianiego, który jest m<sup>1</sup>drzejszy od was wszystkich. Inaczej nie mówi<sup>3</sup>abyœ tego. Chcia<sup>3</sup>acê wystawiaæ mnie na próbê?

Zmiêk<sup>3</sup>a trochê.

— To, co powiedzia<sup>3</sup>am, by<sup>3</sup>o rozs<sup>1</sup>dne — odrzek<sup>3</sup>a. — Chcia<sup>3</sup>am uporz<sup>1</sup>dkowaæ w<sup>3</sup>asne myœli. Mo<sup>3</sup>e chcia<sup>3</sup>am te<sup>3</sup> dowiedzieæ siê, co ty myœlisz. Ale nie uczyni<sup>3</sup>am tego w <sup>3</sup>adnym z<sup>3</sup>ym zamiarze. Tak w ka<sup>3</sup>dym razie mówi<sup>1</sup> ludzie. Nie mo<sup>3</sup>esz tego zmieniaæ.

Puœci<sup>3</sup>em j<sup>1</sup>. <sup>1</sup>a<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>em swojej gwa<sup>3</sup>townoœci. Schyli<sup>3</sup>a siê po sanda<sup>3</sup>y.

— Temu gadaniu trzeba po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>yaæ kres — rzek<sup>3</sup>em gwa<sup>3</sup>townie. — Ten, kto tak mówi, jest zdrajc<sup>1</sup>, nawet jeœli czyni to nieœwiadomie. Przynosi to korzyœæ tylko su<sup>3</sup>tanowi. Nie zna on mi<sup>3</sup>osierdzia. Nie w<sup>1</sup>tpiê, że nie szczêdzi aluzji i obietnic, które ka<sup>3</sup>e rozg<sup>3</sup>aszaæ swoim wys<sup>3</sup>annikom. Ale nie zamierza dotrzymaæ wiêcej jak to, co odpowiada jego celom. Jedyne, co szanuje, to odwaga. Uleg<sup>3</sup>oœæ uwa<sup>3</sup>a tylko za tchórzostwo, a dla s<sup>3</sup>abych i tchórzliwych nie ma miejsca w jego pañstwie. Kto mówi o poddaniu albo pok<sup>3</sup>ada nadzieje w su<sup>3</sup>tanie, kopie sobie w<sup>3</sup>asny grób.

Czy<sup>3</sup> nie rozumiesz tego ukochana — wykrzykn<sup>13</sup>em potrz<sup>1</sup>saj<sup>1</sup>c ni<sup>1</sup> za ramiona — że on zamierza zrobiaæ z Konstantynopola swoj<sup>1</sup> stolicê, miasto tureckie, i przemieniaæ koœcio<sup>3</sup>y w meczety?! W jego Konstantynopolu nie ma miejsca dla Greków, chyba że dla niewolników. Dlatego musi on zniszczyæ greckie pañstwo do gruntu. Tego w<sup>3</sup>acenie chce. Niczym mniejszym siê nie zadowoli, bo i dlatego. Chce panowaæ i nad Wschodem, i nad Zachodem. Dlatego nie ma innego wyboru, jak biaæ siê, biaæ siê do ostatniej kropli krwi, biaæ siê nawet, jeœli nie ma <sup>3</sup>adnej nadziei. Je<sup>3</sup>eli tysi<sup>1</sup>cletnie królestwo ma zgin<sup>1</sup>æ, niech ginie przynajmniej z honorem. To jedyna prawda. By<sup>3</sup>oby lepiej, gdyby matki w tym mieœcie rozbija<sup>3</sup>y dzieciom g<sup>3</sup>owy o kamieñ, zamiast mówiæ o poddaniu. Ten, kto schyli g<sup>3</sup>owê

przed sułtanem, schyla się przed mieczem katowskim, czy jest bogaty, czy biedny. Wierz mi, ukochana, wierz mi. Znam sułtana Mehmeda. Dlatego wolę szukać śmierci u was, niż iść za nim. Nie chcę żyć dłużej niż grecki Konstantynopol.

Potrzebna gówno. Łzy gniewu i upokorzenia byszczą jeszcze w jej brązowych oczach. Policzki jej gorzą. Była jak młoda dziewczyna, która dostała nie zasłużone cięgi od nauczyciela.

— Wierz ci — rzekła. — Muszę ci chyba wierzyć. Ale nie rozumiem tego.

Wyciągnęła z wahaniem rękę. Daleko, w kierunku, który wskazywała, ponad bezkresnym morzem szarych i żółtych domów, majaczyła białym olbrzymia kopuła kościelna Młodości Bożej. Zatoczyła rękę wokół. Po drugiej stronie pola ruin widniały niezliczone inne kopuły kościelne nad morzem budynków. A tuż obok nas wznosił się stary oświetlony słońcem mur, złotobrzowy od starości, wyższy niż najwyższe domy kamienne, i ciągnął się na północ aż poza zasięg widzenia, przez wzgórza i doliny, zamykał olbrzymie miasto w swoim opiekuńczym objęciu.

— Nie rozumiem cię — powtarzała. — To miasto jest zbyt duże, zbyt stare, zbyt bogate, nawet w ubóstwie i upadku, by można je było zniszczyć i splądrować. Setki tysięcy ludzi mają tu swoje domostwa. Wszystkich nie można przeciężabić ani sprzedać jako niewolników. Konstantynopol jest zbyt duży, by można go było zapędzić Turkami. Przed stu, dwustu laty byli rozbójnikami i pastuchami. Potrzebują nas, żeby móc zbudować trwałe państwo. Sułtan jest człowiekiem oświeconym, który mówi po grecku i po łacinie, dlaczego miałoby nam żyć w Źle, jeżeli uda mu się zdobyć miasto? Tego nie rozumiem. Nie żyjemy już w czasach Czyngis-chana czy Tamerlana.

— Nie znasz Mehmeda. — Nie mogę inaczej odpowiedzieć, bez względu na to, jak mało przekonywająco to brzmi. — Czyta on wszystko o Aleksandrze Wielkim: greckich dziejopisów, arabskie baśnie. Węzeł gordyjski był zbyt zawiązany, by można go było rozwiązać. Konstantynopol jest węzeł gordyjskim Turków. Nierozwiązalny splot Wschodu i Zachodu, greckości i łacińskości, nienawiści i nieufności, tajnych i jawnych intryg, zamanych i dotrzymanyh układow, całej wieloletniej krótkiej polityki Bizancjum. Ten węzeł można rozwiązać tylko cięciem miecza. Nie ma winnych ani niewinnych. Jest tylko lud, który idzie pod miecz.

Pamiętam rozpalone oblicze Mehmeda i błysk w jego żółto mieniących się oczach, kiedy czytał greckie opowiadanie o wężu w Gordion i od czasu do czasu pytał mnie o jakieś słowo, którego nie rozumiał. Sułtan Murad żył wtedy jeszcze. Tęsty, melancholijny, obciążony od trunków człowieczek o sinych wargach i policzkach i ciężej zadyszce. Zmarł przy stole w czasie uczy wśród swoich drogich poetów i uczonych mężów. Był prawy i miłosierny i wybaczał nawet wrogom, gdy był zmęczony wojną. Zdobył Tessalonikę, był zmuszony oblegać Konstantynopol, zwyciężył pod Warną, ale sam nigdy nie chciał wojny. Wojna była dla niego odstraszająca. Ale na następcę tronu spodził bestię. W ostatnich latach życia sam był tego świadomy. Trudno mu było patrzeć synowi w oczy, tak obcy był dla niego Mehmed.

Jakże jednak mog³em by³ mówiaæ o tym wszystkim i wyt³umaczyæ to, w co sam wros³em mocno w ci¹gu siedmiu lat?

— Su³tan Murad nie wierzy³ we w³adzê — powiedzia³em. — W jego oczach w³adca by³ niczym wiêcej jak œlepcem wyznaczonym do prowadzenia innych œlepców. Instrumentem, œrodkiem dla narastaj¹cych si³ i nacisków, narzêdziem, które nie zdo³a ani pokierowaæ zdarzeniami, ani ich powstrzymaæ. Cieszy³ siê piêknem ¿ycia, kobietami, poezj¹ i winem. Na staroœæ zwyk³ by³ chodziæ z ró¿¹ w d³oni i g³ow¹ zamroczon¹ winem i nawet piêknoœæ stawa³a siê czcz¹ marnoœci¹ w jego oczach. Wierzy³, ¿e jest tylko py³em i prochem. Wierzy³, ¿e ca³y wszechœwiat jest tylko py³kiem kurzu w topieli pustki. Odprawia³ jednak mod³y, szanowa³ islam i jego nauczycieli, kaza³ budowaæ meczety i za³o¿y³ uniwersytet w Adrianopolu. Jego wspó³czesni patrzyli na niego jak na mê¿a pobo¿nego i budowniczego pañstwa. On sam jednak uœmiecha³ siê tylko melancholijnie, gdy ktos chwali³ jego politykê i zwyciêstwa.

Murad nie wierzy³ we w³adzê — powtórzy³em. — W jego oczach ¿ycie, nawet ¿ycie w³adcy, by³o tylko iskr¹, któr¹ wiatr niesie w ciemnoœæ i gasi. Ale Mehmed wierzy. Wierzy, ¿e swoj¹ wol¹ mo¿e panowaæ nad wydarzeniami. Ma wiêcej inteligencji i intuicji od Murada. Wie. Dla niego nie ma ani tego, co s³uszne, ani co nies³uszne, ani prawdy, ani k³amstwa. Gotów jest brodziæ w krwi ludzkiej, jeœli to sprzyja jego zamiarom.

Anna unios³a d³oñ.

— Co chcesz mi udowodniæ? — zapyta³a niecierpliwie.

— Ukochana — powiedzia³em — usi³ujê tylko w ubogich i niewystarczaj¹cych s³owach wyraziæ, ¿e kocham ciê nade wszystko na œwiecie. Kocham ciê rozpaczliwie i niepocieszenie. Jesteœ moj¹ Grecj¹. Jesteœ moim Konstantynopolem. W spe³nieniu siê czasów Konstantynopol musi ulec zag³adzie, podobnie jak twoje cia³o zostanie kiedyœ zniszczone, gdy przyjdzie twój czas. Dlatego mi³oœæ ziemska jest przera¿liwie smutna. Kiedy kochamy siê nawzajem, jesteœmy wiê¿niami czasu i przestrzeni w sposób bardziej gorzki ni¿ kiedykolwiek indziej. W tobie mieszka têsknota czasu, rozpaczliwa têsknota do wszystkiego, co doczesne, do trwania.

Ukochana — ci¹gn¹³em — kiedy widzê przed sob¹ twoj¹ twarz, trupia czaszka przeœwieca przez twoje policzki. Przez delikatn¹ skórkê widzê odznaczaj¹cy siê szkielet, tak jak wtedy, gdy w mi³oœci budzi³ mnie s³owik pod murem cmentarnym. Mi³oœæ jest powoln¹ œmierci¹. Kiedy ciê obejmujê, kiedy ca³ujê twe usta, ca³ujê œmieræ. Tak szaleñczo, tak straszliwie kocham ciebie.

Ale ona nie rozumia³a. Tote¿ powiedzia³em:

— Uderzy³aœ siê w stopê z mego powodu. Przysparzam ci tylko bólu i cierpienia. Pozwól mi dopomóc ci.

Podnios³em jej sanda³y. Opar³a siê na moim ramieniu i zaprowadzi³em j¹ opodal do wielkiej cysterny z wod¹. Trudno jej by³o iœæ, osty k³u³y miêkkie podeszwy jej stóp. Podpiera³em j¹ i chyli³a siê ku mnie. Jej cia³o ufa³o mi, choœ myœli krn¹brnie i dumnie wzburzy³y siê przeciwko mnie.

Usadowi<sup>3</sup>em j<sup>1</sup> na skraju cembrowiny i umy<sup>3</sup>em jej nogi. Zmy<sup>3</sup>em krew z jej poranionych stóp. Op<sup>3</sup>uka<sup>3</sup>em je. Aż nagle okropnie poblad<sup>3</sup>a, jak gdyby przeży<sup>13</sup> j<sup>1</sup> jakieś ból, i odsun<sup>3</sup>a się ode mnie.

— Nie rób tak — powiedzia<sup>3</sup>a. — Nie rób tak. Nie wytrzymam tego.

By<sup>3</sup>a w mojej nocy. Gdzieś w dali gra<sup>3</sup> jakieś pastuch na fujarce. Przenikliwy, cienki d<sup>3</sup>źwięk kraja<sup>3</sup> mi serce. S<sup>3</sup>ońce pali<sup>3</sup>o. Musn<sup>13</sup>em d<sup>3</sup>oni<sup>1</sup> jej bia<sup>31</sup> ydk<sup>3</sup>e. Jej skóra by<sup>3</sup>a żywa i ciep<sup>3</sup>a. Gdybym przycisn<sup>13</sup> j<sup>1</sup> do siebie i poca<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>, nie mog<sup>3</sup>aby się bronieć. Nawet gdyby chcia<sup>3</sup>a. Ale ona nie ba<sup>3</sup>a się mnie. Patrzy<sup>3</sup>a na mnie swym nagim br<sup>1</sup>zowym spojrzeniem.

— Wstań — powiedzia<sup>3</sup>em. — Oprzyj się o moje plecy, zawi<sup>1</sup>ż<sup>3</sup> ci sanda<sup>3</sup>y.

— Pali mnie twarz — rzek<sup>3</sup>a. — Cera mi szcerwienia<sup>3</sup>a, bo nie ukry<sup>3</sup>am twarzy przed tob<sup>1</sup>. Moje stopy poczerwienia<sup>3</sup>y, bo chodzi<sup>3</sup>am boszo bez wzgl<sup>3</sup>ędu na pogodę.

B<sup>3</sup>ogos<sup>3</sup>awi<sup>3</sup>e każdego dzień, który mi dany jest przeży<sup>3</sup>ać.

Gdy już posz<sup>3</sup>a, i dalej ćwiczyliśmy po po<sup>3</sup>udniu, daliśmy ognia z ciężkiego dzia<sup>3</sup>a na koronie muru. Giustiniani chcia<sup>3</sup> oswoić nieprzywyk<sup>3</sup>ych rekrutów z hukiem, b<sup>3</sup>yskiem i zapachem prochu, by zobaczyli, że strza<sup>3</sup> armatni jest bardziej przeraźliwy niż niebezpieczny. Jeden z techników cesarskich kaza<sup>3</sup> ustawić i umocować dzia<sup>3</sup>o na murze. Strza<sup>3</sup> zosta<sup>3</sup> też oddany wed<sup>3</sup>ług wszelkich obliczeń i dzia<sup>3</sup>o wyrzuci<sup>3</sup>o kulę kamienn<sup>1</sup> du<sup>1</sup> jak ludzka g<sup>3</sup>owa wysokim <sup>3</sup>ukiem ponad murem zewnętrznym i fos<sup>1</sup>, po drugiej stronie której kula upad<sup>3</sup>a tak, aż ziemia zadr<sup>3</sup>ała. Ale jeszcze mocniej zadr<sup>3</sup>ał wielki mur. Pojawi<sup>3</sup>a się w nim szczelina i posypa<sup>3</sup>y się na ziemię duże kamienie. Nikt nie zosta<sup>3</sup> zraniony, ale w jakieś sposób potwierdzi<sup>3</sup>o to przecie<sup>3</sup> opinię Giustinianiego, że wszelkie armaty s<sup>1</sup> niebezpieczniejsze dla tych, co ich używaj<sup>1</sup>, niż dla wroga. Mimo to wydarzenie owo wywar<sup>3</sup>o przygnębiaj<sup>1</sup>ce wrażenie. Mnisi i rzemieślnicy patrzyli na szczelinę w murze nie wierząc własnym oczom. Dowodzi<sup>3</sup>a ona, że przekonanie, jakoby mur by<sup>3</sup> nie do zdobycia, jest tylko z<sup>3</sup>udzeniem.

Za murami ca<sup>3</sup>a okolica jest pusta jak okiem sięgn<sup>1</sup>ać. Drzewa zwalono, żeby poprawić widoczność, i pniaki po cyprysach i platanach biel<sup>1</sup> się na br<sup>1</sup>zowej i zielonej ziemi. Nawet drzewa owocowe ościęto, a wszystkie domostwa zrównano z ziemi<sup>1</sup>, żeby nie zostawić oblegaj<sup>1</sup>cym os<sup>3</sup>ony ani drewna. Gdzieś daleko za horyzontem wznosi<sup>3</sup> się ku wiosennemu niebu czarny s<sup>3</sup>up dymu, jak z p<sup>3</sup>on<sup>1</sup>cego domu. Ale poza tym nie by<sup>3</sup>o widać ani znaku życia w pustym krajobrazie.

Mostu zwodzonego jeszcze nie zerwano. Kaza<sup>3</sup>em więc otworzyć częściowo zamurowan<sup>1</sup> bramę i wys<sup>3</sup>a<sup>3</sup>em kilku ludzi po kule armatnie. Nawet najbiedniejszy kamieniarz potrzebuje więcej niż dnia, by uformować twarde kamień w kulę takiej średnicy. Umieści<sup>3</sup>em <sup>3</sup>uczni<sup>3</sup>ków w wie<sup>3</sup>zy i za blankami zewnętrznego muru zupełnie tak, jakby chodzi<sup>3</sup>o tu o prawdziwy wypad. Wys<sup>3</sup>ani czuli się niepewnie i rozgl<sup>1</sup>dali się przestraszeni woko<sup>3</sup>o, gdy tylko znaleźli się poza os<sup>3</sup>on<sup>1</sup> murów. Ale szybko nabrali odwagi i wykopali kulę i przynieśli j<sup>1</sup> z sob<sup>1</sup> z powrotem.

Kilku z nich wyk<sup>1</sup>pa<sup>3</sup>o się dla och<sup>3</sup>ody w fosie wci<sup>1</sup>ż jeszcze świe<sup>3</sup>ej i czystej, gdy<sup>3</sup> dopiero

niedawno zosta<sup>3</sup>a wykopana i nape<sup>3</sup>niona wod<sup>1</sup>. Ma ona ponad trzydzieci kroków szerokości i tyleż g<sup>3</sup>ębokości. Nape<sup>3</sup>niono j<sup>1</sup> przez zręcznie wymurowane podziemne przewody wod<sup>1</sup> z morza i z wielkich cystern w różnych częściach miasta. Fosa przegradzona jest w wielu miejscach za pomocą tam, tak że nie może opróżnić się skutkiem up<sup>3</sup>ywu wody, i oddziela mury i miasto od l<sup>1</sup>du sta<sup>3</sup>ego niczym d<sup>3</sup>ugi rz<sup>1</sup>d sadzawek. Pod Blachernami kończy się, grunt spada tam zbyt stromo ku zatoce portowej. Zamiast tego mury i wieże s<sup>1</sup> tam potężniejsze, a budynki pa<sup>3</sup>acowe wchodzi<sup>1</sup> w skład fortyfikacji obronnych i tworzą jedn<sup>1</sup> ca<sup>3</sup>ość z twierdzą aż do samego brzegu.

Ale ten wielki mur p<sup>ê</sup>k<sup>3</sup> dzisiaj od jednego tylko wystrza<sup>3</sup>u oddanego z dzia<sup>3</sup>a na jego koronie.

*18 marca 1453*

Nie rozmawiamy już ze sobą o polityce. Zachowujemy swoje myśli dla siebie. Jej cia<sup>3</sup>o mi wierzy. Jej serce nie.

Uważa<sup>3</sup>em za swój obowiązek powiedzieć Giustinianiemu, co ludzie mówią. Nie poruszy<sup>3</sup>o go to wcale. Patrzy<sup>3</sup> na mnie jak na durnia.

— Naturalnie, żaden rozs<sup>1</sup>dny człowiek nie chce wojny — powiedział<sup>3</sup>. — To całkiem oczywiste, że kobiety chcą zachować swoich męż<sup>1</sup>czyzn, domy i dobytek. Gdybym ja sam był kupcem czy chłopem, snyderzem czy przedsiębiorcą jedwabiu, nie wszczyna<sup>3</sup>bym wojny za nic w świecie. Ale w rzeczywistości lud nie znaczy nic. Dziesięciu zakutych w żelazo męż<sup>1</sup>ów może utrzymać w ryzach tysiące ludzi. To pokazali nam już Rzymianie. Lud nie ma żadnego znaczenia. W razie potrzeby krzyczy to, czego został nauczony. Jest jak wó<sup>3</sup>, prowadzony do szlachtuza z zawi<sup>1</sup>zanymi oczami.

Pierwszą rzeczą, którą zrobi<sup>3</sup>em otrzymawszy bu<sup>3</sup>awę protostratora, było zwołanie zebrania i spisanie wszelkiej broni w mieście — ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>. — Konfiskata dotyczy<sup>3</sup>a w równiej mierze wysoko, jak i nisko postawionych. Synowie archontów musieli oddać inkrustowane kości<sup>1</sup> s<sup>3</sup>oniów<sup>1</sup> kusze, a rzeźnicy topory. Co dzień po ćwiczeniach zbiera się broń na nowo. Tylko strażnikom na posterunkach wolno zatrzymać uzbrojenie. Każdy inny może ćwiczyć tak<sup>1</sup> broni<sup>1</sup>, jak<sup>1</sup> zechce, ale nie wolno mu jej zabierać do domu. Nie uzbrojony lud nie jest niebezpieczny. Przyby<sup>3</sup>em do miasta, które kipia<sup>3</sup>o nienawiścią i niefornością do <sup>3</sup>acinników. Przemieni<sup>3</sup>em je w spokojne i mi<sup>3</sup>uj<sup>1</sup>ce porządek miasto, którego ludność pilnie ćwiczy się, by go bronić pod <sup>3</sup>acińskim przywództwem. Już to samo jest militarnym osiągnięciem, nieprawdaż? Nie, nie troszcz się o lud, Jeanie Ange. Będzie on bił się o swoje życie, a ja dopilnuję, by nikt nie miał czasu pomyśleć o zdradzie, gdy walka już się zacznie.

To nasi żeglarze, którzy tylko się wa<sup>3</sup>koni<sup>1</sup>, stanowią o wiele większe zagrożenie — ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>. — Ich samowola wyrządza szkody i drażni i <sup>3</sup>acinników, i Greków. — Rzuci<sup>3</sup> mi rozbawione spojrzenie i zatar<sup>3</sup> swoje duże <sup>3</sup>apska. — Kosztowa<sup>3</sup>o mnie wiele trudu namówienie cesarza, by zaprz<sup>1</sup>g<sup>3</sup> żeglarzy do roboty — mówi<sup>3</sup>. — Dlaczego mia<sup>3</sup>by najmować bezużytecznych ludzi za trzy tysiące dukatów miesięcznie? Grecy robotnicy chcą zap<sup>3</sup>aty za każdy kamień, który podnoszą na mury, i za

każdy koszt ziemi, który przenosi z miejsca na miejsce. Jest to całkiem słusze i naturalne. To biedni ludzie, którzy muszą wyżywiać siebie i swoje rodziny. Ale każda opata kosztuje cesarza pieniędzy, podczas gdy żeglarze dmuchają tylko we flety i biją w bębny i dzień w dzień hasają na swoich okrętach. Cesarz nie chce poróżniać się z weneckimi szypkami, a ci ze swej strony chronią swych ludzi przed wszelkim wysiłkiem, który nie służy samym okrętom. Teraz jednak wreszcie doprowadziłem do tego, że Aloisio Diego mianowany został głównodowodzącym floty.

Głównodowodzącym całej floty i portu — powtórzę z naciskiem nowinę. — A to oznacza, że jutro wczesnym rankiem wszystkie wielkie galery wpłyną do Złotego Rogu i zakotwiczą pod Blachernami, w Kynegionie. Tam leżą przygotowane opaty, kilofy i kosze na ziemię. I zadaniem zaś będzie wykopanie fosy od Bramy Drzewnej aż do wieży Anemasa, gdzie teren jest równy. Byłoby szaleństwem z naszej strony pozwolić Turkom tak blisko portu podczołgać się prawie aż do murów Blachern. Albo też kopać chodniki pod pałacem. Dowiedziawszy się, że sułtan posia nie tylko po serbskich jeźdźców, ale także po serbskich górników.

Bez wątpienia Giustiniani dostał także inne wiadomości o sułtanie, skoro jeszcze w ostatniej chwili uważa za konieczne rozpoczęcie tak olbrzymiej pracy jak wykopanie nowej fosy. Ale ja nie przywiązuję do tego zbyt wielkiej wagi. Najbardziej zaskakujące nowinę było, że Łukasz Notaras został pominięty w dowództwie. W gruncie rzeczy jest samo przez się zrozumiałe, że armatorzy i szypkami statków nie godzą się na greckie dowództwo. Ale dziwi mnie to, że cesarz wścieknie teraz walczyć się wyrzuci wielkiemu księciu tak krwawą obelgę.

— Łukasz Notaras tydzień po tygodniu czeka na próżno na naradę z tobą — powiedziałem. — Nie pytaj go o zdanie pominięte go teraz. Jak ośmiać to zrobić?

Giustiniani rozłożył ręce i wykrzyknął żywo:

— Przeciwnie, przeciwnie. To w pełnym porozumieniu z cesarzem Konstantynem jego doradcy i ja doszliśmy zgodnie do wniosku, że tak doświadczony i ważny strateg jak Łukasz Notaras powinien dostać godne siebie miejsce w obronie miasta. Cóż mógłby on zdziałać w czasie oblężenia ze swoimi żgnymi dromonami, skoro ścinnicy chcą sami dysponować flotą? Nie, Notaras dostał awans. Otrzymuje do obrony poważną część muru.

Nie wierzę uszom.

— Czyście poszaleli?! — wykrzyknęłam. — Dlaczego wiedziacie go na pokuszenie? To niesłusne i wobec niego, i wobec miasta. Wypowiedział się przecież otwarcie, że wolałby podlegać sułtanowi niż papieżowi.

Giustiniani śmiejąc się wesoło okiem na mnie i na moją wzburzoną minę.

— Nie możemy nic na to poradzić — rzekłam. — To całkiem dobrowolna i jednogłośnie decyzja. Łukasz Notaras otrzyma dowództwo nad więcej niż czwartą część muru miejskiego. Kimże jesteśmy, żebyśmy mieli kogoś odrzucać z powodu jego uczciwych przekonań! Wszelka wewnętrzna nieufność musi ustąpić. Podajemy mu braterską dłoń, żeby wspólnie, ramię przy ramieniu, bronił tego cudownego miasta.



— Czyœ pijany? — zapyta<sup>3</sup>em. — Czy cesarz Konstantyn straci<sup>3</sup> resztkê rozumu?

Giustiniani uda<sup>3</sup>, ¿e uciera <sup>3</sup>zê z k<sup>1</sup>cika oka. Trudno mu by<sup>3</sup>o opanowaæ siê.

— Po tym wywy¿szeniu bêdzie z pewnoœci<sup>1</sup> <sup>3</sup>atwiej megaduksowi łukaszowi Notarasowi prze<sup>3</sup>kn<sup>1</sup>æ utratê dromonów — ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> dalej wykrzywaj<sup>1</sup>c twarz. — Pierwszym krokiem Aloisia Diego w sprawie obrony portu bêdzie usuniêcie wszystkich ma<sup>3</sup>yich i z innych wzglêdów niezdatnych okrêtów. Dlatego te¿ galery cesarskie zostan<sup>1</sup> pozbawione takielunku i wyci<sup>1</sup>gniête na l<sup>1</sup>d. Za<sup>3</sup>oga ich bêdzie po¿<sup>1</sup>danym wzmocnieniem odcinka murów oddanego pod dowództwo Notarasa. Nie s<sup>1</sup>dzê bowiem, bym móg<sup>3</sup> wyzbyæ siê dla niego jakichœ innych oddzia<sup>3</sup>ów.

Nie niepokój siê — kontynuowa<sup>3</sup>. — Jest wiele innych statków, które zostan<sup>1</sup> zatopione albo osadzone na mieliŃnie przy brzegu. Gdyby mia<sup>3</sup>y one wyrwaæ siê z portu albo ulec po¿arowi w czasie walk, mog<sup>3</sup>yby uszkodziæ okrêty wojenne. A zatopione albo niezdatne do u¿ytku nie bêd<sup>1</sup> te¿ wodziæ nikogo na pokuszenie, zachêcaj<sup>1</sup>c do ucieczki z miasta, gdyby sprawy mia<sup>3</sup>y u<sup>3</sup>o¿yæ siê Ÿle. W ten sposób wychodzimy z wolna na czyste wody. Aloisio Diego to m<sup>1</sup>dry ch<sup>3</sup>op, choæ to Wenecjanin.

— Ale¿ toaczy pchn<sup>1</sup>æ megaduksa prosto w ramiona su<sup>3</sup>tana — powiedzia<sup>3</sup>em. — Zwabicie go na drogê, na któr<sup>1</sup> mo¿e mimo wszystko jako Grek i patriota waha<sup>3</sup>by siê wkroczyæ. Odbieracie mu port i okrêty, które wystawi<sup>3</sup> w<sup>3</sup>asnym kosztem. Wprowadzacie ju¿ rozgoryczonego cz<sup>3</sup>owieka w jeszcze wiêksze rozgoryczenie. Nie rozumiem cesarza i twojej polityki.

— Wcale nie zabieramy mu portu — broni<sup>3</sup> siê Giustiniani udaj<sup>1</sup>c niewinnoœæ.—Przeciwnie, bêdzie broni<sup>3</sup> w<sup>3</sup>acenie muru portowego. Od koncesji weneckiej a¿ do Blachern, ca<sup>3</sup>ego wewnêtrznego muru. Co najmniej piêæ tysiêcy kroków. Ja sam zadowolê siê ca<sup>3</sup>kiem skromnie mo¿e tysi<sup>1</sup>cem kroków muru l<sup>1</sup>dowego.

Nie musia<sup>3</sup>em patrzeæ na mapê, by zrozumieæ, co mia<sup>3</sup> na myœli. Gdyby <sup>3</sup>aciñskie okrêty broni<sup>3</sup>y wejœcia do portu, ¿aden atak nie móg<sup>3</sup>by zagroziæ murowi portowemu wzd<sup>3</sup>u¿ Z<sup>3</sup>otego Rogu. Ca<sup>3</sup>ego tego d<sup>3</sup>ugiego odcinka mog<sup>3</sup>a strzec garœæ wartowników, którzy by nadzorowali ruch w porcie. Ta czêœæ muru by<sup>3</sup>aby najbezpieczniejsza w czasie oblê¿enia, chyba ¿e Turcy mieliby skrzyd<sup>3</sup>a. Dowództwo nad ni<sup>1</sup> by<sup>3</sup>o bez znaczenia.

Kiedy wreszcie zrozumia<sup>3</sup>em sens tego wszystkiego, Giustiniani wybuch<sup>3</sup> donocnym œmiechem, skrêca<sup>3</sup> siê i stêka<sup>3</sup>, i bi<sup>3</sup> siê obiema piêœciami po kolanach.

Rozumiesz teraz — wyj<sup>1</sup>ka<sup>3</sup> ocieraj<sup>1</sup>c <sup>3</sup>zy. — To ogromna czêœæ fortyfikacji obronnych. O ile wiêksza ni¿ ktokolwiek inny mo¿e dostaæ pod swoje dowództwo. Notaras zmuszony jest robiæ dobr<sup>1</sup> minê, choæby nawet w g<sup>3</sup>êbi duszy zdawa<sup>3</sup> sobie sprawê, o co tu chodzi. I naturalnie on to rozumie. Nie jest przecie¿ g<sup>3</sup>upi.

— Okazujecie mu najwiêksz<sup>1</sup> nieufnoœæ pod pozorami honorowego wyró¿nienia — powiedzia<sup>3</sup>em. — Mo¿e to i m<sup>1</sup>drze. Byæ mo¿e! Giustiniani przesta<sup>3</sup> siê œmiaæ i spojrz<sup>3</sup> na mnie pytaj<sup>1</sup>co.

— Pozbawiamy Notarasa możliwości zdrady — rzek<sup>3</sup> poważnie.

— Kiedy oblężenie już się zacznie, będzie on przywi<sup>1</sup>zany do swego odcinka muru i nie może nam zadać ciosu sztyłem w plecy, nawet gdyby zechcia<sup>3</sup>. Dlaczego nie jesteście zadowoleny? Przecież ty sam ostrzeg<sup>3</sup>oś mnie przed Notaraszem?

Wed<sup>3</sup>ug wszelkiego rozumowania mia<sup>3</sup> s<sup>3</sup>usznoc<sup>æ</sup>. Wed<sup>3</sup>ug wszelkiego rozumowania znalaz<sup>3</sup> najdelikatniejszy sposób unieszkodliwienia Notarasa. Dlaczego więc mimo wszystko nie jestem zadowolony?

*19 marca 1453*

Wp<sup>3</sup>yn<sup>é</sup>3y więc wielkie galery do portu Kynegion z powiewaj<sup>1</sup>cymi proporczykami, rykiem rogów i <sup>3</sup>omotem bębnow. Węglarze i żo<sup>3</sup>nierze okrętowi zeszli na l<sup>1</sup>d w dobrym szyku, dostali kilofy, <sup>3</sup>opaty i kosze i w zwartych oddzia<sup>3</sup>ach wymaszerowali pod w<sup>3</sup>asnymi banderami przed mur ko<sup>3</sup>o pa<sup>3</sup>acu Hebdomona. Tam czeka<sup>3</sup> na nich cesarz, na koniu, odziany z z<sup>3</sup>oto i purpurê, i przywita<sup>3</sup> ich.

Trasa, ponad dwieście kroków, by<sup>3</sup>a z góry odmierzona i szyprowie wbili sztandary w ziemię w wyznaczonych miejscach. Fosa mia<sup>3</sup>a mieć osiem stóp g<sup>3</sup>ębokości, nie by<sup>3</sup>a to więc zbyt wielka robota dla blisko dwóch tysięcy ludzi. Na znak cesarza s<sup>3</sup>udzy wybili dna z dziesiętków beczek i każdy móg<sup>3</sup> przyjąć i wzi<sup>1</sup>ąć sobie miarkę wina. Nic zatem dziwnego, że ludzie przyst<sup>1</sup>pili do pracy opiekuj<sup>1</sup>c i zaczęli współzawodniczyć ze sob<sup>1</sup> w kopaniu i nape<sup>3</sup>nianiu ziemi<sup>1</sup> koszy, które inni znów zabierali i biegiem odnosili, by wzmocnić mur zewnętrzny. Zrobi<sup>3</sup> się ruch i ożywienie i zebra<sup>3</sup>o się dużo ludności, by się przygl<sup>1</sup>dać. Obecność cesarza zachęci<sup>3</sup>a szyprow, szturmanów i w<sup>3</sup>ościcieli statków, tak że osobiście brali udział<sup>3</sup> w pracach.

O zachodzie s<sup>3</sup>ońca wszystko by<sup>3</sup>o prawie gotowe i tylko niewielkie pasmo l<sup>1</sup>du dzieli<sup>3</sup>o fosę od wody. Co prawda nie może ona mierzyć się z wielk<sup>1</sup> fos<sup>1</sup>, której grube ściany s<sup>1</sup> obmurowane ceg<sup>3</sup><sup>1</sup>, ale i tu boki mają<sup>1</sup> być wzmocnione palami i kamieniami, żeby woda ich nie podmy<sup>3</sup>a.

*25 marca 1453*

Dwie doby temu su<sup>3</sup>tan wyruszy<sup>3</sup> z Adrianiopola. Teraz jest to już tylko kwestia dni.

Anna Notaras powiedzia<sup>3</sup>a do mnie:

— Tak dalej byæ nie mo¿e.

Nie spieramy siê ju¿. Zbyt ciê¿kie chmury zebra<sup>3</sup>y siê nad naszymi g<sup>3</sup>owami. Oczekiwanie d<sup>3</sup>awi ka¿dego i ci<sup>1</sup>¿y na sercu jak kamieñ. W ten sposób czeka<sup>3</sup>em raz na kata przykuty do kamiennego muru. Ale wtedy nie mia<sup>3</sup>em nic do stracenia i nic do op<sup>3</sup>akiwania. Teraz mia<sup>3</sup>bym straciæ Annê.

— Tak, to prawda — przyzna<sup>3</sup>em. — Ktoœ siê wreszcie zacznie zastanawiaæ. Mog<sup>1</sup> ciê rozpoznaæ. Ulica ma oczy, a kolumny uszy. Twój ojciec ka¿e zabraæ ciê z powrotem do domu.

— Ojca siê nie bojê — odrzek<sup>3</sup>a. — Chroni mnie moja suknia mniszki. Nie, nie o tym myœla<sup>3</sup>am.

Spacerowalioemy po przył<sup>1</sup>dku, w cieniu platanów Akropolu, i odpoczywalioemy na s<sup>3</sup>oñcu wyci<sup>1</sup>gniêci na po¿ó<sup>3</sup>k<sup>3</sup>ych marmurowych schodach. Jaszczurka przebieg<sup>3</sup>a po kamieniach. Morze Marmara b<sup>3</sup>yszcza<sup>3</sup>o jak srebro. Bosfor otwiera<sup>3</sup> siê przed nami jak ciemnoniebieska wstêga miêdzy pokrytymi wiosenn<sup>1</sup> zieleni<sup>1</sup> wzgórzami. Po drugiej stronie portu wznosi<sup>3</sup>y siê mury Pery. Na wie¿y powiewa<sup>3</sup>a flaga genueñska z krzy¿em.

Charykleja nie dotrzymywa<sup>3</sup>a nam towarzystwa. Pra<sup>3</sup>a odzie¿ i zabawia<sup>3</sup>a Manuela strumieniem pobo¿nych legend o œwiêtych. Du¿o wina sz<sup>3</sup>o w moim domu w tych dniach. Ale Anna i ja nie czulioemy siê ju¿ dobrze w mej izbie. Niepokój wypêdza<sup>3</sup> nas pod go<sup>3</sup>e niebo. Ufaliemo szczêœciu. Tak <sup>3</sup>atwo mog<sup>3</sup>a przecie¿ zostaæ rozpoznana.

— Nie, to nie o tym myœla<sup>3</sup>am — powtórzy<sup>3</sup>a. — Rozumiesz dobrze, co mam na myœli.

S<sup>3</sup>oñce spali<sup>3</sup>o jej czo<sup>3</sup>o na czerwono. Przeci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a opalone na br<sup>1</sup>z ramiona i przebiera<sup>3</sup>a palcami nóg w trawie. Jej policzki p<sup>3</sup>onê<sup>3</sup>y, a usta ucemiecha<sup>3</sup>y siê. Ale jej br<sup>1</sup>zowe oczy by<sup>3</sup>y smutne.

— Moja szata mniszki jest przecie¿ przebraniem — powiedzia<sup>3</sup>a. — Nie jestem ¿adn<sup>1</sup> mniszk<sup>1</sup>. Teraz kiedy porzuci<sup>3</sup>am mój dom, obyczaje, rodzinê, wychowanie, jestem zdrowsza i szczêœliwsza ni¿ kiedykolwiek przedtem. Jedzenie smakuje mi lepiej. Nigdy nie czu<sup>3</sup>am tak rozkosznie wiatru w p<sup>3</sup>ucach. — yjê. Istniejê. Posiadam cia<sup>3</sup>o. Wype<sup>3</sup>nia mnie jego niepokój.

— Szanowa<sup>3</sup>em twoj<sup>1</sup> sukniê — b<sup>1</sup>kn<sup>13</sup>em sztywno.

— A¿ nadto — rzek<sup>3</sup>a z wyrzutem. — Szanowa<sup>3</sup>eœe moj<sup>1</sup> sukienkê a¿ za bardzo. Boisz siê pope<sup>3</sup>niaæ œwiêtokradztwo. Nie œmiesz mnie dotkn<sup>1</sup>æ.

— Wystarczy mi to, co jest — odpar<sup>3</sup>em. — Jesteœmy ze sob<sup>1</sup>. Mam czterdzieœci lat. Kocham

ciê. Nie ma mi<sup>3</sup>oœci bez po<sup>1</sup>dan<sup>1</sup>a. Ale moje po<sup>1</sup>dan<sup>1</sup>e jest jak jasny, czysty p<sup>3</sup>omieñ. Nie muszê ciê dotykaæ.

Miê<sup>3</sup>a swój rêkaw.

— Nie ma mi<sup>3</sup>oœci bez po<sup>1</sup>dan<sup>1</sup>a. Mo<sup>3</sup>e masz s<sup>3</sup>usznocæ. Mo<sup>3</sup>e to niewarte zachodu. Ale moje bezwstydn<sup>3</sup>e cia<sup>3</sup>o wmawia mi, <sup>3</sup>e jednak warte. Kiedy k<sup>3</sup>adziesz d<sup>3</sup>oñ na moim kolanie, dr<sup>3</sup>ê na ca<sup>3</sup>ym ciele. Dlaczego teraz ju<sup>3</sup> tego nie robisz?

— Nie jestem anio<sup>3</sup>em — rzek<sup>3</sup>em. — Nie wierz w to.

— Twoje opanowanie jest bardzo silne — odpar<sup>3</sup>a. — A wiêc ju<sup>3</sup> na ciebie nie dzia<sup>3</sup>am?

Unios<sup>3</sup>a nogê i pog<sup>3</sup>adzi<sup>3</sup>a, jakby dotykaj<sup>1</sup>c drogiej tkaniny, go<sup>3</sup>e kolano, przypatruj<sup>1</sup>c mi siê przy tym spod opuszczonych powiek. Ale gdybym jej by<sup>3</sup> dotkn<sup>13</sup>, wyrwa<sup>3</sup>aby mi siê. Wiedzia<sup>3</sup>em. Mówi<sup>3</sup>a tak tylko po to, by mnie drêczyæ.

— Pope<sup>3</sup>ni<sup>3</sup>am wielki grzech, kiedy zawiod<sup>3</sup>am zaufanie ojca — ci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a. — S<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>am, <sup>3</sup>e zdo<sup>3</sup>am to odkupiaæ przywdziewaj<sup>1</sup>c strój mniszki i uczestnicz<sup>1</sup>c w mod<sup>3</sup>ach w klasztorze. Nie zamierza<sup>3</sup>am spotkaæ siê z tob<sup>1</sup>. Œudzi<sup>3</sup>am siê, <sup>3</sup>e po jakimœ czasie dam sobie ostrzyc w<sup>3</sup>osy i przyoblekê welon. Powiedz mi, ukochany, czy ludzie zawsze k<sup>3</sup>ami<sup>1</sup> przed sob<sup>1</sup>, <sup>3</sup>eby uzyskaæ to, czego pragn<sup>1</sup>.

— Cz<sup>3</sup>owiek jest niepoprawnym k<sup>3</sup>amc<sup>1</sup> — powiedzia<sup>3</sup>em. — Wierzy w to, na co ma nadziejê, i uwa<sup>3</sup>a za s<sup>3</sup>uszne to, czego pragnie. Ale w sercu nie mo<sup>3</sup>e jednak oszukaæ siebie samego.

— Johannesie Angelosie — rzek<sup>3</sup>a z namys<sup>3</sup>em. — Uwaga<sup>3</sup>am, <sup>3</sup>e by<sup>3</sup>oby najlepiej dla nas obojga, gdybyœ chcia<sup>3</sup> siê ze mn<sup>1</sup> o<sup>3</sup>lenia.

— Po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup>a mi d<sup>3</sup>oñ na ustach, <sup>3</sup>ebym nie móg<sup>3</sup> mówiaæ. — Wprawdzie koœció<sup>3</sup> <sup>3</sup>aciñski udzieli<sup>3</sup> ci sakramentu œlubu, a <sup>3</sup>ona twoja <sup>3</sup>yje, ale to nic nie znaczy. Jeœli zechcesz wyrzec siê herezji i wyg<sup>3</sup>osiæ jedyne prawdziwe wyznanie wiary, mo<sup>3</sup>esz otrzymaæ chrzest na nowo. Jest mnóstwo kap<sup>3</sup>anów, którzy chêtnie uznaliby twoje poprzednie ma<sup>3</sup>œeñstwo za niewa<sup>3</sup>ne i daliby ci œlub choæby po to, by podra<sup>3</sup>niaæ <sup>3</sup>acinników.

— I jakie<sup>3</sup> mia<sup>3</sup>oby to wtedy znaczenie? — zapyta<sup>3</sup>em. — W sercu jestem poœlubiony pani Ghicie. Nie chcê z<sup>3</sup>amaæ sakramentu. Mego serca nawet sam papie<sup>3</sup> nie mo<sup>3</sup>e zwolniaæ z ma<sup>3</sup>œeñstwa, skoro kiedyœ zawar<sup>3</sup>em je z wolnej woli.

Anna patrzy<sup>3</sup>a na mnie spod spuszczonej rzês z nienawicci<sup>1</sup> we wzroku.

— Wiêc ona znaczy dla ciebie wiêcej ni<sup>3</sup> ja — powiedzia<sup>3</sup>a. — Có<sup>3</sup> mogê poradziæ na to, <sup>3</sup>e przetrwoni<sup>3</sup>œe <sup>3</sup>ycie w ramionach innej kobiety i <sup>3</sup>e ci siê to sprzykrzy<sup>3</sup>o. Nie potrafisz siê nawet œmiaæ. Nie, nie umiesz siê œmiaæ. Gdybyœ umia<sup>3</sup>, o<sup>3</sup>eni<sup>3</sup>byœ siê ze mn<sup>1</sup>. Dlaczego nie chcesz mi daæ spokoju sumienia? Sam nie masz przecie<sup>3</sup> nigdy spokojnego sumienia bez wzglêdu na to, co robisz.

— Nie mia<sup>3</sup>abyœ wcale spokoju sumienia — odpar<sup>3</sup>em. — Ma<sup>3</sup>œni<sup>3</sup>stwo bez zgody twego opiekuna, pod fa<sup>3</sup>szywym albo niepe<sup>3</sup>nym nazwiskiem, nie mia<sup>3</sup>oby ¼adnego znaczenia. Zarówno przed œwieckim, jak i przed koœcielnym trybuna<sup>3</sup>em mog<sup>3</sup>oby w ka<sup>3</sup>dej chwili zostaæ uniewa<sup>3</sup>nione.

— Uniewa<sup>3</sup>nione, tak — odpar<sup>3</sup>a — ale by<sup>3</sup>by to spór prawny. A nie zbrodnia. Dlaczego nie moglibyœmy zawrzeæ ma<sup>3</sup>œni<sup>3</sup>stwa w dobrej wierze, choæby nawet potajemnie. Mog<sup>3</sup>abym wtedy przenieœæ siê do ciebie do domu. Rankami budzi<sup>3</sup>abym siê naga pod t<sup>1</sup> sam<sup>1</sup> ko<sup>3</sup>dr<sup>1</sup>, co ty. Czy nie warto, ¼ebyœ dla tego nagi<sup>13</sup> trochê twoje sztywne sumienie.

Wpatrywa<sup>3</sup>em siê w ni<sup>1</sup>.

— Jesteœ moim grzechem — rzek<sup>3</sup>em. — Mój grzech stanie siê tylko wiêkszy, jeœli z<sup>3</sup>amiê dla ciebie œwiêty sakrament. W sercu pope<sup>3</sup>niam cudzo<sup>3</sup>óstwo, gdy tylko patrzê ci w oczy albo dotykam twojej d<sup>3</sup>oni. Ju<sup>3</sup> kiedy zobaczy<sup>3</sup>em twoje oczy po raz pierwszy, pozna<sup>3</sup>em ciê i serce otwar<sup>3</sup>o mi siê dla grzechu. Dlaczego nie chcesz mnie zrozumieæ?

— Dlaczego nie mo<sup>3</sup>esz byæ tylko cz<sup>3</sup>owiekiem i potargowaæ siê trochê ze swoim sumieniem? — nie ustêpowa<sup>3</sup>a. Ale równoczenie czerwieni<sup>3</sup>a siê coraz silniej i silniej. Rumieniec rozszerz<sup>3</sup> siê na ca<sup>31</sup> jej szyjê.

— Kocham ciê za ka<sup>3</sup>dym razem, kiedy patrzê na ciebie — wyzna<sup>3</sup>a. — Chyba tak jest. W sercu moim zgrzeszy<sup>3</sup>am ju<sup>3</sup> z tob<sup>1</sup>, jakkolwiek wed<sup>3</sup>ug œwieckiego prawa jeszcze nie robi<sup>3</sup>am nic z<sup>3</sup>ego. Czy nie rozumiesz, ¼e chcê zabezpieczyæ ciebie i siebie, tak ¼eby nikt nie móg<sup>3</sup> nas oskar<sup>3</sup>yaæ przed prawem, gdyby dosz<sup>3</sup>o do czegoe miêdzy nami?

— Bóg niech bêdzie nam mi<sup>3</sup>oœciwy! — wykrzykn<sup>13</sup>em. — Jeœli pójdziemy z sob<sup>1</sup> do <sup>3</sup>o<sup>3</sup>a, grzech nasz nie bêdzie chyba ani wiêkszy, ani mniejszy od tego, ¼e koœció<sup>3</sup> pob<sup>3</sup>ogos<sup>3</sup>awi nasz zwi<sup>1</sup>zek. To sprawa miêdzy tob<sup>1</sup> i mn<sup>1</sup>. Tylko wobec siebie nawzajem jesteœmy odpowiedzialni. Ale czy choæ jeden raz próbowa<sup>3</sup>em zwabiaæ ciê do <sup>3</sup>o<sup>3</sup>a? Przynajmniej za to nie mo<sup>3</sup>esz mnie obarczaæ win<sup>1</sup>.

— Oczywiście, ¼eœ próbowa<sup>3</sup>. Oczywiście. D<sup>3</sup>oñmi. A zreszt<sup>1</sup> ta sprzeczka jest g<sup>3</sup>upia i niepotrzebna, gdy<sup>3</sup> mówimy o ró<sup>3</sup>nych rzeczach. Ty wsiadasz zaraz na wielkiego konia, jak wszyscy mê<sup>3</sup>czyŹni, i mówisz o zasadach, podczas gdy ja, jako praktyczna kobieta, mówiê o tym, jak najlepiej mo<sup>3</sup>na by tê sprawê za<sup>3</sup>atwiaæ bez naruszenia moralnoœci i dobrych obyczajów bardziej, ni<sup>3</sup> to konieczne.

Wpatrywa<sup>3</sup>em siê w ni<sup>1</sup> zdumiony.

— Uwa<sup>3</sup>asz wiêc poza tym sprawê za rozstrzygniê<sup>1</sup>?

— Naturalnie — odpar<sup>3</sup>a zezuj<sup>1</sup>c na mnie przez rzêsy, jakby delectowa<sup>3</sup>a siê moim wzburzeniem.

— W takim razie — rzek<sup>3</sup>em — co nas u diab<sup>3</sup>a obchodz<sup>1</sup> moralnoœæ i dobre obyczaje. Jesteœmy przecie¿ doros<sup>3</sup>ymi ludŸmi. Wnet Turcy stan<sup>1</sup> pod bram<sup>1</sup> miasta. Potem zagrzm<sup>1</sup> dzia<sup>3</sup>a. Potem przyjdzie strach i œmieræ. To chyba obojêtnoœæ, czy bêdziemy formalnie poœlubieni, czy nie, kiedy spotka nas œmieræ.

— Dziêkujê, mój ukochany, dziêkujê — odpar<sup>3</sup>a z udan<sup>1</sup> radoœci<sup>1</sup>. — Jeœli to dla ciebie obojêtnoœæ, w takim razie ja jako kobieta wybieram naturalnie ma<sup>3</sup>¿eñstwo.

Siêgn<sup>13</sup>em po ni<sup>1</sup>, ale rzuci<sup>3</sup>a siê w bok i poci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a mnie za sob<sup>1</sup> w trawê. Jej oczy ucemiecha<sup>3</sup>y siê drwi<sup>1</sup>co. Œmia<sup>3</sup>a siê g<sup>3</sup>oœno, opieraj<sup>1</sup>c mi siê ze wszystkich si<sup>3</sup>. A kiedy przygniot<sup>3</sup>em j<sup>1</sup> do ziemi, napiê<sup>3</sup>a ca<sup>3</sup>e cia<sup>3</sup>o, przycisnê<sup>3</sup>a d<sup>3</sup>onie do mojej piersi i szept<sup>3</sup>a z zamkniêtymi oczyma:

— Nie, Johannesie Angelosie, nigdy w ¿yciu. Gwa<sup>3</sup>tem nie dostaniesz mnie nigdy. Nie prêdziej, nim odrzucisz sw<sup>1</sup> <sup>3</sup>aciñsk<sup>1</sup> herezjê i pob<sup>3</sup>ogos<sup>3</sup>awi nas grecki kap<sup>3</sup>an.

Nasze zapasy by<sup>3</sup>y podniecaj<sup>1</sup>ce i rozkoszne. A¿ nagle zeszywnia<sup>3</sup>a i zblad<sup>3</sup>a, otwar<sup>3</sup>a oczy i wpatrzy<sup>3</sup>a siê we mnie rozszerzonymi czarnymi Ÿrenicami. Naraz wbi<sup>3</sup>a zêby w moje ramiê i ugryz<sup>3</sup>a mnie z ca<sup>3</sup>ej si<sup>3</sup>y, jak gdyby chcia<sup>3</sup>a wyrwaæ kawa<sup>3</sup> cia<sup>3</sup>a. Krzykn<sup>13</sup>em z bólu i puœci<sup>3</sup>em j<sup>1</sup>.

— Masz — wymamrota<sup>3</sup>a. — Teraz mi wierzysz. Chcesz mnie drêczyæ?

Usiad<sup>3</sup>a, przyg<sup>3</sup>adzi<sup>3</sup>a w<sup>3</sup>osy i siedzia<sup>3</sup>a spokojnie z d<sup>3</sup>oñmi przycieniêtymi do policzków.

— Czy to ja — mruczy<sup>3</sup>a wpatruj<sup>1</sup>c siê przed siebie — czy to ja jestem Ann<sup>1</sup> Notaras? Ja, co tarzam siê w trawie pod <sup>3</sup>acinnikiem jak dziewczka z tawerny w stajni. Nigdy, nigdy bym tego o sobie nie pomyœla<sup>3</sup>a.

Potrz<sup>1</sup>snê<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>. Nagle uderzy<sup>3</sup>a mnie w twarz i szybko siê poderwa<sup>3</sup>a. Zrozumia<sup>3</sup>em j<sup>1</sup>. Wina by<sup>3</sup>a po mojej stronie.

— Nigdy, nigdy wiêcej nie chcê ciê ogl<sup>1</sup>daæ — powiedzia<sup>3</sup>a przez zaciœniête zêby. — Nienawidzê ciê bardziej ni¿ czegokolwiek na œwiecie. Nienawidzê twoich oczu i twoich ust, i twoich d<sup>3</sup>oni. Ale najbardziej nienawidzê twego sumienia. I tego jasnego p<sup>3</sup>omienia. Jak mo¿esz pozwoliæ sobie na to, by pleœæ takie bzdury.

Poprawi<sup>3</sup>em na sobie odzie¿. Milcza<sup>3</sup>em.

— Masz s<sup>3</sup>uszoœæ, Anno — powiedzia<sup>3</sup>em w koñcu. — Tak dalej byæ nie mo¿e.

Czy napisa<sup>3</sup>em, ¿e ju¿ siê wiêcej nie k<sup>3</sup>ócimy?

Ostatni dzień w tym miesi<sup>1</sup>cu. Niebawem wszystko przeminie.

Cesarz nie waży się czekać d<sup>3</sup>użej. Dzieć żeglarze wykopali ostami kawa<sup>3</sup>ek fosy i nape<sup>3</sup>nili ją wod<sup>1</sup>. Może prowizoryczna obudowa z pali i kamieni wytrzyma tak d<sup>3</sup>ugo, jak będzie potrzeba.

W trakcie roboty żeglarze zerkali często w stronę wzgórza. Nie było już s<sup>3</sup>ychać fletów ani bębnow i nawet flag nie było. Cesarz miał na sobie srebrny he<sup>3</sup>m i pancerz i wjecha<sup>3</sup> sam na jedno ze wzgórz razem z oddziałem strażniczym. Ale Turków nie było widać. Ich wojsko jest wielkie i porusza się powoli.

Wenecjanie ze swój<sup>1</sup> dwunastoosobow<sup>1</sup> rad<sup>1</sup> na czele wkroczyli dzień do pa<sup>3</sup>acu cesarskiego. Cesarz powierzył im obronę czterech bram Blachern i oddał im klucze. Sam odpowiada nominalnie za bramę św. Romana. W rzeczywistości broni i jej, i doliny rzeki Lykos aż do bramy Charisiosa Giustiniani. Od dzień panuje pełne pogotowie, a warty zostały wielokrotnie wzmocnione. Mimo to większą za<sup>3</sup>ogi mieszka jeszcze w kwaterach wewnątrz miasta.

Po naszym ostatnim spotkaniu Anna Notaras nie opuszcza<sup>3</sup>a klasztoru przez trzy dni. Nie wiem, czy to mnie, czy siebie chcia<sup>3</sup>a ukarać. Trzeciego dnia przyszła sama Charykleja ze swoim drewnianym talerzykiem, usiadła swobodnie przy stole w kuchni i zaczęła ż<sup>3</sup>alenie narzekać na kapryśność m<sup>3</sup>odych kobiet. Manuel przyniósł jej jedzenie z tawerny naprzeciwko i po d<sup>3</sup>uższym certowaniu się zjadła je z apetytem. Wyglądało to tak, jakby uważała, że nadużywa naszej gościnności, jeżeli jest bez Anny. Dlatego osobiście nale<sup>3</sup>em jej winą, aby pokazać, że jest mile widziana nawet sama. Wzbraniała się przerażona, przelegnęła się znakiem krzyża i wypięła trzy duże puchary.

— Siostra Anna modli się o wskazanie jej drogi — wyznała. — Siostra Anna boi się pokusy w twoim domu.

— Ten, kto się boi pokusy, już się jej podda<sup>3</sup> — odpar<sup>3</sup>em.

— Bardzo mi przykro to s<sup>3</sup>yszeć, siostrze Charyklejo. Pozdrów ją i powiedz, że w żaden sposób nie zamierzam nikogo wodzić na pokuszenie ani gorszyć. Powiedz jej, że jeżeli chodzi o mnie, może trzymać się z daleka od mego domu.

— E, tam — prychnęła siostra Charykleja. Moje s<sup>3</sup>owa wcale nie przypadły jej do gustu. — To tylko kaprysy. Któraż kobieta wie w<sup>3</sup>acęciwie, czego chce. Udziałem kobiety jest znosić różne pokusy na tym świecie. I najlepiej też spotykać je dzielnie, z wysoko podniesion<sup>1</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>, i nie schodzić im tchórzliwie z drogi.

Ojciec Charaklei opowiada<sup>3</sup> jej wszystkie stare greckie baśnie i mity, jakie zna. Ma ona żywą wyobraźnię i lubuje się z całej duszy w snuciu dalej w<sup>1</sup>tku baśni o Annie i o mnie. W głębi serca jest urodzon<sup>1</sup> kuplerk<sup>1</sup> tak jak wszystkie kobiety. Ale bez złych zamiarów.

Nie wiem, co powiedziała Annie, ale nazajutrz Anna przyszła z nią znowu. Gdy tylko weszła do

mojej izby, odrzuci³a g³owê do ty³u i zsunê³a kaptur mniszki. Znowu odzia³a siê jak szlachetna œwiatowa dama. Umalowa³a wargi i policzki i ufarbowa³a brwi i rzêsy na niebiesko. Minê mia³a wynios³¹ i zwraca³a siê do mnie jak do kogoœ obcego.

— Siostra Charakleja twierdzi, ¿e cierpia³eœ z powodu mej nieobecnoœci — powiedzia³a ch³odno. — Mówi³a, ¿eœ schud³ i poblad³ przez te parê dni, tak ¿e nawet w oczach pojawi³ ci siê dziki i gor¹czkowy blask. Nie chcê naturalnie, ¿ebyœ chorowa³ z mojego powodu.

— W takim razie k³ama³a — odpar³em równie ch³odno. — Niczego mi nie brakowa³o. Przeciwnie, po raz pierwszy od dawna odczuwa³em b³ogi spokój. Nie musia³em s³uchaæ docinków, które rani³y niepotrzebnie moje serce.

— To prawda, to prawda — syknê³a zaciskaj¹c zêby. — Co ja tu w³aœciwie robiê. Nie wygl¹da na to, ¿eby ci czegoœ brakowa³o.

Najlepiej pójdê ju¿ sobie. Chcia³am tylko na w³asne oczy przekonaæ siê, ¿e nie jesteœ chory.

— Nie odchodŸ tak zaraz — poprosi³em szybko. — Manuel przygotowa³ dla Charyklei konfitury i ciasto. Pozwól biednej kobiecie siê po¿ywiæ. Wikt klasztorny jest chudy. Sama masz te¿ zapadniête policzki i wygl¹dasz na niewyspan¹.

Podesz³a spiesznie do mego weneckiego zwierciade³ka.

— Nie widzê ¿adnej skazy na mojej twarzy — rzek³a.

— Tak ci b³yszczy¹ oczy — b¹kn¹³em. — Nie masz chyba gor¹czki? Pozwól, ¿e dotknê twojej szyi.

Cofnê³a siê.

— Oczywiœcie, ¿e nie pozwolê — oburzy³a siê. — Spróbuj tylko, a uderzê ciê.

W chwilê potem le¿a³a w moich ramionach. Ca³owalicemy siê i pieœcili w dzikim pragnieniu. Ca³owalicemy siê tak, ¿e zapomnielicemy o czasie i miejscu. Kaptur mnisi nie chroni³ jej ju¿. Dysz¹c ca³owa³a mnie ¿arliwie, pieœci³a moj¹ g³owê i ramiona, obejmowa³a mnie mocno w pasie. Ale moje po¿¹danie p³onê³a na pró¿no. Jej wola i dziewiczoœæ czuwa³y nawet wtedy, gdy mia³a oczy mocno zamkniête. Dopiero gdy zacz¹³em s³abn¹æ, otwar³a je, odsunê³a mnie od siebie i rzek³a ze zwyciêsk¹ dum¹:

— Widzisz, przynajmniej mogê ciê drêczyæ, jeœli ju¿ nic wiêcej.

— Drêczysz w równym stopniu sam¹ siebie — odpar³em z oczyma jeszcze wilgotnymi od œez namiêtnoœci.

— Nie wierz w to — odpar³a. — Dopóki wiem, ¿e potrafiê przemieniaæ tw¹ radoœæ w ból, rozkoszuje siê tym, co robiê. Zobaczysz, kto z nas dwojga jest silniejszy. Z pocz¹tku by³am zbita z tropu skutkiem braku doœwiadczenia, ale stopniowo nauczy³am siê trochê twoich zachodnich



obyczajów.

Drżącymi rękami zaczęła porządkować odzież i układać włosy przed zwierciadłem.

— Nie myśl, że jestem tak naiwna, i możesz zrobić ze mną, co zechcesz — mówiła z przekornym uśmiechem. — Tę pomysłkę popełnię na początku i wtedy graję na mnie jak na kitarze. Teraz moja kolej grać na tobie. Zobaczmy, jak długo to wytrzymasz. Jestem kobietą dobrze wychowaną i dorosła też jestem, jak na to wiele już razy wskazywałem. Mnie nie uwiedziesz tak, jak uwodzi się pierwszą lepszą dziewczynę z oberży.

Była jak odmieniona. Sam jej głos był ostry i pełen drwiny. Wcisnęła dygotałem. Nie mogłem jej nic odpowiedzieć. Patrzyłem tylko na nią. Rzuciła mi kokieteryjne spojrzenie przez ramię. Smukła była szyja. Niebieskie brwi. Jej głowa wychylała się jak kwiat z drogocennej szaty. Hiacyntowy zapach jej policzków trwa jeszcze na moich dłońach.

— Nie poznaję cię — rzekłem w końcu.

— I ja sama siebie dobrze nie poznaję — przyznała w przystępie szczerości. — Nie wiedziałam, co się we mnie kryje. Widocznie robię ze mnie kobietę, panie Jeanie Ange.

Podbiegła, chwyciła mnie obiema rękami za włosy, potrzęsnęła mocno moją głowę i pocałowała mnie w usta. Potem równie nagle mnie odepchnęła.

— To ty mnie tak robię — rzekła miękko. — Budzisz do życia wszystkie moje złe cechy. Ale to wcale nie jest przykre obudzenie. Jestem ciekawa siebie samej.

Ujęła moją bezwładną dłoń i zaczęła w zamknięciu pięści jej koniuszkami palców.

— Słyszałam o obyczajach na Zachodzie — powiedziała. — Sam mi o nich opowiadałem. Szlachetni panowie i damy mogli całkiem otwarcie kłapać się i igrać ze sobą. Piękne damy chodziły odsłoniętymi piersiami i pozwalają, by ich przyjaciele witali je dworskim pocałunkiem w sam kwiatusek. Swawolne towarzystwa zabawiają się parami przy fletach i winie. Nawet żonaci pozwalają swoim żonom iść do żółka i poddawać się pieścizom dobrego przyjaciela, dopóki nic gorszego się nie dzieje.

— Masz dziwne pojęcie o zachodzie — powiedziałem. — W każdym kraju są ludzie lekkomyślni i zepsuci i ci mają swoje własne obyczaje. I to zarówno chrześcijanie, jak Turcy. W Wenecji i w Konstantynopolu. Dlaczego też ludzie tego pokroju tak chętnie podróżują pod różnymi pretekstami z kraju do kraju. Nawet pielgrzymki są tylko pretekstem dla wielu w tych trudnych i zepsutych czasach, kiedy wiara jest martwa i zostaje z niej tylko powłoka. Im bardziej człowiek szuka rozkoszy, tym trudniej mu znaleźć rozrywkę nowego rodzaju. W takich sprawach istnieje granica dla ludzkiej wynalazczości i człowiek jest zmuszony zadowalać się mocno ograniczonym światem swoich zmysłów. Kto nie pragnie niczego innego, pozostaje wiecznie nie zaspokojony.

Doprawdy dziwne pojęcie masz o Zachodzie — powtórzyłem. — Spotkałem tam wielu oświeconych mężów, bogaczy, którzy rozdali majątek biednym i poszli do klasztoru, szlachetnie

urodzonych, którzy wyrzekli się swej pozycji, żeby żyć z jałmużny, uczonych, którzy niszczyli sobie wzrok odczytując stare manuskrypty, księżki, którzy poświęcili fortunę za stary nadzarty przez szczury rękopis, astrologów, którzy spędzają życie na obliczaniu orbit ciał niebieskich i ich wpływu na los człowieka, kupców, którzy wynaleźli buchalterię, żeby w każdej chwili mieć obraz swego majątku. Śpiewajcy i grający gópcy są w każdym kraju. Tylko formy obcowania między mężczyznami i kobietami się zmieniają.

Wydawało się, że prawie nie słyszy moich słów. Wierciła się i obracała przed zwierciadłem, odpięła broszkę i zsunęła sukienkę z ramion, obnażając piersi i przyglądając się przy tym z górną przekrzywioną krytycznie swemu odbiciu. Równocześnie obserwowała mnie bacznie w lustrze.

— Nie — rzekła — nie, moja wstydlivość zakazuje mi chodzić tak na oczach mężczyzn. Przynajmniej musiałabym najpierw zobaczyć, jak robi to inne kobiety. Może wówczas można by się szybko przyzwyczaić i nie byłoby już w tym nic złego.

— Kusisz mnie — rzekłem. W gardle zrobiło mi się sucho.

— Ale skąd — odparła obojętnie i szybko podciągnęła suknię.

— Jakżeż bym mogła! Ciebie, który jesteś taki nieugięty i czysty? Jak taka niedoświadczona kobieta może ciebie kusić? Sam przecież mówisz, że musisz znaleźć nowego rodzaju rozrywki. Jakżeż ja mogłabym ci zgotować odmianę?

Jej złośliwość oburzyła mnie, choć postanowiłem zachować spokój.

— Nigdy tego nie powiedziałem! — wykrzyknęłem. — To nie o sobie mówię. Przeciwnie. Zawsze raczej unikałem kobiet, niż czułem do nich pociąg. Zamcały mi tylko umysł, zaciemniały jasność myślenia. Dlatego chciałem trzymać się od nich z dala. Zaczęłem nienawidzić ich błądzących oczu i duszących pieśczoł.

Anna Notaras odwróciła się i splótła ręce za plecami.

— Duszących pieśczoł — powtórzyła. — Nienawidzę cię!

— Nie ciebie miałem przecież na myśli! — krzyknęłem przerażony. — Panie Boże, naturalnie nie myślałem o tobie!

— Wyłoty ścinniku! — syknęła. — Wydmuchana skorupko!

— Porwała swój mnisi habit i owinęła się nim, naciągnęła kaptur na głowę i welon na twarz. — Egnaj — powiedziała — i dziękuj ci za wszystkie dobre rady. Następnym razem będę młodsza.

Nie była na mnie zła. Wiedziałem to, choć celowo rozdarła mi serce swoimi słowami. Nie odeszła w gniewie, lecz z zadowoleniem i z wysoko podniesioną głową. Sama powiedziała: następnym razem. I ja, nieborak, szeptem, że znam ją tak, jakby była częścią mojej własnej istoty.

Od wczesnego ranka brzmiały dzwony kościelne i koczki klasztorne wzywając ludzi do modłów za miasto. Był promienny, piękny dzień, przecudny poranek wiosenny. Olbrzymi łańcuch zaporowy leżał już gotów pod murem portowym. Pale zapory odnowiono, a ogniwa łańcucha naprawiono i wzmocniono. Leżał on w zwojach na brzegu, ale mimo to sięgał od wieży Eugeniusza aż do wieży św. Marka. Po nabożeństwie wielu niedzielnych spacerowiczów przyszedł na brzeg, żeby popatrzeć na zaporę portową. Okręgił ociosane pale, które mają dźwigać łańcuch na powierzchni wody i wzmocniać go, są tak grube, że dorosły mężczyzna nie może ich objąć ramionami. Ogniwa są grubości mojej ręki, a postawione na sztorc sięgają mi do pępka. Pale poszczepiano grubymi hakami. Słynny łańcuch zaporowy Joannitów przed wejściem do portu na Rodos to zabawka w porównaniu z tym. Nawet największy okręt nie zdoła go przerwać. Rodzice pokazywali łańcuch dzieciom, które bez trudu przełaziły przez jego ogniwa. Nawet cesarz ze swoją świtą przyjechał do portu, aby obejrzeć zaporę. Jeden koniec łańcucha jest przykuty do skały koło wieży Eugeniusza.

Po południu obie mniszki trzymając się za ręce przyszedły znowu do mego domu. Poranne nabożeństwo i widok łańcucha zaporowego dodały Charyklei nowej otuchy. Paplała bez przerwy i opowiadała Maneulowi, jak to wielu świętych i sama Matka Boska przez wieki chronili Konstantynopol i zmuszali Turków i innych napastników do ucieczki. Odkąd Turcy zbudowali twierdzę nad Bosforem, sam niebiański wódz archanioł Michał z płonącym mieczem przeniósł się z Bosforu do Konstantynopola, zapewniała. Wielu wiarygodnych świadków widziało go już w chmurach nad kościołem św. Apostołów. Jego szata była tak olśniewająca, że ludzie musieli zakrywać twarz i odwracać wzrok.

— Ile par skrzydeł miał? — dopytywała się żywo Manuel, by nareszcie uzyskać jasność w tej starej spornej sprawie.

— Nie było nikogo, kto by zdłżył policzyć — odburknęła opryskliwie Charykleja. — Płonący miecz oślepił ludzi i nikt przez długą chwilę nie widział nic, prócz rozrzuconych dysków na całym niebie.

W ten sposób gawędzili, a ja również brałem chwilami udział w rozmowie, gdyż była niedziela i piękna pogoda. Anna zaczęła stanowczo wzbraniać się wejść do mojej izby. Siedziała w milczeniu i była znowu całkiem odmieniona. Otulona od stóp do głów w czarny strój mniszki, twarz miała zakrytą i dłońmi schowane w szerokich rękawach. Kiedy ją o coś pytałem, potrzebowała tylko lekko głową, jak gdyby złożyła celubne milczenia. Tyle tylko mogłem dostrzec z jej twarzy, że była całkiem blada. Jej duże brzożowe oczy patrzyły na mnie pełne wyrzutu. Otoczone były sinymi cieniami, a powieki miała napuchnięte, jakby płakała. Krótko mówiąc, robiła, co w jej mocy, żeby wzbudzić we mnie współczucie i wyrzuty sumienia. Kiedy usiłowałem wziąć ją za rękę, cofnęła ją z przerażeniem.

Podejrzewa<sup>3</sup>em, że upudrowa<sup>3</sup>a się na bia<sup>3</sup>o i uszminkowa<sup>3</sup>a na niebiesko wokó<sup>3</sup> oczu, tak nienaturalnie wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>a.

Napiwszy się trochę więcej wina siostra Charykleja zerka<sup>3</sup>a na ni<sup>1</sup> od czasu do czasu, nie mog<sup>1</sup>c się powstrzymać od chichotu. Za każdym razem Anna rzuca<sup>3</sup>a jej gniewne spojrzenie, tak że tamta zakrywa<sup>3</sup>a usta d<sup>3</sup>oni<sup>1</sup>, ale po chwili chichota<sup>3</sup>a znowu.

W końcu nie mog<sup>3</sup>em już tego d<sup>3</sup>użej znieść. Podeszed<sup>3</sup>em do Anny, chwyci<sup>3</sup>em ją za przeguby r<sup>1</sup>k, poderwa<sup>3</sup>em na nogi i zapyta<sup>3</sup>em gwa<sup>3</sup>townie:

— Dlaczego udajesz? Co ta ma<sup>3</sup>pia gra ma oznaczać?

Uda<sup>3</sup>a przestraszona<sup>1</sup>, przy<sup>3</sup>oczy<sup>3</sup>a palec do warg i rzek<sup>3</sup>a ostrzegawczo:

— Tss, s<sup>3</sup>udzy cię s<sup>3</sup>ysz<sup>1</sup>.

Jakby poddaj<sup>1</sup>c się czemuś nieuniknionemu, wzruszy<sup>3</sup>a ramionami i posz<sup>3</sup>a za mn<sup>1</sup> do schodów, ale wzbrania<sup>3</sup>a się znów stanowczo wejść do mojej izby.

— Nie, tego g<sup>3</sup>upstwa nie powtórzę — powiedzia<sup>3</sup>a. — Muszę dbać o moją opinię. Co twój s<sup>3</sup>uż<sup>1</sup>cy o mnie pomyśli?

A skoro mowa o s<sup>3</sup>uż<sup>1</sup>cy — ci<sup>1</sup>gnę<sup>3</sup>a coraz bardziej porywczo — zachowujesz się tak, jakbyśmy już byli ma<sup>3</sup>żeństwem, obrażaj<sup>1</sup>c mnie w obecności s<sup>3</sup>uż<sup>1</sup>by. I nie powinieneś też gadać o bzdurach z t<sup>1</sup> prost<sup>1</sup> kobiet<sup>1</sup>, która fa<sup>3</sup>szywie rozumie każde s<sup>3</sup>owo. A może to ja ciebie źle zrozumia<sup>3</sup>am? Może to w niej się zakocha<sup>3</sup>eś, a ja jestem tylko pretekstem, żebyś się z ni<sup>1</sup> mógł spotykać potajemnie i dawać jej wino do picia i czynić z niej ofiarę twoich ż<sup>1</sup>dz, kiedy nie może się już bronić. Dlatego też nie odważy<sup>3</sup>am się puszczać jej tutaj samej, choć naturalnie najchętniej uniknę<sup>3</sup>abym ogl<sup>1</sup>dania więcej tego domu.

— Ach, Anno — rzek<sup>3</sup>em b<sup>3</sup>agalnie — dlaczego jesteś taka? Nie wiem już, co mam myśleć o tobie. Czy to ty oszala<sup>3</sup>a, czy mnie zamroczy<sup>3</sup>o?

— Naturalnie, naturalnie, obrażaj mnie i nazywaj zamroczoną<sup>1</sup> — ci<sup>1</sup>gnę<sup>3</sup>a Anna bezlitośnie. — To moja własna wina, gdyż opuści<sup>3</sup>am dom i rodzinę i odda<sup>3</sup>am się w twoje ręce. Nie mogę nawet przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>am od ciebie życzliwe s<sup>3</sup>owo. Nic ci się nie podoba. Jeżeli ubiorę się stosownie do mego stanu i wychowania, traktujesz mnie jak dziewczynę. Jeżeli staram się ciebie zadowolić i zachowuję się skromnie i z umiarem, przeklinasz mnie i obrażasz, sprawiasz mi ból swymi twardymi rękami i wleczesz mnie do swej izby, żeby dopuszczać się na mnie gwa<sup>3</sup>tu. Przeklinaj mnie, jeżeli koniecznie chcesz, ale najpierw wyjmij belkę z własnego oka.

— Zmi<sup>3</sup>uj się Boże, nade mn<sup>1</sup>, który utkn<sup>13</sup>em w sieci takiej kobiety — jękn<sup>13</sup>em wyczerpany i zrozpaczony. — Jestem chyba naprawdę <sup>3</sup>acinnikiem w sercu i nigdy nie potrafię zrozumieć Greczynki.

Zmięk<sup>3</sup>a trochę, rozwar<sup>3</sup>a znowu szeroko swe przecudne oczy i odrzek<sup>3</sup>a:

— Nie narzekaj na Greków. Ty po prostu nie rozumiesz kobiety. Może wcale nie jesteś żadnym hulak<sup>1</sup> ani uwodzicielem, tylko przeciwnie, ca<sup>3</sup>kiem niedoświadczonym mę<sup>3</sup>czyzn<sup>1</sup>. Dlatego też bę<sup>3</sup>dę chyba zmuszona ci przebaczyć.

— Przebaczyć mi?! — wykrzykn<sup>13</sup>em z furi<sup>1</sup>. — Kto z nas ma tu w<sup>3</sup>aciewie co<sup>3</sup> do przebaczenia! Ale bardzo proszę, przebac mi. B<sup>3</sup>agam cię o to pokornie, jeżeli tylko zechcesz skończyć z tymi przera<sup>3</sup>liwymi wymówkami i dokuczaniem. Nie wytrzymuj<sup>3</sup> już tego. Dlaczego jesteś taka dla mnie?

Spuści<sup>3</sup>a wstydliwie oczy, ale zerka<sup>3</sup>a na mnie ukradkiem przez rzęsy.

— Dlatego, że kocham cię, panie Johannesie Angelosie — szepnę<sup>3</sup>a miękko. — Dlatego, że kocham cię tak okropnie, iż chce mi się p<sup>3</sup>akać, gdy tylko o tym pomyślę. I dlatego, że postępujesz tak dziecinnie. Ale to może w<sup>3</sup>acenie dlatego kocham cię tak bardzo.

Wpatrywa<sup>3</sup>em się w ni<sup>1</sup> nie wierząc w<sup>3</sup>asnym uszom i nic nie rozumiej<sup>1</sup>c.

— Dziwna ta mi<sup>3</sup>ość — b<sup>1</sup>kn<sup>13</sup>em.

Poklepa<sup>3</sup>a mnie przyjaci<sup>3</sup>nie po policzku.

— Mój przyjacielu, mój jedyny ukochany — powiedzia<sup>3</sup>a czule. — Dlaczego jesteś tak straszliwie uparty?

— Ja? Uparty? — Zaniemówi<sup>3</sup>em z gniewu, tak że musiałem prze<sup>3</sup>kn<sup>1</sup>ąć, żeby móc cokolwiek powiedzieć. — Przynajmniej nie jestem tak diabelnie kapryśny jak ty.

— Kapryśny? — zapyta<sup>3</sup>a, jakby poważnie zastanawiaj<sup>1</sup>c się nad tym s<sup>3</sup>owem. — Czyżbym rzeczywiście by<sup>3</sup>a kapryśna? No tak, równie prosta jak ty w tych sprawach nie jestem. Kobieta jest zazwyczaj trochę bardziej skomplikowana.

— Czegoż to chcesz ode mnie? — wykrzykn<sup>13</sup>em. — Powiedz wreszcie!

— Tak legalnego małże<sup>3</sup>ństwa, jak to w obecnych warunkach możliwe — odpar<sup>3</sup>a jasno, k<sup>3</sup>ad<sup>1</sup>c nacisk na każdym s<sup>3</sup>owie. — Muszę myśleć o mojej dobrej s<sup>3</sup>awie, o przysz<sup>3</sup>ości, o mojej rodzinie i o ojcu.

Zacisn<sup>13</sup>em pi<sup>3</sup>ęci, a<sup>3</sup> paznokcie wbi<sup>3</sup>y mi się w d<sup>3</sup>onie.

— Nie ma żadnej przysz<sup>3</sup>ości — powiedzia<sup>3</sup>em si<sup>31</sup> nad sob<sup>1</sup> panuj<sup>1</sup>c. — Postaraj się wreszcie zrozumieć, że twoje pochodzenie i pa<sup>3</sup>ac twego ojca, i twoja dobra s<sup>3</sup>awa, i wszystko inne wnet już nie bę<sup>3</sup>dzie mia<sup>3</sup>o żadnego znaczenia. Tureckie armaty stoj<sup>1</sup> o pi<sup>3</sup>ę tysi<sup>3</sup>cy kroków od miasta. Jest ich tak wiele, że nie można ich nawet zliczyć. Nie mamy żadnej przysz<sup>3</sup>ości, zupełnie żadnej,

rozumiesz?

— Dlaczego w takim razie tak straszliwie się opierasz? — odrzekł a zmuszając się, by słowa jej brzmiały równie spokojnie jak moje. — Jeżeli już nie mamy czego oczekiwać i nic nie ma żadnego znaczenia, dlaczego na Boga nie chcesz spełnić mego życzenia w tej sprawie? —

— Kościół s<sup>1</sup> zjednoczone — odparł. — Staraj się to zrozumieć. Unia jest proklamowana. Łaciński celub jest równoznaczny z greckim. Dlatego z<sup>3</sup>amałbym sakrament, gdybym oświadczym z<sup>3</sup>asnej woli wziąć celub po raz drugi. To sprawa zasadnicza. Panie Boże, nie zaparłem się swojej wiary nawet mając miecz na gardle. Równie haniebnie byłoby robić to teraz tylko dla kaprysu kobiety.

— W większości kościołów wciąż jeszcze czyta się wyznanie wiary bez dodatku — odparł uparcie. — Celuby i pogrzeby, chrzest i komunie odbywają się według starej formy. Georgios Mammias jest fałszywym patriarchą, wyrzuconym ze świętego synodu patriarchów. Papież nie może go wywyższać. Jest on cieniem, któremu cesarz nadał godność. Prawdziwy kościół grecki jest ukryty za tym cieniem i wystąpi znowu, gdy nadejdzie czas. Przyjdź do niego, a twoje sprzeczne z rozsądkiem poprzednie małżeństwo stanie się nieważne samo przez się, tak jakby nigdy nie istniało.

Biłem się w pierze pięściami i wyrwałem sobie włosy z głowy.

— Dlaczego przyszedłem na ten świat potępienia! — wykrzyknął gorzko. — Dlaczego nie mogę żyć tak jak chcę i jak mi nakazuje sumienie! Jakże to przekleństwo cię na mnie i na moim życiu? Czy i ty musisz nasycać na mnie klechów i prawników, choć nawet cię nie dotknę.

— I nie dotkniesz mnie nigdy, choćby miało mnie to kosztować życie! — wybuchnął. — To staje się sprawą zasadniczą i dla mnie, tak jak ty powtarzasz to wciąż bez końca. Wzyci sobie, jak ci nakazuje twoje sumienie, ale wtedy będziesz żył i umrzesz samotny. Na ziemi żyjemy, a nie w tysiącletnim królestwie. Ten, kto chce żyć między ludźmi, musi zrezygnować z czystki siebie samego i dostosować się do innych. Opuścił dla ciebie dom i ojca. Z czegoś musisz i ty ustąpić. Inaczej będziesz wiedział raz na zawsze, że nie jesteśmy dla siebie stworzeni. Trzeba wybierać, sam to kiedyś mówiłem. Wybieraj więc teraz. To twoja kolej. I takie jest moje ostatnie słowo!

Ze złości gniewu w oczach wpadłem do izby, przypasałem miecz, wciągnąłem buty i chwyciłem pancerz.

— Węgnaj, Anno! — krzyknął przebiegając obok niej po schodach, by wyjść z domu. — Odszukać znajdziesz mnie na murze, a nie tutaj. Dostać jabłko, ale nie ośmiesz go nadgryźć, żeby nie znaleźć w nim robaka.

— Masz tu swoje jabko! — wykrzyknęła w odpowiedzi i rzuciła we mnie pierwszym przedmiotem, który wpadł jej rękę. Przypadkiem była to moja drogocenna szklana latarnia. Szkło rozprysło się na mojej głowie i poraniło mi kark i rękę. Ale w owej chwili nawet tego nie zauważyłem. Zatrzasnąłem za sobą drzwi, a za zadrżała cała dom.

Podbiegła i otworzyła je na nowo i krzyknęła za mną z niepokojem:

— Chyba nie stało ci się nic złego?

Nie odwróciłem się. Pędziłem ulicą, a pancerz szczekał mi pod ramieniem, jak gdyby ocigał mnie sam diabeł. Tak, kochałem ją ponad wszelki rozsądek.

*4 kwietnia 1453*

W poniedziałek założono łańcuch i zagrodzono wejście do portu od wieży Eugeniusza do Galaty w Perze. Port jest zamknięty. Żaden statek nie może już wypłynąć na morze. Łańcuch unosi się na wodzie wijąc się jak wielki wąż od brzegu do brzegu.

O zmroku cała północno-zachodni horyzont rozjaśnił się od tureckich ognisk obozowych.

Opuściwszy dom udałem się do kwatery Giustinianiego przy bramie św. Romana. Łacinnicy walczyli się w wieżach i strażnicach, warzeli baraninę w kotłach, grajki w karty i pijali wino. Grecy śpiewali psalmy na wiele głosów i modlili się. Strażnicy czuwali na murach. Od czasu do czasu któremuś z nich zdaje się, że widzi cień poruszający się w ciemnościach, rzucają wtedy pochodnię albo posyłają za fosą pionierów straż. Ale przed murami jest pusto.

Wnet będzie koniec z warzeniem mięsa i kotły zostaną napełnione w zamian roztopionym olejem i wrzącą smołą.

Na murach ustawiono dużo szlang i wężownic, jak również pewną liczbę ciężkich bombard,

które wypluwaj<sup>1</sup> duże kamienne kule wysokim <sup>3</sup>ukiem. Ale jeszcze ich nie próbowano. Proch oszczędza się dla hakownic i rusznic, które strzelaj<sup>1</sup> pociskami z o<sup>3</sup>owiu.

Technicy cesarscy ustawili także na murze zewnętrznym staroćwieckie balisty i katapulty. Wyrzucaj<sup>1</sup> one wielkie bloki kamienne daleko za fosę, ale pociski te lec<sup>1</sup> wolniej niż kamienne kule bombard.

Jeżeli pozwolą za<sup>3</sup>odze wybierać między rusznic<sup>1</sup> i kusz<sup>1</sup>, to za ledwie jeden na pięćdziesięciu wybiera rusznicę. Kusza jest i pewniejsza, i bezpieczniejsza.

Niebo mieni się czerwienią na północnym zachodzie i <sup>3</sup>acinnicy zak<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup> się między sobą, czy Turcy stan<sup>1</sup> pod naszymi bramami już jutro. Napięcie wprawia wszystkich w niepokój i nikt nie sypia dobrze. Zawodowi <sup>3</sup>o<sup>3</sup>nierze kln<sup>1</sup> dużo i często. Razi to Greków, którzy trzymaj<sup>1</sup> się z dala od <sup>3</sup>acinników.

Gorycz i zwł<sup>1</sup>tpienie wkradaj<sup>1</sup> się do mego umys<sup>3</sup>u, gdy tak czuwam wraz z innymi. Nie mogę przestać myśleć o Annie Notaras. Nie mogę. To niemożliwe, żeby to tylko los tak niewzruszenie pcha<sup>3</sup> mnie na tę drogę. Dlaczego ona tak uparcie chce się zwi<sup>1</sup>zać ze mn<sup>1</sup> w<sup>3</sup>em ma<sup>3</sup>ęńskim? Powinna przecież rozumieć, że mam powód, by odmawiać. Mam taki powód. Mam.

Gdybym zapar<sup>3</sup> się unii i wzi<sup>13</sup> o<sup>3</sup>lub z Ann<sup>1</sup> Notaras, oznacza<sup>3</sup>oby to tylko, że ulegam ciemnej pokusie.

Dlaczego wesz<sup>3</sup>a na moj<sup>1</sup> drogę? Czy nie by<sup>3</sup>o to z góry uplanowane? Czy rzeczywiście ojciec jej nie wie, że zosta<sup>3</sup>a w mieście? A może dział<sup>3</sup>aj<sup>1</sup> razem, ojciec i córka, w tajemnym porozumieniu? Ale Łukasz Notaras nie może przecież wiedzieć, kim jestem.

Dlaczego, dlaczego znalaz<sup>3</sup>a się na mojej drodze pod kocio<sup>3</sup>em M<sup>1</sup>dro<sup>3</sup>eci Bożej? Moja wędrówka by<sup>3</sup>a wtedy taka prosta i jasna. Teraz umys<sup>3</sup> mam zam<sup>1</sup>cony na nowo i myśli k<sup>3</sup>ębi<sup>1</sup> mi się w g<sup>3</sup>owie. Czyż mam pozwolić, by mój duch uleg<sup>3</sup> pokusie cia<sup>3</sup>a? Ale mi<sup>3</sup>o<sup>3</sup>ę moja jest w równym stopniu duchowa, co cielesna. Taka jest moja wiara. Taka by<sup>3</sup>a moja wiara!

Jestem tylko cz<sup>3</sup>owiekiem, żadnym anio<sup>3</sup>em. Ale kolano Manuela ozdrowia<sup>3</sup>o, kiedy po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup>em d<sup>3</sup>oń na jego g<sup>3</sup>owie.

Czyż nie powinienem jej nienawidzić? Ale ja j<sup>1</sup> Kocham.

*5 kwietnia 1453*

Wkrótce po wschodzie s<sup>3</sup>ońca chmury kurzu zaczęły wzbijać się nad drogami i o<sup>3</sup>cieżkami prowadz<sup>1</sup>cymi ku miastu. A potem z ob<sup>3</sup>oków kurzu wy<sup>3</sup>oni<sup>3</sup>y się pierwsze rozproszone oddzia<sup>3</sup>y Turków. Kiedy zobaczyli przed sobą mury, zaczęli wzywać Boga i Proroka i wymachiwać broniami.



Groty oszczepów i krzywe miecze migota<sup>3</sup>y czerwono wóeród kurzu.

Giustiniani przys<sup>3</sup>a<sup>3</sup> po mnie gońca. Cesarz i on stali konno ko<sup>3</sup>o bramy Charisiosa. Ze stu m<sup>3</sup>odych greckich szlachciców czeka<sup>3</sup>o po obu stronach bramy z trudem hamuj<sup>1</sup>c niespokojne rumaki, które grzeba<sup>3</sup>y kopytami i podrzuca<sup>3</sup>y g<sup>3</sup>owy. Byli to ci sami m<sup>3</sup>odzi ludzie, którzy óemieli siê ur<sup>1</sup>gliwie w czasie przemówienia cesarza do <sup>3</sup>acinników. Ci sami, którzy zwykli byli graæ konno w pi<sup>3</sup>kê na Hipodromie. Piêkni i dumni m<sup>3</sup>odziœñcy, którzy uważali za niegodne siebie, by choæ rozmawiaæ z <sup>3</sup>acinnikiem.

— Umiesz wszak jeŸdziaæ konno, Jeanie Ange — rzek<sup>3</sup> do mnie Giustiniani. — Czy potrafisz tak¿e d<sup>1</sup>æ w róg?

Zdziwiony kiwn<sup>13</sup>em potakuj<sup>1</sup>co g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>.

— Chcesz siê biæ, no nie? — ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> Giustiniani. — Dobrze. Bêdziesz móg<sup>3</sup> siê biæ. Ale uważaj pilnie, ¿eby walka nie trwa<sup>3</sup>a za d<sup>3</sup>ugo i ¿eby was nie okr<sup>1</sup>¿ono. Krzyknij wiêc po grecku do tych przeklêtych g<sup>3</sup>upców, ¿e ka¿ê powiesiaæ ka¿dego, kto nie us<sup>3</sup>ucha tr<sup>1</sup>by i nie zawróci, gdy zabrzmi sygna<sup>3</sup>. Nie mo¿emy straciaæ ani jednego cz<sup>3</sup>owieka. Ma to byæ tylko demonstracja, a nie ¿aden wypad. Chcemy zrobiaæ jedynie trochê zamieszania w tureckich kolumnach, nic wiêcej. Patrz pilnie na wie¿ê. Dam znak flag<sup>1</sup>, jeœli zagrozi wam niebezpieczeñstwo oskrzydlenia.

Wzi<sup>13</sup>em tr<sup>1</sup>bkê i zatr<sup>1</sup>bi<sup>3</sup>em. Ton by<sup>3</sup> jasny i czysty. Ogniste rumaki stawa<sup>3</sup>y dêba. Zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>em do m<sup>3</sup>odziœñców, ¿e nie chcê w ¿aden sposób im siê narzucaæ, by dzieliaæ z nimi chwa<sup>3</sup>ê. Ale z rozkazu protostratora mam im towarzyszyæ, aby daæ sygna<sup>3</sup> do odwrotu. Wspomnia<sup>3</sup>em te¿, ¿e jestem starszy od nich i ¿e bra<sup>3</sup>em ju¿ udzia<sup>3</sup> w walkach konnych jeszcze przed Warn<sup>1</sup>.

Giustiniani przemawia<sup>3</sup> przyjaŸnie do swego du¿ego bojowego rumaka, jakby coæ mu t<sup>3</sup>umacz<sup>1</sup>c. Potem poda<sup>3</sup> mi wodze.

— Mój koñ ochroni ciê lepiej, ni¿ mo¿e to zrobiaæ twój miecz — powiedzia<sup>3</sup>. — Toruje on drogê przednimi kopytami w najgorszym choæby ócisku i potrafi w razie potrzeby przegryŸæ Turka na pó<sup>3</sup>.

By<sup>3</sup> to doprawdy okrutny i wzbudzaj<sup>1</sup>cy postrach zachodnioeuropejski ogier bojowy, choæ mo¿e nieco powolniejszy i mniej zgrabny od gor<sup>1</sup>cokrwistych koni greckich. Na szczêcie zwierzêta czuj<sup>1</sup> do mnie szacunek. Inaczej ba<sup>3</sup>bym siê tego ogiera bardziej ni¿ Turków. Giustiniani jest tak wysoki, ¿e strzemiona nie by<sup>3</sup>y dla mnie odpowiednie, ale nie zd<sup>1</sup>¿y<sup>3</sup>em ich podci<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>æ. Most zwodzony opad<sup>3</sup> z hukiem i <sup>3</sup>oskotem i otworzono bramy.

Równaj<sup>1</sup>c szeregi Grecy wyjechali z miasta, ale ju¿ na moœcie zwodzonym dali koniom ostrogê i popêdzili pe<sup>3</sup>nym galopem w zapalczywym wespółzawodnictwie. Jecha<sup>3</sup>em za nimi po têt<sup>1</sup>nej ziemi. Mój wielki rumak by<sup>3</sup> wóciek<sup>3</sup>y i dotkniêty, ¿e zosta<sup>3</sup> na koñcu, on, który przywyk<sup>3</sup> do galopowania na czele. Tote¿ stara<sup>3</sup> siê pokazaæ od najlepszej strony, a ja czu<sup>3</sup>em siê równie bezpiecznie, jakbym siedzia<sup>3</sup> na grzbiecie s<sup>3</sup>onia bojowego w drewnianej wie¿ycze.

Pędziliemy prosto ku oddzia<sup>3</sup>owi piechoty, nadci<sup>1</sup>gaj<sup>1</sup>cemu drog<sup>1</sup> od Adrianopola. Gdy oddzia<sup>3</sup> ten spostrzeg<sup>3</sup> je<sup>1</sup> d<sup>1</sup>Źc<sup>1</sup>ów, rozproszy<sup>3</sup> si<sup>1</sup>e po obu stronach drogi. Nadlecia<sup>3</sup>y z j<sup>1</sup>kiem pierwsze strza<sup>3</sup>y. M<sup>3</sup>odzi Grecy rozsypali si<sup>1</sup>e po polu, jak gdyby grali w pi<sup>3</sup>k<sup>1</sup>e, ka<sup>1</sup>dy maj<sup>1</sup>c na oku jak<sup>1</sup>o<sup>1</sup> tureck<sup>1</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>e. Mój ko<sup>1</sup>ń stratowa<sup>3</sup> kopytami pierwszego trupa. Daleko na naszej flance zbli<sup>1</sup>za<sup>3</sup>a si<sup>1</sup>e pe<sup>3</sup>nym galopem grupa tureckich spahisów w rozwianych na wietrze czerwonych p<sup>3</sup>aszczach.

Pierwsi Turcy przera<sup>1</sup>zeni odrzucili bro<sup>1</sup>ń, aby m<sup>1</sup>óc szybciej ucieka<sup>1</sup>e. Byli to pojedynczy <sup>1</sup>o<sup>3</sup>nierze stra<sup>1</sup>zy przednich. Potem ca<sup>3</sup>a grupa zwar<sup>3</sup>a si<sup>1</sup>e, wystawi<sup>3</sup>a piki i wbi<sup>3</sup>a je w ziemi<sup>1</sup>e, by powstrzyma<sup>1</sup>e konie. Grecy rzucili konie na boki, chc<sup>1</sup>c objecha<sup>1</sup>e oddzia<sup>3</sup>ek, ale mój ko<sup>1</sup>ń bojowy wpad<sup>3</sup> ci<sup>1</sup>e<sup>1</sup>ko mi<sup>1</sup>ędzy dzidy, po<sup>3</sup>ama<sup>3</sup> je jak patyczki w swoim napier<sup>1</sup>o<sup>1</sup>enikiem i stratowa<sup>3</sup> kopytami przera<sup>1</sup>zonych Turków. Przyby<sup>3</sup>em, <sup>1</sup>eby si<sup>1</sup>e bia<sup>1</sup>e. I w<sup>3</sup>acenie nadesz<sup>3</sup>a okazja. Ale ci ludzie nie mieli nawet skórzanych kaftanów. Wo<sup>3</sup>ali g<sup>3</sup>o<sup>1</sup>eno: "Allah, Allah!" Spostrzeg<sup>3</sup>em, <sup>1</sup>e sam te<sup>1</sup>ż krzycz<sup>1</sup>e: "Allah, Allah!", jak gdybym b<sup>3</sup>aga<sup>3</sup> ich Boga, <sup>1</sup>eby zmi<sup>3</sup>owa<sup>3</sup> si<sup>1</sup>e nad swoimi wiernymi.

Pole zas<sup>3</sup>a<sup>3</sup>y poszarpane trupy. Mój ko<sup>1</sup>ń po<sup>3</sup>o<sup>1</sup>zy<sup>3</sup> uszy po sobie, wbi<sup>3</sup> z<sup>1</sup>ęby w brzuch m<sup>3</sup>odego Turka, wytr<sup>1</sup>ys<sup>3</sup> z niego <sup>1</sup>ycie i odrzuci<sup>3</sup> na bok.

Tureckie kolumny zatrzyma<sup>3</sup>y si<sup>1</sup>e i popad<sup>3</sup>y w rozsypk<sup>1</sup>e. Grecy zawrócili konie i p<sup>1</sup>ędzili dalej. Dotarli do stoku i musieli zwolnia<sup>1</sup>e biegu. Strza<sup>3</sup>y o<sup>1</sup>ewiszcza<sup>3</sup>y wci<sup>1</sup>ż wokó<sup>3</sup> nas, ale jeszcze nikt nie spad<sup>3</sup> z siod<sup>3</sup>a.

Rzuci<sup>3</sup>em wzrokiem w stron<sup>1</sup>e miasta. Ozdobiona krzy<sup>1</sup>em flaga Giustinianiego wznosi<sup>3</sup>a si<sup>1</sup>e i opada<sup>3</sup>a szybko na dr<sup>1</sup>żku. Zad<sup>13</sup>em w róg. Raz, drugi i jeszcze wiele razy. Grecy udawali, <sup>1</sup>e nie s<sup>3</sup>ysz<sup>1</sup>. Gdyby strome wzgórze nie zmusi<sup>3</sup>o ich do zwolnienia, jechaliby chyba a<sup>1</sup> do Adrianopola.

W ko<sup>1</sup>ńcu uda<sup>3</sup>o mi si<sup>1</sup>e zebra<sup>1</sup>e oddzia<sup>3</sup> i zawróciliemy do miasta. Kiedy mijalicemy rannych Turków, którzy wili si<sup>1</sup>e na ziemi obejmuj<sup>1</sup>c g<sup>3</sup>owy r<sup>1</sup>ekami, tu i ówdzie jakie<sup>1</sup>o m<sup>3</sup>ody Grek schyla<sup>3</sup> si<sup>1</sup>e z konia, by dla wprawy zada<sup>1</sup>e cios <sup>3</sup>aski. Powietrze by<sup>3</sup>o ci<sup>1</sup>e<sup>1</sup>kie od dusz<sup>1</sup>cego odoru krwi i ekskrementów. Dzikim galopem, wzywaj<sup>1</sup>c Allacha i wywijaj<sup>1</sup>c krzywymi mieczami, zbli<sup>1</sup>zali si<sup>1</sup>e spahisi, jeszcze w pewnym oddaleniu. Toczyli si<sup>1</sup>e na nas jak czerwona fala sztormowa. Coraz wi<sup>1</sup>ecej m<sup>3</sup>odzików ogl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>o si<sup>1</sup>e za siebie i niepostrze<sup>1</sup>enie bod<sup>3</sup>o konie ostrogami.

Ja si<sup>1</sup>e nie ogl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>em. Patrzy<sup>3</sup>em na mury i wie<sup>1</sup>że Konstantynopola. Stara<sup>3</sup>em si<sup>1</sup>e widzie<sup>1</sup>e je tureckimi oczami i ju<sup>1</sup>ż nie dziwi<sup>3</sup>em si<sup>1</sup>e, <sup>1</sup>e piechota zatrzyma<sup>3</sup>a si<sup>1</sup>e w marszu na ten widok. Te <sup>1</sup>ó<sup>3</sup>te i br<sup>1</sup>zowe mury z wie<sup>1</sup>żami i blankami rozpo<sup>1</sup>ociera<sup>3</sup>y si<sup>1</sup>e daleko, jak okiem si<sup>1</sup>e<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>æ. Najpierw fosa z murem ochronnym. Za ni<sup>1</sup> pierwsze niskie wa<sup>3</sup>y. Nast<sup>1</sup>ępnie mur zewn<sup>1</sup>êtrzny z wie<sup>1</sup>żami, za<sup>3</sup>og<sup>1</sup> i dzia<sup>3</sup>ami, mocniejszy ni<sup>1</sup>ż którykolwiek z murów miejskich, jakie widzia<sup>3</sup>em w Europie. Na nim stali w pogotowiu obro<sup>1</sup>ńcy. Ale za tym murem zewn<sup>1</sup>êtrnym wznosi<sup>3</sup> si<sup>1</sup>e wy<sup>1</sup>żej ni<sup>1</sup>ż najwy<sup>1</sup>ższe domy kamienne wielki mur Konstantynopola ze swymi pot<sup>1</sup>ê<sup>1</sup>żnymi wie<sup>1</sup>żami. Trzy pot<sup>1</sup>ê<sup>1</sup>żne stopnie obrony Konstantynopola. Nawet gdyby wrogowi uda<sup>3</sup>o si<sup>1</sup>e prze<sup>3</sup>ama<sup>1</sup>e przez wa<sup>3</sup>y i mur zewn<sup>1</sup>êtrzny, sta<sup>3</sup>by nadal zamkni<sup>1</sup>ęty w ziej<sup>1</sup>cym o<sup>1</sup>emierci<sup>1</sup> w<sup>1</sup>wozie.

Gdy tak patrzy<sup>3</sup>em na te niebotyczne mury, poczu<sup>3</sup>em po raz pierwszy przeb<sup>3</sup>ysk nadziei w sercu. Tylko trzêsienie ziemi mo<sup>3</sup>że zwa<sup>3</sup>iaæ takie mury, mycela<sup>3</sup>em.

I ju<sup>3</sup>ż mój koñ k<sup>3</sup>usowa<sup>3</sup> po dudni<sup>1</sup>cym zwodzonym moœcie. Szeregi spahisów z piórami, pancerzami i rozwianymi p<sup>3</sup>aszczami zatrzyma<sup>3</sup>y siê na odleg<sup>3</sup>oœæ strza<sup>3</sup>u z <sup>3</sup>uku za nami. Ledwie wjechalicemy do miasta, jak ju<sup>3</sup>ż wybiegli cieœle, by zerwaæ most zwodzony. Murarze stali gotowi z ceg<sup>3</sup>ami i zapraw<sup>1</sup>, by zamurowaæ bramê. Tak samo zerwano te<sup>3</sup>ż cztery ostatnie mosty zwodzone i zamurowano ostatnie wielkie bramy. Pozosta<sup>3</sup>y teraz tylko ciasne furty wypadowe w wielkim murze. Klucze do nich cesarz powierzy<sup>3</sup> acinnikom.

Ze wszystkich stron nadci<sup>1</sup>gali Turcy, rozsypywali siê i zatrzymywali poza zasiêgiem strza<sup>3</sup>u. Za nimi pêdzono wielkie trzody byd<sup>3</sup>a. Tak<sup>3</sup>e po drugiej stronie Z<sup>3</sup>otego Rogu, na wzgórzach za Per<sup>1</sup>, pojawi<sup>3</sup>y siê nie koñcz<sup>1</sup>ce siê kolumny marszowe. I tak trwa<sup>3</sup>o przez ca<sup>3</sup>y dzieñ. Wieczorem Turcy stali ju<sup>3</sup>ż tak gêsto od Z<sup>3</sup>otego Rogu do morza Marmara, <sup>3</sup>e nawet zaj<sup>1</sup>c nie móg<sup>3</sup>by siê przecelizn<sup>1</sup>æ miêdzy nimi. Ale ca<sup>3</sup>e wojsko zatrzyma<sup>3</sup>o siê w odleg<sup>3</sup>oœci paru tysiêcy kroków. Z murów Turcy wygl<sup>1</sup>dali jak mrówki.

Ma<sup>3</sup>y, tak, ma<sup>3</sup>y jest cz<sup>3</sup>owiek wobec tysi<sup>1</sup>cletniego olbrzymiego muru. Ale czas poch<sup>3</sup>ania wszystko. Nawet najpotê<sup>3</sup>niejszy mur upada pewnego dnia. Wtedy zmieniaj<sup>1</sup> siê epoki.

*6 kwietnia 1453*

Jest pi<sup>1</sup>tek, œwiêty dzieñ islamu. Rano su<sup>3</sup>tan Mehmed je<sup>3</sup>dzi<sup>3</sup> w jasnym s<sup>3</sup>oñcu z wieluosobow<sup>1</sup> œwit<sup>1</sup> wzd<sup>3</sup>u<sup>3</sup> muru. Trzyma<sup>3</sup> siê poza zasiêgiem strza<sup>3</sup>u i nie mo<sup>3</sup>żna by<sup>3</sup>o rozró<sup>3</sup>niæ jego twarzy, ale pozna<sup>3</sup>em go po postawie i dumnie niesionej g<sup>3</sup>owie. Po strojach i nakryciach g<sup>3</sup>owy poznawa<sup>3</sup>em te<sup>3</sup>ż wysoko postawionych mê<sup>3</sup>ów w jego œwicie.

Ani jedna strza<sup>3</sup>a, ani jeden pocisk nie pad<sup>3</sup> z <sup>3</sup>adnej strony. W nocy Turcy zabrali trupy zar<sup>1</sup>banych podczas wypadu. Gdy su<sup>3</sup>tan przejecha<sup>3</sup> wzd<sup>3</sup>u<sup>3</sup> muru, zawróci<sup>3</sup> i wjecha<sup>3</sup> na wzgórze naprzeciw bramy œw. Romana. Tam czeka<sup>3</sup> na niego olbrzymi namiot z baldachimami. Niezliczeni saperzy zajêci byli umacnianiem wzgórza i palisadami.

Nie zsiadaj<sup>1</sup>c z konia su<sup>3</sup>tan wys<sup>3</sup>a<sup>3</sup> teraz herolda ze znakiem pokoju przed bramê. œpiewnym g<sup>3</sup>osem herold wywo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> cesarza Konstantyna i zaofiarowa<sup>3</sup> mu pokój. Jego greczyzna by<sup>3</sup>a <sup>3</sup>amana, ale nikt siê nie œmia<sup>3</sup>. Cesarz Konstantyn wszed<sup>3</sup> do wie<sup>3</sup>zy na wielkim murze i pokaza<sup>3</sup> siê heroldowi. Mia<sup>3</sup> na g<sup>3</sup>owie z<sup>3</sup>ocist<sup>1</sup> pa<sup>3</sup>1kował<sup>1</sup> koronê i otoczony by<sup>3</sup> ceremonialn<sup>1</sup> œwit<sup>1</sup>.

Su<sup>3</sup>tan Mehmed stosowa<sup>3</sup> siê do nakazów Koranu i ofiarowywa<sup>3</sup> pokój oraz dawa<sup>3</sup> s<sup>3</sup>owo, <sup>3</sup>e wszystkim bêdzie darowane <sup>3</sup>ycie, jeżeli miasto podda siê bez oporu. By<sup>3</sup>a to ostatnia szansa wielkiego wezyra Halila, partii pokojowej, by doprowadziæ do rokowań. Myœlê, <sup>3</sup>e Mehmed, kiedy

siedzia<sup>3</sup> tak nieruchomo w siodle daleko na wzgórzu, bardziej niż czego innego obawia<sup>3</sup> się, że jego oferta zostanie przyjęta.

Cesarz Konstantyn kaza<sup>3</sup> Francesowi powtórzyć posłanie, które sułtan otrzyma<sup>3</sup> był już w Adrianopolu. Cienki dworski głos Francesca nie sięga<sup>3</sup> daleko. Łacinnicy Giustinianiego znużyli się szybko s<sup>3</sup>uchaniem i zaczęli miotać obelgi na herolda w zwykły łacinierski sposób. Także Grecy zaczęli krzyżeć, a w końcu podniósł się uparty, bezustanny krzyk wzdłuż całego muru. Grecy nabrali odwagi, gdy usłyszeli własny głos, oczy im zabłysły, a policzki poczerwieniały. Kilku kuszników zaczęło łwawo napinać kusze. Ale cesarz Konstantyn podniósł dłoń i surowo zakazał strzelać do sułtańskiego wysłannika, który stał pod ochroną znaku pokoju.

Herold zawrócił, a kiedy dotarł do sułtana, słońce stało już wysoko na niebie. Nadeszła godzina pośudniowej modlitwy. Mehmed zsiadł z konia. Rozpostarto przed nim modlitewnik i wbito w ziemię dzidę w kierunku, w którym leży Mekka. Sułtan uchwycił prawą ręką lewy przegub dłoni i schylił głowę, przyklęknął na dywanie i przycisnął czoło do ziemi przed swoim Bogiem. Przepisane ablucje opuścił, gdy znajdował się w polu i wody i tak by nie starczyło dla niezliczonych wojowników. Wiele razy przyciska czoło do ziemi, a całe wojsko od morza Marmara do Złotego Rogu uklękało i dotykało czołem do ziemi w takt jego poruszeń. Był to jak gdyby jeden ogromny żyw i ruchliwy dywan, pokrywający ziemię aż po horyzont.

Jakby w odpowiedzi zaczęły dzwonić dzwony we wszystkich kościołach w mieście, a mnisi w klasztorach zawtórowali im kołatkami. Ten stuk i dźwięk przepełnił miasto ufnocił i niosł się przez pola aż do Turków przeszkadzając im w modłach.

Odczytawszy kilka wersetów Mehmed wyciągnął ramiona i ogłosił oblężenie. Ci, co usłyszeli jego słowa, powtarzali je wielkim głosem i krzyk ten ogarniał coraz to nowe szeregi i otoczyło miasto niczym huk morza.

— Oblężenie rozpoczęło się! — wołali Turcy i zaraz całe wojsko zaczęło wymachiwać bronią i zbliżać się biegiem do muru, by od razu ruszyć do szturm. Barwne oddziały toczyły się wielkimi falami i wnet można było z murów rozróżnić morze rozwartych ust i rozwrzeszczanych twarzy. Widok ten był tak przemożny i przerażający, że niedoświadczeni Grecy cofnęli się ze swoich stanowisk i nawet łacinnicy zaczęli napinać łuki i wyciągać miecze.

Ale Turcy zatrzymali się w dobrym szyku około tysiąca kroków od murów, poza zasięgiem strzału z dziać, i zaczęli kopać nieprzerwany rów wokół miasta, dźwigając kamienie i wznosić palisady dla ochrony swego obozu. Tylko kilku janczarów podbiegło do fosy i wyzwano Greków na pojedynek. Oficerowie gwardii cesarskiej łarliwie prosili cesarza o pozwolenie im na pokazanie swej biegłości we władaniu bronią. I nawet wśród zakutych w żelazo łaciniarzy Giustinianiego znaleźli się tacy, którzy chcieli zmierzyć się z janczarami na dwuręczne miecze przeciw krzywym szablom. Ale Giustiniani zakazał surowo wszelkiej brawury.

— Czasy turniejów już minęły — powiedział. — Nie ma sensu, by dobry łowca życie w pojedynku o chwałę. Zostanę tu wezwany, by prowadzić wojnę, a nie dla zabawy.

Wydał zimno rozkaz najlepszym strzelcom, by dobrze wycelowali hakownice i kusze i oddali salwę. Czterech janczarów zginęło od strzały i ołowianych kul. Pozostali wpadli w furję z powodu tego naruszenia czci i dobrych obyczajów i tocząc pianę z ust głośno wołali nazywając Greków i łowców tchórzami, którzy tylko spod osłony murów odważają się strzelać do dzielnych mężów. Lecz kiedy padło dalszych dwóch janczarów, pozostali opamiętali się, podnieśli trupy poległych towarzyszy i usiłowali zabrać je ze sobą. Strzelano już teraz wzdłuż całego muru i wielu zginęło. Ale nowi janczarowie nadbiegali nieustannie, by zbierać trupy nie troszcząc się o kule i strzały. Jednego z zabitych nie pozostawiono pod murem, tylko kilka krwawych plam barwiło trawę.

Podczas gdy wojsko tureckie kopało rowy i budowało palisady, Giustiniani objężdżał mur zewnętrzny usiłując ustalić liczbę Turków. Janczarów, którzy rozbili obóz wokół sułtana, było dwanaście tysięcy, wiedzieliśmy to już przedtem. Spahisów, regularnej jazdy, co najmniej tyleż samo. Giustiniani przypuszcza, że liczba stosunkowo dobrze uzbrojonych, częściowo przybranych w pancerze regularnych łowców sięga stu tysięcy. Do tego dochodzi również wielka liczba pospolitego ruszenia, biedaków, którzy na wezwanie sułtana przyłączyli się do wojska z religijnego zapału i żądzy rabunku i którzy są odziani tylko w szmaty i szachmany i uzbrojeni w miecze albo proce. Niektórzy z nich mają ponadto właski, pokryte skórą tarcze drewniane. Tylko około jednej czwartej ludzi sułtana nosi wataowane skórzane kaftany.

Turków jest przeraźliwie dużo, ale Giustiniani uważa, że wartość bojowa lekkich oddziałów jest nieznacząca. Po swojej przejażdżce nie był ani odrobinę przygnębiony. Zastanawia się tylko, gdzie zatrzymają się słynne działa sułtana.

By dodać otuchy obrońcom, cesarz Konstantyn kazał w porozumieniu z Aloisio Diego, by żagle galer weneckich z rozwiniętymi sztandarami przemaszerowały w paradnym szyku na murze zewnętrznym od końca do końca. Przy dźwięku piszczałek i bębnow potężna chorągiew z lwem cwałowała. Marka powiewała na wietrze. Było to bez wątpienia poważny sukces dyplomatyczny cesarza, gdyż sułtan musiał sobie teraz zdać sprawę, że znajduje się w stanie wojny także i z Wenecją.

Jeszcze nim zapadł wieczór, stało się oczywiste, że za jaką cenę dokonana została ta demonstracja. Cesarz Konstantyn wyprowadził się ze strażnicy przybocznej z Blachern i rozbił obóz koło kwatery Giustinianiego w środku muru. Do opuszczonego pałacu wkroczył wenecki białon na czele weneckiego garnizonu i swoich ochotników. Wieczorem flaga cwałowała. Marka powiewała obok purpurowej chorągwi cesarza. W ten sposób całkiem silnie ufortyfikowany obszar Blachern znajduje się obecnie w rękach Wenecjan. Gdyby miastu rzeczywiście udało się odeprzeć sułtana, objęcie pałacu przez Wenecjan mogłoby nabrać poważnego znaczenia.

Giustiniani i jego zakuci w żelazo łowcy zajmują w każdym razie honorowe miejsce naprzeciw janczarów przy bramie cwałowała. Romana. Giustiniani zebrał tu co najmniej trzy tysiące ludzi ze

swych najlepszych oddzia³ów.

Iluż w takim razie jest wszystkich obroñców? To wiez¹ tylko cesarz i Giustiniani. Ale ten napomkn¹³ raz, że po³owa garnizonu stoi miêdzy bramami œw. Romana i Charisiosa. A wiêc wszystkich obroñców miasta, wliczywszy w to mnichów i rzemieœlników, by³oby nie wiêcej jak nieco ponad szeœæ tysiêcy? Nie mogê w to uwierzyæ. Już sami tylko weneccy żeglarze licz¹ oko³o dwóch tysiêcy ludzi, choæ czêœæ z nich musi strzec portu i okrêtów. Dlatego s¹dzê, że mamy na murach co najmniej dziesiêæ tysiêcy, choæ zaledwie tysi¹c oprócz szeœciuset najemników Giustinianiego ma pe³ny ryszunek.

Powiedzmy dziesiêæ tysiêcy przeciw dwustu tysi¹com. Ale jeszcze nie przyby³y dzia³a su³tana i nie spostrzeżono jego floty.

Natomiast po po³udniu rozlega³y siê od czasu do czasu grzmoty jakby burzy od strony Selymbrii, mimo że niebo by³o jasne. Z majacz¹cych niebiesko na morzu Marmara wysp wznosi siê ku niebu potêżny s³up dymu.

*7 kwietnia 1453*

W nocy przed bram¹ Selymbryjsk¹ wbito na pale nagie i okaleczone zw³oki tych, którzy bronili Selymbrii do ostatniego cz³owieka. Jest czterdzieœci pali i czterdzieœci trupów.

S³uchy z Pery g³osz¹, że flota su³tana przez dwa dni bezskutecznie usi³owa³a szturmowaæ tê ostatni¹ z wież obronnych na wyspach morza Marmara. Wczoraj dowódca tureckiej floty kaza³ nanosiæ drewna wokó³ wieży na ca³¹ jej wysokoœæ i spali³ ca³¹ jej za³ogê.

Grecy umiej¹ umieraæ za ka¿d¹ piêdŸ ziemi swego rozpadaj¹cego siê pañstwa.

Na Wschodzie barbarzyñcy, na Zachodzie barbarzyñcy. Na granicy miêdzy dwoma œwiatami broni siê ostatnie miasto Chrystusa.

Bez nadziei na pomoc. Nawet bez pretensji do s³awy. Nagie, okaleczone trupy, przewiercone palami, otoczone chmurami much.

Zakuty w żelazo od stóp do g³ów, o g³owê wyższy od innych, Giustiniani œmieje siê, podobny do chodz¹cej wieży, z nabrzmi³¹ twarz¹ i zimnymi oczyma. Dzieæ poczuciem do niego nienawieœæ zobaczywszy obroñców Selymbrii.

Walczymy bez nadziei, bez przyszœoci. Nawet jeœli pokonamy su³tana, Konstantynopol stanie siê tylko martwym miastem pod panowaniem³aciñskich barbarzyñców.

Przez ca³e życie unika³em nienawieœci i fanatyzmu. Teraz przepe³niaj¹ one moje serce silnym

9 kwietnia 1453

Po spokojnej niedzieli dziewięć największych galer podp<sup>3</sup>ynę<sup>3</sup>o do portowej zapory i ustawi<sup>3</sup>o siê w szyku obronnym. Oczekuje siê floty tureckiej.

D<sup>3</sup>ugie sznury wo<sup>3</sup>ów wlok<sup>1</sup> wielkie br<sup>1</sup>zowe dzia<sup>3</sup>a Turków.

Za tureckimi liniami liczne trzody wznosz<sup>1</sup> tumany kurzu. Ryk byd<sup>3</sup>a dochodzi a<sup>1</sup> do naszych murów.

Obrona jest przygotowana. Ka<sup>1</sup>dy zna swoje miejsce i swoje zadanie. Cesarz Konstantyn przez ca<sup>3</sup>y dzieñ je<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup> wzd<sup>3</sup>u<sup>1</sup> muru i rozmawia<sup>3</sup> z dowódcami ró<sup>1</sup>żnych odcinków, dodawa<sup>3</sup> otuchy Grekom i sk<sup>3</sup>ada<sup>3</sup> nowe obietnice <sup>3</sup>acinnikom.

11 kwietnia 1453

Wzd<sup>3</sup>u<sup>1</sup> ca<sup>3</sup>ego muru su<sup>3</sup>tan kaza<sup>3</sup> ustawiać oko<sup>3</sup>o stu ma<sup>3</sup>ych dzia<sup>3</sup> i bombard w niewielkich grupkach. Jego du<sup>1</sup>e dzia<sup>3</sup>a zebrane s<sup>1</sup> w czterech punktach: przed bram<sup>1</sup> œw. Romana przed bram<sup>1</sup> Charisiosa i przed bram<sup>1</sup> Kaligaryjsk<sup>1</sup> w Blachernach, gdzie mury s<sup>1</sup> wprawdzie najgrubsze, ale dok<sup>1</sup>d nie siêga fosa. Tak<sup>1</sup>e przed bram<sup>1</sup> Selymbryjsk<sup>1</sup> stoj<sup>1</sup> trzy du<sup>1</sup>e dzia<sup>3</sup>a.

Dzia<sup>3</sup>a przywleczono tak blisko muru, <sup>1</sup>e bystrooki cz<sup>3</sup>owiek mo<sup>1</sup>e rozró<sup>1</sup>nić twarze puszkarzy. W tej chwili przywi<sup>1</sup>zuj<sup>1</sup> i umocowuj<sup>1</sup> lufy do potê<sup>1</sup>nych <sup>3</sup>ó<sup>1</sup> z pni i bloków kamiennych. Setki ludzi roj<sup>1</sup> siê wokó<sup>3</sup> nich pracowicie jak mrówki. Dzia<sup>3</sup>a le<sup>1</sup> niezgrabnie i bezradnie na brzuchu, ale odgaduje siê szybko ich straszliw<sup>1</sup> wielkoœæ, gdy siê porówna ich rozwarte paszcze z lud<sup>1</sup>mi w pobl<sup>1</sup>u. Okr<sup>1</sup>g<sup>3</sup>e kule kamienne, ustawione w stosy obok nich, siêgaj<sup>1</sup> mê<sup>1</sup>czy<sup>1</sup>nie do uda.

Dzia<sup>3</sup>a tak<sup>1</sup>e chronione s<sup>1</sup> rowami i palisadami. Nikt z <sup>3</sup>acinników nie widzia<sup>3</sup> jeszcze nigdy tak du<sup>1</sup>ych dzia<sup>3</sup>. Bêd<sup>1</sup> one poch<sup>3</sup>aniaæ ca<sup>3</sup>e masy prochu i zabijaæ setki ludzi, gdyby pêk<sup>3</sup>y. Tak mówi Giustiniani, aby dodać otuchy swoim <sup>1</sup>o<sup>3</sup>nierzom.

Najwiêksze dzia<sup>3</sup>o, które odla<sup>3</sup> Orbano w Adrianopolu i o którym s<sup>3</sup>uchy kr<sup>1</sup>1y<sup>3</sup>y ju<sup>1</sup> w styczniu, stoi naprzeciwko bramy Kaligaryjskiej, gdzie mur jest najgrubszy. Widocznie su<sup>3</sup>tan rzeczywiêcie wierzy, <sup>1</sup>e jego dzia<sup>3</sup>a dadz<sup>1</sup> radê ka<sup>1</sup>demu murowi. Giustiniani by<sup>3</sup> ciekaw tych armat i uda<sup>3</sup> siê na mur, <sup>1</sup>eby je obejrzać. Kaza<sup>3</sup> mi sobie towarzyszyæ, gdy<sup>1</sup> wszêdzie by<sup>3</sup> spokój. Równocześnie chocia<sup>3</sup> siê dowiedziaæ, jak Wenecjanie czuj<sup>1</sup> siê w Blachernach i przy bramie Charisiosa, gdzie

przechodzi droga do Adrianopola.

Wielu z za<sup>3</sup>ogi opuści<sup>3</sup>o swoje stanowiska i zebra<sup>3</sup>o się grupkami, by zobaczyć te potwory. Tak<sup>3</sup>e z miasta przyszli ludzie i wdrapali się na dach pa<sup>3</sup>acu i na wie<sup>3</sup>ę, by lepiej widzieć te cudowne dzie<sup>3</sup>a.

Niektórzy wskazywali palcami i wo<sup>3</sup>ali, że poznaj<sup>1</sup> Orbana, cho<sup>3</sup>e mia<sup>3</sup> na sobie turecki kaftan honorowy i nakrycie g<sup>3</sup>owy dzie<sup>3</sup>omistrza. Grecy zaczęli wykrzykiwać obelgi i przekleństwa, a cesarscy technicy narychtowali hakownice i mo<sup>3</sup>ździerze i oddali kilka strza<sup>3</sup>ów, by przeszkadzać Turkom w mozolnej pracy przy d<sup>3</sup>wiganiu i podpieraniu wielkiego dzie<sup>3</sup>a. Giustiniani zabroni<sup>3</sup> jednak strzelania, które by<sup>3</sup>o tylko marnowaniem prochu. Wielu Greków poblad<sup>3</sup>o i zas<sup>3</sup>oni<sup>3</sup>o rękami uszy, gdy te niegro<sup>3</sup>ne strza<sup>3</sup>y rozleg<sup>3</sup>y się na murach.

Wenecki bailon Minotto wezwa<sup>3</sup> swych ludzi do szyku i wyst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> naprzód, by przywitać Giustinianiego. Mia<sup>3</sup> u boku syna, który mimo m<sup>3</sup>odego wieku jest kapitanem weneckiej galery. Tak<sup>3</sup>e cesarski technik niemiecki Joann Grant przy<sup>3</sup>czy<sup>3</sup> się do nas. Pierwszy to raz spotka<sup>3</sup>em tego wybitnego cz<sup>3</sup>owieka, o którego bieg<sup>3</sup>ości i umiejętnościach wiele s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>em. By<sup>3</sup> to m<sup>3</sup>ęczyzna w <sup>3</sup>erednim wieku z czarn<sup>1</sup> brod<sup>1</sup>. Czo<sup>3</sup>o mia<sup>3</sup> porane od my<sup>3</sup>eli, a spojrzenie niespokojne i badawcze. Ucieszy<sup>3</sup> się, gdy się dowiedzia<sup>3</sup>, że znam kilka s<sup>3</sup>ów niemieckich. Sam mówi dobrze po <sup>3</sup>acinie i nauczy<sup>3</sup> się już dużo po grecku. Cesarz wzi<sup>13</sup> go do swojej s<sup>3</sup>u<sup>3</sup>by po Orbanie i p<sup>3</sup>aci mu taki sam <sup>3</sup>o<sup>3</sup>d, o jaki nadaremnie prosi<sup>3</sup> Orbano.

Grant powiedział<sup>3</sup>:

— To dzie<sup>3</sup>o to cud sztuki giserskiej przekraczaj<sup>1</sup>cy wszelkie granice mo<sup>3</sup>liwo<sup>3</sup>ści. Wi<sup>3</sup>szego dzie<sup>3</sup>a nikt nie potrafi<sup>3</sup>by opanować. I gdybym nie wiedzia<sup>3</sup>, że już na prób<sup>3</sup>ę strzelano z niego w Adrianopolu, nie uwierzy<sup>3</sup>bym, że zdo<sup>3</sup>a ono wytrzymać ciśnienie swego <sup>3</sup>adunku. Za sto dukatów nie chcia<sup>3</sup>bym stać w pobli<sup>3</sup>u niego, kiedy jest odpalane.

Giustiniani powiedział<sup>3</sup>:

— Ja, biedak, wzi<sup>13</sup>em na siebie bramę <sup>3</sup>ew. Romana, kiedy wszyscy inni milczeli. Ale teraz nie <sup>3</sup>a<sup>3</sup>uj<sup>3</sup>ę jako<sup>3</sup>e swego wyboru. Frajd<sup>3</sup>ę, jak<sup>1</sup> b<sup>3</sup>ęd<sup>1</sup> mieli Wenecjanie, ch<sup>3</sup>ętnie im pozostawiam.

Wenecki bailon odpar<sup>3</sup> dotknięty do <sup>3</sup>ywego:

— Nie wiem, jak b<sup>3</sup>ędziemy mogli <sup>3</sup>dać, by kto<sup>3</sup>e zosta<sup>3</sup> na murze czy w wie<sup>3</sup>y, kiedy to dzie<sup>3</sup>o wypali. Jeste<sup>3</sup>emy przecie<sup>3</sup> tylko kupcami ochotnikami i wielu z nas obros<sup>3</sup>o w sad<sup>3</sup>o. Ja sam cierpi<sup>3</sup>ę na zadyszkę od wchodzenia na mur i mam dolegliwo<sup>3</sup>ści sercowe.

— Co<sup>3</sup>e musisz przecie<sup>3</sup> zap<sup>3</sup>acić za Blacherny. Ale jeżeli chcesz, zamieni<sup>3</sup> ch<sup>3</sup>ętnie mo<sup>3</sup> niewygodn<sup>1</sup> wie<sup>3</sup>ę na <sup>3</sup>o<sup>3</sup>ę cesarskie i przyrzekam wejść na mur jutro rano. Zamieñ się ze mn<sup>1</sup>. Nie mam nic przeciwko temu.



Czerwonołicy bailon spojrz<sup>3</sup> podejrzliwie na Giustinianiego, po czym zmierzy<sup>3</sup> wzrokiem olbrzymie wieże i mury Blachern i porówna<sup>3</sup> je z pozosta<sup>31</sup> częśc<sup>1</sup> muru l<sup>1</sup>dowego. Następnie odpar<sup>3</sup> krótko:

— <sup>̄</sup>artujesz!

Niemiec Joann Grant wybuchn<sup>13</sup> oemiechem i zauważy<sup>3</sup>:

— Cesarscy technicy i ja obliczyliemy dla w<sup>3</sup>asnej rozrywki i udowodniloemy matematycznie, że takiego wielkiego dzia<sup>3</sup>a nie moze na odlae. A nawet gdyby sie uda<sup>3</sup>o, zdo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>oby ono zaledwie wyplae kulê kamienn<sup>1</sup> na ziemiê. Wszystko to moze udowodniae za pomoc<sup>1</sup> cyfr. Jutro zatem powinienem wzi<sup>1</sup>ae swoj<sup>1</sup> tabliczkê mnozenia jako tarczê i ustawiae sie na murze naprzeciw dzia<sup>3</sup>a.

Potem Giustiniani wzi<sup>13</sup> mnie na bok i powiedzia<sup>3</sup>:

— Jeanie Ange, mój przyjacielu. Nikt nie moze wiedziae, co stanie sie rano, gdyz dzia<sup>3</sup> takiej wielkoeci nikt jeszcze nie ogl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>. Moze liwe, ze oni rzeczywioecie kilkoma strza<sup>3</sup>ami zdo<sup>3</sup>aj<sup>1</sup> zrobiae wy<sup>3</sup>om w murze, jakkolwiek ja w to nie wierzê. Zostan tu, zeby obserwowaae to duze dzia<sup>3</sup>o, i zamieszkaj w Blachernach, jezeli Wenecjanie sie na to zgodz<sup>1</sup>. Chcia<sup>3</sup>bym mieae tutaj godnego zaufania cz<sup>3</sup>owieka, dopoki sie nie dowiemy, jakie szkody moze ono wyrz<sup>1</sup>dziae.

Joann Grant wzi<sup>13</sup> mnie pod swoj<sup>1</sup> opiekê, gdyz obaj jesteemy obcy zarowno wero<sup>3</sup>d <sup>3</sup>acinnikow, jak i wero<sup>3</sup>d Grekow. Jest to cz<sup>3</sup>owiek ma<sup>3</sup>omowny, a kiedy coe powie, to przewaznie sarkastycznie. Pokaza<sup>3</sup> mi puste warsztaty przy bramie Kaligaryjskiej, gdzie garstka szewcow greckich, wystraszonych staruszkow, siedzia<sup>3</sup>a jeszcze naprawiaj<sup>1</sup>c z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>nierskie buty. Wszystkich m<sup>3</sup>odych me<sup>3</sup>czyzn, nie wy<sup>31</sup>czaj<sup>1</sup>c uczniow, pos<sup>3</sup>ano na mury. We<sup>3</sup>drowalioemy po korytarzach i salach cesarskiego pa<sup>3</sup>acu, gdzie zamieszkali weneccy kupcy i ochotnicy. Bailon Minotto zaj<sup>13</sup> sypialnie samego cesarza i spêdza noce na puchowych poduszkach i pod purpurowymi ko<sup>3</sup>drami.

Przewody cieplne pa<sup>3</sup>acu pod posadzkami, sk<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup>ce sie z kana<sup>3</sup>ow z ogrzanym powietrzem, poch<sup>3</sup>aniaj<sup>1</sup> nies<sup>3</sup>ychane iloeci drewna. Dlatego tez cesarz zakaza<sup>3</sup> jeszcze wczesn<sup>1</sup> wiosn<sup>1</sup> ogrzewania pa<sup>3</sup>acu, mimo ze noce wci<sup>1</sup>z jeszcze by<sup>3</sup>y zimne. Pragnie on oszczedzae wszelkie drewno w mieocie dla piecow piekarskich i na inne po<sup>3</sup>zyteczne cele, jak rowniez przede wszystkim do naprawiania murow, gdyby Turkom rzeczywioecie uda<sup>3</sup>o sie poczyniae w nich wy<sup>3</sup>omy.

Wieczorem ujrza<sup>3</sup>em, jak weneccy strazacy rozpalaj<sup>1</sup> dla rozgrzewki ognisko na samym oerodku wyszlifowanej do po<sup>3</sup>ysku marmurowej posadzki w wielkiej sali ceremonialnej. Marmur peka, a dym pokrywa czern<sup>1</sup> drogocenne mozaiki pu<sup>3</sup>apu.

*12 kwietnia 1453*

Wsta<sup>3</sup>em o œwicie. Niewielu tylko spa<sup>3</sup>o tej nocy. Grecy modlili siê. ðacinnicy pili zbyt du¿o wina. Kiedy wyszed<sup>3</sup>em w zimny poranek, œelizga<sup>3</sup>em siê na wymiocinach w korytarzach.

S<sup>3</sup>oñce wzesz<sup>3</sup>o po drugiej stronie Bosforu, bardziej promienne ni¿ kiedykolwiek. Wzgórza Azji b<sup>3</sup>yszcz<sup>3</sup>y z<sup>3</sup>otawo¿ó<sup>3</sup>to. ðagodna bryza wia<sup>3</sup>a od morza Marmara.

Z korony muru mog<sup>3</sup>em widzieæ, jak tureccy ¿o<sup>3</sup>nierze odprawiali modlitwy. Myœli moje sz<sup>3</sup>y za myœlami su<sup>3</sup>tana Mehmeda. Chyba nie spa<sup>3</sup> wiele tej nocy. Jeœli ca<sup>3</sup>e miasto trwa<sup>3</sup>o w pe<sup>3</sup>nym napiêcia oczekiwaniu, to i jego serce parali¿owa<sup>3</sup>o z pewnoœci<sup>1</sup> takie samo oczekiwanie.

Potem ujrzelicemy su<sup>3</sup>tana na œnie¿nobia<sup>3</sup>ym rumaku wyje¿d¿aj<sup>1</sup>cego na wzgórze naprzeciwno nas w otoczeniu najwy¿szych dowódców i œwity zielono odzianych czauszów. Buñczuki paszów i wezyrów powiewa<sup>3</sup>y na drzewcach. Przyby<sup>3</sup> tu patrzeæ na swoje najwiêksze dzie<sup>3</sup>o, ale ostro¿nie zatrzyma<sup>3</sup> siê w odleg<sup>3</sup>oœci piêciuset kroków od niego. Konie odprowadzono na bok. Gdy tureccy puszkarze zaczêli uciekaæ od wielkiego dzie<sup>3</sup>a zostawiaj<sup>1</sup>c przy nim tylko na wpó<sup>3</sup> nagiego niewolnika, który wymachiwa<sup>3</sup> dymi<sup>1</sup>cym lontem na d<sup>3</sup>ugiej tyczce, by go rozpaliaæ, bailon straci<sup>3</sup> zimm<sup>1</sup> krew i kaza<sup>3</sup> za<sup>3</sup>odze opró¿niaæ wystawiony na ostrza<sup>3</sup> odcinek muru. Rozkaz zosta<sup>3</sup> dobrze przyjêty i sprawi<sup>3</sup>, ¿e nawet najdzielniejsi rzucili siê do ucieczki niczym wystraszone owce.

Wtem nast<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> b<sup>3</sup>ysek i dolecia<sup>3</sup> grzmot straszniejszy ni¿ najwiêksze grzmoty na burzê. Mur zadygota<sup>3</sup> jak od trzêsnienia ziemi. Straci<sup>3</sup>em oparcie pod stopami i upad<sup>3</sup>em jak wielu innych. Potê¿na czarna chmura dymu prochowego skry<sup>3</sup>a dzie<sup>3</sup>o pod naszymi oczami. PóŸniej dowiedzia<sup>3</sup>em siê, ¿e w pobliskich domach talerze pospada<sup>3</sup>y ze sto<sup>3</sup>ów, a woda w wiadrach przela<sup>3</sup>a siê przez brzegi. Zakoleba<sup>3</sup>y siê tak¿e statki w porcie.

Gdy tylko wiatr przegna<sup>3</sup> dym prochowy i chmurê kurzu, spostrzeg<sup>3</sup>em, ¿e tureccy puszkarze z ciekawoœci podbiegli a¿ do muru pokazuj<sup>1</sup>c sobie nawzajem skutki wystrza<sup>3</sup>u. Widzia<sup>3</sup>em, jak krzycz<sup>1</sup> i wymachuj<sup>1</sup> rêkami, ale nic nie s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>em. Huk og<sup>3</sup>uszy<sup>3</sup> mnie zupe<sup>3</sup>nie. Ja te¿ krzycz<sup>3</sup>em, ale nikt mnie nie s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>. Dopiero gdy szarpn<sup>13</sup>em kilku og<sup>3</sup>uszonych kuszników za ramiê, zaczêli naci<sup>1</sup>gaæ kusze. Ale w zamieszaniu chybiali celu. Ńadnego Turka nie raniono, mimo ¿e strzelano do nich ze strzelnic na wie¿y i otworów w murze. Puszkarze tak byli napiêci, ¿e rzucali tylko roztargnione spojrzenia na strza<sup>3</sup>y, które wbija<sup>3</sup>y siê w ziemiê obok nich, kiedy z wolna wracali do swego dzie<sup>3</sup>a, ¿ywo rozmawiaj<sup>1</sup>c i potrzeb<sup>1</sup>saj<sup>1</sup>c g<sup>3</sup>owami, jakby niezadowoleni z tego, co zobaczyli.

Ogromna kamienna kula mimo swego ciê¿aru zrobi<sup>3</sup>a tylko do<sup>3</sup>ek w murze, nawet nie tak wielki jak ma<sup>3</sup>a izdebka, i oczywiêcie rozpad<sup>3</sup>a siê na tysi<sup>1</sup>ce od<sup>3</sup>amków. Ale fundamentów muru nie naruszy<sup>3</sup>a.

W dali widzia<sup>3</sup>em samego Orbana z szeroko otwartymi ustami, jak wywija lask<sup>1</sup> dowódcy i wydaje rozkazy. Gromada ¿o<sup>3</sup>nierzy roi<sup>3</sup>a siê wokó<sup>3</sup> dzie<sup>3</sup>a, owijaj<sup>1</sup>c je w grube we<sup>3</sup>niane p<sup>3</sup>achty, ¿eby spi¿ nie och<sup>3</sup>ódn<sup>3</sup> zbyt szybko, i wlewaj<sup>1</sup>c ca<sup>3</sup>e bary<sup>3</sup>ki jadalnej oliwy w jego ogromn<sup>1</sup> paszczê, ¿eby namœciaæ metal po straszliwym wysi<sup>3</sup>ku.

Z dala, od strony bram Charisiosa i  ew. Romana, rozleg<sup>3</sup> si  teraz nowy straszliwy huk. Widzia<sup>3</sup>em b<sup>3</sup>ycki i chmury dymu prochowego, ale wybuchy brzmia<sup>3</sup>y s<sup>3</sup>abo, tak by<sup>3</sup>em og<sup>3</sup>uszony.

Tylko su<sup>3</sup>tan Mehmed trwa<sup>3</sup> wci<sup>1</sup>  wyprostowany, gdy ca<sup>3</sup>a jego  ewita, nie wy<sup>3</sup>czaj<sup>1</sup>c czausz w, rzuci<sup>3</sup>a si  na ziemi . Sta<sup>3</sup> dalej nieruchomo i wpatrywa<sup>3</sup> si  w mur, podczas gdy jego dow dcy otrzepywali kurz z odzie y. By  mo e rzeczywi cie <sup>3</sup>udzi<sup>3</sup> si  nadziej<sup>1</sup>,  e jeden jedyny wystrza<sup>3</sup> z tak olbrzymiego dzia<sup>3</sup>a zdo<sup>3</sup>a zwaia  dwudziestostopowy mur.

Kiedy Orbano kaza<sup>3</sup> okry  starannie wielkie dzia<sup>3</sup>o, wypalono z dwu mniejszych ustawionych po obu jego stronach. S<sup>1</sup> one bardzo pot ne, ale mimo to wydaj<sup>1</sup> si  tylko nie wyroceni tymi prosiakami wobec du ej maciory, kt ra stoi mi dzy nimi. Puszkarze odpalili je nie szukaj<sup>1</sup>c nawet os<sup>3</sup>ony.

Oba b<sup>3</sup>ycki, kt re nast<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>y tu  po sobie, o lepi<sup>3</sup>y mnie na chwil , a czarna jak smo<sup>3</sup>a chmura dymu prochowego, kt ra wiruj<sup>1</sup>c strzeli<sup>3</sup>a w g r  i towarzyszy<sup>3</sup>a kulom, zas<sup>3</sup>oni<sup>3</sup>a widok i osmali<sup>3</sup>a kanonier w. Kamienne kule trafi<sup>3</sup>y w mur niemal w tym samym miejscu, gdzie uderzy<sup>3</sup>a du a kula. Mur zadygota<sup>3</sup> i w ob<sup>3</sup>oku kurzu, kt ry si  wzni s<sup>3</sup>, zawirowa<sup>3</sup> grad kamiennych od<sup>3</sup>amk w, kt re zrani<sup>3</sup>y jednego Wenecjanina. Ale kiedy zesli emy na d <sup>3</sup>,  eby zbada  uszkodzenia, ujrzeli emy,  e s<sup>1</sup> one mniejsze, ni  mo na by<sup>3</sup>o oczekiwa . Mur pod Blachernami wytrzyma<sup>3</sup> pr b . Bailon Minotto zacemia<sup>3</sup> si  g<sup>3</sup>oceno z ulgi i zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> z radoceci<sup>1</sup> do swoich ludzi:

— Na Ducha  ewi tego, nie potrzebujemy si  ba  i mo emy nabra  otuchy. Takich kamiennych groszk w su<sup>3</sup>tan mo e ciska  na nas tuzin dziennie bez uszkodzenia muru.

Ale podczas gdy Turcy dogl<sup>1</sup>dali swoich dzia<sup>3</sup> jak chorych bydl<sup>1</sup>t, Joann Grant zap dzi<sup>3</sup> do roboty ca<sup>3</sup>1 za<sup>3</sup>og . Wiedz<sup>1</sup>c ju , na jaki punkt nacelowane s<sup>1</sup> dzia<sup>3</sup>a, kaza<sup>3</sup> spu cia  w d <sup>3</sup> ogromne sk rzane wory wypchane we<sup>3</sup>n<sup>1</sup>, bawe<sup>3</sup>n<sup>1</sup> i traw<sup>1</sup>,  eby os<sup>3</sup>onia  wyrwy w powierzchni muru. I on by<sup>3</sup> dobrej myceci i uwa a<sup>3</sup>,  e szkody mo na <sup>3</sup>atwo naprawia  w ci<sup>1</sup>gu nocy.

Niebawem rozleg<sup>3</sup>y si  nowe grzmoty i mur znowu zatrzs<sup>1</sup>s<sup>3</sup> si  pod moimi stopami. Tak e z setek ma<sup>3</sup>yich kolubryn i serpentyn su<sup>3</sup>tana utworzono teraz ogie , a kr tkie, grube bombardy zacz <sup>3</sup>y miota  kamienne kule wysokimi <sup>3</sup>ukami. Wiele z nich przelecia<sup>3</sup>o nad murami do miasta, gdzie zmia d y<sup>3</sup>y kilka dom w, zanim strzelcy nauczyli si  oblicza  ilo c  prochu i ustawia  bombardy pod w<sup>3</sup>aceciwym k<sup>1</sup>tem. Doko<sup>3</sup>a rozbrzmiewa<sup>3</sup> nieustanny huk, a rozproszone grupy Turk w zacz <sup>3</sup>y biec w stron  fosy, uderzaj<sup>1</sup>c w mosi ne talerze i wychwalaj<sup>1</sup>c na ca<sup>3</sup>e gard<sup>3</sup>o Allacha. Ale i obro cy zacz li z wolna przyzwyczajaa  si  do ognia i celowali dobrze, tak  e wielu Turk w pad<sup>3</sup>o przy fosie, a ich towarzysze poniececi straty, kiedy zbierali trupy.

Ruszy<sup>3</sup>em koron<sup>1</sup> zewn trznego muru do bramy  ew. Romana, by powiadomia  Giustinianiego,  e wielkie dzia<sup>3</sup>o nie okaza<sup>3</sup>o si  na razie tak straszliwe, jak s<sup>1</sup>dzono. Od czasu do czasu musia<sup>3</sup>em przebiec kilka krok w,  eby zd<sup>1</sup> y  pod os<sup>3</sup>on  nast pnej blanki przed  ewiszcz<sup>1</sup>cymi strza<sup>3</sup>ami i o<sup>3</sup>owanymi pociskami.

Na odcinku między pa<sup>3</sup>acem Porfirogenety i bram<sup>1</sup> Charisiosa obrońcy mieli poważne miny. Pierwsze strza<sup>3</sup>y z czterech dużych dzia<sup>3</sup> zerwa<sup>3</sup>y blanki z muru i z trzech ludzi zrobi<sup>3</sup>y krwaw<sup>1</sup> miazgê. Dziesięciu innych dozna<sup>3</sup>o ran od kamiennych od<sup>3</sup>amków i musiano ich wlec do miasta przez bramê wypadow<sup>1</sup> w wielkim murze, by ich opatrzone. Zosta<sup>3</sup>y po nich ka<sup>3</sup>u<sup>3</sup>e krwi na koronie muru, a obrońcy patrzyli niespokojnie w stronê dzia<sup>3</sup>, do których Turcy za<sup>3</sup>o<sup>3</sup>u<sup>3</sup>li ju<sup>3</sup> nowe <sup>3</sup>adunki i chlusnêli w celad za tym mokrej gliny, <sup>3</sup>eby zatkaæ wszelkie otwory przed wloczeniem kuli do lufy.

Tego odcinka broni<sup>1</sup> trzech bracia Guacchardi, m<sup>3</sup>odzi weneccy poszukiwacze szczêœcia, którzy sami p<sup>3</sup>ac<sup>1</sup> <sup>3</sup>o<sup>3</sup>d swoim ludziom i dali siê zwerbowaæ cesarzowi. Chodzili tam i z powrotem po murze od jednego <sup>3</sup>o<sup>3</sup>nierza do drugiego, dodawali otuchy nieprzywyk<sup>3</sup>ym, klepali ich po ramionach i mówili, <sup>3</sup>e niebezpieczeństwo nie jest tak wielkie, jak to sobie wyobra<sup>3</sup>aj<sup>1</sup>. Byli ciekawi, jakie szkody wyrz<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>o wielkie dzia<sup>3</sup>o, i zatrzyma<sup>3</sup>em siê u nich przez chwilê, by samemu móc zobaczyæ skutki nastêpnego strza<sup>3</sup>u Turków. Zaprosili mnie na wino do wie<sup>3</sup>cy, któr<sup>1</sup> upatrzyli sobie na kwatery. Kazali tam naznosiæ z Blachern drogocennych dywanów, draperii i miêkkich poduszek i urz<sup>1</sup>dzili siê wygodnie na kamiennych <sup>3</sup>awach.

W oczekiwaniu na strza<sup>3</sup> opowiadali leniwie o swoich doœwiadczeniach z greckimi kobietami w Konstantynopolu i wypytywali mnie o obyczaje Turczynek. <sup>3</sup>aden z nich nie mia<sup>3</sup> jeszcze trzydziestki. Widaæ by<sup>3</sup>o, <sup>3</sup>e s<sup>1</sup> to po prostu <sup>3</sup> dni przygód m<sup>3</sup>odziœncy, którzy wybrali sobie ten zawód z pragnienia odmiany, s<sup>3</sup>awy i pieniêdzy. Wydawali siê gotowi stan<sup>1</sup>æ w ka<sup>3</sup>dej chwili beztrosko przed obliczem Boga z g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> pe<sup>3</sup>n<sup>1</sup> wina i sercem pe<sup>3</sup>nym wspomnieñ po piêknych domach. Dostali przecie<sup>3</sup> odpust zupe<sup>3</sup>ny za wszelkie pope<sup>3</sup>nione i przysz<sup>3</sup>e grzechy. Nie mia<sup>3</sup>em zamiaru ich potêpiaæ. Przeciwnie, odczuwa<sup>3</sup>em swego rodzaju zawioææ wobec tej p<sup>3</sup>omiennej m<sup>3</sup>odoœci, której nie zatr<sup>3</sup>a jeszcze gorycz<sup>1</sup> <sup>3</sup>adna filozofia.

Turcy wybili tymczasem kliny spod armat i wycelowali je ni<sup>3</sup>ej, w podnó<sup>3</sup>e zewnêtrznego muru. Z muru zawo<sup>3</sup>ano, <sup>3</sup>e ju<sup>3</sup> wymachuj<sup>1</sup> lontami, i bracia Guacchardi po kolei rzucili szybko koœci, komu przypadnie chwa<sup>3</sup>a, by stan<sup>1</sup>æ na murze dla dania obroñcom dobrego przyk<sup>3</sup>adu. Najm<sup>3</sup>odszy rzuci<sup>3</sup> same szóstki i podniecony swym szczêœciem wybieg<sup>3</sup> na koronê muru ze wzrokiem loeni<sup>1</sup>cym od zapa<sup>3</sup>u i wina. Znalaz<sup>3</sup>szy siê naprzeciw dzia<sup>3</sup> wyst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> szybko miêdzy blanki, zamacha<sup>3</sup> zakutymi w pancerz ramionami, <sup>3</sup>eby œci<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>æ na siebie uwagê Turków, i zacz<sup>13</sup> wykrzykiwaæ obelgi po turecku, a<sup>3</sup> siê za niego wstydzi<sup>3</sup>em. Ale kiedy przy<sup>3</sup>o<sup>3</sup>ono do panewek lonty, schroni<sup>3</sup> siê przezornie za blank<sup>1</sup> muru czepiaj<sup>1</sup>c jej siê mocno.

Ze wszystkich trzech dzia<sup>3</sup> dano ognia niemal równoczenie, salwa og<sup>3</sup>uszy<sup>3</sup>a nas i mur zadr<sup>3</sup>a<sup>3</sup> pod naszymi stopami. Gdy dym i kurz rozproszy<sup>3</sup>y siê, ujrzelicemy m<sup>3</sup>odego Guacchardi nie tkniêtego: sta<sup>3</sup> na szeroko rozstawionych nogach na swoim miejscu. Ale kule uderzy<sup>3</sup>y tu<sup>3</sup> nad brzegiem fosy i zmiot<sup>3</sup>y wa<sup>3</sup> oraz wyrwa<sup>3</sup>y du<sup>3</sup>e od<sup>3</sup>amki z muru zewnêtrznego. Widaæ by<sup>3</sup>o wyra<sup>3</sup>nie, <sup>3</sup>e ostrzeliwanie z czasem wyrz<sup>1</sup>dzi poważne szkody i z wolna, ale pewnie przegryzie mur.

Od dzia<sup>3</sup> s<sup>3</sup>ychaæ by<sup>3</sup>o a<sup>3</sup> do nas okropne krzyki i biadania. Ujrzelicemy, <sup>3</sup>e lewe dzia<sup>3</sup>o zerwa<sup>3</sup>o liny i odskoczy<sup>3</sup>o z <sup>3</sup>o<sup>3</sup>a, odrzucaj<sup>1</sup>c daleko k<sup>3</sup>ody i kamienne bloki. Co najmniej dwóch puszkarzy

zosta³o zmiãd³onych. Ale pozostali nie troszczyli siê o swoich towarzyszy, lecz podbiegli do dzia³, by owin¹æ je w ogrzewaj¹ce p³achty i daæ im do picia oliwy z oliwek. Wielkie dzia³a by³y cenniejsze ni¿ ¿ycie ludzkie.

Kiedy szed³em dalej wzd³u¿ muru, Turcy strzelali nieprzerwanie z dzia³ i hakownic, walili w cymba³y, dëli w rogi, bili w bêbny i szturmowali ma³ymi grupkami a¿ do fosy, staraj¹c siê ustrzeliaæ kogoœ z za³ogi. Zakuci w ¿elazo ¿o³nierze Giustinianiego nie dbali nawet o to, by uchylaæ siê przed strza³ami —³ama³y siê ze szczêkiem na ich napierœnikach i pancerzach.

W³acenie kiedy dotar³em do odcinka Giustinianiego, zagrzmia³y du¿e dzia³a naprzeciw bramy œw. Romana. Kawa³ek korony zewnêtrznego muru zawali³ siê i niezliczone kamienne od³amki œwiszcza³y w powietrzu. Gard³o wype³ni³ mi wapienny py³ do tego stopnia, ¿e omal nie udusi³em siê od kaszlu, a truj¹cy dym prochowy osmali³ mi rêce i twarz. Wokó³ s³ysza³em przekleñstwa i biadania, a wielu wzywa³o po grecku Matkê Bosk¹. Tu¿ obok mnie pad³ jakieœ nieszczêsný robotnik, który nosi³ kamienie na mur. Krew la³a mu siê ze zmiãd³onego boku.

— Jezusie, Synu Bo¿y, zmi³uj siê nade mn¹! — wyjêcza³ i wyzion¹³ ducha nie musz¹c wiêcej cierpieæ.

Szczêkaj¹c pancerzem podbieg³ ku mnie Giustiniani, ¿eby zbadaæ szkody wyrz¹dzone strza³ami. Podniós³ przy³bicê i zobaczy³em, ¿e jego okr¹g³e wole oczy p³on¹ zielon¹ ¿¹dz¹ walki. Wpatrzy³ siê we mnie, jakby mnie nie poznawa³, i zawo³a³:

— Walka siê zaczê³a. Czy prze¿ywa³eœ kiedyœ piêkniejszy dzieñ?

Zaczerpn¹³ g³êboko tchu, by poczuæ odór prochu i gor¹cej krwi, a pancerz szczêka³ na jego potê¿nym ciele. Zmieni³ siê, by³ ca³kiem inny ni¿ ten trzeŸwy, rozwa¿ny dowódcã, którego zna³em. Tak jakby dopiero teraz znalaz³ siê w swoim w³acciwym ¿ywiœle i rozkoszowa³ siê hukiem i og³uszaj¹cym ha³asem wokó³ siebie.

Znowu zadr¿a³ mur pod naszymi stopami, huk wstrz¹sn¹³ niebem i ziemi¹ i w powietrzu pociemnia³o. Wypalono po raz drugi z du¿ego dzia³a przy bramie Kaligaryjskiej. ¯adnego innego dŸwiêku nie mo¿na porównaæ z tym hukiem. S³oñce ¿arzy³o siê jak kula za chmur¹ kurzu i dymu. Obliczy³em czas i stwierdzi³em, ¿e trzeba by³o oko³o dwóch godzin na och³odzenie, wyczyszczenie, wycelowanie i nabicie du¿ego dzia³a.

— S³ysza³eœ ju¿ chyba, ¿e przys³a flota turecka! — krzycza³ Giustiniani. — Naliczono trzysta ¿agli, ale wiêksza czêœæ to statki transportowe, a galery bojowe s¹ lekkie i smuk³e w porównaniu z³aciñskimi. Wenecjanie czekali przy zaporze z dusz¹ na ramieniu, ale flota przep³ynê³a obok i rzuci³a kotwice przy Bosforze po drugiej stronie Pery.

Mówi³ swobodnie i weso³o, jakby wszystkie troski znik³y uniesione przez wiatr, mimo ¿e du¿e

dzia³a Turków zaledwie dwoma strza³ami znios³y wa³ i uszkodzi³y mur zewnêtrzny tak, ¿e pêk³ w paru miejscach od góry do do³u. Rykiem nakaza³ przestraszonym greckim robotnikom, by zabrali martwe cia³o swego towarzysza. Skulili siê oni w uliczce miêdzy murem zewnêtrznym i wielkim murem i wo³ali, by wypuszczono ich do miasta przez bramê wypadow¹. Byli zwyk³ymi robotnikami i nie zaci¹gnêli siê po to, ¿eby biaæ siê z Turkami dla ³acinników.

W koñcu dwóch z nich wylaz³o na mur zewnêtrzny. Uklêkli przy zw³okach swego towarzysza i wybuchnêli gorzkim p³aczem, gdy zobaczyli, jak bardzo zmasakrowa³y go kamienne od³amki. Niezgrabnymi, brudnymi d³oñmi oczyœcili mu z wapiennego py³u brodê i twarz i dotykali stygn¹cych cz³onków, jak gdyby nie chc¹c uwierzyæ, ¿e umar³ tak nagle. Potem za¿¹dali srebrnej monety od Giustinianiego, ¿eby zanieœæ zw³oki do miasta.

Giustiniani zakl¹³ i powiedzia³:

— Jeanie Ange, dla takich to chciwych ³obuzów bronieê chrzeœcijañstwa.

Grecka krew odezwa³a siê we mnie g³oœno, gdy patrzy³em na tych bezbronnych biedaków, którzy nawet nie mieli he³mów ani skórzanych kaftanów dla os³ony, tylko swoje poplamione od pracy opoñcze.

— To ich miasto — odpar³em. — Sam siê podj¹³eœ obrony muru w tym miejscu. Bierzesz od cesarza ¿o³d. Dlatego musisz p³aciæ greckim robotnikom, jeœli nie chcesz, by twoi ludzie sami naprawiali mur. Taka jest umowa. Jesteœ chciwym ³obuzem, skoro zmuszasz tych bezbronnych ludzi, by pracowali bez zap³aty. Za co maj¹ kupiaæ sobie ¿ywnoœæ i wykarmiaæ rodziny? Cesarz nie opiekuje siê nimi.

I doda³em:

— Ma³a srebrna moneta znaczy dla nich tyle, co dla ciebie ksi¹¿êca korona. Nie jesteœ lepszy od nich. Z chciwoœci i ¿¹dzy s³awy sprzeda³eœ siê cesarzowi.

Giustiniani by³ upojony rozpoczynaj¹c¹ siê walk¹ i nie rozgniewa³ siê na mnie.

— Mo¿na by myœleæ, ¿eœ Grek, tak przekrêcasz rzeczy oczywiste — burkn¹³, ale mimo to rzuci³ Grekom srebrnika. Mê¿czyŹni chwycili szybko poleg³ego towarzysza i znieœli go z muru. Krew skapywa³a na wydeptane stopnie schodów.

Niespokojna noc. W mieście niewiele tylko osób spało. Poćrodku nocy ziemia zadygotała znowu od strzału z wielkiego działa, a potężny płomień wylotowy rozświetliło niebo. Przez całą noc pracowano, by wypełnić ponownie szczeliny w murze i przykryć zagrożone miejsca workami z wełną i sianem.

Flota turecka stanęła w porcie Pelar. Ze statków wyładowują ogromne masy drewna i kamiennych kul. Weneckie wielkie galery stoją nadal przy zaporze, przygotowane na natarcie przez całą noc.

W ciągu jasnej części doby działa tureckie zdają oddać po sześć strzałów każde. Wygląda na to, że mur przy bramie Kaligaryjskiej będzie najwytrzymalszy, choć to wzięcie owo wielkie działanie ostrzeliwuje. Weneccy w pałacu patrzą teraz z czcią na ikonę Najświętszej Dziewicy w Blachernach i zaczęli wierzyć Grekom, którzy twierdzą, że cuda czyniła Panaghia osłania ściany murów pałacu.

Ani jeden wojownik nie poległ dotychczas, ale dwóch jest ciężko rannych. Zbroje stanowi dobrą osłonę. Z rzemieślników i mnichów powołanych pod broń wielu już padło na odcinku między bramą Złotą i bramą Rhesiasa. W ten sposób nauczyli się w końcu, że lepiej nosić niewygodny hełm i nie narzekać, że rzemienie pancerzy uwierają.

Doświadczenie bojowe ludzi wzrasta. Im więcej ich pada, tym bardziej rośnie nienawiść do Turków. Z miasta przychodzi do murów wiele kobiet i starców. Nurzają rękami szat we krwi poległych i błogosławią ich jako męczenników wiary.

Człowiek przyzwyczaja się do śmierci. Z pewnością zdają przywyknąć do wszystkiego. Nawet do huków wielkich dział, do tego, że ziemia się trzęsie, mury walą, odłamki oemigają w powietrzu, choć i ja osobiście jeszcze wczoraj sidiłem, że pozostanie to na zawsze czymś strasznym. Ale ucisk w sercu już mi zelżał i oddech uspokoił się.

14 kwietnia 1453

Pięć to jedno z tureckich wielkich dział, tak że ze szczeliny w lufie buchnie dym. Ostrzeliwanie idzie już powolniej. Turcy pobudowali kućnie przy stanowiskach dział i wzmacniają je żelaznymi pierścieniami. Orbano kazał zbudować odlewnię na zboczu za tureckim obozem. Po nocach bije stamtąd ku niebu czerwona kula. Turcy topią miedź i cynę przez okrągłe doły. Żydowski handlarz, który przechodzi przez Perę, opowiada, że widział setki niewolników przy pracy wokół ogromnych dołów, w których ustawione są formy do odlewania dział. Pogoda jest piękna i niebo czyste. Grecy mają wszelkie powody, by modlić się o deszcz, gdyż jeżeli woda spadłaby do tych form, pięć by

one przy odlewaniu, jak mówi Niemiec Grant.

Jest to marzyciel i cz<sup>3</sup>owiek dziwny. Nie dba ani o kobiety, ani o wino. Cesarscy technicy ustawili na murze zewnêtrznym wiele staroœwieckich balist i katapult, ale ich donocenoœæ jest ma<sup>3</sup>a i nie przynosz<sup>1</sup> one ¿adnego po¿ytku, dopóki Turcy nie pójd<sup>1</sup> do szturm. Grant porobi<sup>3</sup> rysunki, które pokazuj<sup>1</sup>, jak te mechiny mo¿na by ulepszyæ i uczyniæ l¿ejszymi, gdy¿ budowano je tak samo od czasów Aleksandra. Gdy tylko ma czas, odwiedza cesarsk<sup>1</sup> bibliotekê, by studiowaæ stare pisma.

Siwow<sup>3</sup>osy bibliotekarz cesarza czuwa zazdroœnie nad ksiêgami, nie wypo¿ycza ich i nie pozwala nikomu zapalaæ œwiat<sup>3</sup>a ani lampy w czytelni. Kodeksy wolno czytaæ tylko przy œwietle dziennym. Chowa przed <sup>3</sup>acinnikami katalogi biblioteczne i trz<sup>1</sup>s<sup>3</sup> tylko dr¿<sup>1</sup>c<sup>1</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>, gdy Grant zapyta<sup>3</sup> o pisma Archimedes. Nie ma ich w bibliotece, oœwiadczy<sup>3</sup> gniewnie. Gdyby Grant choæ raz poprosi<sup>3</sup> o ojców koœcio<sup>3</sup>a albo greckich filozofów, by<sup>3</sup>by mo¿e lepiej przyjêty. Ale on czyta tylko o technice i matematyce. Dlatego cesarski bibliotekarz traktuje go jak godnego pogardy barbarzyñcê.

Kiedy rozmawialiœmy o tym, Grant powiedzia<sup>3</sup>:

— Archimedes i Pitagoras umieli budowaæ maszyny, które przemieni<sup>3</sup>yby œwiat. Dawni mêdrzy znali sztukê polegaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> na tym, by kazaæ wodzie i parze wykonywaæ pracê ludzk<sup>1</sup>. Ale nikt nie potrzebowa<sup>3</sup> niczego takiego. Tote¿ nie dbali o to, by te sztuki rozwijaæ, lecz zwrócili myœli do tajemnych nauk i idei Platona, uwa¿aj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> œwiat nadprzyrodzony za coœ wiêcej od rzeczywistego. Ale w ich zapomnianych pismach mo¿na znaleŹæ wskazówki, które przydaj<sup>1</sup> siê tak¿e artystom naszych czasów.

Odpar<sup>3</sup>em:

— Jeœli byli to ludzie m<sup>1</sup>drzy, mêdrsi od nas, dlaczego zatem im nie wierzysz i nie idziesz za ich przyk<sup>3</sup>adem? Na có¿ przyda siê cz<sup>3</sup>owiekowi, jeœli z<sup>3</sup>o¿y ca<sup>31</sup> naturê u swych stóp, ale poniesie szkodê na duszy?

Grant przygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> mi siê swym niespokojnym, badawczym wzrokiem. Jego miêkka broda jest kruczoczarna, a twarz poorana od nocnego czuwania i rozmyœlania. Jest to m<sup>1</sup>¿ postawny i wzbudza<sup>1</sup>cy trwogê. Huk wielkiego dzia<sup>3</sup>a sprawi<sup>3</sup>, ¿e budynek biblioteki zadr¿a<sup>3</sup> i drobne chmurki py<sup>3</sup>u wytrysnê<sup>3</sup>y ze szczelin w pu<sup>3</sup>apie i unosi<sup>3</sup>y siê w promieniach s<sup>3</sup>oñca z w<sup>1</sup>skiego okienka.

— Nie boisz siê œmierci, Johannesie Angelosie? — zapyta<sup>3</sup>.

— Moje cia<sup>3</sup>o boi siê œmierci — odpar<sup>3</sup>em. — Moje cia<sup>3</sup>o lêka siê ziemskiego zniszczenia i huk dzia<sup>3</sup>a sprawi<sup>3</sup>, i¿ nogi mi siê trzê<sup>1</sup>. Ale mój duch nie boi siê.

— Gdybyœ by<sup>3</sup> bardziej doœwiadczony, ba<sup>3</sup>byœ siê wiêcej — stwierdzi<sup>3</sup>. — Gdybyœ widzia<sup>3</sup> by<sup>3</sup> jeszcze wiêcej wojny i œmierci, tak¿e i twój duch odczuwa<sup>3</sup>by strach. Tylko niedoœwiadczony



wojownik jest bez lęku. Prawdziwe bohaterstwo to przezwyciężenie lęku, a nie jego brak.

Wskaza<sup>3</sup> na setki złotych figur i cynobrowych sentencji na ościanach czytelnicy, na ogromne folianty, które w ciężkich okutych srebrem i ozdobionych klejnotami ok<sup>3</sup>adkach spoczywa<sup>3</sup>y przymocowane<sup>3</sup> ańcuchami do pulpitów.

— Ja obawiam się śmierci — rzek<sup>3</sup>. — Ale ważniejsza od lęku jest wiedza. Moja wiedza dotyczy spraw ziemskich, gdyż umiejętności niebiańskie nie mają<sup>1</sup> żadnego praktycznego znaczenia. Toteż kraje mi się serce, gdy patrzę na ten gmach. Tu leż<sup>1</sup> pochowane ostatnie niezast<sup>1</sup>pione resztki m<sup>1</sup>drości dawnych mędrców. Nikt nawet nie zadba<sup>3</sup>, żeby spisać, co tu jest. Szczury ponadgryza<sup>3</sup>y manuskrypty w sklepionych piwnicach. Filozofów i ojców kościo<sup>3</sup>a szanowano, ale matematyk<sup>1</sup> i technik<sup>1</sup> karmiono szczury. A ten chciwy starzec nie rozumie nawet, że nic by nie straci<sup>3</sup>, gdyby mi pozwoli<sup>3</sup> grzebać w swoim lochu i zapalić świat<sup>3</sup>o, by szukać tej niezast<sup>1</sup>pionej i odrzuconej m<sup>1</sup>drości, której strzeżę. Gdy przyjd<sup>1</sup> Turcy, także i ten budynek zdany będzie na pastwę p<sup>3</sup>omieni i dymu i rękopisy syciąć będą<sup>1</sup> ogniska, na których gotuje się stawa.

— Gdy Turcy przyjd<sup>1</sup>, powiadasz... — wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup>em. — Nie wierzysz zatem, żebyśmy mogli bronić się z powodzeniem?

Uśmiechn<sup>13</sup> się.

— Ja mierzę ziemskimi miarami — odpar<sup>3</sup>. — Miarami praktycznego rozs<sup>1</sup>dku. Dlatego też nie żywię częściej nadziei, jak może czyni<sup>3</sup>by to mniej doświadczony i m<sup>3</sup>odszy mę<sup>1</sup>czyzna.

— Ale — rzek<sup>3</sup>em zdumiony — w takim razie i ty masz dużo większ<sup>1</sup> korzyść z wiedzy o Bogu i o tej rzeczywistości, która stoi ponad ziemsk<sup>1</sup>, niż z jakiegokolwiek wiedzy matematycznej i technicznej. Na co przydadz<sup>1</sup> się najcudowniejsze maszyny, skoro i tak musisz umrzeć?

Odpar<sup>3</sup>:

— Zapominasz, że wszyscy musimy umrzeć. Toteż wcale nie żałuję, że ż<sup>1</sup>dza wiedzy zagna<sup>3</sup>a mnie do Konstantynopola na s<sup>3</sup>użbę do cesarza. By<sup>3</sup>o mi już dane zobaczyć największe dzie<sup>3</sup>o, jakie zosta<sup>3</sup>o odlane rękami cz<sup>3</sup>owieka. Już dzięki temu zrozumia<sup>3</sup>em, że op<sup>3</sup>aci mi się być tutaj. A za dwie strony zapomnianego pisma Archimedesza da<sup>3</sup>bym chętnie wszystkie świeże pisma ojców kościo<sup>3</sup>a.

— Jesteś szalony — odrzekł z niechęcią. — Twoja wiedza czyni cię jeszcze bardziej szalonym od sułtana Mehmeda.

Wyciągnij rękę ku słonecznym promieniom, tak jakby chciał zważyć tańczące pyłki kurzu na dłoni.

— Czy nie widzisz — powiedziała — w tych pyłkach spogląda na ciebie para pięknych oczu dziewczycy, których uśmiech ośmierca już dawno. W tych pyłkach kurzu tańczy serce filozofa, jego wtroba i mózg. Za tysiąc lat może i ja pozdrowię przybysza jako pyłek kurzu na ulicach Konstantynopola. W tym znaczeniu twoja i moja wiedza są jednakowo warte. Pozwól mi zatem zachować tę wiedzę, jak mam, i nie gardź nią. Skąd możesz wiedzieć, czy ja w głębi serca nie gardzę twoją?

Wszystko we mnie drżało, ale starałem się zachować spokój w głosie, kiedy odpowiedziałem:

— Bijesz się po fałszywej stronie, Joannie Grant. Sułtan Mehmed przyjmie cię jako równego siebie, gdyby cię znał.

Odpowiedziałam:

— Nie, nie, ja należę do Zachodu i Europy. Biję się o wolność człowieka, a nie o jego niewolnictwo.

— Cóż to jest wolność człowieka? — zapytałem.

Spojrzał na mnie swym niespokojnym spojrzeniem, zastanowił się przez chwilę i odparł:

— Prawo wyboru.

— Masz słuszną — szepnąłem. — Wzajemnie to jest straszliwa wolność człowieka. Wolność Prometeusza, naszym grzechem dziedzicznym.

Uśmiechnęła się, położyła dłoń na moim ramieniu i powiedziała z westchnieniem:

— Ach, wy Grecy!

Jestem mu obcy, chciałbym go unikać, ale mimo wszystko czuję, że jest mi duchowo bliski. Stoimy na wspólnym gruncie, on i ja. Ale on wybrał królestwo ośmierci, ja rzeczywistość Boga.

Działo się, mury pękają z hukiem, potężny młyn ośmierci sprawia, że ziemia i powietrze drżą. Ale ja jestem twardy i zimny, nie, jestem jak pionicy ognia i myślę tylko o tobie, moja ukochana. Dlaczego wbiłaś cierni w moje ciało? Dlaczego nie dajesz mi walczyć i umrzeć w spokoju, mnie, który już dokonał swego wyboru?

Tylko ciebie pragnę!

Znowu niedziela. Dzwony kościelne i kościelniczki radują się w jasny poranek. Ale wiosną zieleni pokrywa już sadza i kurz. Jak mrówki pracują zmęczeni męczycielami, by naprawiać mur pod osłonami prowizorycznych oszańcowania. W ciągu nocy wbito pale przed wyłomami szczytami się w murze zewnętrznym. Obecnie wypełnia się je znowu ziemią, faszyną, krzakami, sianem. Mieszkańcy miasta musieli oddać pierzyny na pokrycie muru, by osłabić mordercze uderzenia potężnych kamiennych kul. Z zewnątrz rozpięto skóry wołowe, które regularnie polewa się wodą przeciw tureckim strzelcom zapalającym.

Wiem i czuję w głębi duszy, jak taka rozpaczliwa wojna zmienia nas i porusza istotę do głębi.

Zmęczenie, strach i bezsenność podniecają człowieka, tak że staje się jakby pijany i nie jest już odpowiedzialny za swoje czyny i myśli w taki sam sposób jak poprzednio. Daje on wtedy wiarę najbardziej nonsensownym poglądom. Mądry staje się gadatliwym. Łagodny tańczy z radości, gdy widzi, jak Turek pada na ziemię z gardłem przebitym strzałą. Wojna to niebezpieczne upojenie. Jej zmiany nastrojów, przeskoki od nadziei do rozpaczliwej ostrej i wielkiej. Tylko wypróbowany żołnierz potrafi zachować zimną krew. A większość obrońców Konstantynopola to nie wyćwiczeni i niedoświadczeni nowicjusze. Dlatego Giustiniani uważa za konieczne szerzenie w mieście pomysłowych szeptów, nawet jeżeli większość z nich jest kłamstwem.

Wojsko sułtana liczy dwa razy tyle chrześcijan, ilu ich jest pod bronią w mieście. Są to oddziały pomocnicze z Serbii, Macedonii i Bułgarii, a także Grecy z Azji Mniejszej. W bramie Charisiosa znaleziono turecką strzałę z przymocowanym do niej listem. Był on napisany przez serbskiego jeźdźcę i brzmiało: "Dopóki to zależy od nas, Konstantynopol nigdy nie wpadnie w ręce sułtana".

Także wielki wezyr Halil pracuje w tajemnicy przed sułtanem. Na razie nie potrafi zdziałać zbyt wiele, ale jeżeli sułtan dozna niepowodzenia, przyjdzie jego chwila.

Noce są zimne. Wojsko sułtana jest tak ogromne, że tylko mała część ludzi ma namioty. Większość śpi pod gołym niebem, choć nie jest przyzwyczajona do tego tak jak janczarowie. W ciszy nocnej słychać z tureckiego obozu nieustanne kichanie i kaszel.

Ale i nasi ludzie kaszlą pracując przy murach w ciemności. Wieże i sklepienia są zimne i wilgotne. Całe drewno potrzebne jest na prace fortyfikacyjne. Drwa i chrust mogą być używane tylko na warzenie strawy i do kotłów z oliwą i smołą. Dlatego i wśród żołnierzy wielu jest ciężko przeziębionych, mimo że chodzą grubo ubrani pod zimnymi pancerzami.

Do Blachern przyby<sup>3</sup> mój s<sup>3</sup>u<sup>1</sup>cy Manuel z czyst<sup>1</sup> odzie<sup>1</sup> i nowymi przyborami dla mnie. Na brak jedzenia nie cierpiê, gdy<sup>1</sup> Wenecjanie daj<sup>1</sup> mi miejsce przy swoim goęcinnym stole, dopóki bête mieszka<sup>3</sup> w Blachernach. Kardyna<sup>3</sup> Izydor zwolni<sup>3</sup> ich od postu przez czas oblê<sup>1</sup>zenia. Ale cesarz Konstantyn czuwa i poeci tak gorliwie, <sup>1</sup>e w krótkim czasie wychud<sup>3</sup> i poblad<sup>3</sup>.

Nie mog<sup>3</sup>em siê oprzeæ, by nie zagadn<sup>1</sup>æ Manuela, czy ktoœ o mnie nie pyta<sup>3</sup>. Potrz<sup>1</sup>sn<sup>13</sup> przecz<sup>1</sup>co g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>. Zaprowadzi<sup>3</sup>em go na górê na mur i pokaza<sup>3</sup>em wielkie dzia<sup>3</sup>o. Turcy w<sup>3</sup>acenie skończyli <sup>3</sup>adowanie. Huknê<sup>3</sup>o i Manuel z<sup>3</sup>apa<sup>3</sup> siê za g<sup>3</sup>owê obiema rêkami. Ale sam siê przekona<sup>3</sup>, <sup>1</sup>e mur nadal wytrzymuje.

Bardziej przestraszy<sup>3</sup> siê, gdy zobaczy<sup>3</sup>, jakie spustoszenie poczynili <sup>3</sup>acinnicy w cesarskim pa<sup>3</sup>acu. Powiedzia<sup>3</sup>:

— Łacinnicy zachowali swoje dawne obyczaje. Gdy przed dwustu piêædziesiêciu laty zdobyli Konstantynopol, u<sup>1</sup>ywali œwi<sup>1</sup>tyni M<sup>1</sup>droœci Bo<sup>1</sup>ej jako stajni, rozpalali ogniska obozowe na posadzce i zostawiali odchody po k<sup>1</sup>tach.

S<sup>3</sup>u<sup>1</sup>bie <sup>3</sup>acinników wolno swobodnie poruszaê siê po ca<sup>3</sup>ym pa<sup>3</sup>acu. Dlatego Manuel poprosi<sup>3</sup> mnie, <sup>1</sup>eby<sup>1</sup>m go zaprowadzi<sup>3</sup> do pa<sup>3</sup>acu Porfirogenety. Zerkn<sup>13</sup> na mnie z chytrym b<sup>3</sup>ykiem w oczach i powiedzia<sup>3</sup>:

— Nikomu nisko urodzonemu nie wolno by<sup>3</sup>o dawniej pokalaê tych posadzek, ale moje stopy s<sup>1</sup> przynajmniej greckie i dlatego œwiêtsze ni<sup>1</sup> <sup>3</sup>aciñskich parobków stajennych.

Weszliœmy po starych marmurowych schodach na najwy<sup>1</sup>sze piêtro i wst<sup>1</sup>piliœmy do komnaty, której œciany pokryte s<sup>1</sup> wypolerowanym do po<sup>3</sup>ysku porfirem. W komnacie tej wci<sup>1</sup> jeszcze stoi cyzelowane z<sup>3</sup>otem <sup>3</sup>o<sup>1</sup>e z podwójnymi or<sup>3</sup>ami, ale wszelkie drobne przedmioty rozkradziono. Gdy patrzy<sup>3</sup>em na zimm<sup>1</sup>, spl<sup>1</sup>drowan<sup>1</sup> komnatê, zda<sup>3</sup>em sobie sprawê, <sup>1</sup>e ju<sup>1</sup> <sup>1</sup>aden wiêcej cesarz nie urodzi siê w Konstantynopolu.

Manuel otworzy<sup>3</sup> ciekawie w<sup>1</sup>skie drzwi i wyszed<sup>3</sup> na kamienny balkon.

— Dziesiêæ razy sta<sup>3</sup>em pokornie tam na dole w t<sup>3</sup>umie ludzi i czeka<sup>3</sup>em na wieœæ o rozwi<sup>1</sup>zaniu cesarzowej — opowiada<sup>3</sup>. — Stary cesarz Manuel mia<sup>3</sup> dziesiêcioro dzieci. Konstantyn jest ósmym z nich. Tylko trzech synów jest jeszcze przy <sup>1</sup>yciu i <sup>1</sup>aden z nich nie ma syna. Taka jest wola i wyrok boski.

Przez ca<sup>3</sup>y czas zerka<sup>3</sup>y na mnie spod siwych i krzaczastych brwi jego oczy w czerwonych

obwódkach, g<sup>3</sup>adzi<sup>3</sup> rzadk<sup>1</sup> brodê i wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> tajemniczo.

— Co mnie to obchodzi — powiedzia<sup>3</sup>em niechêtnie.

— Nigdy nie przypuszcza<sup>3</sup>em, że pewnego dnia bêdê sta<sup>3</sup> tu na górze — ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> Manuel nie zwracaj<sup>1</sup>c uwagi na moje s<sup>3</sup>owa. — Ale rzymski porfir sam nie urobi cesarza. To czysty przes<sup>1</sup>d. Jakkolwiek opowiadano o opuszczonych kobietach, które w czasie rozwi<sup>1</sup>zania œciska<sup>3</sup>y na pociechê kawa<sup>3</sup>ek porfiru.

Wskaza<sup>3</sup> palcem ciemny k<sup>1</sup>t komnaty. Zobaczy<sup>3</sup>em, że w wielu miejscach oderwane by<sup>3</sup>y kawa<sup>3</sup>ki ok<sup>3</sup>adziny. Przez moment by<sup>3</sup>em znowu dzieckiem. Ma<sup>3</sup>ym ch<sup>3</sup>opczykiem w opasanym murem Awinionie. S<sup>3</sup>oñce Prowansji przypieka<sup>3</sup>o mi ciemiê. Trzyma<sup>3</sup>em w d<sup>3</sup>oni purpurowy od<sup>3</sup>amek kamienia, który znalaz<sup>3</sup>em w skrzyni mojego ojca.

— Ujrza<sup>3</sup>œce ducha, panie? — zapyta<sup>3</sup> cicho Manuel. Upad<sup>3</sup> na kolana na posadzkê, jakby po to, żeby przeszukaæ ten k<sup>1</sup>t, ale równoczenie ukl<sup>1</sup>k<sup>3</sup> te<sup>1</sup> przede mn<sup>1</sup> i zwróci<sup>3</sup> ku mnie swój<sup>1</sup> starcz<sup>1</sup> twarz. Jego szare policzki dr<sup>1</sup>ża<sup>3</sup>y jakby od wielkiego napiêcia albo od powstrzymywanego p<sup>3</sup>aczu.

— Pamiêtam mego ojca — rzek<sup>3</sup>em krótko. — Nie dziwi<sup>3</sup>em siê ju<sup>1</sup>, dlaczego zosta<sup>3</sup> oœlepiony. Mo<sup>1</sup>że okaza<sup>3</sup> on siê nazbyt ufny w œwiecie okrucieñstwa i strachu.

Manuel szepn<sup>13</sup>:

— Panie, moje oczy zmêtnia<sup>3</sup>y, bo jestem ju<sup>1</sup> stary. Mo<sup>1</sup>że to blask purpury je omamia. Pozwól mi dotkn<sup>1</sup>æ twoich stóp.

Wyci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> d<sup>3</sup>oñ i musn<sup>13</sup> ni<sup>1</sup> z szacunkiem moje nogi.

— Purpurowe buty — powiedzia<sup>3</sup>. — Purpurowe buty.

Ale tak przera<sup>1</sup>aj<sup>1</sup>ca w swej ciszy by<sup>3</sup>a komnata, gdzie siê rodzili cesarze, że Manuel przera<sup>1</sup>ony rozejrza<sup>3</sup> siê woko<sup>3</sup>o, jakby ba<sup>3</sup> siê, że ktoœ pods<sup>3</sup>uchuje.

— Znowu pi<sup>3</sup>œce — rzuci<sup>3</sup>em szorstko.

— Krwi nie mo<sup>1</sup>żna siê nigdy zaprzæ — szepn<sup>13</sup>. — Krew powraca zawsze do swego pochodzenia. Nawet jeżeli musi d<sup>3</sup>ugo wêdrowaæ z jednego cia<sup>3</sup>a do drugiego. Ale pewnego dnia powraca.

— Manuelu — powiedzia<sup>3</sup>em — wierz mi. Czas up<sup>3</sup>yn<sup>13</sup>. Królestwo moje nie jest z tego œwiata.

Pochyli<sup>3</sup> g<sup>3</sup>owê i ca<sup>3</sup>owa<sup>3</sup> moje stopy, a<sup>1</sup> by<sup>3</sup>em zmuszony odepchn<sup>1</sup>æ go kolanem.

— Jestem starcem, który be<sup>3</sup>koce od nadmiaru wina — powiedzia<sup>3</sup>. — G<sup>3</sup>owê mam pe<sup>3</sup>n<sup>1</sup> starych baceni. Widzê na jawie. Nie myœlê nic z<sup>3</sup>ego.

— Niech nasze widzenia i bacenie zostan<sup>1</sup> pogrzebane pod wal<sup>1</sup>cymi siê murami — rzek<sup>3</sup>em. —

Niech jakicœ przybysz znajdzie je kiedyœ, kiedy nasze prochy wzbijajæ siê bêd<sup>1</sup> spod jego stóp i kiedy deptaæ bêdzie kamienie, które oderwa<sup>3</sup>y siê od tych œcian.

Gdy Manuel ju¿ sobie poszed<sup>3</sup>, wróci<sup>3</sup>em na mur i uda<sup>3</sup>em siê z powrotem do Giustinianiego. A¿ strach bierze patrzaæ, jak wielkie powsta<sup>3</sup>y w ci<sup>1</sup>gu kilku dni wy<sup>3</sup>omy w murze po obu stronach bramy œw. Romana. Wzniesiono wysoki ziemny wa<sup>3</sup> i ustawiono drewniane skrzynie i beczki z ziemi<sup>1</sup> jako blanki na koronie muru. Przez ca<sup>3</sup>y dzieñ ma<sup>3</sup>e grupki Turków id<sup>1</sup> szturmem w fosê, by wrzucaæ do niej wi<sup>1</sup>zki faszyny, kamienie i k<sup>3</sup>ady, podczas gdy równoczenie ogieñ z proc i strza<sup>3</sup>y <sup>3</sup>uczni<sup>3</sup>ków zmuszaj<sup>1</sup> obroñców, by szukali os<sup>3</sup>ony. Geneuñczycy Giustinianiego ponieœli ju¿ straty mimo pancerzy. Ka¿dy z nich dorównuje dziesiêciu, ba, piêædziesiêciu nie wyæwiczonemu Grekom. Ka¿dy z nich jest niezast<sup>1</sup>piony.

*18 kwietnia 1453*

Nikt nie przypuszcza<sup>3</sup>, ¿e Turcy dokonaj<sup>1</sup> pierwszego prawdziwego szturm<sup>1</sup>u dzie w nocy. Widocznie zamiarem ich by<sup>3</sup>o zaskoczeniem zdobyæ mur zewnêtrzny przed bram<sup>1</sup> œw. Romana. Atak rozpocz<sup>13</sup> siê ca<sup>3</sup>kim niepostrze¿enie w dwie godziny po zachodzie s<sup>3</sup>oñca. Pod os<sup>3</sup>on<sup>1</sup> ciemnoœci Turcy podkradli siê do fosy i po<sup>3</sup>o¿yli na niej drabiny szturmowe. Gdyby obroñcy nie byli w<sup>3</sup>acenie zajêci naprawianiem szkód w murze wyrz<sup>1</sup>dzonych w tym dniu przez dzia<sup>3</sup>a, atak móg<sup>3</sup>by siê udaæ. Ale w porê uderzono na alarm, tr<sup>1</sup>by rozbrzmia<sup>3</sup>y na murze, zapalono smolne pochodnie i dzwony w mieœcie zaczê<sup>3</sup>y dzwoniaæ.

Po nieudanym zaskoczeniu tak¿e po stronie tureckiej zaczê<sup>3</sup>y huczaæ du¿e i ma<sup>3</sup>e tr<sup>1</sup>by, a atakuj<sup>1</sup>cy podniecili przera¿liwy krzyk, który rozleg<sup>3</sup> siê w ca<sup>3</sup>ym mieœcie. D<sup>3</sup>ugimi hakami zrywali prowizoryczne przedpiersia i burzyli, co tylko mogli, a równoczenie starali siê podpaliaæ worki z sianem i we<sup>3</sup>n<sup>1</sup> wisz<sup>1</sup>ce wzd<sup>3</sup>u¿ muru. Walka trwa<sup>3</sup>a cztery godziny bez przerwy. Turcy zbli¿yli siê do muru tak¿e w innych punktach, ale g<sup>3</sup>ówny atak skierowany zosta<sup>3</sup> na odcinek Giustinianiego.

Ha<sup>3</sup>as i zamieszanie by<sup>3</sup>y tak wielkie, ¿e ludzie w mieœcie na wpó<sup>3</sup> nadzy uciekali z domów na ulicê. Kiedy bieg<sup>3</sup>em z Blachern do Giustinianiego, zobaczy<sup>3</sup>em na w<sup>3</sup>asne oczy cesarza Konstantyna. P<sup>3</sup>aka<sup>3</sup>, by<sup>3</sup> œmiertelnie przera¿ony i s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>, ¿e miasto jest ju¿ stracone.

W rzeczywistoœci tylko niewielka liczba Turków dotar<sup>3</sup>a a¿ na koronê muru zewnêtrznego. Tam wyciêli ich rych<sup>3</sup>o w walce wrêcz zakuci w ¿elazo ¿o<sup>3</sup>nierze Giustinianiego, którzy niczym ¿ywy ¿elazny mur zagrodzili im drogê. Drabiny szturmowe przewracano d<sup>3</sup>ugimi dr<sup>1</sup>gami, gdy tylko Turcy je podniecili. Na liczne grupy napastników pod murem wylewano wrz<sup>1</sup>c<sup>1</sup> smo<sup>3</sup>ê i stopiony o<sup>3</sup>ów. Turcy ponieœli ciê¿kie straty i rano trupy ich le¿a<sup>3</sup>y stosami pod murem. Wœród trupów znalaz<sup>3</sup>o siê jednak tylko niewielu janczarów i widaæ by<sup>3</sup>o wyraŹnie, ¿e su<sup>3</sup>tan w tej próbie zaskoczenia u¿y<sup>3</sup> tylko mniej bitnych lekkich oddzia<sup>3</sup>ów.

Gdy Turcy wycofali siê, wielu ludzi Giustinianiego by<sup>3</sup>o jednak mimo wszystko tak wyczerpanych, ¿e padli tam, gdzie stali, i zasnêli. Cesarz Konstantyn, który obchodzi<sup>3</sup> mury krótko po

bitwie, musia<sup>3</sup> sam budzia<sup>3</sup> wielu spoc<sup>3</sup>ród wartowników. Giustiniani zmusi<sup>3</sup> greckich robotników, by zeszli przed mur zewn<sup>3</sup>trzny i opró<sup>3</sup>żnili fos<sup>3</sup> z ca<sup>3</sup>ego tego rupiecia, którym Turcy usi<sup>3</sup>owali j<sup>1</sup> wype<sup>3</sup>nia<sup>3</sup>. Wielu znalaz<sup>3</sup>o tam zgub<sup>3</sup>, gdy<sup>3</sup> Turcy z zemsty za nieudane natarcie strzelali z dzia<sup>3</sup> w ciemno<sup>3</sup>ci.

Rano trzydzieci tureckich galer z portu Pelar podp<sup>3</sup>yn<sup>3</sup>o do <sup>3</sup>añcucha-zapory. Ale nie dosz<sup>3</sup>o do bitwy morskiej mi<sup>3</sup>ędzy wysokimi jak góry galerami weneckimi a lekkimi okr<sup>3</sup>etami Turków. Wymieniono kilka strza<sup>3</sup>ów armatnich, po czym okr<sup>3</sup>ety tureckie wróci<sup>3</sup>y do swego portu.

W ci<sup>1</sup>gu dnia su<sup>3</sup>tan kaza<sup>3</sup> ustawia<sup>3</sup> kilka du<sup>3</sup>ych bombard na wzgó<sup>3</sup>zu za Per<sup>1</sup>. Ale ich pierwsze strza<sup>3</sup>y trafi<sup>3</sup>y genueñski statek przy nabrze<sup>3</sup>u i zatopi<sup>3</sup>y go wraz z <sup>3</sup>adunkiem i wyposa<sup>3</sup>eniem warto<sup>3</sup>ci pi<sup>3</sup>tnastu tysi<sup>3</sup>cy dukatów. Dlatego Genueñczycy z Pery natychmiast wnie<sup>3</sup>li skarg<sup>3</sup> z powodu naruszenia ich neutralno<sup>3</sup>ci. Bombardy stoj<sup>1</sup> na terenie Pery i par<sup>3</sup> innych kul trafi<sup>3</sup>o kilka domów i zabi<sup>3</sup>o kobiet<sup>3</sup> w mie<sup>3</sup>cie. Su<sup>3</sup>tan obieca<sup>3</sup>, <sup>3</sup>e po obl<sup>3</sup>eniu wynagrodzi wszystkie szkody, które ponie<sup>3</sup>li Genueñczycy w Perze, i zapewni<sup>3</sup> ich o swojej przyja<sup>3</sup>ni.

Ale cel osi<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>. Galery weneckie zmuszone zosta<sup>3</sup>y do wycofania si<sup>3</sup>e od zapory b<sup>1</sup>d<sup>3</sup> to do nabrze<sup>3</sup>a, b<sup>1</sup>d<sup>3</sup> te<sup>3</sup> w k<sup>1</sup>t pod wie<sup>3</sup>ami i murem portowym Pery, gdzie nie mog<sup>3</sup>y ich dosi<sup>3</sup>gn<sup>1</sup>æ strza<sup>3</sup>y z bombard. W porcie zebra<sup>3</sup>o si<sup>3</sup>e du<sup>3</sup>o ludzi, <sup>3</sup>eby przygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e temu dziwnemu ostrzeliwaniu. Kule bombard pada<sup>3</sup>y przewa<sup>3</sup>nie w morze i wzbija<sup>3</sup>y du<sup>3</sup>e s<sup>3</sup>upy wody.

Mimo tego wszystkiego nastró<sup>3</sup>j w<sup>3</sup>ród ludno<sup>3</sup>ci jest pe<sup>3</sup>en nadziei i entuzjastyczny, gdy<sup>3</sup> szcz<sup>3</sup>eliwe odparcie ataku doda<sup>3</sup>o otuchy nam wszystkim. Giustiniani kaza<sup>3</sup> ponadto rozsiewa<sup>3</sup> przesadne s<sup>3</sup>uchy o stratach Turków. Do mnie powiedzia<sup>3</sup> jednak nie owijaj<sup>1</sup>c w bawe<sup>3</sup>n<sup>3</sup>:

— Nie powinniemy si<sup>3</sup>e upaja<sup>3</sup> tym zwyci<sup>3</sup>stwem, które jest tylko pozorne. Nie by<sup>3</sup>o to nic innego jak zwyk<sup>3</sup>y atak rekonesansowy dla wypróbowania muru. Wzi<sup>3</sup>o w nim udzia<sup>3</sup> najwy<sup>3</sup>ej dwa tysi<sup>1</sup>ce ludzi, jak si<sup>3</sup>e dowiedzia<sup>3</sup>em od jeñców, których uda<sup>3</sup>o nam si<sup>3</sup>e wzi<sup>1</sup>æ do niewoli. Ale obyczaj wymaga, <sup>3</sup>ebym jako protostrator og<sup>3</sup>osi<sup>3</sup> komunikat. Je<sup>3</sup>eli zatem ka<sup>3</sup>ê obwie<sup>3</sup>cia<sup>3</sup>, <sup>3</sup>e odparliemy wielki szturm i <sup>3</sup>e Turcy stracili dziesi<sup>3</sup>æ tysi<sup>3</sup>cy poleg<sup>3</sup>ych i tyle<sup>3</sup> rannych, podczas gdy nasze w<sup>3</sup>asne straty ograniczy<sup>3</sup>y si<sup>3</sup>e do jednego zabitego i jednego skr<sup>3</sup>ecenia stopy, to ka<sup>3</sup>dy do<sup>3</sup>wiadczony w sprawach wojny cz<sup>3</sup>owiek b<sup>3</sup>dzie wiedzia<sup>3</sup>, co to znaczy, i nie zwróci na to uwagi. Ale dla nastroju w mie<sup>3</sup>cie ma to wielkie znaczenie.

Popatrzy<sup>3</sup> na mnie z ucemiechem i doda<sup>3</sup>:

— Walczy<sup>3</sup>æc nieustraszenie i t<sup>3</sup>go, Jeanie Ange.

— Czy<sup>3</sup>by? — zapyta<sup>3</sup>em. — Taki by<sup>3</sup> zam<sup>3</sup>t, <sup>3</sup>e prawie nie wiem, co si<sup>3</sup>e ze mn<sup>1</sup> dzia<sup>3</sup>o.

By<sup>3</sup>o to prawd<sup>1</sup>. Rano stwierdzi<sup>3</sup>em, <sup>3</sup>e miecz mój lepi si<sup>3</sup>e od krwi, ale nocne wydarzenia pami<sup>3</sup>ta<sup>3</sup>em tylko jako niejasn<sup>1</sup> zmor<sup>3</sup>.

Tego<sup>3</sup> dnia su<sup>3</sup>tan kaza<sup>3</sup> podprowadzia<sup>3</sup> pi<sup>3</sup>ædziesi<sup>1</sup>t par wo<sup>3</sup>ów do du<sup>3</sup>ego dzia<sup>3</sup>a. Od<sup>31</sup>czono je

od ³o¼a i przeniesiono z pomoc¹ setek ludzi do bramy œw. Romana. Mur Blachern okaza³ siê wiêc za mocny: su³tan przygotowuje siê na d³u¿sze oblê¿enie.

Odwiedzi³em rannych, le¿¹cych na s³omie w kilka opró¿nionych stajniach i budach pod murem. Wytrawni ³aciñscy najemnicy przezornie od³o¿yli pieni¹dze, ¿eby móc op³aciaæ lekarza i mieæ dziêki temu fachow¹ opiekê. Greków jednak dogl¹da tylko kilka wprawnych mniszek, które czyni¹ to z mi³osierdzia. Wœród nich pozna³em ku memu zdumieniu Charyklejê, która zdjê³a welon, zakasa³a rêkawy i biegle obmywa³a i opatrywa³a najciê¿sze rany. Pozdrowi³a mnie ¿ywo i nie mog³em siê oprzeæ, by nie powiedzieæ jej, ¿e mieszkam w Blachernach — tak ma³o mia³em hartu. Zdaje mi siê, ¿e dobrze rozumia³a, o co mi chodzi, bo pospieszy³a z w³asnej woli wyjaœnienia, ¿e nie widzia³a siostry Anny od wielu ju¿ dni.

Ranni zapewniali jak jeden m¹¿, ¿e Turcy wbrew dobrym obyczajom u¿ywali zatrutych strza³, gdy¿ nawet lekko ranni po kilku dniach choruj¹ ciê¿ko i dostaj¹ œmiertelnych skurczów. W jednym k¹cie zobaczy³em na w³asne oczy mê¿czyznê, którego zw³oki zeszywnia³y, wygiête w ³uk, a twarz zamar³a w okropnym grymasie, tak ¿e strasznie by³o na niego patrzeæ. Miêœnie mia³ twarde jak z drewna. Dlatego wielu rannych prosi³o, ¿eby wynieœæ ich pod go³e niebo albo do domów. Rozmawia³em o tym z Giustinianim, ale on nie pozwoli³ ¿adnemu ze swoich ludzi opuœciæ muru, aby pomaga³ rannym. Kiedy wyrzuci³em mu jego bezdusznoœæ, odpar³:

— Doœwiadczenie uczy mnie, ¿e losy rannych s¹ ca³kowicie w rêku Boga. Jeden dostaje pomoc lekarsk¹ i umiera, inny poprawia siê bez ¿adnej opieki. Jeden ma ranê ma³ego palca i umiera na zaka¿enie krwi. Drugiemu odstrzel¹ ramiê, a on siê mimo to wyli¿e. Obfite jedzenie i wygodne ³ó¿ko szkodz¹ tylko i os³abiaj¹. Takie jest moje zdanie. Nie mieszaj siê wiêc do spraw, na których siê nie rozumiesz.

*19 kwietnia 1453*

Jezusie Chrystusie, Synu Bo¿y, zmi³uj siê nade mn¹ grzesznym!

Napisawszy du¿y kawa³ek wczoraj, s¹dzi³em, ¿e wreszcie bêdê móg³ spaæ w nocy. Nie spa³em wiele w ostatnich dniach. By zag³uszyæ niepokój serca, chodzi³em albo spisywa³em wszystkie te pró¿ne s³owa.

Ale kiedy le¿a³em w ciemnoœci z szeroko otwartymi oczyma w zimnej komnacie w Blachernach, rozkoszuj¹c siê samotnoœci¹, a jednoczenie ciê¿ko ni¹ udrêczony, przysz³a do mnie. Przysz³a sama. Z w³asnej woli. Anna Notaras. Moja ukochana.

Pozna³em j¹ po lekkim kroku, po oddechu.

— Johannesie Angelosie — szepnê³a. — Œepisiz?



Wsunę³a zimne d³onie w moje rêce, po³o¿y³a siê przy moim boku, nos i wargi mia³a ch³odne, ale policzek przy moim policzku by³ gor¹cy.

— Przebacz — szepta³a. — Przebacz mi, ukochany. Nie wiedzia³am, co robiê. Nie wiedzia³am, czego chcê. — yjesz?

— Naturalnie, ¿e ¿yjê — odpar³em. — Jestem twardy. Chwasty nie gin¹.

— Ziemia siê trzêsie — rzek³a. — Mury pêkaj¹. Ęmieræ wyje po nocach bez koñca tysi¹cem g³osów. Nie, nikt nie mo¿e wiedzieæ, czym jest wojna, póki sam tego nie zazna. Gdy Turcy napadli na nas w nocy, modli³am siê za ciebie, tak jak jeszcze nigdy siê nie modli³am. Ęlubowa³am zwalczyæ ca³e moje samolubstwo, moj¹ z³oœæ i moj¹ dumê, jeœli tylko bêdzie mi dane zobaczyæ ciê znowu ¿ywym.

— Kochasz mnie wiêc? — pyta³em wci¹¿ jeszcze w¹tpi¹c, choæ jej d³onie, policzek i usta zapewnia³y mnie o tym. — Mówi³aœ przecie¿ sama, ¿e mnie nienawidzisz.

— Nienawidzi³am ciê przez wiele dni, mo¿e przez ca³y tydzieñ — powiedzia³a. — Zrozumi³am dopiero, gdy dzia³a zaczê³y grzmieæ, tak ¿e œciany pêka³y w klasztorze. Postanowi³am sobie w sercu, ¿e nigdy wiêcej ciê nie zobaczê. Albo ¿e nie odezwê siê ani s³owem, jeœli siê spotkamy. Albo ¿e ci poka¿ê, gdzie jest twoje miejsce. No có¿, teraz jestem tu. W nocy, w ciemnoœci, sama z tob¹. I ca³owa³am ciê. Biada mi. I biada tobie.

— I ja tak postanowi³em — wyzna³em i chwyci³em j¹ za ramiona. By³y kr¹g³e i miêkkie pod szat¹. Czu³em hiacyntowy zapach jej policzków. Z ulgi po prze¿yтым napiêciu i lêku zaczê³a nagle chichotaæ. Ęmia³a siê jak ma³a dziewczynka. I nie mog³a siê powstrzymaæ, choæ przyciska³a obie d³onie do ust.

— Czemu siê œmiejesz? — zapyta³em nieufnie. W bólu mojej mi³oœci ogarnê³o mnie podejrzenie, ¿e zawsze robi³a ze mnie g³upca i delectowa³a siê upokarzaniem mnie.

— Bo jestem szczêœliwa — œmia³a siê nadaremnie zaciskaj¹c palcami usta. — Tak okropnie szczêœliwa. I nie mogê siê oprzeæ, by siê nie œmiaæ, gdy pomyœlê, jak komicznie wygl¹da³oœ uciekaj¹c przede mn¹ z pancerzem pod pach¹.

— To nie przed tob¹ ucieka³em — odpar³em. — Lecz przed sob¹ samym. Ale nie ucieknê. Ani na murze, ani w Blachernach, ani œpi¹c, ani czuwaj¹c. W ka¿dej chwili sta³aœ niewidzialna przy moim boku.

Jej miêkkie wargi rozwar³y siê pod moimi. Dysz¹c wyznawa³a swoj¹ mi³oœæ. W swym ¿arze, ba — w swym bólu tuli³a siê coraz mocniej do mnie i g³adzi³a d³oñmi moje ramiona i plecy, jak gdyby na zawsze chcia³a zachowaæ moje ¿ywe cia³o w pamiêci swych r¹k.

Potem le¿a³em u jej boku, pusty, spokojny, ca³kiem ch³odny. Zerwa³em jej kwiat, a ona pozwoli³a, by siê to sta³o. Od tej chwili by³a kobiet¹ bez czci. Ale kocha³em j¹. Kocha³em j¹ tak¹, jak¹ by³a. Kocha³em j¹, kocha³em nawet jej kapryœnoœæ.

Po d³u¿szej chwili szepnê³a mi cicho do ucha:

— Johannesie Angelosie, czy nie jest najlepiej tak jak jest?

— Najlepsze jest to, co siê dzieje — powiedzia³em, czuj¹c siê ogromnie senny.

Zacemia³a siê bezg³oœnie i szepnê³a:

— Wszystko jest takie proste, takie ³atwe, takie oczywiste. To tylko ty robisz wszystko takim trudnym i skomplikowanym dla siebie samego. Ale teraz jestem szczêœliwa.

— Nie ¿a³ujesz... — powiedzia³em sennie, by coœ powiedzieæ.

Zdziwi³a siê:

— A dlaczego mia³abym ¿a³owaæ. Teraz ju¿ nigdy wiêcej ode mnie nie uciekniesz. I jest mi dobrze. Nie, gdybyœ mnie teraz poœlubi³, nie by³oby to ¿adn¹ gwarancj¹. Porzuci³eœ ju¿ jedn¹ ¿onê. Ale po tym, coœ ze mn¹ uczyni³, sumienie twoje nie pozwoli ci tak mnie po prostu zostawiæ. Na tyle ciê ju¿ znam, choæbyœ uwa¿a³ siê za Bóg wie jak twardego. Mój ukochany!

By³em przepe³niony b³ogim spokojem i nie mog³em siê zdobyæ na to, by pomyœleæ nad jej s³owami. G³owa jej spoczywa³a na moim ramieniu, jej wargi muska³y moje ucho, jej w³osy pieœci³y moj¹ szyjê i czu³em hiacyntowy zapach jej policzków. Po³o¿y³em d³oñ na jej nagiej piersi i usn¹³em g³êboko. Po raz pierwszy od dawna spa³em bez snów.

Spa³em d³ugo. Nie zbudzi³em siê, kiedy odchodzi³a. Nie zbudzi³em siê nawet wtedy, gdy o œwiecie zagrzmia³o wielkie dzia³o wzywaj¹c Turków do modlitwy porannej. S³oñce sta³o wysoko na niebie, kiedy siê ockn¹³em. Wypocz¹³em, by³em jak odnowiony, by³em szczêœliwy. Odesz³a, gdy spa³em. Ale tak by³o najlepiej. Nie chcia³em, ¿eby j¹ spostrze¿ono. I wiedzia³em, ¿e bêdê móg³ zobaczyæ j¹ znowu. Weselszy, swobodniejszy ni¿ kiedykolwiek przedtem w ¿yciu, poszed³em zjeœæ obfity, poranny posi³ek. Nie w³o¿y³em pancerza, nie przypasa³em nawet miecza. W moim skromnym ³aciñskim stroju, pokornie jak pielgrzym, skierowa³em kroki do klasztoru Pantokratora.

W klasztorze musia³em czekaæ kilka godzin, gdy¿ mnich Gennadios odprawia³ swoje pobo¿ne medytacje. Przez ten czas modli³em siê przed œwiêtymi ikonami w koœciele klasztornym. Prosi³em o odpuszczenie grzechów. Pogrze¿y³em siê w mistycznej rzeczywistoœci serca. Wiedzia³em, ¿e przed Bogiem grzechy wa¿¹ inaczej ni¿ przed ludŸmi.

Gdy mnich Gennadios mnie zobaczy³, zmarszczy³ czo³o i wpatrzy³ siê we mnie swym p³omiennym spojrzeniem.

— Czego chcesz ode mnie, ³acinniku? — zapyta³.

Powiedzia³em:

— W m³odoœci spotka³em w klasztorze w Athos wielu takich, którzy porzucili rzymsk¹ wiarê i nawrócili siê do koœcio³a greckiego, by poœwiêcaæ ¿ycie Bogu i braæ udzia³ w misteriach na

pierwotny sposób kościoła Chrystusa. Mój ojciec zmarł, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, ale z jego papierów dowiedziałem się, że był on Grekiem z Konstantynopola. Zdradził swój wiary, ożenił się z Wenecjanką i poszedł za papieżem do Awinionu. Ojciec mój mieszkał w Awinionie i pobierał pensję z kasy papieskiej aż do śmierci. Tam też ja się urodziłem. Ale wszystko to było błądzenie. Teraz gdy przybyłem do Konstantynopola, by umrzeć na murach w walce z Turkami, chcę powrócić do wiary moich przodków.

Zapał religijny zalepił go tak, że nie słuchał zbyt uważnie moich słów, i byłem mu za to wdzięczny, gdyż nie chciałem odpowiadać na podejrzliwe pytania, które mogłyby się nasunąć człowiekowi bardziej refleksyjnemu. On zaś zawołał tylko oskarżycielsko:

— Dlaczego więc bijesz się przeciw Turkom z poganami? Nawet sułtan jest lepszy od cesarza, który uznaje papieża.

— Nie spierajmy się o to — prosiłem. — Spełnij raczej swój obowiązek. Masz być pasterzem, który na swych ramionach wnosi zbłąkane owieczki z powrotem do stada. Pamiętaj też, że i ty sam raz podpisałeś się pod unią po należytym rozważeniu. Mój grzech nie jest większy od twego.

Lew rękę podniósł prawą, która, jak to dopiero teraz zobaczyłem, była sparaliżowana i powiedziała triumfalnie:

— Dzień i noc modliłem się do Boga, żeby na znak przebaczenia kazał uschnąć tej ręce, która złożyła podpis we Florencji. I kiedy armaty zagrzmiły pierwszy raz, Bóg wysłuchał mojej modlitwy. Teraz mieszka we mnie Duch Święty.

Poprosił służebnego braciszka, by nam towarzyszył, zaprowadził mnie do rybnej sadzawki na dziedzińcu i kazał mi zdjąć odzież. A kiedy się rozebrałem, wpełchnął mnie do wody, wcisnął mi głowę pod powierzchnię i ochrzcił mnie na nowo. Z niewiadomego powodu nadał mi imię Zachariasza. Kiedy wyszedłem z wody, wypowiedziałem się na zwykły sposób przed nim i przed służebnym braciszkiem i zadał mi tylko lekką pokutę, gdyż wykazałem dobrą wolę. Twarz jego promieniała, zmięknęła, wyrażnie, modlił się za mnie i udzielił mi błogosławieństwa.

— Teraz jesteś prawdziwym Grekiem — powiedziała. — Pamiętaj, że jest to czas spełnienia i że stoję przed nami dni ostateczne. Dlatego Konstantynopol musi zginąć. Im dłużej trwa będzie opór, tym większa będzie wściekłość Turków i tym większe cierpienia, które spadną także na niewinnych. Jeżeli jest wola Boga, by miasto wpadło we władanie sułtana, który może temu przeszkodzić? Ten, kto walczy przeciw sułtanowi, walczy w swym zalepieniu przeciw woli Bożej. Natomiast ten, kto przepędza poganów z Konstantynopola, jest miły Bogu.

— Kto cię upoważnił, byś tak mówił? — zapytałem poruszony do głębi.

— O, cierpienie, lęk o moje miasto upoważniaj mnie do tego — odparł gwałtownie. — To nie ja, mnich Gennadios, mówię tak, lecz Duch Boży we mnie.

Rozejrza<sup>3</sup> siê woko<sup>3</sup>o i zobaczy<sup>3</sup> szare rybki, które sp<sup>3</sup>oszone œmig<sup>3</sup>y w mêtnej wodzie sadzawki.

— Dzieñ nawiedzenia jest bliski! — zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> wskazuj<sup>1</sup>c ryby lew<sup>1</sup> rêk<sup>1</sup>. — W dniu tym te ryby stan<sup>1</sup> siê czerwone jak krew z lêku i przerażenia, tak żeby nawet niedowiarkowie uwierzyli. Niechaj to bêdzie znakiem. I jeżeli wtedy bêdziesz ży<sup>3</sup>, zobaczysz ten widok. Duch Boga, Pana Œwiatów, mówi przez moje usta.

G<sup>3</sup>osi<sup>3</sup> to tak żarliwie i poważnie, że musia<sup>3</sup>em mu wierzyæ. Potem zmêczy<sup>3</sup> siê i umilk<sup>3</sup>. Gdy braciszek s<sup>3</sup>użebny odszed<sup>3</sup> i w<sup>3</sup>oży<sup>3</sup>em juź na siebie odzieź, powiedzia<sup>3</sup>em:

— Ojczy, jestem grzesznikiem i z<sup>3</sup>ama<sup>3</sup>em prawo, jak to przed chwil<sup>1</sup> s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>œ. Spa<sup>3</sup>em z greck<sup>1</sup> kobiet<sup>1</sup> i odebra<sup>3</sup>em jej niewinnoœæ. Czy istnieje jakaœ moŹliwoœæ, bym zg<sup>3</sup>adzi<sup>3</sup> mój grzech żeni<sup>1</sup>c siê z ni<sup>1</sup>, mimo że mam juź jedn<sup>1</sup> żonê we Francji, z któr<sup>1</sup> zawar<sup>3</sup>em ma<sup>3</sup>żeñstwo zgodnie z prawem i z któr<sup>1</sup> zwi<sup>1</sup>zany jestem sakramentem papieskiego koœcio<sup>3</sup>a?

Zastanowi<sup>3</sup> siê. W oku zjawi<sup>3</sup> mu siê b<sup>3</sup>ysk by<sup>3</sup>ego polityka, powiedzia<sup>3</sup>:

— Papieź i jego kardyna<sup>3</sup> tak gorzko zelżyli i przeœladowali nasz koœció<sup>3</sup>, naszych patriarchów, ba, nasze wyznanie wiary, że nie moŹe to byæ grzechem, jeżeli zrobiê papieskiemu koœcio<sup>3</sup>owi, ile mogê, na z<sup>3</sup>œæ. Po tym chrzcie twoje poprzednie ma<sup>3</sup>żeñstwo jest nieważne. Og<sup>3</sup>aszam je za nieważne, dlatego że w naszym ciêżkim po<sup>3</sup>ożeniu nie mamy nawet legalnego patriarchy, który móg<sup>3</sup>by to uczyniæ, jedynie odstêpcê, Georgiosa Mammasa, niech spadnie na niego przekleñstwo. PrzyjdŹ tu z t<sup>1</sup> kobiet<sup>1</sup>, a pocelubiê was jako mêŹa i żonê pod œwiêtym dachem.

Z wahaniem rzek<sup>3</sup>em:

— To delikatna sprawa, któr<sup>1</sup> trzeba trzymaæ w tajemnicy. MoŹe nawet j<sup>1</sup> znasz. Gniew wysoko postawionego mêŹa spadnie na twój<sup>1</sup> g<sup>3</sup>owê, jeżeli nas zaelubisz.

Odpar<sup>3</sup>:

— To leży w rêku Boga. Grzech trzeba odkupiaæ. A któryż ojciec by<sup>3</sup>by tak wyrodny, żeby przeszkadzaæ swej córce w odkupieniu grzechu. Mia<sup>3</sup>żebym obawiaæ siê wielmoŹów i archontów, ja, który nie lêkam siê nawet cesarza?

Przypuszczalnie s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>, że uwiod<sup>3</sup>em córkê jakiegoœ sprzyjaj<sup>1</sup>cego <sup>3</sup>acinnikom dworzanina i dlatego by<sup>3</sup> zadowolony z mojej propozycji. Obieca<sup>3</sup> zachowaæ sprawê w tajemnicy, jeżeli przyjdê do niego z t<sup>1</sup> kobiet<sup>1</sup> jeszcze tegoż wieczoru. Nie znam dostatecznie obyczajów greckiego koœcio<sup>3</sup>a, by móc rozstrzygn<sup>1</sup>æ, czy œlub taki jak ten mia<sup>3</sup> jak<sup>1</sup>œ waŹnoœæ. Ale dla mego serca by<sup>3</sup> dostatecznie waŹny.

Rad pospiesz<sup>3</sup>em do mego domu ko<sup>3</sup>o portu. Przeczucie mnie nie omyli<sup>3</sup>o. By<sup>3</sup>a tam. Kaza<sup>3</sup>a przynieœæ z klasztoru skrzyniê ze swoimi rzeczami i poprzestawia<sup>3</sup>a wszystko tak, że nic juź nie

sta<sup>3</sup>o na swoim w<sup>3</sup>aciewym miejscu. Kaza<sup>3</sup>a te<sup>3</sup>ż w moim domu Manuelowi wyszorowaæ pod<sup>3</sup>ogi.

— Panie — rzek<sup>3</sup> Manuel pokornie wykrêcaj<sup>1</sup>c mokr<sup>1</sup> szmatê, a<sup>3</sup>ż brudna woda chlupa<sup>3</sup>a w wiadrze. — W<sup>3</sup>acenie mia<sup>3</sup>em zamiar udaæ siê na poszukiwanie ciebie. Czy rzeczywiêcie ta samowolna kobieta ma siê tutaj sprowadziæ i postawiæ wszystko na g<sup>3</sup>owie? Kolana mam obola<sup>3</sup>e i boli mnie grzbiet. Czy nie by<sup>3</sup>o nam dobrze bez kobiety w domu?

— Ona tu zostanie — odrzek<sup>3</sup>em. — Nie mów o tym nikomu ani s<sup>3</sup>owa. Gdyby s<sup>1</sup>siedzi byli ciekawi, powiedz, że to <sup>3</sup>aciñska kobieta, przyjació<sup>3</sup>ka pana domu, i że bêdzie ona tu mieszkaæ, póki trwaæ bêdzie oblêżenie.

— Czy dostatecznie zastanowi<sup>3</sup>oæ siê nad tym, panie? — zapyta<sup>3</sup> ostro<sup>3</sup>żnie Manuel. — Łatwiej jest wzi<sup>1</sup>æ sobie kobietê na kark, ani<sup>3</sup>eli jej siê pozbyæ. — I doda<sup>3</sup> chytrze: — Ona szpera<sup>3</sup>a w twoich papierach i ksi<sup>1</sup>żkach.

Nie traci<sup>3</sup>em czasu na spieranie siê. Rozgor<sup>1</sup>czkowany wbieg<sup>3</sup>em na schody lekko jak m<sup>3</sup>odziaszek. Anna odzia<sup>3</sup>a siê jak prosta grecka kobieta, ale twarz, cera i ca<sup>3</sup>a postawa mówi<sup>3</sup>y o jej prawdziwym pochodzeniu.

— Dlaczego bieg<sup>3</sup>oæ, dlaczego jesteæ taki zadyszany? — zapyta<sup>3</sup>a udaj<sup>1</sup>c, że jest przestraszona. — Nie zamierzasz chyba wygoniæ mnie z domu, jak grozi<sup>3</sup> Manuel. To niedobry i samolubny staruch, który nie wie, co dla niego najlepsze. — Rozejrza<sup>3</sup>a siê z poczuciem winy po pe<sup>3</sup>nej nie<sup>3</sup>adu izbie i doda<sup>3</sup>a spiesznie: — Poprzestawia<sup>3</sup>am tylko czêœæ rzeczy tak, żeby ci by<sup>3</sup>o przyjemniej. A poza tym by<sup>3</sup>o tu brudno. Kupiê nowe draperie, je<sup>3</sup>eli mi dasz pieni<sup>1</sup>dze. No i m<sup>1</sup>ż z twoj<sup>1</sup> pozycj<sup>1</sup> nie mo<sup>3</sup>że przecie<sup>3</sup> spaæ w takim bar<sup>3</sup>ogu.

— Pieni<sup>1</sup>dze? — powtórzy<sup>3</sup>em zmieszany i z doœæ niemi<sup>3</sup>ym uczuciem pomyœla<sup>3</sup>em, że nie zosta<sup>3</sup>o mi ju<sup>3</sup> zbyt du<sup>3</sup>o pieniêdzy. Te sprawy by<sup>3</sup>y mi przecie<sup>3</sup> od dawna obojêtne.

— Oczywiście — powiedzia<sup>3</sup>a. — S<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>am, że wszyscy mê<sup>3</sup>czyŹni robi<sup>1</sup>, co mog<sup>1</sup>, by wtykaæ pieni<sup>1</sup>dze kobietom, które uwiedli. A mo<sup>3</sup>że ty sta<sup>3</sup>oæ siê sk<sup>1</sup>py, odk<sup>1</sup>d postawi<sup>3</sup>oæ na swoim?

Wbrew woli wybuchn<sup>13</sup>em œmiechem.

— Wstydz<sup>3</sup>abyœ siê mówiæ o pieni<sup>1</sup>dzach w<sup>3</sup>acenie teraz — powiedzia<sup>3</sup>em. — Przyszed<sup>3</sup>em zrobiæ z ciebie uczciw<sup>1</sup> kobietê. Dlatego tak bieg<sup>3</sup>em.

Zapomnia<sup>3</sup>a o żartach, spowa<sup>3</sup>żnia<sup>3</sup>a i przygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>a mi siê d<sup>3</sup>ugo. Znów widzia<sup>3</sup>em jej br<sup>1</sup>zowe oczy równie nagie jak owego pierwszego dnia pod koœcio<sup>3</sup>em. Zna<sup>3</sup>em j<sup>1</sup> od wieków, jakbyœmy ju<sup>3</sup> prze<sup>3</sup>żyli ze sob<sup>1</sup> wiele żywotów.

— Anno — ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>em — czy nie chcia<sup>3</sup>abyœ mimo wszystko poœlubiaæ mnie? O to w<sup>3</sup>acenie

przyszed<sup>3</sup>em ciê zapytaæ. Niech œwiêty sakrament po<sup>3</sup>czy nas duchowo jako mê<sup>3</sup>a i <sup>3</sup>onê, tak jak nasze cia<sup>3</sup>a ju<sup>3</sup> siê po<sup>3</sup>czy<sup>3</sup>y.

Spuœci<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>owê. Kilka <sup>3</sup>ez wyciek<sup>3</sup>o jej spod zamkniêtych powiek i z wolna potoczy<sup>3</sup>o siê po policzkach. — A wiêc mnie kochasz, kochasz mnie rzeczywiœcie — b<sup>1</sup>knê<sup>3</sup>a z wahaniem.

— Czy<sup>3</sup>byœ w<sup>1</sup>tpi<sup>3</sup>a? — zapyta<sup>3</sup>em.

Spojrza<sup>3</sup>a na mnie.

— Nie wiem — przyzna<sup>3</sup>a otwarcie. — Myœla<sup>3</sup>am sobie, <sup>3</sup>e i tak nic nie ma wartoœci, jeœli ty naprawdê mnie nie kochasz. Myœla<sup>3</sup>am, <sup>3</sup>e powinnam ci podarowaæ mój wianek, <sup>3</sup>eby sprawdziæ, czy chcesz tylko tego. I uwa<sup>3</sup>am, <sup>3</sup>e nie ponios<sup>3</sup>abym straty, gdybym stwierdzi<sup>3</sup>a, <sup>3</sup>e tak jest istotnie. Ale wtedy pewnie opuœci<sup>3</sup>abym ciebie i nie chcia<sup>3</sup>abym ciê nigdy wiêcej spotkaæ. Tu tylko udawa<sup>3</sup>am. Bawi<sup>3</sup>am siê, <sup>3</sup>e mamy wspólny dom.

Zarzuci<sup>3</sup>a mi rêce na szyjê i przycisnê<sup>3</sup>a czo<sup>3</sup>o do mego ramienia.

— Nie mia<sup>3</sup>am przecie<sup>3</sup> nigdy <sup>3</sup>adnego w<sup>3</sup>asnego domu — doda<sup>3</sup>a. — Nasz dom jest domem mego ojca i mojej matki. Nie by<sup>3</sup>o tam dla mnie miejsca. Zazdroœci<sup>3</sup>am naszym s<sup>3</sup>u<sup>3</sup>ebnym, które wychodzi<sup>3</sup>y za m<sup>1</sup><sup>3</sup> i mog<sup>3</sup>y sobie kupiaæ tanie sprzêty domowe dla siebie. Zazdroœci<sup>3</sup>am zwyk<sup>3</sup>emu cz<sup>3</sup>owiekowi jego taniego szczêœcia, gdy<sup>3</sup> s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>am, <sup>3</sup>e ja nie jestem urodzona do czegoe takiego. Teraz mam to wszystko, skoro rzeczywiœcie chcesz siê ze mn<sup>1</sup> o<sup>3</sup>eniaæ.

— Nie — zaprzeczy<sup>3</sup>em — my nie mamy nic. Nie wyobra<sup>3</sup>aj sobie Bóg wie czego. Zosta<sup>3</sup>o nam niewiele czasu. Ale b<sup>1</sup>d<sup>3</sup> moim ziemskim domem, dopóki jeszcze <sup>3</sup>yjê. I nie zatrzymuj mnie, gdy czas dojdzie do koñca. Przyrzeknij mi to.

Nic nie odpowiedzia<sup>3</sup>a. Podnios<sup>3</sup>a tylko trochê g<sup>3</sup>owê i rzuci<sup>3</sup>a mi spojrzenie spod opuszczonych powiek.

— Pomyœl — rzek<sup>3</sup>a. — Ja, która kiedyœ mia<sup>3</sup>am zostaæ ma<sup>3</sup><sup>3</sup>onk<sup>1</sup> cesarza. Czasem czu<sup>3</sup>am <sup>3</sup>al do Konstantyna, <sup>3</sup>e nie dotrzyma<sup>3</sup> s<sup>3</sup>owa. Dzie<sup>3</sup> jestem szczêœliwa, <sup>3</sup>e uniknê<sup>3</sup>am tego ma<sup>3</sup><sup>3</sup>eñstwa. Jestem szczêœliwa, <sup>3</sup>e mogê poœlubiaæ Franka, który uciek<sup>3</sup> od swojej <sup>3</sup>ony.

Rozwar<sup>3</sup>a oczy i uœmiechnê<sup>3</sup>a siê figlarnie.

— To szczêœcie, <sup>3</sup>e nie jestem ma<sup>3</sup><sup>3</sup>onk<sup>1</sup> Konstantyna — ci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a. — Pewnie zdradzi<sup>3</sup>abym go z tob<sup>1</sup>, gdybyœmy siê spotkali. Wtedy kaza<sup>3</sup>by ciebie oœlepiæ, a mnie zamkn<sup>13</sup>by w klasztorze na resztê <sup>3</sup>ycia i by<sup>3</sup>oby ciebie szkoda.

Od czasu do czasu hucza<sup>3</sup>y armaty pod murami miasta. Lekkie drewniane domy trzês<sup>3</sup>y siê i trzeszcza<sup>3</sup>y w spojeniach. Ale my prze<sup>3</sup>ywalicemy nasze krótkie szczêœcie i zapomnielicemy o czasie. Wieczorem pos<sup>3</sup>a<sup>3</sup>em Manuela po wynajê<sup>1</sup> lektykê i udalicemy siê razem do klasztoru W<sup>3</sup>adcy Œwiata. Gennadios przel<sup>1</sup>k<sup>3</sup> siê, kiedy pozna<sup>3</sup> Annê Notaras, ale dotrzyma<sup>3</sup> obietnicy. Manuel i mnisi trzymali baldachim nad naszymi g<sup>3</sup>owami podczas zaelubin. Gennadios pob<sup>3</sup>ogos<sup>3</sup>awi<sup>3</sup> nasze ma<sup>3</sup><sup>3</sup>eñstwo i wypisa<sup>3</sup> œwiadectwo œlubu, które opatrzy<sup>3</sup> wielk<sup>1</sup> pieczêci<sup>1</sup> klasztoru.

Wręczaj<sup>1</sup>c je rzuci<sup>3</sup> mi dziwnie znacz<sup>1</sup>ce spojrzenie i powiedzia<sup>3</sup>:

— Nie wiem, kim jesteœ. Ale duch mówi mi, że dzieje siê to nie bez powodu. Jeżeli tak jest, niech wszystko obróci siê na najlepsze dla naszej wiary i naszego miasta.

Kiedy wypowiedzia<sup>3</sup> te s<sup>3</sup>owa, porazi<sup>3</sup>a mnie œwiadomoœæ, że nic nie sta<sup>3</sup>o siê z mojej woli. Odk<sup>1</sup>d uciek<sup>3</sup>em z obozu su<sup>3</sup>tana, szed<sup>3</sup>em tylko jak lunatyk drog<sup>1</sup>, któr<sup>1</sup> wytyczy<sup>3</sup> mi los. Dlaczego bowiem ze wszystkich kobiet na œwiecie mia<sup>3</sup>bym spotkaæ w<sup>3</sup>acenie Annê Notaras i poznaæ j<sup>1</sup> po jej oczach?

*20 kwietnia 1453*

Zbudzi<sup>3</sup>em siê u siebie w domu. Anna spa<sup>3</sup>a naga u mego boku, by<sup>3</sup>a niewypowiedzianie piêkna. Jej cia<sup>3</sup>o by<sup>3</sup>o jak z<sup>3</sup>oto i koœæ s<sup>3</sup>oniowa. Tak piêkna by<sup>3</sup>a, tak nietkniêta, że na jej widok poczu<sup>3</sup>em œmiertelny skurcz gard<sup>3</sup>a.

W tejże chwili zaczê<sup>3</sup>y biæ na alarm dzwony koœcielne zag<sup>3</sup>uszaj<sup>1</sup>c huk dzia<sup>3</sup>. Obok mego domu bieg<sup>3</sup>y gromady ludzi. Naczynia na stole szczêka<sup>3</sup>y od ich kroków. Zerwa<sup>3</sup>em siê z <sup>3</sup>o<sup>3</sup>a, przypomniawszy sobie o swoich obowi<sup>1</sup>zkach. Ocknê<sup>3</sup>a siê i usiad<sup>3</sup>a przestraszona, przykrywaj<sup>1</sup>c ko<sup>3</sup>dr<sup>1</sup> sw<sup>1</sup> nagoœæ.

Ubra<sup>3</sup>em siê pospiesznie. Nawet miecza nie mia<sup>3</sup>em pod rêk<sup>1</sup>. Poca<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>em j<sup>1</sup> szybko na poœegnianie i zbieg<sup>3</sup>em po schodach. Na dole ko<sup>3</sup>o kamiennego lewka sta<sup>3</sup> Manuel i zatrzymywa<sup>3</sup> biegn<sup>1</sup>cych, by zapytaæ, co siê sta<sup>3</sup>o. Twarz jego rozjaœniona by<sup>3</sup>a pe<sup>3</sup>nym jeszcze wahania zdumieniem.

— Panie! — zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>. — Sta<sup>3</sup> siê cud. To b<sup>3</sup>ogos<sup>3</sup>awiony dzieñ. Flota papieska przybywa. Pierwsze okrêty widaæ ju¿ w dali na morzu.

Pobieg<sup>3</sup>em wraz z innymi a¿ na wzgórze Akropolu. Tam, wysoko nad murem od strony morza, sta<sup>3</sup>em w gromadzie zadyszanych, wymachuj<sup>1</sup>cych rêkami i wykrzykuj<sup>1</sup>cych ludzi i patrzy<sup>3</sup>em na cztery du¿e zachodnie okrêty, które z wydêtymi żaglami na rozko<sup>3</sup>ysanym morzu niewzruszenie trzyma<sup>3</sup>y kurs prosto na cypel Akropolu wœród bez<sup>3</sup>adnie uwijaj<sup>1</sup>cych siê niezliczonych galer tureckich. Trzy z tych okrêtów nosi<sup>3</sup>y genueñsk<sup>1</sup> banderê z krzyżem. Czwarty, du¿y statek transportowy, wci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> d<sup>3</sup>ugi purpurowy proporzec cesarza. Ąadnych innych chrzecœcijañskich okrêtów nie by<sup>3</sup>o widaæ.

Okrêty by<sup>3</sup>y ju¿ tak blisko, że wiatr przynosi<sup>3</sup> do nas zgie<sup>3</sup>k bitewny, krzyki, zaklêcia i strza<sup>3</sup>y. Turecki okrêt admirałski staranowa<sup>3</sup> najwiêkszy z okrêtów i tkwi<sup>3</sup> mocno wbity w œródokrêcie. A do ka¿dego z pozosta<sup>3</sup>ych przyczepi<sup>3</sup>y siê mocno tureckie galery bosaków i haków aborda¿owych, tak że te wielkie okrêty na pe<sup>3</sup>nych żaglach wlok<sup>3</sup>y za sob<sup>1</sup> wiele lekkich galer.

Wokó<sup>3</sup> mnie opowiadano krzycz<sup>1</sup>c z podniecenia, że bitwa zaczę<sup>3</sup>a się daleko na morzu. Sam su<sup>3</sup>tan wjecha<sup>3</sup> konno do wody, na p<sup>3</sup>yciznê ko<sup>3</sup>o wie<sup>3</sup>zy Marmurowej, by wydawaæ rozkazy swojej flocie i wzywaa<sup>3</sup> kapitanów, żeby zniszczyli chrześcijańskie okrêty. Na ca<sup>3</sup>ym murze nadbrze<sup>3</sup>nym by<sup>3</sup>o a<sup>3</sup> czarno od ludzi. Podawano sobie z ust do ust pog<sup>3</sup>oski i wiadomoœci. Mówiono, że su<sup>3</sup>tan szczyrzy<sup>3</sup> obna<sup>3</sup>one zêby jak pies i że piana wyst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>a mu na usta. I mog<sup>3</sup>a to byæ prawda. Na w<sup>3</sup>asne oczy widzia<sup>3</sup>em przecie<sup>3</sup>, jak Mehmed wpad<sup>3</sup> raz w atak furii, choæ od tej pory nauczy<sup>3</sup> się ju<sup>3</sup> nad sob<sup>1</sup> panowaæ.

Powoli, lecz niewzruszenie wiatr pcha<sup>3</sup> okrêty w stronê portu i bezpieczeñstwa. Wlok<sup>3</sup>y one za sob<sup>1</sup> tureckie galery tak jak nied<sup>3</sup>wied<sup>3</sup> wlecze psy myœliwskie uwieszona u jego kud<sup>3</sup>ów. Galer by<sup>3</sup>o tak wiele, że czêsto zderza<sup>3</sup>y się ze sob<sup>1</sup>. Wysokie fale lœni<sup>3</sup>y od krwawej piany. Od czasu do czasu którœce z galer zaprzestawa<sup>3</sup>a walki, odczepia<sup>3</sup>a haki i odp<sup>3</sup>ywa<sup>3</sup>a na bok, żeby zrobiaæ miejsce innej. Daleko na morzu dryfowa<sup>3</sup>a samotna ton<sup>1</sup>ca galera.

W powietrzu rozbrzmiewa<sup>3</sup>y d<sup>3</sup>wiêki bêt<sup>3</sup>nów i rogów, przera<sup>3</sup>liwe krzyki i œmiertelne wycia. W wodzie p<sup>3</sup>ywa<sup>3</sup>y trupy i szcz<sup>1</sup>tki wraków. Z wysokich pok<sup>3</sup>adów bronili się toporami, mieczami i pikami zakuci w <sup>3</sup>elazo chrześcijañscy <sup>3</sup>o<sup>3</sup>nierze spychaj<sup>1</sup>c Turków, którzy nieprzerwanie wdzierali się na strome burty okrêtów. Turecki admira<sup>3</sup> sta<sup>3</sup> na rufie swojej galery z tub<sup>1</sup> w d<sup>3</sup>oni i wykrzykiwa<sup>3</sup> rozkazy. Nagle t<sup>3</sup>um zawrzasn<sup>13</sup> jednym g<sup>3</sup>osem:

— Flaktanellas, Flaktanellas! — Krzyk niós<sup>3</sup> się triumfalnie po ca<sup>3</sup>ym mieœcie. Ktoœ rozpozna<sup>3</sup> kapitana statku z cesarskim proporcem. By<sup>3</sup> to statek, który jeszcze przed oblê<sup>3</sup>eniem po<sup>3</sup>eglowa<sup>3</sup> na Sycyliê po zbo<sup>3</sup>e. Na jego pok<sup>3</sup>adzie mo<sup>3</sup>na by<sup>3</sup>o jeszcze wyra<sup>3</sup>nie rozró<sup>3</sup>niæ olbrzymiego mêt<sup>3</sup>czyznê, œmiej<sup>1</sup>cego się i stroj<sup>1</sup>cego grymasy. Wymachiwa<sup>3</sup> okrwawionym toporem i wskazywa<sup>3</sup> <sup>3</sup>uczni<sup>3</sup>kom nieprzyjació<sup>3</sup> siedz<sup>1</sup>cych wysoko na masztach tureckich galer.

Genueñczycy zmoczyli <sup>3</sup>agle, tak że tureckie strza<sup>3</sup>y zapalaj<sup>1</sup>ce nie mog<sup>3</sup>y ich podpaliaæ. Na pok<sup>3</sup>ad tureckiej galery trysn<sup>13</sup> nagle strumieñ ognia i krzyk bólu oparzonych zag<sup>3</sup>uszy<sup>3</sup> na chwilê zgie<sup>3</sup>k bitewny. P<sup>3</sup>on<sup>1</sup>ca galera wycofa<sup>3</sup>a się z boju zostawiaj<sup>1</sup>c za sob<sup>1</sup> p<sup>3</sup>omienny œelad na wodzie.

Wszystko to stanowi<sup>3</sup>o niewiarygodny wprost widok. Cztery chrześcijañskie okrêty torowa<sup>3</sup>y sobie nieustêpliwie drogê do portu, otoczone przez co najmniej czterdzieœci tureckich galer bojowych. Radoœæ t<sup>3</sup>umu by<sup>3</sup>a nieopisana. Raz po raz wo<sup>3</sup>ano, że to flota papieska nadci<sup>1</sup>ga. Te okrêty to tylko stra<sup>3</sup> przednia. Konstantynopol jest uratowany.

Spowity dymami, spl<sup>1</sup>tany k<sup>3</sup>1b statków min<sup>13</sup> cypel Akropolu. Tam okrêty musia<sup>3</sup>y zrobiaæ ostry zwrot na zachód, żeby dotrzeæ do zapory portowej i Z<sup>3</sup>otego Rogu. Zgubi<sup>3</sup>y pomyœlny wiatr. Straci<sup>3</sup>y pêt. W miejscu os<sup>3</sup>oniêtym od wiatru pod wysokim wzgórzem <sup>3</sup>agle im obwis<sup>3</sup>y i widaæ by<sup>3</sup>o wyra<sup>3</sup>nie, że okrêty nie s<sup>3</sup>uchaj<sup>1</sup> ju<sup>3</sup> steru. Na tureckich galerach podniós<sup>3</sup> się okrzyk triumfu. T<sup>3</sup>um oniemia<sup>3</sup>. Ze wzgórz na przeciwleg<sup>3</sup>ym brzegu, po drugiej stronie murów Pery, dotar<sup>3</sup> z wiatrem a<sup>3</sup> do nas zwyciêski ryk. Sta<sup>3</sup>y tam gêt<sup>3</sup>e rzesze przygl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>cych się bitwie Turków wielbi<sup>1</sup>c Allacha.



Okrêty chrzeœcijañskie skupi³y siê ciasno jeden przy drugim. Walczy³y w zwartym szyku, mimo ¿e turecki okrêt admira³ski tkwi³ jeszcze wbity ostrog¹ w najwiêkszego genueñczyka i przeszkadza³ mu w manewrowaniu. Mocno spiête hakami ze sob¹, burta w burtê, ko³ysa³y siê cztery na wysokiej fali jak jedna wielka twierdza, rzygaj¹c kamieniami, kulami, strza³ami, ogniem i roztopionym o³owiem na tureckie galery. Sycz¹cymi ³ukami tryska³ grecki ogieñ na pok³ady tureckie, tak ¿e za³oga mia³a pe³ne rêce roboty przy gaszeniu.

— Flaktanellas, Flaktanellas! — zaczêli znowu krzyczeæ ludzie na murze nadbrze¿nym. Okrêty by³y teraz tak blisko, ¿e mo¿na by³o rozró¿niæ wyraŹnie nawet rysy walcz¹cych. Ale nikt nie móg³ przyjœæ im z pomoc¹. Za zapor¹ portow¹ czeka³y okrêty weneckie gotowe do boju, ale ³añcuch nie dawa³ im wmieszaæ siê do bitwy. A do portu by³o jeszcze daleko.

Kiedy przygl¹da³em siê fantastycznej walce genueñskich okrêtów, wybaczy³em Perze ca³¹ jej kupieck¹ chciwoœæ. Zda³em sobie sprawê, ile ten bój wymaga³ dyscypliny, sztuki i umiejêtnoœci ¿eglarskiej. Zrozumia³em, dlaczego Genua przez wieki by³a w³adczyni¹ m³rz³ wsp³ozawodnicz¹c z sam¹ Wenecj¹. Nies³ychanie powoli, ca³ po ca³u, sunê³a ta hucz¹ca i pluj¹ca ogniem twierdza z czterech okrêtów ku zaporze portowej, mozolnie pêdzona kilkoma ogromnymi wios³ami i przybojem.

Na murze i na wzgórzach w mieœcie ludzie padali na kolana. Napiêcie by³o nie do wytrzymania. Tak straszliwa by³a turecka przewaga. Z tak¹ furi¹ zmienia³y siê wci¹¿ galery, by iœæ do natarcia ze œwie¿ymi si³ami. Turecki admira³ ochryp³ od krzyku. Krew sp³ywa³a mu z policzka. Z odcietymi rêkami spadali do wody odziani w turbany wojownicy, ale ich d³onie czepia³y siê wci¹¿ jeszcze kurczowo relingów okrêtów chrzeœcijañskich.

— Panaghia, Panaghia, Œwiêta Dziewico, os³oñ swoje miasto! — zanosili mod³y ludzie. Grecy modlili siê za ³acinników, zagrzani wytrzyma³oœci¹ i mêstwem ¿eglarzy. Mo¿e to nie bohaterstwo, kiedy cz³owiek walczy o ¿ycie. Ale bohaterstwem by³o na pewno, ¿e te cztery okrêty nie opuszczaj¹c siê nawzajem usi³owa³y przedrzeæ siê przez przewa¿aj¹ce si³y wroga, by przyjœæ z odsiecz¹ Konstantynopolowi.

I nagle, nagle jak gdyby niebieski podmuch przeci¹gn¹³ po niebie. Sta³ siê cud. Wiatr zmieni³ kierunek. Wzdê³y siê znowu ciê¿kie, mokre p³ótna i okrêty chrzeœcijañskie ruszy³y szybciej ku zaporze portowej. W ostatniej chwili turecki admira³ kaza³ odr¹baæ dziób swojej galery, tak ¿e tylko ostroga zosta³a w brzuchatej dêbowej burcie chrzeœcijañskiego okrêtu. Z krwi¹ bluzgaj¹c¹ ze szpigatów galera turecka zawróci³a, daj¹c za wygran¹, i odp³ynê³a. Jakby kulej¹c, z po³amanymi wios³ami, otoczone k³êbi¹cymi siê chmurami dymu z nie daj¹cego siê ugasiæ greckiego ognia, inne tureckie okrêty posz³y w œlad swego dowódcy. Przeci¹g³y ryk triumfu ludu Konstantynopola wstrz¹sn¹³ niebem.

Nie wiem du¿o o cudach. Ale to, ¿e wiatr zmieni³ kierunek w³acenie w tej decyduj¹cej chwili,

by<sup>3</sup>o z pewnoœci<sup>1</sup> cudem. W wydarzeniu tym kry<sup>3</sup>osiê coœ nadprzyrodzonego, coœ, czego nie mog<sup>3</sup>y poj<sup>1</sup>æ umys<sup>3</sup>y ludzkie. Tej osobliwoœci nie zaciemnia<sup>3</sup>y okropne biadania rannych ani chrapliwe przekleñstwa ¿eglarzy, którzy wyczerpanymi g<sup>3</sup>osami nawo<sup>3</sup>ywali w stronê portu prosz<sup>1</sup>c, by im otworzyæ zaporê. Odczepienie wielkiego <sup>3</sup>añcucha jest trudnym i niebezpiecznym zadaniem. I dopiero kiedy tureckie okrêty znik<sup>3</sup>y w Bosforze, Aloisio Diego kaza<sup>3</sup> otworzyæ zaporê i cztery okrêty chwiej<sup>1</sup>c siê wesz<sup>3</sup>y do portu i odda<sup>3</sup>y salut na czeœæ cesarza.

Jeszcze tego samego dnia po po<sup>3</sup>udniu za<sup>3</sup>ogi z chor<sup>1</sup>gwiami i dowódcami przemaszerowa<sup>3</sup>y w towarzystwie rozradowanych t<sup>3</sup>umów przez ca<sup>3</sup>e miasto od klasztoru Chora, by dziêkowaæ konstantynopolitañskiej Panaghii za uratowanie. Wszyscy ranni, którzy mogli chodziæ, wziêli udzia<sup>3</sup> w tym pochodzie, a kilku innych kaza<sup>3</sup>o siê zanieœæ do koœcio<sup>3</sup>a na noszach, w nadziei, ¿e zostan<sup>1</sup> cudownie uzdrowieni. Tak dziêkowali i wychwalali <sup>3</sup>acinnicy greck<sup>1</sup> Najœwiêtsz<sup>1</sup> Dziewicê, a oczy ich oœlepia<sup>3</sup>y z<sup>3</sup>ote mozaiki w klasztornym koœciele Chory.

Ale wœród bardziej myœl<sup>1</sup>cych mieszkañców miasta radoœæ i nadzieje straci<sup>3</sup>y niebawem swój blask, gdy zdali sobie sprawê, ¿e te trzy genueñskie okrêty wcale nie stanowi<sup>3</sup>y stra¿y przedniej po<sup>3</sup>1czonej floty chrzeœcijañskiej, lecz przysz<sup>3</sup>y tylko z <sup>3</sup>adunkami broni, które cesarz jeszcze w jesieni zakupi<sup>3</sup> i zap<sup>3</sup>aci<sup>3</sup>. Napaeæ su<sup>3</sup>tana na nie by<sup>3</sup>a wyraŹnym pogwa<sup>3</sup>ceniem neutralnoœci, gdy¿ okrêty w<sup>3</sup>œeciwie zd<sup>1</sup>¿a<sup>3</sup>y do Pery. Kapitanowie stawili opór tylko dlatego, ¿e ich <sup>3</sup>adunek by<sup>3</sup> kontraband<sup>1</sup> wojenn<sup>1</sup> i obawiali siê, i¿ utrac<sup>1</sup> swoje okrêty. Wszed<sup>3</sup>szy szczêœliwie do portu stali siê teraz zarówno oni, jak ich armatorzy bogatymi ludŹmi. Inna sprawa, czy zdo<sup>3</sup>aj<sup>1</sup> zachowaæ bogactwo i okrêty powo<sup>3</sup>uj<sup>1</sup>c siê na neutralnoœæ Pery.

Moje upojenie minê<sup>3</sup>o. Zmuszony by<sup>3</sup>em powróciæ na swój posterunek w Blachernach i zg<sup>3</sup>osiæ siê u Giustinianiego. Poca<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>em moj<sup>1</sup> m<sup>3</sup>od<sup>1</sup> ¿onê na po¿egnanie b<sup>3</sup>1dz<sup>1</sup>c myœlami ju¿ gdzie indziej i zabroni<sup>3</sup>em jej pokazywaæ siê na mieœcie, ¿eby jej nie poznano. Nakaza<sup>3</sup>em Manuelowi, by jej s<sup>3</sup>ucha<sup>3</sup>, i przyrzek<sup>3</sup>em przyjœæ do domu, gdy tylko pozwol<sup>1</sup> mi na to moje obowi<sup>1</sup>zki.

Przy bramie œw. Romana nie tylko mur zewnêtrzny, ale i wielki mur dozna<sup>3</sup> ju¿ uszkodzeñ od ognia dzia<sup>3</sup>. O zmierzchu wleczono belki, znoszono ziemiê, wi<sup>1</sup>zki faszyny i skóry nie koñcz<sup>1</sup>cym siê strumieniem na mur zewnêtrzny, ¿eby go umocniæ. Ka¿demu wolno wyjœæ przez wielki mur do muru zewnêtrznego, ale wróciæ do miasta jest trudniej. Giustiniani wystawi<sup>3</sup> posterunki, które chwytaj<sup>1</sup> tych, co próbuj<sup>1</sup> przedostaæ siê z powrotem, i zmuszaj<sup>1</sup> wszystkich odwiedzaj<sup>1</sup>cych do przepracowania jednej nocy. Źacinnicy Giustinianiego s<sup>1</sup> wyczerpani bombardowaniem trwaj<sup>1</sup>cym przez ca<sup>3</sup>1 dobê i ustawicznymi wypadami na wy<sup>3</sup>om, gdzie Turcy staraj<sup>1</sup> siê, jak mog<sup>1</sup>, przeszkadzaæ w naprawianiu muru. Wiêszoœæ obroñców nie zdejmowa<sup>3</sup>a pancerzy od wielu dni.

Opisa<sup>3</sup>em Giustinianiemu bitwê morsk<sup>1</sup>, tak jak j<sup>1</sup> widzia<sup>3</sup>em na w<sup>3</sup>asne oczy, i powiedzia<sup>3</sup>em:

— Wenecjanie s<sup>1</sup> wœciekli z powodu zwyciêstwa Genueñczyków na morzu. Ich okrêty nie osi<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>y dotychczas ¿adnej wiêkszej chwa<sup>3</sup>y stoj<sup>1</sup>c przy zaporze i unikaj<sup>1</sup>c kul kamiennych z bombard su<sup>3</sup>tana.

— Zwyciêstwo — rzek<sup>3</sup> Giustiniani nagle powa¿niej<sup>1</sup>c. — Jedywym zwyciêstwem jest to, ¿e

stawiamy opór przez blisko dwa tygodnie. Ale przybycie tych okrętów to nasza największa klęska. Dotychczas mogliśmy przynajmniej mieć nadzieję, że papieska flota krzyżowców zdłży na czas z odsiecz<sup>1</sup>. Teraz wiemy, że Morze Greckie stoi puste i nie ma żadnej zebranej floty nawet w portach w<sup>3</sup>oskich. Chrześcijaństwo opuści<sup>3</sup>o nas.

Zaoponowa<sup>3</sup>em:

— Taka wyprawa musi być utrzymana w tajemnicy do ostatka.

Odpar<sup>3</sup>:

— Bzdury. Nie można wyposażać tak dużej floty bez tego, by do kapitanów genueńskich nie dotar<sup>3</sup>y przynajmniej jakiego pog<sup>3</sup>oski. — Potem wpatrzy<sup>3</sup> się we mnie groźnymi wolimi oczyma i zapyta<sup>3</sup>: — Gdzie by<sup>3</sup>oć? Przez ca<sup>31</sup> dobę nikt cię nie widział w Blachernach.

Odrzek<sup>3</sup>em:

— Dzień by<sup>3</sup> spokojny i za<sup>3</sup>atwia<sup>3</sup>em swoje sprawy prywatne. Czy już mi nie ufasz?

Powiedzia<sup>3</sup> oskarżaj<sup>1</sup>co:

— Jesteś w moim zaci<sup>1</sup>gu. Muszę wiedzieć, co robisz. — Nagle przysun<sup>13</sup> twarz tuż do mojej, policzki mu nabrzmia<sup>3</sup>y i w oczach pojawi<sup>3</sup> się zielony ogień. Wybuch<sup>13</sup>: — Widziano cię w tureckim obozie.

— Czyż oszala<sup>3</sup>?! — wykrzykn<sup>13</sup>em. — To haniebne k<sup>3</sup>amstwo, musi być ktoś, kto pragnie mej g<sup>3</sup>owy. Jakżeż mógł<sup>3</sup>bym choćby tylko przedostać się tam i z powrotem?

Rzek<sup>3</sup>:

— Co noc kr<sup>1</sup>ż<sup>1</sup> <sup>3</sup>odzie między nami i Per<sup>1</sup>. Wiesz o tym dobrze. Można przep<sup>3</sup>aciąć podestę w Perze, a tamtejsi wartownicy to ubodzy ludzie, którzy nie odrzuc<sup>1</sup> ubocznego dochodu. Nie myśl, że nie wiem, co dzieje się u su<sup>3</sup>tana. Mam tam oczy, podobnie jak su<sup>3</sup>tan ma je tutaj.

— Giustiniani — powiedzia<sup>3</sup>em — musisz mi wierzyć ze względu na nasz<sup>1</sup> przyjaźń. Dzień by<sup>3</sup> wczoraj spokojny i wzi<sup>13</sup>em ołub z greck<sup>1</sup> kobiet<sup>1</sup>. Ale na mi<sup>3</sup>oć bosk<sup>1</sup> zachowaj to dla siebie! Inaczej j<sup>1</sup> stracę.

Wybuch<sup>3</sup> grzmie<sup>1</sup>cym cieniem i uderzy<sup>3</sup> mnie szerok<sup>1</sup> <sup>3</sup>ap<sup>1</sup> po barku jak dawniej:

— Jeszcze nigdy nie s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>em czegoś bardziej szalonego — rzek<sup>3</sup>. — Uważasz, że to odpowiednia pora, by myśleć o o<sup>3</sup>enku?

Wierzy<sup>3</sup> mi. Może chciał<sup>3</sup> mnie tylko nastraszyć, żebym wyzna<sup>3</sup>, co robi<sup>3</sup>em, kiedy nie miał<sup>3</sup> mnie na oku. Ale serce przepe<sup>3</sup>ni<sup>3</sup>o mi przynębienie i z<sup>3</sup>e przecucia. Przez ca<sup>31</sup> noc nowe ogniska p<sup>3</sup>onę<sup>3</sup>y w obozie tureckim, a z wielkich dzia<sup>3</sup>, które dotychczas zadowala<sup>3</sup>y się w nocy jednym strza<sup>3</sup>em, strzelano teraz co dwie godziny.

Piekielny dzień. W nocy Turcy podprowadzili nowe dzia<sup>3</sup>a i wzmocnili swoje baterie. Ich nowa metoda, by nie kierowaæ strza<sup>3</sup>ów w jeden i ten sam punkt, okaza<sup>3</sup>a siê skuteczna. Po po<sup>3</sup>udniu zwali<sup>3</sup>a siê jedna z wie¿ na wielkim murze ko<sup>3</sup>o bramy œw. Romana, poci<sup>1</sup>gaj<sup>1</sup>c za sob<sup>1</sup> kawa<sup>3</sup> muru. Wy<sup>3</sup>om jest pokaŸny. Gdyby Turcy mieli w pogotowiu odpowiedni<sup>1</sup> do ataku si<sup>3</sup>ê, mogliby wtargn<sup>1</sup>æ do miasta. Z muru zewnêtrznego w tym punkcie pozosta<sup>3</sup>a tylko prowizoryczna palisada, któr<sup>1</sup> trzeba odbudowywaæ co noc. Ale Turcy na szczêœcie zadowolili siê atakowaniem w sile paruset ludzi w ról<sup>3</sup>nych miejscach muru. Nie nad<sup>1</sup>¿aj<sup>1</sup> ju¿ ze zbieraniem poleg<sup>3</sup>ych. Wiele trupów le¿y pod murem zewnêtrznym i tam, gdzie fosa obsunê<sup>3</sup>a siê, i odór ztruwa powietrze.

Wymiana strza<sup>3</sup>ów trwa<sup>3</sup>a nieprzerwanie przez ca<sup>3</sup>y dzieñ a¿ do póŸnego wieczora. Su<sup>3</sup>tan kaza<sup>3</sup> próbowaæ muru wszêdzie. Na wzgórzach za Per<sup>1</sup> ustawi<sup>3</sup> nowe armaty, które strzelaj<sup>1</sup> nad Per<sup>1</sup> i usi<sup>3</sup>uj<sup>1</sup> trafiaæ okrêty w porcie. Co najmniej sto piêædziesi<sup>1</sup>t kul kamiennych spad<sup>3</sup>o ju¿ do portu. Kiedy weneckie okrêty odp<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>y od zapory, by unikn<sup>1</sup>æ ostrzeliwania, su<sup>3</sup>tañskie galery stara<sup>3</sup>y siê j<sup>1</sup> prze<sup>3</sup>amaæ. Uderzono jednak w porê na alarm i Wenecjanie wrócili, by broniaæ <sup>3</sup>añcucha. Uda<sup>3</sup>o im siê uszkodziaæ galery tureckie tak ciê¿ko, ¿e zawróci<sup>3</sup>y. W ci<sup>1</sup>gu tej bitwy Turcy nie mogli strzelaæ nad Per<sup>1</sup> z obawy, by nie uszkodziaæ w<sup>3</sup>asn<sup>3</sup>ych okrêtów. Trzy razy flota su<sup>3</sup>tañska usi<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>a nadaremnie przerwaæ <sup>3</sup>añcuch.

Wydaje siê, ¿e su<sup>3</sup>tan zmobilizowa<sup>3</sup> wszystkie si<sup>3</sup>y, by pomœciaæ wczorajsz<sup>1</sup> haniebn<sup>1</sup> pora¿kê na morzu. Mówi<sup>1</sup>, ¿e wczoraj wieczorem pojecha<sup>3</sup> konno do portu Pelar i w<sup>3</sup>asnorêcznie bi<sup>3</sup> swego admira<sup>3</sup>a w pierœ i po barkach ¿elazn<sup>1</sup> bu<sup>3</sup>aw<sup>1</sup> emira. Admira<sup>3</sup> Baltoglu, sam ciê¿ko ranny, straci<sup>3</sup> w bitwie oko, a na pok<sup>3</sup>adzie jego okrêtu admira<sup>3</sup>skiego pad<sup>3</sup>o dwustu ludzi, tak ¿e z wielkim trudem tylko zdo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> wycofaæ siê z walki o w<sup>3</sup>asn<sup>3</sup>ych si<sup>3</sup>ach. Bez w<sup>1</sup>tpienia jest to m<sup>1</sup>¿ dzielny, ale nie umia<sup>3</sup> dowoziaæ ca<sup>31</sup> flot<sup>1</sup>. Wskazuje na to wczorajsze zamieszanie.

Su<sup>3</sup>tan chcia<sup>3</sup> wbiaæ go na pal, ale wy¿si dowódcy floty b<sup>3</sup>agali go o <sup>3</sup>askê podkreœlaj<sup>1</sup>c odwagê admira<sup>3</sup>a. Tote¿ su<sup>3</sup>tan zadowolil<sup>3</sup> siê ch<sup>3</sup>ost<sup>1</sup>. Na oczach ca<sup>3</sup>ej floty bito wiêc admira<sup>3</sup>a kijami, dopóki nie straci<sup>3</sup> przytomnoœci. Skonfiskowano mu te¿ ca<sup>3</sup>y maj<sup>1</sup>tek i wygnano go z obozu su<sup>3</sup>tana. A ¿e straci<sup>3</sup> oko, maj<sup>1</sup>tek i honor, zrozumia<sup>3</sup>e jest, ¿e su<sup>3</sup>tanowi trudno jest teraz znaleŸæ kogoœ, kto obj<sup>13</sup>by dowództwo nad flot<sup>1</sup>. W ka¿dym razie flota turecka nie jest ju¿ bezczynna, przez ca<sup>3</sup>y dzieñ by<sup>3</sup>a w ruchu, nie osi<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>wszy jednak mimo to zbyt wiele.

Wenecjanie obawiaj<sup>1</sup> siê, ¿e dzia<sup>3</sup>alnoœæ floty i ustawiczne utarczki rozpoznawcze zapowiadaj<sup>1</sup> rych<sup>3</sup>e ogólne natarcie. Stan alarmowy trwa<sup>3</sup> przez ca<sup>3</sup>y dzieñ. Nikomu nie wolno oddalaæ siê z muru. Nikomu nie wolno nawet od<sup>3</sup>o¿yæ na noc zbroi. Wczorajsz<sup>1</sup> zwyciêsk<sup>1</sup> radoœæ zast<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>o w ca<sup>3</sup>ym

miećecie przygnębienie. Nikt już nie stara się liczyć strażów armatnich, tak nieprzerwany jest huk. Dym prochowy zaciemnia niebo i osmala domy.

Co dzień przybywają do obozu sułtana nowe oddziały i ochotnicy, zwabieni możliwością grabieży. Śśród nich także chrześcijańscy i żydowscy kupcy, którzy dobrze zarabiają na sprzedaży żywności w obozie i zamierzają ulokować zarobki w sposób wojenny, gdy Turcy zdobędą miasto. Mówi, że wózki, sanie i zwierzęta pociągowe, osy i wielbłądy poszły gwałtownie w cenę wobec bliskiej perspektywy wywożenia zrabowanych skarbów z Konstantynopola. Biedacy spodziewają się, że dostaną tylu niewolników w mieście, iż sposób można będzie zanieść na ludzkich plecach aż do Azji.

Wszystko to zapowiada ostateczny szturm. Baterie sułtana nauczyły się już celować w trzy specjalne punkty w murze, tak że wielkie kawały muru zewnętrznego odrywają się i walą do fosy. W mieście, a także i na murach można czasem dostrzec oznaki paniki.

Rezerwowa załoga Notarasa objęła konno miasto i wleczła bez pardonu każdego zdolnego do pracy na mury. Tylko kobietom, starcom i dzieciom wolno zostać w domu. Nawet chorych wyciąga się z łóżek, gdy jest wielu podszytych tchórzem, którzy udają chorobę. Inni znów uważają, że ta wojna jest wojną cesarza i nie chcą się bawić za nich. W trwodze wielu ludzi znalazło sobie kryjówki w piwnicach, podziemnych sklepieniach i wyschniętych studniach na wypadek, gdyby Turkom udało się wtargnąć do miasta.

*22 kwietnia 1453*

Straszliwa niedziela. Rano nagle przestały dzwonić dzwony kościelne i na murze koło portu zebrała się wielka masa ludzi, którzy w niemym zdumieniu przecierali oczy. Mówiono ze strachem o sztuczkach czarownic i o derwiszach, którzy umieją chodzić po wodzie i posługiwać się paszczem jak żaglem. Naprzeciw kościoła św. Mikołaja i bramy św. Teodozji leży port w Perze gęsto zatoczony tureckimi galerami. Nikt nie mógł zrozumieć, jak okręty tureckie przedostały się przez zaporę, tak że obecnie znajdują się na tyłach naszej floty. Wielu przecierało po parę razy oczy i zapewniało, że te okręty to omam. Ale na brzegu koło Pery roiło się od Turków, którzy kopali szance, wznosili palisady i wciągali działą mające osłaniać galery.

A potem wybuchł krzyk. Na szczycie wzgórza pojawił się nagle turecki okręt, który zaraz zaczął się zecelizgiwać ze zbocza na płynących żaglach, przy muzyce bębnowej i trąb. Wyglądało to tak, jakby żeglówka po całym lądzie. Ciągłony przez setki ludzi po drewnianym zecelizgu zjechał na brzeg, plusnął do wody, uwolnił się od drewnianego podwozia i podpłynął do innych okrętów. Stało tam już rzędem ponad pięćdziesiąt żagli. Nie były to jednak wielkie galery, lecz tylko takie o osiemnastu albo dwudziestu dwu wiosłarzami, dżugoci od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu stóp.

Przez jeden dzień i jedną noc sułtan i jego nowy admirał dokonali tego zaskoczenia. W ciągu

dnia wysz³o na jaw, że Genueńczycy z Pery dostarczyli su³tanowi ogromn¹ iloœæ drewna, lin, drewnianych kloców na wa³ki i sad³a do smarowania zeelizgu. A potem Turcy za pomoc¹ ko³owrotów, wo³ów i robotników wci¹gnêli okrêty z Bosforu na strome wzgórze za Per¹ i w dó³ na drug¹ stronê do Z³otego Rogu.

Genueńczycy w Perze bronili siê twierdz¹c, że wszystko odby³o siê tak szybko i w najwiêkszej tajemnicy, że nie mieli pojęcia o tych przygotowaniach a¿ do œwitu dnia dzisiejszego. A jeœli chodzi o sprzeda¿ du¿ej iloœci sad³a — mówili — to dla zachowania neutralnoœci zmuszeni s¹ przecie¿ prowadziæ handel zarówno z su³tanem, jak z miastem. I nawet gdyby wiedzieli, co siê stanie, nie mogliby temu przeszkodziæ, gdy¿ na wzgórze stoj¹ dziesi¹tki tysiêcy tureckich wojowników dla os³ony galer.

Aloisio Diego zwo³a³ pospiesznie weneckich dowódców na naradê z cesarzem i Giustinianim w koœciele œw. Marii. Tymczasem wci¹¿ nowe galery zacielizgiwa³y siê ze wzgórza ko³o Pery z rozwiniêtymi ¿aglami, sternicy bili w bêbny, a za³oga wykrzykiwa³a i wywija³a wios³ami, jakby cieszc siê po dziecinnemu z tej ¿eglugi po suchym l¹dzie. Nasza flota sta³a gotowa do boju, ale nie mog³a nic zdzia³aæ.

Narada by³a tajna i Aloisio Diego nie pos³a³ nawet po genueñskich szyprów, co rozgoryczy³o ich przeciw Wenecjanom jeszcze bardziej ni¿ poprzednio. Na dowód, jak trudno jest w tym mieœcie utrzymaæ coœ w tajemnicy, mogê wspomnieæ, że ju¿ tego samego wieczora znalaz³o siê w Blachernach wielu, którzy znali przebieg obrad.

Kilku Wenecjan zaproponowa³o, by flota natychmiast ruszy³a do natarcia i wielkimi okrêtami i ciê¿kim uzbrojeniem zniszczy³a lekkie okrêty tureckie, podczas gdy jeszcze le¿a³y na brzegu. Nie mog³y one stawiaæ wiêkszego oporu, twierdzono, choæby ich by³o nie wiadomo jak wiele. Ale ostro¿niejsi cz³onkowie rady, a wœród nich sam bailon, ¿ywili zdrowy respekt przed dzia³ami, które su³tan ustawi³ na wzgórze dla os³ony swoich galer, i sprzeciwili siê tak ryzykownemu przedsiêwziêciu, które mog³o doprowadziæ do tego, że ich wielkie i drogocenne okrêty zostan¹ zatopione albo uszkodzone.

Proponowano te¿ nocne zaskoczenie przez wysadzenie na l¹d oddzia³ów z paru lekkich galer, ale Giustiniani odmówi³ stanowczo zgody na to. Turcy stali zbyt wielk¹ si³¹ pod Per¹, a nasza obrona nie mog³a sobie pozwoliæ na stratê ani jednego zdatnego do walki ¿o³nierza.

Przeciw obu propozycjom za³o¿y³ te¿ veto cesarz Konstantyn z powodów politycznych. Tureckie galery stoj¹ na kotwicy w Z³otym Rogu po stronie Pery. Brzeg nale¿y do Pery, mimo że znajduje siê poza jej murami. A wiêc ani nie mo¿na, ani nie wolno wszczynaæ ¿adnego ataku bez uprzedniego naradzania siê z Genueńczykami w Perze. Nawet jeœli su³tan wyraŹnie pogwa³ci³ neutralnoœæ Pery przez obsadzenie odcinka brzegu przy porcie, nie uprawnia to Konstantynopola do podobnego

naruszenia neutralności. Frances popar<sup>3</sup> cesarza i powiedzia<sup>3</sup>, że Konstantynopol nie może sobie pozwolić na poróżnienie się z Genuńczykami, nawet jeżeli sułtan to zaryzykuje.

Wenecjanie krzyczeli mocno przeklinając, że równie dobrze można by<sup>3</sup>oby wyjawiać te plany wprost sułtanowi, jak i Genuńczykom, którzy s<sup>1</sup> zdrajcami chrześcijaństwa. Byli zdania, że sułtan tylko z tajnym poparciem Pery mógł przenieść okręty do Złotego Rogu.

Giustiniani wyci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> na to swój duży dwuręczny miecz i zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>, że gotów jest bronić honoru Genui przeciw jednemu, dwóm albo całej weneckiej dwunastoosobowej radzie naraz. To hańba i niesprawiedliwość, krzyczą<sup>3</sup>, sporządza plan natarcia nie wys<sup>3</sup>uchawszy wprawdzie szyprow genueńskich. Ich okręty s<sup>1</sup> wystawione na takie samo niebezpieczeństwo jak weneckie i bior<sup>1</sup> taki sam udział w obronie. To niedorzeczność ze strony Wenecjan, by takim posunięciem starać się podreperować swój nadwytłony honor.

Cesarz musiał stanąć przed nim z rozpostartymi ramionami, by go uspokoić, i ze złości w oczach usiłowa<sup>3</sup> uśmierzyć wzbudzonych Wenecjan.

W końcu go<sup>3</sup>abra<sup>3</sup> kapitan wenecki Giacomo Coco, ten, który w jesieni przybył tu z Trebizondy i który zdołał podstępem przepłynąć przez Bosfor mimo blokady Turków nie tracąc ani jednego człowieka. Jest to szorstki mężczyzna, który woli działać niż mówić, ale czasem pojawia się w jego oku błysk rozbawienia, a podwładni ubóstwiają go i opowiadają niezliczone historie o jego sztuce żeglarskiej i przebiegłości.

— Im więcej kucharzy, tym gorsza zupa — powiedzia<sup>3</sup>. — Jeżeli ma się coś zrobić, trzeba to zrobić natychmiast, zniechęca i bez mieszania do tej sprawy więcej osób, niż to konieczne. Wystarczy jedna galera, obłożona z zewnątrz workami bawełny i wełny dla ochrony przed ogniem z dział. Pod jej osłoną możemy podprężyć o wiosłach wieloma małymi łodziami i statkami i podpalić tureckie okręty, zanim ktos się opamięta. Ja sam obejmę chętnie dowództwo nad tą galerią, ale tylko pod warunkiem, że nie będzie się więcej gadać o tej sprawie i że wszystko to stanie się już dzisiaj w nocy.

Na pewno propozycja jego była dobra, ale cesarz uważał, że nie może obrazić Genuńczyków. Propozycję Coco przyjęto dlatego w zasadzie, ale postanowiono odłożyć całą przedsięwzięcie o kilka dni, żeby zaplanować je bliżej w porozumieniu z Genuńczykami. By zadowolić Coco, mianowano go dowódcą. Giacomo Coco wzruszył ramionami i zaćmiał się:

— Miałem już za dużo szczęścia, ale nie można wymagać niemożliwości. Zawsze jednak zdaję jeszcze wyrazić żal za grzechy i przystąpić do komunii świętej. Jeżeli nie zrobimy tego od razu, ta impreza oznacza dla mnie śmierć.

Giustiniani nie opowiedział mi o tym wszystkim. Stwierdził tylko:

— Będzie spraw<sup>1</sup> floty podjęcie koniecznych kroków. Tureckie galery w Rogu nie stanowi<sup>1</sup> żadnego zagrożenia dla okrętów weneckich. Co najwyżej mog<sup>1</sup> one w ciem<sup>1</sup> noc podp<sup>3</sup>yn<sup>1</sup>æ i podpaliæ jakœ chrzeœcijañski statek. O wiele gorsze jest to, æ trzeba obsadziæ na nowo mur portowy. Dotychczas sta<sup>3</sup>a tam tylko garœæ strażników, dla obserwacji, ale od tej pory musimy byæ dostatecznie silni, by móc powstrzymaæ Turków od prób l<sup>1</sup>dowania poprzez zatokê.

— Dzie w nocy su<sup>3</sup>tan Mehmed zdoby<sup>3</sup> sobie bez w<sup>1</sup>tpienia s<sup>3</sup>awê Aleksandra i przewy<sup>3</sup>szy<sup>3</sup> o wiele wyczyny króla Persów Kserksesa na tych wodach — podj<sup>13</sup>. — Wprawdzie ju<sup>3</sup> dawniej przeci<sup>1</sup>gano okrêty przez l<sup>1</sup>d, ale nigdy w tak trudnych warunkach i w tak wielkiej liczbie. Niech Weneccjanie gadaj<sup>1</sup>, co chc<sup>1</sup>, o swoich okrêtach. Bardziej podziwiam militarne zdolnoœci Mehmeda. W ten sposób bez jednego strza<sup>3</sup>u, samym tylko zagrożeniem, zmusi<sup>3</sup> mnie do przegrupowania obrony i rozproszenia si<sup>3</sup>.

Spojrza<sup>3</sup> na mnie spod oka i doda<sup>3</sup>:

— Czy wspomina<sup>3</sup>em ci ju<sup>3</sup> przypadkiem, æ cesarz i ja doszlicemy zgodnie do wniosku, i<sup>3</sup> megaduks Łukasz Notaras zas<sup>3</sup>u<sup>3</sup>cy<sup>3</sup> na nowy awans z powodu swoich zas<sup>3</sup>ug w obronie miasta? Jutro rano zostanie mianowany dowódc<sup>1</sup> si<sup>3</sup> rezerwowych w centrum ko<sup>3</sup>o koœcio<sup>3</sup>a œw. Aposto<sup>3</sup>ów. Obronê muru powierzam komuœ innemu i równoczenie posy<sup>3</sup>am tam innych ludzi.

— Giustiniani — powiedzia<sup>3</sup>em. — On ci tego nigdy nie wybaczy. W jego osobie zniewa<sup>3</sup>asz ca<sup>31</sup> greck<sup>1</sup> ludnoœæ, koœcio<sup>3</sup>y i klasztory, kap<sup>3</sup>anów i mnichów, ca<sup>3</sup>ego greckiego ducha.

Giustiniani <sup>3</sup>ypn<sup>13</sup> na mnie okiem.

— Takæ i to bédê chyba musia<sup>3</sup> wytrzymaæ dla ksi<sup>1</sup>êcej korony — odpar<sup>3</sup>. — Nigdy nie móg<sup>3</sup>bym sobie wybaczyæ, gdyby grecki duch pewnej nocy otworzy<sup>3</sup> bramy portu i wpuci<sup>3</sup> Turków z tych ich okrêtów. — Zamrucza<sup>3</sup> coœ pod nosem i powtórzy<sup>3</sup>: — Grecki duch, tak, to w<sup>3</sup>aciciwe s<sup>3</sup>owo, grecki duch, jego musimy siê wszyscy wystrzegaæ, takæ cesarz.

Kipia<sup>3</sup>em gniewem, choæ go rozumia<sup>3</sup>em.

Nasz<sup>1</sup> jedyn<sup>1</sup> radoœci<sup>1</sup> w tê smutn<sup>1</sup> niedzielê by<sup>3</sup>o to, æ jedno z wielkich tureckich dzia<sup>3</sup> pê<sup>3</sup>o ze strasliwym hukiem, zabijaj<sup>1</sup>c wielu ludzi z obsady i wprowadzaj<sup>1</sup>c ca<sup>3</sup>e swoje otoczenie w zamêt. Trwa<sup>3</sup>o blisko cztery godziny, zanim dzia<sup>3</sup>a znowu zaczê<sup>3</sup>y strzelaæ na tym odcinku.

Wœród obroñców wielu cierpi na gor<sup>1</sup>czkê i bóle brzucha. Bracia Guacchardi kazali powiesiæ greckiego robotnika, który umyœlnie obci<sup>13</sup> sobie palce, æby nie musiaæ pracowaæ na murze.

Czy<sup>3</sup>by to rzeczywiœcie by<sup>3</sup>a wojna <sup>3</sup>acinników, a nie Greków? Bojê siê mego serca. Bojê siê moich myœli. W czasie wojny nawet najch<sup>3</sup>odniejszy rozum nie mo<sup>3</sup>æ pozostaæ nie zm<sup>1</sup>cony.

*25 kwietnia 1453*



Dziœ oko<sup>3</sup>o p<sup>3</sup>noy Jacomo Coco mia<sup>3</sup> dwie galery w pogotowiu, Ÿeby zaatakowaæ Turków i podpaliaæ tureckie okrêty pod wzgórzem Pery. Genuœnicy przeszkodzili jednak temu przedsiêwziêciu obiecuj<sup>1</sup>c wziæ w nim udzia<sup>3</sup> wiêkszymi si<sup>3</sup>ami, gdy tylko zd<sup>1</sup>Ÿy siê lepiej zaplanowaæ ten atak.

Zastanawia<sup>3</sup>em siê tylko, jak oni mog<sup>1</sup> wierzyæ, Ÿe to siê da utrzymaæ w tajemnicy, skoro niemal kaŸdy cz<sup>3</sup>owiek we flocie wie o tym i skoro podobno powszechnie roztrz<sup>1</sup>sa siê projekt zaskakuj<sup>1</sup>cego ataku na Perê.

Ogieñ z dzia<sup>3</sup> trwa. Straty rosn<sup>1</sup>. Co naprawimy w ci<sup>1</sup>gu nocy, kule kamienne krusz<sup>1</sup> nastêpnego dnia. Na odcinku wielkiego muru braci Guacchardi runê<sup>3</sup>y dwie wieŸe.

*28 kwietnia 1453*

Dziœ rano, kiedy by<sup>3</sup>o jeszcze ciemno, przyszed<sup>3</sup> Giustiniani i zbudzi<sup>3</sup> mnie potrz<sup>1</sup>saj<sup>1</sup>c, jak gdyby chcia<sup>3</sup> siê przekonaæ, Ÿe jestem na swoim posterunku w Blachernach. Potem rozkaza<sup>3</sup> mi krótko iœæ za sob<sup>1</sup>. By<sup>3</sup>o jeszcze przed œwitaniem. Ch<sup>3</sup>ód nocy dawa<sup>3</sup> siê dotkliwie we znaki. W obozie tureckim ujada<sup>3</sup>y psy. Poza tym wszêdzie by<sup>3</sup>o cicho.

Weszliœmy na mur naprzeciw miejsca, gdzie zakotwiczy<sup>3</sup>y okrêty tureckie. Na dwie godziny przed wschodem s<sup>3</sup>oñca zap<sup>3</sup>on<sup>13</sup> nagle sygna<sup>3</sup> ogniowy na wysokiej wieŸy w Perze.

— BoŸe Wszchemog<sup>1</sup>cy — wyszepta<sup>3</sup> zduszonym g<sup>3</sup>osem Giustiniani. — Dlaczego urodzi<sup>3</sup>em siê Genuœczykiem? Ich prawa rêka nie wie, co robi lewa.

Noc by<sup>3</sup>a nadal cicha. Z tureckiego brzegu nie s<sup>3</sup>ychaæ by<sup>3</sup>o najmniejszego dŸwiêku. Pod nami b<sup>3</sup>yszcza<sup>3</sup>y czerni<sup>1</sup> wody portowej zatoki. Jasny ogieñ zap<sup>3</sup>on<sup>13</sup> wysoko na wieŸy w Galacie. WytêŸy<sup>3</sup>em wzrok i zdawa<sup>3</sup>o mi siê, Ÿe rozróŸniam cienie okrêtów sun<sup>1</sup>ce po wodzie. Potem noc eksplodowa<sup>3</sup>a. P<sup>3</sup>omienie wylotowe z dzia<sup>3</sup> naprzeciwko oœlepi<sup>3</sup>y nas. CiêŸkie kule kamienne uderza<sup>3</sup>y z hukiem o burty okrêtów i dziurawi<sup>3</sup>y dêbowe pok<sup>3</sup>ady. W okamgnieniu ciemnoœæ wype<sup>3</sup>ni<sup>3</sup>a siê potêŸnym krzykiem i ha<sup>3</sup>asem. Zap<sup>3</sup>onê<sup>3</sup>y pochodnie. Grecki ogieñ tryska<sup>3</sup> na wodê i sp<sup>3</sup>ywa<sup>3</sup> p<sup>3</sup>on<sup>1</sup>cymi plamami. W<sup>3</sup>unie walki dostrzeg<sup>3</sup>em, Ÿe Wenecjanie wys<sup>3</sup>ali ca<sup>31</sup> eskadrê, by zniszczyæ tureckie galery. Blisko brzegu p<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>y dwa wielkie okrêty, bezkzta<sup>3</sup>tne z powodu worków z we<sup>3</sup>n<sup>1</sup> i bawe<sup>3</sup>n<sup>1</sup>, umocowanych po bokach. Jeden z nich zaczyna<sup>3</sup> juŸ ton<sup>1</sup>æ. Nowe kule armatnie spada<sup>3</sup>y nieustannie na fusty i brygantyny, które p<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>y pod os<sup>3</sup>on<sup>1</sup> obu duŸych okrêtów. Ca<sup>3</sup>a flota turecka gotowa do boju wyp<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>a na spotkanie okrêtom chrzeœcijañskim. Okrêty zachodnie zderza<sup>3</sup>y siê z sob<sup>1</sup> w zamieszaniu, a rozpaczliwe krzyki wydaj<sup>1</sup>cych komendy kapitanów nios<sup>3</sup>y siê po wodzie. Od czasu do czasu gête chmury dymu prochowego zas<sup>3</sup>ania<sup>3</sup>y wszelki widok, tak Ÿe tylko czerwona<sup>3</sup>una poŸaru obwieszcza<sup>3</sup>a, iŸ zap<sup>3</sup>onê<sup>3</sup>a jeszcze jedna galera. Chrzeœcijanie podpalili swoje brandery i puœcili je z pr<sup>1</sup>dem, a sami wyskakiwali do wody, szukaj<sup>1</sup>c ratunku na innych okrêtach.

Bitwa trwa<sup>3</sup>a aŸ do œwitania, kiedy wreszcie weneckim galerom uda<sup>3</sup>o siê oderwaæ i pop<sup>3</sup>yn<sup>1</sup>æ

z powrotem. Jedna z nich, pod dowództwem Trevisana, posz³aby na dno, gdyby za³oga nie rozebra³a siê do naga i nie pozatyka³a dziur odzie¿¹. Pierwsza galera, któr¹ dowodzi³ Coco, zatonê³a w kilka minut, ale czêœæ za³ogi uratowa³a siê dop³yn¹wszy wp³aw do l¹du po stronie Pery.

Gdy s³oñce wzesz³o, mogliœmy stwierdzaæ, ¿e plan zaskoczenia ca³kowicie siê nie powiód³. Jedna jedyna turecka galera sta³a w p³omieniach i po chwili zatonê³a. Pozosta³e po¿ary ugaszono po kolei.

Syn weneckiego bailona dowodzi³ drug¹ z uratowanych galer. P³yn¹c z powrotem obok Pery kaza³ wypaliæ z dzia³ i widzieliœmy, jak kule wzbijaj¹ chmury py³u z murów Pery. Sygna³ ogniowy zapalony z wie¿y, w chwili gdy wyp³ynê³y weneckie okrêty, dowodzi³ zdrady Genueñczyków z Pery tak wyraŹnie, ¿e nawet Giustiniani nie usi³owa³ temu zaprzeczaæ.

— Czy ma s³usznoscæ, czy nie, Genua jest moim miastem rodzinnym — powiedzia³. — Flota wenecka jest zbyt silna w porównaniu z genueñsk¹. Odpowiedni upust krwi jest korzystny i przywraca równowagê w porcie.

Wracaliœmy ju¿ z muru, kiedy rzuci³em ostatnie spojrzenie na osnuty dymem brzeg Pery i chwyci³em Giustinianiego za ramiê. Widaæ tam by³o su³tana na bia³ym wierzchowcu, a wschodz¹ce s³oñce krzesa³o wspania³e blaski z klejnotów na jego turbanie. Zjecha³ a¿ na brzeg, na ma³e wzgórze, i w³acenie przyprawdzono do niego ograbionych ze wszystkiego i rozebranych z odzie¿y jeñców ze zwi¹zanymi z ty³u rêkami. Byli to ¿eglarze, którzy uratowali siê z zatopionych galer. Ludzie wokó³ pokazywali palcami i wo³ali, ¿e wœród pojmanych rozpoznaj¹ Jacoma Coco.

Z Blachern przybieg³a w tej¿e chwili grupka Wenecjan, którzy opuœcili swoje posterunki na murze. Giustiniani nakaza³ im zawróciæ, ale oni odparli, ¿e przyjmuj¹ rozkazy tylko od swego bailona, który pojecha³ do portu, by przywitaæ syna, i kaza³ im przyjœæ tam w pe³nym uzbrojeniu.

Ale sprzeczka zosta³a przerwana. Z bezmiern¹ zgroz¹ zwróciliœmy znowu spojrzenia ku Perze. Turcy zmuszali jeñców, by uklêkli, i kat wymachiwa³ mieczem. G³owy spada³y, krew tryska³a. Ale i tego nie by³o doœæ. W ziemiê wkopano szereg zaostrzonych pali i wbito na nie pozbawione g³ów trupy, po czym na sam wierzcho³ek pali wetkniêto odciête g³owy z wyszczerzonymi zêbami i wykrzywionymi twarzami. Wielu spoœród nas zakry³o oczy, ¿eby nie patrzeæ na ten straszliwy widok. Wenecjanie p³akali z gniewu. Jakaœ kobieta zwymiotywa³a i chwiej¹c siê na nogach zes³a z muru.

Jeñców by³o tak du¿o, ¿e pierwsi wisieli ju¿ na palach wykrwawieni, podczas gdy ostatni wci¹¿ jeszcze czekali na stracenie. Su³tan nie u³askawi³ nikogo. Kiedy siê rozwidni³o, wisia³o tam czterdzieœci krwawych trupów, a ich g³owy wo³a³y o pomstê, choæ usta by³y nieme.

Giustiniani powiedzia³:

— Nie s¹dzê, by zosta³o jeszcze du¿o Wenecjan, którzy by mieli ochotê odwiedzaæ Turków.

Wtem od ³añcucha zapory nadp³ynê³y o wios³ach ³odzie za³adowane ludŹmi z okrêtów. Ich broñ b³yszcza³a w s³oñcu. Ujrawszy ich Giustiniani zmarszczy³ czo³o:

— Co tu siê dzieje? — rzek<sup>3</sup> nieufnie.

Us<sup>3</sup>yszeliœmy za sob<sup>1</sup> têtent kopyt. Wenecki bailon przejecha<sup>3</sup> obok nas w szalonym galopie, nie bacz<sup>1</sup>c na swój wiek i tuszê, a za nim jego syn z wyci<sup>1</sup>gniêtym mieczem i zbroj<sup>1</sup> wci<sup>1</sup>¿ jeszcze okrwawion<sup>1</sup>.

— ChodŹcie tu, Wenecjanie! — wo<sup>3</sup>ali. — Do jeñców!

Giustiniani na pró¿no wzywa<sup>3</sup>, by podano mu konia. Potem opamiêta<sup>3</sup> siê i powiedzia<sup>3</sup>:

— I tak nie mogê zabraæ moich ludzi z bramy œw. Romana. Niech ta hañba spadnie na Wenecjan. Widzia<sup>3</sup>œœ przecie¿ na w<sup>3</sup>asne oczy, jak opuœcili dwa swoje okrêty i uciekli w panice.

Nie trwa<sup>3</sup>o d<sup>3</sup>ugo, kiedy rozwœcieczeni Wenecjanie, ¿eglarze i ¿o<sup>3</sup>nierze, pomieszani ze sob<sup>1</sup>, przyszedli wlok<sup>1</sup>c pod gradem uderzeñ i kopniaków tureckich jeñców, zabranych z wie¿ i podziemnych lochów. Czêœæ z nich byli to Turcy uwiêzieni w mieœcie po rozpoczêciu oblê¿enia, ale wiêkszoœæ wziêto do niewoli przy okazji nocnych rozpoznawczych ataków Turków przy bramie œw. Romana i w innych miejscach. Wielu by<sup>3</sup>o rannych i ledwie mog<sup>3</sup>o chodziæ. W ci<sup>1</sup>gu godziny ponad dwustu jeñców zebra<sup>3</sup>o siê przy murze portowym. Wenecjanie t<sup>3</sup>oczyli siê wokó<sup>3</sup> nich i coraz to któryœ podchodzi<sup>3</sup> do jeñców, bi<sup>3</sup> ich po twarzy, kopa<sup>3</sup> w brzuch albo ci<sup>13</sup> na œciep mieczem. Wielu jeñców upad<sup>3</sup>o i le¿a<sup>3</sup>o na ziemi, inni usi<sup>3</sup>owali modliæ siê albo wzywaaæ w swej mêce Allacha.

Giustiniani wo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> do Wenecjan:

— Odwo<sup>3</sup>ujê siê do cesarza. To moi jeñcy!

Wenecjanie odpowiedzieli:

— Stul pysk, przeklêty Genueñczyku, bo inaczej i ciebie powiesimy.

Wenecjan by<sup>3</sup>o kilkuset i wszyscy w pe<sup>3</sup>ni uzbrojeni. Giustiniani zda<sup>3</sup> sobie sprawê, ¿e nic nie mo¿e zrobiaæ i ¿e równie¿ jego w<sup>3</sup>asne ¿ycie jest zagro¿one. Podszed<sup>3</sup> do bailona i próbowa<sup>3</sup> mediacji:

— Nie poczuwam siê do winy za to, czego siê dopuœcili Genueñczycy z Pery. Walczymy tu wszyscy za chwa<sup>3</sup>ê Boga i ocalenie chrzeœcijañstwa. Nie przyniesie wam to zaszczytu, jeœli powiesicie tych biedaków, z których wielu jest mê¿nymi wojownikami, bo dopiero jako ranni popadli w niewolê. A poza tym by<sup>3</sup>oby to g<sup>3</sup>upie, gdy¿ odt<sup>1</sup>d ani jeden Turek siê nie podda, lecz bêdzie wola<sup>3</sup> biaæ siê do ostatniego tchu.

Bailon wykrzykn<sup>13</sup> z pian<sup>1</sup> na ustach:

— Jeszcze paruje krew naszych rodaków i braci, a ty, pod<sup>3</sup>y Genueñczyku, nie wstydzisz siê braæ Turków w obronê. Czy zamierzasz wzi<sup>1</sup>æ za nich okup, czy co? Ha, Genueñczyk sprzeda w<sup>3</sup>asn<sup>1</sup> matkê, jeœli dobrze mu zap<sup>3</sup>ac<sup>1</sup>. Ha, kupujemy naszych jeñców za przyjê<sup>1</sup> cenê. Masz tu!

Zerwa<sup>3</sup> z pasa sakiewkê i rzuci<sup>3</sup> j<sup>1</sup> do stóp Giustinianiemu. Ten zblad<sup>3</sup>, ale opanowa<sup>3</sup> siê i daj<sup>1</sup>c

mi znak, żeby pod<sup>1</sup>ły<sup>3</sup> za nim.

Wenecjanie zaczęli wieszac tureckich jeńców jednego po drugim na występach i blankach muru i na wieży naprzeciwko miejsca straceń su<sup>3</sup>tana. Powiesili nawet rannych, ogó<sup>3</sup>em dwustu czterdziestu jeńców, po szcœciu za kaŹdego straconego Wenecjanina. Tęglarze nie wstydzi<sup>3</sup>li się pe<sup>3</sup>niæ s<sup>3</sup>u<sup>3</sup>by katowskiej. Sam bailon powiesi<sup>3</sup> jednego z rannych.

Gdy tylko znikniemy z oczu Wenecjanom, Giustiniani przyspieszy<sup>3</sup> kroku. Napotkaliemy dwóch patroluj<sup>1</sup>cych jeŹdŹców z za<sup>3</sup>ogi rezerwowej. Giustiniani kaza<sup>3</sup> im zsi<sup>1</sup>œæ z koni i zabra<sup>3</sup> wierzchowce. Potem szybko przybyliemy do rezydencji cesarza. Zamkn<sup>13</sup> się on w wieży i klêcza<sup>3</sup> przed ikon<sup>1</sup>. Na swoj<sup>1</sup> obronę poda<sup>3</sup>, że by<sup>3</sup> zmuszony zgodziæ się na Ź<sup>1</sup>danie Wenecjan i udzieliæ zgody na egzekucjê, poniewaŹ inaczej wziêliby jeńców si<sup>31</sup> podwaŹaj<sup>1</sup>c w ten sposób jego autorytet.

Giustiniani oœwiadczy<sup>3</sup>:

— Umywam rœce. Nie mogê nic robiæ. Nie mogê zabraæ nikogo z moich ludzi z wy<sup>3</sup>omu, choæ wielu Wenecjan bez pozwolenia opuœci<sup>3</sup>o posterunki. Trzymaj w pogotowiu rezerwy. Inaczej nie odpowiadam za to, co się moŹe staæ.

Ale poszed<sup>3</sup>szy na swoje stanowisko obserwowa<sup>3</sup> przez chwilê obóz turecki, po czym wróci<sup>3</sup> po po<sup>3</sup>udniu z dwudziestoma ludŹmi do portu. Wenecjanie rozbestwili się wieszaniem bezbronných Turków. Wielu z nich powróci<sup>3</sup>o co prawda na mur, a bailon zamkn<sup>13</sup> się w Blachernach, by op<sup>3</sup>akiwaæ nies<sup>3</sup>awn<sup>1</sup> œmieræ Jacoma Coco.

Reszta jednak wa<sup>3</sup>œsa<sup>3</sup>a się grupkami po porcie, wrzeszcz<sup>1</sup>c o zdradzie i domagaj<sup>1</sup>c się œmierci dla Genuœczyków. Gdy jakœ Genuœczyk wszed<sup>3</sup> im w drogê, zwa<sup>3</sup>li go z nóg, tarzali w b<sup>3</sup>ocie i kopali nie zwaŹaj<sup>1</sup>c na to, że po<sup>3</sup>ami<sup>1</sup> mu Źebra.

Kiedy zaczęli wywalaæ drzwi i okna u jednego z genuœskich kupców, Giustiniani nakaza<sup>3</sup> swoim zakutym w Źelazo ludziom, by ruszyli <sup>3</sup>aw<sup>1</sup> i oczyœcili ulicê z weneckiego mot<sup>3</sup>ochu. Zaczê<sup>3</sup>a się ogólna bijatyka. Niebawem bito się wszêdzie w portowych uliczkach, furgotaly miecze i p<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>a krew. StraŹe porz<sup>1</sup>dkowe uderzy<sup>3</sup>y na alarm i Łukasz Notaras zjecha<sup>3</sup> ze zbrocza na czele gromady jeŹdŹców greckich, ci zaczęli ochotnie tratowaæ koñmi zarówno Wenecjan, jak i Genuœczyków. Grecy, którzy puciekali do domów w porcie, nabrali otuchy, rzucali kamieniami z dachów i okien i t<sup>3</sup>ukli przebiegaj<sup>1</sup>cych obok <sup>3</sup>acinników d<sup>3</sup>ugimi kijami.

Gdy bójka trwa<sup>3</sup>a juŹ dwie godziny i s<sup>3</sup>oñce zaczę<sup>3</sup>o się obniŹaæ, przyjecha<sup>3</sup> do portu sam cesarz Konstantyn, odziany w zielony cesarski p<sup>3</sup>aszcz z brokatu, purpurowy kaftan, purpurowe buty i z<sup>3</sup>ot<sup>1</sup> kab<sup>31</sup>kwat<sup>1</sup> koronê. U jego boku jecha<sup>3</sup> wenecki bailon, równieŹ przybrany w zewnêtrzne oznaki swej godnoœci. Bailon zwróci<sup>3</sup> się do Giustinianiego i z drŹ<sup>1</sup>cymi policzkami b<sup>3</sup>aga<sup>3</sup> go o przebaczenie za haniebne s<sup>3</sup>owa, które wypowiedzia<sup>3</sup> wczœniej tegoŹ dnia. Cesarz roni<sup>3</sup> <sup>3</sup>zy i apelowa<sup>3</sup> do <sup>3</sup>acinników, by dla Chrystusa zapomnieli o wewnêtrznych waœniach w chwili wspólnego niebezpieczeñstwa. Jeœli któryœ z Genuœczyków w Perze dopuœci<sup>3</sup> się zdrady, to nie s<sup>1</sup> przecieŹ temu winni wszyscy Genuœczycy.

Jego apel doprowadzi<sup>3</sup> do swego rodzaju pojednania. Wzi<sup>13</sup> w nim udzia<sup>3</sup> takŹe Łukasz Notaras,

który poda<sup>3</sup> rękê bailonowi, jak i Giustinianiemu i nazwa<sup>3</sup> ich braemi. Wszelkich dawnych niesnasek naleŹy poniechaæ, oœwiadczy<sup>3</sup>, skoro kaŹdy stawia teraz Źycie na kartê, by ocaliaæ miasto przed Turkami. S<sup>1</sup>dzê, Źe Notaras w chwili tej by<sup>3</sup> w pe<sup>3</sup>ni szczery i uczciwy, poniewaŹ w Grekach pod wp<sup>3</sup>ywem chwilowego uniesienia <sup>3</sup>atwo budzi siê szlachetnoœæ i samozaparcie.

Ale zarówno Giustiniani, jak i Minotto, którzy czerpali wiedzê polityczn<sup>1</sup> z m<sup>1</sup>droœci swoich miast, uwaŹali, Źe by<sup>3</sup>a to tylko zrêczna gierka i Źe Noratas uzna<sup>3</sup> okazjê za stosown<sup>1</sup>, by nawi<sup>1</sup>zaæ przyjazne stosunki z <sup>3</sup>acinnikami.

W kaŹdym razie wszyscy wsiedli na konie. Ludzie Notarasa otoczyli dzielnicê portow<sup>1</sup>, a cesarz, Giustiniani, Minotto i Notaras chodzili po ulicach nawo<sup>3</sup>uj<sup>1</sup>c i wzywaj<sup>1</sup>c w imiê Chrystusa do zachowania spokoju i zapomnienia o rozd<sup>1</sup>wiêkach. Ceremonialny strój cesarza sprawia<sup>3</sup>, Źe nawet najzuchwalszy <sup>3</sup>acinnik nie oœmieli<sup>3</sup> siê juŹ podnieœæ g<sup>3</sup>osu. Wracali stopniowo do <sup>3</sup>odzi i odp<sup>3</sup>ywali na okrêty. Na ulicach pozosta<sup>3</sup>o tylko kilku weneckich Źeglarzy, którzy w Źa<sup>3</sup>obie po Coco upili siê do nieprzytomnoœci. Trzej Genueñczycy i dwaj Wenecjanie stracili Źycie, ale na Źyczenie cesarza postanowiono zachowaæ to w tajemnicy i pochowaæ ich cichaczem w ci<sup>1</sup>gu nocy.

Rozruchy nie ominê<sup>3</sup>y takŹe mojego domostwa. Kiedy wszystko siê uspokoi<sup>3</sup>o, poprosi<sup>3</sup>em Giustinianiego o pozwolenie odwiedzenia domu. Odpar<sup>3</sup> Źyczliwie, Źe i on nie ma nic przeciw napiciu siê kielicha wina po tak haniebnym i smutnym dniu jak dzisiejszy. Ale myœlê, Źe chcia<sup>3</sup> mi towarzyszaæ tylko dlatego, Źe by<sup>3</sup> ciekaw zobaczyæ moj<sup>1</sup> Źonê.

Manuel otworzy<sup>3</sup> nam drzwi i opowiedzia<sup>3</sup> g<sup>3</sup>osem drŹ<sup>1</sup>cym od zapa<sup>3</sup>u i dumy, Źe uda<sup>3</sup>o mu siê ugodziaæ kamieniem w g<sup>3</sup>owê weneckiego cieœlê i zwaiaæ go na bruk. Giustiniani nazwa<sup>3</sup> go Źyczliwie dobrym i rozs<sup>1</sup>dnym ch<sup>3</sup>opem. Zmêczony ciê<sup>1</sup>k<sup>1</sup> zbroj<sup>1</sup> zwali<sup>3</sup> siê na krzes<sup>3</sup>o tak, Źe ca<sup>3</sup>y dom siê zatrzs<sup>1</sup>s<sup>3</sup>, wyci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> nogi przed siebie i poprosi<sup>3</sup> o wino w imiê BoŹe.

Zostawi<sup>3</sup>em Manuela, Źeby go obs<sup>3</sup>u<sup>1</sup>y<sup>3</sup>, i uda<sup>3</sup>em siê pospiesznie do Anny, która wycofa<sup>3</sup>a siê do najdalszej izby. Zapyta<sup>3</sup>em j<sup>1</sup> Źywo, czy nie chcia<sup>3</sup>yby poznaæ s<sup>3</sup>ynnego Giustinianiego, czy teŹ woli trzymaæ siê na uboczu na sposób grecki.

Upewniwszy siê, Źe nic mi siê nie sta<sup>3</sup>o w rozruchach, Anna rzuci<sup>3</sup>a mi spojrzenie pe<sup>3</sup>ne wyrzutu i powiedzia<sup>3</sup>a:

— Jeceli tak siê wstydzisz mnie i mojego wygl<sup>1</sup>du, Źe uwaŹasz, iŹ nie mogê siê pokazaæ nawet twoim przyjacio<sup>3</sup>om, to oczywiœcie zostanê w moim pokoju.

Odpar<sup>3</sup>em, Źe przeciwnie, jestem z niej dumny i chêtnie j<sup>1</sup> pokaŹê. Giustiniani nie zna<sup>3</sup> jej na pewno z wygl<sup>1</sup>du i obieca<sup>3</sup> mi zreszt<sup>1</sup> zachowaæ moje ma<sup>3</sup>Źeñstwo w tajemnicy. Dlatego Anna mog<sup>3</sup>a mu siê pokazaæ. Chwyci<sup>3</sup>em j<sup>1</sup> Źwawo za rękê, Źeby zaprowadziaæ j<sup>1</sup> do Giustinianiego.

Ale ona wyrwa<sup>3</sup>a mi rękê i syknê<sup>3</sup>a z oburzeniem:

— Jeceli takŹe w przysz<sup>3</sup>oœci masz ochotê che<sup>3</sup>piæ siê mn<sup>1</sup> przed twoimi przyjació<sup>3</sup>mi, to mam nadziejê, Źe przynajmniej powiadomisz mnie o tym w porê, tak abym mog<sup>3</sup>a uczesaæ w<sup>3</sup>osy i odziaæ siê, jak przystoi. W tej chwili nie mogê pokazaæ siê nikomu, choæbym nie wiem jak chcia<sup>3</sup>a poznaæ

tak s³awnego mêt̃a jak Giustiniani.

W mej niewinnoœci wykrzykn¹³em:

— Jesteœ piêkna taka jak jesteœ, piêkniejsza od wszystkich kobiet na œwiecie w moich oczach! Nie rozumiem, jak mo¿esz mówiæ o w³osach i odzie¿y w tak straszliwy i haniebny dzieñ jak dzisiejszy. I tak nikt nie zwraca na to uwagi.

— Ach tak, powiadasz — rzek³a gwa³townie. — Ach tak! W takim razie niewiele rozumiesz z tego œwiata. Ale na tym ja siê znam z pewnoœci¹ lepiej od ciebie, poniewa¿ jestem kobiet¹. Pozwól mi zatem byæ kobiet¹. Przecie¿ dlatego o¿eni³œ siê ze mn¹, nieprawda¿?

Jej zachowanie zmiesza³o mnie i nie mog³em zrozumieæ, jaki to kaprys spowodowa³, ¿e sta³a siê taka opryskliwa. Mia³em przecie¿ na celu tylko jej dobro. Wzruszy³em ramionami i powiedzia³em:

— Rób, jak chcesz. Zostañ w swojej izbie, jeœli uwa¿asz, ¿e tak bêdzie najlepiej. Wyjaœniê to Giustinianiemu.

Z³apa³a mnie za ramiê i powiedzia³a gwa³townie:

— Czyœ oszala³? Ani siê obejrzyysz, jak bêdê gotowa. IdŸ na dó³ i zabawiaj go tymczasem, ¿eby nie odszed³.

Kiedy odchodzi³em, siedzia³a ju¿ z grzebieniem z koœci s³oniowej w d³oni i rozpuszcza³a swe z³ote w³osy. Skonfundowany, wypi³em kielich wina jednym haustem, co nie nale¿y do moich zwyczajów, a Giustiniani poszed³ za moim przyk³adem. Anna mia³a chyba s³usznœœæ, i¿ kobieta bardzo ró¿ni siê od mêt̃czyzny i zwraca uwagê na inne rzeczy. Zacz¹³em zdawaæ sobie sprawê, ¿e nie wiem jeszcze o niej du¿o, choæ jest mi tak bliska. Nawet gdy spoczywa w moich ramionach, myœli jej kr¹¿¹ po innych orbitach ni¿ moje i nigdy nie mog¹ do niej dotrzeæ ca³kowicie.

Na szczêœcie Giustiniani zdawa³ siê uwa¿aæ za ca³kiem naturalne, ¿e Anna zwleka z pojawieniem siê, i udawa³, ¿e nic siê nie sta³o. W domu moim by³o przyjemnie i bezpiecznie. Przez okno widaæ by³o od czasu do czasu czerwony b³ysk p³omieni wielkich dzia³, odbitych w wodzie portu. Nied³ugo potem dochodzi³ do nas huk i dom trz¹s³ siê tak, ¿e wino ko³ysa³o siê w dzbanie. Ale mimo to by³o ca³kiem inaczej ni¿ na murze. Rozleniwieni zmêczeniem, na wpó³ le¿elicemy w krzes³ach, a wino szumia³o mi przyjemnie w g³owie, tak ¿e zapomni³em o niezadowoleniu z powodu kaprysów Anny.

Wtem otwar<sup>3</sup>y siê drzwi. Giustiniani rzuci<sup>3</sup> roztargnione spojrzenie, ale zaraz potem zmieni<sup>3</sup>a mu siê mina, porwa<sup>3</sup> siê na nogi, a<sup>3</sup> szczêknê<sup>3</sup>a zbroja, i sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> z szacunkiem g<sup>3</sup>owê.

Na progu sta<sup>3</sup>a Anna. W<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup>a na siebie ca<sup>3</sup>kiem skromn<sup>1</sup> wed<sup>3</sup>ug mnie bia<sup>31</sup> jedwabn<sup>1</sup> sukniê, spiêt<sup>1</sup> na nagim ramieniu wysadzan<sup>1</sup> klejnotami zapink<sup>1</sup>. Okuty z<sup>3</sup>otem, mieni<sup>1</sup>cy siê od klejnotów pasek podkreœla<sup>3</sup>, jak smuk<sup>3</sup>a jest w talii. Nogi mia<sup>3</sup>a nagie, a na nich poz<sup>3</sup>acane sanda<sup>3</sup>y, które ods<sup>3</sup>ania<sup>3</sup>y pomalowane na czerwono paznokcie. G<sup>3</sup>owê jej z<sup>3</sup>obi<sup>3</sup> ma<sup>3</sup>y okr<sup>1</sup>g<sup>3</sup>y kapturek, obsypany takimi samymi klejnotami co zapinka i pasek. Przezroczystry welon opuœci<sup>3</sup>a na szyjê i z lekkim uœmiechem trzyma<sup>3</sup>a go przed brod<sup>1</sup>. Twarz jej by<sup>3</sup>a bledsza, usta czerwieñsze i wiêksze ni<sup>3</sup> zwykle. Wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>a w moich oczach niewypowiedzianie piêknie i skromnie, gdy tak sta<sup>3</sup>a jak gdyby zaskoczona unosz<sup>1</sup>c w<sup>1</sup>skie ciemnoniebieskie <sup>3</sup>uki brwi.

— O — powiedzia<sup>3</sup>a — o, wybacz mi. Masz goœcia?

Z zak<sup>3</sup>opotaniem poda<sup>3</sup>a smuk<sup>3</sup>e palce, a Giustiniani schyli<sup>3</sup> byczy kark, poca<sup>3</sup>owa<sup>3</sup> jej d<sup>3</sup>oñ, przytrzyma<sup>3</sup> w swojej i przygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> siê z zachwytem jej twarzy.

— Jeanie Ange — rzek<sup>3</sup> otrz<sup>1</sup>sn<sup>1</sup>wszy siê z zaskoczenia. — Nie dziwiê siê ju<sup>3</sup>, <sup>3</sup>e ci by<sup>3</sup>o tak spieszno. Gdyby nie by<sup>3</sup>a to twoja œlubna <sup>3</sup>ona, zacz<sup>13</sup>bym z tob<sup>1</sup> rywalizowaæ o jej <sup>3</sup>aski. Tak jak jest, mogê tylko prosiæ nieba, by mia<sup>3</sup>a ona siostrê bliŹniaczkê, z któr<sup>1</sup> móg<sup>3</sup>bym nawi<sup>1</sup>zaæ znajomoœæ.

Anna wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup>a:

— Dumna jestem, <sup>3</sup>e mogê przywitaæ wielkiego Giustinianiego, chlubê ca<sup>3</sup>ego chrzeœcijañstwa. Gdybym mog<sup>3</sup>a to przeczuæ, ubra<sup>3</sup>abym siê piêknie. — Przechyli<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>owê i przygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>a siê Giustinianiemu przez rzêsy. — O — powiedzia<sup>3</sup>a s<sup>3</sup>abo — mo<sup>3</sup>e mimo wszystko zbyt siê pospiesz<sup>3</sup>am ustêpuj<sup>1</sup>c namowom Johanna Angelosa. Wtedy nie widzia<sup>3</sup>am jeszcze ciebie.

— Nie wierz mi, Anno — wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup>em spiesznie. — Ma ju<sup>3</sup> <sup>3</sup>onê w Genui i drug<sup>1</sup> w Kaffie oraz przyjació<sup>3</sup>ki we wszystkich portach Grecji.

— Jaka wspania<sup>3</sup>a broda — szepnê<sup>3</sup>a Anna muskaj<sup>1</sup>c koniuszkami palców farbowan<sup>1</sup> henn<sup>1</sup> brodê Giustinianiego, tak jakby nie mog<sup>3</sup>a oprzeæ siê tej pokusie. Nala<sup>3</sup>a wina do pucharu, upi<sup>3</sup>a <sup>3</sup>yk i poda<sup>3</sup>a puchar Giustinianiemu patrz<sup>1</sup>c mu nieprzerwanie w oczy z zapraszaj<sup>1</sup>cym uœmiechem. Cz<sup>3</sup>em siê chory z wœciek<sup>3</sup>oœci i zranionej dumy.

— Jeceli jestem tu zbyt czyny, mogê wyjœæ na podwórze — powiedzia<sup>3</sup>em sztywno. — Zdaje mi siê, <sup>3</sup>e z muru s<sup>3</sup>ychaæ coraz wiêkszy zgie<sup>3</sup>k.

Anna rzuci<sup>3</sup>a mi spojrzenie i mrugnê<sup>3</sup>a przy tym niewypowiedzianie szelmowsko, tak <sup>3</sup>e serce mi stopnia<sup>3</sup>o i zrozumia<sup>3</sup>em, i<sup>3</sup> <sup>3</sup>artuje tylko i droczy siê z Giustinianim, <sup>3</sup>eby zdobyæ jego przychylnoœæ. Uspokoi<sup>3</sup>em siê i odpowiedzia<sup>3</sup>em uœmiechem. Rozmawia<sup>3</sup>a dalej w <sup>3</sup>artobliwym tonie, a ja nie mog<sup>3</sup>em siê na ni<sup>1</sup> napatrzeæ. Widz<sup>1</sup>c, jak <sup>3</sup>atwo go oczarowa<sup>3</sup>a, zap<sup>3</sup>on<sup>13</sup>em namiêtnoœci<sup>1</sup>.

Zjedlicemy razem posi<sup>3</sup>ek, a potem Giustiniani podniós<sup>3</sup> siê niechêtnie, żeby odejœæ, ale zanim to zrobi<sup>3</sup>, spojrz<sup>3</sup> na mnie i wielkodusznym gestem zdj<sup>13</sup> ciê<sup>3</sup>ki <sup>3</sup>añcuch protostratora z emaliowanym napierœenikiem.

— Niech to bêdzie mój prezent œlubny dla ciebie — powiedzia<sup>3</sup> i zawiesi<sup>3</sup> <sup>3</sup>añcuch Annie na szyi, muskaj<sup>1</sup>c przy tym lubie<sup>3</sup>nie wargami jej nagie ramiona. — Moi ludzie nazywaj<sup>1</sup> mnie niezwyçie<sup>3</sup>onym. Wobec ciebie uznajê siê za pokonanego i zdajê na twoj<sup>1</sup> <sup>3</sup>askê i nie<sup>3</sup>askê. Ten <sup>3</sup>añcuch i ten napierœenik otworz<sup>1</sup> ci wszystkie bramy, których nie mog<sup>1</sup> prze<sup>3</sup>amaæ ani dzia<sup>3</sup>a, ani miecz.

Wiedzia<sup>3</sup>em, że staæ go na ten gest, gdy<sup>3</sup> by<sup>3</sup> cz<sup>3</sup>owiekiem pró<sup>3</sup>nym i zaopatry<sup>3</sup> siê w mnóstwo ró<sup>3</sup>nych <sup>3</sup>añcuchów, które zmienia<sup>3</sup> od czasu do czasu wedle upodobania. Ale nie posz<sup>3</sup>a mi w smak jego uwaga, że Anna jest mile widziana w jego kwaterze, gdy tylko zechce. Anna natomiast podziêkowa<sup>3</sup>a mu zachwycona, obejmuj<sup>1</sup>c go za szyjê, i poca<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>a w oba policzki musn<sup>1</sup>wszy nawet jego grube wargi.

Giustiniani wzruszy<sup>3</sup> siê w<sup>3</sup>asn<sup>1</sup> szlachetnoœci<sup>1</sup>, otar<sup>3</sup> <sup>3</sup>zê z k<sup>1</sup>cika oczu i powiedzia<sup>3</sup>:

— Chêtnie da<sup>3</sup>bym twemu mê<sup>3</sup>owi laskê protostratora, a sam zosta<sup>3</sup> u ciebie. Ale poniewa<sup>3</sup> to nie jest mo<sup>3</sup>liwe, dajê mu przepustkê na tê noc i bêdê tak<sup>3</sup>e w przysz<sup>3</sup>oœci patrzy<sup>3</sup> przez palce, jeœli nie znajdê go na posterunku, byleby tylko nie dzia<sup>3</sup>o siê to podczas boju. S<sup>1</sup> pokusy, którym mê<sup>3</sup>czyzna mo<sup>3</sup>e siê oprzeæ. Ale twój m<sup>1</sup>ç nie by<sup>3</sup>by mê<sup>3</sup>czyzn<sup>1</sup>, gdyby móg<sup>3</sup> siê oprzeæ takiej pokusie jak ty.

Towarzyszy<sup>3</sup>em mu dwornie do drzwi, ale on zauwa<sup>3</sup>wszy moj<sup>1</sup> niecierpliwœæ zwleka<sup>3</sup> z odejœciem tylko po to, by mnie dra<sup>3</sup>niæ, i gada<sup>3</sup> bez koñca, mimo że ju<sup>3</sup> nie rozumia<sup>3</sup>em ani s<sup>3</sup>owa z tego, co mówi<sup>3</sup>. Gdy wreszcie wsiad<sup>3</sup> na swego wierzchowca, wbieg<sup>3</sup>em na schody i chwyci<sup>3</sup>em Annê w ramiona i ca<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>em j<sup>1</sup> i pieœci<sup>3</sup>em tak gwa<sup>3</sup>townie, i<sup>3</sup> moja mi<sup>3</sup>oœæ bardziej podobna by<sup>3</sup>a do gniewu. Rozgrza<sup>3</sup>a siê, rozpali<sup>3</sup>a, œmia<sup>3</sup>a siê i ucemiecha<sup>3</sup>a w moich ramionach, piêkniejsza ni<sup>3</sup> kiedykolwiek. W <sup>3</sup>o<sup>3</sup>u te<sup>3</sup> chcia<sup>3</sup>a zatrzymaæ <sup>3</sup>añcuch i napierœenik Giustinianiego jako zwyciêskie trofeum i nie odda<sup>3</sup>a mi go, choæ usi<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>em odebraæ jej si<sup>3</sup>1.

Potem le<sup>3</sup>a<sup>3</sup>a nieruchomo i patrzy<sup>3</sup>a w pu<sup>3</sup>ap mrocznym spojrzeniem, którego nie poznawa<sup>3</sup>em i nie rozumia<sup>3</sup>em.

— O czym myœlisz, ukochana? — zapyta<sup>3</sup>em.

Poruszy<sup>3</sup>a lekko g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>.

— yjê, jestem! — odpar<sup>3</sup>a. — Nic innego.

Zmêczony, pusty, ch<sup>3</sup>odny patrzy<sup>3</sup>em na jej zachwycaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> piêknoœæ, wspominaj<sup>1</sup>c mê<sup>3</sup>czyzn, których trupy wbite zosta<sup>3</sup>y na pale na brzegu Pery, i Turków, którzy wisieli na murze portowym z



poczernia<sup>3</sup>ymi twarzami i wyci<sup>1</sup>gniętymi szyjami. W dali, w nocy grzmia<sup>3</sup>y dzia<sup>3</sup>a. Gwiazdy patrzy<sup>3</sup>y niewzruszenie na ziemiê. Anna oddycha<sup>3</sup>a lekko u mego boku z mrokiem w spojrzeniu. I z ka<sup>3</sup>dy jej oddechem kajdany czasu i miejsca wbija<sup>3</sup>y mi siê coraz g<sup>3</sup>êbiej w cia<sup>3</sup>o.

*1 maja 1453*

Nasza sytuacja zaczyna byæ rozpaczliwa. Wojska su<sup>3</sup>tana buduj<sup>1</sup> w najlepsze most na wielkich pontonach w poprzek Z<sup>3</sup>otego Rogu do brzegu w Perze. Dotychczas oddzia<sup>3</sup>y na wzgórzach Pery zmuszone by<sup>3</sup>y utrzymywaæ <sup>3</sup>1cznoœæ z si<sup>3</sup>1 g<sup>3</sup>ówn<sup>1</sup> okrê<sup>3</sup>nymi drogami wokó<sup>3</sup> zatoki.

Most broniony jest przez potê<sup>3</sup>ne zakotwiczone tratwy z dzia<sup>3</sup>ami, które przeszkadzaj<sup>1</sup> naszym okrêtom w zak<sup>3</sup>ócaniu budowy. A gdy tylko stanie gotowy, galery su<sup>3</sup>tañskie bêd<sup>1</sup> mog<sup>3</sup>y pójœæ do ataku na nasz mur portowy pod os<sup>3</sup>on<sup>1</sup> p<sup>3</sup>ywaj<sup>1</sup>cych dzia<sup>3</sup>.

Ogieñ z dzia<sup>3</sup> i szturmy tureckie na prowizoryczne szańce wzniesione w wy<sup>3</sup>omach kosztuj<sup>1</sup> codziennie wiele strat. Obrona coraz bardziej s<sup>3</sup>abnie, a do obozu su<sup>3</sup>tana p<sup>3</sup>yn<sup>1</sup> co dzieñ nowe rzesze ochotników z Azji.

Wino jest na ukoñczeniu w mieœcie, a ceny œrodków <sup>3</sup>1wnoœci na wolnym rynku wzros<sup>3</sup>y ju<sup>3</sup> ponad miarê dostêpn<sup>1</sup> dla ubogich. Dlatego cesarz kaza<sup>3</sup> dzieæ zaj<sup>1</sup>æ wszystkim chleb, a<sup>3</sup>eby rozdzielaæ go sprawiedliwie. Starszy ka<sup>3</sup>dej dzielnicy miasta ma dopilnowaæ, <sup>3</sup>1eby rodziny powo<sup>3</sup>anych na mury otrzyma<sup>3</sup>y na koszt cesarza niezbêdne zaopatrzenie. Ka<sup>3</sup>da dzielnica odpowiada te<sup>3</sup> za to, by walcz<sup>1</sup>cy i pracuj<sup>1</sup>cy na murach mieli wy<sup>3</sup>ywienie, tak aby nikt z tego powodu nie opuszcza<sup>3</sup> posterunku.

Dowódcą rezerw ma obowi<sup>1</sup>zek objechaæ codziennie mur i dokonaæ inspekcji oraz sprawdzaæ za<sup>3</sup>ogê przez wywo<sup>3</sup>ywanie nazwisk. Nie dotyczy to <sup>3</sup>1acinników. Tylko Greków.

Przy bramie Charisiosa wielki mur zawali<sup>3</sup> siê w wielu miejscach. Mur zewnêtrzny jest mocno nadw<sup>1</sup>tlony, ale w <sup>3</sup>1adnym punkcie Turkom nie uda<sup>3</sup>o siê jeszcze przezeñ przedostaæ. Tak<sup>3</sup>e fosê udawa<sup>3</sup>o siê dotychczas oczyszczaæ co noc, a tureckie wi<sup>1</sup>zki faszyny i belki przyda<sup>3</sup>y siê bardzo przy sypaniu ziemnych wa<sup>3</sup>ów i budowaniu palisad.

Powietrze pe<sup>3</sup>ne jest trupiego odoru i niejedyn ju<sup>3</sup> og<sup>3</sup>uch<sup>3</sup> od huku armat.

*4 maja 1453*

O północy, przy ostrym przeciwnym wietrze i w zupełnej ciemności, brygantyna z dwunastoma ochotnikami na pokładzie wyszła z portu. Ludzie byli odziani w stroje tureckie i wciśnięli porządek sułtana, żeby podstępem przedrzeć się przez cieśninę Gallipoli. Nasi wywiadowcy z wież w Perze studiowali sygnały floty tureckiej przy wchodzeniu i wychodzeniu z portu. Toteż jest nadzieja, że brygantyna przedostanie się na pełne morze. Ma ona do spełnienia ważne zadanie, a mianowicie odszukanie weneckich okrętów pod dowództwem Loredana, które jak zapewni bailon, znajdują się w drodze z odsiecz.

Ale ta stara wenecka flota archipelagu powinna już dawno temu przybyć do Konstantynopola, gdyby chciała. Może Wysoka Signoria obawia się, żeby jej okręty nie wpadły w pułapkę, gdyby tu przyszły. Bez osłony floty faktorie handlowe weneckie na wyspach stałyby ofiarą Turków. I tu przecież nie stałoby teraz ani jeden okręt wenecki, gdyby cesarz na mocy układow i pod groźbą grzywny nie nakazał okrętom z Morza Czarnego pozostać i wziąć udział w obronie miasta.

W mieście szerzą się dodające otuchy wieści, że flota pływająca na odsiecz jest już w drodze oraz że Węgrzy zbierają się, żeby uderzyć na Turków od tyłu. O, gdyby było tak dobrze! Ale Zachód nas opuści.

*5 maja 1453*

Łatwo myśleć, łatwo pisać, jeżeli się jest samotnym. Łatwo nawet umrzeć, gdy się stoi samemu na murze i śmiertelny młyn kręci się wokół człowieka. Ziemia pod murami ciśnie się okopconą i spaloną ogniem działowym jak okiem sięgnąć. Sale Blachern drżą i wielkie gładkie jak szkło płyty marmurowe odpadają od ścian skutkiem wstrząsów. Łatwo jest samotnie wędrować przez cesarskie sale i czekać na śmierć, podczas gdy bezpowrotna przeszłość pobrzmiwa pustym echem.

Ale dzisiaj znowu jestem w domu. I wystarczy mi tylko zobaczyć błąd jej nagiego brzozowego spojrzenia, dotknąć końców palców i poczuć żywe ciepło jej skóry, jej przemijającej piękności, a żar i pośladanie wymiatają wszelkie myśli i przemieniają wszystko.

Tak jest dobrze, kiedy leżymy obejmując się ramionami, kiedy moje usta w momencie uniesienia trumny jej spazmatyczny szloch. Ale potem, kiedy otwiera usta, by mówić, nie rozumiemy się już. Tylko w bliskości ciała znajdujemy się nawzajem i znamy rzeczy, o których przedtem nie wiedzieliśmy. Wiedza ciała jest piękna i przerażająca. Ale nasze myśli biegną po różnych orbitach i uciekają od siebie, gdy się spotykają. Czasem ranimy się nawzajem jakimś słowem i patrzymy na siebie jak wrogowie. Z jej rozszerzonych źrenic wзира obcość, zimna pogarda, podczas gdy policzki jej płoną jeszcze od miłości.

Anna nie rozumie, dlaczego muszê umrzeæ, mimo że móg³bym żyæ dalej, gdybym chcia³.

— Honor! — powiedzia³a dzie — to najbardziej znenawidzone ze wszystkich s³ów w mêskich ustach. Zwariowane i g³upie s³owo. Czyż zatem su³tan Mehmed jest bez honoru w ca³ej swej wspania³oœci? Czyż nie ceni wysoko chrzeœcijan, którzy wyrzekli siê wiary i wziêli turban? Cóż znaczy honor dla tego, kto jest pokonany? Zostaje on w kaŹdym razie pohańbiony. Honor przypada tylko zwyciêzcy.

Odpar³em:

— Mówimy o róŹnych rzeczach i nie moŹemy wzajemnie siê zrozumieæ.

Ale ona by³a uparta, wbi³a mi paznokcie w ramiê, jak gdyby chcia³a mnie na przekór wszystkiemu przekonaæ, i ci¹gnê³a:

— Rozumiem, że siê bijesz, jesteœ przecieŹ Grekiem. Ale jaka dla ciebie korzyœæ ze œmierci w dniu, kiedy mur padnie i Turcy wtargn¹ do miasta? Jesteœ tylko w po³owie Grekiem, jeœli nie wiesz, że kaŹdy cz³owiek jest najbliŹszy sobie samemu.

— Nie rozumiesz mnie — odrzek³em — dlatego, że mnie nie znasz. Ale masz s³usznoscæ, ja sam jestem sobie najbliŹszy. Mogê s³uchaæ tylko samego siebie.

— A ja? — zapyta³a po raz setny. — Nie kochasz mnie wiêc?

— Twemu kuszeniu mogê siê oprzeæ — odpar³em — ale nie wpêdzaj mnie w rozpacz. Moja ukochana, moja jedyna ukochana, nie doprowadzaj mnie do rozpacz.

Przycisnê³a d³onie do mych skroni i dysz¹c tuli³a usta do moich ust. Wpatrywa³a siê we mnie oczyma b³yszcz¹cymi od nienawiœci i szept³a:

— O, gdybym tylko mog³a otworzyæ twoje czo³o. O, gdybym tylko mog³a ods³oniæ myœli, które kryj¹ siê w twej czaszce. Nie jesteœ taki, za jakiego ciê mia³am. Kim zatem jesteœ? Tylko twoje cia³o pojê³am. Ciebie samego nie pojê³am nigdy. Dlatego nienawidzê ciê, o, nienawidzê ciê.

— Daj mi tylko te krótkie dni, te nieliczne chwile — prosi³em.

— MoŹe min¹ wieki, zanim znów spotkam twoje oczy i odnajdê ciê na nowo. Co ci z³ego zrobi³em, że mnie tak drêczysz?

— Nie mam Źadnej przesz³oœci ani tym bardziej przysz³oœci — powiedzia³a. — To sen i z³udzenie. To k³amstwo nic mnie nie obchodzi, jest to filozofia dla g³upców. Chcê mieæ teraŹniejszoscæ i w niej ciebie, Johannesie Angelosie, czyż tego nie rozumiesz? Walczê z tob¹ o twego ducha. Dlatego muszê ciê drêczyæ aŹ do ostatka. I nigdy ci nie wybaczê. Ani tobie, ani sobie

samej.

Znużony odrzek<sup>3</sup>em:

— Ciêżka jest moja korona. — Ale ona nie zrozumia<sup>3</sup>a, co mia<sup>3</sup>em na myśli.

*6 maja 1453*

Niespokojnie dzie przez ca<sup>3</sup>y dzień. Huk dzia<sup>3</sup> nie ustaje. Niebo i ziemia drż<sup>1</sup>. Co dwie godziny grzmi duże dzia<sup>3</sup>o i wszelkie inne dŹwiêki ton<sup>1</sup> w jego huk. Jest wtedy tak, jakby mur drża<sup>3</sup> w posadach od portu a<sup>3</sup> do morza Marmara.

W obozie tureckim ruch. S<sup>3</sup>ychaæ nieprzerwany zgie<sup>3</sup>k i bicie w bêbny. Derwisze podniecaj<sup>1</sup> siê do takiej furii, że ich ochryp<sup>3</sup>e g<sup>3</sup>osy s<sup>3</sup>ychaæ a<sup>3</sup> u nas. Wielu zbliża siê do muru tańcz<sup>1</sup>c i wiruj<sup>1</sup>c i nim dotr<sup>1</sup> do fosy, już s<sup>1</sup> naszpikowani strza<sup>3</sup>ami, lecz mimo to dalej okrêcaj<sup>1</sup> siê na piêtach, jak gdyby nie czuli bólu. Greków przeraża ten widok i wzywaj<sup>1</sup> kap<sup>3</sup>anów i mnichów, by przepêdzili diab<sup>3</sup>a.

Nikt nie móg<sup>3</sup> opuœciæ murów. We wszystkich czterech miejscach, na które kieruj<sup>1</sup> ogieñ największe dzia<sup>3</sup>a, pierwotny mur zewnêtrzny zosta<sup>3</sup> zmieciony, a w wielkim murze s<sup>1</sup> szerokie wy<sup>3</sup>omy. Ogieñ przeszkadza we wszelkich pracach naprawczych w ci<sup>1</sup>gu dnia, ale gdy tylko ciemnoœæ zapada, na miejscu dawnego muru wznosi siê na nowo wa<sup>3</sup>y ziemne.

Wiele kul chybia znacznie celu, a czêœæ przelatuje nad murem do miasta nie wyrz<sup>1</sup>dzaj<sup>1</sup>c żadnej szkody i Niemiec Grant twierdzi, że tureckie dzia<sup>3</sup>a już siê zużywaj<sup>1</sup>. Ale po drugiej stronie wzgórza unosi siê <sup>3</sup>una pieców hutniczych Orbana i co dzień s<sup>3</sup>ychaæ silny huk, gdy stopiony metal spada do olbrzymich form odlewniczych.

W mieœcie brak oliwy. Ubodzy cierpi<sup>1</sup> z tego powodu najbardziej. Ale z Pery codziennie dostarcza siê ca<sup>3</sup>e wozy oliwy do obozu tureckiego. Po kaŹdym strzale rozgrzane paszcze dzia<sup>3</sup> po<sup>3</sup>yka<sup>1</sup> ca<sup>3</sup>e dzbany cennego t<sup>3</sup>uszczu. Jeszcze nie by<sup>3</sup>o w historii tak kosztownego oblêzenia. Ale Mehmed wykorzystuje bezwzglêdnie bogactwa swoich wezyrów i dowódców. W jego obozie znajduj<sup>1</sup> siê bankierzy z wielu krajów, równieŹ ydzy i Grecy, a kredyt ma wci<sup>1</sup> jeszcze nieograniczony. Mówi<sup>1</sup>, że i Genueñczycy z Pery skwapliwie kupuj<sup>1</sup> jego weksle, żeby jak najpewniej lokowaæ gotówkê.

*7 maja 1453*

Piek<sup>3</sup>o rozpêta<sup>3</sup>o siê tuŹ po pó<sup>3</sup>nocy. Co najmniej dziesiêæ tysiêcy ludzi wziê<sup>3</sup>o udzia<sup>3</sup> w szturmie na wy<sup>3</sup>omy. NajciêŹszy atak skierowano przeciw si<sup>3</sup>om Giustinianiego przy bramie œw. Romana, tam gdzie wielkie dzia<sup>3</sup>o wyrz<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>o największe szkody w obu murach.

Oddziały szturmowe podeszły bez zgłoszenia i w dobrym porządku pod osłoną ciemności i zdłżyły zaprzężyć fosę w wielu miejscach, nim uderzono na alarm na murach. Natychmiast wzniesiono dziesięć drabin szturmowych. Robotnicy uciekali na ścieżki, na szczyt. Tylko przytomność umysłu Giustinianiego uratowała sytuację. Rycząc jak byk rzucił się w największe zamieszanie i ościł swym dwuręcznym mieczem idących na samym przedzie Turków. Dosięgli już korony ziemnego wału. Równocześnie zapalono pochodnie i beczki ze smołą i zrobiło się jasno jak w biały dzień.

Giustiniani ryczą tak, że zagłuszyły krzyk i bębny Turków. Gdy tylko spostrzegł, że idzie tu o wielkie natarcie, posłał gońców po rezerwy. Ale gdy walka szalała już dwie godziny, musieliśmy ościć dodatkowe posiłki z innych punktów na murze po obu stronach bramy św. Romana. Po pierwszym natarciu Turcy wracali regularnymi falami po tysiąc atakujących. Podciągnęli połowę szlangi aż do fosy. Podczas gdy oddziały szturmowe atakowały mur, uczniacy i działają starały się zmusić obrońców do szukania schronienia. Ale osłonięci pancerzami żołnierze Giustinianiego stworzyli znów żywą żelazną ością na koronie zewnętrznego muru. Wywracano drabiny, a Turków, którzy pod dachem z tarcz przedzierałi się aż do podłoża muru, oblewano smołą i oliwą, tak że rozpięchali się i wystawiali na strzał kuszników.

Trudno policzyć, ilu Turków poległo. Giustiniani kazał rozgosić na mieście, że stosy trupów o oście sięgają na wysokość muru zewnętrznego, ale była to naturalnie tylko gadanina obliczona na dodanie otuchy. Żadne ich straty nie mogły jednak powetować strat rycowników, którzy padali z przestrzelonym pancerzem albo ościćgnięci zostali z murów tureckimi bosakami.

Wobec tego szturmowi wszystkie poprzednie były zabawki. Tej nocy sułtan nie żartował i w ataku wziął udział znaczna część jego wojsk. W Blachernach zagrożenie było jednak niewielkie. Drabiny szturmowe Turków nie sięgały tu do szczytów murów. Bailon wydzielił więc oddział spośród swoich żołnierzy i polecił mi zaprowadzić ich do Giustinianiego, żeby i Wenecjanie mieli udział w chwale.

Wracając gdy zdłżyliśmy dojść na miejsce, jakimże olbrzymiemu janczarowi udało się z ogromnym wysiłkiem dostać na mur. Z okrzykiem radości wzywał swoich towarzyszy i rzucił się na poszukiwanie Giustinianiego. Pancerni rozstępowali się przed nim. Giustiniani walczył w wyście nieco poniżej i znalazłby się w trudnej sytuacji, gdyby jeden z robotników, zwykły Grek, który nawet nie miał pancerza, nie zdjął szerokim toporem odciętą stopę janczarowi rzucając się ościami na Turka z blanków. Potem światło już przyszło Giustinianiemu rozprawiać się z napastnikiem. Giustiniani dał swemu zbawcy okrągłą sumkę w nagrodę, ale powiedział, że wolałby raczej dać sobie radę o własnych siłach.

Widok ten oglądaliśmy w świetle pochodni i płomiennych strzał spośród szczeliku tarcz i krzyku. Potem nie miałem już czasu myśleć o czymkolwiek, gdyż napór atakujących Turków był tak silny, że my na murze musieliśmy zwrzeć szeregi, by móc się im oprzeć. Mój miecz jest dziełem tępym. Gdy Turcy o ościaniu zaczęli z wolna ustępować i cofać się, byłem tak ościertelnie zmęczony, że ledwie mogłem podnieść ramię. Bolały mnie wszystkie członki, a na ciele miałem pełno sińców i bolesnych guzów. Ale rany żadnej nie odniosłem. Miałem szczęście. Nawet Giustiniani dostał pchnięcie oszczepem w pachę, ale dzięki pancerzowi nie było ono groźne.

Opowiadaj, że jakiego Grek pod bramą Selymbryjską zabił tureckiego lennika o randze dajceja

prawo do buńczuka.

Gdy Giustiniani zobaczy<sup>3</sup>, w jakim jestem stanie, da<sup>3</sup> mi łyczliw<sup>1</sup> radê:

— W ogniu i napiêciu bitwy nierzadko siê zdarza, że cz<sup>3</sup>owiek wytêłza si<sup>3</sup>y o wiele ponad swe zwyk<sup>3</sup>e mołliwoœci. Ale nawet najciêłszy atak nie jest tak niebezpieczny jak odprêłzenie w czasie nag<sup>3</sup>ej przerwy w boju. Wtedy <sup>3</sup>atwo mołna przewróciæ siê ze zmêczenia i brak nawet si<sup>3</sup>y, by podnieœæ siê na klêczki. Dlatego teł doœwiadczony wojownik nie zuływa wszystkich si<sup>3</sup> nawet w najciêłszym boju, lecz oszczêdza je do ostatka. Mołe to byæ dla niego ratunkiem, gdy atak zacznie siê na nowo.

Spojrza<sup>3</sup> na mnie rałnie swymi wypuk<sup>3</sup>ymi oczyma i doda<sup>3</sup>:

— Wtedy cz<sup>3</sup>owiek mołe przynajmniej uciec i nie musi staæ siê bezradn<sup>1</sup> ofiar<sup>1</sup> rzezi.

By<sup>3</sup> w dobrym nastroju i irytowa<sup>3</sup>o go tylko, że zmuszony jest dolewaæ wody do wina. Wino by<sup>3</sup>o na ukoñczeniu.

— Tak, tak Jeanie Ange — powiedzia<sup>3</sup>. — Poznajemy z wolna smak w<sup>3</sup>œciwej wojny. Su<sup>3</sup>tan siê rozgrza<sup>3</sup>. Z pewnoœci<sup>1</sup> nied<sup>3</sup>ugo bêdziemy musieli odpieraæ prawdziwe szturmy.

Spojrza<sup>3</sup>em na niego niedowierzaj<sup>1</sup>co.

— Cól to wiêc jest prawdziwy szturm? — zapyta<sup>3</sup>em. — Gorszych nił ten jeszcze nigdy nie widzia<sup>3</sup>em i nawet nie mogê sobie wyobraziæ. Janczarowie walczyli jak dzikie bestie, a i mnie samemu zdawa<sup>3</sup>o siê, że przemieniam siê w dzikie zwierê.

— Wiele jeszcze zobaczysz i doœwiadczysz, Jeanie Ange — powiedzia<sup>3</sup> łyczliwie Giustiniani. — Pozdrów swoj<sup>1</sup> piêkn<sup>1</sup> łonê. Kobiety lubi<sup>1</sup> odór krwi w odzieły mêłczyzny. Sam zrobi<sup>3</sup>em podobne doœwiadczenie i <sup>3</sup>ono kobiety nigdy nie wydawa<sup>3</sup>o mi siê rozkoszniejsze nił wówczas, gdy pos<sup>3</sup>a<sup>3</sup>em wielu mêłów do nieba za pomoc<sup>1</sup> mego miecza i sam czu<sup>3</sup>em siê potem zbity i sponiewierany. Zazdroszczê ci tego przełycia, Jeanie Ange.

Przybity i ogarniêty obrzydzeniem, nie zwraca<sup>3</sup>em uwagi na jego s<sup>3</sup>owa. Ch<sup>3</sup>odne powietrze cuchnê<sup>3</sup>o od oparów krwi ze stosów ciep<sup>3</sup>ych jeszcze trupów.

Jakêł mógłbym dotkn<sup>1</sup>æ mej łony wci<sup>1</sup>ł jeszcze odrêtwia<sup>3</sup>y od œmiertelnego strachu, z krwi<sup>1</sup> na odzieły i na rêkach i myœlami roj<sup>1</sup>cymi siê od widoków z walki. Przeciwnie, obawia<sup>3</sup>em siê, że budziæ siê bêdê z krzykiem, gdy tylko zasnê, mimo że niczego nie pragn<sup>13</sup>em bardziej, jak spaæ.

Ale Giustiniani mia<sup>3</sup> s<sup>3</sup>usznocæ. Mia<sup>3</sup> przerałliw<sup>1</sup> s<sup>3</sup>usznocæ. Skorzysta<sup>3</sup>em z pozwolenia, by udaæ siê do domu, chc<sup>1</sup>c odpocz<sup>1</sup>æ po walce. I nigdy jeszcze moje pot<sup>3</sup>uczone, obola<sup>3</sup>e cia<sup>3</sup>o nie p<sup>3</sup>onê<sup>3</sup>o takim łarem jak w ten poranek. Sen mój by<sup>3</sup> g<sup>3</sup>êboki. Sen mój by<sup>3</sup> g<sup>3</sup>êboki jak œmieræ, gdy spocz<sup>13</sup>em z g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> opart<sup>1</sup> na bia<sup>3</sup>ym ramieniu Anny Notaras.

Wczoraj póŹnym wieczorem zebra<sup>3</sup>a siê potajemnie Rada Dwunastu. Ostatni atak Turków wykaza<sup>3</sup> jasno, Źe nasze si<sup>3</sup>y obronne nie s<sup>1</sup> wystarczaj<sup>1</sup>ce. PotêŹny most, który su<sup>3</sup>tan kaza<sup>3</sup> przerzuciæ na pontonach przez Z<sup>3</sup>oty Róg, zagraŹa przede wszystkim Blachernom. Dlatego Wenecjanie postanowili po d<sup>3</sup>ugich sporach opróŹniæ trzy duŹe statki Trevisana i w ten sposób zwolniæ dalsze dwa tysi<sup>1</sup>ce ludzi na mury. Źadunek ma zostaæ z<sup>3</sup>oŹony w cesarskim arsenale, a za<sup>3</sup>oga i Źo<sup>3</sup>nierze maj<sup>1</sup> obsadziæ Blacherny.

Trevisano protestowa<sup>3</sup> w imieniu armatorów i kapitanów. Argumentowa<sup>3</sup>, Źe jeœli <sup>3</sup>adunki, maj<sup>1</sup>ce wartoœæ dziesi<sup>1</sup>tków tysiêcy dukatów, zostan<sup>1</sup> przeniesione na l<sup>1</sup>d, to nie ma Źadnej nadziei na ich uratowanie, gdyby Turcy zdobyli miasto. Poza tym statki, a prawdopodobnie i za<sup>3</sup>ogi by<sup>3</sup>yby stracone.

Mimo to Rada Dwunastu postanowi<sup>3</sup>a, Źe statki maj<sup>1</sup> zostaæ opróŹnione. Ale gdy za<sup>3</sup>ogi dowiedzia<sup>3</sup>y siê o tym, staw<sup>3</sup>y ze swymi kapitanami na czele zbrojny opór i odmówi<sup>3</sup>y zejœcia na l<sup>1</sup>d. Stan taki panowa<sup>3</sup> takŹe i dzice i radzie dwunastu nie uda<sup>3</sup>o siê uporaæ z Źeglarzami, mimo Źe sam cesarz ze <sup>3</sup>zami w oczach apelowa<sup>3</sup> do ich sumienia.

12 maja 1453

Źeglarze nie ustêpuj<sup>1</sup>. Wszystkie rokowania spe<sup>3</sup>z<sup>3</sup>y na niczym.

Ale radzie dwunastu uda<sup>3</sup>o siê pozyskaæ Trevisana i Aloisia Diego. Kapitanowie okrêtów dostali dary pieniêŹne. Wenecjanom zaleŹy jeszcze na tym, Źeby utrzymaæ Blacherny za wszelk<sup>1</sup> cenê.

Bez w<sup>1</sup>tpienia obszar Blachern jest ciêŹko zagroŹony. Lecz niezaleŹnie od samej obrony Wenecjanie pragn<sup>1</sup> tak powiêkszyæ tam swój garnizon, by mogli panowaæ nad miastem, gdyby su<sup>3</sup>tan czu<sup>3</sup> siê zmuszony odst<sup>1</sup>piæ od oblêŹenia. Dlatego uwaŹaj<sup>1</sup> teŹ obecnie za konieczne wprowadzenie Źeglarzy na mury. A poza Źeglarzami na pok<sup>3</sup>adach statków z Tany jest teŹ czterystu zakutych w Źelazo Źo<sup>3</sup>nierzy.

A tymczasem co chwila Grecy oddaj<sup>1</sup> krew i umieraj<sup>1</sup> na murach. Notaras mia<sup>3</sup> s<sup>3</sup>usznocæ. Zarówno przy Z<sup>3</sup>otej Bramie, jak i po obu stronach bramy Selymbryjskiej, Grecy w<sup>3</sup>asnymi si<sup>3</sup>ami odparli wszelkie ataki i szturmy. Co prawda mury nie s<sup>1</sup> tam tak bardzo uszkodzone jak przy bramie œew. Romana i bramie Charsiosa. Wiêkszoœæ obroñców jednak to rzemieœlnicy i mnisi, których

ledwie zdłżono nauczyæ obchodzenia siê z broni¹. S¹ wœród nich s³abi mêtczyŃni, którzy trac¹ ducha, gdy Turcy szturmuj¹, i uciekaj¹ na³eb, na szyjê. Ale o wiele wiêcej jest Greków takiego pokroju jak ci, którzy walczyli pod Termopilami i Maratonem.

Wojna ujawnia w cz³owieku najlepsze cechy. Tak jak i najgorsze. Im d³uzej trwa oblêzenie, tym wiêsz¹ przewagê uzyskuj¹ w³acæciwoœci z³e. Czas nie pracuje dla nas, lecz przeciwko nam.

Podczas gdy³acinnicy, grubi, czerwoni na gêbach i lœni¹cy od t³uszcza, spieraj¹ siê miêdzy sob¹, Grecy z dnia na dzieñ chudn¹. Ńyk najtaŃszego i najkwaceniejszego wina oto wszystko, co otrzymuj¹ z zapasów cesarza. Ich Ńony i dzieci p³acz¹ z g³odu, wêdruj¹c w rozmodlonych procesjach do koœcio³ów. Od rana do wieczora i od wieczora do rana wznosz¹ siê p³omienne mod³y pokornych i nieszczêeliwych ku niebu. Gdyby modlitwy mog³y uratowaæ miasto, Konstantynopol przetrwa³by do S¹du Ostatecznego.

Kiedy wiêc³acinnicy radz¹ w koœciele œw. Dziewicy i w Blachernach, cesarz wezwa³ Greków na naboŃstwo i radê wojenn¹ dzie wieczorem do koœcio³a M¹droœci BoŃej. Giustiniani posy³a mnie tam zamiast siebie. Sam nie chce oddalaæ siê z muru.

*13 maja 1453*

Rada wojenna zaczê³a siê w nastroju przygnêbienia i przerwa³y j¹ niemal natychmiast sygna³y alarmowe z murów. Przed koœcio³em spotkalicemy goŃca, który doniós³, Ńe Turcy zaatakowali Blacherny zarówno na brzegu, jak i ko³o bramy Kaligaryjskiej. Ale najciêtzy atak skierowany by³ w wy³om ko³o bramy Charisiosa.

W nocy rozbrzmiewa³y dzwony i ko³atki. Œwiat³a zap³onê³y w domach i na wpó³ odziani ludzie wybiegli przeraŃeni na ulice. W porcie okrêty podp³ynê³y ku zaporze, jak gdyby i tam spodziewano siê ataku. By³a pó³noc i w cichym powietrzu zgie³k walki z Blachern niós³ siê po ca³ym ogromnym mieœcie aŃ do hipodromu. P³on¹ce jasno tureckie ogniska obozowe otacza³y miasto nieprzerwanym krêgiem.

Spiêlicemy ostrogami konie i pêdzilicemy ulicami przy œwietle latarni pe³nym galopem. Kiedy zbliŃalicemy siê do bramy Charisiosa, spotkalicemy biegn¹c¹ ku nam wielk¹ rzeszê uciekaj¹cych, a wœród nich mêtczyzn z broni¹ w rêku. Cesarz œci¹gn¹³ konia i zaklina³ ich donocnym g³osem na imiê Chrystusa, by zawrócili na mur. Ale ludzie byli tak zaoœpieni strachem, Ńe nie zwaŃali na jego s³owa. Œó³nierze gwardii w naszym orszaku zmuszeni byli wjechaæ w t³um i zwaliaæ wielu na ziemiê, zanim pozostali zatrzymali siê, rozejrzeli doko³a, jakby nie wiedz¹c, gdzie siê znajduj¹, a potem powoli i opieszale poszli z powrotem na mur.

Cesarz nie czeka³ na nich. Nasz oddzia³ zdłŃy³ w ostatniej chwili. Obok bramy Charisiosa wielki mur run¹³ do pó³owy wysokoœci. ObroŃcy ulegli tu naporowi i wielu Turków wdar³o siê juŃ na granicz¹ce z murem ulice, wrzeszcz¹c ochryple i œcinaj¹c wszystkich, którzy znaleŃli siê na ich



drodze. Nasz oddzia<sup>3</sup> jeÿdÿców zmiót<sup>3</sup> ich jak s<sup>3</sup>omê. Wnet okaza<sup>3</sup>o siê, że by<sup>3</sup>y to resztki rozproszonej fali atakuj<sup>1</sup>cych. Obrońcy przepuścili ich, ale zd<sup>1</sup>ÿyli obsadziæ mury na nowo, nim dotar<sup>3</sup>a nastêpna fala. Przyby<sup>3</sup> tak<sup>3</sup>e Giustiniani i widzieliemy, jak organizowa<sup>3</sup> obronê na murze.

Ale wydarzenie to wykaza<sup>3</sup>o, jak niewiele dzieli teraz miasto od zag<sup>3</sup>ady. W innych miejscach jednak Turcy nie mieli takiego powodzenia.

O œwicie atak usta<sup>3</sup>. Nie by<sup>3</sup> to mimo wszystko szturm generalny, gdy<sup>1</sup> flota turecka zachowywa<sup>3</sup>a siê spokojnie. Giustiniani oblicza, że w nocnym szturmie wziê<sup>3</sup>o udzia<sup>3</sup> oko<sup>3</sup>o czterdziestu tysiêcy Turków.

— Su<sup>3</sup>tan nadkrusza nasze si<sup>3</sup>y — mówi<sup>3</sup>. — Nie wyobraÿaj sobie tylko, że odnieœliemy zwyciêstwo. Mamy ciê<sup>1</sup>kie straty. Nawet tobie nie chcê powiedziæ, ilu ludzi pad<sup>3</sup>o. Ale chêtne przyznajê, że tak<sup>3</sup>e i Wenecjanie powaÿnie dzie poprawili sw<sup>1</sup> nadwerê<sup>1</sup>on<sup>1</sup> s<sup>3</sup>awê.

Gdy s<sup>3</sup>oñce wzesz<sup>3</sup>o, ziemia zas<sup>3</sup>ana by<sup>3</sup>a tureckimi trupami, od brzegu a<sup>1</sup> do bramy œw. Romana. Trupy tych, którzy wtargnêli a<sup>1</sup> do miasta, wyrzucono przed mur zewnêtrzny. By<sup>3</sup>o ich ponad czterystu.

Gdy ÿeglarze Trevisana zobaczyli, jak ich rodacy walcz<sup>1</sup> o ÿycie, zaprzestali w koñcu oporu. W ci<sup>1</sup>gu dnia wy<sup>3</sup>adowali towary ze statków, a wieczorem do Blachern wmaszerowa<sup>3</sup>o czterystu ÿo<sup>3</sup>nierzy z Trevisanem na czele i zg<sup>3</sup>osi<sup>3</sup>o siê u bailona. Przydzielono im najniebezpieczniejsze i najzaszczytniejsze posterunki, p<sup>3</sup>ocny cypel miasta ko<sup>3</sup>o Kynegionu, gdzie spotykaj<sup>1</sup> siê mur l<sup>1</sup>dowy i mur portowy. Równie<sup>1</sup> i ÿeglarze obiecali przyjœæ jutro rano i naraÿaæ ÿycie dla ran Chrystusa.

Posi<sup>3</sup>ki s<sup>1</sup> konieczne. Bez nich miasto nie przetrzyma<sup>3</sup>oby nastêpnego nocnego ataku. Przez ca<sup>3</sup>y ten dzieñ Turcy nacierali ma<sup>3</sup>yimi si<sup>3</sup>ami w ró<sup>1</sup>nych punktach, maj<sup>1</sup>c na celu jedynie przeszkodzenie obroñcom w odpoczynku. Tote<sup>1</sup> ludzie œpi<sup>1</sup> na zmiany. Ale gdy cesarz obchodzi<sup>3</sup> mury dzie rano, widzia<sup>3</sup>, że w wielu miejscach wszyscy le<sup>1</sup> jak martwi, pogr<sup>1</sup>ÿeni w g<sup>3</sup>êbokim œnie. W<sup>3</sup>asnymi rêkami potrz<sup>1</sup>sa<sup>3</sup> nimi budz<sup>1</sup>c ze snu i pocieszaj<sup>1</sup>c, gdy szlochali ze zmêczenia. Dowódcom zakaza<sup>3</sup> tym razem karaæ tych, co zasnêli na posterunku. Czym moÿna by ich zreszt<sup>1</sup> karaæ? Racje ÿywnoœciowe i tak s<sup>1</sup> za sk<sup>1</sup>pe. Wino siê skoñczy<sup>3</sup>o. A trwanie na murach jest ju<sup>1</sup> samo w sobie dostateczn<sup>1</sup> kar<sup>1</sup>.

Gdy s<sup>3</sup>oñce stanê<sup>3</sup>o czerwone nad wzgórzami Pery, ujrza<sup>3</sup>em, jak bracia Guacchardi odcinaj<sup>1</sup> mieczami g<sup>3</sup>owy Turkom, którzy dotarli a<sup>1</sup> do muru i tam padli. Zbroje trzech mê<sup>1</sup>ów by<sup>3</sup>y zbryzgane krwi<sup>1</sup> od he<sup>3</sup>mu po nakolanniki. Przerzucali siê tureckimi g<sup>3</sup>owami, nawo<sup>3</sup>uj<sup>1</sup>c i œmiej<sup>1</sup>c siê, jak gdyby grali w jak<sup>1</sup>œ dziwn<sup>1</sup> pi<sup>3</sup>kê. Robili zak<sup>3</sup>ady, który znajdzie najd<sup>3</sup>u<sup>1</sup>sz<sup>1</sup> brodê, i br<sup>1</sup>zowe, czarne i siwe brody powiewa<sup>3</sup>y ju<sup>1</sup> na wietrze zawieszzone u ich pasów. W swym wsp<sup>3</sup>zawodnictwie nie chcieli przyznaæ siê do wyczerpania po nocnych bojach, lecz przemienili je w zabawê i nieprzystojne szyderstwo.

Z krwi, spalenizny i gruzu wystrzeli<sup>3</sup>o na murze kilka <sup>3</sup>ó<sup>3</sup>tych kwiatów.

Tej nocy oszczędzone mi by<sup>3</sup>y najciê<sup>3</sup>sze boje, gdy<sup>3</sup> g<sup>3</sup>ównym moim zadaniem by<sup>3</sup>o roznoszenie rozkazów Giustinianiego w ró<sup>3</sup>ne punkty muru. Mimo to chwia<sup>3</sup>em siê na nogach ze zmêczenia i wyczerpania i wszystko wydawa<sup>3</sup>o mi siê nierzeczywiste jak sen. Dzia<sup>3</sup>a tureckie zaczê<sup>3</sup>y znowu grzmieæ i mur zadr<sup>3</sup>a<sup>3</sup> od kamiennych kul, ale wszelkie d<sup>3</sup>wiêki dociera<sup>3</sup>y do moich uszu tylko jako odleg<sup>3</sup>e echa. S<sup>3</sup>oñce zabarwi<sup>3</sup>o na czerwono wzgórza Pery. Bracia Guacchardi w krwawych zbrojach grali w pi<sup>3</sup>kê g<sup>3</sup>owami poleg<sup>3</sup>ych Turków. Ta niezapomniana poranna chwila wry<sup>3</sup>a mi siê w serce. Niebo i ziemia, w ca<sup>3</sup>ym swym kolorycie, nawet spalenizna i krew, wszystko to by<sup>3</sup>o niewypowiedzianie piêkne w moich <sup>3</sup>ywych oczach w tym momencie, gdy trupy wokó<sup>3</sup> patrzy<sup>3</sup>y w nicoœæ zgaszonymi spojrzzeniami.

Ju<sup>3</sup> raz w <sup>3</sup>yciu widzia<sup>3</sup>em tak wszystko wokó<sup>3</sup> siebie równie nierzeczywiste, niewiarygodne i nieziemskie. By<sup>3</sup>o to w Ferrarze, kiedy zapad<sup>3</sup>em na zarazê, ale jeszcze nie wiedzia<sup>3</sup>em, <sup>3</sup>e jestem chory. Chmurny listopadowy dzieñ wdar<sup>3</sup> siê przez malowane okna kaplicy, kadzielnica rozsiewa<sup>3</sup>a gorzki aromat oczyszczaj<sup>1</sup>cych zió<sup>3</sup>, gêsie pióra skrzypia<sup>3</sup>y jak zwykle, gdy nagle wszystko to odsunê<sup>3</sup>o siê ode mnie daleko i tylko w uszach mi szumia<sup>3</sup>o. Widzia<sup>3</sup>em wtedy œwiat jaœniej i prawdziwiej ni<sup>3</sup> kiedykolwiek przedtem. Widzia<sup>3</sup>em, jak mieni siê zó<sup>3</sup>tozielono zawistna twarz cesarza Johannesasa, siedz<sup>1</sup>cego na tronie dok<sup>3</sup>adnie tak wysokim jak tron papie<sup>3</sup>a Eugeniusza, z <sup>3</sup>aciatym czarno-bia<sup>3</sup>ym psem u stóp. Widzia<sup>3</sup>em, jak du<sup>3</sup>a jowialna twarz Besariona zmienia siê i staje siê nieczu<sup>3</sup>a i zimna. A <sup>3</sup>aciñskie i greckie s<sup>3</sup>owa zapada<sup>3</sup>y siê gdzieœ i brzmia<sup>3</sup>y w zielonkawej poœwiacie kaplicy bezmyœlnie jak odleg<sup>3</sup>e szczekanie psów.

Wtedy to dozna<sup>3</sup>em Boga po raz pierwszy. Zapad<sup>3</sup>szy na zarazê. W przeb<sup>3</sup>ysku prawdy zrozumia<sup>3</sup>em teraz nagle, <sup>3</sup>e owa chwila kry<sup>3</sup>a ju<sup>3</sup> w sobie ten dzisiejszy poranek, jak kora kryje drzewo. I gdybym wówczas patrzy<sup>3</sup> w przysz<sup>3</sup>oœæ jak jasnowidz, móg<sup>3</sup>bym by<sup>3</sup> ju<sup>3</sup> wtedy prze<sup>3</sup>yæ i zobaczyæ to, co ogl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>em dzie. Obie te chwile wydarzy<sup>3</sup>y siê we mnie i w wiecznoœci jednocześnie i up<sup>3</sup>yw czasu miêdzy nimi by<sup>3</sup> jedynie z<sup>3</sup>udzeniem i urojeniem. Tygodnie, miesi<sup>1</sup>ce, lata to tylko miara stworzona przez cz<sup>3</sup>owieka. Z prawdziwym czasem, z czasem Boga, nie maj<sup>1</sup> nic wspólnego.

W tej chwili wiedzia<sup>3</sup>em te<sup>3</sup>, <sup>3</sup>e przyjdê na œwiat znowu w zgodzie z niezg<sup>3</sup>êbionym planem Boga. I kiedy pewnego dnia urodzê siê ponownie, bêdê kryæ w sercu tak<sup>3</sup>e i ten moment, zamkniêty w widzeniach, które mieæ bêdê w moim nowym <sup>3</sup>yciu. Zobaczê wówczas jeszcze raz trupy z odcie<sup>3</sup>tymi g<sup>3</sup>owami na zwalonym murze, trzê<sup>1</sup>cym siê od huków ogromnego dzia<sup>3</sup>a. Ma<sup>3</sup>e <sup>3</sup>ó<sup>3</sup>te kwiatki bêd<sup>1</sup> b<sup>3</sup>yszczæ wœród spalenizny i krwi, a bracia Guacchardi w okrwawionych zbrojach bêd<sup>1</sup> dziarsko graæ w pi<sup>3</sup>kê g<sup>3</sup>owami wrogów.

Ale oświadczam ci, że nie wzbudziła we mnie ani ekstazy, ani nawet radości, lecz tylko niewypowiedziany smutek, gdy jestem i pozostanę człowiekiem, iskrą, którą wichry Boga miotają z jednej ciemności w drugą. Silniej niż ból i zmęczenie odczuwałem w tej chwili tęsknotę serca do niewypowiedzianego wypoczynku zapomnienia. Ale zapomnienie nie istnieje.

Nie istnieje żadne zapomnienie.

15 maja 1453

Ugodzono mnie w samo serce. Wiedziałem, że mnie to czeka, i przeczuwałem to. Człowiek traci, co musi stracić, i nawet największe szczęście nie trwa wiecznie. Teraz, z perspektywy czasu, to, że ukrywaliśmy się tak dłużej, wydało się na cud. Od dawna wszyscy w tym mieście narażeni są na wizyty cesarskich patroli porządkowych, które mają prawo bez ostrzeżenia wdierać się nawet do szlachetnie urodzonych i przetrzasnąć sypialnie i piwnice w poszukiwaniu dezerterskich, żywności oraz gotówki. Garść młki, ukryty przez biedaka, konfiskują równie bezlitośnie jak worek pszenicy czy dzban oliwy bogaczowi.

Wczoraj odwiedzi mnie na murze w Blachernach mój syn Manuel. Miała w oczach; ktoś wytarga go za broń tak, że jego sinawe policzki usiane były krwawymi cętkami.

— Panie — wysapał z ręką na sercu — stało się nieszczęście.

Biegł przez całe miasto tak, że chwiał się teraz na chorych nogach i wciąż jeszcze tak był wzburzony, że nie zważał, czy ktoś słyszy jego słowa. Opowiedział, że rano kilku ludzi ze straży porządkowej przeszukało mój dom. Niczego nie znaleźli, ale jeden z nich badawczo przyglądał się Annie i widocznie poznał ją, gdy po południu wrócili, tym razem pod dowództwem jednego z synów Notarasa. Brat natychmiast rozpoznał swoją siostrę i Anna postawiła im opór, gdy i tak nic by nie wskórała. Manuel próbował jej bronić i usiłował, że nie ma mnie w domu, ale szarpnęli go tylko za broń, obalili i skopali. Zapominajcie o swej godności brat Anny uderzył go nawet w twarz.

Pozbierawszy się jako Manuel poszedł za nimi w oddaleniu i widział, że zaprowadzili Annę do domu megaduksa Notarasa.

— Gdy ona jest przeciwko jego córce — powiedział rzeczowo. — Wiedziałem to niemal od samego początku, choć udawałem, że nic nie wiem, bo chciałem zachować to w tajemnicy. Ale to osobna sprawa. Panie, musisz teraz uciekać, bo megaduks Notaras bez wątpienia już cię szuka, by cię zabić. A jego wierzchowce są szybsze niż moje nogi.

— Dokąd mam uciec? — zapytałem. — Nie ma miejsca w tym mieście, gdzie by mnie nie znalazł, jeżeli zechce.

Manuel do tego stopnia straci<sup>3</sup> opanowanie, że potrz<sup>1</sup>sn<sup>13</sup> mnie za ramiê.

— Wnet bêdzie ciemno — rzek<sup>3</sup> żarliwie. — Pod murem panuje spokój. Możesz spuścić się na linie i uciekać do obozu su<sup>3</sup>tana. Tam jesteście przecie<sup>3</sup> jak w domu. Wielu już tak zrobi<sup>3</sup>o. Jeżeli chcesz, pomogę ci i wci<sup>1</sup>gnę potem linę, tak żeby nie zosta<sup>3</sup> żaden celad po twej ucieczce. Ale pamiętaj za to o mnie, gdy wrócisz tu ze zwycięzcami.

— Nie pleć bzdur, staruszk — powiedzia<sup>3</sup>em. — Su<sup>3</sup>tan każe wbić moj<sup>1</sup> g<sup>3</sup>owê na pal, jeżeli mnie z<sup>3</sup>apie.

— Tak, tak, naturalnie, naturalnie — upiera<sup>3</sup> się Manuel zerka<sup>1</sup>c na mnie chytrze oczami w czerwonych obwódkach. — To przecie<sup>3</sup> jest ta twoja historia, której chcesz się trzymać, i nie wypada mi jej kwestionować. Ale wierz mi, w su<sup>3</sup>tańskim obozie by<sup>3</sup>być od tej chwili bezpieczniejszy niż w Konstantynopolu i może móg<sup>3</sup>być przed su<sup>3</sup>tanem powiedzieć dobre s<sup>3</sup>owo w obronie nas biednych Greków.

— Manuelu — zacz<sup>13</sup>em, ale urwa<sup>3</sup>em w pó<sup>3</sup> zdania. Jakże<sup>3</sup> zdo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>bym przenikn<sup>1</sup>ąć pancierz jego przes<sup>1</sup>dów.

Tkn<sup>13</sup> mnie palcem wskazuj<sup>1</sup>cym w piero.

— Naturalnie, że jesteście wys<sup>3</sup>annikiem su<sup>3</sup>tana — powiedzia<sup>3</sup>. — Czy s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>ecie rzeczywiście, że zdo<sup>3</sup>asz wyprowadzić w pole starego Greka? Łacinników możesz sobie oszukiwać, jak chcesz, ale nie nas. Jak s<sup>1</sup>dzisz, dlaczego by w innym razie wszyscy ustępowali ci z drogi z takim szacunkiem i b<sup>3</sup>ogos<sup>3</sup>awili twoje kroki? W<sup>3</sup>os przecie<sup>3</sup> nie spad<sup>3</sup> ci tu z g<sup>3</sup>owy. To wystarczaj<sup>1</sup>cy dowód. Nikt nie oemia<sup>3</sup> cię tkn<sup>1</sup>ąć, bo su<sup>3</sup>tan jest twój<sup>1</sup> tarcz<sup>1</sup>. I nie jest to żadna hańba, że ka<sup>3</sup>dy s<sup>3</sup>u<sup>3</sup>ly swemu w<sup>3</sup>asnemu panu. Nawet cesarz zawiera<sup>3</sup> w razie potrzeby sojusze z Turkami i pos<sup>3</sup>ugiwa<sup>3</sup> się nimi.

— Milcz, szaleńcze — ostrzeg<sup>3</sup>em go i rozejrza<sup>3</sup>em się woko<sup>3</sup>o. Wenecki wartownik zbli<sup>3</sup>y<sup>3</sup> się i przygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> się z rozbawieniem podnieconemu staruszkowi. W tejże chwili huknê<sup>3</sup>o dzia<sup>3</sup>o i obok uderzy<sup>3</sup>a kamienna kula, tak że mur zatrz<sup>1</sup>s<sup>3</sup> się pod naszymi stopami. Manuel schwyci<sup>3</sup> mnie za ramiê i dopiero teraz rzuci<sup>3</sup> wzrokiem na osnuty dymem i pluj<sup>1</sup>cy ogniem teren pod nami.

— Nie stoimy chyba na żadnym niebezpiecznym miejscu? — zapyta<sup>3</sup> boja<sup>3</sup>liwie.

— Twoje nierozważne s<sup>3</sup>owa s<sup>1</sup> dla mnie o wiele niebezpieczniejsze niż tureckie dzia<sup>3</sup>a — odpar<sup>3</sup>em gniewnie. — Wierz mi, na Boga, Manuelu. Kimkolwiek jestem, żyjê i umrê za to miasto. Nie mam żadnej innej przysz<sup>3</sup>ooci. Nie pragnê ani w<sup>3</sup>adzy, ani purpury. W<sup>3</sup>adza jest martwa. Tylko za samego siebie chcê odpowiadać przed Bogiem. Zrozum to wreszcie, jestem samotny, ca<sup>3</sup>kiem samotny. To, co kryjê w sercu, umrze wraz ze mn<sup>1</sup>, kiedy przyjd<sup>1</sup> Turcy.

Mówi<sup>3</sup>em tak poważnie i przekonywuj<sup>1</sup>co, że Manuel wpatrywa<sup>3</sup> się we mnie zaskoczony. Musia<sup>3</sup> mi uwierzyć. Potem zala<sup>3</sup> się <sup>3</sup>zami rozczarowania i jêkn<sup>13</sup>:

— W takim razie to ty jesteś szalony, a nie ja. P<sup>3</sup>aka<sup>3</sup> d<sup>3</sup>ugo, po czym wytar<sup>3</sup> nos, przyjrza<sup>3</sup> mi się i powiedzia<sup>3</sup> już spokojnie:

— Niech i tak będzie. Mielicemy i szalonych cesarzy i nikt nie uważa<sup>3</sup> tego tutaj za jakiego prawdziwe nieszczęście. Tylko syn Andronikosa by<sup>3</sup> tak okrutny, że lud w końcu powiesi<sup>3</sup> go na Hipodromie i przebito go mieczem od odbyticy do gard<sup>3</sup>a. Ale ty nie jesteś przecie<sup>3</sup> okrutny, lecz raczej <sup>3</sup>agodny. Dlatego też jest moim obowi<sup>1</sup>zkiem towarzyszyć ci nawet na drodze szaleństwa, skoro już cię rozpozna<sup>3</sup>em.

Obejrza<sup>3</sup> się doko<sup>3</sup>a i westchn<sup>13</sup> ciê<sup>3</sup>ko dodaj<sup>1</sup>c:

— Trochę tu kiepsko, ale do twego domu nie mogę wrócić, tak bardzo boję się megaduksa Notarasa. Wolę już chwycić tasak i zetrzeć się z wściek<sup>3</sup>ym Turkiem, niż spotkać się z wielkim księciem po tym, jak ci dopomog<sup>3</sup>em uprowadzić jego córkę. Bo widzisz, Anna Notaras jest już od dawna przeznaczona do su<sup>3</sup>tańskiego haremu, jeżeli zupełnie się nie zgubi<sup>3</sup>em w tajnej polityce.

Znów miałem powód do zdumienia, ile zwyk<sup>3</sup>y cz<sup>3</sup>owiek, taki jak Manuel, wiedzia<sup>3</sup> i domyśla<sup>3</sup> się. Có<sup>3</sup>ż mog<sup>3</sup>o lepiej odpowiadać planom Łukasza Notarasa, niż wydanie córki za su<sup>3</sup>tana dla wzmocnienia obopólnej przyjaźni. Być może chciał on wys<sup>3</sup>ać Annę na bezpieczn<sup>1</sup> Kretę przed oblężeniem tylko po to, by móc lepiej ni<sup>1</sup> kupczyć. W <sup>1</sup>dzy jest Mehmed wszystko<sup>3</sup>erc<sup>1</sup> i naceladuje także i pod tym względem swój wzór, Aleksandra Wielkiego. Kobieta z najznamienitszego rodu Konstantynopola zaspokoi<sup>3</sup>aby jego ogromn<sup>1</sup> potrzebę podkreślenia swego znaczenia.

— Sk<sup>1</sup>d wiesz to wszystko, co wydaje ci się, że wiesz? — nie mog<sup>3</sup>em się powstrzymać od pytania.

— To wisi w powietrzu — odpar<sup>3</sup> rozk<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup>c ręce. — Jestem Grekiem. Politykę mam we krwi. Ale nie chcę w <sup>3</sup>aden sposób mieszać się do twojej rozprawy z teściem. Raczej wolę przygl<sup>1</sup>dać się temu z boku, jeżeli pozwolisz.

Uświadomi<sup>3</sup>em sobie, że istotnie jest bezpieczniejszy na murze niż w moim domu. Jeżeli Łukasz Notaras zamierza mnie w<sup>3</sup>asnoręcznie zabić albo kazać mnie zamordować, to pewnie będzie, jeżeli równocześnie usunie wszelkich świadków mojego ma<sup>3</sup>żeństwa. Dlatego też pozwoli<sup>3</sup>em Manuelowi przy<sup>3</sup>czyać się do greckich robotników, których zatrudnili Wenecjanie, i prosi<sup>3</sup>em go, by sam sobie jakoś dawa<sup>3</sup> radę.

Moj<sup>1</sup> pierwsz<sup>1</sup> myś<sup>1</sup> na wieść, że utraci<sup>3</sup>em Annę, by<sup>3</sup>o popędzić do domu jej ojca i za<sup>1</sup>dać oddania jej, gdy<sup>3</sup> jest moj<sup>1</sup> <sup>1</sup>on<sup>1</sup>. Ale jaki z tego po<sup>3</sup>zytek? Notarasowi by<sup>3</sup>oby tam <sup>3</sup>atwo zamordować samotnego przybysza. Zamknięta na cztery spusty w pa<sup>3</sup>acu Notarasa Anna jest dla mnie nieosi<sup>1</sup>galna. Jest moj<sup>1</sup> <sup>1</sup>on<sup>1</sup>. Dlatego muszę wystrzegać się Notarasa. Naj<sup>3</sup>atwiejszym dla niego sposobem, by

unicestwiæ nasze ma³¿eñstwo, jest zabiæ mnie. A ja nie chcê umrzeæ z greckiej rêki.

Czuwa³em i pisa³em. Czasem zamyka³em oczy i opiera³em rozpalone czo³o na d³oniach. Ale sen nie przychodzi³, by zmi³owaæ siê nade mn¹. Poprzez powieki zasypane piaskiem zmêczenia widzia³em jej piêknoœæ. Jej usta. Jej oczy. Czu³em, jak dotkniêcie mojej d³oni rozpala jej policzki. Jak przeszywa mnie p³omienny dreszcz, gdy dotykam jej nagiego biodra. Nigdy nie pragn¹³em Anny tak szaleñczo jak teraz, kiedy wiedzia³em, ¿e j¹ utraci³em.

*16 maja 1453*

Nie mog³em zatem spaæ, mimo ¿e moje stanowisko pozwala³o mi na ten luksus. Samotnoœæ i sen to przecie¿ dwa najwiêksze przywileje w czasie wojny. Gwiazdy b³yszczą³y jeszcze jak piêkne srebrne szpilki na niebie, gdy pêdzony niepokojem wyszed³em na dwór. Noc by³a cicha i lodowato zimna w te ostatnie godziny przed brzaskiem.

W pobli¿u bramy Kaligaryjskiej przystan¹³em i nas³uchiwa³em. To nie by³o tylko bicie mego serca. Zdawa³o mi siê, ¿e s³yszê g³uche ³omotanie g³êboko pod stopami. Potem zobaczy³em Niemca Granta, id¹cego naprzeciw mnie z pochodni¹ w d³oni. Za murem sta³y ustawione kadzie z wod¹. Szed³ od jednej do drugiej i zatrzymywa³ siê przy ka¿dej. Zrazu s¹dzi³em, ¿e straci³ rozum albo uprawia jakieœ czary, gdy¿ do muru by³o daleko i nie grozi³ tu ¿aden po¿ar.

Pozdrowi³ mnie w imiê Chrystusa, oœwietli³ pochodni¹ jedn¹ z kadzi i poprosi³, ¿ebym spojrze³. W krótkich odstêpach czasu ciemn¹ powierzchniê wody znaczy³y dr¿¹ce krêgi, choæ noc by³a cicha i dzia³a milcza³y.

— Ziemia siê trzêsie — stwierdzi³em. — Czy w tym mieœcie nawet ziemia dr¿y ze œmiertelnego strachu?

Grant rozcemia³ siê, ale twarz mia³ ponur¹.

— Nie rozumiesz tego, czego œwiadkami s¹ twoje w³asne oczy, Jeanie Ange — powiedzia³. — Gdybyœ to rozumia³, zimny pot obla³by ci kark, tak jak mnie przed chwil¹. Pomó¿ mi przesun¹æ kadÿ, gdy¿ moi pomocnicy zmêczyli siê i poszli spaæ.

Wspólnymi si³ami przesunêliœmy kadÿ o kilka kroków w bok. W miejscu, gdzie sta³a przedtem, Grant wetkn¹³ kij w ziemiê. Gdy przesuwaliœmy j¹ jeszcze kilka razy, woda zaczê³a znowu marszczyæ siê na powierzchni. Ogarn¹³ mnie zabobonny lêk, jak gdybym by³ œwiadkiem jakiejœ czarnej magii. Jeœli kto, to w³acenie Grant móg³ znaæ takie tajemnice. Widaæ to by³o po jego twarzy.

Wskaza<sup>3</sup> na wij<sup>1</sup>cy siê w<sup>1</sup>ł kijów, które wetkn<sup>13</sup> w ziemiê, a które ci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>y siê a<sup>1</sup> do muru.

— Ziemia jest kamienista — rzek<sup>3</sup>. — Jak widzisz, ryj<sup>1</sup> jak krety. Ciekawe, jak d<sup>3</sup>ugo oni bêd<sup>1</sup> kopae, zanim siê wydostan<sup>1</sup> na powierzchnię.

— Jacy oni? — zapyta<sup>3</sup>em zbity z tropu.

— Turcy — powiedzia<sup>3</sup>. — Kopi<sup>1</sup> pod naszymi stopami. Jeszcze nie rozumiesz?

— Jak to mo<sup>1</sup>liwe?! — wykrzykn<sup>13</sup>em. Ale w tej<sup>1</sup> chwili przypomnia<sup>3</sup>em sobie o serbskich górnikach, których sprowadzi<sup>3</sup> su<sup>3</sup>tan. Przy poprzednich oblê<sup>1</sup>zeniach Turcy czasem próbowali ryæ chodniki pod murami, ale nigdy im siê to nie udawa<sup>3</sup>o z powodu kamienistego gruntu. Dlatego te<sup>1</sup> tym razem nie zwracano uwagi na to niebezpieczeństwo, choæ nasze posterunki obserwacyjne otrzyma<sup>3</sup>y rozkaz wypatrywania podejrzanych kup ziemi pod murami. Jednak<sup>1</sup>e ładnego œladu prac ziemnych nie mo<sup>1</sup>na by<sup>3</sup>o dostrzec i ca<sup>3</sup>a sprawa posz<sup>3</sup>a w zapomnienie.

Przesta<sup>3</sup>em na chwilê myœleæ o w<sup>3</sup>asnym zmartwieniu i o<sup>1</sup>łwi<sup>3</sup>em siê tak samo jak Grant.

— Chytrzy s<sup>1</sup>! — zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>em. — Musieli zacz<sup>1</sup>æ kopae pod os<sup>3</sup>on<sup>1</sup> najbliższego pagórka, ponad piêæset metrów od muru. I to jest najkorzystniejsze miejsce, jakie mogli wybraæ, gdy<sup>1</sup> tu, pod Blachernami, nie ma muru zewnêtrznego. Teraz siêgnêli ju<sup>1</sup> poza mur. Co robiæ?

— Czekaæ — odpar<sup>3</sup> Grant spokojnie. — To nic gro<sup>1</sup>znego, kiedy ju<sup>1</sup> wiem, jak biegnie ich chodnik. S<sup>1</sup> wci<sup>1</sup>ł jeszcze g<sup>3</sup>êboko pod nami. Czas dzia<sup>3</sup>ania nadejdzie, gdy zaczn<sup>1</sup> przedzieraæ siê ku górze.

Spojrza<sup>3</sup> na mnie ponuro.

— Sam bra<sup>3</sup>em udzia<sup>3</sup> w robieniu podkopów. To straszna robota. Brak powietrza. Ustawiczna trwoga. A œmieræ w krecim chodniku, w ogniu czy w wodzie, to œmieræ straszliwa.

Zostawi<sup>3</sup> swoje kadzie i zabra<sup>3</sup> mnie na wêdrówkê po murze. W ró<sup>1</sup>nych wnêkach poustawia<sup>3</sup> bêbny i nasypa<sup>3</sup> grochu na skórê. Ale miejsce, w którym woda siê marszczy<sup>3</sup>a, by<sup>3</sup>o dotychczas jedynym, gdzie coœ zauwa<sup>1</sup>ły<sup>3</sup>.

— Podziemny chodnik jest niebezpieczny tylko wtedy, gdy nie zostanie w porê wykryty — poucza<sup>3</sup>. — Na szczêœcie Turcy próbuj<sup>1</sup> siê wedrzeæ a<sup>1</sup> do samego miasta. Gdyby zadowolili siê podkopem pod sam mur, podparli go belkami, a w koñcu podpalili podpory, uda<sup>3</sup>oby im siê mo<sup>1</sup>že zwaliaæ du<sup>1</sup> czêœæ muru. Ale przypuszczalnie grunt nie nadaje siê do tego.

Podczas gdy gwiazdy blad<sup>3</sup>y, wy<sup>3</sup>o<sup>1</sup>ły<sup>3</sup> mi, jak siê zak<sup>3</sup>ada kontrminê, któr<sup>1</sup> mo<sup>1</sup>na zaopatrzyæ w ruchom<sup>1</sup> kratê z oszczepów, i jak wprowadza siê pary p<sup>3</sup>on<sup>1</sup>cej siarki do chodników minerskich wroga.

— Jest wiele sposobów — powiedzia<sup>3</sup>. — Mo<sup>1</sup>emy wpuœciæ tam wodê z cysterny i potopiaæ ich jak szczury. Wype<sup>3</sup>niony wod<sup>1</sup> chodnik nie nadaje siê do u<sup>1</sup>łtku. Jeszcze lepiej by<sup>3</sup>oby usma<sup>1</sup>łyæ ich w greckim ogniu. Zapaliaæ równocześnie wszystkie podpory i chodnik by siê zapad<sup>3</sup>. Ale

najlepsze by³oby wykopanie w³asnego chodnika i czekanie na nich w zasadzce za cienk¹ œciank¹, a³eby w korzystnym momencie porwaæ kopi¹cych. Stosuj¹c tortury mo¿na siê dowiedzieæ, czy jest wiêcej chodników i gdzie s¹ po³o¿one.

Te wypowiedziane z zimn¹ krwi¹ s³owa wzburzy³y mnie do g³êbi. Myœla³em o ludziach ryj¹cych pod naszymi stopami, jak zdyszani, ociekaj¹cy potem i oœlepieni sypi¹c¹ siê ziemi¹ haruj¹ jak zwierzêta, nie przeczuwaj¹c, ¿e ka¿de uderzenie kilofa i ³opaty zbli¿a ich do nieuchronnej œmierci. Jeœli to rzeczywiœcie Serbowie, to s¹ oni przecie¿ moimi chrzeœcijañskimi braæmi, mimo ¿e s³u¿yli su³tanowi, zmuszeni do tego uk³adem przyjaŹni zawartym przez swego sêdziwego despotê. Ale Grant patrzy³ na mnie bez zrozumienia swoimi ciemnymi nieruchomymi oczyma.

— Daleki jestem od okrucieñstwa — rzek³. — Dla mnie wszystko to jest matematyk¹. Pasjonuj¹cym zadaniem, które daje mi okazjê do najrozmaitszych obliczeñ.

Kiedy jednak tak sta³ nad kadzi¹ wody, podobny by³ zupe³nie do czarnego kota czyhaj¹cego ko³o mysiej dziury.

Niebo zblad³o nad nami. Wzgórza pod Per¹ zaczê³y ró¿owieæ. Wielkie dzia³o huknê³o i zbudzi³o Turków do modlitwy porannej. Z budynków Blachern i sklepieñ pod murem zaczêli wy³aziaæ senni ¿o³nierze, by za³atwiaæ porann¹ potrzebê. Niektórzy podchodzili do nas i gapili siê z otwartymi ustami to na nas, to na kadzie z wod¹. Inni, zaspani, zaci¹gali gniewnie rzemienie pancerzy i udawali siê w milczeniu na mur, by zluzowaæ posterunki.

Szybkimi krokami, odziany w p³aszczyz w kolorze cesarskiej zieleni, nadszed³ megaduks ³ukasz Notaras. Za nim kroczyli powa¿nie obaj jego synowie, z rêkami na rêkojeœciach mieczy. Innego orszaku nie mia³. Cofn¹³em siê krok w ty³, stoj¹c obok Granta, tak ¿e ka¿dy z wod¹ znalaz³a siê przede mn¹. Notaras te¿ przystan¹³. Jego godnoœæ nie pozwala³a mu zacz¹æ gonieæ mnie wokó³ kadzi z wod¹. Nie móg³ te¿ nakazaæ stra¿nikom, ¿eby mnie aresztowali, poniewa¿ Blacherny by³y w rêkach Wenecjan, a on nie mia³ przy sobie w³asnej stra¿y porz¹dkowej.

— Chcê z tob¹ porozmawiaæ, Johannesie Angelosie — powiedzia³. — Na osobnoœci.

— Nie mam ¿adnych tajemnic — odpar³em.

Jego mroczna i dumna twarz by³a niezg³êbiona i nie mia³em ochoty iœæ za nim jak jagnie œ ofiarne.

Otworzy³ usta do gwa³townej odpowiedzi, ale w tej¿e chwili ujrza³ powierzchniê wody w kadzi. Dzia³a hucza³y od czasu do czasu, ale tak¿e w przerwach woda dr¿a³a tworzc¹ wyraŹne krêgi. Wpatrzy³ siê, zmarszczy³ czo³o, rzuci³ spojrzenie na Joanna Granta. By³ tak bystry, ¿e natychmiast, bez tłumaczeñ, zrozumia³, o co tu chodzi. I równoczenie pracowa³ te¿ jego polityczny rozs¹dek maj¹cy swoje w³asne kalkulacje. Bez s³owa odwróci³ siê i odszed³ równie szybko, jak przyszed³.



Synowie rzucili mu zdziwione spojrzenie, ale poszli pos³uszenie za ojcem.

Podkop by³ ju¿ i tak wykryty. Notaras nie móg³ wiêc zaszkodziæ Turkom, nawet gdyby poczepi³ donieœæ o tym cesarzowi. Móg³ tylko zyskaæ chwa³ê z odkrycia i zdobyæ zaufanie cesarza. Niebawem cesarz przyjecha³ do nas konno w otoczeniu œwity.

— Megaduks przyw³aszczy³ sobie twoj¹ chwa³ê — rzek³em do Granta.

— Nie przyszed³em tu, by zdobywaæ chwa³ê i s³awê — odrzek³ kwaœno. — Jedyne, czego pragnê, to powiêkszaæ swoj¹ wiedzê.

Ale Notaras bez zw³oki podszed³ do niego, po³o¿y³ mu w dowód³aski prawicê na ramieniu i zacz¹³ przed cesarzem wychwalaæ wynalazczoœæ i przenikliwoœæ Granta, nazywaj¹c go³askawie cz³owiekiem honoru i uczciwym Niemcem. Tak¿e cesarz okaza³ mu swoj¹³askawoœæ, obieca³ dar pieniê¿ny i prosi³, by pod kierownictwem Notarasa wyœledzi³ i zniszczy³ tureckie podkopy. W tym celu mia³ otrzymaæ potrzebn¹ za³ogê z muru, a tak¿e cesarskich techników do dyspozycji.

Zobaczy³em, ¿e i Giustiniani otrzyma³ wiadomoœæ o odkryciu i przyby³ niebawem konno, by wzi¹æ udzia³ w powszechnej radoœci. Grant podj¹³ natychmiast odpowiednie kroki i kaza³ rozes³aæ potajemnie goñców do wszystkich w mieœcie i na murze, którzy mieli jakieœ doœwiadczenie w pracy górniczej. Równoczenie wybra³ kilku ludzi, którzy mieli obserwowaæ kadzie z wod¹ i bêbny, ale ci wywo³ali wiele fa³szywych alarmów, nim przywykli do swego zadania. Za ka¿dym razem, gdy huczay w pobli¿u dzia³a, woda marszczy³a siê i groch tañczy³ na bêbnach, i wartownicy ze zje¿onym w³osem wybiegali i raportowali, ¿e Turcy przebijaj¹ siê przez grunt ku górze.

Gdy Grant wszcz¹³ roboty, zwróci³ siê do cesarza i powiedzia³:

— Nie wst¹pi³em na s³u¿bê do ciebie, by zarabiaæ pieni¹dze czy zdobywaæ s³awê, lecz aby szukaæ wiedzy Greków. Pozwól mi przejrzeæ katalogi w bibliotece i studiowaæ manuskrypty, które le¿¹ pogrzebane w lochu, oraz wypo¿yczyæ stamt¹d pisma pitagorejczyk³ów. Wiem, ¿e s¹ tam dzie³a pitagorejczyk³ów i Archimedes, ale twój bibliotekarz strze¿e ich jak wœciek³y pies i nie pozwala nawet zapaliæ tam œwiat³a czy lampy.

Cesarzowi nie w smak by³o jego ¿yczenie. Wychud³a twarz Konstantyna przybra³a udrêczony wyraz. Unika³ patrzenia Grantowi w oczy, gdy mu odpowiada³:

— Mój bibliotekarz spe³nia tylko obowi¹zek. Jego urz¹d jest dziedziczny i dok³adnie ustalony ceremonia³em, tak ¿e nawet on sam nie mo¿e z³amaæ statutów biblioteki. Wyzywasz Boga chc¹c w krytycznej dla miasta chwili szukaæ pism pogañskich filozof³ów. Tylko jeden Bóg jest potrzebny, powinieneœ to wiedzieæ. Ani Pitagoras, ani Archimedes nie mo¿e ci pomóc, tylko Jezus Chrystus, który odda³ swe ¿ycie za odpuszczenie naszych grzech³ów i powsta³ z martwych dla naszego zbawienia.

Grant mrukn¹³:

— Skoro tylko jeden Bóg jest niezbêdny, to chyba zbyteczne, ¿ebym trwoni³ moje wynalazki i

obliczenia na to, by trzymaæ Turków z dala od miasta.

Cesarz machn<sup>13</sup> z rozdrażnieniem ręk<sup>1</sup> i powiedzia<sup>3</sup>:

— Grecka filozofia jest naszym wiecznym dziedzictwem i tych pism nie wypożyczamy barbarzyńcom na niew<sup>3</sup>ażeciwy użytek.

Giustiniani zakaszla<sup>3</sup> mocno, a także bailon, który również tam przyby<sup>3</sup>, urażony potoczy<sup>3</sup> nabieg<sup>3</sup>ymi krwi<sup>1</sup> oczyma. Gdy tylko Grant odszed<sup>3</sup>, cesarz oświadczy<sup>3</sup> pojednawczo, że mówi<sup>1</sup>c o barbarzyńcach nie mia<sup>3</sup> wcale na myśli <sup>3</sup>acinników. Grant natomiast jest Niemcem i skutkiem tego barbarzyńc<sup>1</sup> z urodzenia.

Przez ca<sup>3</sup>y dzień trwa<sup>3</sup> ogień z dzia<sup>3</sup>, może nawet gwa<sup>3</sup>towniejszy niż zwykle. Także i wielki mur zwali<sup>3</sup> się już w wielu miejscach. Kobiety, dzieci i starcy zg<sup>3</sup>aszali się na ochotnika jako murarze. Lęk i trwoga dawa<sup>3</sup>y im nadludzkie si<sup>3</sup>y, dŹwigali kamienie i nosili na szańce kosze, które nawet silny mę<sup>1</sup>czyzna uzna<sup>3</sup>by za zbyt ciężkie.

Mówili:

— Wolimy raczej umrzeć z naszymi mę<sup>1</sup>żami, ojcami i synami, niż zostać niewolnikami u Turków.

Strasliwe zmęczenie przytępi<sup>3</sup>o strach obrońców i wielu wystawia<sup>3</sup>o się na strza<sup>3</sup>y tureckie, jeżeli tylko mogli dzięki temu zaoszczędzić parę kroków. Pozbawieni os<sup>3</sup>ony mę<sup>1</sup>czyŹni z piek<sup>1</sup>cymi od czuwania oczyma podchodzili chwiejnie do forsy, by hakami wy<sup>3</sup>awiać tureckie belki i wi<sup>1</sup>zki chrustu. Z muru nie można już dostrzec ani jednego krzaczka, ani jednego drzewa. Turcy usi<sup>3</sup>uj<sup>1</sup>c wype<sup>3</sup>niæ fosę wycieli wszystko w polu widzenia. Nawet wzgórki ko<sup>3</sup>o Pery i na azjatyckim brzegu po drugiej stronie Bosforu s<sup>1</sup>ogo<sup>3</sup>oczone z drzew i zarosli.

*17 maja 1453*

Flota turecka podp<sup>3</sup>ynę<sup>3</sup>a do zapory portowej, ale ustawi<sup>3</sup>a się w pewnej odleg<sup>3</sup>ooci od niej. Nasze okręty odda<sup>3</sup>y co najmniej sto strza<sup>3</sup>ów armatnich, ale nie wyrz<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>y większych szkód wrogowi. Weneccy żeglarze che<sup>3</sup>pi<sup>1</sup> się zwycięstwem: — Jeżeli ka<sup>1</sup>dy na murach spe<sup>3</sup>ni swój obowi<sup>1</sup>zek również nieustraszenie jak my, Konstantynopolowi nic się nie stanie — mówi<sup>1</sup>.

Widac jednak, że su<sup>3</sup>tan chce tylko dać naszej flocie zajęcie, żeby nie można by<sup>3</sup>o stamt<sup>1</sup>d oeci<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>æ na mur dalszych posi<sup>3</sup>ków.

Wielu stara<sup>3</sup>o siê dostaæ do s<sup>3</sup>u<sup>3</sup>by przy kadziach z wod<sup>1</sup> Granta, ale on m<sup>1</sup>drze wybra<sup>3</sup> do czuwania jedynie niezdatnych do noszenia broni m<sup>1</sup>czyzn i starców, byle tylko mieli dobry wzrok. Chcia<sup>3</sup>em postaraæ siê dla Manuela o tak<sup>1</sup> lekk<sup>1</sup> pracê ze wzglêdu na jego siw<sup>1</sup> brodê i chore nogi. Ale gdy go odszuka<sup>3</sup>em, stwierdzi<sup>3</sup>em, ðe zd<sup>1</sup>u<sup>3</sup>y<sup>3</sup> ju<sup>3</sup> uwolniæ siê od s<sup>3</sup>u<sup>3</sup>by na murze i zyska<sup>3</sup> przychylnoœæ Wenecjan. Zna miasto, wie, gdzie znajduj<sup>1</sup> siê najlepsze zamtuzy, i potrafi znaleŸæ kobiety, które ch<sup>1</sup>tnie zamieniaj<sup>1</sup> cnotê na kandyzowane owoce i œwie<sup>3</sup>u<sup>3</sup> chleb Wenecjan. Nawet na wpó<sup>3</sup> doros<sup>3</sup>e dziewczêta czekaj<sup>1</sup> przed bramami Blachern, ðeby strêczyæ siê Wenecjanom. Kiedy natkn<sup>13</sup>em siê na Manuela, wybiera<sup>3</sup> siê w<sup>3</sup>acenie do miasta, z grzbietem ugi<sup>1</sup>ty<sup>3</sup> pod workiem zakazanych œrodków u<sup>3</sup>wnoœci. Dosta<sup>3</sup> wenecki paszport do okazywania patrolom i che<sup>3</sup>pi<sup>3</sup> siê, ðe zd<sup>1</sup>u<sup>3</sup>y siê wzbogaciæ, jeœli oblê<sup>3</sup>enie potrwa jeszcze jakic<sup>3</sup> czas.

Gdy mu robi<sup>3</sup>em wyrzuty, poczu<sup>3</sup> siê obra<sup>3</sup>ony i powiedzia<sup>3</sup>:

— Ka<sup>3</sup>dy jest sam sobie najbli<sup>3</sup>szy. W ca<sup>3</sup>ym mieœcie prowadzi siê potajemny handel wyzyskuj<sup>1</sup>c zarówno cesarskie, weneckie, jak i genue<sup>3</sup>skie paszporty. Wielu zbi<sup>3</sup>o maj<sup>1</sup>tek, a tylko nieliczni skrêcili na tym kark. Tam, gdzie jest popyt, jest i poda<sup>3</sup>. Taki jest bieg œwiata. Jeœli siê nie pospieszê, ktoœ inny zagarnie zysk. Chyba lepiej, ðeby weneckie przysmaki trafia<sup>3</sup>y do greckich ust, ni<sup>3</sup> do ich w<sup>3</sup>asnych przepastnych brzuchów. I nie jest to te<sup>3</sup> moja wina, gdy t<sup>3</sup>uœci i grubi m<sup>3</sup>odzi m<sup>1</sup>czy<sup>3</sup>ni s<sup>1</sup> pe<sup>3</sup>ni zdro<sup>3</sup>nych u<sup>3</sup>dz i w przerwach miêdzy walkami szukaj<sup>1</sup> sobie kobiet albo m<sup>3</sup>odych ch<sup>3</sup>opców dla zaspokojenia.

Podnieca<sup>3</sup> siê coraz bardziej i wo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>:

— Wenecjanie s<sup>1</sup> naszymi przyjació<sup>3</sup>mi! Ofiaruj<sup>1</sup> u<sup>3</sup>ycie i krew za nasze miasto. Có<sup>3</sup> w tym z<sup>3</sup>ego, jeœli uboga dziewczyna sprzeda dziewictwo, ðeby ich zabawiæ, a rodzicom zapewniæ kawa<sup>3</sup>ek chleba. Albo nawet jeœli uczciwa ma<sup>3</sup>u<sup>3</sup>onka na chwilê po<sup>3</sup>u<sup>3</sup>y siê na grzbiecie, by zamieniæ swe skromne walory na s<sup>3</sup>oik konfitury, której s<sup>3</sup>odyczy jej cia<sup>3</sup>o tak d<sup>3</sup>ugo by<sup>3</sup>o pozbawione. Dzieje siê to na chwa<sup>3</sup>ê bo<sup>3</sup>u<sup>3</sup> i na b<sup>3</sup>ogos<sup>3</sup>awie<sup>3</sup>stwo dla ca<sup>3</sup>ego chrzeœcija<sup>3</sup>stwa, jak zwykli mówiaæ Wenecjanie. Panie, nie mieszaj siê do biegu spraw œwiata, na który i tak nie mo<sup>3</sup>esz wp<sup>3</sup>yn<sup>1</sup>æ. Wszyscy jesteœmy tylko biednymi grzesznikami.

I dlaczego nie mia<sup>3</sup>by mieæ s<sup>3</sup>usznocœci? Kim<sup>3</sup>u<sup>3</sup> jestem, bym go s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>? Ka<sup>3</sup>dy sam jest kowalem swego losu zgodnie ze swymi warunkami.

Na pró<sup>3</sup>no czeka<sup>3</sup>em, ðe Łukasz Notras znowu mnie odwiedzi. Dzieœ widzia<sup>3</sup>em go kilka razy z daleka, ale zadowol<sup>1</sup> siê tylko rzuceniem mi z<sup>3</sup>owrogiego spojrzenia i spieszenie mnie min<sup>13</sup>. Od Anny nie mia<sup>3</sup>em jeszcze najmniejszego znaku u<sup>3</sup>ycia.

W gor<sup>1</sup>czkowym odurzeniu, w jakim u<sup>3</sup>yjê, postanowi<sup>3</sup>em przynajmniej zrobiaæ jakic<sup>3</sup> dobry uczynek. Mo<sup>3</sup>e byæ, ðe Joann Grant jest niewolnikiem czasów, które przyjd<sup>1</sup> pod znakiem bestii, ale ja lubiê go jako cz<sup>3</sup>owieka, z jego nieruchomym spojrzeniem i pooranym myœlami czo<sup>3</sup>em. Dlaczego nie mia<sup>3</sup>by staæ siê szczêœliwy na swój sposób, kiedy jeszcze jest czas. Uda<sup>3</sup>em siê wiêc dzieœ do biblioteki i rozmawia<sup>3</sup>em z bezzêbnym, na wpó<sup>3</sup> g<sup>3</sup>uchym bibliotekarzem, który nie troszcz<sup>1</sup>c siê o oblê<sup>3</sup>enie i zgie<sup>3</sup>k wojenny codziennie odziewa siê w swój ceremonialny strój z <sup>3</sup>a<sup>3</sup>ncuchem i innymi insygniami.

Pokaza<sup>3</sup>em mu kierunek tureckich podkopów i udowodni<sup>3</sup>em, że Turcy zd<sup>1</sup>ają<sup>1</sup> do podziemnego lochu biblioteki, by t<sup>1</sup> drog<sup>1</sup> wędrzeæ siê do miasta. Tak by<sup>3</sup> przekonany o w<sup>3</sup>asnej waŹnoœci i znaczeniu, że uwierzy<sup>3</sup> mi œlepo, gdy tylko zrozumia<sup>3</sup>, o co tu chodzi.

— Ha! — wykrzykn<sup>13</sup> przeraŹony — to nie moŹe siê staæ. Mogliby przecieŹ podeptaæ i uszkodziæ ksiêgi, i moŹe nawet podpaliæ bibliotekê pochodniami i tak dalej. By<sup>3</sup>aby to niepowetowana szkoda dla ca<sup>3</sup>ego œwiata.

Doradzi<sup>3</sup>em mu, żeby zwróci<sup>3</sup> siê do Granta i prosi<sup>3</sup> go o podjêcie kroków dla ochrony biblioteki. W biedzie spokornia<sup>3</sup>, sam zaprowadzi<sup>3</sup> Granta do podziemia i pokaza<sup>3</sup> mu kaŹdy zakamarek. Grant kaza<sup>3</sup> ustawiæ w piwnicy kadzie z wod<sup>1</sup> i chêtnie obieca<sup>3</sup> przychodziæ sprawdzaæ je, gdy tylko bêdzie mia<sup>3</sup> chwilê czasu. Otrzyma<sup>3</sup> nawet pozwolenie zapalenia tam lampy, by móc obserwowaæ powierzchnię wody. Bibliotekarz wygrzeba<sup>3</sup> sk<sup>1</sup>dœe zardzewia<sup>3</sup>y miecz i poprzysi<sup>1</sup>g<sup>3</sup> wojowniczo, że Turcy tylko po jego trupie dosiêgn<sup>1</sup> jego pó<sup>3</sup>ek.

Na szczêœcie nie wie, że Wenecjanie od dawna juŹ zaczęli uŹywaæ œwiêtych ksi<sup>1</sup>g w pa<sup>3</sup>acu na rozpa<sup>3</sup>kê i na przybitki.

Ale Grant nie móg<sup>3</sup> d<sup>3</sup>ugo zag<sup>3</sup>êbiaæ siê w swoich studiach. Wkrótce po zapadniêciu ciemnoœci wezwano go do bramy Kaligaryjskiej, gdzie tureccy minerzy tym razem dostali siê, jak na to wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>o, pod sam mur. Grant kaza<sup>3</sup> juŹ przedtem wykopaæ kontrminê, któr<sup>1</sup> obecnie wykorzystano, tak że Turcy znaleŹli siê w pu<sup>3</sup>apce i podusili siê od truj<sup>1</sup>cego siarkowego dymu. Tylko paru ludzi usz<sup>3</sup>o z Źyciem. Grant kaza<sup>3</sup> w odpowiednich miejscach porobiæ otwory i wnet podpory w tureckiej minie obróci<sup>3</sup>y siê w hucz<sup>1</sup>ce morze ognia, aŹ ca<sup>3</sup>y chodnik zapad<sup>3</sup> siê i run<sup>13</sup>. Ale by<sup>3</sup> tak g<sup>3</sup>êboko po<sup>3</sup>oŹony, że nie naruszy<sup>3</sup>o to zupe<sup>3</sup>nie muru. W dali za wzgórzem, w odleg<sup>3</sup>oœci piêciuset kroków, otwór chodnika d<sup>3</sup>ugo jeszcze plu<sup>3</sup> czarnym, dusz<sup>1</sup>cym dymem, zanim Turcy zd<sup>1</sup>yli zatkaæ swój podkop.

*18 maja 1453*

Koniec jest bliski. Nic nie moŹe go juŹ powstrzymaæ. I Źadne z naszych dotychczasowych przeŹyæ nie moŹe mierzyæ siê ze strachem, jaki odczuwalicemy dzisiaj.

Gdy nasta<sup>3</sup> brzask, ujrzelicemy napawaj<sup>1</sup>ce strachem zjawisko przed murem w pobliŹu bramy œw. Romana. W ci<sup>1</sup>gu nocy pod os<sup>3</sup>on<sup>1</sup> ciemnoœci Turkom uda<sup>3</sup>o siê nies<sup>3</sup>ychanie szybko, z pomoc<sup>1</sup> z<sup>3</sup>ych duchów, zbudowaæ ruchom<sup>1</sup>, olbrzymi<sup>1</sup> drewnian<sup>1</sup> wieŹê oblêŹnicz<sup>1</sup> tuŹ na skraju fosy, zaledwie o trzydzieœci metrów od resztek muru zewnêtrznego, na którym przez ca<sup>31</sup> noc pracowali obroñcy. Jak to siê mog<sup>3</sup>o staæ, nikt nie rozumie.

Ta beluarda, któr<sup>1</sup> moŹna przesuwaæ na ogromnych drewnianych wa<sup>3</sup>kach, ma trzy kondygnacje i

wznosi się wyżej niż korona zewnętrznego muru, tak że panuje nad nim. Jej łatwo zapalne drewno chronione jest wszędzie wieloma warstwami skór wielbłądzich i wołowych. Cieciany są podwójne, wypełnione wewnątrz ziemią, i nawet małe armatki nie mogły ich uszkodzić. Strzały cewiszczą ze strzelnic, a z najwyższego piętra zaraz tegoż ranka duża katapulta zaczęła miotać potężne bloki kamienne, by zwałić nasze prowizoryczne oszańcowania. Z obozu tureckiego prowadzi do wieży na pięćset metrów długi, przykryty deskami rów, załoga może więc bez przeszkód przychodzić i odchodzić.

Podczas gdy katapulta wyrzuca kamienie, strzały cewiszczą, a wiele mniejszych balist miota ogień na nasze palisady i szanice, otwierają się nieprzerwanie luki na najniższym piętrze wieży plujuć do fosy ziemią, kamieniami, wiłkami chrustu i belkami. Gdy, przerażeni, zbraliśmy się patrzeć na tę beluardę, która chwiej się pracuje bez pojawienia się choćby jednego człowieka i wygląda jak jedna potężna machina albo żywy potwór, otwarła się z hurgotem wielka luka w środkowym piętrze i wysunęła się z niej ruchomy mostek szturmowy, sięgający w stronę zewnętrznego muru. Na szczęście odstęp był za duży.

Grant także przybył, by zobaczyć tę machinę, której podobnej jeszcze nigdy nie oglądano. Oceniał na oko jej wymiary, zapisał w pamięci i powiedział:

— Mimo że wieża musiała być zbudowana zawczasu i założona na miejscu z poszczególnych części, to samo jej zbudowanie w jedną noc jest cudem technicznej biegłości i organizacji. Sama w sobie wieża ta nie jest żadną nowością. Takich wież oblężniczych używano, odkąd na świecie były w użyciu mury. Tylko jej wielkość czyni ją godną uwagi: przekracza wszelkie wymiary, które podają Grecy i Rzymianie. I gdyby nie było tu fosy, Turcy mogliby podtoczyć ją aż do muru, i użyć jako taranu.

Obejrząwszy beluardę, odwrócił się i odszedł, gdy nie dopatrywał się niczego nowego w samym wynalazku. Ale Giustiniani zgrzytał zębami i trząsł głową. Znadto go dotknął fakt, że można było wznieść wieżę tuż przed jego odcinkiem muru, tak że nikt tego nie zauważył.

— Poczekajmy na następną noc — odgrażał się. — To, co człowiek zbudował, potrafi też zniszczyć.

Ale olbrzymia wieża, która pluje ogniem, kulami, strzałami i kamieniami i dudni od swej własnej ogromnej siły, jest tak przerażająca, iż nikt mu nie wierzy. Cesarz bezradnie ronił żywi widzieć, jak wielu greckich robotników pada rąconych kamiennymi blokami. Dopóki ta wieża panuje nad murem zewnętrznym, nie można go naprawiać.

Po południu dużym działom tureckim udało się rozbić jedną z baszt na wielkim murze, niemal naprzeciwko maszyny oblężniczej, i kawałek muru zwałił się grzebiąc gromadkę ścinników i Greków.

Podczas gdy dowódcy zastanawiali się, co by zarządzić na to największe dotychczas zagrożenie, Giustiniani wybuchł przeciw Notarasowi domagając się, by tamten oddał mu oba większe działka,

które wci<sup>1</sup>ż jeszcze sta<sup>3</sup>y na murze portowym i z ma<sup>3</sup>ym po<sup>1</sup>żytkiem od czasu do czasu ostrzeliwa<sup>3</sup>y tureckie galery po drugiej stronie Z<sup>3</sup>otego Rogu.

— Potrzebuj<sup>3</sup>e prochu i dzia<sup>3</sup>, by móc broni<sup>3</sup>e miasta — mówi<sup>3</sup>. — W porcie ju<sup>1</sup>ż zbyt du<sup>1</sup>żo cennego prochu posz<sup>3</sup>o na marne.

Notaras odpowiedzia<sup>3</sup> zimno:

— Dzia<sup>3</sup>a s<sup>1</sup> moje, a za proch p<sup>3</sup>ac<sup>3</sup>e sam. Zatopi<sup>3</sup>em jedn<sup>1</sup> galer<sup>1</sup>e i uszkodzi<sup>3</sup>em wiele innych. Je<sup>1</sup>eli chcesz, b<sup>3</sup>e<sup>1</sup>d<sup>3</sup>e oszcz<sup>3</sup>edza<sup>3</sup> prochu, ale dzia<sup>3</sup>a s<sup>1</sup> w porcie niezb<sup>3</sup>edne, by trzyma<sup>3</sup>e Turków z dala. Wiesz sam, że mur przy wewn<sup>3</sup>etrznym porcie jest najs<sup>3</sup>abszym punktem miasta.

Giustiniani krzykn<sup>13</sup>:

— I jaki<sup>1</sup>ż u diab<sup>3</sup>a po<sup>1</sup>żytek z weneckich okr<sup>1</sup>etów, je<sup>1</sup>eli nie potrafi<sup>1</sup> utrzyma<sup>3</sup>e Turków w ryzach w samym porcie! Twoje argumenty to wymówki i bzdury, a w gruncie rzeczy chcesz os<sup>3</sup>abia<sup>3</sup>e obron<sup>1</sup>e w najbardziej nara<sup>1</sup>żonym punkcie, który jest tutaj. Nie my<sup>1</sup>el, że ci<sup>3</sup>e nie znam. Twoje serce jest czarne jak broda su<sup>3</sup>tana.

Cearz usi<sup>3</sup>owa<sup>3</sup> po<sup>1</sup>cedniczy<sup>3</sup>e mi<sup>3</sup>ędzy nimi.

— Na Chrystusa, drodzy bracia, nie pogarszajcie jeszcze naszej sytuacji spieraj<sup>1</sup>c si<sup>3</sup>e bez żadnego po<sup>1</sup>żytku. Obaj macie jak najlepsze zamiary. Megaduks Notaras uratowa<sup>3</sup> miasto od zag<sup>3</sup>ady, gdy Turcy usi<sup>3</sup>owali podkopa<sup>3</sup>e si<sup>3</sup>e pod mury. Je<sup>1</sup>eli uważa, że dzia<sup>3</sup>a s<sup>1</sup> niezb<sup>3</sup>edne w porcie, musimy go s<sup>3</sup>ucha<sup>3</sup>e. U<sup>1</sup>eciskajcie si<sup>3</sup>e wi<sup>3</sup>ec, bracia, gdy<sup>1</sup>ż wszyscy walczymy za wspóln<sup>1</sup> spraw<sup>1</sup>e.

Giustiniani odpar<sup>3</sup> szorstko:

— Jestem gotów po bratersku u<sup>1</sup>eciska<sup>3</sup>e samego diab<sup>3</sup>a, je<sup>1</sup>eli tylko da mi dzia<sup>3</sup>a i proch. A megaduks Notaras nie daje mi niczego.

Tak<sup>1</sup>ż e Łukasz Notaras nie przejawia<sup>3</sup> żadnej ochoty, by u<sup>1</sup>eciska<sup>3</sup>e Giustinianiego, lecz oddali<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e ura<sup>1</sup>żony i pozostawi<sup>3</sup> cesarza i Giustinianiego, by sami kontynuowali narad<sup>1</sup>e.

Ale kiedy u<sup>1</sup>ewiadomi<sup>3</sup>em sobie, że koniec jest teraz bliski, ugi<sup>3</sup>e<sup>3</sup>a si<sup>3</sup>e moja дума. Pobieg<sup>3</sup>em za Notarasem, zatrzyma<sup>3</sup>em go i powiedzia<sup>3</sup>em:

— Chcia<sup>3</sup>o<sup>3</sup>e rozmawia<sup>3</sup>e ze mn<sup>1</sup> na osobno<sup>1</sup>ści. Czy<sup>1</sup>żby<sup>3</sup>e ju<sup>1</sup>ż o tym zapomnia<sup>3</sup>?

Ku memu zdziwieniu u<sup>1</sup>emiechn<sup>13</sup> si<sup>3</sup>e życzliwie. Po<sup>3</sup>o<sup>1</sup>ży<sup>3</sup> mi d<sup>3</sup>oń na ramieniu i rzek<sup>3</sup>:

— Unurza<sup>3</sup>o<sup>3</sup>e honor mego rodu w b<sup>3</sup>ocie i zbuntowa<sup>3</sup>o<sup>3</sup>e córk<sup>1</sup>e przeciw ojcu, Johannesie Angelosie. Ale żyjemy w niedobrych czasach i nie mog<sup>1</sup>e sobie pozwoli<sup>3</sup>e na spory. Moja córka jest mi droga. Jej pro<sup>1</sup>oby sprawi<sup>3</sup>y, że zmi<sup>3</sup>ek<sup>3</sup>em. Od ciebie tylko zale<sup>1</sup>ży, czy ci wybacze<sup>3</sup> twoje <sup>3</sup>acińskie zachowanie w tej sprawie.

Nie wierz<sup>1</sup>c w<sup>3</sup>asnym uszom zapyta<sup>3</sup>em:

— Rzeczywiście pozwolisz mi spotkać się z twoją córką Anną, moją żoną?

Spochmurniała.

— Nie nazywaj jej jeszcze swoją żoną. Ale możesz się z nią spotkać i porozmawiać. Tak, najlepiej, żeby ona sama przedłożyła ci moje warunki. Jest córką swego ojca i ufam jej rozsądkowi, choć zdążyła na czas jakiegoś zaćlepienia jej serce.

— Niech cię Bóg błogosławi, Łukaszu Notarasie! — wykrzyknęłam z całego serca. — Pomyliłam się co do ciebie i co do twoich celów. Jesteś mimo wszystko prawdziwym Grekiem.

Uśmiechnęłam się z zakłopotaniem i powiedziałam:

— Doprawdy. Jestem prawdziwym Grekiem. I mam nadzieję, że i ty się nim okażesz.

— Kiedy i gdzie mogę się z nią spotkać? — zapytałam czujnie, że zapiera mi dech w piersi na samą myśl o tym.

— Weź mego konia, jeżeli chcesz, i jedź do mego domu natychmiast — powiedziałam życzliwie i rozcemiałam się głośno. — Myślenie, że moja córka czeka na ciebie niecierpliwie od kilku dni. Ale szeptem, że trochę czekania zrobi dobrze wam obojgu i nieco was utemperuje.

Powinienem być zrozumiałym, że jego życzliwość była zbyt wielka. Ale zapomniawszy o armatach i Turkach, o Blachernach i o moich zadaniach wskoczyłam na jego karego bojowego rumaka i pędziłam w cwał przez miasto ku morzu Marmara. Siedząc w siodle krzychałam głośno z radości. Dzień majowy mienił się złotem i błękitem nieba wokół mnie, choć mur i port leżały spowite w czarne chmury dymu prochowego.

Dotarłam do szlachetnego w swej prostocie kamiennego domu, sam nie wiem kiedy przywiłałam konia. Szybko — jak młodzieniec na pierwsze miłosne spotkanie — pobiegłam, by uderzyć w kołatkę u drzwi. Dopiero wtedy pomyślałam o swoim wyglądzie, usiłowaliśmy zetrzeć pył i sadzę z twarzy, splunęłam w dłoń i wytarłam pancerz do połysku.

Otworzył mi srogą w niebiesko-białym stroju. Ale nie poświęciłam mu ani jednego spojrzenia. Przez sień szła ku mnie spiesząca Anna Notaras, smukła i piękna, ze wzrokiem promieniejącym z radości. Tak była młoda i piękna w swym własnym otoczeniu, że nie ważyłam się wziąć jej w ramiona, tylko patrzyłam na nią z zapartym tchem. Szyję miała nagą. Usminkowała wargi i brwi. Cudowny hiacyntowy zapach otaczał ją jak wtedy, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz.

— Nareszcie — szepnęła żarliwie. Ujęła moją rękę w dłoń i pocałowała mnie w usta. Policzki jej płonęły.

Nikt jej nie pilnował. Nikt nie zamknął jej w kobiecej części domu. Nie rozumiałem tego.

Wzięła mnie za rękę. To wystarczyło. Trzymając się za ręce poszliśmy na górę do dużej sali na górnym piętrze. Przez wąskie okienka błyszcząca srebrne fale morza Marmara.

— Koniec jest blisko, Anno — powiedzia<sup>3</sup>em. — Nie wiesz, co dzieje siê teraz na murze. Dziêkujê Bogu za <sup>3</sup>askê, ¿e jeszcze raz mogê ciê spotkaæ i spojrzeæ ci w oczy.

— Tylko spojrzeæ mi w oczy? — ucemiechnê<sup>3</sup>a siê. — To wszystko, czego chcesz? Choæ jestem twoj<sup>1</sup> ¿on<sup>1</sup>?

Nie, nic z tego nie rozumia<sup>3</sup>em. Wydawa<sup>3</sup>o mi siê to snem. Mo¿e by<sup>3</sup>em ju¿ martwy? Mo¿e kula armatnia zmia¿dzi<sup>3</sup>a mnie tak szybko, ¿e dusza moja wci<sup>1</sup>¿ jeszcze trwa<sup>3</sup>a na ziemi zwi<sup>1</sup>zana ziemskimi pragnieniami.

— Pij — szepnê<sup>3</sup>a moja ¿ona, Anna Notaras, i nala<sup>3</sup>a mi do pucharu mieni<sup>1</sup>cego siê br<sup>1</sup>zowo wina. Spozreg<sup>3</sup>em, ¿e na sposób turecki domiesza<sup>3</sup>a do wina ambry. Dlaczego chcia<sup>3</sup>a mnie podnieciaæ? Pragn<sup>13</sup>em jej ju¿ i tak dostatecznie.

Jej wargi by<sup>3</sup>y dla mnie rozkoszniejszym pucharem. Najrozkoszniejszym i najpiêkniej<sup>3</sup>szym pucharem na ziemi by<sup>3</sup>o dla mnie jej cia<sup>3</sup>o. Ale kiedy chcia<sup>3</sup>em jej dotkn<sup>1</sup>æ, powstrzyma<sup>3</sup>a mnie d<sup>3</sup>oni<sup>1</sup>. renice jej rozszerzy<sup>3</sup>y siê i pociemnia<sup>3</sup>y. Rzek<sup>3</sup>a:

— Nie. Jeszcze nie. Usi<sup>1</sup>dÿ, mój ukochany. Musimy wpierw porozmawiaæ.

— Nie mów nic — prosi<sup>3</sup>em zawiedziony. — Nie mów nic, najdro¿sza. Obraca siê to tylko w k<sup>3</sup>ótniê i ostre s<sup>3</sup>owa, tak ¿e ranimy siê nawzajem. To nie przez s<sup>3</sup>owa rozumiemy siê najlepiej, lecz w ca<sup>3</sup>kiem inny sposób.

Patrz<sup>1</sup>c w pod<sup>3</sup>ogê powiedzia<sup>3</sup>a z wyrzutem:

— Wiêc tylko do <sup>3</sup>o¿a chcesz iææ. Nic innego. Czy¿ jestem dla ciebie jedynie cia<sup>3</sup>em?

— Sama tak chcia<sup>3</sup>acæ — odpar<sup>3</sup>em z cierniem w krtani.

Spojrze<sup>3</sup>a na mnie i zamruga<sup>3</sup>a oczyma, a¿ nabra<sup>3</sup>y <sup>3</sup>zawego po<sup>3</sup>ysku.

— Zdob<sup>1</sup>dÿ siê wreszcie na rozs<sup>1</sup>dek — rzek<sup>3</sup>a. — Spotka<sup>3</sup>ecæ mego ojca. Gotów jest przebaczyæ mnie i tobie, jeœli tylko zechcesz. Po raz pierwszy rozmawia<sup>3</sup> ze mn<sup>1</sup> jak z doros<sup>3</sup>ym cz<sup>3</sup>owiekiem, wyt<sup>3</sup>umaczy<sup>3</sup> mi, co myœli, czego siê spodziewa, do czego d<sup>1</sup>¿y. Pierwszy raz zrozumia<sup>3</sup>am go w<sup>3</sup>acæciwie. Ty tak¿e musisz go zrozumieæ. Ma on pewien plan.

Spochnurnia<sup>3</sup>em i ostyg<sup>3</sup>em, ale Anna mówi<sup>3</sup>a dalej ¿arliwie pieszcz<sup>1</sup>c moj<sup>1</sup> d<sup>3</sup>oñ w swoich d<sup>3</sup>oniach.

— Jest moim ojcem. Mój ojciec nie mo¿e robiæ nic nies<sup>3</sup>usznego. Jest najznamienitszym mê¿em po cesarzu. Skoro cesarz zdradzi<sup>3</sup> swój lud i wiarê i sprzeda<sup>3</sup> miasto <sup>3</sup>acinnikom, mój ojciec ponosi odpowiedzialnoææ za los tego ludu. To jego obowi<sup>1</sup>zek i nie mo¿e siê od niego uchylaæ,



choæ jest on ciêłki i upokarzaj<sup>1</sup>cy. Rozumiesz to chyba dobrze.

— Mów dalej — powiedzia<sup>3</sup>em gorzko — zdaje mi siê, że już to przedtem s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>em.

Anna zaperzy<sup>3</sup>a siê:

— Ojciec nie jest zdrajc<sup>1</sup>. Do czegoœ takiego nigdy by siê nie zniży<sup>3</sup>. Jest politykiem, który musi ratowaæ, co siê tylko da, z ruin naszego miasta.

Œledzi<sup>3</sup>a mnie ciekawie spod rzês. Œez żadnych nie by<sup>3</sup>o już widaæ w jej oczach, choæ żywo nimi mruga<sup>3</sup>a. Przeciwnie, wydawa<sup>3</sup>o siê, jakby w g<sup>3</sup>êbi duszy schlebia<sup>3</sup>o to jej kobiecej próżności, gdy ci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a dalej:

— Po upadku miasta mog<sup>3</sup>abym zostaæ ma<sup>3</sup>łonk<sup>1</sup> su<sup>3</sup>tana Mehmeda. Przez to su<sup>3</sup>tan zawar<sup>3</sup>by przymierze z ludem greckim. Mój ojciec bardzo to sobie wzi<sup>13</sup> do serca, kiedy odkry<sup>3</sup>, że przez kaprys pokrzyżowa<sup>3</sup>am te jego zamiary. Ale nie mog<sup>3</sup>am siê przecież tego domyœliæ. Nigdy nie wspomnia<sup>3</sup> o tym ani s<sup>3</sup>owem.

— Doprawdy dużo straci<sup>3</sup>acæ — wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup>em szyderczo. — Najpierw mia<sup>3</sup>acæ zostaæ bazyliiss<sup>1</sup>. Potem jedn<sup>1</sup> z dziesi<sup>1</sup>tków żon przysz<sup>3</sup>ego w<sup>3</sup>adcy œwiata. Mia<sup>3</sup>acæ pecha. Rozumiem, że ża<sup>3</sup>ujesz, ale nie bierz sobie tego zbyt do serca. Nie mam tak wiele życia przed sob<sup>1</sup>. A potem bêdziesz znowu wolna.

— Jak możesz mówiaæ do mnie takim tonem — odpar<sup>3</sup>a gwa<sup>3</sup>townie. — Wiesz, że ciê kocham. I mylisz siê, jeżeli mówisz o œmierci. Zarówno ty, jak i ja mamy jeszcze wiele lat przed sob<sup>1</sup>. Zobaczysz! Jeżeli tylko pójdiesz za rad<sup>1</sup> ojca.

— Wiêc powiedz mi, jakie s<sup>1</sup> te rady, których sam nie oœmieli<sup>3</sup> siê mi udzieliæ — rzek<sup>3</sup>em gorzko. — Ale spiesz siê. Muszê wracaæ na mury.

Chwyci<sup>3</sup>a mnie obur<sup>1</sup>cz, jak gdyby chcia<sup>3</sup>a mnie si<sup>31</sup> zatrzymaæ.

— Nie wrócisz tam! — wykrzyknê<sup>3</sup>a. — Jeszcze dzie w nocy pójdiesz do obozu su<sup>3</sup>tana. Nie musisz mu dawaæ żadnych informacji o obronie miasta, jeżeli ubliża to twojej czci. Masz tylko przekazaæ tajemne pos<sup>3</sup>anie od mego ojca. Su<sup>3</sup>tan zna ciê i wierzy ci. Innym Grekom móg<sup>3</sup>by nie ufaæ.

— Jakie jest to pos<sup>3</sup>anie? — zapyta<sup>3</sup>em.

— Ojciec nie może go napisacæ — wyjaœni<sup>3</sup>a Anna żywo. — Choæ ufa tobie i su<sup>3</sup>tanowi, to

jednak pisemne pos³anie by³oby zbyt niebezpieczne. S¹ ludzie nawet w najbli¿szym otoczeniu su³tana, którzy mu bru¿d¹ i podburzaj¹ Greków do oporu. Wiesz o tym mo¿e. Masz wiêc powiedzieæ su³tanowi, ¿e istnieje w mieœcie silna partia pokojowa, która nie uznaje cesarza i jest gotowa do wspó³pracy z Turkami na warunkach, jakich ¿yczy sobie su³tan. Powiedz mu: Jest nas trzydziestu wysoko postawionych i wp³ywowych mê¿ów — ojciec powie ci, którzy to — co rozumiej¹, ¿e przysz³oœæ ludu greckiego w Konstantynopolu zale¿y od porozumienia i przyjaŹni z su³tanem. Nasz honor nie pozwala nam bezpoœrednio interweniowaæ w walkach na korzyœæ su³tana, dopóki miasto mo¿e siê broniæ. Ale potajemnie dzia³amy dla niego i kiedy miasto padnie, istnieje bêdzie ju¿ gotowy aparat urzêdniczy, cieszc¹cy siê zaufaniem ludu. Nas trzydziestu oddaje siê wiêc pod opiekê su³tana i pokornie prosi, by nasze osoby, rodziny i mienie zosta³y oszczêdzone, gdy su³tan weŹmie miasto.

Spojrza³a na mnie.

— Czy jest w tym coœ z³ego? — zapyta³a. — Czy nie jest to honorowa i obiecuj¹ca politycznie propozycja? Miêdzy Turkami i ³acinnikami tkwimy przecie¿ jak miêdzy m³otem a kowad³em. Tylko jeœli usuniemy cesarza i z³o¿ymy broŃ mo¿liwie najbardziej zjednoczeni, mo¿emy uratowaæ przysz³oœæ miasta. Nie zdajemy siê przecie¿ na jego ³askê i nie³askê. Przeciwnie, polityczny rozs¹dek powinien mu powiedzieæ, ¿e to rozwi¹zanie jest najpo¿yteczniejsze dla niego samego. Nie jesteœ ³acinnikiem. Dlaczego mia³byœ siê biaæ o sprawê ³acinników?

Kiedy milcza³em drêczony rozpacz¹, s¹dzi³a, ¿e siê zastanawiam i ci¹gnê³a dalej:

— Upadek miasta jest kwesti¹ zaledwie kilku dni, jak mówi ojciec. Dlatego musisz siê spieszyæ. Gdy su³tan pokona opór ³acinników, wkroczysz ze zwyciêzcami i zabierzesz mnie do swego domu jako ¿onê. Bêdziesz spokrewniony z rodem Notarasów. Rozumiesz chyba, co to znaczy.

Wskaza³a na marmurowe œciany, dywany, drogocenne meble, które nas otacza³y, i doda³a coraz bardziej podniecona:

— Czy wszystko to nie jest lepsze ni¿ twój nêdzny drewniany domek, dok¹d mnie zaprowadzi³eœ? Kto wie, mo¿e pewnego dnia zamieszkamy w Blachernach. Jeœli udzielisz poparcia memu ojcu, bêdziesz nale¿eæ do najznakomitszych ludzi w Konstantynopolu.

Umilk³a z p³on¹cymi policzkami. Musia³em coœ powiedzieæ.

— Anno — rzek³em. — Jesteœ córk¹ swego ojca. Tak te¿ byæ powinno. Ale ja nie bêdê za³atwia³ jego spraw u su³tana. Niech wybierze kogoœ innego, kto ma wiêcej politycznego rozs¹dku.

Twarz jej stê¿a³a.

— Boisz siê? — zapyta³a ch³odno.

Chwyci³em he³m i rzuci³em go z trzaskiem na pod³ogê.

— Dla dobrej sprawy poszed³bym w tej chwili do su³tana, by daæ wbiæ siê na pal! — zawo³a³em. — Nie o to chodzi. Wierz mi, Anno, ¿¹dza w³adzy zaolepi³a twego ojca. Kopie sobie grób zwracaj¹c siê do su³tana. Nie zna Mehmeda. Ja go znam.

Gdybyœmy ¿yli w dawnych czasach — ci¹gn¹³em — wtedy mo¿na by siê dopatryæ jakiegoo rosz¹dku w jego planach. Ale wielkie dzia³o su³tana zwiastuje now¹ epokê. Epokê zag³ady. Epokê bestii. Czas, kiedy nikt nie mo¿e ju¿ ufaæ swemu najbli¿szemu, i cz³owiek jest bezbronnym narzêdziem w rêku w³adzy. Gdyby su³tan nawet poprzysi¹g³ na Proroka i wszystkie anio³y, z rêk¹ na Koranie, to i tak œmia³by siê ur¹gliwie w duchu, gdy¿ nie wierzy ani w Proroka, ani w anio³y. Twego ojca usun¹³by z drogi, gdy tylko przesta³by go potrzebowaæ. Ale na nic siê nie przyda ostrzegaa Notarasa. I tak mi nie uwierzy.

A nawet gdyby mo¿na by³o ufaæ su³tanowi — mówi³em — to nigdy nie wróci³bym do niego, choæbyœ mnie prosi³a o to na kolanach. To jest moje miasto. Kiedy ono walczy, ja walczê wraz z nim. Kiedy jego mury zawal¹ siê, zginê wraz z nimi. To moje ostatnie s³owo, Anno. Nie drêcz mnie d³u¿ej. Nie drêcz samej siebie.

Anna wpatrywa³a siê we mnie, blada z rozgoryczenia i zawodu.

— A wiêc mnie nie kochasz — powiedzia³a jeszcze raz.

— Nie, nie kocham ciê — odpar³em. — To by³a pomy³ka i z³udzenie. S¹dzi³em, ¿e jesteœ inna. Ale wybacz mi to. Niebawem uwolnisz siê ode mnie. Jeœli piêknie poprosisz, su³tan mo¿e siê wzruszy i weŹmie ciê do haremu. IdŹ za radami swego ojca. On za³atwi wszystko jak najlepiej.

Wsta³em i podnios³em he³m z pod³ogi. Fale morza Marmara lœni³y jak roztopione srebro. G³adko wyszlifowany marmur na œcianach odbija³ obraz mojej postaci. Tak nieodwo³alnie straci³em j¹, ¿e by³em w tej chwili zimny jak lód.

— Anno... — rzek³em, ale g³os mi siê za³ama³. — Jeœli jeszcze zechcesz spotkaæ siê ze mn¹, znajdziesz mnie na murach.

Nic nie odpowiedzia³a. Zostawi³em j¹ i odszed³em. Ale na schodach dogoni³a mnie i wykrzyknê³a, czerwona z upokorzenia:

— Źegnaj zatem, przeklêty ³acinniku! Nigdy siê ju¿ nie spotkamy. Bêdê siê dzieñ i noc modliæ do Boga, ¿ebyœ zgin¹³ i ¿ebym siê ciebie pozby³a. A jeœli zobaczê twego trupa, kopnê ciê w twarz, ¿eby siê od ciebie uwolniæ.

Z tym przekleñstwem w uszach wyszed³em na dwór i z dr¿¹cymi wargami w³o¿y³em na g³owê he³m. Czarny jak sadza rumak Notarasa podniós³ z r¿eniem g³owê. Nie pogardzi³em nim. Wskoczy³em na siod³o i wbi³em piêtê w koñskie boki.

Jest teraz pó³noc. Tej nocy têsksiê do œmierci bardziej, ni¿ kiedykolwiek têsksi³em za czymkolwiek. Giustiniani pozwoli³ mi szukaæ œmierci, gdy¿ znam jêzyk turecki i mogê mu dopomóc w jego dziele. Jezusie Chrystusie, Synu Bo¿y, zmi³uj siê nade mn¹!

Bo kocham. Kocham j<sup>1</sup> nieprzytomnie, a więc bez pociechy. Tęgnaj, Anno Notaras, moja najdroższa.

19 maja 1453

A więc mam wypić puchar zag<sup>3</sup>ady i śmierci do ostatniej kropli.

Nie dane mi by<sup>3</sup>o polec tej nocy.

By wyrzucić wrażenie na Giustinianim, powiedzia<sup>3</sup>em mu raz, że jestem twardy. Mia<sup>3</sup>em na myśli tylko to, że duch może panować nad cia<sup>3</sup>em i jego doznaniem. Ale ja nie jestem twardy.

I cia<sup>3</sup>o moje nie jest już pos<sup>3</sup>uszone memu duchowi.

Zawodowi wojacy mówi<sup>1</sup> z zawzięci<sup>1</sup>:

— Masz szczęście, Jeanie Ange!

To nie jest szczęście. Rozumiem tylko bardziej gorzko niż poprzednio że nikt nie umiera, dopóki nie wybije jego godzina.

Bez względu na to, jak przypadkowo, jak nonsensownie śmierć szaleje na murach mego miasta w te dni i te noce, każda kula biegnie swoim wytyczonym przez Boga torem.

Dzień w nocy spaliliśmy więc tureck<sup>1</sup> beluardê. Zdaniem wielu jest to jeszcze większy cud niż zbudowanie jej w jedn<sup>1</sup> noc.

W najciemniejszych godzinach leża<sup>3</sup>em u stóp więz<sup>3</sup>y odziany w strój turecki. Ktoś nadepn<sup>13</sup> na mnie w ciemności, ale uda<sup>3</sup>em trupa i ani drgn<sup>13</sup>em.

Na dwie godziny przed brzaskiem wtargnęliśmy do więz<sup>3</sup>y, wy<sup>3</sup>amaliśmy luki i uda<sup>3</sup>o nam się wrzucić do wnętrza kilka glinianych dzbanów, wype<sup>3</sup>nionych prochem. Inaczej nigdy nie zdo<sup>3</sup>alibyśmy pod<sup>3</sup>ożyć tam ognia. W<sup>3</sup>osy i brwi mam opalone. Ręce pe<sup>3</sup>ne oparzeń i pèche<sup>3</sup>ry. Giustiniani nie pozna<sup>3</sup> mojej twarzy, gdy wróci<sup>3</sup>em czo<sup>3</sup>gaj<sup>1</sup>c się jak robak po ziemi. Z tych, którzy byli w więz<sup>3</sup>y, ja jeden wróci<sup>3</sup>em.

Kilku z tureckiej za<sup>3</sup>ogi uciek<sup>3</sup>o. Rano su<sup>3</sup>tan kaza<sup>3</sup> ich stracić i wbić ich g<sup>3</sup>owy na pale.

Huk dzia<sup>3</sup> szumi mi w uszach i pod<sup>3</sup>oga trzęsie się pod stopami.

Ale bardziej niż twarz i ręce piecze mnie gorycz w sercu.

Pierwszy raz po trzęsieniu ziemi na Węgrzech. Potem pod Warn<sup>1</sup>. Wtedy powiedzia<sup>3</sup>: “Spotkamy się znowu pod bram<sup>1</sup> ǫw. Romana”. Dzie<sup>3</sup> w nocy czeka<sup>3</sup>em na niego. Ale nie przyszed<sup>3</sup>.

*20 maja 1453*

W ci<sup>1</sup>gu nocy Turcy podsunęli przed mur wiele nowych wież bojowych. Ale żadna z nich nie jest równie wielka i groźna jak ta, którą spaliliśmy.

Co dzień ich flota podp<sup>3</sup>ywa o wios<sup>3</sup>ach do zapory, by wi<sup>1</sup>zając weneckie okręty i ich za<sup>3</sup>ogi.

Ale wszystkiego tego dowiaduję się od innych. Jeszcze nie mogę odziać się i udać na mury.

*21 maja 1453*

Przyszed<sup>3</sup> w odwiedzinach Niemiec Grant, by pokazać, że opali<sup>3</sup> sobie brodę i poparzy<sup>3</sup> rękę. Turcy nauczyli się już prowadzić wojnę pod ziemi<sup>1</sup> i bronić podkopów. Ludzie Granta, którzy wykopali kontrminę w pobliżu bramy Kaligaryjskiej, spotkali się dzie<sup>3</sup> z ulew<sup>1</sup> p<sup>3</sup>ynnego ognia. Odsiecz została zatrzymana ǫcian<sup>1</sup> oszczepów i jadowitym dymem.

Sam Grant zmuszony by<sup>3</sup> zejść pod ziemię, by dodać otuchy swoim ludziom. Uda<sup>3</sup>o im się zniszczyć chodnik turecki, ale ponieśli ciężkie straty. Podziemne walki wzbudzają<sup>1</sup> w mieście zabobon<sup>1</sup> trwogę.

Oczy Granta by<sup>3</sup>y opuchnięte i obramowane czerwonymi obwódkami od nocnego czuwania i dymu siarkowego. Opowiada<sup>3</sup>:

— Znalaz<sup>3</sup>em pismo samego Pitagorasa, ale litery tańcz<sup>1</sup> mi przed oczyma jak muchy. Nie mogę już czytać.

Twarz jego wykrzywi<sup>3</sup>a się w bezsilnym gniewie, wygraża<sup>3</sup> pięściami i krzyczy<sup>3</sup>:

— Cóż to za ǫlepa plama, którą nawet najmędrsi greccy matematycy i technicy nosili w swym

spojrzeniu. Mogli byli poruszyć ziemię z orbity, jak to obiecywał Archimedes, ale kiedy zdawało mi się, że znalazłem nową wiedzę, przeczytałem tylko, że duch mieszka w drzewach, ba, w kamieniach. Także Pitagoras. Mógł być budować maszyny, by pokonać nimi siły natury. Ale on uważa je za wartościowe. Ucieka do duszy, do swego wnętrza, do Boga.

Powiedziałem:

— Dlaczego więc nie wierzysz greckim mędrcom, nawet jeżeli nie chcesz wierzysz w dowody Biblii i Ojców Kościoła?

— Tak, sam już nie wiem — wyszeptałem i przetarłem oczy pięściami. — Nie jestem może już w pełni rozumu. Nocne czuwanie, ustawiczne napięcie i pasja poszukiwania wiedzy uczyniły mnie chorym z podniecenia. Moje myśli krzyżują się ze sobą jak ptaki w powietrzu, tak że nie jestem już panem ich lotu. Cóż więc oznacza owa straszliwa droga, która prowadzi w głąb czowieka, i która kończy się w ciemności. Pitagoras umiał zbudować wszechświat z liczb. Ale potem zatrzymał się przed człowiekiem, którego nie można zbudować z liczb. Czyżby więc mrok człowieka był mimo wszystko czymś istotniejszym niż światło natury i wiedzy?

Rzekłem:

— Duch Boży unosi się nad ziemią. Duch Boży niczym ogniste promienie spada na śmiertelnych. Nie możesz chyba w to wątpić.

Wybuchnął przeraźliwym śmiechem, bił się pięściami w skronie i krzyczał:

— Wiekuisty ogień też niszczy ciało ludzkie! Z łuf armatnich przebyskuje rozum ludzki. Wierz w wolność wiedzy i człowieka. W nic innego.

— Stoisz po fałszywej stronie — rzekłem jeszcze raz. — Lepiej sprawdźbyś siebie samemu niż ostatniemu Rzymowi.

— Nie — odrzekł uparcie. — Samemu Europie i wolności ludzkiego rozumu. Nie wadzy.

*22 maja 1453*

Odkryto dwa podkopy w pobliżu bramy Kaligaryjskiej. Jeden zniszczono dopiero po gwałtownej walce. Drugi zapadł się sam, gdy był niezgrabnie podparty. Grant przypuszcza, że większość doświadczonych górników spotkała już śmierć, tak że sam musi używać ludzi nie

wyszkolonych.

Krótko przed północ<sup>1</sup> przelecia<sup>3</sup> po nocnym niebosk<sup>3</sup>onie świec<sup>1</sup>cy dysk, czego nikt nie umia<sup>3</sup> wyt<sup>3</sup>umaczyæ. Cesarz powiedzia<sup>3</sup>:

— Wróby zaczynaj<sup>1</sup> się spełniaæ. Niebawem skończy się tysiącletnie cesarstwo. Utworzone przez pierwszego Konstantyna, zginie z ostatnim Konstantynem. Urodzi<sup>3</sup>em się pod nieszczęśliwą gwiazd<sup>1</sup>.

*23 maja 1453*

Przepadła nasza ostatnia nadzieja. Cesarz ma słuszną rację. Przygotowany postami, czuwaniem i modlitwami czuje wyraźniej niż inni ostatnie opiesza<sup>3</sup>e uderzenia pulsu swego królestwa.

Brygantyna, którą wysłano na poszukiwanie floty weneckiej, wróciła dzieło rano nie wykonawszy zadania. Z pomocą nie pojętego szczęścia, żeglarskiej biegłości i śmiałości udało jej się przedostać z powrotem przez cieśninę Gallipoli obok tureckich okrętów wartowniczych.

Dwunastu ludzi wypłynęło. Dwunastu ludzi wróciło. Szczęściu z nich to Wenecjanie, szczęściu Grecy. Dwadzieścia dni krążyli po Morzu Greckim nie widząc ani śladu chrześcijańskiego okrętu, w każdej chwili narażeni na zagarnięcie przez tureckie okręty patrolowe.

Kiedy spostrzegli, że szukają na próżno, naradzili się między sobą. Niektórzy mówili:

— Spełnimy swój obowiązek. Więcej nie możemy zrobić. Może Konstantynopol jest już zdobyty. Dlaczego mielibyśmy wracać do piekła oblężenia. Upadek miasta jest pewny.

Inni mówili:

— Cesarz nas wysłał. Cesarzowi powinniśmy złożyć raport, choć wyprawa nasza była bezowocna. Ale głosujmy.

Spojrzeli sobie nawzajem w oczy, wybuchnęli śmiechem i głosowali jednogłośnie, że brygantyna ma wrócić do Konstantynopola.

W Blachernach spotka<sup>3</sup>em dwóch z tych m<sup>ê</sup>łczyzn. Ćmieli si<sup>ê</sup> wci<sup>1</sup>ł jeszcze szeroko, opowiadaj<sup>1</sup>c o swojej bezp<sup>3</sup>odnej podr<sup>ó</sup>łzy, podczas gdy Wenecjanie nalewali im wino i klepali po plecach. Ale oczy ich, w których odbija<sup>3</sup>y si<sup>ê</sup> przebyte na morzu niebezpiecze<sup>ñ</sup>stwa, nie k<sup>3</sup>ama<sup>3</sup>y.

— Jak zdobylic<sup>æ</sup>cie si<sup>ê</sup> na odwag<sup>ê</sup>, by wróci<sup>æ</sup> na pewn<sup>1</sup> œmier<sup>æ</sup>? — zapyta<sup>3</sup>em.

Odwrócili ku mnie zdziwione, owiane wiatrami twarze i odrzekli chórem:

— Jeste<sup>æ</sup>my weneckimi łeglarzami.

Mo<sup>ł</sup>e to i wystarczy. Wenecja, królowa m<sup>ó</sup>rz, jest chciwa, okrutna i wyrachowana. Ale wychowa<sup>3</sup>a swoich ło<sup>3</sup>nierzy, by łyli i umierali za jej chwa<sup>3</sup>ê.

Ale szec<sup>æ</sup>ciu z tych dwunastu by<sup>3</sup>o Grekami. Udowodnili, łe tak<sup>ł</sup>e Grek mo<sup>ł</sup>e by<sup>æ</sup> wierny do œmierci, wierny sprawie, która jest ju<sup>ł</sup> beznadziejnie przegrana.

*24 maja 1453*

Po p<sup>3</sup>udniu do muru ko<sup>3</sup>o bramy œw. Romana zbli<sup>ł</sup>y<sup>3</sup> si<sup>ê</sup> wspania<sup>3</sup>y orszak. Turcy wymachiwali flagami, d<sup>ê</sup>li w tr<sup>1</sup>bki i wo<sup>3</sup>ali o wpuszczenie do miasta su<sup>3</sup>ta<sup>ñ</sup>skiego pos<sup>3</sup>a dla odbycia rokowa<sup>ñ</sup> z bazylosem Konstantynem. Równoczenie dzia<sup>3</sup>a ich zaniecha<sup>3</sup>y ognia, a tureccy wojownicy wycofali si<sup>ê</sup> do swego obozu.

Giustiniani podejrzewa<sup>3</sup> podst<sup>ê</sup>p wojenny i nie chcia<sup>3</sup>, łeby turecki wys<sup>3</sup>annik zobaczy<sup>3</sup>, jak bardzo uszkodzony jest mur zewn<sup>ê</sup>trzn<sup>y</sup> i jak s<sup>3</sup>abe s<sup>1</sup> prowizoryczne szańce. Jednak cesarz Konstantyn wszed<sup>3</sup> na mur i rozpozna<sup>3</sup> w p<sup>o</sup>œle swego osobistego przyjaciela, emira Synopy, Ismaila Hamz<sup>ê</sup>. Jego ród mia<sup>3</sup> od wielu pokole<sup>ñ</sup> przyjazne stosunki z cesarzami Konstantynopola. Ale na krótko przed œmierci<sup>1</sup> stary Murad zd<sup>1</sup>ły<sup>3</sup> zawrze<sup>æ</sup> przymierze tak<sup>ł</sup>e z Hamz<sup>1</sup> łeni<sup>1</sup>c Mehmeda z jego córki<sup>1</sup>. W ka<sup>ł</sup>dym razie Konstantyn przywita<sup>3</sup> go łyczliwie i kaza<sup>3</sup> przepuœci<sup>æ</sup> go przez oszańcowania. Przez bram<sup>ê</sup> wypadow<sup>1</sup> wprowadzono Hamz<sup>ê</sup> do miasta.

Gdy tylko wenecki bailon dowiedzia<sup>3</sup> si<sup>ê</sup> o przybyciu wys<sup>3</sup>annika, zwo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> Rad<sup>ê</sup> Dwunastu, kaza<sup>3</sup> œci<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>æ cz<sup>ê</sup>œæ Wenecjan z muru i pomaszerowa<sup>3</sup> na czele dwunastu zakuty<sup>ch</sup> w łelazo ło<sup>3</sup>nierzy do cesarskiej g<sup>3</sup>ównej kwatery. Giustiniani ze swej strony kaza<sup>3</sup> rozdzieli<sup>æ</sup> swoim ludziom ływnoœæ i



resztki wina, chodzi<sup>3</sup> od jednego do drugiego, groź<sup>1</sup>c im piêœci<sup>1</sup>, i nakazywa<sup>3</sup>:

— Ćmiejcie siê, œmiejcie siê, bo inaczej poskrêcam wam karki!

Gdy Ismail Hamza g<sup>3</sup>adz<sup>1</sup>c brodê rozgl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> siê uwaźnie doko<sup>3</sup>a, widzia<sup>3</sup> tylko œmiej<sup>1</sup>cych siê zakutych w Źelazo Źo<sup>3</sup>nierzy, którzy obgryzali kawa<sup>3</sup>ki miêsa i niedbale rzucali resztki na ziemiê. Cesarz Konstantyn poda<sup>3</sup> mu rêkê do uca<sup>3</sup>owania i ubolewa<sup>3</sup>, Źe spotykaj<sup>1</sup> siê w tak nieszczêsnych okolicznoœciach.

Emir z Synopy oznajmi<sup>3</sup> g<sup>3</sup>oœno i wyraŹnie, tak aby i Źo<sup>3</sup>nierze mogli to us<sup>3</sup>yszeæ:

— Niech ten dzieñ bêdzie dniem b<sup>3</sup>ogos<sup>3</sup>awionym, gdyŹ su<sup>3</sup>tan Mehmed przys<sup>3</sup>a<sup>3</sup> mnie, bym ci zaproponowa<sup>3</sup> pokój na honorowych warunkach.

Genueñczycy Giustinianiego wybuchnêli na to jeszcze g<sup>3</sup>oœniejszym œmiechem niź przedtem, choæ wielu z nich d<sup>3</sup>awi<sup>3</sup>y<sup>3</sup>zy z wyczerpania. Giustiniani uj<sup>13</sup> sztylet miêdzy kciuk i palec wskazuj<sup>1</sup>cy i chodzi<sup>3</sup> za nimi, ukradkiem k<sup>3</sup>uj<sup>1</sup>c w udo kaźdego, który nie œmia<sup>3</sup> siê dostatecznie g<sup>3</sup>oœno.

Ismail Hamza prosi<sup>3</sup> o rozmowê z cesarzem na osobnoœci. Bez lêku cesarz Konstantyn wzi<sup>13</sup> go do swojej kwatery i zamkn<sup>13</sup> siê z nim w ma<sup>3</sup>ej izdebce, nie bacz<sup>1</sup>c na przestrogi doradców. Tymczasem wenecki bailon kaza<sup>3</sup> swoim ludziom otoczyæ wieźê, wszed<sup>3</sup> do niej na czele rady dwunastu i prosi<sup>3</sup>, by powiadomiono cesarza, Źe Wenecjanie nie œcierpi<sup>1</sup> Źadnych tajnych rokowañ z Turkami.

Cesarz odpowiedzia<sup>3</sup>, Źe wcale nie zamierza<sup>3</sup> podejmowaæ Źadnych decyzji za plecami sprzymierzeñców, zwo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> swych w<sup>3</sup>asnych doradców i zakomunikowa<sup>3</sup> im potem propozycje pokojowe su<sup>3</sup>tana. Ismail Hamza oœwiadczy<sup>3</sup> powaźnym tonem:

— Dla twego w<sup>3</sup>asnego dobra i dla dobra twego ludu proszê ciê, Źebyœe przyj<sup>13</sup> te pokojowe warunki, najlepsze, jakie byæ mog<sup>1</sup>. Twoje miasto jest w rozpaczliwym po<sup>3</sup>oźeniu. Obroñcy s<sup>1</sup> wyg<sup>3</sup>odzeni i jest ich niewielu. Ludnoœæ doprowadzona jest do rozpacz. To twoja ostatnia szansa. Jeœli nie podporz<sup>1</sup>dkujesz siê teraz, su<sup>3</sup>tan pozabija wszystkich mêŹczyzn, sprzedaje kobiety i dzieci w niewolê i odda miasto na spl<sup>1</sup>drowanie.

Wenecjanie zakrzyknêli:

— Na mi<sup>3</sup>oœæ bosk<sup>1</sup>, nie ufaj zdradliwemu su<sup>3</sup>tanowi! Cóż on ci moźe obiecaæ? Turcy <sup>3</sup>amali juź przedtem s<sup>3</sup>owo. CzyŹbyœmy wiêc lali na próźno krew i czyŹby nasi ludzie nadaremnie z<sup>3</sup>oźyli Źycie na murach, by os<sup>3</sup>aniaæ twój tron? Nie, nie, su<sup>3</sup>tan waha siê i jest niepewny zwyciêstwa. Inaczej nie stara<sup>3</sup>by siê opanowaæ miasta podstêpnymi propozycjami pokojowymi.

Ismail Hamza, bardzo dotknięty, powiedział<sup>3</sup>:

— Gdybyście mieli odrobinę rozs<sup>1</sup>dku w g<sup>3</sup>owie, sami byście zrozumieli, że sytuacja Konstantynopola jest beznadziejna. Jedyne z mi<sup>3</sup>ości bli<sup>Ź</sup>niego, żeby unikn<sup>1</sup>æ okropności ostatecznego szturmu, su<sup>3</sup>tan ofiarowuje cesarzowi możno<sup>æ</sup> swobodnego odejścia i zabrania ze sob<sup>1</sup> skarbca dworu i osobistej cewity. Mieszkańcy, którzy chc<sup>1</sup> odejść z cesarzem, mog<sup>1</sup> też zabrać swój<sup>1</sup> w<sup>3</sup>asno<sup>æ</sup>. Tym, którzy zostaną<sup>1</sup>, su<sup>3</sup>tan gwarantuje życie i mienie. Jako sprzymierzeniec su<sup>3</sup>tana, cesarz może zatrzymać More<sup>ê</sup>, a su<sup>3</sup>tan wesprze go w razie jakiegokolwiek nap<sup>æ</sup>ci.

Wenecjanie zaczęli na to krzyżeć i ha<sup>3</sup>asować i szcz<sup>ê</sup>kać tarczami, by zag<sup>3</sup>uszyć jego s<sup>3</sup>owa. A Byzyleus podniós<sup>3</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>ê</sup> i rzek<sup>3</sup>:

— Twoje warunki s<sup>1</sup> upokarzaj<sup>1</sup>ce i niesprawiedliwe. Przyj<sup>ê</sup>cie ich nie by<sup>3</sup>oby do pogodzenia z moj<sup>1</sup> godności<sup>1</sup> byzyleusa, nawet gdybym móg<sup>3</sup> to uczynić. Ale i tak nie mog<sup>ê</sup>, gdyż poddanie miasta nie leży w mojej mocy ani w mocy nikogo z tych, którzy tu s<sup>1</sup> obecni. Jesteśmy gotowi umrzeć i wyrzekamy się życia bez skargi.

Smutno i pogardliwie spogl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> na krzycz<sup>1</sup>cych Wenecjan, którzy tak kwapili się do walki “aż do ostatniego Greka”. Maj<sup>1</sup> przecież swoje duże okr<sup>ê</sup>ty w porcie i dzięki temu możliwo<sup>æ</sup> ucieczki, gdy mury padn<sup>1</sup>.

Prawdopodobnie su<sup>3</sup>tan wiedzia<sup>3</sup> doskonale, że Konstantyn nie pójdzie na takie warunki. Ale ze wzgl<sup>ê</sup>du na parti<sup>ê</sup> pokojow<sup>1</sup> i niezadowolone z niepowodzeń wojsko zmuszony jest szukać także i tego wybiegu, by wykazać swoim poddanym, jak nieprzejednani s<sup>1</sup> Grecy. Jest on tylko cz<sup>3</sup>owikiem i w g<sup>3</sup>êbi duszy jest s<sup>3</sup>aby.

Niepowno<sup>æ</sup> su<sup>3</sup>tana Mehmeda jest równie trudna do wytrzymania, jak dr<sup>ê</sup>cz<sup>1</sup>cy niepokój i przygn<sup>ê</sup>bienie, które ogarn<sup>ê</sup>3y miasto w tych dniach. Postawi<sup>3</sup> on wszystko na jedn<sup>1</sup> kart<sup>ê</sup> i nie ma innego wyboru, jak zwyciężyć albo upa<sup>æ</sup>. Walczy przecież nie tylko przeciw miastu, ale także przeciw ludziom z w<sup>3</sup>asnego obozu.

Dlatego też su<sup>3</sup>tan Mehmed jest w tych dniach najsamotniejszy z samotnych. Jeszcze samotniejszy niż cesarz Konstantyn, który dokona<sup>3</sup> już swego wyboru. Dlatego też <sup>3</sup>cz<sup>ê</sup> się w tych dniach z su<sup>3</sup>tanem Mehmedem w tajnym braterstwie, tak że brakuje mi go i jeszcze raz chcia<sup>3</sup>bym zobaczyć jego nieprzyst<sup>ê</sup>pn<sup>1</sup> twarz, upart<sup>1</sup> brod<sup>ê</sup> i z<sup>3</sup>oto mieni<sup>1</sup>ce się spojrzenie drapieżnika. Chcia<sup>3</sup>bym z nim porozmawiać, by raz jeszcze upewnić się, że nie chc<sup>ê</sup> żyć w czasach, kiedy on i jemu podobni w<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup> cewiatem.

On jest przysz<sup>3</sup>ości<sup>1</sup>. On zwycięży. Ale przysz<sup>3</sup>o<sup>æ</sup> z nim nie jest warta, by jej dożyć.

— Ćmiejcie siê, Ćmiejcie — nakazywa<sup>3</sup> Giustiniani swoim Genueńczykom. I kiedy emir z Synopy oddali<sup>3</sup> siê, Ćmieli siê niepohamowanie, pokazuj<sup>1</sup>c wychud<sup>3</sup>e, poczernia<sup>3</sup>e od prochu twarze, pogiête pancerze, zakrwawione opatrunki na rêkach i nogach. Ćmieli siê z ca<sup>3</sup>ego serca i nienawidzili Giustinianiego, który zmusza<sup>3</sup> ich do nadludzkich wysi<sup>3</sup>ków. Nienawidz<sup>1</sup> go, ale równocześnie go kochaj<sup>1</sup>. Gdzieœ na dnie ich myœli majaczy marzenie o winnicy i bia<sup>3</sup>ym domku na zboczach Lemnos. O greckich niewolnikach na Źyznych polach. O prawie do pierwszej nocy z <sup>3</sup>adnymi wiejskimi dziewczêdami i o ksi<sup>1</sup>Źêcych ucztach dla ksi<sup>1</sup>Źêcych wojowników.

Ze <sup>3</sup>zami zmêczenia w oczach zanosili siê od niepohamowanej weso<sup>3</sup>oœci i chwiej<sup>1</sup>c siê na nogach wracali na mur, podczas gdy turecki orszak odjeŹdŹa<sup>3</sup> z powiewaj<sup>1</sup>cymi proporcami i w ryku tr<sup>1</sup>b. Gdy setki dzia<sup>3</sup> znowu zagrzmia<sup>3</sup>y w jednym nieprzerwanym huku, sam Giustiniani schyli<sup>3</sup> siê i podj<sup>13</sup> z ziemi kocœæ, na której zosta<sup>3</sup>o jeszcze trochê miêsa, otar<sup>3</sup> j<sup>1</sup> z piasku i ogryz<sup>3</sup> do czysta.

— Drogo mnie kosztuje ksi<sup>1</sup>Źêca korona — powiedzia<sup>3</sup>. — Zabra<sup>3</sup>a mi juŹ sporo mego w<sup>3</sup>asnego cia<sup>3</sup>a krwi i jeszcze nie widaœ zwyciêstwa.

Tak, zwyciêstwa nie widzê — powtórzy<sup>3</sup> i rzuci<sup>3</sup> wzrokiem na wielki wy<sup>3</sup>om, teraz szeroki na ponad tysi<sup>1</sup>c stóp, gdzie nie wznosi siê juŹ Źadna wieŹa i gdzie zamiast muru zewnêtrznego jest tylko rzadkie oszaŹcowanie. Wa<sup>3</sup> z ziemi, drewna, wi<sup>1</sup>zek chrustu i stosów kamieni. I z koszy wype<sup>3</sup>nionych Źwirem dla ochrony przed <sup>3</sup>uczniakami.

Dzicie mamy czwartek. Jutro œwiêty dzieŹ islamu. Nastêpnego czwartku moŹe juŹ nie doŹyjê. Mehmed dope<sup>3</sup>ni<sup>3</sup> przepisów Koranu i zaofiarowa<sup>3</sup> pokój, zanim pójdzie do szturmowania ostatni raz. Dojrza<sup>3</sup> do wielkiego natarcia islamu: to wojsko jest najpotêŹniejsze, ten ksi<sup>1</sup>Źê najwiêkszy spoœród ksi<sup>1</sup>Źt, który zdobêdzie Konstantynopol.

Jestœemy bram<sup>1</sup> na Zachód. Ostatnim przedmurzem Zachodu. Gdy mury run<sup>1</sup>, zast<sup>1</sup>pi<sup>1</sup> je nasze Źywe cia<sup>3</sup>a.

*25 maja 1453*

Bazyleus Konstantyn zwo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> wczesnym rankiem senat, swych doradców i przedstawicieli Koœcio<sup>3</sup>a. Powiadomi<sup>3</sup> ich, Źe patriarcha Gregorios Mammas zrzek<sup>3</sup> siê swej godnoœci. Kardyna<sup>3</sup> Izydor teŹ nie stawia<sup>3</sup> siê na spotkanie, przebywa w wieŹy, której obrony siê podj<sup>13</sup>.

Jest to ostatnia próba pogodzenia zwolenników unii z jej przeciwnikami. Ale i to stanê<sup>3</sup>o w pó<sup>3</sup>drogi. Uwolniliœmy siê od starucha, którego Grecy nienawidz<sup>1</sup>, a którym <sup>3</sup>acinnicy pogardzaj<sup>1</sup>, lecz kocœció<sup>3</sup> jest teraz bez patriarchy. Niewidzialny, z mnisiej celi w Pantokratorze, nieprzejednany duch Gennadosa, g<sup>3</sup>osz<sup>1</sup>cego nieuniknion<sup>1</sup> zag<sup>3</sup>adê, rz<sup>1</sup>dzi teraz kocœcio<sup>3</sup>ami i klasztorami.

Su<sup>3</sup>tan wyda<sup>3</sup> rozkaz o powszechnym poœcie w obozie i nakaza<sup>3</sup> wiernym dokonywaæ przepisanych ablucji i mod<sup>3</sup>ów. RozdraŹnieni g<sup>3</sup>odem i pragnieniem Turcy atakowali przez ca<sup>3</sup>y dzieñ, wyj<sup>1</sup>c jak zgraja psów za kaŹdym razem, gdy widzieli, jak chrzeœcijanin pada na murze. Czasem wo<sup>3</sup>aj<sup>1</sup> chórem: "Nie ma boga prócz Allacha, a Mahomet prorok jego!" To ich Źa<sup>3</sup>osne i zwyciêskie zarazem wo<sup>3</sup>anie dzia<sup>3</sup>a przygnêbiaj<sup>1</sup>co na Greków i na <sup>3</sup>acinników. Wielu prostodusznych <sup>3</sup>acinników zaczyna roztrz<sup>1</sup>saæ te rzeczy. "CzyŹby Bóg pozwoli<sup>3</sup> Turkom zwyciêŹyæ?" — pytaj<sup>1</sup>. Jeœli tak, czyŹ nie dowodzi to, Źe ich bóg jest silniejszy od chrzeœcijañskiego, a ich Prorok potêŹniejszy niŹ Chrystus, który da<sup>3</sup> siê ukrzyŹowaæ?

Wenecki bailon Minotto zrobi<sup>3</sup> siê poboŹny i przyj<sup>13</sup> œwiête sakramenty. Postanowi<sup>3</sup> podj<sup>1</sup>æ wespół<sup>3</sup>zawodnictwo z Giustinianim, by pokazaæ, Źe Genueñczyk nie jest dzielniejszy od Wenecjanina. Weneccy Źo<sup>3</sup>nierze morscy z niezrównan<sup>1</sup> odwag<sup>1</sup> bronili pó<sup>3</sup>nocnego cypla Blachern, twierdzy Pentapyrgion. Ani jeden Turek nie dosiêgn<sup>13</sup> tam jeszcze korony muru.

Wieczorem rozniecono w obozie tureckim wielkie ognisko. Bêbny i tr<sup>1</sup>by hucza<sup>3</sup>y i podnosi<sup>3</sup>y taki ha<sup>3</sup>as, Źe wielu na murach s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>o, iŹ wybuch<sup>3</sup> tam poŹar. Ale naleŹy to tylko do tureckiego zwyczaju obchodzenia postu. Gdy zapada ciemnoœæ, wolno im jeœæ i piæ i post zaczyna siê znowu o œwicie, gdy tylko moŹna odróŹniæ czarn<sup>1</sup> nitkê od bia<sup>3</sup>ej. W blasku tych ogromnych ognisk obóz œwietlony by<sup>3</sup> jak w bia<sup>3</sup>y dzieñ.

Im bliŹsza jest godzina rozstrzygniêcia, tym bardziej krzywo patrz<sup>1</sup> na mnie Wenecjanie. Twierdz<sup>1</sup>, Źe ich szpiegujê na zlecenie Giustinianiego. Ale ich opryskliwoœæ wykazuje, Źe maj<sup>1</sup> coœ do ukrycia. Przypuszczalnie u<sup>3</sup>oŹyli juŹ plany, by wyzyskaæ zwyciêstwo na korzyœæ Wenecji, w razie gdyby szturm siê nie uda<sup>3</sup> i su<sup>3</sup>tan odst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> od oblêŹenia. Korzyœci, które ich nêc<sup>1</sup>, s<sup>1</sup> tak wielkie, Źe op<sup>3</sup>aca siê próbowaæ niemoŹliwoœci. Poza tym mur wokó<sup>3</sup> Blachern jest wci<sup>1</sup>Ź jeszcze tak mocny, Źe Turcy, przynajmniej dopóki bron<sup>1</sup> go Wenecjanie, nie mog<sup>1</sup> wtargn<sup>1</sup>æ do miasta t<sup>1</sup> drog<sup>1</sup>.

Tam, gdzie mur zewnêtrzny i wielki mur <sup>3</sup>1cz<sup>1</sup> siê pod k<sup>1</sup>tem prostym z murem Blachern, jest na wpó<sup>3</sup> wkopana w ziemiê furta wypadowa, która prowadzi na uliczkê miêdzy oboma murami miejskimi. By<sup>3</sup>a ona od wielu pokoleñ w uŹyciu jako przejœcie z pa<sup>3</sup>acu do cyrku, za<sup>3</sup>oŹonego za murem miejskim. Dlatego nazywa siê wci<sup>1</sup>Ź jeszcze Kerkoporta, ale zosta<sup>3</sup>a póŹniej zamurowana. Obecnie otwarto j<sup>1</sup> na nowo, podobnie jak inne bramy wypadowe. MoŹna przez ni<sup>1</sup> najwygodniej dostaæ siê z pa<sup>3</sup>acu Porfirogenetów do braci Guacchardi przy bramie Charisiosa, a stamt<sup>1</sup>d dalej miêdzy murami na odcinek Giustinianiego.

Przy Kerkoporcie mur jest nie uszkodzony i Turcy nigdy nie próbowali têdy napadaæ, dlatego,

że k<sup>1</sup>t prosty muru wystawia atakuj<sup>1</sup>cego na ciê<sup>1</sup>ki ogień krzy<sup>1</sup>owy. T<sup>1</sup> os<sup>3</sup>oniê<sup>1</sup>t drog<sup>1</sup> można zatem najszybciej pos<sup>3</sup>aæ odsiecz do bramy Charisiosa, gdzie mur zwali<sup>3</sup> siê niemal tak doszczêtnie, jak przy bramie œw. Romana. Wenecjanie stworzyli specjalny oddzia<sup>3</sup> rezerwowy, który w razie potrzeby można przydzia<sup>3</sup> do pomocy braciom Guacchardi. Na tym spokojnym odcinku przy Kerkoporcie strze<sup>3</sup>e muru zewnêtrznego i wewnêtrznego tylko garœæ Greków. Trzeba zapisaæ na dobro <sup>3</sup>acinników, że chêtnie przejêli najniebezpieczniejsze posterunki.

Krótko przed pó<sup>3</sup>noc<sup>1</sup> odwiedzi<sup>3</sup> mnie Manuel. By<sup>3</sup> bardzo przestraszony i powiedzia<sup>3</sup>:

— Bazylika stoi w p<sup>3</sup>omieniach.

Weszlicemy na dach pa<sup>3</sup>acu, gdzie zebra<sup>3</sup>a siê ju<sup>3</sup> wielka rzesza gapiów. Ogniska tureckie wci<sup>1</sup> jeszcze p<sup>3</sup>onê<sup>3</sup>y wysoko, ale poœrodku ciemnego miasta wznosi<sup>3</sup>a siê olbrzymia kopu<sup>3</sup>a koœcio<sup>3</sup>a M<sup>1</sup>droœci Bo<sup>1</sup>zej promieniuj<sup>1</sup>c dziwnym nadziemskim blaskiem. Nie by<sup>3</sup> to ogień, lecz raczej silny niebieskawy blask. Œacinnicy, patrz<sup>1</sup>c na to, szeptali miêdzy sob<sup>1</sup> i mówili, że to z<sup>3</sup>y znak.

Dziwny blask k<sup>3</sup>êbi<sup>3</sup> siê pod kopu<sup>3</sup>, to s<sup>3</sup>abiej, to znów silniej. Uda<sup>3</sup>em siê do miasta w kierunku koœcio<sup>3</sup>a. Nie by<sup>3</sup>em sam. W ciemnoœci wokó<sup>3</sup> mnie szemra<sup>3</sup>a wzburzona masa ludzka. Wszyscy zd<sup>1</sup>ali do tego samego celu. S<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>em szlochania kobiet i œpiew mnichów. W pobli<sup>3</sup>u koœcio<sup>3</sup>a niebieskawy blask loeni<sup>3</sup> tak mocno, że nikt nie wa<sup>3</sup>y siê podejœæ. Ludzie padali na kolana na wilgotn<sup>1</sup> ziemiê i zaczynali siê modliæ. Bóg da<sup>3</sup> nam znak. To, co nadziemskie, przybra<sup>3</sup>o ziemsk<sup>1</sup> postac. Kiedy ujrza<sup>3</sup>em to w<sup>3</sup>asnymi oczyma, nie mogê ju<sup>3</sup> d<sup>3</sup>u<sup>3</sup>ej w<sup>1</sup>tpiaæ, że epoka Chrystusa jest skończona i nadszed<sup>3</sup> czas bestii.

Kopu<sup>3</sup>a b<sup>3</sup>yszcza<sup>3</sup>a i p<sup>3</sup>onê<sup>3</sup>a przez godzinê. Potem blask zacz<sup>13</sup> nagle s<sup>3</sup>abn<sup>1</sup>æ, dr<sup>3</sup>a<sup>3</sup> przez chwilê i zgas<sup>3</sup>. Niebo by<sup>3</sup>o tak zasnuté chmurami, że noc wokó<sup>3</sup> nas robi<sup>3</sup>a siê nagle czarna jak wêgiel. Tureckie ogniska pogas<sup>3</sup>y, ich <sup>3</sup>una nie œwieci<sup>3</sup>a ju<sup>3</sup> na niebie nad nami. Noc by<sup>3</sup>a parna, przesycona zapachem ziemi i butwiej<sup>1</sup>cych liœci i cz<sup>3</sup>owiek czu<sup>3</sup> siê tak, jak gdyby kroczy<sup>3</sup> po cmentarzu miêdzy otwartymi grobami.

W ciemnoœci wsunê<sup>3</sup>a siê w moj<sup>1</sup> rêkê smuk<sup>3</sup>a, gor<sup>1</sup>ca d<sup>3</sup>oñ. Mo<sup>3</sup>e by<sup>3</sup>o to tylko samooszukiwanie siê, ale odnios<sup>3</sup>em wra<sup>3</sup>enie, że j<sup>1</sup> poznajê wœród tysiêcy. Nie œmia<sup>3</sup>em jej uœcisn<sup>1</sup>æ ani siê odezwaæ. Mo<sup>3</sup>e by<sup>3</sup>o to tylko zb<sup>31</sup>kane dziecko, które szuka<sup>3</sup>o oparcia w mojej d<sup>3</sup>oni. Albo jakœ kobieta, która podniecona ciemnoœci<sup>1</sup> i strachem chcia<sup>3</sup>a czuæ bliskoœæ mê<sup>1</sup>czyzny. Ale ja pozna<sup>3</sup>em jej d<sup>3</sup>oñ. Ciep<sup>3</sup>a i bezradna — by<sup>3</sup>a jak nieme pos<sup>3</sup>anie o pojednaniu przed œmierci<sup>1</sup>.

Ona te<sup>3</sup> nic nie powiedzia<sup>3</sup>a. W ciemnoœci s<sup>3</sup>yszelicemy tylko swoje oddechy i nasze d<sup>3</sup>onie siê zetknê<sup>3</sup>y. Nasze têtna <sup>3</sup>omota<sup>3</sup>y boleœenie w pobli<sup>3</sup>u siebie jako cisi œwiadkowie wspólnoty dwojga ludzi. Tak by<sup>3</sup>o dobrze. Tak by<sup>3</sup>o najlepiej. Tak rozumielicemy siê nawzajem. S<sup>3</sup>owa zrywa<sup>3</sup>y tylko

wiêÿ miêdzy nami.

Tak po prostu, tak oczywiêcie, tak skromnie, biednie, bezbronnie. Rozpalona d<sup>3</sup>oñ w ciemnoœci, w ciê¿kim zapachu zbutwia<sup>3</sup>ych liœci. Nad grobami, nad œmierci<sup>1</sup> podalicemy sobie d<sup>3</sup>oñ do pojednania. A potem ona znowu znik<sup>3</sup>a.

I nawet jeœli by<sup>3</sup>o to tylko z<sup>3</sup>udzenie i przywidzenie, z<sup>3</sup>agodzi<sup>3</sup>o to ból w moim sercu. Kiedy jak lunatyk szuka<sup>3</sup>em drogi powrotu do Blachern, gorycz nie ¿ar<sup>3</sup>a ju¿ tak bardzo mojej duszy. By<sup>3</sup>em wolny, czu<sup>3</sup>em jasnoœæ. By<sup>3</sup>em œwiadkiem cudu i trzyma<sup>3</sup>em d<sup>3</sup>oñ cz<sup>3</sup>owieka w mojej d<sup>3</sup>oni.

*26 maja 1453*

Nocny cud ko<sup>3</sup>o koœcio<sup>3</sup>a M<sup>1</sup>droœci Bo¿ej wpawi<sup>3</sup> miasto w takie podniecenie, ¿e ludzie wczesnie rano, z mnichami i mniszkami na czele, wtargnêli do Blachern, zabrali z koœcio<sup>3</sup>a ikonê cudownej Dziewicy i zanieœli j<sup>1</sup> na mury, by broni<sup>3</sup>a miasta. œwiêta Dziewica o w<sup>1</sup>skim, nies<sup>3</sup>ychanie smutnym obliczu patrzy<sup>3</sup>a na swój lud, otoczona z<sup>3</sup>otem i szlachetnymi kamieniami. Wielu widzia<sup>3</sup>o, jak twarz jej siê porusza i z oczu kapi<sup>1</sup> <sup>3</sup>zy. Kilku chcia<sup>3</sup>o dotkn<sup>1</sup>æ obrazu i w t<sup>3</sup>oku upad<sup>3</sup> on na ziemiê. W tej¿e samej chwili krople deszczu, wielkie jak go<sup>3</sup>êbie jaja, zaczê<sup>3</sup>y spadaæ z niskich chmur. W okamgnieniu deszcz przerodzi<sup>3</sup> siê w ulewê, w powietrzu pociemnia<sup>3</sup>o i woda zaczê<sup>3</sup>a p<sup>3</sup>yn<sup>1</sup>æ ulicami. Cudowna ikona robi<sup>3</sup>a siê od wilgoci ciê¿ka jak o<sup>3</sup>ów, tak ¿e tylko najsilniejsi mnisi wspólnymi si<sup>3</sup>ami zdo<sup>3</sup>ali j<sup>1</sup> podnieœæ z ziemi i ukryæ w bezpiecznym miejscu w klasztorze Chora.

Spodziewalioemy siê, ¿e nag<sup>3</sup>y deszcz zamoczy proch Turkom, ale by<sup>3</sup>y to pró¿ne nadzieje. Nawet w czasie ulewy grzmia<sup>3</sup>y od czasu do czasu dzia<sup>3</sup>a, a po jej ustaniu, kiedy ziemia parowa<sup>3</sup>a jeszcze od wilgoci, Turcy rozpoczêli tak szaleñczy atak, jak gdyby chcieli odrobiæ stracony czas.

Turcy wci<sup>1</sup>¿ poszcz<sup>1</sup>. Bêd<sup>1</sup>c na murze widzia<sup>3</sup>em póÿniej w ci<sup>1</sup>gu dnia, jak tureccy dowódcy z ró¿nych odcinków zebrali siê przy namiocie su<sup>3</sup>tana na wzgórz. Rada wojenna trwa<sup>3</sup>a przez ca<sup>3</sup>e popo<sup>3</sup>udnie. Potem rozbiegli siê galopem odziani na zielono su<sup>3</sup>tañscy czauszowie do ró¿nych czêœci obozu, by obwieœciæ decyzjê su<sup>3</sup>tana. Ryk, który podniós<sup>3</sup> siê przy tym i rós<sup>3</sup> coraz bardziej, radosny wrzask i zgie<sup>3</sup>k instrumentów muzycznych i g<sup>3</sup>osów ludzkich w ca<sup>3</sup>ym obozie przewy¿szy<sup>3</sup>y wszystko, co dotychczas s<sup>3</sup>yszeliœmy, i uros<sup>3</sup>y pod wieczór do nieprzerwanego szumu jakby ogromnego morza. Nietrudno odgadn<sup>1</sup>æ, ¿e su<sup>3</sup>tan wyznaczy<sup>3</sup> dzieñ i godzinê ostatecznego szturmu.

Kiedy zobaczy<sup>3</sup>em, ¿e su<sup>3</sup>tan zwo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> Wielki Dywan, uda<sup>3</sup>em siê do bramy œw. Romana i odszuka<sup>3</sup>em Giustinianiego, który na murze prowadzi<sup>3</sup> ustawiczne roboty przy oszañcowaniach.

— W Blachernach wszystko w porz<sup>1</sup>dku — powiedzia<sup>3</sup>em.

— Szturm jest bliski. Pozwól mi walczyć z tob<sup>1</sup> przy bramie œw. Romana. Umówi<sup>3</sup>em siê tu na spotkanie dziewięć lat temu przed Warn<sup>1</sup>. Nie chcê być podobny do kupca w Samarze, kiedy nadejdzie ta chwila.

Wzi<sup>13</sup> mnie przyjaŹnie pod ramiê, podniós<sup>3</sup> przy<sup>3</sup>bicê i przyjrza<sup>3</sup> mi siê z uœmiechem w nabieg<sup>3</sup>ych krwi<sup>1</sup> wolic oczach. Tak jakby œmia<sup>3</sup> siê ukradkiem z czegoœ, o czym nie wiedzia<sup>3</sup>em.

— Wielu zg<sup>3</sup>asza siê tu dzisiaj — rzek<sup>3</sup>. — Pochlebia mi to, gdyż dowodzi, że jest to miejsce zaszczytne.

Nawet su<sup>3</sup>tan Mehmed zaszczyci<sup>3</sup> mnie swoj<sup>1</sup> uwag<sup>1</sup> — ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> i wskaza<sup>3</sup> na belkê stercz<sup>1</sup>c<sup>1</sup> z ziemnego wa<sup>3</sup>u. Na jej końcu wisia<sup>3</sup> piêtami dotykaj<sup>1</sup>c ziemi trup jednego ze sprzedawców obozowych z rozcapierzon<sup>1</sup> brod<sup>1</sup>, wci<sup>1</sup>ż jeszcze w wytartym baranim kożuszku.

— Su<sup>3</sup>tan kaza<sup>3</sup> mi zakomunikowaæ, że podziwia moje mêtwo i sztukê wojenn<sup>1</sup>. Nie ż<sup>1</sup>da ode mnie żadnej zdrady, gdyż nie chce uraziæ mego honoru. Ale jeżeli wycofam siê z muru na okrêty wraz z moimi ludŹmi, obiecuje zrobiæ mnie bogatym cz<sup>3</sup>owikiem i daæ mi dowództwo nad swymi janczarami. Pozwala mi nawet zachowaæ moj<sup>1</sup> religiê, gdyż w jego wojsku s<sup>3</sup>uż<sup>1</sup> takżê i chrzeœcijanie. Na znak zgody powinienem opuœciæ flagê. Zamiast tego kaza<sup>3</sup>em powiesiæ jego pos<sup>3</sup>añca. Taka jest moja odpowiedŹ i mam nadzieję, że j<sup>1</sup> widzi, choæ nie mogê teraz trudziæ moich ludzi budowaniem zbyt wysokiej szubienicy. Otar<sup>3</sup> twarz z potu i kurzu i doda<sup>3</sup>:

— Pos<sup>3</sup>anie takie jak to daje nam trochê nadziei. Los miasta spoczywa na naszych mieczach. Cesarz poœle tu elitê swojej gwardii i swych najlepszych wojowników. Pokażemy su<sup>3</sup>tanowi, że żywy mur żelazny jest wci<sup>1</sup>ż jeszcze mocniejszy niż mur z kamienia.

Ale nie ufam niczemu i nikomu — ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> rzucaj<sup>1</sup>c mi nie<sup>3</sup>askawe spojrzenie: — Szczególnie podejrzane jest, że w<sup>3</sup>acenie ty chcesz dzisiaj wróciæ tutaj. Ten kupczyk wycharcza<sup>3</sup> w ostatnich tchnieniu, że su<sup>3</sup>tan ma wiele sposobów, żeby siê mnie pozbyæ. Dlatego nie chcia<sup>3</sup>bym mieæ za plecami cz<sup>3</sup>owieka, który zbieg<sup>3</sup> z obozu su<sup>3</sup>tana, choæ jesteśmy tak dobranymi przyjació<sup>3</sup>mi, Jeanie Ange.

Radosny zgie<sup>3</sup>k w tureckim obozie sp<sup>3</sup>yn<sup>13</sup> na nas jak fala sztormowa.

— Jeżeli su<sup>3</sup>tan Mehmed powzi<sup>13</sup> decyzjê, to przeprowadzi j<sup>1</sup> obojêtnie jakimi œrodkami — przyzna<sup>3</sup>em. — Jeżeli staniesz na jego drodze, nie zawaha siê ani przez moment, by wynaj<sup>1</sup>æ skrytobójcê, skoro tylko bêdzie mia<sup>3</sup> do tego okazjê.

— Rozumiesz wiêc, że nie chcê, by obcy roili siê wokó<sup>3</sup> mnie — powiedzia<sup>3</sup> Giustiniani życzliwym tonem. — Ale s<sup>1</sup> ludzie, którym nie można odmówiæ, jeżeli siê ma dobre serce. Poza tym należy do moich obowi<sup>1</sup>zków jako prostostratora czuwaæ nad tob<sup>1</sup>, abyœ w ostatniej chwili nie porwa<sup>3</sup> siê na coœ nierozważnego. B<sup>1</sup>dŹ mi wiêc na oczach, kiedy zacznie siê atak, bo inaczej poœelê za tob<sup>1</sup> kata.

W tejże chwili ujrzelicemy megaduksa Notarasa, który zbliża<sup>3</sup> się galopem na karym rumaku, otoczony oddzia<sup>3</sup>em straży porz<sup>1</sup>dkowej. Przy bramie wypadowej zsiad<sup>3</sup>, żeby udać się na odcinek Giustinianiego. Giustiniani z<sup>3</sup>oży<sup>3</sup> pięści w rurkê przy ustach i rykn<sup>13</sup> na swoich ludzi, by nie wpuszczali wielkiego księcia na oszańcowanie. Twarz Notarasa pociemnia<sup>3</sup>a od gniewu. Zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>:

— Muszê wejść, dok<sup>1</sup>d chcê, żeby wype<sup>3</sup>niać zlecenia cesarza. Wśród greckich robotników na murze s<sup>1</sup> zbiegli przemytnicy i przestępcy.

Giustiniani zsun<sup>13</sup> się po szcz<sup>1</sup>tkach muru i zeskoczy<sup>3</sup> na ziemię przed Notaraszem, a<sup>3</sup> zaszczeka<sup>3</sup> pancerz.

— Na moim murze nie bédziesz szpiegować! — krzykn<sup>13</sup>. — Tutaj ja jestem królem. Oddaj mi raczej moje dwie bombardy. Teraz potrzebujê ich najbardziej.

Notaras rozcemia<sup>3</sup> się ur<sup>1</sup>gliwie:

— Uwaga<sup>3</sup>sz, że Grecy maj<sup>1</sup> bronić portu go<sup>3</sup>ymi rękami. W<sup>3</sup>acenie teraz dzie<sup>3</sup>a te s<sup>1</sup> najpotrzebniejsze, by trzymać z dala okrêty tureckie.

Giustiniani zgrzytn<sup>13</sup> zębami, a<sup>3</sup> trzasnê<sup>3</sup>o mu w szczêkach, i rykn<sup>13</sup>:

— Nie rozumiem, dlaczego nie przebijam ciê mieczem, przeklêty zdrajco.

Notaras robi<sup>3</sup> się szary na twarzy. Rozejrza<sup>3</sup> się doko<sup>3</sup>a macaj<sup>1</sup>c za mieczem, ale by<sup>3</sup> na tyle roz<sup>1</sup>dny, że nie rzuci<sup>3</sup> się na mêt<sup>1</sup>a wzrostu Giustinianiego. Cofn<sup>13</sup> się o parê kroków, tak że ty<sup>3</sup> mia<sup>3</sup> os<sup>3</sup>oniêty przez swoich ludzi, i usi<sup>3</sup>uj<sup>1</sup>c ucemiechn<sup>1</sup>æ się, odpowiedzia<sup>3</sup> spokojnym g<sup>3</sup>osem:

— Niech Bóg os<sup>1</sup>dzi, kto tu jest zdrajc<sup>1</sup>, cesarz czy ja. Czy nie jest prawd<sup>1</sup>, że nosisz przy sobie pisemn<sup>1</sup> obietnicê z potrójn<sup>1</sup> pieczęci<sup>1</sup>, że otrzymasz Lemnos jako ksiêstwo, jeżeli obronisz miasto.

— A jeżeli tak? — zapyta<sup>3</sup> Giustiniani wpatruj<sup>1</sup>c się bystro w Notarasa, żeby odkryć jakieś znak k<sup>3</sup>amstwa.

Ale w g<sup>3</sup>osie Notarasa by<sup>3</sup> akcent szczerości, gdy mówi<sup>3</sup> dalej:

— Przeklêty <sup>3</sup>aciński g<sup>3</sup>upcze. Czy<sup>3</sup> nie wiesz, że cesarz ju<sup>3</sup> przed oblêżeniem obieca<sup>3</sup> Lemnos królowi Katalonii w zamian za okrêty i oddzia<sup>3</sup>y posi<sup>3</sup>kowe? Ąadne okrêty nigdy się nie pojawi<sup>3</sup>y, ale Katalończycy dawno ju<sup>3</sup> obsadzili wyspê. Bédziesz musia<sup>3</sup> prowadziæ tam wojnê, jeżeli z tej wyjdiesz z życiem.

Cia<sup>3</sup>em Giustinianiego zaczê<sup>3</sup>y wstrz<sup>1</sup>saæ skurcze. Wybuchn<sup>13</sup> straszliwym oemiechem.

— Grecy s<sup>1</sup> i pozostan<sup>1</sup> Grekami! — krzykn<sup>13</sup> ciê<sup>3</sup>ko dysz<sup>1</sup>c. — Czy gotów jesteœ uca<sup>3</sup>owaæ krzy<sup>3</sup> na potwierdzenie swoich s<sup>3</sup>ów?

Notaras wyci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> miecz i uca<sup>3</sup>owa<sup>3</sup> krzy<sup>3</sup> rêkojêci.



— Jak prawd<sup>1</sup> jest, że Bóg os<sup>1</sup>dzi nas wszystkich wed<sup>3</sup>ug naszych uczynków, tak prawd<sup>1</sup> jest, że cesarz Konstantyn z<sup>3</sup>ot<sup>1</sup> bull<sup>1</sup> potwierdzi<sup>3</sup> przynależnośc<sup>æ</sup> Lemnos do Katalończyków. Zas<sup>3</sup>ugujesz na b<sup>3</sup>azeńsk<sup>1</sup> koronê, Giovanni Giustiniani, a nie na wielkie ksiêstwo.

Czy zatruta strza<sup>3</sup>a mog<sup>3</sup>a trafiæ mê<sup>1</sup>czyznê w serce w bardziej decyduj<sup>1</sup>cej chwili? Notaras wsiad<sup>3</sup> na konia i zadowolony odjecha<sup>3</sup>. Wyszed<sup>3</sup>em przed bramê wypadow<sup>1</sup> do Giustinianiego. Gdy mnie zobaczy<sup>3</sup> ko<sup>3</sup>o siebie, po<sup>3</sup>o<sup>1</sup>zy<sup>3</sup> mi na ramieniu ciê<sup>1</sup>k<sup>1</sup> d<sup>3</sup>oñ, jakby szukaj<sup>1</sup>c oparcia i powiedzia<sup>3</sup>:

— Zdrada i oszustwo czyhaj<sup>1</sup> wszêdzie wœród ludzi. Mo<sup>1</sup>je moje w<sup>3</sup>asne serce te<sup>1</sup> nie jest ca<sup>3</sup>kiem wolne od zdrady. Walczy<sup>3</sup>em bardziej dla Genui ni<sup>1</sup> dla cesarza. A w tej chwili przysiêgam, że bêdê walczyæ do upad<sup>3</sup>ego, dopóki jest jakaœ nadzieja, tylko dla mojej w<sup>3</sup>asnej nieprzemijaj<sup>1</sup>cej chwa<sup>3</sup>y po to, by o mnie i o moim mieœcie rodzinnym wspomniano, dopóki istnieje bêdzie choæby jeden kamieñ z murów Konstantynopola.

Łzy goryczy zaczê<sup>3</sup>y mu p<sup>3</sup>yn<sup>1</sup>æ z oczu, prze<sup>1</sup>egna<sup>3</sup> siê wielokrotnie krzy<sup>1</sup>em i modli<sup>3</sup> siê:

— Bo<sup>1</sup>że zmi<sup>3</sup>uj siê nade mn<sup>1</sup>, biednym grzesznikiem, i jeœli taka jest Twoja wola, oddaj to miasto raczej Turkom ni<sup>1</sup> Wenecjanom. Niech okrêtowe czerwie zniszcz<sup>1</sup> deski w ich okrêtach, niech sztorm porwie ich łagle na strzêpy. A Greków nie chcê nawet przeklinaæ. Nimi niech zajm<sup>1</sup> siê Turcy.

Po tej modlitwie kaza<sup>3</sup> swoim ludziom zdj<sup>1</sup>æ purpurowy proporzec cesarza i zostawi<sup>3</sup> tylko swoj<sup>1</sup> w<sup>3</sup>asn<sup>1</sup> flagê powiewaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> nad kup<sup>1</sup> gruzów, która zosta<sup>3</sup>a z wielkiego muru.

Noc znowu jest ciemna i ogniska tureckie p<sup>3</sup>on<sup>1</sup> pod chmury. Nie mogê nadziwiæ siê sercu ludzkemu i mira<sup>1</sup>owi s<sup>3</sup>awy, który ka<sup>1</sup>e nawet tak zahartowanemu zawodowemu wojownikowi jak Giustiniani odsun<sup>1</sup>æ na bok w<sup>3</sup>asn<sup>1</sup> korzyœæ i nara<sup>1</sup>æ <sup>1</sup>ycie tylko dla chwa<sup>3</sup>y. Skoro cesarz w przymusowym po<sup>3</sup>o<sup>1</sup>zeniu usi<sup>3</sup>owa<sup>3</sup> sobie kupiæ pomoc nie dotrzymuj<sup>1</sup>c s<sup>3</sup>owa, Giustiniani bez <sup>1</sup>adnej ujm<sup>1</sup> dla honoru móg<sup>3</sup> wypowiedzieæ umowê i zaokrêtowaæ swoich ludzi. Su<sup>3</sup>tan obsypa<sup>3</sup>by go buñczukami i honorowymi kaftanami, gdyby po oblê<sup>1</sup>eniu zgodzi<sup>3</sup> siê wst<sup>1</sup>piæ na s<sup>3</sup>u<sup>1</sup>bê do Turków.

W cz<sup>3</sup>owieku jest wiêc coœ szlachetniejszego ni<sup>1</sup> sam egoizm i <sup>1</sup>dza chwa<sup>3</sup>y.

Czy<sup>1</sup>by tak<sup>1</sup>e w Łukaszu Notarasie by<sup>3</sup>o coœ wiêcej ni<sup>1</sup> tylko <sup>1</sup>dza w<sup>3</sup>adzy?

Mój s<sup>3</sup>u<sup>1</sup>cy Manuel liczy swoje pieni<sup>1</sup>dze. Rozgl<sup>1</sup>da siê niespokojnie doko<sup>3</sup>a i prze<sup>1</sup>ywa ciê<sup>1</sup>k<sup>1</sup>

rozterkê duchow<sup>1</sup>, bo nie wie, gdzie je ukryæ przed Turkami.

28 maja

Turcy szykuj<sup>1</sup> siê do ataku i w ciemnoœci s<sup>3</sup>ychaæ nieprzerwany szum — przynosz<sup>1</sup> i ustawiaj<sup>1</sup> drabiny szturmowe, belki, mosty i wi<sup>1</sup>zki chrustu. Ich ogniska zap<sup>3</sup>onê<sup>3</sup>y tylko na krótk<sup>1</sup> chwilê; zgas<sup>3</sup>y, gdy su<sup>3</sup>tan da<sup>3</sup> wojskom kilka godzin odpoczynku przed szturmem.

Ale jak spaæ w tak<sup>1</sup> noc jak ta. Z miasta nap<sup>3</sup>ynêli dzie ohotnicy, by jeszcze w ostatniej chwili nosiæ kamienie i ziemiê do wy<sup>3</sup>omów. Dlatego Giustiniani te¿ pozwoli<sup>3</sup> swoim zbrojnym na odpoczynek. Dzie w nocy i jutro ka¿dy musi daæ z siebie wszystkie swoje si<sup>3</sup>y. A jak móg<sup>3</sup>bym spaæ na <sup>3</sup>o¿u œmiertelnym mego miasta?

Nikt dzisiaj nie oszczêdza<sup>3</sup> drewna ani prowiantu. Cesarz kaza<sup>3</sup> opró¿niæ magazyny i rozdzieliæ wszystko do ostatka, tak¿e miêdzy <sup>3</sup>acinników.

Dziwne jest uczucie, ¿e ta noc ma byæ tak¿e moj<sup>1</sup> ostatni<sup>1</sup> noc<sup>1</sup>, na któr<sup>1</sup> czeka<sup>3</sup>em, tak jakby ca<sup>3</sup>e ¿ycie by<sup>3</sup>o tylko przygotowaniem do niej. Nie znam siebie samego dostatecznie. Ale mam nadzieję, ¿e zachowam odwagê. Wiem te¿, ¿e œmieræ nie jest bolesna. Podczas ostatnich tygodni widzia<sup>3</sup>em du¿o œmierci.

Jestem dzie w nocy pokorny. Spokojny. Cichy. I szczêœliwszy ni¿ kiedykolwiek.

Mo¿e to dziwne odczuwaæ szczêœcie w noc tak<sup>1</sup> jak ta. Ale ja nie oskar¿am ani nie s<sup>1</sup>dzê nikogo. Patrzê niechêtnie, jak Wenecjanie za<sup>3</sup>adowuj<sup>1</sup> okrêty do pe<sup>3</sup>na cesarskimi zapasami. Pozwalam im nawet zabieraæ ca<sup>3</sup>e <sup>3</sup>odzie drogocennych mebli, dywanów i naczyñ. Nie ganiê bogatych, znamienitych i m<sup>1</sup>drych, którzy jeszcze w ostatniej chwili kupuj<sup>1</sup> ¿ycie i przekupstwem zyskuj<sup>1</sup> miejsce dla siebie i swych rodzin na weneckich okrêtach.

Ka¿dy dzia<sup>3</sup>a i postêpuje, jak mu ka¿e sumienie. Tak¿e Łukasz Notaras. Tak¿e Gennadios. Cesarz Konstantyn. Giustiniani.

Bracia Guacchardi graj<sup>1</sup> w koœci, œpiewaj<sup>1</sup> w<sup>3</sup>oskie pieœni mi<sup>3</sup>osne i pij<sup>1</sup> umiarkowanie wino w tej jedynej wie¿y, która stoi jeszcze ca<sup>3</sup>a przy bramie Charisiosa.

Takie piêkne, takie szczêœliwe, takie pe<sup>3</sup>ne pojednania i spokojne jest wszystko. Jeszcze nigdy papier nie wydawa<sup>3</sup> mi siê tak g<sup>3</sup>adki i czysty pod dotkniêciem palców. Jeszcze nigdy pióro moje nie skrzypia<sup>3</sup>o tak miarowo posuwaj<sup>1</sup>c siê po nim. Jeszcze nigdy nie widzia<sup>3</sup>em, by atrament loeni<sup>3</sup> tak<sup>1</sup> czerni<sup>1</sup>. Jest tak, jakby wszystkie moje zmys<sup>3</sup>y zaostrzy<sup>3</sup>y siê, czujê wszystko wyraŹniej ni¿ przedtem. W taki to wiêc sposób prze¿ywa skazany na œmieræ jeszcze ostatni raz ca<sup>31</sup> pró¿noœæ ¿ycia.

Dlaczego jestem taki szczêœliwy? Dlaczego œmieję siê dzie w nocy ze œmierci?

Wczesnym rankiem zg<sup>3</sup>osi<sup>3</sup>em siê u Giustinianiego. Spa<sup>3</sup> wci<sup>1</sup>¿ jeszcze w swej kazamacie pod wielkim murem, choæ œciany trzê<sup>3</sup>y siê ju¿ od pierwszych w tym dniu armatnich wystrza<sup>3</sup>ów. Spa<sup>3</sup> w pe<sup>3</sup>nym uzbrojeniu, a obok niego le¿a<sup>3</sup> grecki m<sup>3</sup>odzieniaszek w b<sup>3</sup>yszcz<sup>1</sup>cym nowym pancerzu. Domyœli<sup>3</sup>em siê, ¿e by<sup>3</sup> to jeden ze znamienitszych Greków, których cesarz obieca<sup>3</sup> Giustinianiemu dla wzmocnienia. Poprzysiêgli oni, ¿e spotkaj<sup>1</sup> œmieræ przy bramie œw. Romana.

Ch<sup>3</sup>opak zbudzi<sup>3</sup> siê i usiad<sup>3</sup>, ziewn<sup>13</sup>, przetar<sup>3</sup> oczy brudnymi piêœciami i przyg<sup>3</sup>adzi<sup>3</sup> rozwichrzone w<sup>3</sup>osy. Rzuci<sup>3</sup> mi wynios<sup>3</sup>e spojrzenie, a ja wzi<sup>13</sup>em go za jednego z synów Łukasza Notarasa. By<sup>3</sup> podobny do ojca. Odczu<sup>3</sup>em uk<sup>3</sup>ucie zazdroœci z powodu <sup>3</sup>aski, jak<sup>1</sup> okaza<sup>3</sup> mu Giustiniani, i oczy nasze siê spotka<sup>3</sup>y. W tej¿e chwili zbudzi<sup>3</sup> siê Giustiniani i przeci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> siê, a¿ w stawach zatrzeszcza<sup>3</sup>o. Zapyta<sup>3</sup>em sarkastycznie:

— Chyba nie popad<sup>3</sup>œœe znowu w stary grzech Italczyków, Giustiniani? Czy nie ma ju¿ w mieœcie kobiet, które chocia<sup>3</sup>yby siê zabawiæ?

Giustiniani wybuchn<sup>13</sup> œmiechem, zwichrzy<sup>3</sup> ch<sup>3</sup>opcu w<sup>3</sup>osy i klepn<sup>13</sup> go po grzbiecie:

— Wstawaj, leniuchu, i zajmij siê swoimi obowi<sup>1</sup>zkami — powiedzia<sup>3</sup>.

Ch<sup>3</sup>opak wsta<sup>3</sup>, zezuj<sup>1</sup>c na mnie, i poszed<sup>3</sup> do beczki z winem, nape<sup>3</sup>ni<sup>3</sup> puchar i poda<sup>3</sup> go Giustinianiemu uginaj<sup>1</sup>c kolano. Rzek<sup>3</sup>em szyderczo:

— Ten ch<sup>3</sup>opak nie potrafi nawet zas<sup>3</sup>oniæ ciê od ty<sup>3</sup>u, jak przyjdzie co do czego. Jest zbyt s<sup>3</sup>aby i w<sup>1</sup>t<sup>3</sup>y. I raczej ubrany na paradê ni¿ uzbrojony do walki. Wyrzuæ go i pozwól mi zachowaæ miejsce u swego boku. Bailon mnie ju¿ nie potrzebuje w Blachernach.

Giustiniani potrz<sup>1</sup>sn<sup>13</sup> bycz<sup>1</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> i <sup>3</sup>ypn<sup>13</sup> na mnie okiem weso<sup>3</sup>o:

— Czy rzeczywiœcie jesteœ œlepy? — zdziwi<sup>3</sup> siê. — Nie poznajesz tego szlachetnego m<sup>3</sup>odzieńca?

W<sup>3</sup>acenie j<sup>1</sup> pozna<sup>3</sup>em i zobaczy<sup>3</sup>em na jej szyi honorowy <sup>3</sup>ańcuch Giustinianiego.

— Na Boga! — krzykn<sup>13</sup>em, omdla<sup>3</sup>y ze wzruszenia. — To ty, Anno! Jak tu siê znalaz<sup>3</sup>œ?

Giustiniani rzek<sup>3</sup>:

— Przysz<sup>3</sup>a jeszcze wczoraj i odda<sup>3</sup>a siê pod moj<sup>1</sup> opiekê. Stra¿nicy wpuœcili j<sup>1</sup>, gdy¿ mia<sup>3</sup>a mój znak na szyi. A co z ni<sup>1</sup> zrobimy, to ju¿ ty zadecydujesz.

Spojrza<sup>3</sup>em nieufnie na Giustinianiego, on zaœ cofn<sup>13</sup> siê o krok, zrobi<sup>3</sup> trzy znaki krzy¿a i przysi<sup>1</sup>g<sup>3</sup> na Chrystusa, ¿e spêdzi<sup>3</sup> noc cnotliwie i ¿e honor jego nie pozwoli<sup>3</sup> mu zbli¿yæ siê do ¿ony przyjaciela w zdro¿nych zamiarach.

— Choæ pokusa by<sup>3</sup>a silna — doda<sup>3</sup> z westchnieniem — ale zbyt by<sup>3</sup>em zmêczony czuwaniem i walkami oraz moj<sup>1</sup> ciê<sup>1</sup>ki<sup>1</sup> odpowiedzialnoœci<sup>1</sup>, by jeszcze myœleæ o kobietach. Wszystko ma swój czas.

Anna wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup>a bezwstydnie:

— Dobrze teraz rozumiem francusk<sup>1</sup> Joannê, która w<sup>3</sup>o<sup>1</sup>z<sup>3</sup>y<sup>3</sup>a spodnie, by móc bezpieczniej poruszaæ siê wœród z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>nierzy.

Zarzuci<sup>3</sup>a mi ramiona na szyjê, poca<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>a w policzki, przycisnê<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>owê do mej piersi i rzek<sup>3</sup>a z t<sup>3</sup>umionym szlochem:

— Wiêc jestem taka brzydka, z<sup>1</sup>e mnie nie pozna<sup>3</sup>eœ? Musia<sup>3</sup>am obci<sup>1</sup>æ w<sup>3</sup>osy. Inaczej nie zdo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>abym w<sup>3</sup>o<sup>1</sup>z<sup>3</sup>yæ he<sup>3</sup>mu.

Le<sup>1</sup>z<sup>3</sup>a w moich ramionach. By<sup>3</sup>a blisko mnie. Nie nienawidzi<sup>3</sup>a mnie ju<sup>1</sup>.

— Dlaczego opuœci<sup>3</sup>aœe ojca? — zapyta<sup>3</sup>em. — I czy to ty wsunê<sup>3</sup>aœe swój<sup>1</sup> d<sup>3</sup>oñ w moj<sup>1</sup> owej nocy przy kociele M<sup>1</sup>droœci Bo<sup>1</sup>zej?

Giustiniani odchrz<sup>1</sup>kn<sup>13</sup>, roztar<sup>3</sup> bok obola<sup>3</sup>y od pancerza i powiedzia<sup>3</sup> delikatnie:

— Muszê sprawdzaæ stra<sup>1</sup>. Jedzcie i pijcie, co znajdziecie, a drzwi mo<sup>1</sup>ecie zreszt<sup>1</sup> zamkn<sup>1</sup>æ, jeœli chcecie zapewniæ siê nawzajem o swej przyjaŹni i nie boicie siê strza<sup>3</sup>ów armatnich.

Wyszed<sup>3</sup> zamykaj<sup>1</sup>c za sob<sup>1</sup> grube drzwi. Z jego miny widzia<sup>3</sup>em, z<sup>1</sup>e by<sup>3</sup> zakochany w Annie i bardzo mi zazdroœci<sup>3</sup>. Anna spojrze<sup>3</sup>a na mnie spod grzywki, ale ja nie mia<sup>3</sup>em odwagi zaryglowaæ drzwi. Sama wiêc, jakby od niechcienia, zasunê<sup>3</sup>a rygiel.

— Ukochany — rzek<sup>3</sup>a. — Czy zdo<sup>3</sup>asz mi kiedyœ wybaczyæ, z<sup>1</sup>e by<sup>3</sup>am uparta i samolubna i nie rozumia<sup>3</sup>am ciebie?

— Ukochana — rzek<sup>3</sup>em — wybacz mi, z<sup>1</sup>e nie jestem taki, za jakiego mnie mia<sup>3</sup>aœ!

Ale tu nie mo<sup>1</sup>esz zostaæ — doda<sup>3</sup>em z bólem serca. — Musisz wróciæ do domu swego ojca. Tam jesteœ bezpieczna tak, jak mo<sup>1</sup>na byæ bezpiecznym w tym mieœcie, kiedy zaczyna siê szturm. Myœlê, z<sup>1</sup>e su<sup>3</sup>tan weŹmie go pod swój<sup>1</sup> opiekê po zdobyciu miasta.

— Z pewnoœci<sup>1</sup> — odpar<sup>3</sup>a. — Wiem ju<sup>1</sup>, z<sup>1</sup>e pierwsz<sup>1</sup> rzecz<sup>1</sup>, któr<sup>1</sup> zrobi su<sup>3</sup>tan, bêdzie pos<sup>3</sup>anie czauszów do nas, by trzymali stra<sup>1</sup> przy domu. Ale wiem te<sup>1</sup>, z jakiego powodu. I dlatego nie chcê tam wracaæ.

— Co siê sta<sup>3</sup>o? — zapyta<sup>3</sup>em ze z<sup>3</sup>ymi przeczuciami.

Podesz³a do mnie, po³o¿y³a d³onie na moich biodrach i patrzy³a na mnie niewypowiedzianie powa¿nymi br¹zowymi oczyma.

— Nie pytaj — prosi³a. — Jestem córk¹ mego ojca. Nie mogê go zdradziæ. Czy nie wystarczy ci, ¿e przysz³am do ciebie? Czy nie wystarczy, ¿e obciê³am w³osy i w³o¿y³am pancerz mego brata, ¿eby umrzeæ na murze, gdy¿ taka jest wola Bo¿a?

— Nie mo¿esz umrzeæ — powiedzia³em. — Nie wolno ci umrzeæ. Nie mo¿e tak byæ. Twój strój jest równie szalony, jak twoje zamiary.

Odrzek³a:

— Nie po raz pierwszy od tysi¹ca lat kobieta chwyta za miecz, by broniæ naszego miasta. Wiesz o tym dobrze. Zdarzy³o siê, ¿e bazyliissa w³o¿y³a pancerz, kiedy cesarz poleg³.

— Nie wolno ci — upiera³em siê. — Pierwszy Turek, którego spotkasz, obali ciê na ziemiê i zetnie twój¹ piêkn¹ g³owê. To siê na nic nie przyda.

Patrzy³a na mnie ze œmierteln¹ powag¹ i rzek³a:

— Wiesz sam, ¿e ca³a obrona na nic siê nie przyda. Su³tan zwyciê¿y. Mur zawali³ siê. Przewaga jest zbyt wielka. Jest nas za ma³o. Tysi¹ce ludzi umrze nadaremnie przed nastêpnym œwitaniem. I jeœli myœlisz o po¿ytku, to i ty nie powinienesz byæ tutaj. Pozwól mi wiêc wreszcie myœleæ tak jak ty.

Uœcisnê³a moje ramiê obiema rêkami. Jej twarz by³a blada pod krótko uciêtymi w³osami.

— Jestem twój¹ ¿on¹ — powiedzia³a. — Dla nas nie ma ¿adnej przysz³oœci. Dlatego mam przynajmniej prawo umrzeæ z tob¹. Kocham ciê przecie¿. Co znaczy dla mnie ¿ycie, jeœli padniesz. Raczej zyskam mêczeñsk¹ koronê.

Wielka kamienna kula zmiot³a kawa³ek muru gdzieœ nad nami i s³yszeliœmy³oskot spadaj¹cych kamieni. Z pu³apu posypa³y siê zaprawa murarska i gruz.

Podnios³a ku mnie twarz, skrzy¿owa³a ramiona i rzek³a:

— Dosz³am do jasnoœci. Dlaczego mamy trwoniæ czas, dopóki mo¿emy jeszcze widzieæ siê nawzajem?

Niewprawnymi rêkami zaczê³a rozwi¹zywaæ rzemienie pancerza, zaoemia³a siê i rzek³a:

— Ukochany, pomó¿ mi z tymi okropnymi haczykami z ty³u. Tylko mê¿czyŹni mogli wymyœliæ coœ podobnego.

Z wyschniêtym gard³em odpar³em:

— Dziêkuj swemu szczêœciu, ¿e nie masz prawdziwego pancerza rycerskiego z tajemnymi

zamkami od stóp do g³ów. S¹ tak wymyœelne zamki i tak twarda stal, ¿e nie mo¿na zak³uæ rycerza, nawet gdy spadnie z konia i le¿y bezradnie na ziemi. Pod Warn¹ Turkom nie uda³o siê i m³otem rozbiæ pancerza na niektórych niemieckich rycerzach.

— Jak ty du¿o wiesz — szepnê³a pieszczotliwie. — Jak ty du¿o widzia³eœ. Ale tak¿e kobiety maj¹ swój pancerz. Zamku kobiety nie potrafi otworzyæ nawet najmocniejszy mê¿czyzna, jeœli ona sama tego nie zechce. Wnet zobacz¹ to Turcy. Ale takich kobiet nie jest du¿o.

— Tylko ty — rzek³em dr¿¹cym g³osem. — Tylko ty, Anno Notaras.

œwiadoma swej piêknoœci, wykrêca³a siê i wygina³a wysuwaj¹c siê z ciasnego pancerza zrêcznie jak ch³opiec.

— Z tymi krótkimi w³osami jesteœ jak³adny ch³opak. A mimo to piêkniejsza ni¿ kiedykolwiek.

— Nie jestem wcale ch³opcem — odpar³a igraj¹c ze mn¹ zalotnie. — Czy nie widzisz tego? — Strza³ armatni sprawi³, ¿e mur zadr¿a³ znowu. Zarzuci³a mi nagie ramiona na szyjê. — Nie bój siê armat, ukochany, i ja siê ich nie bojê. Ciesz siê mn¹, tak jak ja siê cieszê tob¹. Lampka naszego ¿ycia gaœnie i dopala siê ju¿ do koñca. œmieræ jest d³uga, a mi³oœæ niecielesna jest chud¹ mi³oœci¹.

Ale nasza mi³oœæ by³a gorzka jak sól, która pali wargi i zwiêksza pragnienie, i obejmowalicoemy siê raz po raz z nieugaszonym po¿¹daniem. W tej izbie z kamienia, wype³nionej stêch³ym zapachem skóry, zje³cza³ej oliwy, prochu i przepoconej odzie¿y kochalicoemy siê, podczas gdy œmieræ me³³a na proch mur nad nami kawa³ek po kawa³ku. Mimo to jednak mi³oœæ nasza by³a nie tylko cielesna, gdy¿ za ka¿dym razem kiedy patrzy³em na jej twarz, spotyka³em jej oczy, rozwarte, nagie i dobrze znane, i by³o mi tak, jak gdybym przez jej oczy siêga³ wzrokiem poza wszystko, co doczesne.

— Wrócê, ukochana — szepta³em. — Wrócê kiedyœ do wiêzów czasu i przestrzeni, ¿eby odnaleŸæ ciê na nowo. Ludzie, nazwy i ludy zmieniaj¹ siê i przekszta³aj¹, ale z ruin muru oczy twoje patrzeæ bêd¹ pewnego dnia na mnie jak aksamitne br¹zowe kwiaty. I odnajdziemy siê znowu.

Uœmiechaj¹c siê pieœci³a moj¹ szyjê i ramiona, a³zy namiêtnoœci ciek³y jej po rozpalonych policzkach.

— Mój najdro¿szy — powiedzia³a. — Mo¿e nie ma nic wiêcej. Mo¿e jest tylko ta chwila. Ale to wystarczy. Jestem szczêeliwa. Jestem przepe³niona tob¹. Jestem tob¹. To³atwe, to piêknie umrzeæ po tym.

Rozejrza³a siê po mrocznej sklepionej izbie, oœwietlonej migoc¹c¹ lamp¹, i powiedzia³a:

— Takie piêkne, wszystko jest takie piêkne! Tak piêkne jeszcze nigdy nie by³o!

Spoczywaj¹c zmêczonymi ustami na jej ciep³ym ramieniu, zastanawia³em siê, czy mimo

wszystko nie powinienem jej wyznać mojej tajemnicy. Wydawała się ona taka czcza i nieistotna, ale nie chciałem, nie mogłem ukrywać już przed Anną niczego. Toteż rzekłem:

— Ukochana, kiedy przyszedłem na ten świat, matka moja ościskała w dłoni kawałek porfiru. Jestem zrodzony w purpurowych butach. Mogę ci to teraz powiedzieć, ponieważ to już niczego nie zmieni między nami.

Uniosła się gwałtownie na okciach i wpatrywała się we mnie rozszerzonymi oczami.

— Jestem urodzony w purpurowych butach — powtórzę. — Mój ojciec był przyrodnim bratem starego cesarza Manuela. Moim dziadkiem był cesarz Johannes. Ten Johannes, który udał się do Rzymu i do Awinionu i osobiście wyrzekł się swojej wiary i uznał papieża, nie wił przez to swego ludu i swego kościoła. Uczynił to, aby w największej tajemnicy pocelubił przed papieżem Wenecjankę, którą kochał. Miała wtedy lat czterdzieści. Signoria zapłaciła jego długi i zwróciła mu bizantyjskie klejnoty koronne, które zastawił. Papież i Wenecja obiecali mu także poparcie Zachodu i krucjatę. Ale syn jego Andronikos zdradził go i podniósł bunt. Tak jak i syn Andronikosa. A kiedy i Zachód go zawiódł, zmuszony był zawrzeć przymierze z sultanem i uznać za następcę tronu swego syna Manuela. W gruncie rzeczy jedynym legalnym następcą był mój ojciec. Dlatego też Manuel posłał swoich aniołów, by go odszukali i oślepiłi. Po tym mój ojciec nie chciał już żyć. Rzucił się ze skały za pałacem papieskim w Awinionie. Złotnik, u którego przechowywał swoje papiery i mienie, szukał mnie po jego śmierci. Ma on wciąż jeszcze dokumenty, które dowodzą mego prawowitego pochodzenia. O ile wiem, także kuria papieska i wenecka signoria wiedzą o moim istnieniu, jakkolwiek straciły mnie z oczu. Jestem bazyleusem, ale nie pragnę żadnej władzy. Władza nie jest dla mnie. Ale mam prawo umrzeć na murach swego miasta. Czy rozumiesz teraz, dlaczego muszę dopieścić mego losu?

Patrzyła wciąż na mnie przerażona i przesunęła koniuszkami palców po mojej twarzy. Nie goliłem się już, by zmieniać swój wygląd, i pozwoliłem brodzie rosnąć swobodnie.

— Wierzysz teraz, że wszystko, co się dzieje, ma sens? — zapytałem. — Musiałem spotkać ciebie i twego ojca, żeby oprzeć się także ostatniej pokusie. Po ogłoszeniu przez Konstantyna unii mogłem być dla siebie poznać i z pomocą twego ojca doprowadzić do powstania ludowego w mieście, oddać je sultanowi i rządzić tu jako cesarz-lennik. Ale czy byłoby to godne mego pochodzenia?

Rzekła z udręką:

— Jeżeli to prawda, co mówisz, poznałam cię tylko z portretu cesarza Manuela. Także do Konstantyna jesteś podobny. Kiedy teraz mówisz mi o tym, aż dziwne, że nikt wcześniej nie zauważył podobieństwa.

— Mój sługa Manuel zobaczył je od razu — powiedziałem.

— Krew jest pełna tajemnic. Wraca tam, skąd wyszedł. Gdy powrócę do kościoła mego ojca,

także i odstępcą Johannes we mnie odzyska<sup>3</sup> wspólnotę z oświętymi tajemnicami. W moim losie dokona<sup>3</sup>o się wielokrotne pojednanie.

Rzek<sup>3</sup>a:

— Bazyleus Johannes Angelos z rodu Paleologów. I Anna Notaras, córka megaduksa Notarasa. Doprawdy, pojednanie będzie wielokrotne, gdy nasze losy dokonaj<sup>1</sup> się.

Nie wierzê już w nic! — krzyknê<sup>3</sup>a. — Nie wierzê, że wrócisz. Nie wierzê, że i ja wrócê. Nie wierzê w nic nieprzemijaj<sup>1</sup>cego. Tylko w podobieństwo, które nêci<sup>3</sup>o mnie, choæ o nim nie wiedzia<sup>3</sup>am. Bezwiednie pozna<sup>3</sup>am w tobie tylko krew królewsk<sup>1</sup>, a nie mêłczyznê spotkanego w jakimœ poprzednim życiu, tak że by<sup>3</sup> mi bliski, gdy po raz pierwszy spojrz<sup>3</sup>am mu w oczy. O, dlaczego powiedzia<sup>3</sup>eœ mi o tym. Dlaczego zabra<sup>3</sup>eœ mi wiarê, która mia<sup>3</sup>a mi daæ pociechê w omerci?

Zmieszany jej ż<sup>3</sup>oœci<sup>1</sup>, odpar<sup>3</sup>em:

— Myœla<sup>3</sup>em, że to zadowoli twoj<sup>1</sup> kobiec<sup>1</sup> próżnoœæ. Nasze rody s<sup>1</sup> równorzêdne. Nie poniż<sup>3</sup>acê się wybieraj<sup>1</sup>c mnie.

Rzek<sup>3</sup>a gwa<sup>3</sup>townie:

— Co mnie obchodz<sup>1</sup> rody i stany. Chodzi mi o ciebie. Ale dziêki za weselny podarunek. Dziêki za niewidzialn<sup>1</sup> koronê. Jestem wiêc bazyliss<sup>1</sup>, jeœli może ci się to wydaæ mi<sup>3</sup>e. Jestem, czym chcesz i czym ci się spodoba.

Jak by<sup>3</sup>a naga, zerwa<sup>3</sup>a się gwa<sup>3</sup>townie i podnios<sup>3</sup>a dumnie swój<sup>1</sup> piêkn<sup>1</sup> g<sup>3</sup>owê.

— B<sup>1</sup>dŸ wiêc sobie anio<sup>3</sup>em albo bazyleusem, kim zechcesz! — wykrzyknê<sup>3</sup>a. — Otul się w twoj<sup>1</sup> niewidzialn<sup>1</sup> i nie istniej<sup>1</sup>c<sup>1</sup> chwa<sup>3</sup>ê. Ja jestem kobiet<sup>1</sup>, tylko kobiet<sup>1</sup>. I nie masz mi nic do dania. Ani domu, ani dzieci, ani nawet nocy, kiedy stara i zwiêd<sup>3</sup>a mog<sup>3</sup>abym budziæ się bezpiecznie u twego boku i s<sup>3</sup>yszeæ twój oddech. Mog<sup>3</sup>abym dotykaæ ciebie, ca<sup>3</sup>owaæ twoje usta pomarszczonymi wargami. To by<sup>3</sup>oby szczêœcie. Ale tego nie chcesz mi daæ z powodu twej szaleñczej ż<sup>1</sup>dzy chwa<sup>3</sup>y. Cóż to za sens umieraæ dla przegranej sprawy? Kto ci za to podziêkuje? Kto będzie ciê choæby tylko pamiêtaæ, gdy legniesz skrwawiony i kurz otuli twoj<sup>1</sup> twarz? Twoja ofiara jest tak nierozumna, że może doprowadziæ kaŸd<sup>1</sup> kobietê do p<sup>3</sup>aczu.

Szlochaj<sup>1</sup>c podnios<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>os, aż wybuch<sup>3</sup>a nagle gorzkim p<sup>3</sup>aczem, rzuci<sup>3</sup>a mi się na szyjê, objê<sup>3</sup>a mnie i ca<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>a żarliwie:

— Wybacz mi — prosi<sup>3</sup>a. — Obieca<sup>3</sup>am sobie, że nie będê ciê wiêcej drêczy<sup>3</sup>a, ale jestem s<sup>3</sup>aba. Kocham ciê przecież. Choæbyœ by<sup>3</sup> żebrakiem albo zdrajc<sup>1</sup>, albo wyrzutkiem, to i tak kocha<sup>3</sup>abym ciê i chcia<sup>3</sup>abym móc żyæ razem z tob<sup>1</sup>. Może by<sup>3</sup>abym niezadowolona i ci<sup>1</sup>gle bym cię rani<sup>3</sup>a, ale mimo to kocha<sup>3</sup>abym ciê. Wybacz mi!



Nasze <sup>3</sup>zy zmiesza<sup>3</sup>y siê, pi<sup>3</sup>em ich sól z jej policzków i ust. Marnocœæ wszystkiego pali<sup>3</sup>a mi serce jak rozżarzone żelazo. Podobnie jak p<sup>3</sup>omieñ, który bucha wysoko, nim zgaenie. W tej chwili w<sup>1</sup>tpi<sup>3</sup>em w siebie i chwia<sup>3</sup>em siê. I to by<sup>3</sup>a moja ostatnia pokusa, ciêższa niź pokusy na kolumnie Konstantyna. W porcie stoj<sup>1</sup> okrêty Giustinianiego gotowe do żeglugi, gdyby okaza<sup>3</sup>o siê to konieczne. Nawet setki tureckich okrêtów nie mog<sup>3</sup>yby im przeszkodziæ w wy<sup>3</sup>amaniu siê, gdyby jutro wiatr okaza<sup>3</sup> siê pomyœlny.

Przed zachodem s<sup>3</sup>oñca zastuka<sup>3</sup> do drzwi Giustiniani i zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> nas. Odryglowa<sup>3</sup>em drzwi i wszed<sup>3</sup> do wnêtra, dwornie nie rozgl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c siê po izbie.

— U Turków cicho — oznajmi<sup>3</sup>. — Ta cisza straszniejsza jest niź zgie<sup>3</sup>k i ogniska. Su<sup>3</sup>tan podzieli<sup>3</sup> ich na grupy po tysi<sup>1</sup>c ludzi i naznaczy<sup>3</sup> kaźdej grupie godzinê ataku. I nie o islamie mówi<sup>3</sup> do nich, lecz o najwiêkszej grabieży wszechczasów. O skarbach w pa<sup>3</sup>acu, o œwiêtych naczyniach w koœcio<sup>3</sup>ach, o per<sup>3</sup>ach, o klejnotach. Opowiadaj<sup>1</sup>, że przez dwie godziny mówi<sup>3</sup> o wszystkim, co moźna zrabowaæ i spl<sup>1</sup>drowaæ w Konstantynopolu, i nie zapomnia<sup>3</sup> przy tym nadmieniaæ o piêknych greckich m<sup>3</sup>odzieniaszkach i dziewczêtach, na które nie spojrze<sup>3</sup> jeszcze żaden mêtczyzna. Dla siebie zastrzeg<sup>3</sup> tylko mury i wszystkie publiczne budynki. Turcy pociêli na proporczyki do oszczepów wszystek materia<sup>3</sup>, jaki mieli, by oznaczaæ w ten sposób — kaźdy dla siebie — domy do spl<sup>1</sup>drowania. Biegli w piœmie derwisze naznaczyli proporczyki literami i liczbami islamu i to zajêcie da<sup>3</sup>o im wiêcej pracy niź ostrzenie mieczy i zbijanie drabin szturmowych.

W ci<sup>1</sup>gu dnia Giustiniani kaza<sup>3</sup> balwierzowi obci<sup>1</sup>æ i ufarbowaæ sobie brodê i przeplecæ j<sup>1</sup> z<sup>3</sup>ot<sup>1</sup> nitk<sup>1</sup>. Jego pancerz bez jednej plamki b<sup>3</sup>yszcza<sup>3</sup>, a p<sup>3</sup>atnerz wyrówna<sup>3</sup> m<sup>3</sup>otkiem wszelkie jego nierównocci. Giustiniani pachnia<sup>3</sup> z daleka wonnymi maœciami i wgl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> ze wszech miar okazale.

— Nie pójdziecie ze mn<sup>1</sup> do koœcio<sup>3</sup>a, drogie dzieci? — zapyta<sup>3</sup>. — Turcy odbywaj<sup>1</sup> drzemkê przed szturmem. To, co dzia<sup>3</sup>a zd<sup>1</sup>ż<sup>1</sup> jeszcze zniszczyæ, mog<sup>1</sup> naprawiaæ moi ludzie. Pospieszcie siê i odziejcie przyzwoicie, by jako ucziwi ch<sup>3</sup>opczy móc przyst<sup>1</sup>piæ do ostatniej komunii i z<sup>3</sup>ożyæ œeluby na dzisiejsz<sup>1</sup> noc.

Obrzuci<sup>3</sup> nas wzrokiem i nie móg<sup>3</sup> siê powstrzymaæ, by nie dodaæ:

— A z waszych twarzy widzê, że bêdzie to <sup>3</sup>atwiejsze dla was niź dla wielu innych.

Pojechalicemy razem do koœcio<sup>3</sup>a, gdy dzieñ zgas<sup>3</sup> za tureckim obozem ostatni<sup>1</sup> krwaw<sup>1</sup> <sup>3</sup>un<sup>1</sup> rzucon<sup>1</sup> na zielone kopu<sup>3</sup>y koœcio<sup>3</sup>ów. Cesarz Konstantyn przyby<sup>3</sup> do bazyliki z ca<sup>3</sup>ym swoim dworem, senatorami i archontami w szyku przepisany ceremoni<sup>3</sup>em i kaźdy by<sup>3</sup> odziany stosownie do rangi i stanowiska. W sercu mym wiedzia<sup>3</sup>em, że Bizancjum, które nigdy wiêcej nie mia<sup>3</sup>o siê odrodziæ, zebra<sup>3</sup>o siê tu po raz ostatni, by poœwiêciæ siê œmierci.

Wenecki bailon, rada dwunastu i weneccy szlachcice teź byli uroczyœcie odziani. Ci, którzy przysli z murów, mieli zamiast jedwabi i aksamitów b<sup>3</sup>yszcz<sup>1</sup>ce pancerze. Dowódcy genueñscy

zebrali się wokół Giustinianiego. Potem grecki lud Konstantynopola wypęnił oświetły kościół Justyniana, nie bacząc już na religijne spory. W tej ostatniej chwili przyszedł tam także setki księży i mnichów, na przekór kl'ctwie. W obliczu śmierci nie było już niezgody, nieufności i wewnętrznej nienawiści. Każdy schylał głowę przed niewytłumaczalnym misterium wedle swego sumienia.

Setki lamp płonęły aromatycznymi płomieniami i oświetlały kościół jak w biały dzień. Ogromne i śagodne, niewypowiedziane melancholijne patrzyły mozaikowe obrazy ze złotych cecian. Gdy chóry anielsko czystych głosów zaczęły świeć hymny, zaczęły się nawet spuchnięte oczy Giustinianiego, tak że musiał je ocierać obiema rękami. Wielu dzielnych mężów płakało głośno.

Wobec nas wszystkich cesarz wyznał swoje grzechy w uświęconych przez wieki śowach. Także śacinnicy przyłączyli się do niego w mruźnym chórze.

Wyznanie wiary wygłosił grecki metropolita, opuszczając drażliwe śowa "i od Syna". Biskup Leonard wygłosił śacińskie wyznanie wiary dla śacinników. W greckiej modlitwie nie wymieniono już papieża. śacinnicy włączyli go do swoich modłów. Ale nikogo nie oburzały w ten wieczór takie różnice. Wszystko odbywało się jakby za cichym porozumieniem i Grecy płakali z wielką ulgą, śyszając, że wiara ich nie jest już więcej naruszana.

Po nabożeństwie cesarz Konstantyn przemówił do ludu i powiedział głosem drżącym od wzruszenia:

— Turcy mają dzieła i mrowie ludzi, ale my mamy naszego Boga i Zbawiciela. Nie traemy nadziei.

Uściskał przyjaciół i najbliższych, ucałował każdego z nich i prosił, by wybaczyli mu wszystko, co wobec nich zawinił. Także najbliższym stojących prostych ludzi całował, prosił o przebaczenie i obejmował w uścisku. Jego przykład sprawił, że śacinnicy też zaczęli uściskać się i prosić o wybaczenie, i nawet wenecki bailon ze śzami w oczach uściskał Giustinianiego błagając o darowanie mu jego złych myśli. Weneccjanie i Genuńczycy obejmowali się nawzajem i obiecywali sobie walczyć dzielnie i współzawodniczyć ze sobą o chwałę. Myślę, że dzisiaj wszyscy uczciwie myśleli to, co mówili.

Było już ciemno, gdy wyszliśmy z kościoła, ale we wszystkich domach płonęło światło, a główna ulica oświetlona była pochodniami i latarniami od kościoła M'drości Bożej aż do Blachern i bramy Charisiosa. Dzwony i kołtki dzwoniły we wszystkich kościołach i klasztorach, tak że ten wieczór był jak jedno wielkie radosne święto.

A nad światłami miasta płonęły jasne gwiazdy na czarnym niebie.

Przy kościele świętych Apostołów odłączyliśmy się od orszaku cesarskiego. Konstantyn uściskał jeszcze raz Giustinianiego i prosił go o wybaczenie. Wielu Greków poszło do domów zdjąć uroczyście szaty, położyć się z żonami i dziećmi i włożyć pancerze, by potem pocieszyć na mury.

W czasie tej przerwy spotka<sup>3</sup>em Niemca Joanna Granta i zsiad<sup>3</sup>em z konia, by go uęciskaæ i podziękowaæ mu za jego przyjaŃñ. Mia<sup>3</sup> twarz osmolon<sup>1</sup> prochem, porusza<sup>3</sup> siê z trudem i mruga<sup>3</sup> bezustannie oczyma. Ale jeszcze w ten ostatni wieczór poch<sup>3</sup>ania<sup>3</sup>a go niezaspokojona ÷<sup>1</sup>dza wiedzy. Wskaza<sup>3</sup> na dwóch sêdziwych, <sup>3</sup>ysych i bezzêbnych staruchów, którzy chwiej<sup>1</sup>c siê na nogach przechodzili obok, prowadzeni przez m<sup>3</sup>odzieńca w stroju cesarskich techników, ale zaopatrzonego w szczególnie czerwony znak honorowy, jakiego przedtem nigdy jeszcze nie widzia<sup>3</sup>em.

— Wiesz kto to jest? — zapyta<sup>3</sup>. Potrz<sup>1</sup>sn<sup>13</sup>em g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>. Powiedzia<sup>3</sup>: — Przychodz<sup>1</sup> z najtajniejszej podziemnej komory w arsenale, gdzie sporz<sup>1</sup>dza siê ogieñ grecki. Widzisz, jak ÷<sup>3</sup>ty na twarzy jest ten ch<sup>3</sup>opak i jak przeredzone s<sup>1</sup> ju<sup>1</sup> jego w<sup>3</sup>osy? Starcy stracili wszystkie zêby i skóra <sup>3</sup>uszczy siê im na ca<sup>3</sup>ym ciele. Chêtnie bym z nimi pomówi<sup>3</sup>, ale s<sup>1</sup> czujnie strze<sup>1</sup>eni i ka<sup>1</sup>dy, kto próbuje do nich zagadaæ, ginie na miejscu.

Zapas surowców ju<sup>1</sup> siê skończy<sup>3</sup> — ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>. — Ostatecznie naczynia wyniesiono na mur i na okrêty. Znam czêœæ ingrediencji, ale nie wszystkie i nie wiem, jak siê je miesza. Najdziwniejsze jest, ÷e ten ogieñ sam siê zapala, gdy tylko wytryœenie. Nie jest to oddzia<sup>3</sup>ywanie powietrza, gdy<sup>1</sup> w dzbanach wyrzuconych przez katapulty znajduj<sup>1</sup> siê specjalne zapalniki, które zapalaj<sup>1</sup> ciecz. Musi ona zawieraæ sporo nafty, gdy<sup>1</sup> p<sup>3</sup>ywa na wodzie i nie daje siê ugasiæ wod<sup>1</sup>. Tylko piaskiem i octem mo<sup>1</sup>na j<sup>1</sup> zgasiæ. Weneccy ÷eglarze twierdz<sup>1</sup>, ÷e w razie koniecznoœci niewielkie krople tej cieczy da siê ugasiæ moczem. Ci starcy, to ostatni ludzie znaj<sup>1</sup>cy tê dziedziczn<sup>1</sup> tajemnicê, która liczy sobie tysi<sup>1</sup>c lat. Nikomu nigdy nie by<sup>3</sup>o wolno jej zapisaæ, a dawniej odcinano jêzyk wszystkim, którzy pracowali w podziemnych komorach. Gdyby Turcy jutro zdobyli miasto, ostatnim zadaniem stra<sup>1</sup>ników arsena<sup>3</sup>u jest zabicie staruchów, tak aby zabrali oni tajemnicê z sob<sup>1</sup> do grobu. Dlatego te<sup>1</sup> pozwolono im dzie<sup>1</sup> przyjeæ do koœcio<sup>3</sup>a pierwszy raz od dziesi<sup>1</sup>tków lat.

Wzruszy<sup>3</sup> ramionami i westchn<sup>13</sup>:

— Wiele jest tajemnic, które umr<sup>1</sup> z tym miastem. Tyle cennej wiedzy. Wszystko na pró<sup>1</sup>no, Johannesie Angelosie, nie ma nic bardziej nienawistnego jak wojna. Mówiê to teraz, po zniszczeniu dziewiêtnastu tureckich podkopów i u<sup>1</sup>yciu ca<sup>3</sup>ej mojej bieg<sup>3</sup>oœci i wiedzy po to, by dopomóc cesarskim technikom w zabijaniu Turków.

— Nie traæmy nadziei — wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup>em, choæ wiedzia<sup>3</sup>em, ÷e wszelka nadzieja przepad<sup>3</sup>a.

Splun<sup>13</sup> i rzek<sup>3</sup> gorzko:

— Moj<sup>1</sup> jedyn<sup>1</sup> nadziej<sup>1</sup> jest miejsce na weneckim okrêcie, w razie gdyby w ostatniej chwili uda<sup>3</sup>o mi siê dostaæ do portu. Innej nadziei nie mam — zacemia<sup>3</sup> siê sam do siebie, zmarszczy<sup>3</sup> osmalone czo<sup>3</sup>o i doda<sup>3</sup>: — Gdybym by<sup>3</sup> bardziej stanowczym cz<sup>3</sup>owiekiem, pobieg<sup>3</sup>bym — gdy tylko miasto padnie — do biblioteki z mieczem w rêku i ogo<sup>3</sup>oci<sup>3</sup> j<sup>1</sup> z rêkopisów, które chcia<sup>3</sup>bym mieæ,

oraz zabra<sup>3</sup> je ze sob<sup>1</sup> na okrê<sup>t</sup>. Ale czegoœ takiego nie zrobiê, bo jestem Niemcem i wychowano mnie w szacunku dla wiernoœci. Gdybym by<sup>3</sup> Italczykiem, mo¿e bym to potrafi<sup>3</sup>, gdy¿ Italczycy s<sup>1</sup> swobodniejsi i rozs<sup>1</sup>dniejsi ni¿ my, mieszkańcy pó<sup>3</sup>nocy. Dlatego te¿ gardzê samym sob<sup>1</sup>.

Powiedzia<sup>3</sup>em:

— Ńal mi ciebie, Joannie Grant, z powodu twojej straszliwej namiêtnoœci. Czy¿ nawet œwiête misterium dzieœ wieczorem nie zdo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>o oswobodziaê ciebie od w<sup>3</sup>asnego ja?

— Nie — odpar<sup>3</sup>. — Nic prócz wiedzy nie mo¿e mnie uwolniaê od mego w<sup>3</sup>asnego ja. Wiedza jest jedyn<sup>1</sup> wolnoœci<sup>1</sup> cz<sup>3</sup>owieka. A kiedy rozstawaliœmy siê, obj<sup>13</sup> mnie i powiedzia<sup>3</sup>:

— Nie jesteœ zadufany w sobie i nie narzucasz swojej wiary nikomu innemu. Dlatego lubi<sup>3</sup>em ciê, Jeanie Ange.

Kiedy zbli¿aliœmy siê do bramy œw. Romana w ch<sup>3</sup>odn<sup>1</sup> noc, uderzy<sup>3</sup> nas w nozdrza straszliwy trupi odór, na który, przebywaj<sup>1</sup>c stale na murach, prawie nie zwraca<sup>3</sup>o siê uwagi. Anna Notaras zaczê<sup>3</sup>a dr¿eæ, ale gdy zsiedliœmy z koni, Giustiniani powiedzia<sup>3</sup>:

— Odpocznijcie, moje dzieci, i przeœpijcie siê chwilê, póki czas. Godzinê, dwie albo mo¿e trzy mamy jeszcze dla siebie. Gdy tylko dokonam przegl<sup>1</sup>du posterunków wartowniczych, przeœpiê siê i ja chwilkê w tê bezgrzeszn<sup>1</sup> noc maj<sup>1</sup>c za poduszkê moje czyste sumienie. Zosta<sup>3</sup>em oszukany, ale z <sup>3</sup>aski Boga, nie z w<sup>3</sup>asnej zas<sup>3</sup>ugi, sam nie potrzebowa<sup>3</sup>em nikogo oszukaæ.

I doda<sup>3</sup>:

— PóŸniej, gdy wszyscy stan<sup>1</sup> ju¿ na swoich posterunkach, by broniaê resztek tego, co zosta<sup>3</sup>o z zewnêtrznego muru, bramy wypadowe zostan<sup>1</sup> zamkniête, a klucze przekazane cesarzowi. Tak postanowiono. Gdy wszyscy bêd<sup>1</sup> o tym wiedziaæ, nikt nie dozna pokusy, by szukaæ uciezki. Ci, którzy stoj<sup>1</sup> na zewnêtrznym murze, musz<sup>1</sup> wytrzymaæ albo polec. Dlatego przyjêliœmy dzieœ komuniê i nasza noc jest bez grzechu.

Anna Notaras zapyta<sup>3</sup>a:

— Gdzie jest moje miejsce?

Giustiniani rozcemia<sup>3</sup> siê Ÿyczliwie:

— Myœlê, ¿e musisz zadowoliaê siê wielkim murem. Na pierwszej linii bêdziemy zanadto zajêci, by móc siê tob<sup>1</sup> opiekowaæ. Szczerze mówi<sup>1</sup>c, bêdziesz tam przeszkadzaæ.

— IdŸ do Kerkoporty — rzek<sup>3</sup>em szybko. — Tam bêdziesz wœród swoich rodaków, pomiêdzy braœmi Guacchardi i Wenecjanami i w razie koniecznoœci mo¿esz wycofaæ siê do Blachern. Jeœli polegniesz, wola boska, ale nie bêdzie grzechem, jeœli schronisz siê na jakieœ okrê<sup>t</sup> <sup>3</sup>aciñski. Nie bêdziemy siê niepokoiaê o siebie.

Na moje s<sup>3</sup>owa zblad<sup>3</sup>a jak trup i œcisnê<sup>3</sup>a moje ramiê, a¿ siê zl<sup>1</sup>k<sup>3</sup>em i zapyta<sup>3</sup>em:

— Co ci jest? Nie czujesz się dobrze?

Szepnęła:

— Dlaczego wymieniła akurat Kerkoportę? Czy miała na myśli coś szczególnego?

— Miała na myśli tylko to co powiedziała — odrzekła, choć nie była to cała prawda. — Co też ci się stało?

Powiedziała szeptem:

— To może ten odór trupi przyprawia mnie o mdłości. Jestem kiepskim żołnierzem i nie chcę wam przeszkadzać. Pójdę do Kerkoporty i odtąd nie będziemy się już niepokoić o siebie. Ale do północy możemy chyba być razem. Proszę cię o to.

Ucieszyła się, że tak chętnie zgodziła się na jej propozycję, gdyż miała pewien plan i obawiała się, że będzie zmuszony przekonywać ją wbrew jej woli. Kerkoporta to najbezpieczniejsze miejsce w czasie szturmów i nie chciała, by musiała bronić się przed szybkimi jak błyskawice mieczami janczarów.

Zasnęła teraz, ale jak ja miałaby usnąć, kiedy po raz ostatni mogła rozkoszować się jej bliskością. Pisała przez ten czas i aż tutaj dochodził głośny szum tysięcy Turków, krzyków w oddali w swoim obozie, wlokących drabiny szturmowe i układowych stosek dla żołnierzy.

Niebawem będzie północ i przyjdzie Manuel, żeby zabrać moje papiery. Pisała szybko. Nie na próżno przez dwa lata była pisarzem w Soborze. Giustiniani opróżniła już skrzynię i spaliła dokumenty, które nie powinny wpadnąć w ręce Turków. Także z wielkiego komina w Blachernach unosił się smok ognia i zwęglone strzępy papieru fruwały na wietrze. Wieje od północy. Może to oznaczać ratunek dla setek żołnierzy.

Ponad czterdziestu młodzieńców z Pery zgłosiło się do Giustinianiego, by walczyć wspólnie ze swymi rodakami.

Honor nie pozwolił im pozostać bezpiecznie w neutralnej Perze, choć podstępnie dał im się zastraszyć sułtanowi i zagroził karą śmierci każdemu, kto wystawi na szwank neutralność Pery. Kazał zamknąć bramy miejskie, ale ci młodzieńcy przelecieli przez mury nadbrzeżne, a strażnicy przymknęli oko i udawali, że nie słyszeli skrzypienia wiosł w łodziach.

Dzień w nocy nikt nie oskarża bliźniego, wszystkie grzechy są wybaczone i każdy pozwala innym, by szli za głosem sumienia. Jeżeli ktoś ucieknie na wenecki okręt i przekupi kapitana, to jego sprawa. Jeżeli ktoś w ostatniej chwili wymknie się z muru i ukryje w mieście, odpowiada za to będzie tylko przed własnym sumieniem. Dezerterzy nie zostaną już schwytani, gdyż jest ich niewielu,

jest ich niewiarygodnie ma<sup>3</sup>o, jeżeli pomyśleć o tych wszystkich kalekach, starcach i dziesięcioletnich ch<sup>3</sup>opcach, którzy w ci<sup>1</sup>gu dnia przyszli na mur, by umrzeć za swoje miasto.

To jest noc Greków. Widzia<sup>3</sup>em ich oczy naznaczone wielusetletni<sup>1</sup> melancholi<sup>1</sup>. Na dworze hucz<sup>1</sup> dzwony i ko<sup>3</sup>atki, œmiertelne dzwony dla ostatniego Rzymu.

Niebawem przyjdzie Manuel. Nale<sup>2</sup>y on do tych, którzy nie gin<sup>1</sup>.

29 maja 1453

*Aleo he polis*

Miasto jest stracone.

Ten okrzyk bêdzie brzmieć, dopóki istnieje œwiat. I jeżeli po wiekach mam odrodzić się do <sup>2</sup>ycia, s<sup>3</sup>owa te bêd<sup>1</sup> wywo<sup>3</sup>ywać zgrozê w moich uszach i w<sup>3</sup>osy bêd<sup>1</sup> mi się je<sup>2</sup>yć od strachu. Bêdê je pamiêtać i poznawać, nawet gdybym nie pamiêta<sup>3</sup> nic innego i dusza moja by<sup>3</sup>a jak czysto wyg<sup>3</sup>adzona woskowa tabliczka.

*Aleo he polis*

Ale ja wci<sup>1</sup>¿ jeszcze <sup>2</sup>yjê. Tak zatem mia<sup>3</sup>o być. Mam wychylić do dna także i ten ostatni kielich i w<sup>3</sup>asnymi oczyma patrzeć na zag<sup>3</sup>adê mego miasta i mego ludu. A więc piszê dalej. Lecz aby prawdziwo to opisać, powinienem umoczyć pióro we krwi i kreœlić ni<sup>1</sup> ka<sup>2</sup>d<sup>1</sup> literê. A krwi by nie zabrak<sup>3</sup>o. Krew p<sup>3</sup>ynie rynsztokami jak skrzep<sup>3</sup>a i kleista ma<sup>3</sup>. Krew sp<sup>3</sup>ywa wci<sup>1</sup>¿ jeszcze z ran umieraj<sup>1</sup>cych w gor<sup>1</sup>ce ka<sup>3</sup>u<sup>2</sup>e. Na g<sup>3</sup>ównej ulicy, ko<sup>3</sup>o Hipodromu i wokó<sup>3</sup> bazyliki, le<sup>2</sup>y tyle trupów, <sup>2</sup>e ledwie mo<sup>2</sup>na tamtêdy przejœć, <sup>2</sup>eby na nie nie nadepn<sup>1</sup>æ.

Jest znowu noc. Siedzê w moim domu, którego strze<sup>2</sup>e oszczep z zielonym proporczykiem. Zatk<sup>3</sup>em sobie uszy woskiem, by nie s<sup>3</sup>yszeć wrzasków hañbionych kobiet i dzieci, ryku pl<sup>1</sup>druj<sup>1</sup>cych, którzy bij<sup>1</sup> się o <sup>3</sup>upy, krzyku œmierci, który unosi się bez przerwy nad moim miastem.

Zmuszam się, <sup>2</sup>eby być ch<sup>3</sup>odnym. Piszê, choć rêka mi dr<sup>2</sup>y. Dr<sup>2</sup>ê na ca<sup>3</sup>ym ciele. Nie z lêku. Nie bojê się o siebie. Moje <sup>2</sup>ycie jest mniej warte ni<sup>2</sup> ziarenko piasku na ulicy. Ale z powodu tego cierpienia i bólu, które wylewaj<sup>1</sup> się z tysiêcy <sup>3</sup>ródê<sup>3</sup> wokó<sup>3</sup> mnie w tê noc bezmiernego strachu.

Widzia<sup>3</sup>em m<sup>3</sup>od<sup>1</sup> dziewczynê skalan<sup>1</sup> okrwawionymi rêkami, jak rzuca<sup>3</sup>a się do studni. Widzia<sup>3</sup>em, jak jakie<sup>3</sup> otr wyrwa<sup>3</sup> matce oseska i œmiej<sup>1</sup>c się nadzia<sup>3</sup> go na oszczep swego towarzysza, by potem przewróciæ kobietê na ziemiê. Widzia<sup>3</sup>em wszystko, co ludzie mog<sup>1</sup> wyrz<sup>1</sup>dziæ sobie nawzajem. Tak, widzia<sup>3</sup>em nad miarê.

Wkrótce po pó<sup>3</sup>nocy ci, którzy poœwiêcili <sup>2</sup>ycie obronie, zajêli posterunki na murze

zewnêtrznym. Nastêpnie zamkniêto bramy wypadowe w wielkim murze i klucze przekazano g³ównodowodz¹cym na ró¿nych odcinkach. Niektórzy modlili siê, ale wiêkszoœæ u³o¿y³a siê na spoczynek na ziemi, a wielu naprawdê usnê³o.

Tymczasem lekkie okrêty tureckie zaczê³y siê zbli¿aæ do muru portowego. Tak¿e wielka flota turecka wyp³ynê³a z Bosforu i rozwinê³a siê wzd³u¿ muru morskiego od Wie¿y Marmurowej a¿ do Neorionu i zapory portowej. W ten sposób su³tan atakowa³ mur miejski wszêdzie, tak ¿e nigdzie nie mo¿na by³o zwolniaæ ¿adnych si³ dla wsparcia zagro¿onych punktów. Wszêdzie Turcy dostali rozkaz atakowania nas rzeczywicie, a nie tylko dokonywania pozornych ataków jak dotychczas. Dlatego te¿ nawet okrêty wyposa¿one by³y w drabiny i mostki szturmowe, a ich maszty obsadzone gêsto przez uczniów.

Pierwszemu, kto stanie na murze, su³tan obieca³ buñczuk i namiestnictwo prowincji. Ka¿demu, kto siê wycofa albo z³o¿y broñ, obieca³ œmieræ. Pierwsze jego oddzia³y szturmowe otoczone by³y czauszami.

Na trzy godziny przed œwitem zaczê³y graæ bêbny i piszcza³ki i wybuch³ ogromny zgie³k, gdy czo³owe oddzia³y szturmowe g³oœnym krzykiem podnieca³y siê do natarcia. Wy³om, którego broniliœmy ko³o bramy œw. Romana, by³ szeroki na ponad tysi¹c stóp. Jako pierwsze wys³a³ su³tan swoje oddzia³y pomocnicze, samych pastuchów i koczowników, którzy przybyli z krajów Azji, ¿eby uczestniczyæ w œwiêtej wojnie islamu. Byli oni uzbrojeni tylko w oszczepy lub miecze i mieli dla ochrony jedynie w¹skie tarcze drewniane.

Kiedy zbli¿y³ siê do muru, tureckie hakownice i szlengi otworzy³y gwa³towny ogieñ i spad³a na nas z szumem chmura strza³. Potem podnios³y siê nieraz setki drabin szturmowych opieraj¹c siê o prowizoryczny wa³. Wzywaj¹c Allacha, modl¹c siê, bluzgaj¹c obelgami i rycz¹c ze strachu ruszy³y do szturmowania pierwsze oddzia³y po tysi¹c ludzi. Ale ich drabiny przewrócono, trysn¹³ na nich ogieñ grecki, a kêbowisko ludzkie pod wa³em zasypano strza³ami, gotuj¹c siê smo³¹ i roztopionym o³owiem z³ytek o d³ugich rêkojœciach. Zgie³k i ryk by³y tak og³uszaj¹ce, ¿e niebawem nic ju¿ nie s³yszeliœmy. Turcy atakowali wzd³u¿ ca³ego muru l¹dowego, a ich dzia³a zaczê³y grzmieæ tak¿e w porcie i na morzu.

Ciê¿ko poparzeni, niektórzy z atakuj¹cych usi³owali rycz¹c uciekaæ, ale czauszowie, którzy zajêli stanowiska nad fos¹, rozcinali im g³owy mieczami i zwalali z zimn¹ krwi¹ ich trupy wype³niaj¹c nimi rów fosy. Wkrótce wzd³u¿ wa³u wznosi³y siê pagórki trupów, siêgaj¹c w niektórych miejscach do po³owy jego wysokoœci.

Po oddzia³ach nieregularnych su³tan pos³a³ oddzia³y chrzeœcijañskie swoich przymusowych sprzymierzeñców oraz ¿¹dnych rabunku renegatów, którzy zebrali siê pod jego sztandarami z ró¿nych krajów. Walczyli o ¿ycie i wielu z nich stanê³o przez chwilê na murze, dopóki nie spadli na dó³ na góry trupów. Straszne by³o s³yszeæ, jak we wszystkich jêzykach Europy wzywaj¹ Chrystusa i Œwiêt¹ Dziewicê, podczas gdy Turcy wzywali Allacha i Proroka. Wiele razy sta³em oko w oko z twarz¹, która wykrzywia³a siê œmiertelnym przera¿eniem, a potem znika³a w ciemnoœci na dole.

Wielu z zakutych w ¿elazo Geneuñczyków odnios³o rany lub pad³o od tureckich kul, gdy¿ ostrzeliwanie fosy z drugiej strony nie ustawa³o ani na chwilê i Turcy nie zwa¿ali, czy trafiaj¹

w<sup>3</sup>asnych ludzi, czy nas. Ranni Genuëńczycy walczyli jeszcze klêcz<sup>1</sup>c na skraju wa<sup>3</sup>u i nie usi<sup>3</sup>uj<sup>1</sup>c odczo<sup>3</sup>gaæ siê w bezpieczne miejsce, dopóki atakuj<sup>1</sup>cy nie œci<sup>1</sup>gnêli ich w dó<sup>3</sup> Źelaznymi hakami.

Mniej wiêcej po godzinie su<sup>3</sup>tan pozwoli<sup>3</sup> tym, którzy przeŹyli, wycofaæ siê i kaza<sup>3</sup> daæ ognia z wycelowanych wielkich dzia<sup>3</sup>. Straszliwe kule kamienne rozsadzi<sup>3</sup>y nasze przedpiersia i zmiot<sup>3</sup>y drewniane skrzynie i beczki z ziemi<sup>1</sup> w uliczkê miêdzy murami. Łomot spadaj<sup>1</sup>cych belek wype<sup>3</sup>ni<sup>3</sup> powietrze. Kurz jeszcze nie osiad<sup>3</sup> i dym prochowy nie rozproszy<sup>3</sup> siê, gdy ruszyli do szturm Turcy anatolijscy.

Byli to szybcy i dzicy ludzie, którzy œmieli siê radoœnie wdrapuj<sup>1</sup>c siê sobie nawzajem na ramiona gêstymi gronami, by dosiêgn<sup>1</sup>æ korony wa<sup>3</sup>u. Nie potrzebowali czauszów do podgania, gdyŹ byli to prawdziwi Turcy, którzy mieli wojnê we krwi. Nie prosili o <sup>3</sup>askê, lecz ginêli z imieniem Allacha na ustach. Wiedzieli, Źe unosi siê nad nimi dziesiêæ tysiêcy anio<sup>3</sup>ów islamu i Źe w chwili œmierci kaŹdy z nich pójdzie prosto do raj!

Nacierali gêstymi falami po tysi<sup>1</sup>c ludzi, wyj<sup>1</sup>c i obrzucaj<sup>1</sup>c chrzeœcijan tak straszliwymi obelgami i groŸbami, Źe nie umiem ich opisaæ. Ale nasza obrona wci<sup>1</sup>Ź jeszcze dotrzymywa<sup>3</sup>a placu. Luki w naszych szeregach zamyka<sup>3</sup>y siê na nowo, a gdzie tylko zdawa<sup>3</sup>o siê, Źe Źelazny mur zaczyna siê uginaæ, spieszy<sup>3</sup> na miejsce Giustiniani, by dodawaæ odwagi swoim ludziom i rozcinaæ Turków do pasa swym dwurêcznym mieczem. Tam, gdzie jego postaæ pojawia<sup>3</sup>a siê na wale, natarcie s<sup>3</sup>ab<sup>3</sup>o i Turcy wznosili drabiny w nowym miejscu.

Podczas gdy natarcie Anatolijczyków odp<sup>3</sup>ywa<sup>3</sup>o od murów, na niebie zaczê<sup>3</sup>y siê pojawiaæ pierwsze trupioszare smugi brzasku. By<sup>3</sup>em tak obola<sup>3</sup>y i pot<sup>3</sup>uczony na ca<sup>3</sup>ym cielesie, a moje ramiona tak omdla<sup>3</sup>y ze zmêczenia, Źe za kaŹdym ciosem s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>em, iŹ nie zdo<sup>3</sup>am juŹ unieœæ miecza. Wielu z zakutych w Źelazo Genuëńczyków dysza<sup>3</sup>o z utrudzenia i s<sup>3</sup>ychaæ by<sup>3</sup>o, jak gra im w p<sup>3</sup>ucach, gdy wo<sup>3</sup>ali o wodê. Ale gdy Turcy zaczęli siê wycofywaæ, w wielu z nas zbudzi<sup>3</sup>a siê znowu nadzieja i jakieœ biedny g<sup>3</sup>upiec zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> nawet na wpó<sup>3</sup> zd<sup>3</sup>awionym g<sup>3</sup>osem “victoria!”

Gdy mogliemy juŹ odróŹniæ czarn<sup>1</sup> nitkê od bia<sup>3</sup>ej i gdy noc rozproszy<sup>3</sup>a siê, ujrzelicemy wysokie bia<sup>3</sup>e filcowe czapki janczarów w równych szeregach naprzeciwko nas po drugiej stronie fosy. Stali uszykowani w grupach po tysi<sup>1</sup>c ludzi i czekali w milczeniu na rozkaz natarcia. Su<sup>3</sup>tan Mehmed sam pojawi<sup>3</sup> siê przed nimi z Źelaznym nadziakiem dowódcy w d<sup>3</sup>oni. Spiesznie wycelowalicemy szlangi i hakownice w tamt<sup>1</sup> stronê i oddalicemy salwê, ale go nie trafilicemy. Wielu janczarów wokó<sup>3</sup> niego pad<sup>3</sup>o, ale ich szyki pozosta<sup>3</sup>y nieruchome i ciche. Z ty<sup>3</sup>u wyst<sup>1</sup>pili nowi, by wype<sup>3</sup>niæ luki, i wiedzia<sup>3</sup>em, Źe dumni s<sup>1</sup> z tego, Źe mog<sup>1</sup> stan<sup>1</sup>æ w pierwszym szeregu przed oczyma su<sup>3</sup>tana, na miejscu, do którego nie upowaŹnia<sup>3</sup> ich wiek i lata s<sup>3</sup>uŹby. Odziani na zielono czausze ustawili siê szybko przed su<sup>3</sup>tanem, by chroniæ go w<sup>3</sup>asnymi cia<sup>3</sup>ami.

Kobiety i starcy na wielkim murze wykorzystali przerwê, by spuœciaæ nam na linach wodê zmieszana<sup>1</sup> z winem w ogromnych wiadrach. Choæ sam wielki mur rozbity by<sup>3</sup> kulami tak, Źe w wielu miejscach nie przewyŹsza<sup>3</sup> zewnêtrznego wa<sup>3</sup>u ziemnego, wci<sup>1</sup>Ź jeszcze trudno siê by<sup>3</sup>o nañ



wdrapywaæ.

Wszystko, co sta³o siê potem, mogê opisaæ tylko tak, jak to widzia³em, i mo¿e ktoœ inny opowiedzia³by to inaczej, gdy¿ ludzka zdolnoœæ obserwacji jest zawsze niedoskona³a. Sta³em jednak ca³kiem blisko Giustinianiego i zdaje mi siê, ¿e dobrze widzia³em, co siê sta³o.

Zd¹¿y³em us³yszeæ krzyk i rzuciæ siê na ziemiê, gdy Turcy jeszcze raz dali ognia ze swoich czterech dzia³ i wszelkiej innej broni palnej potê¿n¹ salw¹. Wiatr przybra³ na sile i zmiót³ szybko przewalaj¹ce siê czarne jak wêgiel chmury dymu. Podczas gdy³oskot i biadania milk³y, zobaczy³em, jak Giustiniani z wolna osuwa siê i siada na ziemi. W jego napierœniku po jednej stronie szczyrzy³a siê dziura wielkoœci piêœci po o³owianej kuli, która trafi³a go skoœnie od ty³u. W jednej chwili twarz jego robi³a siê o³owianoszara, a jego animusz zgas³, tak ¿e nagle sta³ siê starcem, choœ dzieñ przedtem ufarbowa³ w³osy i brodê. Wyplu³ przed siebie krwawy k³¹b, a z pachwiny te¿ la³a mu siê krew spod pancerza.

— Dosta³em — zachrypia³. — To bêdzie moja œmieræ.

Stoj¹cy bli¿ej Genuœczycy otoczyli go, ¿eby na wa³ach nie zobaczono od razu, ¿e jest ranny. Patrzyli groŹnie wokó³ siebie.

— Ta kula pad³a od ty³u — warkn¹³ któryœ z nich.

Dwóch podbieg³o do mnie, chwycili mnie za ramiona i zdarli mi z r¹k pancerne rêkawice, by zobaczyæ, czy nie mam na palcach œladów prochu. Potem podeszli do greckiego technika, który sta³ opodal i pospiesznie nabija³ hakownicê, zwalili go na ziemiê, szarpili go za brodê i kopieli obutymi w ¿elazo nogami. Wszyscy patrzyli w stronê wielkiego muru i wygra¿ali piêœciami.

— Na Chrystusa, bracia — odezwa³ siê Giustiniani s³abym g³osem. — Nie k³óæcie siê teraz. Wszystko jedno, sk¹d pad³a kula. Byæ mo¿e odwróci³em siê, by spojrzeæ na mur, i kula nadlecia³a od Turków. Dla mnie to obojêtnie. Zawó³ajcie lepiej felczera.

Zaczêli chórem wo³aæ o felczera, ale Grecy na murze odpowiedzieli, ¿e nikt nie mo¿e przyjœæ, poniewa¿ brama jest zamkniêta. Wprawdzie odwa¿ny cz³owiek móg³by siê³atwo spuœciæ na linie opieraj¹c siê grzbietem o mur, ale zrozumia³e by³o, ¿e ¿aden lekarz nie chcia³ tego zrobiæ nawet dla Giustinianiego, gdy¿ w³aczenie w tej chwili zaczê³y dudniæ bêbny janczarów i muzyka zagra³a do ataku.

Wzywanie Allacha podczas natarcia by³oby poni¿ej ich godnoœci. Bieгли do szturmumilcz¹c w cichym i zajad³ym w³spó³zawodnictwie, kto pierwszy dotrze do wa³u. W wielu miejscach nie potrzebowali nawet drabin. Tak wysoko le¿a³y spiêtrzone trupy przed resztkami naszego muru zewnêtrznego. Natarcie by³o tak szybkie i gwa³towne, ¿e tylko kilku z obroñców zd¹¿y³o siê napiæ wody z winem, mimo ¿e wszyscy umieralicy z pragnienia. Wiadra przewraca³y siê u naszych

stóp, a w chwilê potem szala³a ju¿ walka pierœo o pierœo na szczycie wa³u.

Nie by³o to ju¿ tylko proste zabijanie, lecz prawdziwa wojna, gdy¿ janczarowie nosili ³uskowate pancerze i kolczugi. Ich miecze ciê³y szybko jak piorun i samym swym ciê¿arem zepchnêli obroñców. Genueñczycy Giustinianiego i Grecy przys³ani z odsiecz¹ zmuszeni byli po³¹czyæ siê w grupki, ¿eby móc stawiaæ opór ³iczn¹ wag¹ swoich cia³.

W³acenie wtedy na szczycie wielkiego muru pokaza³ siê cesarz na bia³ym rumaku. Twarz jego promienia³a i wo³a³ radoœnie:

— Wytrzymajcie, wytrzymajcie jeszcze raz, a zwyciêstwo bêdzie nasze!

Gdyby sta³ poœród nas i czu³, jak mdlej¹ nam cz³onki z utrudzenia, milcza³by.

Giustiniani uniós³ sw¹ bycz¹ g³owê, zacisn¹³ zêby z bólu i znowu wyplu³ krwawy skrzep, zakl¹³ ciê¿ko i zawo³a³ do cesarza, by wyda³ klucz od bramy wypadowej. Cesarz odkrzykn¹³ w odpowiedzi, ¿e rana z pewnoœci¹ nie jest niebezpieczna. Nie jest wskazane, by w³acenie w takiej chwili opuszcza³ swoich ludzi.

Giustiniani rykn¹³:

— Diabelny grecki wiaro³omco! Wiem chyba sam najlepiej, jak ze mn¹ jest. Zrzuaæ klucz, bo inaczej przyjdê na górê i zaduszê ciê w³asnymi rêkami.

Jego ludzie wybuchnêli œmiechem nie przerywaj¹c walki. Po chwili wahania cesarz ust¹pi³ i zrzuci³ wielki klucz tu¿ pod stopy Giustinianiego. Ten podniós³ klucz i pokaza³ nañ znacz¹co najbli¿szym swoim ludziom. Walka szala³a zaledwie o kilka kroków — wœród szczêku i zgrzytu mieczy o pancerze. Olbrzymi janczar ci¹³ wokó³ siebie zdobytym dwurêcznym mieczem, dopóki zakutym w ¿elazo Genueñczykom nie uda³o siê go otoczyæ i zwaliaæ na kolana. Mia³ tak dobr¹ zbrojê, ¿e musieli go r¹baæ po kawa³ku.

Gdy pierwsza fala janczarów wycofa³a siê na odpoczynek, do ataku posz³a nastêpna. Giustiniani wezwa³ mnie i powiedzia³:

— WeŹ mnie pod ramiê i pomó¿ mi st¹d wyjœæ. Dobry dowódca bije siê do ostatniej szansy, ale nie d³u¿ej.

Wzi¹³em go pod ramiê, a jeden z jego najbli¿szych ludzi wzi¹³ go pod drugie. Uda³o nam siê

sprowadziæ go z wa<sup>3</sup>u przez bramê wypadow<sup>1</sup> do miasta. Spotkalicemy tam cesarza, wzburzonego i otoczonego doradcami. By<sup>3</sup> bez zbroi, żeby móc poruszaæ siê swobodnie, odziany w purpurowe giez<sup>3</sup>o z narzuconym na nie p<sup>3</sup>aszczem w kolorze cesarskiej zieleni, haftowanym z<sup>3</sup>otem. Jeszcze raz zakl<sup>13</sup> Giustinianiego, by wytrzyma<sup>3</sup> i wróci<sup>3</sup> do walki, wyrażaj<sup>1</sup>c nadzieję, że rana nie musi być tak niebezpieczna. Ale Giustiniani nie odpowiedzia<sup>3</sup> mu, nie spojrze<sup>3</sup> nawet na niego. Z trudem znosi<sup>3</sup> straszliwy ból, który sprawia<sup>3</sup> mu kaźdy krok.

Cesarz wróci<sup>3</sup> na mur, by obserwowaæ bieg walki i radami dodawaæ Grekom otuchy. Uda<sup>3</sup>o nam siê zdj<sup>1</sup>æ z Giustinianiego pancerz. Gdy spad<sup>3</sup> na ziemiê, chlupota<sup>3</sup>a w nim krew.

Giustiniani da<sup>3</sup> znak swemu pomocnikowi i stêkn<sup>13</sup>:

— Odpowiadasz za życie ludzi. — Tamten skin<sup>13</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> i odszed<sup>3</sup> na wa<sup>3</sup>.

Dzień siê rozjaœni<sup>3</sup>.

— Giustiniani — rzek<sup>3</sup>em. — Dziêkujê ci za twoj<sup>1</sup> przyjaŃ, ale teraz muszê wracaæ na mury.

Machn<sup>13</sup> rêk<sup>1</sup>, skrzywi<sup>3</sup> siê z bólu i odpar<sup>3</sup> z trudem:

— Nie pleæ takich diabelnych g<sup>3</sup>upstw. Walka jest przegrana. Wiesz to równie dobrze jak ja. Jak mo¿e tysi<sup>1</sup>c œmiertelnie zmêczonych ludzi stawiaæ d<sup>3</sup>u¿ej opór dwunastu tysi<sup>1</sup>com janczarów w pe<sup>3</sup>nym uzbrojeniu? Jest dla ciebie miejsce na moim okrêcie. Uczciwie je sobie kupi<sup>3</sup>œœ i zap<sup>3</sup>aci<sup>3</sup>œœ.

Potem jêcza<sup>3</sup> przez chwilê z g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> w d<sup>3</sup>oniach, a¿ powiedzia<sup>3</sup>:

— Na Chrystusa, idŃ na mur, a potem przyjdŃ mi powiedzieæ, jak tam idzie.

Chcia<sup>3</sup> tylko siê mnie pozbyæ, gdy¿ zaczêli siê zbieraæ wokó<sup>3</sup> niego Genuêńczycy, którzy wchodzili pojedynczo przez bramê wypadow<sup>1</sup> chwiej<sup>1</sup>c siê na nogach, zalani krwi<sup>1</sup> od stóp do g<sup>3</sup>ów. Wszed<sup>3</sup>em na mur i zobaczy<sup>3</sup>em su<sup>3</sup>tana Mehmeda w brzasku dnia nad wype<sup>3</sup>nion<sup>1</sup> po brzegi fos<sup>1</sup>. Macha<sup>3</sup> żelaznym nadziakiem i zagrzewa<sup>3</sup> do natarcia janczarów, którzy biegli obok niego. Na ca<sup>3</sup>ym naszym odcinku szala<sup>3</sup>a walka na koronie wa<sup>3</sup>u. Genuêńczycy zbijali siê w coraz bardziej zwart<sup>1</sup> grupê i tu i tam widzia<sup>3</sup>em, jak jeden uderza<sup>3</sup> drugiego po ramieniu, zajmowa<sup>3</sup> jego miejsce i wysy<sup>3</sup>a<sup>3</sup> go do ty<sup>3</sup>u ku bramie wypadowej. Wycofywali siê z walki pojedynczo. Zda<sup>3</sup>em sobie sprawê, że walka jest przegrana. Bêbny janczarów dudni<sup>3</sup>y coraz donoœniej. Œmiertelna muzyka dla mego miasta.

Nagle ktoœ ko<sup>3</sup>o mnie pokaza<sup>3</sup> na pó<sup>3</sup>nocny wschód, na Blacherny. Starcy i kobiety, którzy dopiero co <sup>3</sup>amali rêce i zawodzili g<sup>3</sup>oœno z <sup>3</sup>a<sup>3</sup>oby, umilkli nagle i patrzyli nie wierz<sup>1</sup>c w<sup>3</sup>asnym oczom. Ale widok by<sup>3</sup> realny. We wschodz<sup>1</sup>cym s<sup>3</sup>oñcu lœni<sup>3</sup>y krwawoczerwone chor<sup>1</sup>gwie su<sup>3</sup>tana

ze srebrnym póksiêłycem na obu nie uszkodzonych wiełach ko<sup>3</sup>o Kerkoporty.

By<sup>3</sup> to obraz, którego nigdy nie zapomnê. I w tejże samej chwili zobaczy<sup>3</sup>o go ca<sup>3</sup>e miasto, gdył wzd<sup>3</sup>uł muru rozszed<sup>3</sup> siê najpierw niedowierzaj<sup>1</sup>cy szmer, a potem potêłniej<sup>1</sup>cy krzyk grozy: *Aleo he polis*.

Do okrzyku tego do<sup>3</sup>czy<sup>3</sup>y siê atakuj<sup>1</sup>ce tureckie oddzia<sup>3</sup>y chrapliwym wrzaskiem radoœci z tysiêcy garde<sup>3</sup>. Przez chwilê nie mog<sup>3</sup>em niczego zrozumieæ. By<sup>3</sup>o to przecieł wbrew wszelkiemu rozs<sup>1</sup>dkowi, że najlepiej zachowana czêœæ muru zosta<sup>3</sup>a zdobyta wczêœniej nił jakakolwiek inna. Nawet mur zewnêtrzny przed Kerkoport<sup>1</sup> by<sup>3</sup> prawie nie uszkodzony.

Ale tam powiewa<sup>3</sup>y na wielkim murze tureckie póksiêłyce. W tejże chwili nowe fale atakuj<sup>1</sup>cych janczarów zmiot<sup>3</sup>y w uliczkê miêdzy murami Greków i ostatnich Genuêńczyków. Id<sup>1</sup>cy na przedzie nie przerywali szturmowi, lecz natychmiast zaczęli zrêcznie jak koty wspinaæ siê na wielki mur, czepiaj<sup>1</sup>c siê kałdego kamienia i szczeliny. Strach doda<sup>3</sup> si<sup>3</sup> kobietom i niedorostkom, którzy staczali na nich g<sup>3</sup>azy. Metalowa paszcza nad bram<sup>1</sup> zaczę<sup>3</sup>a po raz ostatni rzygaæ ogniem, gdył nie grozi<sup>3</sup>o juł niebezpieczeństwo, że leł<sup>1</sup>ce bez<sup>3</sup>adnie na zewn<sup>1</sup>trz drewno zajmie siê p<sup>3</sup>omieniem. Jeden z cesarskich techników manewrowa<sup>3</sup> z si<sup>3</sup> rozpaczy dŷwigniami miotacza ognia. Ale p<sup>3</sup>on<sup>1</sup>cy strumieñ szybko wysech<sup>3</sup> i ostatnie krople spad<sup>3</sup>y bezsilnie na łwir. Ogieñ grecki skoñczy<sup>3</sup> siê.

Wszystko to sta<sup>3</sup>o siê w czasie krótszym, nił mogê to zapisaæ. Krzykn<sup>13</sup>em do cesarza i jego œwity, że najwyłszy czas iœæ do kontraktaku. A kiedy mnie nie us<sup>3</sup>yszeli, zeskoczy<sup>3</sup>em z muru, by pospieszyæ z powrotem do Giustinianiego. Przez ca<sup>3</sup>y czas brzmia<sup>3</sup> mi w uszach œmiertelny okrzyk miasta: *Aleo he polis*. Nawet kamienie jakby przy<sup>3</sup>czy<sup>3</sup>y siê do niego, gdył mur drł<sup>3</sup>a od tupotu stóp.

Genuêńczycy pomogli juł Giustinianiemu wsi<sup>1</sup>œæ na wielkiego rumaka i otoczyli go groŷn<sup>1</sup> gromad<sup>1</sup> z wyci<sup>1</sup>gniêtymi mieczami. Liczyli z pocz<sup>1</sup>tku czterystu zakutych w łelazo ło<sup>3</sup>nierzy i trzystu kuszników. Teraz by<sup>3</sup>a ich setka, tych którzy zebrali siê wokó<sup>3</sup> Giustinianiego. Nie mog<sup>3</sup>em mu w sercu robiæ wyrzutów, że chcia<sup>3</sup> ich uratowaæ.

— Powodzenia! — krzykn<sup>13</sup>em i pomacha<sup>3</sup>em rêk<sup>1</sup>. — Obyœe wnet wyzdrowia<sup>3</sup> i odebra<sup>3</sup> Lemnos Katalończykom. Zas<sup>3</sup>uły<sup>3</sup>œe sobie na to tysi<sup>1</sup>ckrotnie.

Ale po jego o<sup>3</sup>owianoszarej twarzy i przymkniêtych oczach widzia<sup>3</sup>em, że ło<sup>3</sup>nierze zabieraj<sup>1</sup> z sob<sup>1</sup> do portu umieraj<sup>1</sup>cego cz<sup>3</sup>owieka. Nie zdo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> nawet odwróciæ g<sup>3</sup>owy, by mi odpowiedzieæ. Jego ludzie podpierali go po obu stronach, żeby nie spad<sup>3</sup> z siod<sup>3</sup>a. Gdy tylko znik<sup>3</sup> za najbliłszym rogiem ulicy, zaczę<sup>3</sup>a siê powszechna ucieczka z murów. Wszêdzie ludzie zeskakiwali z muru, rzucali broñ i na œlepek uciekali miêdzy domy. Cesarz nie móg<sup>3</sup> ich juł zatrzymaæ.

Gdy Giustiniani znik<sup>3</sup>, jego zastêpca wci<sup>1</sup>ł jeszcze trzyma<sup>3</sup> otwart<sup>1</sup> bramê wypadow<sup>1</sup> i mieczem nie dopuszcza<sup>3</sup>, by strał cesarska j<sup>1</sup> zamknê<sup>3</sup>a. Przyjmowa<sup>3</sup> jednego po drugim chwiej<sup>1</sup>cych siê na nogach i potykaj<sup>1</sup>cych siê Genuêńczyków, zbiera<sup>3</sup> ich w grupki po dziesiêciu ludzi i posy<sup>3</sup>a<sup>3</sup> biegiem do portu. W taki sposób uratowa<sup>3</sup>o siê jeszcze czterdziestu. By<sup>3</sup> to brzydki dziobaty mêłczyzna. Znalaz<sup>3</sup> jeszcze czas, by splun<sup>1</sup>æ mi pod nogi i krzykn<sup>1</sup>æ:

— Idŷ do diab<sup>3</sup>a, przekłêty Greku!

W tejże chwili pod sklepieniem bramy pojawili się pierwsi janczarowie z dobytymi mieczami, dysząc od biegu. Wspólnymi siłami udało nam się zamknąć bramę i zaryglować ją, zanim nadbiegło ich zbyt wielu.

Po dziobatym widziałem, że miał ochotę rozciąć mi głowę mieczem tylko dlatego, że byłem Grekiem. Ale zadowolony się otarciem klingi o udo i odmaszerował ze swymi ostatnimi ludźmi. Ich honor nie pozwalał im biec, choć ulica była już zatoczona uciekinierami.

Stałem samotnie przy bramie wypadowej i czekałem na uzgodniony sygnał rogu do kontraktaku. Byłem sam, ale nagle stanął u mego boku ten, którego spotkałem już w czasie trzęsienia ziemi na Węgrzech, a potem pod Warną koło zwłok kardynała Cesarzynie. Był mroczny, poważny i był moim własnym odbiciem. Poznałem natychmiast u niego moją własną twarz, moje własne spojrzenie.

Powiedziałem:

— Spotykamy się przy bramie Świętego Romana, tak jak zapowiedziałeś. Nie uciekam jak ów kupiec z Samary.

Uśmiechnął się chłodno:

— Dotrzymujesz swoich obietnic, Johannesie Angelosie.

Powiedziałem:

— Wówczas nie wiedziałem nawet, gdzie się znajduje ta brama. Ale los przyprowadzi mnie tutaj.

Nad nami na koronie muru, biegli już janczarowie. Pierwsze promienie porannego słońca zabarwiały na czerwono ich białe filcowe czapki. Czerwono błyszcząco także ich miecze, gdy ocinali ostatnich obrońców muru, żołnierzy i techników, kobiety, chłopców i starców bez różnicy. W pobliżu nas wołając i machając rękami cesarz Konstantyn, wzywając uciekających do kontraktaku. Ale z gromadki, która zebrała się wokół niego, wymykało się wielu, gdy tylko odwrócił się plecami, tak że jego masy oddziały topniały z każdą chwilą. Gdy cesarz to spostrzegł, zakrył twarz rękami i wykrzyknął:

— Czyż nie ma żadnego chrześcijanina, który zmiękuje się nade mną i zetrze mi głowę.

Aniołemierci skinął do mnie z uśmiechem:

— Widzisz sam, że on potrzebuje mnie bardziej niż ty. — I mroczny przybysz, moje odbicie, odszedł cicho ku cesarzowi, by z nim porozmawiać. Cesarz zsiadł z konia, zerwał z szyi ańcuchy i rzucił na ziemię haftowany złotem paszcz. Wcisnął głowę na głowę, wziął okrągłą tarczę, podał mu przez kogoś, ruszył pierwszy przeciw janczarom, którzy spadali, staczali się i zeskakiwali z muru. Jego dworzanie i przyjaciele z dzieciństwa, którzy poświęcili życie, poszli za nim pieszo z wycięgniętymi mieczami i ten przykładał sprawi, że jeszcze kilku z uciekających zatrzymało się, by pójść za nim.

By³o nas prawdopodobnie oko³o stu. Najpierw id¹c, a póŸniej biegn¹c zwart¹ grup¹ rzuciliemy siê do ostatniego przeciwnatarcia, gdy janczarowie ju¿ wci¹gali swój sztandar na wielki mur i runêli do miasta. Potem wszystko sta³o siê rojowskimi szczêkaj¹cych tarcz i b³yskaj¹cych kling i w tym zamieszaniu walcz¹cych straci³em oparcie dla stóp i pad³em nie mog¹c ju¿ unieœæ miecza. Dosta³em cios w ramiê, a potem w g³owê i oœlepiaj¹cy czerwony blask zgasi³ moj¹ œwiadomoœæ. Jak szalej¹cy sztorm przewalili siê Turcy przeze mnie wdeptuj¹c mnie w ziemiê.

S³oñce podnios³o siê ju¿ trochê i nabra³o z³otego koloru, gdy przyszed³em do przytomnoœci. Zrazu nie zdawa³em sobie sprawy, gdzie jestem. Uda³o mi siê odwaliaæ ciep³e jeszcze trupy, które mnie przykrywa³y. Usiad³em i stwierdzi³em, ¿e nie jestem ciê¿ko ranny, jakkolwiek w uszach dzwoni³y mi niezliczone dzwony.

Gdy tak siedzia³em na wpó³ oœlepiiony s³oñcem, ujrza³em dwóch zielono odzianych czauszów wêdruj¹cych wzd³u¿ muru w poszukiwaniu rannych. Od czasu do czasu zatrzymywali siê i oddzielali jednym ciêciem miecza jak¹œ jêcz¹c¹ g³owê od cia³a. Zawo³a³em na nich po turecku i prosi³em, ¿eby i mnie zadali cios³aski. Ale starszy z nich pozna³ mnie i sk³oni³ siê g³êboko przede mn¹ dotykaj¹c d³oni¹ czo³a. Mo¿e widzia³ mnie w œwiecie su³tana w czasie tych siedmiu lat, które spêdzi³em u Murada i Mehmeda.

Przyniós³ wody i umy³ mi twarz, pomóg³ mi zdj¹æ he³m i kolczugê i wrêczy³ mi turecki p³aszcz zdjêty z trupa najmniej okrwawionego janczara w pobli¿u. Nie wiem, czy myœla³, ¿e bra³em udzia³ w natarciu, czy ¿e przebywa³em w mieœcie jako wywiadowca su³tana. W ka¿dym razie powiedzia³ mi, jak siê nazywa, i prosi³, ¿ebym go zapamiêta³. Kiedy spostrzeg³ moje zamroczenie, poda³ mi has³o i janczarów, i czauszów, podj¹³ oszczep, do którego drzewca przywi¹zany by³ pasek tkaniny, i powiedzia³ z uœmiechem:

— Nagroda Allacha jest wielka. Tego ju¿ nikt nie potrzebuje. WeŸ to i oznacz tym dom dla siebie.

Podpieraj¹c siê oszczepem jak lask¹ poszed³em chwiej¹c siê na nogach pod murem ku Kerkoporcie. Gdy zbli¿a³em siê do bramy Charisiosa, us³ysza³em zgie³k, który œwiadczy³, ¿e walka nie jest jeszcze skoñczona, mimo i¿ pó³ksiê¿yce su³tañskie powiewa³y ju¿ tak¿e nad Blachernami. Przyszed³em akurat w porê, by zobaczyæ, jak bracia Guacchardi wycofuj¹ siê z walki ze swymi ludŸmi. Ich wie¿a stawia³a opór jeszcze d³ugo po tym, jak Turcy przedarli siê przez mur po obu jej stronach i wpadli szturmem do miasta. Obecnie bracia Guacchardi wsiadali na koñ i tak wielki by³ postrach, jaki wzbudza³a ich dzika odwaga, ¿e Turcy anatolijscy nie chcieli ich ju¿ atakowaæ, wol¹c zostawiaæ ich w spokoju i udaæ siê w g³¹b miasta na rabunek. A bracia Guacchardi ju¿ siê nie œmieli. Najstarszy z nich wezwa³ swoich braci i zawo³a³:

— Jesteœmy jeszcze przy ¿yciu, ale miasto jest zgubione. Dr¿yj, s³oñce, i biadaj, ziemio. Walka przegrana. Próbujmy uratowaæ ¿ycie, dopóki mo¿e nam siê to jeszcze udaæ.

Nakazali reszcie swoich ludzi, by chwycili za strzemiona, ogony i poprêgi rumaków i odjechali, zostawiaj¹c po sobie na ulicy obfite krwawe œlady. Nawet janczarowie schodzili im z drogi i odwracali wzrok, jakby ich nie widzieli. W ten sposób okazywali szacunek mêstwu braci Guacchardi, myœleli mo¿e, ¿e lepsze jest pewne pl¹drowanie ni¿ pró¿na œmieræ w chwili

zwycięstwa.

Bracia Guacchardi dotarli rzeczywiście do portu, choć całe miasto było już zdobyte, i schronili się na ³aciński okręt. Noszą imiona Paulus, Antonius i Troilus, a najstarszy z nich nie skończy jeszcze trzydziestu lat. Nie nienawidzili Greków jak inni ³acinnicy. Niech imiona ich żyją dalej.

W końcu doszedłem do Kerkopopty. Wyglądało tam tak, jakby Wenecjanie zrobili wypad z Blachern, gdy na ziemi leżało wielu janczarów i paru młodych Wenecjan, zeszywniałych w pociemnym skurczu, umazanych krwią i piachem. Plac był pusty. Janczarowie już zeszli z korony muru, który zdobyli, i pozostawili tylko chorągwie sułtana. Sama Kerkopopta była zamknięta i zaryglowana. A przed bramą!

Przed bramą leżał trup Anny Notaras. Krótko ostrzyżone włosy pozlepiane były krwią, a powieki na wpół otwarte. Chmury much roiły się już wokół jej ust i oczu. Jej hełm leżał kawałek dalej. Gardło, pachy, pachwiny, wszystkie miejsca nie chronione pancerzem pokute były głębokimi ranami, tak że cała krew wypłynęła z jej ciała, które zastygło w straszliwie wykrzywionej pozycji.

— Gdzie jesteś, przybyszu, moje odbicie! — wykrzyknęłam. — Przyjdź do mnie, mroczny aniele! Nadeszła twoja chwila.

Ale on nie przyszedł. Byłem sam. Zapałem się oburcz za głowę i krzyknęłam:

— Manuelu, Manuelu, twoja jest wina! Odszukam cię, choćbyś schował się do piekła. Dlaczego mnie nie posłuchałeś?

Usiowałem podnieść jej ciało, ale zbyt byłem słaby i bezsilny. Usiadłem koło niej i patrzyłem na jej martwą twarz, by uodpornić swe serce na myśl, że nie żyje. Odkąd zobaczyłem ją tam leżącą, podczas gdy wokół rozlegały się z ulic i domów śmiertelne krzyki, nie wierzyłem już w Boga ani w zmartwychwstanie.

— Kamień jest kamieniem — powiedziałem do siebie. — Ciało jest ciałem, trup jest trupem. Kiedy duch ulecia, nie ma już człowieka. Ten, kto nie oddycha, nie istnieje. Ciało astralne jest urojeniem jak wszystkie inne urojenia.

Wstałem, traciłem stop jej zwłoki, a muchy zabrzęczały, i odszedłem. Trup jest tylko trupem i z trupem nie mam nic do czynienia.

Opierając się na oszczepie szedłem z obnażoną głową dalej główną ulicą w głębi miasta z nadzieją, że spotkam kogoś, kto się nade mną zmięje.

Ale nikt nie podniósł na mnie ręki.

Przy ulicy, która wiodła do klasztoru Chora, leżały wśród porbanych ikon dziesiątki podeptanych trupów kobiecych. Trzymały wciąż jeszcze woskowe świece w kurczowo zacięniętych palcach, a twarze ich były powykrzywiane w niemym krzyku niewysłowionej zgrozy.

Tu i ówdzie szala³y jeszcze walki wokó³ wielkich domów, których mieszkańcy zabarykadowali drzwi i bronili siê kuszami, kamieniami i statkami kuchennymi, wrz¹c¹ wod¹ i ogniem przeciw oblegaj¹cym janczaram. Ale na wiêkszoœci domów powiewa³y ju¿ proporczyki pierwszych zwyciêzców i na ulicach s³ychaæ by³o p³acz i ¿a³osne krzyki kobiet.

A¿ do akweduktu cesarza Walentyna g³ówna ulica usiana by³a greckimi trupami. Tam jakby to œlepe mordowanie usta³o. Zacz¹³em teraz spotykaæ d³ugie szeregi powi¹zanych z sob¹ Greków, pilnowanych tylko przez paru bosych pastuchów z oszczepami. Kobiety obrabowane by³y z klejnotów, ich odzie¿ poszarpana w poszukiwaniu ukrytych pieniêdzy, a rêce zwi¹zane z ty³u ich w³asnymi przepaskami. Wysocy i niscy, starcy i dzieci, rzemieœlnicy i archontowie szli tam obok siebie, by ich potem rozdzielono w tureckim obozie, tak aby biedni mogli zostaæ sprzedani jako niewolnicy, a bogaci zap³aciaæ okup.

Poszed³em w stronê portu. Du¿e po³acie miasta wygl¹da³y jeszcze na ca³kiem opustosza³e i nie by³o tam widaæ ¿adnych Turków. Mur portowy naprzeciw Pery, strze¿ony przez flotê, utrzymywany by³ wci¹¿ jeszcze przez ³acinników. Ogromny, roj¹cy siê t³um t³oczy³ siê przed bramami portu b³agalnie wyci¹gaj¹c rêce. Wszyscy ¿ebrali o mi³osierdzie i miejsce na jakimœ okrêcie. Ale strażnicy zamknêli bramy i rzucili klucze do wody, z wyj¹tkiem bramy floty, która by³a bezlitoœnie strze¿ona przez okrêty ¿o³nierzy z oszczepami i mieczami. Na murze nad nimi strażnicy wymachiwali p³on¹cymi lontami i grozili ochryp³ymi i skrzecz¹cymi g³osami, ¿e dadz¹ ognia z hakownic prosto w t³um, jeœli nie cofnie siê i nie zrobi miejsca dla ³aciñskich ¿o³nierzy, którzy pokryci krwi¹ od stóp do g³ów i bliscy omdlenia od czasu do czasu torowali sobie drogê do czekaj¹cego ich w porcie bezpieczeñstwa.

Wiele kobiet porani³o sobie ciê¿ko d³onie chwytaj¹c za miecze i próbuj¹c ub³agaæ ¿o³nierzy. Bogacze i wielmo¿e na pró¿no wyci¹gali ciê¿kie mieszki z pieniêdzmami, chc¹c kupiaæ sobie miejsce na okrêtach.

Wszed³em wy¿ej na wzgórze, by zajrzeæ przez mur do portu. Tu i ówdzie sta³y drabiny oparte o mur i najbardziej przedsiêbiorczy z t³umu spuszcza³i siê do wody na linach, ¿eby wp³aw dostaæ siê do okrêtów. Przy trapach wiod¹cych na pok³ady uzbrojeni strażnicy odpychali p³yn¹cych albo wskazywali im inne okrêty. Tak wiêc niejeden musia³ p³ywaæ od okrêtu do okrêtu, dopóki si³y go nie zawiod³y i nie uton¹³. Na niektóre okrêty wpuszczano jednak najsilniejszych, gdy¿ za³oga i wioœlarze nie wszêdzie byli w komplecie.

Przepe³nione po brzegi ³odzie podp³ywa³y nieustannie do okrêtów i wraca³y po nowe ³adunki. Zabiera³y nie tylko ³acinników, którzy uratowali siê z muru, ale tak¿e towary i skrzynie. W zamieszaniu, jakie panowa³o tego dnia, tylko flota jakby zachowa³a jakœ porz¹dek. Tak¿e niektórych Greków zabierano na okrêty, w miarê jak by³o miejsce i jeœli mieli stosunki z Genueñczykami albo Wenecjanami.

Gdy tak sta³em na zboczu wzgórze, zobaczy³em, jak najwiêkszy okrêt genueñski podnosi ¿agle i z pomoc¹ wiatru i wiose³ bierze kurs prosto na zaporê, by staraæ siê j¹ przerwaæ. By³ to ogromny okrêt z co najmniej dwoma tysi¹cami ludzi na pok³adzie. ³añcuch zapory ust¹pi³, ale nie pêk³ i okrêt zatrzyma³ siê ze wstrz¹sem, od którego zadr¿a³ od dziobu do rufy. Maszty siê jednak nie po³ama³y, gdy¿ Genueñczycy s¹ bieg³ymi ¿eglarzami i znaj¹ swoje rzemios³o.



Podczas gdy północny wiatr przyciska<sup>3</sup> okręt do<sup>3</sup> ańcucha zapory, przypominaj<sup>1</sup>cego<sup>3</sup> uk, dwaj roeeli żeglarze wyskoczyli na bale zapory, każdy z szerokim toporem. Z rozpaczliw<sup>1</sup> si<sup>31</sup> zaczęli je r<sup>1</sup>baæ miarowymi uderzeniami, i nagle<sup>3</sup> ańcuch p<sup>êk</sup><sup>3</sup> i okręt dumnie wyp<sup>3</sup>yn<sup>13</sup> z wydętymi żaglami z portu, tak że obaj żeglarze ledwie zd<sup>1</sup>żyli wdrapaæ się z powrotem na pok<sup>3</sup>ad. Za dużym okrętem posz<sup>3</sup>y trzy mniejsze, ale weneckie jednostki dalej sta<sup>3</sup>y spokojnie na kotwicy.

Ani jeden okręt turecki nie wyp<sup>3</sup>yn<sup>13</sup>, by atakowaæ uciekaj<sup>1</sup>cych, gdyż tureccy żeglarze opuścili swoje galery na ca<sup>3</sup>ym morzu Marmara. Podobnie jak żo<sup>3</sup>nierze byli w pe<sup>3</sup>ni zajêci znośeniem<sup>3</sup> upów wojennych i zganianiem gromad jeńców. Wielu z nich byli to ydzi, gdyż żeglarze tureccy natrafili przede wszystkim na Giudecê, żydowsk<sup>1</sup> czêœæ miasta, i zatrzymali się tam, by szukaæ legendarnych żydowskich klejnotów i z<sup>3</sup>ota. Dlatego w<sup>3</sup>acenie tak wielu ludziom uda<sup>3</sup>o się uciec do portu, mimo że Turcy zdobyli już wiêksz<sup>1</sup> czêœæ miasta.

Podczas gdy pierwsze okręty już ucieka<sup>3</sup>y, purpurowy proporzec cesarski powiewa<sup>3</sup> wci<sup>1</sup>ż jeszcze z wieży na przyl<sup>1</sup>dku Akropolis. Stawiali tam opór kreteńscy żeglarze i Turcy nie mieli jakœe ochoty atakowaæ ich pe<sup>3</sup>n<sup>1</sup> si<sup>31</sup>, gdyż zdawali sobie sprawê, że obrońcy nie zamierzali się poddaæ, choæ ca<sup>3</sup>e miasto zosta<sup>3</sup>o zdobyte.

Nie mia<sup>3</sup>em nic do roboty w porcie, poszed<sup>3</sup>em dalej w górê zbocza do mego domu. Wydawa<sup>3</sup> się opuszczony. Nie by<sup>3</sup>o widaæ żadnych Turków, tylko winiarnia naprzeciw by<sup>3</sup>a spl<sup>1</sup>drowana i przed schodami łeni<sup>3</sup>a ka<sup>3</sup>uż<sup>1</sup>a wina.

Wbi<sup>3</sup>em oszczep ze strzêpką materia<sup>3</sup>u obok kamiennego lwa u bramy i obj<sup>13</sup>em swój dom w posiadanie. Potem wszed<sup>3</sup>em do wnêtrza i zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>em na Manuela. Po krótkiej chwili odpowiedzia<sup>3</sup> mi z piwnicy dr<sup>1</sup>ż<sup>1</sup>cym od strachu g<sup>3</sup>osem:

— Czy to ty, panie?

Wype<sup>3</sup>z<sup>3</sup> na czworakach i usi<sup>3</sup>owa<sup>3</sup> obj<sup>1</sup>æ mnie za kolana. Kopn<sup>13</sup>em go mocno w pierœcie nie zważaj<sup>1</sup>c na jego w<sup>1</sup>t<sup>3</sup>ocæ i siw<sup>1</sup> brodê.

— Dlaczego mnie nie us<sup>3</sup>ucha<sup>3</sup>ocæ? Dlaczego nie zrobi<sup>3</sup>ocæ tak, jak ci kaza<sup>3</sup>em?! — krzykn<sup>13</sup>em z furi<sup>1</sup> usi<sup>3</sup>uj<sup>1</sup>c bezsilnymi rêkami wydobyæ miecz, który przywar<sup>3</sup> do pochwy. Dopiero teraz zda<sup>3</sup>em sobie sprawê, że by<sup>3</sup>a to turecka krzywa szabla, a p<sup>3</sup>aszcz, który da<sup>3</sup> mi czausz, i turban, którym owin<sup>13</sup> mi zranion<sup>1</sup> g<sup>3</sup>owê, upodobni<sup>3</sup>y mnie do Turka.

— Bogu niech bêd<sup>1</sup> dziêki, że jednak s<sup>3</sup>użysz su<sup>3</sup>tanowi — ucieszy<sup>3</sup> się Manuel szczerze. — Zrêcznie potrafi<sup>3</sup>ocæ zachowaæ swoj<sup>1</sup> tajemnicê aż do ostatka, tak że nawet ja ci uwierzy<sup>3</sup>em. Teraz weŹmiesz mnie chyba pod opiekê. Wybra<sup>3</sup>em już wiele domów, które pomogê ci pl<sup>1</sup>drowaæ.

Rzuci<sup>3</sup> na mnie okiem i doda<sup>3</sup> spieszenie:

— To znaczy... dla zabicia czasu zastanawia<sup>3</sup>em się, co bym zrobi<sup>3</sup>, gdybym by<sup>3</sup> Turkiem. Powiedz mi, czy to prawda, co mówi<sup>1</sup>, że cesarz poleg<sup>3</sup>.

A kiedy kiwn<sup>13</sup>em g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> potakuj<sup>1</sup>co, zrobi<sup>3</sup> żywo znak krzyż<sup>1</sup>a i powiedzia<sup>3</sup>:

— Bogu dzięki. W takim razie nie ma już żadnych w<sup>1</sup>tpliwoœci, że wszyscy jesteœmy legalnie poddany<sup>3</sup>mi sułtana. Panie, weŹ mnie na swego niewolnika, żeby<sup>3</sup>m mógł<sup>3</sup> odwo<sup>3</sup>ywaæ siê do ciebie, gdyby ktœ inny chcia<sup>3</sup> mnie uprowadziæ.

Nie mog<sup>3</sup>em już z nim d<sup>3</sup>użej wytrzymaæ. Z<sup>3</sup>apa<sup>3</sup>em go za brodê i szarpn<sup>13</sup>em tak, że musia<sup>3</sup> patrzeæ mi w oczy:

— Gdzie jest moja żona, Anna Notaras, któr<sup>1</sup> ci powierzy<sup>3</sup>em i któr<sup>1</sup> poprzysi<sup>1</sup>g<sup>3</sup>oœ ratowaæ?

— Nie Źyje — rzek<sup>3</sup> Manuel po prostu, wysmarka<sup>3</sup> siê przerażony w palce i wybuchn<sup>13</sup> gorzkim p<sup>3</sup>aczem. — Powiedzia<sup>3</sup>oœ, żeby<sup>3</sup>m, gdy wszystko bêdzie stracone, uderzy<sup>3</sup> j<sup>1</sup> w g<sup>3</sup>owê, gdyby nie chcia<sup>3</sup>a iœæ ze mn<sup>1</sup> dobrowolnie i przewioz<sup>3</sup> j<sup>1</sup> <sup>3</sup>odzi<sup>1</sup> na okrêt Giustinianiego. I ukry<sup>3</sup>em już w tym celu osio<sup>3</sup>ka, ale straci<sup>3</sup>bym go chyba zaraz na pocz<sup>1</sup>tku, gdyby nie uda<sup>3</sup>o mi siê go sprzedaæ jednemu Wenecjaninowi, który chcia<sup>3</sup> przewieŹæ z Blachern do portu szafê wyk<sup>3</sup>adan<sup>1</sup> mozaik<sup>1</sup>. By<sup>3</sup>a to bardzo piêkna szafa.

— Anna! — krzykn<sup>13</sup>em i szarpn<sup>13</sup>em go za brodê.

— Nie szarp mnie za brodê, panie, bo to boli — broni<sup>3</sup> siê Manuel z wyrzutem. — Robi<sup>3</sup>em, co mog<sup>3</sup>em, i naraża<sup>3</sup>em Źycie dla tej szalonej kobiety z czystej wiernoœci dla ciebie, i nie Ź<sup>1</sup>dam za to Źadnego wynagrodzenia. Ale ona nie chcia<sup>3</sup>a mnie s<sup>3</sup>uchaæ. I kiedy siê dowiedzia<sup>3</sup>em, jakie s<sup>1</sup> jej powody, nie mog<sup>3</sup>em post<sup>1</sup>piæ inaczej, jak tylko zostaæ z ni<sup>1</sup> i czekaæ na ranek.

Patrzy<sup>3</sup> na mnie z wyrzutem, tar<sup>3</sup> gniewnie kolana i ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> na wpo<sup>3</sup> szlochaj<sup>1</sup>c:

— Takie jest wiêc twoje podziękowanie, szarpiesz mnie i targasz, choæ bol<sup>1</sup> mnie znowu kolana i na dodatek rozbola<sup>3</sup>o mnie gard<sup>3</sup>o. Widzisz, twoja żona nie mog<sup>3</sup>a zdobyæ siê, żeby powiedzieæ ci o hañbie swego ojca, bo bierzesz wszystko tak powaŹnie. Ale w domu ojca dowiedzia<sup>3</sup>a siê przypuszczalnie o jego planie, by w czasie szturm<sup>1</sup> potajemnie zostawiæ otwart<sup>1</sup> i nie strzeżon<sup>1</sup> podziemn<sup>1</sup> Kerkoportê, tylko jako dowód dobrej woli Greków. To znaczy megaduks nie s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>, by to by<sup>3</sup>o z jakimœ poŹytkiem dla sułtana. Turcy nie mogliby przecieŹ i tak wtargn<sup>1</sup>æ tamtêdy, miêdzy murem zewnêtrznym a wielkim murem, co najwyŹej jakaœ ca<sup>3</sup>kiem maleñka grupa po zdobyciu wpierw muru zewnêtrznego ko<sup>3</sup>o bramy Charisiosa. Ale Notaras uwaŹa<sup>3</sup>, że mia<sup>3</sup>oby to wielkie znaczenie polityczne, jako dowód wspo<sup>3</sup>pracy Greków, by brama ta sta<sup>3</sup>a otwarta.

— Bez w<sup>1</sup>tpienia — rzek<sup>3</sup>em. — Granica miêdzy opozycj<sup>1</sup> polityczn<sup>1</sup> a zrad<sup>1</sup> jest naturalnie cieniutka jak w<sup>3</sup>os. Ale pozostawienie otwartej i nie strzeżonej bramy wypadowej jest zrad<sup>1</sup>. Nikt nie moŹe temu zaprzeczyæ. Niejednego już powieszono za duŹo mniejsze rzeczy.

— Zdrada, oczywiœcie — przyzna<sup>3</sup> Manuel skwapliwie. — Tak teŹ uwaŹa<sup>3</sup>a twoja żona i dlatego uciek<sup>3</sup>a do ciebie. Naturalnie takŹe i dlatego, że kocha<sup>3</sup>a ciê, choæ nie mia<sup>3</sup>a zbyt wielkiego wyobraŹenia o twoim rozs<sup>1</sup>dku. Ale ze wzglêdu na ojca chcia<sup>3</sup>a przeszkodziæ zdradzie i dopilnowaæ, by brama nie sta<sup>3</sup>a otwarta. Dlatego poszed<sup>3</sup>em za ni<sup>1</sup> do Kerkoporty, jak sam nakaza<sup>3</sup>oœ, gdyŹ uwaŹa<sup>3</sup>oœ, że jest to bezpieczne miejsce, hm, rzeczywiœcie! I tam zatrzymaliœmy siê, choæ greccy wartownicy wielokrotnie usi<sup>3</sup>owali nas odpêdziæ i mówili, że nikt nas tam nie chce. Kim byli, nie wiem, bo bardzo starannie ukrywali twarze w ciemnoœci. Przypuszczalnie byli to ludzie megaduksa,

którzy na jego rozkaz przejęli straż i odeszali poprzednie posterunki.

A później, gdy to się zaczęło — ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> Manuel — ca<sup>3</sup>kiem po prostu podnieśli rygle i otwarli bramę, gdy mieli klucz, prawdziwy czy dorobiony. Twoja żona podeszła wtedy ku nim z mieczem w ręku i zaczęła klucza. Najpierw usi<sup>3</sup>owali ją zastraszyć, ale gdy spostrzegli, że to nie pomaga, rzucili się na nią wszyscy naraz, a było ich pięciu, i zak<sup>3</sup>uli, nim zd<sup>1</sup>żyła krzyknąć.

— A ty, co ty zrobi<sup>3</sup>ęce? — zapyta<sup>3</sup>em.

— Uciek<sup>3</sup>em — wyzna<sup>3</sup> Manuel z poczuciem winy. — Uciek<sup>3</sup>em tak szybko, jak mog<sup>3</sup>em, i w ciemności nie zapała mnie, choć bolały mnie kolana. A skoro nie mog<sup>3</sup>em inaczej, poszed<sup>3</sup>em i sprzeda<sup>3</sup>em mego osła Wenecjaninowi, jak ci już mówi<sup>3</sup>em.

— Na Boga! — wykrzykn<sup>13</sup>em. — Dlaczego nie zaalarmowa<sup>3</sup>ęce Wenecjan?

— Próbowa<sup>3</sup>em — odpar<sup>3</sup> Manuel — ale mi nie uwierzyli. Byli zajęci obroną muru w Blachernach. I dowódca pokazał mi mapę, na której było zaznaczone, że Kerkoporta nie należy do nich, tylko do Greków.

Manuel zaczął<sup>13</sup> chichotać i przytkn<sup>13</sup> dłoń do ust:

— Myśla<sup>3</sup> z pewnością, że jestem szalony albo że wszystko to jest podstępem Greków w celu osabienia Wenecjan. W Blachernach mur jest przecież ca<sup>3</sup>y pokryty napisami: “Idźcie do domu, ścinnicy!” i tym podobnymi. W końcu zagrozi<sup>3</sup>, że mnie powiesi, jeżeli będę mu się jeszcze naprzykrza<sup>3</sup>. Wtedy poszed<sup>3</sup>em po pomoc do braci Guacchardi, ale było już za późno w nocy i oni mieli aż nadto roboty z odpieraniem Turków z wy<sup>3</sup>omu w wielkim murze. A potem — tak, wtedy...

Rzuci<sup>3</sup> na mnie niechętnie spojrzenie i rzek<sup>3</sup> z ociąganiem:

— Pewnie mi nie uwierzysz, ale wtedy pomyśla<sup>3</sup>em, że ja też jestem Grekiem i mój ojciec był nosicielem drzewa u cesarza Manuela. Naturalnie myśla<sup>3</sup>em również z żalem w sercu o moich ukrytych pieni<sup>1</sup>dzach i moim jedynym życiu, ale mimo to podnios<sup>3</sup>em miecz jakiegoś poległego i pobieg<sup>3</sup>em z powrotem do Kerkoporty.

Jak gdyby dopiero teraz zdumia<sup>3</sup> się z powodu własnej g<sup>3</sup>upoty, roz<sup>3</sup>ożyła rękę i krzykn<sup>13</sup>:

— Jak prawd<sup>1</sup> jest, że tu stoję, pobieg<sup>3</sup>em z powrotem do Kerkoporty myśląc, że może w jakiś sposób zd<sup>3</sup>am ją znowu zamknąć. Ale na szczęście moja odwaga przysłała za późno. Spotka<sup>3</sup>em janczarów sułtana, a wtedy odrzuci<sup>3</sup>em spiesznie miecz i podnios<sup>3</sup>em rękę prosząc Ewii<sup>1</sup> Dziewicę w Blachernach, by mnie chroniła. I modlitwa moja pomogła cudownie, gdy Turcy chwycili mnie za oba ramiona jak w oerubstak i w nędznej greczyźnie kazali, bym ich zaprowadzi<sup>3</sup> do klasztoru Chora, choć było ich tylko dwudziestu. I pobiegliśmy tam co si<sup>3</sup>y w nogach. W każdym razie byli to dzielni ludzie.

— Wtedy właśnie Turcy przedarli się przez bramę Ewii<sup>1</sup>ego Romana — rzek<sup>3</sup>em — nie, zdrada pod Kerkoportą nie miała żadnego znaczenia. I brama była zamknięta, kiedy byłam tam dzień rano.

— Tak, gdy tylko Wenecjanie ujrzeli sułtańskie chorągwie, zrobili męzny wypad — mówi³ Manuel. — Kiedy siê obejrza³em za siebie, wybiegali w³aœnie z drzwi w murze pa³acowym z b³yszcz¹cymi mieczami, w pancerzach i z chor¹gwi¹ z lwem powiewaj¹cym nad nimi. Janczarów, którzy zatrzymali siê przy bramie, zabili, a potem zamknêli Kerkoportê, zanim wycofali siê z powrotem do Blachern.

— A ty? — zapyta³em.

— Pokaza³em janczarom drogê do klasztoru Chora i mia³em nadziejê, ¿e cudowna Dziewica uspokoi ich dzikie instynkty — wyjaœni³ Manuel sk³opotany. — Ale tak z³a jest ludzka natura, ¿e ich ¿¹dza rabunku zwyciê¿y³a wszystko inne. Ca³y koœció³ ubrany by³ ró¿ami i przepe³niony po brzegi kobietami, które modli³y siê ze œwiecami w d³oniach. Janczarowie zhañbili jednak œwi¹tyniê i zaczêli wyr¹bywaæ sobie drogê wœród bezbronych kobiet w stronê ikonostasu. Tam wy³amali drzwi i pociêli zaraz cudown¹ ikonê na cztery kawa³ki. Wówczas ogarnê³a mnie zgroza, nie chcia³em d³u¿ej przebywaæ w tak bezbo¿nym towarzystwie i uciek³em wraz z kobietami.

Potem przy³czy³em siê do Wenecjan, gdy opuszczali Blacherny — opowiada³ dalej Manuel. — Na szczêœcie niektórzy z nich mnie znali. Inaczej zabiliby mnie tylko dlatego, ¿e jestem Grekiem. Kiedy torowali sobie drogê przez miasto, œcinali i Turków, i Greków bez ró¿nicy i spl¹drowali wiele domów, gdy¿ mieli sporo czasu. Byli wœciekli, ¿e tylu ich towarzyszy poleg³o niepotrzebnie na murach, a ich bailon dosta³ siê do niewoli tureckiej. Poszed³em z nimi do portu, a potem ukry³em siê tutaj w piwnicy i polec³em moje ¿ycie Bogu. Mia³em zamiar wyleŸæ dopiero jutro, gdy Turcy ju¿ siê trochê uspokoj¹. Dzieœ wygl¹da to tak, jakby chcieli zabiæ ka¿dego, kogo napotkaj¹, dla samej tylko przyjemnoœci zabijania, z wyj¹tkiem kobiet oczywiœcie, z których maj¹ wiêcej przyjemnoœci w inny sposób.

— Tutaj jesteœ bezpieczny, dopóki ten oszczep stoi przed bram¹ — powiedzia³em. — To mój znak i nikt siê tutaj nie wedrze. Dom jest ma³y i nie ma tu nawet ¿adnych kobiet. Ale gdyby ktœ przyszed³, powiedz tylko, ¿e dom jest zajêty, wymieñ moje imiê po turecku i powiedz, ¿e jesteœ moim niewolnikiem. Wtedy nic ci siê nie stanie. Niech Bóg bêdzie z tob¹.

Manuel przera¿ony czepia³ siê mnie i wo³a³:

— Dok¹d idziesz, panie? Nie opuszczaj mnie!

— Idê odwiedziæ zdobywcê — odrzek³em. — Miano zdobywcy s³uszenie mu siê nale¿y. Niech od tej pory wœród wszystkich su³tanów nazywa siê Mehmed Zdobywca. Gdy¿ on zostanie najwiêkszym z nich i bêdzie panowaæ na Wschodzie i na Zachodzie.

Poszed³em a¿ na brzeg, gdzie za³ogi tureckich okrêtów by³y ¿ywo zajête pl¹drowaniem, i na w³asne oczy zobaczy³em, i¿ su³tan rzeczywiœcie kaza³ czauszom wzi¹æ pa³ac Notarasa pod ochronê. Rozmawia³em z nimi i powiedzieli mi, ¿e zarówno megaduks Notaras z dwoma synami, jak i jego chora ¿ona s¹ bezpieczni w murach tego domu.

W po³udnie wróci³em do bazyliki i widzia³em stamt¹d, jak ostatnie okrêty chrzecijañskie

wysoko za³adowane wyp³ywa³y z portu. Ani jeden okrê³ turecki ich teraz nie atakowa³. —agle wydê³y siê pó³nocnym wiatrem, a na masztach powiewa³y znaki wielu chrzeœcijañskich krajów, nie pokonane, posy³aj¹c po³egnanie umieraj¹cemu Konstantynopolowi.

— Niesiecie chrzeœcijañstwu œmiertelne pos³annictwo! — zawo³a³em. — Drzyjcie kraje zachodnie. Po nas przyjdzie kolej na was. Czy nie widzicie, ¿e zabieracie z sob¹ noc nad Europê?

W tej¿e chwili zaczêli zbieraæ siê zewsz¹d tureccy ¿o³nierze, a g³ówn¹ ulic¹ zbli¿a³ siê wspania³y orszak su³tana, otoczony odzianymi na zielono czauszami. Towarzyszy³a mu stra¿ przyboczna z napiêtymi³ ukami, a przodem biegli lauferowie wymachuj¹c naczyniami, z których unosi³ siê zapach pachnide³. Konie depta³y po greckich trupach, le¿¹cych jeszcze na ulicy, a haremowi ch³opcy z w³osami w loczkach sypali p³atki ró¿ane przed rumakiem su³tana.

Przed wy³amanymi spi¿owymi wrotami su³tan Mehmed zsiad³ ze œnie¿nobia³ego wierzchowca. Jego m³oda, gniewna twarz dr¿a³a ze zmêczenia, ale w ¿ó³to mieni¹cych siê oczach lœni³a zimna radoœæ zwyciêzcy, radoœæ, jakiej jeszcze nigdy nie widzia³em u niego. Patrzy³em na jego szczup³¹ twarz, w¹ski orli nos i spiczast¹ brodê i ogarnê³o mnie raz jeszcze to samo po³¹czone ze zgroz¹ oczarowanie, jak w owych latach, kiedy ¿y³em w jego pobli¿u.

Zsiad³szy z konia uj¹³ ¿elazny nadziak w lew¹ d³oñ, sk³oni³ siê g³êboko, podj¹³ garœæ ziemi i posypa³ sobie g³owê. Janczarowie s¹dzili, ¿e w taki sposób korzy siê przed Bogiem, i milczeli z szacunku. W rzeczy samej s¹dzê, ¿e przez to wyœwiêca³ siebie na syna prochu i chocia³ tylko okazaæ swój szacunek dla œmierci.

Wszed³ do koœcio³a ze œwit¹, a ja poszed³em za nim poœród pierwszych. Na posadzce le¿a³o kilka okrwawionych trupów. Gromada janczarów pl¹drowa³a koœció³ w najlepsze, niszczy³c ikony. Zrywali ramy ze srebra i z³ota i zbierali wszelkie kosztownoœci w obrusy zdarte z o³tarzy i w haftowane per³ami ornaty. Poœrodku koœcio³a sta³ janczar i r¹ba³ toporem marmurow¹ p³ytê, szukaj¹c ukrytych skarbów.

Su³tan Mehmed podszed³ do niego szybko, zwali³ go bezlitoœnie na ziemiê nadziakiem i zawo³a³ z ciemniej¹c¹ od gniewu twarz¹:

— Nie tykajcie mojej w³asnoœci! Obieca³em wam³ up, ale budynki s¹ moje.

Towarzysze janczara wywlekli go spieszenie za nogi, zanim su³tan zd¹¿y³ go zabiæ. Mo¿na by³o s¹dziaæ, ¿e bezmierny gniew su³tana pochodzi z zawioœci, i¿ jego proœci podw³adni zdobyli sobie tak ogromne bogactwo. Ale Mehmed nie jest taki. Nie skarbów po¿¹da. Tylko w³adzy.

Sta<sup>3</sup> i rozgl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> siê wokó<sup>3</sup> siebie po koëciele, jakby nie wierzy<sup>3</sup> œwiadectwu w<sup>3</sup>asn<sup>3</sup>ych oczu o jego ogromie i wspania<sup>3</sup>oœci. M<sup>3</sup>odzi dowódcy ze œwity nie mogli siê ju¿ d<sup>3</sup>u¿ej opanowaæ. Jeden z nich umoczy<sup>3</sup> d<sup>3</sup>oñ w ka<sup>3</sup>u¿y na posadzce, odbi<sup>3</sup> siê z ca<sup>3</sup>ej si<sup>3</sup>y, podskoczy<sup>3</sup> w górê i uderzy<sup>3</sup> d<sup>3</sup>oni<sup>1</sup> w œcianê na wysokoœci, któr<sup>1</sup> osi<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>.

— Tam jest mój znak! — krzykn<sup>13</sup>. Czerwony odcisk d<sup>3</sup>oni znajdowa<sup>3</sup> siê tak wysoko, ¿e trzech ludzi musia<sup>3</sup>o stan<sup>1</sup>æ jeden drugiemu na ramionach, by do niego dosiêgn<sup>1</sup>æ.

Su<sup>3</sup>tan Mehmed wzi<sup>13</sup> poz<sup>3</sup>acany <sup>3</sup>uk od najbli¿szego z przybocznej stra¿y, napi<sup>13</sup>, wycelowa<sup>3</sup> w górê i wypuœci<sup>3</sup> dr¿<sup>1</sup>c<sup>1</sup> strza<sup>3</sup>ê wysoko w olbrzymi<sup>1</sup> kopu<sup>3</sup>ê.

— A tam jest mój! — wykrzykn<sup>13</sup>, rozejrza<sup>3</sup> siê woko<sup>3</sup>o i kaza<sup>3</sup> janczarom wy<sup>3</sup>amaæ ikonostas, by ods<sup>3</sup>oniaæ o<sup>3</sup>tarz. Gdy œciana zwali<sup>3</sup>a siê, nakaza<sup>3</sup>: — Wo<sup>3</sup>ajcie wszyscy razem: “Emir Turków, Mehmed, syn Murada, przyby<sup>3</sup>, ¿eby poœwiêciaæ najwiêkszy koëció<sup>3</sup> chrzeœcijañstwa jednemu Bogu!”

o<sup>3</sup>nierze, którzy na chwilê zapomnieli o pl<sup>1</sup>drowaniu i wcisnêli siê do koëcio<sup>3</sup>a, by pójœæ za su<sup>3</sup>tanem, wnieœli gromki okrzyk i echo dŹwiêcza<sup>3</sup>o d<sup>3</sup>ugo pod cudownym sklepieniem. Wtedy sta<sup>3</sup> siê cud. Zza o<sup>3</sup>tarza podnios<sup>3</sup>o siê jeden za drugim dwudziestu greckich biskupów, kap<sup>3</sup>anów i mnichów, odzianych w uroczyste szaty i wszelkie insygnia koëcielne. Podeszli do su<sup>3</sup>tana, padli przed nim na kolana i oddali siê w jego rêce. Wœród nich by<sup>3</sup> Gennadios. Podczas zdobywania miasta ukrywali siê w jednym z wielu sekretnych zakamarków koëcio<sup>3</sup>a.

Wydawa<sup>3</sup>o siê, ¿e to wszystko dzieje siê w wyniku jakiegoœ tajnego porozumienia. T<sup>3</sup>umaczy to mo¿e gniew su<sup>3</sup>tana, gdy zobaczy<sup>3</sup>, jak jeden z janczarów rozwała koëcieln<sup>1</sup> posadzkê. Powiedzia<sup>3</sup> bowiem do janczarów:

— To s<sup>1</sup> moi jeñcy, albowiem mnie siê oddali. Nikomu nie wolno ich tkn<sup>1</sup>æ, ale zap<sup>3</sup>acê wam sto asprów odszkodowania za ka¿dego z tych wysoko postawionych chrzeœcijañskich kap<sup>3</sup>anów. OdprawdŹcie ich do jakiegoœ klasztoru, który mog<sup>1</sup> sobie wybraæ, i oddajcie pod ochronê czauszów.

Biskupi i kap<sup>3</sup>ani krzyknêli jak jeden m<sup>1</sup>¿: — Wybieramy Pantokratora!

W tej¿e chwili derwisze i uczeni towarzyszy<sup>1</sup>cy su<sup>3</sup>tanowi zawo<sup>3</sup>ali, ¿e nadesz<sup>3</sup>a pora po<sup>3</sup>udniowej modlitwy. Su<sup>3</sup>tan kaza<sup>3</sup> podaæ wodê i umy<sup>3</sup> siê spiesznie, podczas gdy Janczarowie wyprowadzali chrzeœcijañskich kap<sup>3</sup>anów. Potem wszed<sup>3</sup> bosó na o<sup>3</sup>tarz, podepta<sup>3</sup> krzy¿, zwróci<sup>3</sup> twarz ku wschodowi i zaintonowa<sup>3</sup> modlitwê. Jego œwita i ¿o<sup>3</sup>nierze padli na twarze, przycisnêli czo<sup>3</sup>a do pod<sup>3</sup>ogi i muz<sup>3</sup>mañsk<sup>1</sup> modlitw<sup>1</sup> poœwiecili najcudowniejszy koëció<sup>3</sup> chrzeœcijañstwa Allahowi.

Po modlitwie su<sup>3</sup>tan nakaza<sup>3</sup> derwiszom, ¿eby dopilnowali, by koëció<sup>3</sup> oczyszczono ró¿an<sup>1</sup> wod<sup>1</sup> z wszelkiego chrzeœcijañskiego brudu.

Gdy szed<sup>3</sup> przez koœció<sup>3</sup>, by wyjœæ na zewn<sup>1</sup>trz, wyst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>em przed niego bez s<sup>3</sup>owa: pozna<sup>3</sup> mnie. Twarz jego zrobi<sup>3</sup>a siê szara jak glina, rozejrza<sup>3</sup> siê doko<sup>3</sup>a i szepn<sup>13</sup>:

— Ju¿ przyszed<sup>3</sup>eœ, ¿eby mnie zabraæ, Aniele?

Gdy tylko siê opamiêta<sup>3</sup>, podniós<sup>3</sup> d<sup>3</sup>oñ i nakaza<sup>3</sup> œwicie:

— Nie tykajcie go! — Potem przyst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> do mnie blisko, dotkn<sup>13</sup> mojej twarzy, wybuchn<sup>13</sup> œmiechem i wykrzykn<sup>13</sup>:

— Wiêc jeszcze ¿yjesz, nieprzekupny! Wierzysz ju¿, ¿e pewnego dnia bêdê stawia<sup>3</sup> konie w koœcio<sup>3</sup>ach twego papie¿a?

Powiedzia<sup>3</sup>em:

— Wiedzia<sup>3</sup>eœ wiêcej ni¿ ja. Nie by<sup>3</sup>o mi pisane umrzeæ na murach mego miasta. Ka¿ zatem œci<sup>1</sup>æ mnie teraz, aby twoje zwyciêstwo by<sup>3</sup>o zupe<sup>3</sup>ne.

Uœmiechn<sup>13</sup> siê rzucaj<sup>1</sup>c ¿ó<sup>3</sup>tomigotliwe spojrzenie i rzek<sup>3</sup>:

— Aniele, miej cierpliwœæ. Na wszystko jest czas.

Nie troszcz<sup>1</sup>c siê o mnie wiêcej wyszed<sup>3</sup> z koœcio<sup>3</sup>a. Przy<sup>3</sup>czy<sup>3</sup>em siê do œwity, ¿eby byæ w jego pobli¿u, gdy¿ moje pragnienie œmierci by<sup>3</sup>o silniejsze od wszelkich pragnieñ, jakich zazna<sup>3</sup>em. W œwicie su<sup>3</sup>tana by<sup>3</sup>o te¿ wielu takich, co mnie znali, ale nikt nie chcia<sup>3</sup> ze mn<sup>1</sup> rozmawiaæ.

Tymczasem przyprowadzono do koœcio<sup>3</sup>a magaduksa ßukasza Notarasa i grupê znakomitych greckich jeñców. Uklêkli przed su<sup>3</sup>tanem Mehmedem. Przemówi<sup>3</sup> do nich surowo, pytaj<sup>1</sup>c, dlaczego tak zaciekle bronili siê i przez to narazili tylko miasto na niepotrzebne zniszczenie, a wojska su<sup>3</sup>tañskie na wielkie straty.

Notaras patrzy<sup>3</sup> w milczeniu na wielkiego wezyra Halila, który z d<sup>3</sup>ug<sup>1</sup> brod<sup>1</sup>, przygnêbiony, sta<sup>3</sup> po prawej rêce su<sup>3</sup>tana. Mehmed wzi<sup>13</sup> go z sob<sup>1</sup> celowo, by pokazaæ mu pe<sup>3</sup>niê swego zwyciêstwa.

— Mów swobodnie! — powiedzia<sup>3</sup> su<sup>3</sup>tan.

— Czy¿ mogliœmy inaczej, skoro w twoim w<sup>3</sup>asnym obozie i miêdzy najbli¿szymi ci mê¿ami s<sup>1</sup> ludzie, którzy wzywali nas, byœmy stawiali opór — odrzek<sup>3</sup> Notaras kwaœno, wci<sup>1</sup>¿ jeszcze patrz<sup>1</sup>c oskar¿ycielsko na Halila.

Mehmed zwróci<sup>3</sup> siê do Halila, chwyci<sup>3</sup> go mocno za brodê i szarpn<sup>13</sup> trzês<sup>1</sup>c<sup>1</sup> siê starcz<sup>1</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>.

— Poznajê ciê, przyjacielu Greków! — wykrzykn<sup>13</sup> dŸwiêcznym g<sup>3</sup>osem, tak ¿eby us<sup>3</sup>yszeli to janczarowie. — S<sup>3</sup>u¿y<sup>3</sup>eœ jednak wiernie mojemu ojcu, podobnie jak twój ojciec i dziadek stali po prawej stronie su<sup>3</sup>tana jako wielcy wezyrowie. Dlatego te¿ u<sup>3</sup>askawiê ciê i nie ka¿ê ciê œci<sup>1</sup>æ, choæ

na to zas<sup>3</sup>u<sup>3</sup>y<sup>3</sup>eœ. Ale nie pokazuj mi siê nigdy wiêcej na oczy. Schowaj siê jako Ÿebrak w najdalszych okolicach mojego królestwa, podobnie jak twój dziad kiedyœ jako Ÿebrak stan<sup>13</sup> przed swoim su<sup>3</sup>tanem.

Ten nag<sup>3</sup>y wyrok by<sup>3</sup> œmia<sup>3</sup>ym postêpkiem, ale by<sup>3</sup>a to chwila, na któr<sup>1</sup> Mehmed czeka<sup>3</sup> od swej m<sup>3</sup>odoœci równie gor<sup>1</sup>co, jak na zdobycie Konstantynopola. M<sup>3</sup>odzi dowódcy w jego œwicie zaczęli l<sup>3</sup>yæ Halila, a po krótkiej chwili wahania tak<sup>3</sup>e i janczarowie przy<sup>3</sup>czyli siê do krzyków. Su<sup>3</sup>tan przypatrywa<sup>3</sup> siê bystro swemu otoczeniu i wskaza<sup>3</sup> kilku starców, którzy nie poni<sup>3</sup>yli siê do tego, by przyklasn<sup>1</sup>æ jego sprawiedliwemu wyrokowi.

— Id<sup>3</sup>cie za Halilem — nakaza<sup>3</sup>.

Czauszowie podbiegli i zdarli z nich honorowe kaftany. Na wpó<sup>3</sup> nadzy i l<sup>3</sup>eni szli starcy wraz z Halilem drog<sup>1</sup> swego poni<sup>3</sup>enia. Janczarowie wspó<sup>3</sup>zawodniczyli z sob<sup>1</sup> w obrzucaniu ich obelgami i miotali za nimi grudy skrwawionej ziemi.

Gdy odeszli, su<sup>3</sup>tan zwróci<sup>3</sup> siê ponownie do greckich jeñców i zapyta<sup>3</sup>:

— Gdzie jest cesarz? Co o nim wiecie?

Grecy spojrzeli po sobie i potrz<sup>1</sup>snêli g<sup>3</sup>owami. Su<sup>3</sup>tan uda<sup>3</sup> zdziwionego i zapyta<sup>3</sup> drwi<sup>1</sup>co:

— Jak to mo<sup>3</sup>liwe? Czyœcie wiêc nie walczyli u jego boku?

Kilku z senatorów zwiesi<sup>3</sup>o ze wstydem g<sup>3</sup>owy, ale Łukasz Notaras odpar<sup>3</sup> butnie:

— Cesarz Konstantyn zdradzi<sup>3</sup> nasz<sup>1</sup> wiarê i sprzeda<sup>3</sup> nas papie<sup>3</sup>owi i <sup>3</sup>acinnikom. Nie uznajemy go jako naszego cesarza, wolimy raczej s<sup>3</sup>u<sup>3</sup>yæ tobie.

Su<sup>3</sup>tan nakaza<sup>3</sup>, by wszêdzie obwieszczono, Ÿe nale<sup>3</sup>y odnale<sup>3</sup>æ trupa cesarza, jeœli pad<sup>3</sup> w boju. Wyznaczy<sup>3</sup> nagrodê dla tego, kto go znajdzie, jak równie<sup>3</sup> dla tego, kto udowodni, Ÿe zabi<sup>3</sup> greckiego cesarza. Goñcy nie potrzebowali nawet wyruszyæ na miasto, gdy<sup>3</sup> dwóch janczarów precisnê<sup>3</sup>o siê natychmiast do su<sup>3</sup>tana. Obaj przysiêgali na Allacha i na swoje brody, Ÿe w<sup>3</sup>asnorêcznie zadali cesarzowi cios <sup>3</sup>aski, i zaczęli siê gwa<sup>3</sup>townie k<sup>3</sup>óciæ przed su<sup>3</sup>tanem. Pos<sup>3</sup>ano ich, Ÿeby szukali cia<sup>3</sup>a, i pospieszyli na mury Ÿywo gestykuluj<sup>1</sup>c i przekrzykuj<sup>1</sup>c siê na temat, którego to z nich cios trafi<sup>3</sup> cesarza.

Su<sup>3</sup>tan rozmawia<sup>3</sup> dalej Ÿyczliwie z Grekami, obiecywa<sup>3</sup> im z<sup>3</sup>ote góry i œwiadczy<sup>3</sup>, Ÿe chce przekazaæ rz<sup>1</sup>dy miasta tym, którzy maj<sup>1</sup> po temu warunki i s<sup>1</sup> godni zaufania. Dlatego prosi<sup>3</sup> pojmanyh Greków o imiona i propozycje, Ÿeby natychmiast móc wykupiæ notabli, z których móg<sup>3</sup>by mieæ po<sup>3</sup>yttek.

Łukasz Notaras wyliczy<sup>3</sup> ze trzydzieœci imion. Po naradzie inni Grecy dodali ka<sup>3</sup>dy imiona swoich przyjació<sup>3</sup>. Wtedy nie mog<sup>3</sup>em siê ju<sup>3</sup> d<sup>3</sup>u<sup>3</sup>ej powstrzymaæ, podszed<sup>3</sup>em do Notarasa i krzykn<sup>13</sup>em:

— Szalony zdrajco! Nie poci<sup>1</sup>gaj innych ze sob<sup>1</sup> do zguby!



Notaras wpad<sup>3</sup> w gniew, gdy mnie zobaczy<sup>3</sup> w œwicie su<sup>3</sup>tana, i zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> gwa<sup>3</sup>townie:

— Giêtko polityka nie jest zrad<sup>1</sup>. To jedyny ratunek dla ludu bêd<sup>1</sup>cego w potrzebie. Jeœli zabrudzi<sup>3</sup>em sobie rêce, zrobi<sup>3</sup>em to dla mego ludu. Ktoœ musia<sup>3</sup> to uczyniæ. Mo¿e trzeba do tego wiêcej odwagi ni¿ poœwiêcenie ¿ycia. Nie znasz mnie tak dobrze i nie mo¿esz mnie s<sup>1</sup>dziæ.

Rzek<sup>3</sup>em:

— Twoja w<sup>3</sup>asna córka zna<sup>3</sup>a ciê i os<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>a. Twój w<sup>3</sup>aceni ludzie zamordowali j<sup>1</sup> pod Kerkoport<sup>1</sup>, gdy usi<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>a oczyœciæ ciê z hañby.

Notaras zblad<sup>3</sup> z przera¿enia i wzrok jego sta<sup>3</sup> siê b<sup>3</sup>êdny. Gorzko zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>:

— Nie mam ¿adnej córki! Nigdy nie mia<sup>3</sup>em. Mam tylko dwóch synów. Co bredzisz o Kerkoporcie?

Patrzy<sup>3</sup> b<sup>3</sup>agalnie to na su<sup>3</sup>tana, to na swoich ziomków, którzy odsunêli siê zostawiaj<sup>1</sup>c wokó<sup>3</sup> niego puste miejsce. Z gwa<sup>3</sup>townym wysi<sup>3</sup>kciem przewyciê<sup>3</sup> podniecenie, uœmiechn<sup>13</sup> siê dr¿<sup>1</sup>cymi wargami i zwróci<sup>3</sup> siê do su<sup>3</sup>tana:

— Ten cz<sup>3</sup>owiek, twój pos<sup>3</sup>annik, zdradzi<sup>3</sup> ciê. Sam mo¿e zaœwiadczyæ, ¿e wiele razy na pró¿no proponowa<sup>3</sup>em mu wspó<sup>3</sup>pracê na twój<sup>1</sup> rzecz. Ale z czystej chciwoœci i ¿<sup>1</sup>dzy s<sup>3</sup>awy odrzuci<sup>3</sup> moje poparcie, by dzia<sup>3</sup>aa na w<sup>3</sup>asn<sup>1</sup> rêkê i zyskaæ twój<sup>1</sup> <sup>3</sup>askê moim kosztem. Nie wiem, co dzia<sup>3</sup>a<sup>3</sup> dla ciebie, ale nie mo¿e tego byæ du¿o. By<sup>3</sup> w przyjaŹni z <sup>3</sup>acinnikami i Giustinianim. Bóg niech mi bêdzie œwiadkiem, ¿e lepiej ni¿ on s<sup>3</sup>u¿y<sup>3</sup>em ci w Konstantynopolu.

Mehmed uœmiechn<sup>13</sup> siê tylko zimno, mrugn<sup>13</sup> do mnie i znów powiedzia<sup>3</sup>:

— Nieprzekupny, zdob<sup>1</sup>dŸ siê na cierpliwoœæ.

Wyda<sup>3</sup> rozkaz swemu skarbnikowi, zwróci<sup>3</sup> siê do Greków i rzek<sup>3</sup>:

— IdŸcie z moim skarbnikiem i szukajcie wœród jeñców w obozie i na okrêtach tych, których imiona wymieniliœcie. Wielu mo¿e przebra<sup>3</sup>o siê, by ukryæ swój<sup>1</sup> rangê, i nie odwa¿<sup>1</sup> siê zdemaskowaæ, jeœli sam tylko mój skarbnik bêdzie o nich pyta<sup>3</sup>. Ale wam zaufaj<sup>1</sup> i was poznaj<sup>1</sup>. Wykupcie ich od handlarzy niewolników i ¿o<sup>3</sup>nierzy. Pozwalam wam zap<sup>3</sup>aciæ tysi<sup>1</sup>c asprów za ka¿dego. Uwa¿am ich za tak wa¿nych dla moich planów.

Grecy, zachwyceni t<sup>1</sup> <sup>3</sup>ask<sup>1</sup>, poszli chêtnie za skarbnikiem ¿ywo rozmawiaj<sup>1</sup>c i rozdzielaj<sup>1</sup>c ju¿ miêdzy siebie najbardziej dochodowe urzêdy w mieœcie. A Mehmed patrzy<sup>3</sup> na mnie z uœmiechem, wiedz<sup>1</sup>c, ¿e znam jego serce. Notarasa kaza<sup>3</sup> odprowadziæ do jego pa<sup>3</sup>acu i przyjaŹnie ¿yczy<sup>3</sup> jego ¿onie szybkiego wyzdrowienia.

Mnie nie poświęci<sup>3</sup> już więcej ani jednego spojrzenia, lecz odjecha<sup>3</sup> ze oewit<sup>1</sup> z powrotem do obozu, by celebrowa<sup>æ</sup> zwycięstwo. Towarzyszy<sup>3</sup>em mu aż do Blachern. Tam zatrzyma<sup>3</sup> się, by rzuci<sup>æ</sup> okiem na sale pa<sup>3</sup>acu, które Wenecjanie spustoszyli i spl<sup>1</sup>drowali. Wobec swojej oewity zacytowa<sup>3</sup>:

*Sowa krzyczy w kolumnowych salach Efrasiaba,*

*paj<sup>1</sup>k pilnuje bramy cesarskiej.*

Wróci<sup>3</sup>em teraz do Kerkoporty i pochowa<sup>3</sup>em Annê Notaras w dużej wyrwie, któr<sup>1</sup> kula armatnia zrobi<sup>3</sup>a w murze. Lepszego i szczytniejszego miejsca nie mog<sup>3</sup>em znaleŹ<sup>æ</sup>. Pomyœla<sup>3</sup>em teŹ, Źe jej br<sup>1</sup>zowe oczy pewnego dnia wzejd<sup>1</sup> jak ciemne kwiaty i patrze<sup>æ</sup> bêd<sup>1</sup> na miasto z ruin muru.

W tym mieœcie, pijanym krwi<sup>1</sup> i gwa<sup>3</sup>tem, Źycie ludzkie by<sup>3</sup>o tańsze i znaczy<sup>3</sup>o mniej, niŹ kiedykolwiek by<sup>3</sup>o to do pomyœlenia. Gdy tylko su<sup>3</sup>tan się oddali<sup>3</sup>, Turcy zaczêli bez wahania zabija<sup>æ</sup> się nawzajem w bójkach o <sup>3</sup>up i niewolnice, które wzbudzi<sup>3</sup>y ich poŹ<sup>1</sup>danie. Nieuczni derwisze podniecali się do fanatycznych ekscesów i okaleczali noŹami wielu greckich niewolników, wzbraniaj<sup>1</sup>cych się uzna<sup>æ</sup> Proroka.

Przez ten przeraŹliwy chaos wêdrowa<sup>3</sup>em zdrêtwia<sup>3</sup>y z Źa<sup>3</sup>oby, ale nikt mi nie zrobi<sup>3</sup> nic z<sup>3</sup>ego. Sam nie kierowa<sup>3</sup>em moimi krokami, zda<sup>3</sup>em się na przypadek, gdyŹ przeznaczone by<sup>3</sup>o, Źe mam zobaczy<sup>æ</sup> wszystko, co się sta<sup>3</sup>o. Jest jednak granica tego, co cz<sup>3</sup>owiek moŹe wytrzyma<sup>æ</sup>. Kiedy miarka się wype<sup>3</sup>ni, têpiej<sup>1</sup> mi<sup>3</sup>osiernie wszystkie zmys<sup>3</sup>y i oczy patrz<sup>1</sup>, ale nie widz<sup>1</sup>. Teraz już nic nie rani<sup>3</sup>o mego serca.

Wêdrowa<sup>3</sup>em dalej. Z sza<sup>3</sup>asu, gdzie ranni Grecy i <sup>3</sup>acinnicy leŹeli na okrwawionej s<sup>3</sup>omie, wywleczono wszystkich chrzeœcijan i œciêto im g<sup>3</sup>owy, a trupy zwalono na kupê ko<sup>3</sup>o drzwi. Miejsca ich zajêli ranni tureccy. Ich jêki, ich odór, ich bezradnoœæ by<sup>3</sup>y takie same jak u chrzeœcijan. W wielu jêzykach wo<sup>3</sup>ali rozpaczliwie o wodê albo b<sup>3</sup>agali kolegów, by po<sup>3</sup>oŹyli koniec ich mêczarniom.

Rannych pielêgnowa<sup>3</sup>o kilku tureckich felczerów, starzy derwisze i greckie mniszki, zmienione w niewolnice i zmuszone do tego brudnego i cuchn<sup>1</sup>cego zajêcia, gdyŹ z powodu staroœci i wygl<sup>1</sup>du nie nêci<sup>3</sup>y zwycięzców. Pewna liczba czauszów utrzymywa<sup>3</sup>a porz<sup>1</sup>dek i przeszkadza<sup>3</sup>a Turkom w ograbianiu w<sup>3</sup>asnych rannych.

Wœród mniszek rozpozna<sup>3</sup>em Charyklejê. Habit mia<sup>3</sup>a porwany, ca<sup>3</sup>a by<sup>3</sup>a w sińcach, a jej brzydka twarz spuchniêta by<sup>3</sup>a od p<sup>3</sup>aczu. Klêcza<sup>3</sup>a w s<sup>3</sup>omie trzymaj<sup>1</sup>c za rêkê œlicznego anatolijskiego m<sup>3</sup>odzieńca. Na jego górnej wardze i brodzie czerni<sup>3</sup>y się smuŹki jedwabistego

zarostu, ale twarz miał już łó³toblad¹ i krwawi³ obficie z obandażowanej piersi.

— Charyklejo — powiedział³em. — Wiêc ¿yjesz! Co robisz?

Rzuci³a na mnie spojrzenie, jakby by³o czymœ najnaturalniejszym na œwiecie, ¿e stojê obok niej, i odpar³a:

— Ten niedobry Turek z³apa³ mnie za rêkê i nie chce puœciæ. Nie rozumiem, co mówi.

I doda³a pochlipuj¹c:

— Jest doprawdy taki m³ody i ³adny, ¿e nie mam serca wyrwaæ d³oni. Wnet umrze!

Swobodn¹ d³oni¹ otar³a pot œmiertelny z czo³a ch³opca i pog³aska³a jego dziecinne okr¹g³e policzki, tak ¿e twarz jego, wykrzywiona bólem, nabra³a spokoju. Charykleja wybuchnê³a p³aczem i wyszlocha³a ze w³ó³czuciem:

— Biedaczek nie mo¿e nawet wzi¹æ udzia³u w pl¹drowaniu, choæ dobrze sobie na to zas³u¿y³ tak dzielnie walcz¹c. Ma mnóstwo ran i krew nie chce przestaæ p³yn¹æ. Móg³by mo¿e znaleŹæ skarby i pieni¹dze i wiele piêknych dziewcz¹t, ale nie dosta³ nic w nagrodê prócz mojej starej koœcistej rêki.

M³odzieniec otworzy³ oczy, spojrze³ poprzez nas i wymamrota³ coœ s³abo po turecku.

— Co on mówi? — zapyta³a Charykleja ¿ywo, powodowana sw¹ wieczn¹ ciekawoœci¹.

— Mówi, ¿e Bóg jest jeden — przet³umaczy³em. — Pyta, czy na pewno zas³u¿y³ sobie na raj.

— Ma siê rozumieæ, naturalnie — powiedzia³a Charykleja. — Oczywiœcie, ¿e sobie zas³u¿y³!. Turcy musz¹ chyba mieæ swój raj, tak jak my chrzeœcijanie mamy nasze niebo. Z pewnoœci¹ pójdzie do raj, biedny ch³opak.

Derwisz, który przechodzi³ obok przyciskaj¹c sw¹ cuchn¹c¹ kozi¹ skórê do piersi, schyli³ siê nad umieraj¹cym ch³opcem i odmówi³ nad nim strofy Koranu — o ch³odnej wodzie raj, drzewach owocowych i wiecznie nietkniêtych dziewczicach. Ch³opak ucemiechn¹³ siê s³abo. Gdy derwisz odszed³, powiedzia³ dwa razy ³ami¹cym siê g³osem:

— Matko, matko.

— Co on mówi? — zapyta³a Charykleja.

— S¹dzi, ¿e jesteœ jego matk¹ — odpar³em.

Charykleja znów wybuchnê³a p³aczem i wykrzyknê³a:

— Nigdy przecie¿ nie mia³am syna, bo ¿aden mê¿czyzna nawet nie spojrze³ na mnie! Ale jeœli on tak myœli, nie mogê go zawieœæ i nie mo¿e to byæ ¿aden grzech.

Uca<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>a d<sup>3</sup>oñ ch<sup>3</sup>opca, przytuli<sup>3</sup>a policzek do jego policzka i zaczę<sup>3</sup>a zadziwiaj<sup>1</sup>co <sup>3</sup>agodnym g<sup>3</sup>osem szeptaæ mu do ucha pieszczotliwe s<sup>3</sup>owa, jak gdyby wœród tego spustoszenia i bezmyœlniej œmierci chcia<sup>3</sup>a wyraziæ ca<sup>31</sup> czu<sup>3</sup>oœæ, pogrzeban<sup>1</sup> w jej sercu. Ch<sup>3</sup>opak, œciskaj<sup>1</sup>c jej tward<sup>1</sup> d<sup>3</sup>oñ, zamkn<sup>13</sup> oczy i dysza<sup>3</sup> ciê<sup>1</sup>ko i boleœnie.

Wtedy sobie coœ przypomni<sup>3</sup>em. Nie rozgl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c siê woko<sup>3</sup>o uda<sup>3</sup>em siê przez miasto do klasztoru Pantokratora. Musia<sup>3</sup>em uzyskaæ pewnoœæ. Musia<sup>3</sup>em zobaczyæ to na w<sup>3</sup>asne oczy.

Pl<sup>1</sup>druj<sup>1</sup>cy Turcy zrobili na klasztornym dziedziñcu stos z por<sup>1</sup>banych ikon i gotowali sobie na ogniu posi<sup>3</sup>ek. Przeszed<sup>3</sup>em obok nich do sadzawki, wzi<sup>13</sup>em oœcieñ i wnet wy<sup>3</sup>owi<sup>3</sup>em jedn<sup>1</sup> z leniwych szarych jak b<sup>3</sup>oto ryb. Gdy podnios<sup>3</sup>em j<sup>1</sup> z wody, zobaczy<sup>3</sup>em, ðe robi<sup>3</sup>a siê czerwona jak rdza. Rdzawo lœni<sup>3</sup>y jej <sup>3</sup>uski w promieniach zachodz<sup>1</sup>cego s<sup>3</sup>oñca, tak jak to przepowiada<sup>3</sup> mnich Gennadios.

Potem przyszed<sup>3</sup> zmierzch. Nasta<sup>3</sup>a noc bestialstwa. Ze spuszczon<sup>1</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> wróci<sup>3</sup>em do mego domu i usiad<sup>3</sup>em do pisania.

*30 maja 1453*

Przed po<sup>3</sup>udniem przyszed<sup>3</sup> czausz, ðeby strzec mego domu. Pozna<sup>3</sup>em po tym, ðe su<sup>3</sup>tan Mehmed nie zapomni<sup>3</sup> o mnie. Manuel gotowa<sup>3</sup> mu jedzenie. <sup>1</sup>aden z nich nie przeszkadza<sup>3</sup> mi w niczym.

Czausz nie zatrzyma<sup>3</sup> mnie te<sup>1</sup>, kiedy wyszed<sup>3</sup>em na miasto. Szed<sup>3</sup> tylko za mn<sup>1</sup> w odleg<sup>3</sup>oœci dwudziestu kroków.

Na ulicach i placach trupy zaczę<sup>3</sup>y puchn<sup>1</sup>æ. Kruki z Europy i z Azji zebra<sup>3</sup>y siê w trzepocz<sup>1</sup>ce skrzyd<sup>3</sup>ami stada. Psy wyj<sup>1</sup> na dziedziñcach. Czê<sup>3</sup>oœæ z nich ju<sup>1</sup> zdzicza<sup>3</sup>a, zlizuj<sup>1</sup> krew i szarpi<sup>1</sup> trupy.

W ci<sup>1</sup>gu nocy wojsko su<sup>3</sup>tana zmieni<sup>3</sup>o swój wygl<sup>1</sup>d w dziwny sposób. Tylko czauszów mo<sup>1</sup>na jeszcze rozpoznaæ po ich zielonych kaftanach i janczarów po ich bia<sup>3</sup>ych filcowych czapkach. Poza tym jest tak, jakby mêt<sup>1</sup>czyŃni, którzy teraz poruszaj<sup>1</sup> siê po ulicach, przebrali siê na jakieœ dziwne i straszliwe œwiêto. Pastuch, który jeszcze wczoraj chodzi<sup>3</sup> boso, ma teraz miêkkie buciki i jedwabny albo aksamitny p<sup>3</sup>aszcz. Dziobaty Murzyn chodzi w ciê<sup>1</sup>kim i haftowanym z<sup>3</sup>otem p<sup>3</sup>aszczu narzuconym na ramiona. Wszyscy obmyli siê i oczyœcili, jak nakazuje islam, ale trupi zaduch unosi siê nad ca<sup>3</sup>ym miastem i wciska siê wszêdzie.

Pl<sup>1</sup>drowanie odbywa się teraz w sposób bardziej zorganizowany. Dom po domu opróżniany jest z mebli i statków domowych. Niezliczone wózki i wozy zaprzęzione w wo<sup>3</sup>y, wy<sup>3</sup>adowane po brzegi, wyjeżdżaj<sup>1</sup> przez bramy miejskie. Na każdym targowisku prowadzi się handel i objucza os<sup>3</sup>y i wielb<sup>3</sup>dy. Najchytrzejsi spośród Turków przeszukuj<sup>1</sup> piwnice w domach znaczniejszych osób, opukuj<sup>1</sup> ęciany i rozbijaj<sup>1</sup> je oskardami i m<sup>3</sup>otami. Od czasu do czasu g<sup>3</sup>očne krzyki ęwiadc<sup>1</sup> o tym, że znaleziono nowe skrytki. Ludzi, którzy się ukryli, wywleka się za w<sup>3</sup>osy z zamurowanych nisz i pustych cystern na wodę.

G<sup>3</sup>owa cesarza Konstantyna leży między kopytami cesarskiego konnego pomnika i patrzy zgas<sup>3</sup>ymi oczyma na swoje miasto. Su<sup>3</sup>tan Mehmed kaza<sup>3</sup> j<sup>1</sup> tam po<sup>3</sup>ołyæ na cokole kolumny po<sup>3</sup>erodku miasta, żeby pokazaæ Grekom, że ich cesarz nie żyje i w<sup>3</sup>adza należy do su<sup>3</sup>tana.

Mehmed jeŹdzi bez ustanku po mieście i dokonuje oględzin pa<sup>3</sup>aców i koęcio<sup>3</sup>ów. Na przyl<sup>1</sup>dku Akropolis orzek<sup>3</sup>:

— Tutaj będzie sta<sup>3</sup> mój seraj. — Pod kolumn<sup>1</sup> Arkadiosa jest jego plac egzekucyjny. Tu znalaz<sup>3</sup>em między innymi spuchnięte cia<sup>3</sup>o ęciętego weneckiego bailona Minotto.

To w<sup>3</sup>æciwe dla mnie miejsce — pomyęla<sup>3</sup>em i usiad<sup>3</sup>em, żeby poczekaæ, a¿ su<sup>3</sup>tan przyjedzie tu, by ustanowiæ swój grecki rz<sup>1</sup>d.

Musia<sup>3</sup>em czekaæ a¿ do po<sup>3</sup>udnia. W ci<sup>1</sup>gu dnia strażnicy przyboczni su<sup>3</sup>tana i czauszowie przyprowadzili blisko pięćdziesięciu Greków, wykupionych za su<sup>3</sup>tańskie pieni<sup>1</sup>dze w obozie i na okrętach. Dostali wodę i zupę, i odzież odpowiedni<sup>1</sup> do rangi. Ale nie usunę<sup>3</sup>o to ich przygnębienia. Tylko niektórzy odważyli się ze strachem szeptaæ pomiędzy sob<sup>1</sup>. Od czasu do czasu przychodzili czauszowie przynosz<sup>1</sup>c nowe g<sup>3</sup>owy dostojników i k<sup>3</sup>adli je d<sup>3</sup>ugim szeregiem na marmurowej balustradzie placu. Jeńcy pokazywali na nie i szeptali znane imiona. Wielu poleg<sup>3</sup>o na murach i zw<sup>3</sup>oki ich odszukano. Inni padli w obronie w<sup>3</sup>asnych domów.

W końcu przyby<sup>3</sup> su<sup>3</sup>tan w towarzystwie swoich m<sup>3</sup>odych wezyrów i zsiad<sup>3</sup> chwiejnie z konia. Twarz jego nabrzmia<sup>3</sup>a od nocnego czuwania i wina. S<sup>3</sup>ońce k<sup>3</sup>u<sup>3</sup>o go w oczy, tak że musia<sup>3</sup> zas<sup>3</sup>aniaæ je ręk<sup>1</sup>.

Jeńcy rzucili mu się do stóp i przycisnęli czo<sup>3</sup>a do ziemi. Przemówi<sup>3</sup> do nich z udan<sup>1</sup> życzliwoęci<sup>1</sup> i prosi<sup>3</sup>, żeby wstali. Skarbnik odczyta<sup>3</sup> listę imion. Su<sup>3</sup>tan sprawdzi<sup>3</sup> starannie każdego i zał<sup>1</sup>da<sup>3</sup>, żeby jeńcy zaęwiadczyli nawzajem o swojej tożsamoęci. Większoęæ z nich należa<sup>3</sup>a do rodów o wieloletniej tradycji i imiona ich by<sup>3</sup>y dobrze znane w historii miasta. Tylko niewielu ze spisu brakowa<sup>3</sup>o.

Mehmed usiad<sup>3</sup> na marmurowym bloku skrzyżowawszy nogi, potar<sup>3</sup> obola<sup>3</sup>e czo<sup>3</sup>o i powiedzia<sup>3</sup>:

— Jestem wprawdzie zmęczony i obci<sup>1</sup>żony troskami, ale moje poczucie obowi<sup>1</sup>zku nie pozwala

mi zostawiać tych szlachetnych ludzi w niepewności. Przyszedłem tu, jak obiecałem, by dzieło ustanowić grecki rząd na nowych podstawach, tak aby lud grecki i moje inne ludy mogły odżywać ze sobą w zgodzie i pokoju. Opowiadano mi, że wszyscy jesteście prawowiernymi ludźmi, którzy wbrew własnej woli zmuszeni zostali do chwycenia za broń przeciw mnie. Ale skoro już straciliście miasto, gotowi jesteście uznać mnie jako waszego cesarza i oddać całość swojej wiedzy i doświadczenie w sprawach państwowych do mojej dyspozycji, ażeby lud grecki bez wahania podporządkował się mojemu panowaniu. Czy to prawda?

Jeńcy wykrzyknęli żywo, że chcą mu służyć, jak najlepiej potrafią. Mehmed zmarszczył czoło, rozejrzał się dokoła i zapytał z udanym zdziwieniem:

— Ale gdzie jest lud grecki?

— Ojnierze i członkowie cewity zaczęli rozglądać się dokoła i ciemiej się i nawojując powtarzać pytanie:

— Gdzie jest lud grecki? — Wnet kopniakami i uderzeniami spędzili garść na wpół nagich, wystraszonych starców i kobiet, wskazali na nich i krzyknęli: — Emirze, ojciec nasz, patrz, oto stoi lud grecki!

Mehmed skinął dumnie głową i powiedział:

— Niech więc wasz własny lud będzie waszymi świadkami. Czy przyrzekacie i przysięgacie na Boga i wszystkich waszych świadkach, że gotowi jesteście ucałować wasz krzyż na znak podporządkowania się i potwierdzenia waszej przysięgi, że chcecie mi służyć wiernie aż do śmierci, bez względu na to, jak wysoko chcę was wynieść?

Jeńcy wykrzyknęli i zrobili znak krzyża oraz okazali pełną gotowość, by ucałować krucyfiks. Tylko kilku z nich stało w milczeniu przypatrując się uważnie sułtanowi.

— Niech więc tak będzie — powiedział Mehmed. — Sami tego chcieliście. Ugnijcie zatem kolana po kolei i wycignijcie głowy, żeby mój kat mógł ościłać was wszystkich. W taki sposób służyć mi najwierniej i najlepiej, a wasze głowy wyniosę na kolumnę obok głów innych waszych męczennych rodaków. I nie postępujcie nawet niesłusznie wobec was, gdyż dopiero co poprzysięgliście wiernie spełniać moje rozkazy, bez względu na to, jakie by były.

Grecy patrzyli na niego, jakby grom w nich uderzył. Potem zaczęli krzyczeć i potrzasać zacięniętymi pięściami, a niektórzy poranili się sami o oszczepy strażników usiłując rzucić się na sułtana. A inni powiedzieli:

— Bracia, umrzyjmy jak męczennicy, skoro sami wykopaliśmy sobie ten grób.

Sułtan podniósł głowę i zawołał z udaną godnością:

— Nic nie przeszkadza wam w utworzeniu greckiego rządu w chrześcijańskim niebie, gdyż jest tam już bez porównania więcej Greków niż w Konstantynopolu. Spieszcie się więc, aby porozumieć się z wczasu co do stanowisk i godności.

Jego s³owa by³y znakiem dla katów. ¯o³nierze chwycili jeñców za ramiona i zmusili ich do uklêkniêcia. Podczas gdy krew tryska³a z przeciêtych szyj, g³owy toczy³y siê przed su³tana, który kaza³ je ustawiaæ rzêdem na balustradzie, tak ¿e powykrzywiane, szczerz¹ce siê, ¯awoockie i krwawe twarze otoczy³y niebawem ca³y plac Arkadiosa.

Potem su³tan zwróci³ siê do skamienia³ych ze zgrozy starców i kobiet i powiedzia³ swoj¹ ¯aman¹ grek¹:

— Na w³asne oczy zobaczyliœcie teraz, ¿e nie przyszed³em tu jako zdobywca, lecz jako oswobodziciel, gdy¿ uwalniam grecki lud Konstantynopola od jego tysi¹cletniej niewoli pod cesarzem i szlacht¹. Za cierpienia, których dozna³o wasze miasto, sami ponosicie winê, gdy¿ nie zrzuciliœcie w porê waszego jarzma i nie przywo³aliœcie mnie. Ale cierpienie wnet przeminie. A potem zapewniê ka¿demu, kto prze¿y³, dom i mienie, i wykonywanie rzemios³a, a ci, którzy st¹d uciekli, lecz powróc¹, mieæ bêd¹ takie same prawa. Allah jest ¯askawy i mi³osierny, zobaczycie to, biedni ludzie. Byliœcie wyzyskiwani, oszukiwani i ograbiani tak d³ugo, ¿e nie wiecie jeszcze, co znaczy prawdziwa wolnoœæ. Ale ja doprowadzê miasto do takiego rozkwitu, o jakim nikt nigdy nie móg³ marzyæ. Bêdzie ono najwspanialszym klejnotem w moim turbanie i panowaæ bêdzie na Wschodzie i na Zachodzie.

Kaza³ skarbnikowi rozdzielaæ po dziesiêæ asprów ka¿demu z Greków, których wezwa³ na œwiadców, tak aby mogli wykupiaæ siê na wolnoœæ. By³a to dobra cena, gdy¿ niewolników z jak¹kolwiek wad¹ sprzedawano na targu ju¿ za jedn¹ srebrn¹ monetê. Ale starcy i kobiety, którzy prze¿yli ca³¹ dobê strachu wœród mordy i gwa³tu, stali têpi i obojêtni, nie rozumiej¹c, co siê z nimi dzieje.

Rozejrza³em siê doko³a po zbryzganym krwi¹ placu, podszed³em do su³tana i rzek³em:

— Ale gdzie jest megaduks Notaras? Nie widzê go tutaj. Jakie bêdzie jego miejsce w tym sprawiedliwym planie?

Mehmed spojrze³ na mnie ¿yczliwie, skin¹³ g³ow¹ i odpar³:

— Uzbrój siê jeszcze w cierpliwoœæ, Aniele. Kaza³em go przyprowadziaæ, a tak¿e i jego synów, ale to trochê potrwa.

Popatrzy³ na mnie badawczo i wyjaœni³:

— Notaras ukry³ przede mn¹ swoj¹ córkê i mówi, ¿e nic o niej nie wie. Dlatego pos³a³em do jego domu mego bia³ego eunucha i kaza³em mu zabraæ najm³odszeo syna Notarasa dla mojej rozkoszy. To piêkny ch³opiec i chcê, ¿eby jego ojciec sam przyprowadzi³ go przede mnie, tak ¿ebym móg³ z nim zrobiaæ, co mi siê podoba.

— Pi<sup>3</sup>ę — powiedzia<sup>3</sup>em. — łamiesz nakazy Koranu!

Mehmed ucemiechn<sup>13</sup> siê b<sup>3</sup>yskaj<sup>1</sup>c zêbami drapieźnika i wybuchn<sup>13</sup>:

— Sam jestem swoim w<sup>3</sup>asnym prawem. Nie trzeba mi juź żadnego anio<sup>3</sup>a, by szepta<sup>3</sup> mi do ucha, że jestem lepszy od kaźdego œmiertelnika. Nawet sam Bóg nie moźe ze mn<sup>1</sup> w<sup>3</sup>spó<sup>3</sup>zawodniczyæ o w<sup>3</sup>adzê na ziemi. Na skinienie mojej d<sup>3</sup>oni spadaj<sup>1</sup> g<sup>3</sup>owy. Czy jeszcze przeczysz, że jestem lepszy od zwyk<sup>3</sup>ego cz<sup>3</sup>owieka?

Spojrza<sup>3</sup>em mu w oczy i wiedzia<sup>3</sup>em, że na swój sposób ma s<sup>3</sup>usznocæ, gdyź wybra<sup>3</sup> ludzk<sup>1</sup> prawdê i œmieræ materii nad rzeczywistocæ Boga.

Rzek<sup>3</sup>em:

— Skoro otrz<sup>1</sup>sasz z siebie przesz<sup>3</sup>ocæ jako stary przes<sup>1</sup>d i ustanawiasz siebie jako miarê wszystkiego, kujesz dla siebie samego straszliwsze kajdany, niź jakikolwiek cz<sup>3</sup>owiek nosi<sup>3</sup> przed tob<sup>1</sup>. Wiêzy czasu i przestrzeni weźr<sup>1</sup> siê w twoje cia<sup>3</sup>o i zad<sup>3</sup>awi<sup>1</sup> twego ducha. A gdy kiedyœ umrzesz, nie zostanie po tobie œlad.

Wykrzykn<sup>13</sup>:

— Pamiêæ o mnie ỳæ bêdzie tak d<sup>3</sup>ugo, dopóki bêd<sup>1</sup> ludzie na ziemi. Powiedzia<sup>3</sup>em ci wszak, że nie potrzebujê juź żadnego anio<sup>3</sup>a, by szepta<sup>3</sup> mi do ucha!

— Kaź wiêc wreszcie mnie zabiaæ — pros<sup>3</sup>em. — Opuœci<sup>3</sup>em ciê przecieź juź w jesieni, kiedy zrozumia<sup>3</sup>em, czym jesteœ, czego chcesz i co przyjdzie. Zmi<sup>3</sup>uj siê nade mn<sup>1</sup> i daj mi œmieræ, tak aby krew moja mog<sup>3</sup>a zmieszaæ siê z krwi<sup>1</sup> moich greckich braci.

Ale on ucemiechn<sup>13</sup> siê tylko swym przekornym ucemiechem drapieźnika i powtórzy<sup>3</sup>:

— Uzbrój siê jeszcze w cierpliwoæ, Aniele. Zobaczymy wpierw wspólnie, jak g<sup>3</sup>êboko moźe poniźyæ siê nawet najznamienitszy Grek.

Musia<sup>3</sup>em odejœæ na bok, gdyź w tejże chwili przyszli eunuchowie z łukaszem Notarasem i jego obu synami. Kiedy Notaras us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> rozkaz su<sup>3</sup>tana, odgad<sup>3</sup> przypuszczalnie, jaki czeka go los. Szed<sup>3</sup> wyprostowany i nie rzuci<sup>3</sup> siê juź na kolana przed su<sup>3</sup>tanem. Bia<sup>3</sup>y eunuch powiedzia<sup>3</sup> do su<sup>3</sup>tana:

— Panie, on nie us<sup>3</sup>ucha<sup>3</sup> twego rozkazu i nie chce dobrowolnie oddaæ syna do twego haremu. Dlatego przyprowadzi<sup>3</sup>em ich wszystkich tutaj, jak nakaza<sup>3</sup>ę.

Mehmed wskaza<sup>3</sup> na g<sup>3</sup>owy otaczaj<sup>1</sup>ce plac i rzek<sup>3</sup>:

— Dlaczego nie s<sup>3</sup>uchasz mnie, choæ ustanowi<sup>3</sup>em grecki rz<sup>1</sup>d i dok<sup>3</sup>adnie stosujê siê do rad, których mi udzieli<sup>3</sup>ę?

Notaras rozejrza<sup>3</sup> siê woko<sup>3</sup>o z nieruchom<sup>1</sup> twarz<sup>1</sup>, zrobi<sup>3</sup> powoli znak krzyźa, spojrza<sup>3</sup> ku niebu i



wykrzykn<sup>13</sup>:

— Panie mój i Boże, uznaję Twój<sup>1</sup> sprawiedliwość. Jesteś doprawdy sprawiedliwym Bogiem! — Potem obszed<sup>3</sup> powoli ma<sup>3</sup>y plac i zatrzymuj<sup>1</sup>c się przy każdej z g<sup>3</sup>ów mówi<sup>3</sup>: — Mój bracie, przebac mi. Nie wiedzia<sup>3</sup>em, co czynię.

Kiedy wróci<sup>3</sup> na swoje miejsce, po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup> d<sup>3</sup>onie na ramionach synów i rzek<sup>3</sup> do nich:

— Pokażmy teraz, że potrafimy umrzeć jak mężczyźni, i podziękujmy Bogu, że możemy umrzeć jak Grecy i zachować nasz<sup>1</sup> wiarę.

Su<sup>3</sup>tan roz<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup> ramiona i zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> z ur<sup>1</sup>gliwym zdumieniem:

— Nie musisz przecież umierać! Obieca<sup>3</sup>em wywyższyć cię ponad tych Greków. Musisz tylko us<sup>3</sup>uchać i kazać swemu pięknemu synowi, by mi by<sup>3</sup> pos<sup>3</sup>uszny we wszystkim, co mu nakazę.

Megaduks Notaras odpar<sup>3</sup>:

— Nie musisz zniżać się do szukania pretekstu, by mnie stracić. Ukorzy<sup>3</sup>em się już przed Bogiem. Dlaczego miał<sup>3</sup>bym jeszcze upokarzać się przed tob<sup>1</sup>. To i tak nie uratowa<sup>3</sup>oby ani mnie, ani moich synów. Ale chcę cię prosić o zaspokojenie mojej ludzkiej ciekawości.

Dlaczego muszę umrzeć, wbrew wszelkim rozs<sup>1</sup>dnym politycznym zasadom?

Su<sup>3</sup>tan Mehmed pochyli<sup>3</sup> ku niemu m<sup>3</sup>od<sup>1</sup> i rozpalon<sup>1</sup> twarz i szepn<sup>13</sup>:

— Zdradzi<sup>3</sup>ęce swego cesarza, zdradzi<sup>3</sup>być także i mnie.

Megaduks Notaras schyli<sup>3</sup> g<sup>3</sup>owę i powiedzia<sup>3</sup> raz jeszcze:

— Zaprawdę, jesteś sprawiedliwy, Boże.

Potem prosi<sup>3</sup> o <sup>3</sup>askę, by mógł<sup>3</sup> wpieryw zobaczyć stracenie swoich synów, gdyż chciał<sup>3</sup> być pewny, że nie wyrzekn<sup>1</sup> się greckiej wiary, aby ratować życie. Su<sup>3</sup>tan zgodzi<sup>3</sup> się na to. Notaras sam zmusi<sup>3</sup> synów, by uklękli na ziemi, najpierw starszy, a później m<sup>3</sup>odszy, i przemawia<sup>3</sup> do nich spokojnie, gdy kat ocina<sup>3</sup> im g<sup>3</sup>owy. Ani jedna <sup>3</sup>za nie pojawi<sup>3</sup>a się w jego ciemnych oczach, choć su<sup>3</sup>tan Mehmed ciekawie pochyli<sup>3</sup> się do przodu i obserwowa<sup>3</sup> jego oblicze.

Gdy obaj m<sup>3</sup>odzięńcy już nie żyli, Notaras powiedzia<sup>3</sup>:

— Panie mój i Boże, apeluję do Twego trybuna<sup>3</sup>u. Ty masz prawo mnie s<sup>1</sup>dziać, ale żaden cz<sup>3</sup>owiek nie ma takiego prawa. — Ale potem ukorzy<sup>3</sup> się, schyli<sup>3</sup> g<sup>3</sup>owę, zala<sup>3</sup> się <sup>3</sup>zami i modli<sup>3</sup> się tak, jak modl<sup>1</sup> się proci ludzie: — Jezusie Chrystusie, Synu Boży, zmi<sup>3</sup>uj się nade mn<sup>1</sup> grzesznym!

Modli<sup>3</sup> się jeszcze przez chwilę na uboczu, potem wsta<sup>3</sup> i poszed<sup>3</sup> za czauszami do kolumny Arkadiosa, ukl<sup>1</sup>k<sup>3</sup> we krwi synów i czeka<sup>3</sup> spokojnie na śmierć. Su<sup>3</sup>tan kaza<sup>3</sup> umieścić jego g<sup>3</sup>owę na kolumnie, wyżej niż g<sup>3</sup>owy innych Greków. Potem Mehmed odwróci<sup>3</sup> się, zmęczony widokiem

krwi i odorem trupów, i odjecha<sup>3</sup> do swego jedwabnego namiotu. Mnie odprawi<sup>3</sup>, choæ s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>em, æ wszystko jest juæ spe<sup>3</sup>nione.

Ale gdy wraca<sup>3</sup>em do domu, szed<sup>3</sup> za mn<sup>1</sup> zielono odziany czausz w odleg<sup>3</sup>oœci dwudziestu kroków. Su<sup>3</sup>tan jednak o mnie nie zapomnia<sup>3</sup>.

## EPILOG

Pisze to Manuel, syn Demetriososa. Tego Demetriososa, który by<sup>3</sup> nosicielem drzewa u starego cesarza Manuela. A on sam, Manuel, pisz<sup>1</sup>cy te s<sup>3</sup>owa, s<sup>3</sup>u<sup>3</sup>u<sup>3</sup> u pana Johannesosa Angelosa, którego <sup>3</sup>acinnicy nazywali Jeanem Ange, a Turcy okreœalali imieniem Anio<sup>3</sup>a i lœkali siê go.

Kiedy pan mój napisa<sup>3</sup> to, co mia<sup>3</sup> napisaa, pokaza<sup>3</sup>em mu pieni<sup>1</sup>dze ukryte przeze mnie w piwnicy i z<sup>3</sup>oty kielich na komunikanty, który uratowa<sup>3</sup>em z klasztoru Chora. Powiedzia<sup>3</sup>em:

— Jest wielu <sup>3</sup>acinników, którzy wykupili siê od wezyrów su<sup>3</sup>tana. Wykup siê i ty i ucieknijmy razem z tego miasta œmierci.

Odpar<sup>3</sup> na to:

— Nie, nie, œmieræ to najwiêksze dobrodziejstwo, jakie mo<sup>3</sup>ze mi byæ wyœwiadczone. Ale ty u<sup>3</sup>yj dalej i zdaj siê na <sup>3</sup>askê Turków, bo ty nale<sup>3</sup>ysz do tych, co zawsze pozostan<sup>1</sup> przy u<sup>3</sup>yciu, gdy<sup>3</sup> s<sup>1</sup> takimi, jacy s<sup>1</sup>, i sami nie mog<sup>1</sup> nic na to poradziæ.

Mój pan czuwa<sup>3</sup> przez wiele nocy, a w ostatnich dniach ani nie jad<sup>3</sup>, ani nie pi<sup>3</sup>, lecz ca<sup>3</sup>kiem poœci<sup>3</sup>. Dlatego g<sup>3</sup>owê mia<sup>3</sup> ju<sup>3</sup> zamroczon<sup>1</sup> tak, u<sup>3</sup>e nie rozumia<sup>3</sup>, na czym polega jego w<sup>3</sup>asne dobro.

Trzeciego dnia po zdobyciu miasta su<sup>3</sup>tan Mehmed przys<sup>3</sup>a<sup>3</sup> rano pos<sup>3</sup>añca po mego pana i wezwa<sup>3</sup> go do siebie. Poszed<sup>3</sup>em za nim z daleka i nikt mi w tym nie przeszkadza<sup>3</sup>. Tak<sup>3</sup>e inni Grecy zebrali siê pod kolumn<sup>1</sup> Konstantyna, by zobaczyæ, co siê stanie.

Przy kolumnie Konstantyna su<sup>3</sup>tan Mehmed wskaza<sup>3</sup> na g<sup>3</sup>owê cesarza Konstantyna, z której wyp<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>y oczy i która zaczę<sup>3</sup>a ju<sup>3</sup> cuchn<sup>1</sup>æ, i zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>:

— Mieczem zdoby<sup>3</sup>em Konstantynopol i mieczem zabi<sup>3</sup>em cesarza Konstantyna, by posi<sup>1</sup>œæ jego miasto! Czy jest ktoœ, kto odmawia mi prawa do tego spadku?

Mój pan wyst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> przed niego i rzek<sup>3</sup>:

— Ja odmawiam ci prawa do spadku, turecki emirze Mehmedzie. Jestem urodzony w purpurowych butach i zatrzymam je a<sup>3</sup> do mojej œmierci. Bêd<sup>1</sup>c z cesarskiej krwi jestem jedynym prawym bazyleusem Konstantynopola, choæ ty nie chcia<sup>3</sup>œœ o tym wiedziæ.

Ale su<sup>3</sup>tan Mehmed nie zdziwi<sup>3</sup> siê wcale jego s<sup>3</sup>owami, tylko potrz<sup>1</sup>sn<sup>13</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> i odpar<sup>3</sup>:

— Wiem wszystko, co potrzebujê wiedziæ. Ju<sup>3</sup> mój ojciec wiedzia<sup>3</sup> o twoim pochodzeniu, choæ s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>œœ, u<sup>3</sup>e ukry<sup>3</sup>œœ je przed œwiatem. To nie jest dla mnie u<sup>3</sup>adna nowina, gdy<sup>3</sup> mam oczy i

uszy we wszystkich chrześcijańskich krajach, także w Awinionie. Jak s'dziesz, dlaczego pozwoli<sup>3</sup>em ci odejść w jesieni i nawet podarowa<sup>3</sup>em ci garść klejnotów na pożegnanie?

Mój pan powiedział<sup>3</sup>:

— Wiem, że kolekcjonujesz ludzi, tak jak Arystoteles zbiera<sup>3</sup> dziwy natury. Sam kiedyś mówi<sup>3</sup>eś, że nic ludzkiego nie może cię zdziwić, bo potrafisz przejrzeć na wylot wszystkich ludzi. Zatem i ja ciebie nie zdziwi<sup>3</sup>em.

Su<sup>3</sup>tan Mehmed odpar<sup>3</sup>:

— Tak, Aniele, zdziwi<sup>3</sup>eś mnie. Pozwoli<sup>3</sup>em ci pojechać do Konstantynopola, gdy wojna się zacznie, bo miałem nadzieję, że podniesiesz bunt i będziesz współzawodniczy<sup>3</sup> z cesarzem o władzę. Dlatego dosta<sup>3</sup>eś czerwonki, by zasiał niezgodę między obrońcami. Ale ty mnie zadziwi<sup>3</sup>eś. Czyż więc mam wierzyć, że w tobie spotka<sup>3</sup>em jedynego człowieka na ziemi, który nie d'łży do władzy?

Mój pan rzek<sup>3</sup>:

— Dopiero teraz nadeszła moja chwila. Wobec twego wojska i ludu greckiego odmawiam ci prawa dziedzictwa i d'dam od ciebie mego królestwa.

Su<sup>3</sup>tan Mehmed potrz<sup>1</sup>sn<sup>13</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> ze współczuciem i powiedział<sup>3</sup>:

— Nie b'ď g<sup>3</sup>upcem, padnij przed mn<sup>1</sup> i b'agaj mnie jako zwycięzcę, a daruję ci życie. Inaczej uznaję, że jestem zmęczony i wyrzucę cię na śmietnik, jak to uczynił Arystoteles, kiedy miał zanieść do domu kr<sup>1</sup>g z grzbietu wieloryba.

Mój pan odpar<sup>3</sup>:

— To nie ty jesteś zwycięzcą, tylko ja.

Jego upór rozdrażnił su<sup>3</sup>tana Mehmeda. Klasnął w d<sup>3</sup>onie na znak i zawo<sup>3</sup>ał:

— Niech się stanie, jak chcesz! Dajcie mu jego purpurowe buty, aby umarł w nich tak, jak się urodził. Jego pochodzenia nie będzie zaprzeczał.

I zaraz kaci z<sup>3</sup>apali mego pana i zdjeli z niego odzież, tak że tylko koszula go okrywała. Podtrzymywali go pod ramiona i przecięli mu nożem żyły na obu udach i jego własną sp<sup>3</sup>ywaj<sup>1</sup>ca krew zabarwiła mu kolana i łydki, i stopy czerwoną.

Podczas gdy lała się krew mego pana, oparł się on obu rękami o barki swoich katów, zwrócił wzrok ku górze i modlił się:

— Niewytumaczony Boże, tęsknię do twojej rzeczywistości przez wszystkie moje dni. Ale w chwili śmierci proszę cię. Daj mi jeszcze raz powrócić. Daj mi jeszcze raz znowu więzy czasu i przestrzeni, twoje straszliwe i cudowne więzy. Daj mi to, bo wiesz, dlaczego tego pragnę.

Su<sup>3</sup>tan podniós<sup>3</sup> mu dr<sup>1</sup>c<sup>1</sup> brodê, trzyma<sup>3</sup> jego g<sup>3</sup>owê wyprostowan<sup>1</sup> i powiedzia<sup>3</sup>:

— Patrz na twoje miasto, bazyleusie Johannesie Angelosie!

Mój pan wyszepta<sup>3</sup> dobywaj<sup>1</sup>c ostatnich si<sup>3</sup>:

— Widzê piêknoœæ mojego miasta. Do tego miejsca wróci jeszcze raz moje cia<sup>3</sup>o astralne. Wróci do ruin tego muru. Jako wêdrowiec w kajdanach czasu i przestrzeni zerwê kiedyœ w szczelinie muru ciemny kwiat na pami<sup>1</sup>tkê tej, któr<sup>1</sup> kocha<sup>3</sup>em. A ty, Mehmedzie, nigdy nie wrócisz.

W ten sposób skona<sup>3</sup> mój pan, Johannes Angelos, w purpurowych butach. Gdy Źycie z niego ulecia<sup>3</sup>o, Turcy odciêli jego g<sup>3</sup>owê i wrzucili cia<sup>3</sup>o do morza w porcie, gdzie inne trupy zatruwaj<sup>1</sup> wodê.

A kiedy su<sup>3</sup>tan da<sup>3</sup> siê obwo<sup>3</sup>aæ dziedzicem cesarzy, odes<sup>3</sup>a<sup>3</sup> swoje wojsko i okrêty z miasta i pozwoli<sup>3</sup> Grekom, którzy zostali, obraæ sobie patriarchê. Wybralicemy mnicha Gennadiosa, najœwiêtszego z mnichów w mieœcie, którego Turcy oszczêdzili z powodu jego wielkiego rozg<sup>3</sup>osu. Su<sup>3</sup>tan przyj<sup>13</sup> go w swojej kwaterze i mianowa<sup>3</sup> patriarch<sup>1</sup> Konstantynopola, tak jak robi<sup>3</sup> to przedtem cesarz, i w dowód <sup>3</sup>aski podarowa<sup>3</sup> mu drogocenny pastora<sup>3</sup> i z<sup>3</sup>oty kielich na komunikanty. W ten sposób su<sup>3</sup>tan spe<sup>3</sup>ni<sup>3</sup> obietnicê i pozwoli<sup>3</sup> Grekom swobodnie praktykowaæ swój<sup>1</sup> wiarê w mieœcie i samym siê s<sup>1</sup>dziæ. Takê kilka koœcio<sup>3</sup>ów su<sup>3</sup>tan podarowa<sup>3</sup> nam do odprawiania naboŹeństw, inne zae kaza<sup>3</sup> opróŹniæ i s<sup>1</sup> teraz meczetami na chwa<sup>3</sup>ê Boga islamu.

Miastu Pera po drugiej stronie portu su<sup>3</sup>tan podarowa<sup>3</sup> jego dawne prawa handlowe w nagrodê za neutralnoœæ i us<sup>3</sup>ugi w czasie oblêżenia. Ale mury Pery od strony l<sup>1</sup>dowej kaza<sup>3</sup> zburzæ, a domy tych, którzy uciekli z Pery, s<sup>1</sup> opieczêtowane i ich mienie spisane, tak ê przypadnie ono su<sup>3</sup>tanowi jeœli w<sup>3</sup>aœciciele nie wróc<sup>1</sup> w ci<sup>1</sup>gu trzech miesiêcy i nie obejm<sup>1</sup> swej w<sup>3</sup>asnoœci w posiadanie.

Takê do Konstantynopola wróci<sup>3</sup>o wielu uciekinierów i su<sup>3</sup>tan przyrzek<sup>3</sup> swój<sup>1</sup> szczególn<sup>1</sup> <sup>3</sup>askê wszystkim Grekom, którzy wróc<sup>1</sup> i potrafi<sup>1</sup> udowodniæ, ê s<sup>1</sup> szlchetnego rodu. Tych kaza<sup>3</sup> potem natychmiast straciæ. U<sup>3</sup>askawi<sup>3</sup> jedynie biednych ludzi i pozwoli<sup>3</sup>, by zaczêli pracowaæ dla dobrobytu królestwa, kaŹdy w swoim zawodzie. Takê uczonych geografów, badaczy historii i techników cesarskich su<sup>3</sup>tan u<sup>3</sup>askawi<sup>3</sup> i wzi<sup>13</sup> ich na swój<sup>1</sup> s<sup>3</sup>uŹbê. Ale nie u<sup>3</sup>askawi<sup>3</sup> Źadnych filozofów.